



THOMAS CULLINAN

The Piano

TYLKO
W KINACH!

MARGINESY



THOMAS CULLINAN

Na pokuszenie

PRZEŁOŻYLI

ANNA OWSIAK

JERZY WOŁK-ŁANIEWSKI

JAN WĄSIŃSKI

AGA ZANO

MARGINESY

Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Amelia Dabney

Matilda Farnsworth

Marie Deveraux

Alicia Simms

Emily Stevenson

Harriet Farnsworth

Edwina Morrow

Martha Farnsworth

Matilda Farnsworth

Emily Stevenson

Marie Deveraux

Amelia Dabney

Harriet Farnsworth

Alicia Simms

Amelia Dabney

Martha Farnsworth

Edwina Morrow

Emily Stevenson

Matilda Farnsworth

Harriet Farnsworth

Alicia Simms

Marie Deveraux

Amelia Dabney

Edwina Morrow

Emily Stevenson

Martha Farnsworth

Marie Deveraux

Amelia Dabney

Alicia Simms

Emily Stevenson

Harriet Farnsworth

Edwina Morrow

Marie Deveraux

Harriet Farnsworth

Amelia Dabney

Matilda Farnsworth

Przypisy

Tytuł oryginału THE BEGUILED

Przekład ANNA OWSIAK (*Marie Deveraux i Alicia Simms*), JAN WĄSIŃSKI (*Amelia Dabney i Martha Farnsworth*), JERZY WOŁK-ŁANIEWSKI (*Emily Stevenson i Edwina Morrow*), AGA ZANO (*Matilda Farnsworth i Harriet Farnsworth*)

Wydawca KATARZYNA RUDZKA

Redaktor prowadzący ADAM PLUSZKA

Redakcja JOLANTA KUCHARSKA

Korekta EWA PENKSYK-KLUCZKOWSKA, JAN JAROSZUK

Przyśpiwkę na s. 188–189 przełożył ADAM PLUSZKA

Projekt okładki © 2017 FOCUS FEATURES LLC. ALL RIGHTS RESERVED

Adaptacja projektu okładki AGNIESZKA WRZOSEK

Łamanie ANNA HEGMAN

The Beguiled

Copyright © 1966 by Thomas Cullinan

Reprinted by arrangement with The Helen B. Cullinan Irrevocable Trust

and The Barbara Hogenson Agency, Inc. All rights reserved

No part of this book may be reproduced or transmitted in any form or by any means, electronic or mechanical, including photocopying, recording or by any information storage or retrieval system, without permission in writing from The Barbara Hogenson Agency, Inc., 165 West End Avenue, Suite 19-C, New York, NY 10023

Copyright © for the translation by Anna Owsiak, Jan Wąsiński, Jerzy Wołk-Łaniewski, Aga Zano

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2017

Warszawa 2017

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-65780-61-4

Wydawnictwo Marginesy

ul. Forteczna 1a

01-540 Warszawa

tel. 48 22 839 91 27

e-mail: redakcja@marginesy.com.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)

Dla Helen

AMELIA DABNEY

Znalazłam go w lesie. Panna Harriet pozwoliła mi chodzić na grzyby, choć musiałam obiecać, że nie będę przekraczać starej indiańskiej ścieżki, za którą las od razu opadał w stronę potoku. Okoliczne tereny należą wyłącznie do Farnsworthów, ale właściciele chyba nigdy nic na nich nie robili, to zresztą nawet lepiej. Wolę, żeby takie miejsca jak las zostawić w spokoju, niech rośnie.

Tamtego popołudnia, w pierwszym tygodniu maja, nie znalazłam dużo grzybów, za to natknęłam się na niego. Leżał twarzą do ziemi wśród liści, ramieniem obejmował przewrócony pień i przywarł do niego jak do matki albo do ostatniej deski ratunku. Czapka spadła mu z głowy, a nad głębokim zadrapaniem na czole krążyła chmara much. Miał rude włosy i piegi oraz śmiertelnie bladą twarz prześwitującą spod brudu. Na początku myślałam, że nie żyje, ale jęknął cicho i lekko przekręcił się na bok. Leżał w kałuży krwi na liściach dębu i miał zakrwawioną prawą nogawkę spodni.

W pierwszym odruchu chciałam wrócić do domu, żeby przyprowadzić pannę Harriet albo Marie, albo Alice, ale postanowiłam inaczej. Pewnie podniosłyby larum i postanowiłyby poczekać, aż panna Martha wróci z wyprawy do sklepu, a panna Martha na pewno powiedziałaaby, że w lesie jest dla nas zbyt niebezpiecznie i nie wolno nam tam chodzić. Dlatego wiedziałam, że sama muszę coś z nim zrobić.

Kanonada przybierała na sile. Działa dudniły od rana gdzieś na wschód od nas, w dziczy, po drugiej stronie potoku. Na naszej posesji wciąż rosło mnóstwo drzew, ale tam nie było nic poza pnączami, ciernistymi krzewami i starymi sosnami. Ziemia nie nadawała się pod uprawę, a najlepsze drzewa ścięto dawno temu. Nie wierzyłam, że komuś by się chciało walczyć o takie tereny, ale najwyraźniej tak było.

Teraz już leżał twarzą w moją stronę i miałam okazję mu się przyjrzeć.

Schyliłam się. W obecnym stanie na pewno był niegroźny i chyba nawet nie miał broni, chociaż mogła leżeć pod nim. Co teraz z nim zrobić? Zdecydowanie nie dałabym rady zawlec go aż do szkoły, jednak innej możliwości nie miałam.

Nagle otworzył oczy i natychmiast zamknął jedno. Nie pomyślałabym, że ktoś w jego położeniu będzie puszczał do mnie oko, ale chyba to zrobił.

– Boisz się? – zapytał cicho, choć zdecydowanie.

– Nie – odparłam i szybko się poprawiłam: – Tak.

– To dobrze, bo ja też – westchnął i znowu zamknął powieki.

– Czy może pan chodzić? – zapytałam.

– Chodziłem, aż dotąd, na nogach, na kolanach i na płask. Mogę pójść ździebko dalej, jeśli będzie gdzie.

– Pensja Farnsworthów leży za lasem – powiedziałam. – To szkoła dla młodych dam panny Marthy Farnsworth.

Zastanawiał się przez chwilę.

– Macie tam jakichś mężczyzn?

– Nie. Tylko pięć uczennic, w tym ja, a także panna Martha Farnsworth i jej siostra, panna Harriet Farnsworth. Nie skłamię, że będzie pan tam mile widziany, ale to lepsze miejsce niż tutaj.

– To na pewno – zauważył. – Chyba przyjmę zaproszenie. Zaraz sprawdzę, czy dam radę iść. Pomożesz mi wstać? W głowie mi się kręci.

Stałam obok niego, pochyliłam się i pociągnęłam go do góry za ramię. Nadaremnie. Ruszył się może kilka cali do góry. Po chwili wyczerpany opadł z powrotem na ziemię.

– Gdybym nie posiał karabinu w potoku, mógłbym się na nim oprzeć.

Przykucnęłam.

– Proszę objąć mnie prawą ręką i spróbujemy wstać jednocześnie – poleciłam.

Dygocząc, podźwignął się do góry, ale nie dał rady zgiąć nogi w kolanie.

– Zaczekaj. Dasz radę wytrzymać chwilę, aż złapię oddech? – spytał ciężko.

– Tak – odparłam, chociaż wcale nie byłam tego taka pewna. Ale o dziwo podtrzymywanie go w takiej pozycji okazało się łatwiejsze, niż myślałam. Nie ważył wiele więcej niż Dick, mój brat, a przynajmniej tak to zapamiętałam z poprzedniego lata. Powiedziałam mu to, i że lubiliśmy z Dickiem siłować się na trawniku, dopóki mama nie uznała, że młodym damom nie przystoi takie zachowanie i jestem już na to za duża.

– A gdzie on teraz? – zapytał, wciąż ciężko oddychając.

– W zeszłym roku poległ nad Chickamaugą. To w Tennessee.

– A, to wiem – przyznał. – Ale to nie myśmy go zabili. Ja walczę w Armii Potomaku. Nigdy nie byliśmy w Tennessee.

– Nie obwiniam pana. Wiem, że to nie pana wina. – W tej bitwie zresztą poległ też mój drugi brat, Billy, ale uznałam, że nie ma co o tym mówić. Billy był cztery lata starszy od Dicka i nigdy się razem nie siłowaliśmy, chociaż jego również bardzo lubiłam.

Pierwszy raz znalazłam się tak blisko Jankesa i nagle coś sobie uświadomiłam: oni wcale nie wyglądają inaczej niż nasi żołnierze. Ponadto pierwszy raz ktoś spoza najbliższej rodziny obejmował mnie ramieniem.

– Jak się nazywasz? – zapytał.

– Amelia Dabney.

– A ja McBurney... Kapral John McBurney.

– Miło mi pana poznać – powiedziałam.

– Ile masz lat, Amelio?

– Trzydzieści – odparłam. – Czternaście kończę we wrześniu.

– Czyli możesz już się całować. I możesz nienawidzić.

– Jak niby mogłabym pana nienawidzić? – spytałam. – Przecież nawet pana nie znam.

Lekko się uśmiechnął na te słowa. Miał białe zęby, choć przednie były krzywe.

– To wspaniała dewiza – stwierdził. – Przekażmy ją światu, a skończą się te hece. No dobra, to może spróbujemy jeszcze raz...?

Zaczęłam wstawać, dając z siebie wszystko, i podniosłam go nieco. Kucnął i próbował wesprzeć się na zdrowej nodze. Z bólu aż sapał, na czoło wystąpiły krople potu, ale się udało.

– No i proszę – wystękał. – Możemy ruszać do... jak to się zwie?

– Pensja dla młodych dam panny Marthy Farnsworth.

– I tylko z piątką uczennic? A nazwa dłuższa niż lista pensjonarek.

– Inne dziewczynki wróciły do swoich domów – oznajmiłam. – Panna Martha chciała w tym roku zamknąć pensję, ale postanowiła prowadzić ją dalej, kiedy dowiedziała się, że bardzo chcemy zostać.

– Odważnie z waszej strony. Musicie naprawdę mieć smykałkę do nauki.

– Szczerze mówiąc, chodzi głównie o to, że nie miałyśmy gdzie pójść – ciągnęłam, ponieważ liczyłam na to, że w ten sposób odwrócę jego uwagę od bólu. – Mój dom jest w Georgii i matka postanowiła, że będzie dla mnie lepiej, jeśli jakiś czas zostanę tu, w Wirginii... zwłaszcza że wasz generał Sherman jest już tuż pod Atlantą i nie tylko. Właściwie to samo dotyczy pozostałych dziewcząt. Marie Deveraux... najmłodsza z nas, ma dopiero dziesięć lat... jej dom rodzinny jest w Luizjanie, a tam właściwie wszędzie są sami Jankesi. A rodzina Emily Stevenson ma duży majątek w Karolinie Południowej, ale nie ma tam nikogo poza parobkami, ponieważ jej matka umarła, a wszyscy bracia służą w wojsku... i jej ojciec też. A jej ojciec jest generałem brygady. I on prawdopodobnie teraz też jest tutaj w lesie.

– Jeśli ma olej w głowie, nie zostanie tutaj – zauważył McBurney. – Brałem udział w różnych bitwach, ale nigdy w takiej jak ta. To prawdziwe piekło. Zarośla palą się z każdej strony... Popatrz, nawet stąd widać dym.

Przystanęliśmy i spojrzeliśmy za siebie. Dym unosił się nad drzewami po drugiej stronie potoku. Wciąż było słyhać – teraz nieprzerwany – huk dział, a kiedy czasem zmieniał się wiatr, dobiegał nas trzask karabinów i coś, co brzmiało jak przenikliwy śpiew czy jęk.

– To oni tak krzyczą, słyszysz ich krzyki? Zginać od kuli to jeszcze, ale płonąć żywcem, a gdy do tego nie widać nic przed nosem i nie można odróżnić jednego człowieka od drugiego...

– Uciekł pan? – zapytałam.

– Ucieczka to nie najlepsze słowo. Służę w sześćdziesiątym szóstym ochotniczym pułku nowojorskim i mamy tam sporo zaprawionych w boju, a ja tylko zrobiłem jak wszyscy. Z korpusem Hancocka wczoraj wieczorem przekroczyliśmy rzekę. A dzisiaj rano kapitan Weaver nakazał nam stworzyć jeden szereg i ruszyć tą drogą naprzód, to nawet nie droga, tylko błotnista ścieżyna przez las. Nagle trafiło mnie i upadłem, a wszystko zaczęło płonąć... drzewa, krzaki, wszystko... Czołgałem się byle dalej, z godzinę to trwało. Potem zauważyłem otwartą przestrzeń i ten potok w dole zbocza, więc się zsunąłem po wodę.

– A kiedy pan wracał znad potoku, wyszedł po złej stronie – domyśliłam się. – Ale to bardzo proste. Jeśli chce pan tam teraz wrócić, pokażę drogę.

– Nie teraz – zdecydował. – Może później. Kiedy noga przestanie krwawić.

Powoli brnęliśmy przez wystające korzenie i zagłębienia, przystając od czasu do czasu, żeby kapral McBurney odsapnął. Kiedy spojrzałam za siebie, ujrzałam ślady krwi znaczące naszą drogę.

– Pochodzi pan z Nowego Jorku? – zagadnęłam, licząc, że w ten sposób nie pozwolę mu stracić przytomności.

– O nie. – Podniósł głowę. – Pochodzę z Irlandii, z hrabstwa Wexford, i jestem z tego dumny. Powiedz mi coś więcej o pozostałych osobach w tej waszej pensji. Chętnie się dowiem, w co się pakuję.

Naprawdę chciałam powiedzieć coś miłego o Alice i Edwinie, ale nie do końca potrafiłam. Alice w sumie szczególnie mi nie wadzi. Nawet nie jest zanadto złośliwa, o ile się jej nie rozdrażni, no i oczywiście nie można jej winić za takie, a nie inne pochodzenie. Edwina z kolei to zupełnie inna bajka. Większość czasu wręcz ziejże nienawiścią.

– Są jeszcze dwie dziewczyny: Alice Simms i Edwina Morrow. Nie wiem, skąd pochodzi Alice, ale wcześniej mieszkała we Fredericksburgu, który jest może ze dwadzieścia mil stąd, teraz chyba zajęty przez wasze wojska. Ponad rok temu doszło tam do wielkiej bitwy.

– Słyszałem o niej. Wtedy jeszcze siedziałem sobie bezpiecznie

w ojczyźnie, ale opowiadano mi o tym już tu.

– Tak, to było rok temu, w maju, prawie o tej samej porze. Toczyła się tu wielka bitwa, dokładnie w tym lesie, z którego pan wyszedł. I zginął tam nasz generał Jackson.

– O tym też słyszałem – przyznał. – Niektórzy z mojego pułku minionej nocy drugi raz przekroczyli Rapidan.

O jednej rzeczy natomiast nie wiedział. Nigdy nie słyszał, że generał Stonewall Jackson nocami wciąż jeździ na czarnym koniu po tym lesie. Nasza Mattie przysięga, że go widziała. Którejś nocy, minionej zimy, poszła tam z panną Martha i panną Harriet, ale za nic nie chciała nam powiedzieć, czemu panna Harriet i panna Martha też tam poszły i co z tego wynikło. A tylko tyle, że ona i panna Harriet wystraszyły się na śmierć. Panny Marthy oczywiście nic nie ruszyło.

– W każdym razie Edwina ma siedemnaście lat – kontynuowałam. – Jest najstarszą uczennicą w naszej szkole. Pochodzi z Richmond, jej ojciec ma tam skład towarowy. Sprzedaje różne produkty rządowi. Emily, o której już mówiłam, ma szesnaście lat, Alice piętnaście. Niektórzy mówią, że jest bardzo ładna.

– Jeśli jest choć ździebko ładniejsza od ciebie, to znaczy, że jest najprawdziwszą pięknoską. A nauczycielki?

– Panna Martha jest bardzo dobra, a panna Harriet bardzo miła. Panna Martha jest najstarsza, choć nie taka stara. Myślę, że one też kiedyś były bardzo ładne, ale teraz to trudno powiedzieć.

– Lepiej nie dałoby się chyba tego ująć – mruknął McBurney.

Dotarliśmy do Cedar Hill Road, drogi, która oddziela las Farnsworthów od pola kukurydzy.

– Pan może tu chwilę poczeka, a ja zobaczę, co tam się dzieje – powiedziałam. – W tę stronę się jedzie do głównej drogi, w przeciwnym kierunku do rzeki i miejsca, z którego przyszliśmy. Dziś rano stało tu dużo naszych oddziałów i dlatego nie mogliśmy wychodzić.

– Swoi z pewnością by was nie niepokoili.

– Sama nie wiem. Panna Martha mówi, że nie można ufać mężczyznom, a żołnierzom zwłaszcza.

Przez rów wdrapałam się na drogę i rozejrzałam. Nad pustkowiem na północy i wschodzie unosił się dym. Pół mili na południowy zachód, na wysokości domu McPhersonów, pojawiła się chmura pyłu. Wróciłam do kaprała McBurneya, który teraz wspierał się o drzewo po drugiej stronie rowu.

– Lepiej chyba zaczekać – zaproponowałam. – Ktoś jedzie w tę stronę, a do szkoły mamy jeszcze ćwierć mili przez pole.

– Amelio, chyba nie chciałabyś, żeby mnie pojmano? – zapytał, uśmiechając się szeroko, choć przecież ledwie stał na nogach.

– Najpierw trzeba zabandażować nogę – stwierdziłam.

– No pewnie. Potem sobie pójdę i nie będę wam robił kłopotu. Ale teraz chyba lepiej zejść do tego rowu. Nie ma co stać na widoku wszystkim przejeżdżającym.

Pomogłam mu zejść do dość głębokiego rowu. Pochyliliśmy głowy niżej poziomu drogi. Kapral McBurney cały czas otaczał mnie ramieniem. Moim zdaniem nie było to już konieczne, skoro się zatrzymaliśmy, ale nic nie powiedziałam. Z drogi dochodził tętent koni, ale kapral McBurney najwyraźniej wcale się tym nie przejął. Pocałował mnie w ucho. Miał szorstką brodę.

– W życiu mnie nie przekonasz, że nie jesteś najładniejsza w szkole – rzekł czule.

Ośmiu czy dziewięciu jeźdźców, naszych żołnierzy, przegalopowało drogą. Byli brudni jak kapral McBurney i jeszcze bardziej wynędzniali. Grupę zamykał bosonogi chłopiec, który dosiadał jednego z koni zaprzęgowych i ciągnął działko artyleryjskie. Koło lawety zjechało z drogi i znalazło się nad rowem. Minęło nas o włos. Wystraszyłam się nie na żarty, ale McBurney tylko się zaśmiał. Chyba wcześniej nie mówił prawdy, kiedy twierdził, że się boi. Raczej nic go nie mogło przestraszyć. A przynajmniej tak wtedy pomyślałam.

Po chwili zapadła cisza. Znaleźliśmy dogodne miejsce, w którym McBurney

sam mógł wydostać się z rowu. Ruszyliśmy przez pole. Zbliżaliśmy się do domu od tyłu, widziałam z daleka naszą Mattie pochyloną przy grządkach warzywnych.

– Zapomniałam o jeszcze jednej osobie w naszej szkole – zwróciłam się do niego. – To stara dobra Mattie, chyba najmilsza w naszym gronie.

MATILDA FARNSWORTH

Ja to żem ją widziała, jak ona z nim szła z lasu. Zbierałam groszek na obiad i raz po raz zerkałam na dym, by mieć pewność: czy idzie ku nam, czy nie. To dudnienie i huczenie to mi już tak wtedy nie przeszkadzało. Tak to już jest na tym świecie. Jak dość czasu minie, to człowiek prawie ze wszystkim żyć się nauczy.

No, ale wtedy trzeba było ich od razu zatrzymać, a ja żem tego nie zrobiła. Trzeba było iść prosto do niej i powiedzieć: „Panno Amelio, panienska odwraca mi się już zaraz na pięcie i bierze tego kawalera z powrotem tam, gdzie go panienska znalazła”. Później to się zastanawiałam, czemu tak nie zrobiłam. Nie przez to, że był ranny – i to nielekkko – bo dopiero później żem się dowiedziała. No tak, było widać, jak opiera się na naszej dziewczuszce i jak przy niej kica na jednej nodze, ale skąd mogłam wiedzieć, że aż taka krzywda mu się stała.

Najpierw to ja żem nawet sądziła, że on jej kazał się zabrać do nas do domu. Pomyślałam, że może on ją tak trzyma, by ona nie mogła mu uciec. Że może złapał ją tam w lesie i zmusił, by powiedziała, gdzie mieszka – i teraz jej kaze tak iść przy nim, bo wtedy on sam będzie mógł sobie przespiegować, co tutaj jest, a czego nie ma.

Nawet żem pomyślała, że może inni za nim idą, może nawet całe mnóstwo innych takich jak on, że kryją się gdzieś na skraju lasu za drogą i tylko czekają, aż ten pierwszy wejdzie do domu i pośle im sygnał, że reszta już może za nim wejść.

No, to chyba mogę przyznać, żem się go bała – bo taka była prawda. I może to dlatego udałam, że ich nie widzę, odwróciłam się plecami i sobie poszłam, ale to nie tylko dlatego. Bo jeśli bym miała wyznać całą prawdę jak na spowiedzi, to oprócz tego, że się przestraszyłam, jeszcze się trochę ucieszyłam.

Bo czasami to tliła się we mnie taka nadzieja, że oni jednak przyjdą. Że przyjdą i zburzą całe to miejsce, że je rozwalą tymi swoimi armatami, a co zostanie, to potem jeszcze spalą. Pewno, żem nie życzyła krzywdy żadnej z panienek, ale zdarzały się takie dni, w których nic by mnie nie obeszło, co tu z kimkolwiek będzie. A tamten dzień to taki właśnie był.

O, może dałabym radę ich zatrzymać, zanim by doszli do domu. Mogłam na ten przykład powiedzieć pannie Amelii: „Skoro on jest aż tak strasznie ranny, że nie może go panienka zabrać z powrotem do lasu, to niechże go panienka weźmie do mojego starego pokoju, tam w części dla służby. Zawsze mam tam czysto i pozamiatane, przyniesiemy mu z domu jakieś koce i co tam trzeba”.

A panna Martha i panna Harriet pewnie też by na to przystały. Gdyby od razu go tam położyć, to pewnie by mu już tam dały zostać, skoro przecież i tak się w końcu połapały, co z niego za łachudra. A jakby go nie zabrały do domu, to on pewnie z nikim by się nie dał rady spoufalić.

Cóż, sporo żem o tym ostatnio rozmyślała – co mogłam inaczej zrobić albo chociażby się postarać. Ale jednocześnie powtarzam sobie, żem wtedy przecież nie wiedziała tego wszystkiego, co teraz wiem.

Pojęcia nie miałam, ile my w sobie mamy zła, wszyscy. Chyba nikt się za bardzo nie zastanawia, ile zła się może w każdym jednym człowieku nabierać... Jedna krzywa myśl, za nią druga, potem trzecia, aż w końcu ani się człowiek obejrzy i już ma w sobie całą furę takiej nikczemności. Aż w końcu starczy jedno złe słowo i już w nas coś pęka... Może jakaś błaha rzecz, co w spokojniejszym czasie byśmy jej nawet nie spostrzegli, a tak – to się rzucamy głową naprzód i robimy takie rzeczy, co byśmy na Boga Wszechmogącego przysięgali, że w ogóle byśmy ich nigdy w życiu nie zrobili.

O, tak, ja dobrze widziałam, jak oni tu idą, choć potem żem udawała, że wcale nie. Ja ich widziałam, ale nic a nic z tym nie robiłam. Tylko żem zrzuciła groszek z fartucha do koszyka, podniosła i poszła precz do kuchni.

MARIE DEVERAUX

Tamtego popołudnia siedziałam w bawialni; tak przynajmniej większość z nas ten pokój nazywa. Panna Harriet zwykle określa go mianem pokoju dziennego, jak sądzę, dlatego że stale powraca do czasów, gdy wraz z panną Martha były młodsze i tak naprawdę w ich domu pełnił funkcję bawialni. Panna Martha często nazywa go również „światlicą”, a czasem „dużą klasą”. Biblioteka jest „małą klasą”, a salonik panny Harriet, w którym odbywają się lekcje szycia, „klasą na górze”.

Panna Martha poleciła nam zostać w środku, a następnie zaprzęła kuca do powozu i pojechała w stronę głównej drogi po zaopatrzenie. Tak się wydarzyło, zanim w lasach zaczęło się ostre strzelanie. Wcześniej rano po wschodniej stronie dało się słyszeć ogień artyleryjski, a przez całą noc – oddziały i wozy na drodze, lecz tego typu rzeczy działy się ostatnio niestannie, dlatego zdążyliśmy już do nich przywyknąć.

Tak czy inaczej panna Martha nigdy by nie pozwoliła, aby jakaś mała kanonada ją powstrzymała. Rzadko udaje jej się kupić jedną dziesiątą tego, o co prosi – a dość często nie kupuje nic – lecz uparcie jeździ tam co tydzień. Domyślam się, że podoba jej się ta wycieczka, a może po prostu chodzi o spieranie się z panem Potterem, aby wyciągnąć od niego dodatkowy funt soli bądź cukru.

Obecnie bardzo trudno o cukier, chyba że zna się kogoś, kto zarządza blokadą. Gdy ponad dwa lata temu – miałam wtedy zaledwie osiem lat – po raz pierwszy przyjechałam do tej szkoły, przywiozłam ze sobą dwudziestopięcioletni worek cukru i chcę wam powiedzieć, że zostałam przywitana z otwartymi rękami przez część dziewcząt pochodzących z Wirginii. Już w tamtych czasach zaczynało brakować cukru, o czym mój tatuś wiedział, jako że działał w branży cukrowej. Dlatego w naszym gospodarstwie w Baton Rouge kazał przygotować worek, włożył go sobie pod pachę, a mój kufer postawił na ramieniu, po czym oboje wsiedliśmy do

powozu i przybyliśmy do szkoły.

Tak naprawdę nie chciałam jechać, ale i tatuś, i mama nalegali, a Louis, który mógł stanąć po mojej stronie, poszedł z oddziałem Baton Rouge Rifles, dlatego tatuś przyjechał i zabrał mnie praktycznie siłą z Konwentu Urszulanek Najświętszego Serca, gdzie chodziłam do szkoły przez niemal całe moje życie, i wagonami kolejowymi dojechaliśmy do Memphis, stamtąd do Decatur, a następnie do Richmond. Potem tatuś wynajął powóz i przyjechaliśmy tutaj. Ponieważ było to po tym jak generał Lee i generał Jackson sprawili cięgi Jankesom w bitwie pod Manassas, cała ta część Wirginii stała się bezpieczna niczym kościół, czego nie można powiedzieć o Nowym Orleanie, gdyż Jankesi rozrabiali tu ze swoimi kanonierkami, rozstawionymi pomiędzy nim a Mobile, od pierwszego lata wojny. Tak więc przyjechałam do szkoły, przywożąc ze sobą worek cukru. Zabrałam z domu też trochę herbaty i kawy oraz pół funta nasion pieprzu, które trudno dostać nawet w Nowym Orleanie.

Z tego powodu panna Martha i panna Harriet bardzo się ucieszyły na mój widok, podobnie jak większość dziewcząt, z wyjątkiem Edwiny Morrow, której nie sposób zaimponować czymś takim jak cukier czy herbata. Twierdziła bowiem, że jej ojciec ma dostęp do takich produktów przez cały czas. Myślę, że jej tata zajmuje się przemytem albo czymś w tym rodzaju. Od początku wydała mi się osobką pospolitą.

A skoro mowa o cukrze, to pierwszego popołudnia rozmawiałymy o cukierku. Właściwie inne dziewczęta o nim rozmawiały. Nie pozwalają mi tu nic powiedzieć – od razu uciszają mnie, jak dziecko.

Alice Simms jadła i jadła cukierka jak najsmakowitszą rzecz na świecie. Emily i Edwina się jej przyglądały. Ja uczyłam się czasowników łacińskich i ignorowałam dziewczęta. Tak czy owak był to najbrudniejszy stary cukierek, jaki możecie sobie wyobrazić.

– Skąd go masz? – spytała ją w końcu Emily.

– Od wielbiciela. – Alice tylko na to czekała. Wyjęła go z ust i przyglądała mu się, jak cennemu klejnotowi... a przecież był to jedynie kawałek starego, czerwonego cukierka i to wszystko. Gdyby w domu mama złapała Louisa albo mnie z czymś takim, złołaby nam skórę. – Mam ich więcej – dodała. Wyjęła

zza stanika koronkową chusteczkę z koślawymi brzegami, którą zrobiła podczas zajęć szycia panny Marthy. Alice uwielbia trzymać rzeczy między piersiami, jak gdyby wszyscy tutaj zwracali na nie uwagę. Rozwinęła chusteczkę, w której leżały cztery cukierki. Każdy z nich w innym kolorze, jeden brudniejszy od drugiego. – Czyż nie są śliczne? – zachwyciła się, oczekując jednocześnie, że każda z nas zacznie błagać o nie. – A do tego bardzo smaczne.

Nie zanosilo się, że Edwina czy Emily zniżą się do proszenia o słodycze. Alice tak naprawdę nie jest zła. Z całą pewnością jest zdecydowanie najładniejsza w całej szkole (chyba że komuś podoba się typ urody Edwiny) i to nie dlatego, że jakoś wielce dba o swój wygląd.

Panna Harriet zawsze musi jej przypominać, aby obciąła paznokcie albo wyszczotkowała włosy, czasem nawet częściej niż mnie. Nie jest też tak złośliwa jak Edwina ani tak wyniosła jak Emily, ani tak lekkomyślna jak Amelia. Aby zatem oszczędzić jej rozczarowania, poprosiłam ją o cukierka. Dała mi ten najbardziej zakurzony.

– Kimże jest ten twój słynny adorator? – spytała Edwina. – Z pewnością nikt stąd.

– To chłopak z Georgii, spotkałam go po drodze – odparła Alice.

– Ach tak – westchnęła Edwina.

– Tylko raz lub dwa go pocałowałam – zastrzegła Alice. – A potem on dał mi to w prezencie. To był chudy chłopaczek z Georgii, mniej więcej czternastoletni. Musicie wiedzieć, że chciał zapomnieć o wojnie i pójść ze mną za stodołę McPhersona, gdybym tylko wyraziła zainteresowanie. Wtedy jednak pojawił się jakiś stary sierżant, znalazł nas, złapał Andy’ego za kołnierz i zaciągnął z powrotem na drogę. Tego ranka do lasu szły całe zastępy takich. Chłopiec nazywał się Wilkins.

– Sądząc po wyglądzie cukierka, nosił go w tylnej kieszeni od urodzenia – oceniła Edwina.

– Bardzo możliwe – zgodziła się Alice, liżąc go znowu. – Tak czy siak miał go długo. Powiedział mi, że chował cukierki, aby dać je ślicznej dziewczynie, a ja byłam pierwszą, którą spotkał. W istocie byłam też pierwszą, z którą się

całował.

– Mogę się założyć, że pomysł, aby pójść za stodołę McPhersona, także należał do ciebie.

– Nie zaprzeczę.

– Chyba powiem o tym panie Harriet – stwierdziła Edwina. – A może panie Marcie, gdy wróci do domu.

– Śmiało – zachęcała ją Alice. – Powiem jej, że uznałam to za swój patriotyczny obowiązek. Zresztą tym właśnie był, nieprawdaż, Emily?

Ponieważ ojciec Emily jest generałem, niemal zawsze to ją prosi się o rozstrzygnięcie, co jest patriotyczne, a co nie.

– Nie sądzę, aby Alice miała upoważnienie do wypowiedzania się na temat patriotyzmu – oznajmiła Edwina. O ile mi wiadomo, nie ma ani jednego krewnego służącego krajowi, a skoro już o tym mowa, to nie sądzę, aby w ogóle miała jakichkolwiek krewnych czy rodzinę.

Nie było to do końca prawdą i Edwina dobrze o tym wiedziała. Po prostu udawała, że nie wie o matce Alice we Fredericksburgu. Z tego, co mówiono, wynikało, że pani Simms należała do tych pań, które mój ojciec zwykł określać mianem kobiet lekkich obyczajów. Dawniej w domu w taki właśnie sposób nazywał którąś z dziewczyn z Market Street, gdy po kolacji pił w bawialni swoją brandy z przyjaciółmi.

Nie wiem, czy opowieści na temat pani Simms są prawdziwe, czy nie, ponieważ Alice nigdy w rozmowie ze mną nie wspomniała o swojej matce, dlatego wszystko, co o niej wiem, pochodzi z ust pozostałych dziewcząt. Na dobrą sprawę o Alice nie wiem nic poza tym, że jest bardzo biedna, ale panna Martha i panna Harriet pozwalają jej tu mieszkać. Tak czy owak byłam wówczas tak wdzięczna Emily, że miałam ochotę ją uściskać. Choć tak w ogóle ledwie ją toleruję, wtedy rzeczywiście chciałam ją uściskać.

– Alice na pewno ma jakąś rodzinę – orzekła Emily. – Nie tylko ma matkę we Fredericksburgu, o której słyszałam, że jest niezwykle czarującą osobą, lecz również ojca będącego wysokim rangą oficerem, niedawno wyróżnionym z powodu niezwykle odważnej postawy podczas ostatnich walk w okolicach

Chattanooga.

– A gdzie on teraz jest? – spytała Edwina podejrzliwie.

– Został pojmany przez wroga. Czyż nie o tym właśnie pisała ci twoja mama w ostatnim liście, Alice?

W tym momencie wiedziałam już, że Emily zmyśla, ponieważ Alice Simms jest jedyną dziewczyną w całej szkole, która nigdy nie dostaje żadnej poczty. Edwina musiała także o tym wiedzieć, lecz nie chciała wchodzić w spór z Emily. Westchnęła znużona, jak gdyby zwątpiła w nas wszystkie, po czym wróciła do swojej biblijnej historii.

Oczy Alice nabiegły łzami, co dowodziło, że dziewczyna nie jest bez uczuć, lecz zaraz je osuszyła.

– Emily, weź cukierka – poprosiła. – Możesz dostać najczystszy.

Emily z wdziękiem wzięła cukierek, po czym zabrała się do wybierania z niego włosów i kłaczków. Najbardziej z nas dba o czystość. Pod tym względem nieco przypomina pannę Harriet.

– Jest pyszny, gdy tylko przebrnie się przez zewnętrzną warstwę do środka – stwierdziłam, uznawszy, że i ja powinnam dorzucić swoje trzy grosze.

– Jeśli naprawdę wam smakują, dziewczęta, nietrudno będzie zdobyć następne – oznajmiła Alice. – Gdy znów któraś z was wypatrzy na drodze naszych żołnierzy, dajcie mi znać, a ja wyjdę i ich pozdrowię. Gwarantuję wam, że jeśli będą wśród nich pozostający z dala od swoich domów chłopcy, część z nich będzie miała w kieszeniach cukierki.

– Już więcej bym tam nie szła, Alice – powiedziała jej Emily. – Wiesz, że panna Martha nie lubi, jak jesteśmy na zewnątrz, gdy kręci się tu jakiś oddział.

– Masz na myśli wrogi oddział, prawda?

– Jakikolwiek – syknęła Edwina ze swojego kącika. – Tak jak mówi panna Martha, wszyscy obcy mężczyźni są zdolni wyrządzić kobietom krzywdę.

Oczywiście prawdą było, że panna Martha nieustannie przestrzegała nas przed dopuszczaniem żołnierzy bądź innych nieznanym w pobliże szkoły. Nie wiem, czy chodziło przede wszystkim o to, by nas chronić, czy raczej o to, by zapobiec kradzieży małego walijskiego kuca albo Lucindy, starej, biednej

krowy. Tak czy inaczej, mniej więcej o tej samej porze w zeszłym roku, gdy toczyła się wielka bitwa na wschód od nas, blisko domu starego kanclerza, dwukrotnie kilku naszych chłopców weszło na podwórko i poprosiło o wodę... za pierwszym razem, gdy wyruszali na bitwę, za drugim, mniej więcej dzień później, gdy odjeżdżali. W obu przypadkach panna Martha stała przy studni z widłami, pilnując, aby szybko wypili i zmykali stąd. Wszystkie zgodnie uznałyśmy, że było to dość okrutne nawet po tym, gdy ponownie wyjaśniła nam, jak bardzo obawia się, że ci chłopcy zrobią nam jakąś krzywdę.

Zwykle i tak żadni nieznajomi nie zbliżają się do szkoły, ponieważ budynek stoi z dala od głównej drogi do Spotsylvanii. Nawet sąsiedzi bardzo rzadko tu zaglądali, ponieważ panna Martha nie jest uważana za zbyt przyjazną osobę. Zapewniam, że pozostałe z nas też zyskują taką reputację, bo nie wolno nam przebywać ani rozmawiać z nikim z sąsiedztwa. Dawniej któraś z nas mogła czasem pojechać po zaopatrzenie z panną Martha, lecz nawet tego już nam teraz nie wolno. Teraz możemy wychodzić tylko co niedzielę do kościoła episkopalnego pod wezwaniem Świętego Andrzeja. Nie jest to dla mnie szczególna przyjemność, ponieważ tak się składa, że jestem wyznania rzymskokatolickiego i nie do końca zgadzam się ze sposobem, w jaki robią pewne rzeczy w Kościele episkopalnym. Niemniej jednak zwykle i tak chodzę tam co niedziela, po prostu dla zmiany scenerii.

Nawet wojna może się znudzić, jeśli jedyne wieści, które do ciebie na jej temat docierają, pochodzą z listów członków rodziny, a te, w moim przypadku, z miesiąca na miesiąc stają się coraz radsze, gdyż mamie bardzo trudno wysłać list z Nowego Orleanu pomimo znajomości z armatorami, a tacie niełatwo w armii znaleźć czas na pisanie. Tak czy inaczej w minionym roku można było odnieść wrażenie, że wszystkie interesujące wydarzenia wojenne rozgrywają się w całym kraju poza naszym terenem. Taki stan utrzymywał się aż do dnia, w którym działa znowu zaczęły grzmieć, a żołnierze – maszerować wszystkimi drogami naszego hrabstwa.

Obserwowałyśmy ich przez cały ranek zza firanek w pokoju frontowym. Tym razem było ich jeszcze więcej na drodze do Cedar Hill niż w zeszłym roku, poza tym wyglądali na nieco bardziej zmęczonych i obdartych, o ile to

w ogóle możliwe. Nie słyszałyśmy już tyle strzelania i śpiewu, wszyscy poruszali się o wiele wolniej. Sądzę, że wiedzieli, co ich czeka, i nie spieszyli się do tego.

Gdzieś koło południa wydawało się, że wszyscy już przeszli. Gdyby powtórzył się scenariusz, przez dzień lub dwa miałyśmy ich nie zobaczyć. Tym argumentem posługiwała się mała Amelia Dabney za każdym razem, gdy mówiła pannie Harriet, że wie, gdzie rosną grzyby w lesie po naszej stronie strumyka i że to grzech dać im się tam zmarnować, bo przecież się zmarnują podczas ulewy, a wszyscy wiedzieli, że ogień artyleryjski musi sprowadzić deszcz.

Amelia wykorzystała każdą wymówkę, żeby tylko dostać się do lasu. W wolnych chwilach jej ulubionym zajęciem było włóczenie się po okolicy i przyglądanie wszystkim drzewom, kamieniom, ptakom i nie tylko im. Pod pewnymi względami nawet wygląda tak, jakby należała do tego świata, takie z niej, przeciętnej urody, małe opalone stworzenie, które czasem przywodzi mi na myśl wiewiórkę albo wystraszonego jelonka. To dziwne, że w taki sposób o niej myślę, bo choć jesteśmy mniej więcej tego samego wzrostu, jest ode mnie o trzy lata starsza.

Tamtego popołudnia to Alice pierwsza ją zobaczyła, jak wracała z lasu.

– A to dopiero! – krzyknęła Alice. – Czy widzicie dziewczęta to, co ja widzę? Ta mała, nieśmiała Amelia Dabney złapała sobie Jankesa!

ALICIA SIMMS

Po pierwsze, nie mam na imię Alice, lecz Alicia. Mówią na mnie Alice – wszyscy z wyjątkiem panny Harriet – choć na chrzcie dano mi Alicia, na co panna Harriet ma dokument. Czasami naprawdę wierzę, że panna Harriet Farnsworth jest moją jedyną przyjaciółką. Z całą pewnością jest jedyną osobą, którą obchodzi, czy żyję, a o nikim innym tutaj tego bym nie powiedziała.

Myślę, że skoro nie urodziłam się na wielkiej plantacji w Luizjanie czy Karolinie ani w ładnym domku w takich miastach, jak Richmond czy Atlanta, to nie jestem nic warta, nic nie wiem i nigdy niczego nie osiągnę. Jednak nie mają racji. Osiągnę więcej niż one wszystkie razem wzięte. Mam większy potencjał niż którakolwiek z nich... Znacznie większy. Sądzę, że panna Harriet zdaje sobie z tego sprawę, choć nigdy mi o tym nie wspomniała.

Jestem tutaj od trzech lat, od pierwszego lata wojny. Tamtej wiosny wraz z matką pojechałyśmy do Waszyngtonu. Wcześniej jednak przez dłuższy czas mieszkaliśmy we Fredericksburgu w stanie Wirginia, głównie w hotelu Jefferson, który nie należał do najgorszych w mieście, lecz na pewno trudno go było zaliczyć do najlepszych.

Moja matka to najpiękniejsza kobieta na świecie i do tego czasami bardzo miła, lecz posiada dużą wadę, a mianowicie na ogół nie wykazuje się szczególną bystrością. Nie żeby była nieinteligentna, chodzi raczej o to, że nie myśli jasno w chwilach napięcia emocjonalnego. A to – co zresztą moja matka przyznaje – stanowi poważną słabość w przypadku kobiety... Zwłaszcza takiej, która musi utrzymywać siebie i swoją córkę.

Wiosną tysiąc osiemset sześćdziesiątego pierwszego roku mieszkaliśmy więc w hotelu Jefferson. Zajmowałyśmy dwa ładne pokoje na czwartym piętrze, z widokiem na rzekę Rappahannock, a wszystko to na koszt pana C.J. Moody'ego, właściciela hotelu. Mogłybyśmy nadal w nim mieszkać, gdyby pan Lincoln nie postanowił pokrzyżować nam planów, a tym głupcom

z Karoliny Południowej nie przyszło do głowy wypróbować swoich dział w Fort Sumter, no i gdyby małżonka pana C.J. Moody'ego nie stwierdziła, że musi natychmiast wracać z Mobile w Alabamie, gdzie odwiedzała swoją mamę, aby upewnić się, że mężowi nie grozi niebezpieczeństwo.

Pani Moody wracała do miasta pociągiem, korzystając z kolei Richmond, Fredericksburg i Potomak, a że jacyś zwolennicy Jankesów zniszczyli fragment torów kolejowych, dotarła do celu późno. Dawno minęła już północ, gdy powozem przyjechała ze stacji do hotelu, więc pewnie bardzo się zdziwiła, zastając pana C.J. Moody'ego w pokoju mojej matki. Ściany nie są grube w hotelu Jefferson (powinnam raczej powiedzieć „nie były zbyt grube”, ponieważ cały budynek zapewne został zniszczony przez jankeskie armaty), toteż ich kłótnia wyrwała mnie ze snu.

Pan C.J. Moody utrzymywał, że moja matka jest księgową zatrudnioną przez niego pod nieobecność pani Moody, co na dobrą sprawę mogło być prawdą. Mam na myśli to, że choć moja matka nie ma pojęcia o księgowości, to przecież mogła wyrazić chęć nauki tego zawodu, a pan C.J. Moody mógł jej w tym pomóc.

Niemniej jednak moja matka ma chyba to coś, co nie pozwala mężczyznom zbyt długo skupiać się w jej obecności na interesach. No i oczywiście z relacji małżonki pana C.J. Moody'ego wynika, że gdy weszła do pokoju, nic nie wskazywało na to, aby odbywało się tam jakiegokolwiek księgowanie.

W każdym razie następnego ranka wraz z matką udałyśmy się na stację kolejową, aby wsiąść prawdopodobnie do tego samego pociągu, którym pani Moody przybyła do miasta, ponieważ niektóre składy czekały we Fredericksburgu nawet kilka godzin, a następnie ruszyłyśmy w kierunku Waszyngtonu. Rzecz jasna w tamtym czasie wzajemna wrogość jeszcze się na dobre nie zaczęła, dlatego wciąż można było całkiem swobodnie podróżować między stanami Unii a stanami Konfederacji.

Zamierzałyśmy znaleźć mojego ojca. Moja matka wyznała – tak jak wielokrotnie już powtarzała – że dostatecznie długo utrzymuje mnie samodzielnie i nadszedł czas, aby mój ojciec jej w tym pomógł. W minionych latach przeprowadziłyśmy kilka tego typu kampanii poszukiwawczych

w Wirginii i Maryland oraz poza tymi stanami – dotarliśmy nawet do Nowego Jorku – lecz za każdym razem przeszkadzali nam ludzie pokroju pana C.J. Moody’ego. Tym razem jednak moja matka uznała, że będzie szukać z większym zaangażowaniem. Zamierzała udać się bezpośrednio do Departamentu Wojny Stanów Zjednoczonych. W tamtym czasie ani ona, ani ja tak naprawdę nie zdecydowałyśmy jeszcze, czy popieramy Jankesów, czy buntowników.

Wizyta w Departamencie Wojny zdawała się najbardziej logicznym posunięciem. Matka wiedziała bowiem, że mój ojciec był podporucznikiem, miał na imię Clint i nosił brązowe wąsy. I to chyba wszystko, co mogła o nim powiedzieć. Wnioskowała, że obecnie powinien być już co najmniej majorem, a w szykującej się wojnie miał szansę zajść jeszcze wyżej. Dlatego wynajęliśmy pokój w pensjonacie przy G Street i jeszcze tego samego popołudnia udałyśmy się do Departamentu Wojny.

Kilka osób w biurach, w tym generał i dwóch lub trzech pułkowników, okazało się usłużnymi i skłonnymi do współpracy, lecz niezbyt pomocnymi, zważywszy na skąpe informacje, którymi dysponowałyśmy. Wskazywali, że opis poszukiwanego przez nas mężczyzny pasuje do mniej więcej połowy oficerów w armii. Oczywiście nie powiedziałyśmy im, że chodzi o mojego ojca, a jedynie o bliskiego przyjaciela rodziny, którego nazwisko umknęło nam z pamięci. Jediną konsekwencją tej wizyty było otrzymanie przez matkę zaproszenia na kolację od pułkownika dowodzącego grupą inżynierów, przez co do domu przy G Street musiałam wracać sama.

W Waszyngtonie pozostałyśmy aż do lipca, każde popołudnie spędzając na wędrowniach wokół Kapitolu, wizytach na placu defilad, gdzie obserwowaliśmy musztry, czekaniu na stacjach kolejowych, na które przybywały kolejne pułki. Nie wydawało się zbyt prawdopodobne, aby mojego ojca przyłączono na przykład do któregoś z ochotniczych pułków w Ohio czy Indianie, ponieważ w czasie gdy matka go poznała, z całą pewnością służył w regularnej armii. Sądziła jednak, że mógł się teraz zajmować rekrutacją do któregoś z pułków milicji stanowej. Niewątpliwie matka nawiązała przyjaźń z mnóstwem oficerów, jak również z paroma

podoficerami.

W połowie lipca byłam skłonna uznać, że mój ojciec nie żyje albo odszedł z wojska i szczerze mówiąc, w tamtym momencie nie miało to już dla mnie większego znaczenia. Jankesi doszli tymczasem do wniosku, że skoro czeka ich wojna, to czas ją rozpocząć, a na początek spuszcza cięgi rebeliantom w północnej Wirginii. Dowódcą ekspedycji został – znany matce, choć niezbyt dobrze – generał McDowell, który wsiadł na konia i poprowadził całą armię przez Potomak i dalej do Manassas. Mnóstwo dżentelmenów i dam, w tym kongresmeni i senatorowie wraz z żonami i tym podobnymi, spakowało swoje kosze piknikowe, aby rankiem dwudziestego pierwszego lipca wyruszyć na miejsce swoimi powozami, ponieważ zakładali, że wojna zakończy się wielką bitwą i że jeśli jej teraz nie zobaczą, podobna okazja już nigdy się nie powtórzy.

Wraz z matką pojechałyśmy powozem pewnego kongresmena z Iowy. Oczywiście nie jechałyśmy wyłącznie na piknik. Zakładałyśmy, że skoro większość żołnierzy Unii weźmie udział w bitwie, istnieje duże prawdopodobieństwo, że pojawi się tam również mój ojciec.

Cóż, jeśli nawet tam był, nie znalazłyśmy go. A jeśli uciekł, podobnie jak większość Jankesów tamtego popołudnia, to cieszę się, że go nie znalazłyśmy. Ze wzgórza, na którym urządziliśmy piknik, nie widziałyśmy wiele z samej bitwy, lecz oczywiście słyszałyśmy liczne wystrzały z armat i muszkietów oraz mnóstwo okrzyków. Następnie oddziały jankeskie zaczęły wycofywać się drogą, przy której się znajdowałyśmy. Patrzyłyśmy, jak nasi chłopcy ostrzeliwują ich gęsto. Mówię „nasi chłopcy”, ponieważ to właśnie wówczas wraz z matką postanowiłyśmy zdecydowanie opowiedzieć się po jednej ze stron.

Koniec końców okazało się, że całe to zamieszanie przerosło naszego konia. Kongresmen stanął przed powozem i usiłował przytrzymać zwierzę, ale biedaczysko wyrwało się i ruszyło pędem przez pole, uciekając z tego hałasu i dymu i ciągnąc za sobą powóz, a w nim moją matkę i mnie.

W taki oto sposób powróciłyśmy do Skonfederowanych Stanów Ameryki. Byłyśmy w połowie drogi do Warrenton, kiedy koń się zmęczył i wreszcie

mogłyśmy go uspokoić. Wtedy też natknęłyśmy się na żołnierzy z Pułku Kawalerii Missisipi dowodzony przez młodego, przystojnego kapitana. Dowódca kazał jednemu ze swoich ludzi wyprząc naszego konia i chodzić z nim dookoła, aby go nieco uspokoić, podczas gdy sam zajął miejsce w powozie, tuż obok mojej matki i zawarł z nią znajomość. Powiedziała mi, że jesteśmy siostrami podróżującymi z wizytą do krewnych w Richmond.

Następnie kapitan towarzyszył nam do domu swoich krewnych w Warrenton, gdzie spędziłyśmy kilka radosnych dni. Weselili się zwłaszcza moja matka, kapitan i pozostali towarzysze kolacji. Wszystkich w sposób szczególnie rozbawiły opowieści matki o bitwie, na którą rzecz jasna natknęłyśmy się przypadkiem, oraz o uciekających Janekach. Czułam się zmęczona całą tą historią, jako że słyszałam ją kilkakrotnie, dlatego ucieszyłam się, gdy chłopcy z Missisipi dostali nakaz opuszczenia Warrenton i matka postanowiła raz jeszcze wznowić poszukiwania ojca.

W tamtym czasie stwierdziła, że mój ojciec z całą pewnością musi znajdować się gdzieś z Armią Konfederatów. Tę ewentualność powinnyśmy były wziąć pod uwagę od samego początku, ponieważ mnóstwo oficerów zawodowych w momencie secesji opowiedziało się po stronie Konfederacji, w tym sam generał Lee.

Kiedy więc tamtego popołudnia – tego, gdy pojawił się McBurney – Emily Stevenson zasugerowała, że mój ojciec jest wysokim rangą oficerem konfederatów przebywającym w niewoli, mogła mieć rację, choć sama Emily sądziła, że kłamie, wypowiadając te słowa.

Naprawdę nie oczekuję współczucia ze strony Emily ani nikogo innego, choć muszę przyznać, że w niektórych sytuacjach była dla mnie znacznie miłsza niż wiele innych osób. Z wyjątkiem panny Harriet, rzecz jasna.

W odniesieniu do większości pozostałych osób mogę co najwyżej powiedzieć, że nie czuję już do nich takiej nienawiści jak na początku. Po części dlatego, że nauczyłam się niemal całkowicie je lekceważyć, a po części dlatego, że nie ma tu teraz tyle dziewcząt co latem tysiąc osiemset sześćdziesiątego pierwszego roku, kiedy tu przyjechałam.

Musiło tu mieszkać wtedy od dwudziestu do dwudziestu pięciu uczennic,

a mówiono też, że we wcześniejszych latach, zanim zaczęto poważnie mówić o wojnie, było ich więcej – w tym nawet dziewczęta z Północy.

Pensję poleciła nam rodzina, u której zatrzymałyśmy się w Warrenton. Moja matka doszła do wniosku, że znacznie lepiej poradzi sobie z poszukiwaniami mojego ojca, jeśli nie będzie obciążona moją obecnością. Ponadto, choć tego nie powiedziała, sądzę, że obiecała kapitanowi kawalerii spotkanie w Richmond. Moja matka słynęła z przeprowadzania tego typu transakcji tuż pod moim nosem, pozornie nie wypowiadając przy tym ani słowa, załatwiając wszystko westchnieniami, uśmiechami i spuszczonego wzrokiem. Muszę przyznać, że wiele się od niej nauczyłam... Znacznie więcej niż w tej szkole przez cały okres pobytu.

No więc na pensję w Farnsworth przybyłyśmy tamtego dnia w lipcu, kilka dni po pierwszej bitwie pod Manassas. Moja matka przedstawiła pannie Marcie Farnsworth mniej więcej taką samą historię, jaką podzieliła się z kapitanem kawalerii, tyle że tym razem przyznała się do bycia moją matką. Powiedziała pannie Marcie, że pochodzimy z Fredericksburga, podróżujemy do Richmond, gdzie ma przejąć spadek, za kilka tygodni wróci, aby mnie odebrać oraz zapłacić za moje chesne i utrzymanie. Na osobności powiedziała mi mniej więcej to samo, z tym że zamiast spadku, zgodnie z obietnicą poczynioną przez pewnego dżentelmena z Richmond miała uzyskać sporą pożyczkę w dogodnym dla siebie momencie. Tak więc jeszcze tego samego dnia odjechała powozem kongresmena. I nigdy nie wróciła.

Sądzę, że zarówno panna Martha, jak i panna Harriet od początku do pewnego stopnia przeczuwały dalszy ciąg tej historii. Wiem, że panna Martha chciała, abym wyjechała już na samym początku, ponieważ – jak to ujęła w podsłuchanej przeze mnie rozmowie z panną Harriet – czuła, że mam nieodpowiedni wpływ na szkołę, pomijając fakt, że nie wnoszę żadnych opłat. Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, jak miałabym wywierać jakikolwiek wpływ, ponieważ ani w tamtym czasie, ani nigdy wcześniej prawie w ogóle nie miałam kontaktu z pozostałymi dziewczętami. Chyba że sam mój wygląd był nieodpowiedni.

Niemniej jednak panna Harriet konsekwentnie broniła mnie z właściwym

sobie spokojem. Zwykle zdanie panny Harriet na większość tematów ma niewielkie znaczenie dla panny Marthy. Wygląda na to, że panna Martha zawsze podejmuje decyzję, zanim panna Harriet zacznie mówić, i żadne jej słowa nie mogą tej decyzji zmienić. W moim przypadku jednak należało uwzględnić jeszcze jeden czynnik. W czasie wojny toczącej się w tej części Wirginii liczba zapisów malała do tego stopnia, że szkoła po prostu nie mogła sobie pozwolić na utratę kolejnych uczniów czy to płacących, czy nie. Chodzi o to, że jeśli chcesz prowadzić pensję, musisz mieć uczniów. A przy takiej liczbie dziewcząt rezygnujących z własnej woli zmuszanie którejkolwiek do odejścia nie miało sensu... Nawet jeśli tą dziewczyną miałam być ja.

Wiele razy rozważałam możliwość odejścia, zwłaszcza wtedy, gdy miałam szczególnie duże kłopoty z panną Martha. Jestem dość niezależną osobą i większość daje mi więcej lat, niż mam, więc nie obawiam się tego, że nie zdołam się utrzymać. Nie najlepiej dogaduję się z kobietami, to prawda, lecz z mężczyznami... Z czasem jednak będę sobie radzić równie dobrze jak moja matka. Gdy nocą dopadają mnie tego typu myśli, często w moim pokoju zjawia się panna Harriet, która mnie uspokaja i prosi o cierpliwość, mówiąc, że choć być może sobie tego nie uświadamiam, ona również ma problemy, a moja obecność działa na nią kojąco, podobnie jak jej obecność wpływa na mnie.

Mam osobny pokój na drugim piętrze. Niegdyś to pomieszczenie wykorzystywano jako komórkę. Gdy pojawiłam się w szkole, było to zapewne jedyne wolne miejsce, ponieważ niewątpliwie panował tu tłok. Teraz oczywiście na innych piętrach jest mnóstwo miejsca. Żadna z dziewcząt nie dzieli z nikim pokoju, chyba że chce. Amelia i Marie, najmłodsze, mają wspólny pokój, lecz Emily i Edwina mieszkają osobno. Dla mnie to jednak bez znaczenia. Nie dołączyłabym teraz do żadnej z nich, nawet gdyby mnie o to błagały.

Istnieje jeszcze jeden powód, dla którego zostaję, a mianowicie jest to miejsce, w którym moja matka mnie zostawiła, tylko tu może się ze mną skontaktować. Na ogół chciałabym, żeby wróciła albo przynajmniej napisała. A czasami mam nadzieję, że to nie nastąpi.

Tamtego popołudnia rozmyślałam nad tego typu sprawami, jedząc cukierka,

którego dał mi Andy Wilkins. Naprawdę źle się czułam, że go biorę, chociaż w życiu bym się do tego nie przyznała przed dziewczętami, przez to, że on go przywiózł aż z Georgii. Prawdopodobnie zachował tego starego cukierka, aby zjeść go w chwili, w której przyniesie mu największe pokrzepienie. Cóż, mam tylko nadzieję, że to, co dostał w zamian, też go pokrzepiło.

Właśnie wyglądałam przez okno, gdy ujrzałam Amelię z McBurneyem.

EMILY STEVENSON

Gdy Amelia go wprowadziła, sprawiał wrażenie bliskiego śmierci. W pierwszej chwili uznałam, że jest niewiele wyższy od Amelii, a to osoba budowy raczej drobnej. Gdy jednak z czasem dane nam było go poznać, wydał się nieco potężniejszy.

Podskakiwał na jednej nodze, a drugą trochę ciągnął, a trochę na niej stawał. Amelia promieniała, jakby po raz pierwszy w życiu zrobiła coś, jak należy.

– Witam, drogie panie – odezwał się z uśmiechem, który wydał mi się raczej żaloszny. Następnie dokuśtykał do kanapy i padł na nią.

Boże, pomyślałam, skoro wszyscy oni są tak słabi i bezbronni, to dlaczego pokonanie ich zajmuje nam tyle czasu? Przeszło mi przez głowę, by wspomnieć o tym ojcu w następnym liście. Wiedziałam, rzecz jasna, że ojciec ma z nimi mnóstwo roboty – ich żołnierze są zresztą lepiej karmieni i odziani niż nasi – brak im jednak ducha czy też poczucia wspólnego celu, który łączy naszych chłopców, i dlatego też ostatecznie przegrają. Wszyscy nasi chłopcy to rodowici obywatele Konfederacji, podczas gdy na armię unionistów składają się cudzoziemcy, imigranci, a teraz powiadają, że nawet Murzyni i Bóg wie co tam jeszcze. Zupełnie jak to stworzenie, które przywiodła Amelia – ewidentnie pochodzące z Irlandii czy też jakiegoś innego obcego miejsca w tym rodzaju. Co prawda u nas w Charleston też mieszka sporo przyzwoitych Irlandczyków, chociaż to cokolwiek biedniejsi ludzie, ale przynajmniej są to rodowici mieszkańcy Południa, a nie zupełnie obcy, których opłacono lub omamiono, by wzięli udział w cudzych konfliktach.

– On nie umarł, prawda? – krzyknęła Amelia i podbiegła do kanapy. Najwyraźniej już postanowiła, że doda tego Jankesa do kolekcji drobiazgów znalezionych w lesie – kamieni, liści, motyli i żuków – którą trzyma w swoim pokoju na nieszczęście nas wszystkich, szczególnie jednak panny Harriet, która

jest osobą raczej bojaźliwą i jak pamiętam, doznała przy pewnej okazji potężnego szoku, gdy w słoiku po ogórkach pod łóżkiem Amelii znalazła olbrzymiego pająka. Tak czy owak, panna Harriet zebrała się na odwagę i poszła z Amelią w miejsce dostatecznie oddalone od szkoły, gdzie Amelia wypuściła pająka na wolność. Nawet panna Harriet nie dopuściłaby myśli o zabiciu pająka, co wskazuje, że jest ona nieco łagodniej usposobioną osobą niż panna Martha, która bez dyskusji natychmiast rozgniotłaby go stopą. No ale najwyraźniej na świecie, nawet w naszej szkole, jest miejsce dla różnych dziwaków. Amelia z czasem zapomniła o swoim ukochanym pająku i wzięła się do gromadzenia innych zwierzątek. Jestem przekonana, że kiedy w domu pojawił się McBurney, z jedno czy dwa takie trzymała u siebie w pokoju.

Wyglądał, jakby to była jego ostatnia chwila. Twarz miał białą jak płócienny pokrowiec na oparciu kanapy. Przyjrzałam mu się dokładniej i spostrzegłam, że nadal oddycha, ale bardzo szybko i płytko. Potrzebował natychmiastowej pomocy lekarskiej, a i tak wydawało się mało prawdopodobne, byśmy mogli cokolwiek dla niego zrobić.

– Krwawi mu z nogi prosto na perski dywan panny Marthy – odezwała się Edwina, która zawsze jako pierwsza zauważa i zgłasza tego typu rzeczy.

– Da się to sprać wodą z mydłem – odparłam. – Ale teraz nie będziemy się tym przejmować. Amelio, zawołaj z kuchni Mattie. Marie, znajdź pannę Harriet.

Marie i Amelia posłuchały mnie, choć niechętnie. Panna Martha i panna Harriet poniekąd polegają na mnie, bym doglądała porządku pod ich nieobecność, ja zaś staram się, jak mogę, spełniać ich życzenia, chociaż zdaję sobie sprawę, że niektórym dziewczętom to nie odpowiada. Oczywiście strasznie to nie odpowiada Edwinie Morrow, ponieważ jest starsza ode mnie o rok i przebywa tutaj najdłużej z nas. Rzecz jasna to nie do końca jej wybór. Edwina, podobnie jak Alice Simms, nie ma dokąd pójść. Nie ma bliższych krewnych poza ojcem, który jest zbyt zajęty wciskaniem naszym biednym władzom tandetnego towaru, by jeszcze zajmować się taką córką jak Edwina.

Na stole leżał stary egzemplarz „Southern Illustrated News”. Rozłożyłam gazetę na kanapie, po czym zabrałam się do układania na niej nóg naszego

jeńca.

– Wydaje mi się, że w tej gazecie jest kilka wierszy Edgara Allana Poeego, które panna Harriet chciała zachować – zauważyła Edwina.

– Jestem pewna, że woli poświęcić gazetę aniżeli kanapę – odparłam. – A teraz nie gadajcie i niech mi która pomoże równo go położyć.

Był wówczas ledwie przytomny, ale z pewnością nas słyszał. Powoli przesuwając wzrokiem z Alice na Edwinę i z powrotem na mnie, bezgłośnie prosząc o pomoc. Autentycznie w tym momencie poczułam żal, widząc, jak ucieka z niego życie. W miejscach, gdzie jego piegowatej twarzy nie pokrywał brud, widać było, że przybrała szary kolor, siniejące usta robiły się tak niebieskie jak jego oczy.

Alice nalała trochę wody do szklanki i mu ją przyniosła, nie dał rady jednak rozchylić warg na tyle, by się napić. Kiedy Alice spróbowała go napoić, woda ułała mu się jak noworodkowi.

– Spróbuj w ten sposób – odezwała się Edwina. Zanurzyła w szklance chusteczkę, po czym delikatnie, kropla po kropli, wycisnęła wodę między wargi mężczyzny.

– To chyba dobry materiał, prawda? – spytałam.

– Chiński jedwab. Ojciec przywiózł mi z Szanghaju z jednej z wypraw handlowych – stwierdziła.

Osobiście wątpiłam, by jej ojciec kiedykolwiek wyprawił się do Chin czy też odbył jakąkolwiek podróż dalszą niż – o ile to, co mówili, było prawdą – częste wycieczki w górę i w dół rzeki jeszcze przed wojną. Sama zazwyczaj nie rozpuszczam plotek, ale jedna z dziewcząt, które w tym roku nie wróciły na pensję – bodajże Leonore Fairchild albo Martha Willis – podawała jako niepodważalny fakt, że przez kilka lat ojciec Edwiny Morrow zajmował się grami karcianymi w salonie na pokładzie „Memphis Queen”, że kilka razy spuszczone mu manto, a raz wrzucone do Missisipi w związku z zaistniałymi przy tej działalności nieprawidłowościami. Nie zmieniało to jednak faktu, że chusteczka była bez dwóch zdań pierwszej jakości i muszę przyznać, że sama dobrze bym się zastanowiła, nim zamoczyłabym ją w wodzie, by ulżyć unioniście.

– Bardzo sprytnie to wymyśliłaś, Edwino – przyznałam. Zazwyczaj staram się ją komplementować przy każdej okazji, acz Bóg mi świadkiem, że nie zdarza się to często. – Tylko nie podawaj mu wody zbyt prędko, bo jeszcze się nam zakrztusi na śmierć, nim zdąży się wykrwawić – przestrzegłam ją.

Powróciła Amelia Dabney, ciągnąc za sobą starą Mattie, która w fartuchu miała pełno grochu, bo akurat właśnie go łuskała. Biedna Mattie zerknęła tylko na postać na kanapie, po czym wydała przeraźliwy wrzask i rozsypała cały groch po podłodze.

– Zgubę ściągnęłyście na ten dom, moje małe! – krzyknęła. – Zabierzcie go stąd! Zabierzcie tę kreaturę tam, skąd ją wzięłyście! Niech szuka pomocy u swoich. To nie nasze zmartwienie.

– Nikogo od nich nie było w pobliżu – odparła hardo Amelia. – Został sam.

– Tak czy owak, zabierzcie go – nalegała Mattie. – Zabierzcie go gdzieś i niech sobie umrze z dala od tego domu. Nie dajcie mu wyzionąć ducha w bawialni, bo zaraz Jankesi zaczną dobijać się nam do drzwi i oskarżać, że to myśmy go zabiły.

– Nikt nas nie będzie o nic oskarżał, droga Mattie – zapewniła kojącym głosem Alice. – O tym, że tu jest, nie wie nikt oprócz nas i Boga. A Pan pewnie przysłał go wprost do nas, abyśmy to my się nim zajęły. My wszystkie, Mattie, co oznacza, że ty też.

To wystarczyło, by ją uspokoić. Sądzę, że już sama sugestia, że Pan prosił ją, by dopomogła w Jego poczynaniach, wystarczyłaby, by Mattie pomaszerowała wprost na armaty, które łomotały pod lasem swym piekielnym chórem.

– Gdzie jest panna Harriet? – spytała Mattie, ośmielając się dokładniej przyjrzeć naszej zdobyczy.

– Sądzę, że ucięła sobie drzemkę – odparłam. – Już poszła po nią Marie.

– Jeśli cokolwiek można dla tego chłopca zrobić, to trzeba to zrobić biegusiem – orzekła Mattie, dotykając jego brwi. – Choć nie zdziwię się, jeśli i na to będzie już za późno.

W tym momencie chyba wszystkie wybuchłyśmy płaczem, Alice, Amelia

i ja, a nawet Edwina, jak widziałam, uroniła łezkę czy dwie.

– Spokojnie, dziewczęta – odezwałam się. – Opanujcie się. To zupełnie naturalne, że jest nam go szkoda, ale wcale nie jest mu gorzej, niż gdyby Amelia w ogóle go nie znalazła.

– Zgadza się – przyznała Amelia, której przyszło do głowy coś nowego. – A może to też jest część boskiego planu. Może właśnie mamy nie móc nic dla niego zrobić. Może miałam go tylko znaleźć i tu przyprowadzić, i tyle. – Żywy lub martwy, dla Amelii pozostawał ciekawym okazem, który znalazła w lesie.

– Dlaczego nie ma tu panny Harriet? – spytała Mattie, dołączając do grona rozpaczających. – Dlaczego tej biednej panienci wciąż nie ma?

– Już idzie – oznajmiła mała Marie Deveraux, wchodząc z powrotem do bawialni. – Potrzebowała tylko chwili, by się nieco oporządzić. Widziałam, jak szczypała się w policzki, by przywrócić im kolor, no i nałożyła trochę kopciu na to swoje siwe pasemko. Chyba wyszła z założenia, że niecodziennie gościmy w tym domu mężczyznę.

HARRIET FARNSWORTH

Teraz sobie przypominam, że minęła dłuższa chwila, zanim wieści przyniesione przez pannę Marie Deveraux zdołały przeniknąć do mojego oziębiałego umysłu. Straszliwy ból głowy po lekcji szycia zagnał mnie do łóżka i w pierwszej chwili sądziłam, że panna Marie po prostu opowiada mi o jakichś wytworach swojej dziecinnej wyobraźni. Młodsze dziewczęta mają do tego szczególną skłonność i od czasu do czasu płatają mi drobne żarty, wiedząc, że mogą liczyć na moje dobre usposobienie. Toleruję najróżniejsze wybryki, na które moja siostra absolutnie by nie pozwoliła. Martha twierdzi, że przez taką pobłażliwość dziewczęta tracą do mnie szacunek. To oczywiście niewykluczone, ale czasami myślę, że dzięki temu darzą mnie większą sympatią.

– Dobrze, panienko Marie, spojrzę na tego więźnia – powiedziałam, wstając z łóżka. – Ale jeśli okaże się, że to tylko kolejna psota, to będziesz musiała obejść się dziś bez kolacji.

Doprowadziłam się nieco do porządku i narzuciłam na ramiona czarną koronkową mantylę – tę, którą ojciec przywiózł mi z wojny meksykańskiej – po czym zesłam po schodach za zuchwałą małą panną Deveraux.

Muszę jednak przyznać, że trochę się spodziewałam zastać w bawialni jakiegoś gościa, krewnego któregoś z dziewcząt – może brata albo ojca, który zatrzymał się tu w drodze na pole walki. Bitwa przybierała na sile w przerażającym tempie, sądząc po odgłosach artylerii, choć wciąż była jakąś milę od nas, może nawet nieco dalej. „To odległość stanowczo zbyt wielka, by zabłądził tu w nasze lasy jakiś ranny maruder”, myślałam. A jednak. I sądząc po jego wyglądzie, dalej już z całą pewnością nie zdołałby dotrzeć.

– Ale nadal żyje, panno Harriet – powiedziała Alice Simms, jakby to zapewnienie miało zagwarantować ów stan rzeczy. – Widzi pani, jak jego oddech zaparował moje lustro?

Nadstawiła nad jego półotwarte usta tanie kieszonkowe lusterko – pamiątkę po swojej nieszczęsnej matce – po czym podsunęła mi je do obejrzenia.

– Z tej rany na jego nodze nadal sączy się krew – wtrąciła praktyczna Emily Stevenson. – To zapewne oznacza, że serce ciągle pracuje, choć kilka razy badałam jego żebra i nie udało mi się wyczuć uderzeń.

– To są sprawy przekraczające moje doświadczenie – oznajmiłam. – Ale oczywiście musimy zrobić wszystko, co w naszej mocy, przynajmniej do powrotu panny Marthy.

Już sobie wyobrażałam, jak zareaguje Martha, kiedy tylko go ujrzy. Wiedziałam doskonale, co powie o sprowadzaniu zagrożenia na nasze podopieczne i o takim naruszaniu zasad bezpieczeństwa. Ale do czasu jej powrotu to na mnie spoczywała odpowiedzialność za pensję, więc postanowiłam dołożyć wszelkich starań, by temu zadaniu sprostać.

– Dziewczęta, niech któraś z was pobiegnie do mojego pokoju i przyniesie koszyczek z przyborami do szycia. Mattie, czy mamy jakieś stare płótno?

– Ja nic nie wiem, żeby jakie płótna jeszcze były w tym domu – orzekła Mattie. – Jak czasem chcę tu kurze zetrzeć, to muszę łuską kukurydzy czyścić, bo szmatki żadnej nie mam. Sama pani wie, że panna Martha większość pościeli i poszewek oddała tym paniom, co zbierały płótna na bandaż.

– W takim razie niech będzie adamaszkowy obrus z bieliźniarki – postanowiłam. – Idź po niego, Mattie.

– Pani babunia go jeszcze z Tidewater przywiozła! – wykrzyknęła przerażona Mattie. – I Pan Bóg jeden wie, od ilu lat ten obrus jest w rodzinie. Krwią wroga chce pani go brudzić, panno Harriet? Pannie Marcie to się ani trochę nie spodoba.

– Przynieś – powtórzyłam. – Wyjaśnię to pannie Marcie, kiedy wróci.

Czasami sama jestem zaskoczona, jak wielką determinacją potrafię się wykazać, gdy wymagają tego okoliczności. Oczywiście łatwiej mi to przychodzi, jeśli Marthy nie ma w pobliżu.

Mattie bez dalszych protestów przyniosła obrus, a Amelia zbiegła na dół z moimi przyborami do szycia. Wyjęłam nożyczki, wzięłam głęboki oddech

i zaczęłam rozcinać nogawkę spodni mężczyzny. To było przerażające. Od kostki niemal po kolano ziała poszarpana krwawa rana, na łydce odsłaniająca kawałek kości. W kilku miejscach tkwiły odłamki ciemnego metalu.

– Panna Martha będzie musiała się tym zająć – wycedziłam przez zęby. – Ja nie mam kwalifikacji. Dziewczęta, jeśli któraś zamierza mdleć, to proszę iść to zrobić gdzie indziej.

Pocięłam obrus na pasy i obwiązałam nimi nogę nad kolanem najciaśniej, jak potrafiłam, i poprosiłam Emily, która była najsilniejsza, by pociągnęła za jeden koniec materiału, podczas gdy ja mocno chwyciłam drugi.

– To powinno nieco powstrzymać krwawienie – wyjaśniłam. – O ile została w nim jeszcze jakaś krew.

Następnie ruszyłam do szafki z winem. Martha zazwyczaj zamyka ją na klucz, bo w przeszłości bywało, że niektóre uczennice lubiły sobie podkraść łyżeczek sherry po południu, choć oczywiście bardziej dla psoty niż z jakiegokolwiek innej przyczyny. Na szczęście znałam sposób na otwarcie szafki ostrzem nożyczek i ku swojej wielkiej radości odkryłam, że za sherry kryje się jeszcze pół butelki brandy śliwkowej, którą ojciec Marie Deveraux przysłał nam na Boże Narodzenie dwa lata temu, a ja zdążyłam o tym całkiem zapomnieć. Nalałam sobie małą szklaneczkę trunku, żeby powstrzymać drżenie rąk, a następnie zaniósłam nieco temu biedakowi wyciągniętemu na sofie. Dziewczęta stały wokół i obserwowały z wielkim zainteresowaniem, jak delikatnie wlewam mu kropelkę do ust.

– Tylko się zakrztusi – zawyrokowała Edwina. – Tak było, kiedy Alice próbowała podać mu wodę.

– Brandy może odnieść inny skutek – oznajmiła mała Marie. – Po jego sposobie mówienia zgaduję, że to Irlandczyk, a ten naród wykazuje się wielkim zamiłowaniem do mocnych trunków. Pan Patrick J. Maloney, który przez chwilę pracował jako nadzorca w naszym domu, zanim napadli nas Jankesi, często powtarzał, że ma dziewięć życ jak kot, a gdyby zdarzyło mu się umrzeć, możemy go przywrócić do życia gorącą whiskey z miodem, ulubionym napitkiem mojego ojca. Bardzo żałuję, że nie miała pani okazji spróbować tej whiskey, panno Harriet. Jestem przekonana, że przypadłaby pani do gustu.

– Whiskey to nie napój dla dam – poinformowałam ją ostro. Zamierzałam dodać coś jeszcze, ale ona jak zwykle patrzyła na mnie tak niewinnie, że jej darowałam. Muszę przyznać, że z wielkim zdumieniem obserwowałam, z jaką fascynacją te dziewczęta wpatrują się w umierającego mężczyznę i jego potworną ranę. Gdy ja byłam młodą panią, wystarczał mi widok palca zranionego cierniem, bym zaczęła słać się na nogach, ale te uczennice nie przejawiały takiej wrażliwości w najmniejszym nawet stopniu. To chyba jedna z nieprzewidzianych krzywd, jakie wyrządziły nam te trudne czasy – nawet tak młode dziewczęta musiały prędko okrzepnąć.

Nalałam kolejną szklaneczkę śliwkowej brandy, wypiałam jeszcze odrobinę i znów z wielką ostrożnością podałam resztę rannemu. Jeśli niosło mu to jakąkolwiek ulgę, to na razie efektów nie dało się zauważyć, lecz przynajmniej przełykał i się nie krztusił.

– A teraz, panienci, proszę się odsunąć – zakomenderowałam. – Dajmy biedakowi odetchnąć chociaż tą odrobiną powietrza, która jeszcze została w tym upale. Jeśli ma tu umrzeć, to niech będzie mu chociaż wygodnie, na ile to możliwe.

Dziewczęta posłusznie zrobiły krok w tył. Marie zachichotała nerwowo, a Emily ją zrugła. Amelia i Alice zrobiły najbardziej zbolące miny; pierwsza, jak się domyśliłam, ponieważ wyglądało na to, że straci swoje trofeum, a druga, gdyż podobnie jak jej nieszczęsna matka zaczynała wierzyć, że utrata jakiegokolwiek mężczyzny pomniejsza cały kobiecy świat. Ciekawe, czy Alice lub jej matka słyszały kiedykolwiek o poezji Johna Donne’a.

Wtedy zauważyłam, że wszystkie panienci mają łzy w oczach, włączając Edwinę Morrow, jedyną z dziewcząt, w której nigdy nie spodziewałam się znaleźć choć śladu współczucia dla innych. Ona jednak zauważyła, że jej się przyglądam i zamrugła prędko, by powstrzymać wzbierające łzy. A potem się uśmiechnęła i puściła do mnie oko.

EDWINA MORROW

A to stara, zapijaczona wściubinoska... durna moczymordka! Pewnie sądziła, że nie wiem, co się święci, ale była w błędzie. Jeżeli o to chodzi, to jestem pewna, że wszystkie dziewczęta w szkole wiedziały o częstych wyprawach panny Harriet Farnsworth do kredensu z winem, wcześniej zaś do piwniczki, w której składowane są większe jego zapasy. Powiedziałam „wcześniej”, przypuszczam bowiem, że zapas, jaki ojciec panny Harriet zgromadził tam przed laty, został już zapewne wyczerpany. Tak czy siak, nie widziałam ostatnio, by panna Harriet się tam przekradała, lecz oczywiście może to wynikać z tego, że jej siostra założyła na drzwiach do piwnicy nową kłódkę, a panna Harriet wciąż nie wpadła na sposób, jak ją otworzyć. Nie żeby zapasy wina lub też ich brak jakkolwiek wpływały na uczennice, bo nigdy go nam nie podawano, najwyżej czasami w Boże Narodzenie, gdy dostawały go te, które nie pojechały na święta do domu.

Zresztą którejś Wigilii, kiedy wraz z panną Harriet siedziałyśmy same przy kominku w bawialni, bo panna Martha i stara Mattie poszły już do łóżek, wypiliśmy całkiem sporo winka. Jak pamiętam, była to pierwsza zima wojny. Miałam wówczas czternaście lat i pewnie panna Harriet uznała, że łatwo rozwiąże mi język, polewając wina, dzięki czemu dowie się o mnie tego, czego nie wie i czego nigdy dowiedzieć się by nie mogła!

Popełniła wtedy wielki błąd. Nie zdawała sobie sprawy, że picia wina zdążyłam się nauczyć w bardzo młodym wieku. Już jako sześć- czy siedmiolatkę ojciec sadzał mnie na kolanie w różnych klubach i gospodach czy salonach na pokładzie parostatków pływających z Saint Louis do Nowego Orleanu, po czym wlewał we mnie wino, jakby to było matczyne mleko. Po części był to pewnie wyraz czułości, po części zaś chciał mnie uciszyć, aby się skupić na bardziej interesujących sprawach.

Tak czy owak, tamtego wieczoru wigilijnego wciąż zachowywałam trzeźwość, podczas gdy droga panna Harriet dawno zaczęła kiwać głową,

bełkotać i rozlewać sherry na podolek. Pragnęła, bym jej opowiedziała o moim wcześniejszym życiu z ojcem, o miejscu pobytu matki i w ogóle o mojej rodzinie, czyli o tym wszystkim, czego same wraz z siostrą nie były w stanie ze mnie wyciągnąć przy okazji wcześniejszego przesłuchania. Ponownie nic jej nie zdradziłam, zarazem jednak sama znacząco wzbogaciłam własną wiedzę o niej, które to informacje z wielką chęcią ujawnię wszelkim zainteresowanym, nie pobierając za to opłat.

Siostry Farnsworth wiedzą o mnie praktycznie tyle, ile wiedziały w dniu, kiedy się tu pojawiłam. Czyli że noszę dobre nazwisko, że listy polecające – w tym jeden podpisany przez ważnego gubernatora i inny od dżentelmena, który obecnie zasiada w gabinecie pana Davisa^[1] – przedłożyłam wyśmienite, bez względu na to, w jaki sposób zostały one zdobyte, a moje pieniądze są bez zarzutu.

Moje kształcenie zawsze było opłacane z góry, czego – ośmielę się twierdzić – nie można powiedzieć o rachunkach pozostałych dziewcząt. Przybywając tu przed czterema laty, przywiozłam ze sobą kwotę wystarczającą do pełnego zadbania o moje potrzeby przez okres o wiele dłuższy niż ten, który planowałam tutaj spędzić. Kiedy po raz pierwszy weszłam do budynku pensji, wyszywaną indiańskimi paciorkami torebkę wypełniały mi po brzegi złote dolary federalne, do których panna Martha Farnsworth, o czym niebawem się przekonałam, miała szczególną słabość.

Zważywszy więc na znakomite referencje, ciągle mi tu wszyscy ustępują. Mimo że wszystkie dziewczęta mnie nienawidzą, a siostry Farnsworth darzą mnie tylko nieco cieplejszym uczuciem, i tak jestem tutaj traktowana z ogromną uprzejmością, przynajmniej przez pannę Marthę i pannę Harriet. Kiedy po kolacji zostaje dodatkowa porcja przyrządzonego przez Mattie deseru czy też przy śniadaniu trochę bekonu (odnoszę się teraz do przeszłości, od pewnego czasu bowiem bekonu nie mamy w ogóle), zazwyczaj to mnie w pierwszej kolejności się go proponuje.

Tak, panna Martha bez dwóch zdań reaguje słabością na widok i dźwięk złotych monet. Jakiegokolwiek ożywienie w jej oczach dostrzegam tylko wtedy, gdy dwa razy do roku stawiam na jej biurku niewielki słupek złotych

dwudziestodolarówek. Zupełnie jakby to była jedyna rzecz mogąca jej sprawić w życiu przyjemność.

– Proszę, panno Martho – zwracam się do niej czasami przy tych okazjach. – Mam nadzieję, że uczucia patriotyczne nie przeszkodzą pani w przyjęciu jankeskich pieniędzy. Jeśli tak, to z chęcią udam się do sklepu czy do banku i spróbuję przekonać jakiegoś dżentelmena, by wymienił mi je na banknoty Konfederacji. Albo może woli pani poczekać, aż mój ojciec będzie miał sposobność przesłać mi nieco naszych własnych środków płatniczych.

– Och, nie, Edwino – odpowiada zawsze panna Martha. – Nie będę cię tak kłopotać. Poradzimy sobie.

Bo widzicie, ten patriotyzm w dzisiejszych czasach to niełatwa sprawa. Kiedy o nim wspominam, panna Martha tak naprawdę nigdy nie wie, czy się z niej naigrawam, czy nie. Rzecz jasna, jestem przekonana, że panna Martha ma w sobie tyle patriotyzmu, co stara krowa na pastwisku. W rzeczywistości pewnie nawet jej nie obchodzi, kto tę wojnę wygra, o ile tylko rezultat nie dotknie jej osobiście. Najbardziej by chciała, żeby to wszystko tak czy inaczej już się skończyło, dzięki czemu liczba uczennic wróciłaby do normy, a do pensji Farnsworthów ponownie popłynąłby strumień pieniędzy.

Zdaję sobie sprawę, że panna Martha, podobnie jak wszystkie uczennice, oddałaby wszystko, żeby wiedzieć, ile mi zostało pieniędzy. Jestem pewna, że parę razy ktoś przeszukał mój pokój. Uczyniono to, rzecz jasna, bardzo sprytnie, za każdym razem niemal wszystko odkładając na swoje miejsce, z tym że przy pierwszej rewizji książka na mojej szafce nocnej zmieniła położenie, za drugim zaś zniknęła czarna nitka, którą zawczasu zawiesiłam na gałce szuflady komody.

Tak czy siak, nie mam już tylu złotych dwudziestodolarówek, by móc zapłacić za kolejny rok w tym miejscu, ale to bez znaczenia. Należność za obecny rok już starym wronom przekazałam, a nim z drzew opadną liście, ojciec zjawi się i mnie stąd zabierze.

Nic nie wiedzą o mnie i o moim ojcu, tymczasem sama wiem o nich bardzo dużo. Wiem o problemie panny Harriet z winem, o chciwości panny Marthy i o wielu innych kwestiach dotyczących zarówno ich obecnego życia, jak

i przeszłości. Słyszałam toczone po nocach kłótnie. Słyszałam gorzkie wyrzuty ze strony panny Marthy i popłakiwanie panny Harriet. Płacze, jak wszyscy słabi ludzie na tym świecie, za dniami, które przeminęły, za tym, jak kiedyś było, ale już nigdy nie będzie.

Tego pierwszego popołudnia odwróciła się od rannego Jankesa i spojrzała na mnie z uśmiechem satysfakcji. Nie pojmowałam, co też przyszło jej do głowy, dopóki nie zdałam sobie sprawy, że najwyraźniej sądziła, że ja sama ronię łzy prawdopodobnie nad losem żołnierza. Panna Harriet promieniała, bo już myślała, że znalazła we mnie bratnie, czułe serduszko.

No to po raz kolejny co do mnie się pomyliła. Nie płakałam z żalu nad Jankesem. Jeśli człowiek miałby zacząć opłakiwać rannych i umierających, choćby nawet tylko tych, którzy polegli jednego, jedyne dnia, rozpaczaniu nie byłoby końca. Nie znałam tego typka. Nie nosił munduru tych, których ponoć powinnam wspierać, a na ile się zorientowałam, dostał to, na co zasłużył. Przynajmniej tak, o ile mnie pamięć nie myli, odbierałam to tamtego pierwszego popołudnia.

W ogóle zdecydowanie wątpię, bym tamtego dnia płakała. Zapewne to tylko refleks światła słonecznego z ogrodu sprawił, że panna Harriet tak pomyślała. A nawet jeżeli moje oczy nieco zwilgotniały, to najprawdopodobniej pod wpływem jakiejś ulotnej myśli o moim ojcu. Na swój sposób Jankes mi go przypominał. Ojciec jest szczupły i ma długie kończyny, a czasami, po bezsennej nocy, bywa też bardzo blady, właśnie tak jak ten mężczyzna. W gruncie rzeczy był czas – i to nawet nie tak dawno temu – kiedy ojciec wyglądał niewiele starszej od tego Jankesa na kanapie.

„Byłoby mu o wiele lepiej, gdyby teraz umarł i wyzwolił się z całej swej żalości. Życzę mu dobrze. Życzę mu, by zmarł”, pomyślałam. Tak smętny nastrój w połączeniu ze światłem słonecznym sprawiły, że znowu zebrało mi się na łzy, nie chcąc więc przysparzać dodatkowej przyjemności pannie Harriet, odwróciłam się i wyszłam z bawialni do portyku. Przysiadłam tam sama, pogrążona w rozmyślaniach nad kolejami mojego życia i tym, jak w bliskiej przyszłości mógł w nich nastąpić zwrot ku lepszemu. Wyjęłam chusteczkę z chińskiego jedwabiu, żeby otrzeć nią nieco potu z czoła,

i spostrzegłam, że wciąż jest mokra od wody, którą na nią wylałam. Chusteczka należała do mojego ojca – wspomnienie po jednej z jego licznych przyjaciółek. Zgniotłam bezużyteczną szmatkę w kulkę i cisnęłam ją między krzaki forsycji.

Pod lasem dalej dudnił ogień artylerii i unosiły się kłęby dymu, który zasnuwał niebo na wschodzie i północnym wschodzie. Przyłapałam się na myśli, że nie jestem jedyną na świecie osobą w tarapatach. Każdy grzmot armat, każda wstęga dymu oznaczały ogromne kłopoty, poczynając od miejsca w lesie, gdzie wylądował pocisk, rozchodząc się niczym zmarszczki na powierzchni strumyka po wioskach, miastach i samotnie stojących domach w całym kraju. Niewykluczone, że cierpienie tego przyprowadzonego do nas chłopaka rozejdzie się i dotknie ludzi daleko stąd – może matkę, siostrę albo ukochaną. Zastanowiłam się, czy ma ukochaną.

Przez chwilę myślałam też o tym, czy gdybym to ja umarła, ktokolwiek by się przejął moją śmiercią. Jeśli na przykład zbłąkany pocisk spadłby na budynek szkoły i mnie zabił, czy kogoś by to naprawdę poruszyło? Czy mój ojciec by się tym przejął, czy też miał na głowie bardziej naglące problemy?

Na takich rozważaniach upłynęła mi może godzina. Tuż przed zachodem słońca zobaczyłam, jak panna Martha na dwukółce zaprzęgniętej w kuca skręca z Cedar Hill Road i zbliża się podjazdem w stronę szkoły. „Oto nadlatuje kula armatnia, która przesądzi o losie Jankesa”, pomyślałam. „Jego los spoczywa w jej rękach”. Późniejsze wydarzenia dowiodły, że tylko po części była to prawda. Jego los leżał w rękach nas wszystkich, podobnie jak nasz był w jego rękach.

Tak czy owak, postanowiłam wyjść pannie Marcie naprzeciw i podzielić się nowiną.

MARTHA FARNSWORTH

Sto razy ostrzegałam Amelię Dabney, żeby trzymała się z dala od tego lasu. W zaistniałej sytuacji uznałam, że nie mam innego wyjścia i muszę ją ukarać za kolejny przypadek nieposłuszeństwa.

– Czy pani poprosi jej rodziców, żeby zabrali ją do domu? – zapytała Edwina Morrow.

Nieproszona wskoczyła na dwukólkę, usiadła obok i razem dojechałyśmy do szkoły.

– Obecnie to raczej niemożliwe, zważywszy że jej dom znajduje się na obszarze działań wojennych.

Nie miałam ochoty omawiać tej kwestii z Edwiną.

– To prawda, zapomniałam. – Ona jednak najwyraźniej była zdecydowana dążyć temat. – Coś mi się wydaje zresztą, że Amelia już dawno nie otrzymała żadnej wieści od rodziny, tak jak ja nie dostałam od swojego ojca.

Mnie z kolei się wydawało, że z dużą dozą prawdopodobieństwa jej ojciec mógł zostać zatrzymany przez władze za nielegalny obrót bawełną, a przynajmniej widziałam jego nazwisko parę tygodni wcześniej w gazecie z Richmond – wprawdzie prasa nie dociera już do nas, ale to był egzemplarz pana Pottera z jego sklepu. Widniała tam wzmianka o jej ojcu przy okazji artykułu o przesłuchaniach osób przez komisję rządową powołaną w celu ukrócenia spekulacji. Dziewczyna nie mogła jednak o tym wiedzieć, a ja nie zamierzałam jej nic mówić.

– Poza tym przypuszczam, panno Martho – ciągnęła niewzruszenie – że w tych trudnych czasach, kiedy mamy tyle niezwykłych wydatków, no bo przecież ceny żywności i innych towarów są wysokie, z pewnością nie będzie pani skora odprawiać jakąkolwiek opłacaną uczennicę, nawet tak nieodpowiedzialną małą smarkulę jak Amelia Dabney.

– W tej chwili w ogóle nie rozmawiamy o odprawianiu kogokolwiek –

zauważyłam ostro. – A gdyby nawet taki temat się pojawił, to szkoła nie będzie podejmowała decyzji, kierując się finansami.

Na podstawie trzyletniego doświadczenia mogłam stwierdzić, że to nierozsądny pomysł wchodzić w dyskusje z Edwiną Morrow. Dziewczyna najwyraźniej czerpie złośliwą przyjemność z odwracania kota ogonem, a robiła to we własnych celach – którymi najczęściej były infantylnie niepoprawne zachcianki – co, jak obstarze Harriet, brało się u niej z samotności. Z diabelskiego nasienia się brało, ku takiej wersji sama prędzej się skłaniam.

– Co pani zamierza zrobić z tym jankeskim żołnierzem? – zapytała po chwili.

– Nic nie zamierzam, przynajmniej dopóki nie powiadomię naszych wojsk i nie oddam go w ich ręce.

– Trochę czasu minie, zanim stanie się to możliwe – zauważyła dziewczyna. – W obecnym położeniu nasi chłopcy mają chyba inne, pilniejsze zajęcia.

Akurat pod tym względem miała rację. Zważywszy na nadciągające w naszą stronę pomruki wojny i pożogę, zapowiadało się, że nasi pozostaną zajęci jeszcze przez pewien czas. „Jeśli niebawem karta się nie odwróci, to może będą większe powody do strapienia niż raptem jeden ranny Jankes”, pomyślałam.

Niepokojąca myśl o pozodze wojennej zajmującej nasze budynki towarzyszyła mi od czasu ostatniej bitwy. Dzisiejszego poranka nie minęło nawet dziesięć minut od wyjazdu, a już pożałowałam, że w ogóle postanowiłam wybrać się tego dnia po zaopatrzenie. Poprzedniego popołudnia główną drogą przemieszczały się na wschód oddziały wojskowe, całe tabuny sunące przez kurz, a dzisiejszego poranka pojawiło się ich jeszcze więcej na Cedar Hill Road nieopodal naszej pensji. Na naszym terenie droga należy do nas, oczywiście, ale nigdy nie oponowałyśmy, gdy ktoś z niej korzystał w uzasadnionych przypadkach.

Mój ojciec korzystał właśnie z tej drogi, gdy zajmował się wycinką dębów i cedrów w lesie. Najciekawszego drzewostanu w większości już nie ma,

choć rośnie tam jeszcze nieco szlachetnych gatunków drzew. Na wschód od nas, na drugim brzegu Flat Creek, rosną sosny wirginijskie, ambrowce balsamiczne i cierniste krzewy, mam na myśli te, które nie zostały wypalone w czasie bitwy rozpoczętej w pierwszy majowy tydzień tego roku lub których nie strawił ogień towarzyszący ubiegłorocznym walkom w okolicach Chancellor.

W każdym razie ostrzał rozpoczął się, gdy wciąż jeszcze byłam na Cedar Hill Road i nie zdążyłam dotrzeć do głównej drogi. Miałam nadzieję, że będę w stanie bez przygód minąć ją i pojechać dalej do drewnianej Old Plank Road. Jako węższa mniej się nadaje do przemarszu wojsk. Ostrzał na wschodzie wywołał jednak taki zamęt i nagromadzenie oddziałów na rozstajach – konnica usiłowała jechać środkiem głównej drogi, a część piechoty brnącej poboczami postanowiła zwolnić, zamiast przyspieszyć – że zapowiadało się, iż zostaniemy odcięci od sklepu Pottera przez resztę lata.

Podjechałam do głównej drogi, dalej się nie dało, i wołałam tak długo, aż w końcu zauważył to chłopak manewrujący swoim wierzchowcem w tym ścisku. Przebił się ku mnie. Miał może z siedemnaście lat, rozpaczliwie starał się zapuścić brodę, a przy tym był równie kościsty i kasztanowaty jak jego koń.

– Porucznik Depew, szósty pułk z Alabamy. W czym mogę pomóc, szanowna pani?! – wrzasnął.

– Muszę przejechać przez tę drogę, i to natychmiast.

– Wszyscy cywile mają dzisiaj zakaz poruszania się tutaj.

– Ale ja nie chcę nią pojechać, chcę przejechać na drugą stronę i dotrzeć do Old Plank Road.

– Tam również nie będzie mogła pani podróżować. Kilka mil na wschód stamtąd stoją już Jankesi. Sforsowali rzekę i teraz prą na Richmond.

– A to już pańskie zmartwienie – rzuciłam. – Ja muszę się zająć swoimi. Kto wami dowodzi?

– Generałów tu bez liku, szanowna pani. Generał Rode, generał Battle, generał Ewell...

– Niech będzie Dick Ewell. Powiedz mu, że panna Martha Farnsworth prosi o pozwolenie na przejazd, w pilnej sprawie. Powiedz mu, że panna Farnsworth litościwie prosi o pamięć i wstawiennictwo, ponieważ ciągle pamięta, że pewna spowinowacona z nim młoda dama uczęszczała ongiś do jej szkoły.

Niespodziewanie w szeregach wojsk na moment zrobiła się wyrwa. Machnęłam lejcami, kuc ruszył i przejechałam na drugą stronę.

– Ależ droga pani, niech pani zawraca! – krzyknął.

– Proszę przekazać generałowi Ewellowi, co panu powiedziałam! – zawołałam.

Byłam już wtedy po drugiej stronie traktu i podążałam Cedar Hill Road. Nieniekajona dotarłam do Old Plank Road, ale szlak ten był równie zapchany co droga główna. Roilo się tu od żołnierzy Trzeciego Korpusu generała Hilla, którzy zawiadomili mnie – w nieodłącznym akompaniamencie przekleństw – że w tamtej właśnie chwili na skrzyżowaniu z Brock Road rozgrywa się bitwa. Uspokoiliam ich, mówiąc, że nie wybieram się tak daleko, więc pozwolili dołączyć mojej dwukółce do karawany tuż za jednym z ich wozów.

Trwało to wszystko kilka godzin, ponieważ Old Plank Road jest wąska, a deski leżą tylko po jednej stronie. Ciężkie wozy co rusz przesuwaly się, ześlizgiwały i grzęzły w błocie, a konni usiłowali przejeżdżać między maszerującymi lub ich objeżdżać. Kiedy w końcu dotarłam do sklepu Pottera, było już co najmniej południe. Skręciłam na dziedziniec i tu, na zewnątrz, zastałam pana Pottera mocującego okiennice.

– Nie może pan zamykać właśnie teraz – zwróciłam się do niego, przywiązując kuca do ganku. – Przecież ma pan klientkę.

– Dziś nie mam czasu na sprzeczki, panno Martho – stwierdził wyraźnie podenerwowany pan Potter. – Grant wraz z całą swoją Armia Potomaku właśnie przekracza rzekę na wysokości Germanna Ford. Nie mogę pozwolić, żeby wszystko zostało otwarte i wystawione na szaber tych cholernych niemieckich najmitów.

– Proszę panować nad językiem – pouczyłam go. – Naprawdę nie wiem,

czym się pan tak przejmuję. Dlaczego niby Jankesi miałiby cokolwiek panu zabierać? Zapewne na każdym wozie mają więcej zaopatrzenia, niż pan trzyma na półkach.

Z racji wygłaszania podobnych opinii niektórzy w okolicy mają mnie za osobę wyzuta z uczuć patriotycznych i obojętną na naszą sprawę, ale ja utrzymuję, że to tylko trzeźwy realizm. Jankesi mają po swojej stronie towary i środki, dlatego ostatecznie oni wygrają tę wojnę – to wydawało mi się takie oczywiste. Pieniądże są potężnym i nadzwyczajnym orężem. Za pieniądze można kupić stal, proch, słońinę i tyle odwagi, ile tylko potrzeba.

Mówiłam to wszystko w tysiąc osiemset sześćdziesiątym pierwszym i nie zawaham się powiedzieć teraz. Nie rozumiem, jak ktoś może jeszcze się łudzić co do ostatecznych rozstrzygnięć. To już nie jest kwestia tego, kto z wojny wyjdzie zwycięsko – o ile kiedykolwiek były co do tego wątpliwości – lecz jak długo jeszcze możemy się wykrwawiać. (Ta sama myśl nasza mnie później, gdy ujrzałam w bawialni Jankesa i skutki nieudolnie założonego opatrunku na mojej żakardowej kanapie).

Cóż począć. Jeśli nie mogę być rozsądna i lubiana zarazem, to zawsze cnotę postawię ponad przyjaciół. I tak przecież wolimy żyć w odosobnieniu na pensji. Do tej pory radziłyśmy sobie same i z pomocą Najwyższego – który stawia mniejsze wymagania niż sąsiedzi – i nic pod tym względem się nie zmienia.

Oczywiście mieć rozsądne przekonania to jedno, a rozpowiadać je na lewo i prawo to już co innego. Rozumiem, że wiele naszych dziewcząt pożegnało na tej wojnie członków rodziny – ja sama straciłam brata – i czasami myśl, że śmierć nie była bezcelowa, przynosi pocieszenie. Dlatego w miarę możliwości unikam wchodzenia z uczennicami w dywagacje o wydarzeniach wojennych, nawet z moją siostrą, która – tak jak one – w takich kwestiach najchętniej odwraca wzrok.

Jak niedawno powiedziałam Harriet, naszym najważniejszym zmartwieniem jest teraz funkcjonowanie pensji. Szkoła musi działać nieprzerwanie, abyśmy w przyszłości mogły skwapliwie wykorzystać odrodzenie duchowe, co na pewno nastąpi po zakończeniu konfliktu. Gdy już na Południu zostanie przywrócona normalna łączność i możliwość podróżowania, pensja

Farnsworthów będzie pękać w szwach. Może nawet postawimy dobudówkę do istniejącego budynku i zatrudnimy jeszcze jedną nauczycielkę, może jakąś młodą damę, ledwo owdowiałą lub osieroconą przez ojca, a w takich okolicznościach życiowych skłoną pracować za grosze lub za Bóg zapłać, może po prostu jedynie za wikt i opierunek.

Pieniądze... Gdyby mój ojciec zdołał ich więcej zaoszczędzić i gdyby moja matka nie trwonila ich na Roberta, mojego brata, i gdyby moja siostra w wieku osiemnastu lat nie wydała swojej części na idiotyczną eskapadę do Richmond, żeby poślubić nowojorczyka, jak myślała, niejakiego Howarda Winslowa, a odkryła, że prawda wygląda inaczej, gdy już pan Winslow zdążył wyjechać z osiemnastoma tysiącami naszych dolarów. Gdyby nie doszło do tych wszystkich zdarzeń, zapewne nigdy nie byłoby potrzeby otwierać pensji Farnsworthów. Chociaż z ręką na sercu nie powiem, że bym kiedykolwiek żałowała. Czerpię ogromną satysfakcję z edukowania – a czasem reedukowania – tych młodych duszyczek.

Właśnie dzięki tym odczuciom w ostatnich latach nie jestem już tak nieprzychylnie nastawiona do swojej siostry. Harriet zazwyczaj robi wszystko, aby moje postanowienia wprowadzać w życie, a nawet jeśli nie zawsze odnosi sukces na tym polu, można to rzucić raczej na słabość jej charakteru niż przekorę. Harriet nie jest nieinteligentna, co to to nie, po prostu może nie jest nieprzeciętnie inteligentna.

Nigdy nie omawiałam z nią szczegółowo sprawy Howarda Winslowa. Kiedy to się stało, byłam zbyt wściekła, a w ostatnich latach niewiele mnie to już obchodziło. Nie znam dokładnych okoliczności jej rozstania z tym człowiekiem – czy to ona dała mu te pieniądze, czy to on jej odebrał je siłą, choć to ostatnie z pewnością nie było potrzebne, zważywszy na łatwowierność mojej siostry. Na pewno ma nadzieję, że Howard Winslow któregoś pięknego poranka przyjedzie na białym rumaku, by porwać ją do krainy wielkiej, nieskończonej miłości.

Takie myśli i kapka wina, na którą jej czasem zezwalam, utrzymują ją we względnym pionie. Z rzadka opuszcza naszą posiadłość, ograniczając wyjścia w niedziele do kościoła Świętego Andrzeja. Ja akurat zaprzestałam

uczęszczania do kościoła, gdy dokoła toczą się działania wojenne. Abstrahując, Harriet jest sumienną nauczycielką, myślę zresztą, że taką jak ja. Obie otrzymałyśmy za młodu przyzwoite wykształcenie prywatne i obecnie potrafimy przekazywać naszą wiedzę innym.

Kiedy byliśmy dziećmi... Kiedy miałyśmy środki.

– Pieniądze – powiedziała panu Potterowi. – Liczą się tylko pieniądze.

Wcześniej zdołałam wyciągnąć od niego funt cukru, dziesięć funtów wieprzowiny, dziesięć funtów mąki pszennej, worek różnych nieoznakowanych nasion warzyw oraz końcówkę beli białego muślinu, przy czym ani przez chwilę nie zwracałam uwagi na jego utyskiwania na niedobory wszystkich wymienionych towarów.

Wróciłam do szkoły tą samą trasą, choć trudności i opóźnienia mnożyły się jeszcze bardziej niż rano. Tym razem oczywiście poruszałam się w przeciwną stronę do głównego kierunku ruchu i rozczarowało mnie, że nawet żołnierze Południa niechętnie ustępują z drewnianych desek prosto w błoto, żeby przepuścić dwukólkę damy. Zwłaszcza gdy ich myśli zaprzęta bitwa.

Kilka razy zostałam głośno i dosadnie zwymyślana, zdarzyło się, że i przez oficerów, a w pewnej chwili zanosilo się nawet, że nasza dwukółka zostanie wywrócona wraz z Dolly i ze mną. Wtedy to przyszedł mi z pomocą jakiś trupio blady żołnierz w podartym słomianym kapeluszu, przeżuwający tytoń.

– Opóźnia pani dołączenie do walk żołnierzy Karoliny Północnej, szanowna pani. – Złapał lejce Dolly i wyprowadził dwukólkę na pas dość suchej ziemi. – Insza inszość, że co poniektórzy nie mają nic przeciwko drobnej przerwie.

– Proszę mi towarzyszyć, dopóki nie dotrzemy do mniej zatłoczonego odcinka drogi – poprosiłam go.

– Dobrze, droga pani – rzekł łagodnie. – W sumie i tak podążałem raczej w tę stronę niż w przeciwną.

Ostrzał gdzieś na wschodzie stał się teraz gwałtowny, bardziej intensywny.

– Nie, to nie są głównie działa – wyjaśnił mój towarzysz z Karoliny Północnej w odpowiedzi na moje pytanie. – To jakiś milion jednocześnie

wypalających springfieldów, enfieldów i małokalibrowych giwer. W trakcie takiego koncertu nie będzie pani miała zbyt wielu dział, bo i te zarośla ponoć są tak gęste, że w bój trzeba iść bokiem, a i tak człowieka ukatrupią zaraz. No i dlatego wojska Konfederacji cenią takie chudziny jak ja.

Został z nami aż do skrzyżowania z Cedar Hill Road, a nawet odprowadził nas nieco w bok, aż zesliśmy z trasy maszerujących szeregów. Wtedy mrugnął do mnie, zasalutował i ruszył w swoją stronę, ale na chwilę jeszcze go przywołałam.

W paczce z jedzeniem miałam mały kawałek słoniny odcięty z dużej porcji.

– Proszę, to za pański trud – powiedziałam. – Gdy następnym razem pojawi się pan tu na okoliczność bitwy, proszę nas jakoś zawiadomić zawczasu, a utworzymy panu drogę.

– Żarty się pani trzymają, oj, trzymają. – Uśmiechnął się. – Z przeproszeniem, z pani to taka dama, co to dokładnie wie, czego chce. Od razu to zauważyłem, jak tylko dostrzegłem, że nadciąga pani drogą i oczekuje, że całe wojsko północnej Wirginii rozstąpi się jak Morze Czerwone. Tak właśnie trzeba się zachowywać w życiu: wiedzieć dokładnie, czego się chce... i jeden czort, jak się to osiągnie... i czort z innymi też.

Następnie wrócił do kolumny i oddalił się, w zamyśleniu przeżuwać kawałek słoniny. Często się potem zastanawiałam, czy wiedział, czego chce, i czy przeżył, żeby to osiągnąć. Część jego towarzyszy wpatrywała się w niego z zazdrością, a potem i we mnie z nadzieją, ale nie miałam już mięsa na podarunki. Musiałam utrzymać pensję, aż nadejdą lepsze czasy. Miałam dziewczęta pod opieką, musiałam dbać o nie i chronić przed krzywdą. Niech dowódcy i politycy zajmują się całą resztą. Pensja była moim jedynym i najważniejszym zobowiązaniem.

Zatopiona w takich rozmyśleniach wracałam do domu i już bez przygód dotarłam na miejsce.

– Nawet gdyby nasi chłopcy nie mieli teraz innych spraw na głowie, to i tak raczej, panno Martho, nie sprowadzi ich pani do szkoły w dużej grupie, żeby aresztowali naszego więźnia – powiedziała Edwina Morrow, gdy zesliśmy z dwukółki. – Oddział zdrowych żołnierzy mógłby być groźniejszy dla naszej

szkoły niż jeden ranny, nieważne z której strony barykady. Mężczyźni to mężczyźni, tak to podobno działa i nie zależy od munduru. Czy nie myśli pani właśnie w ten sposób, panno Martho?

– Nie mam ustalonego sposobu myślenia – rzekłam. – Jestem empirykiem jak John Locke, o którym niedawno uczyłyście się na zajęciach z filozofii. A co do waszego Jankesa, to dla mnie oczywiste, że zrobimy z nim to, co będzie trzeba.

Następnie weszłam do środka, żeby zobaczyć intruza w mojej bawialni.

MATILDA FARNSWORTH

Ja sobie myślę, że tak to już jest na tym świecie: w każdej paradzie ktoś się musi zająć prowadzeniem, a inni muszą iść za nim. Skoro panna Martha się urodziła do przewodzenia innym, to chyba nie jej wina. Przez większość życia była dobrą kobietą, trzeba jej to przyznać. Zawsze okazywała dobroć dla każdego, w chorobie na przykład.

Gdy żył jej tatko, kiedy w części dla służby było nas pełno – tak jak byłoby do dziś, gdyby tylko jakiś mężczyzna o to zadbał – nasza młodziutka panna Martha zawsze pomagała mu opiekować się chorymi. Jej matula zwykle sama leżała zdjeta jakąś chorobą, a brat i siostra byli za mali na co innego niż figle, ale mała panna Martha, odkąd skończyła dziesięć lat, każdego ranka przychodziła do służby z dzbankami kalomelu i wyciągów korzennych, choć ledwo je dźwigała, a w kieszonce fartuszka miała rolkę bandaży i nożyczki. A jej tatko chodził za nią i tak się śmiał, jakby miał zaraz się rozpęknąć, kiedy ona podawała leki chorym Murzynom, bandażowała im skaleczenia i siniaki, a potem wygłaszała przeróżne rady, jak mają o siebie dbać.

Ja żem wtedy była kuchenną – zawsze przebywałam w głównym domu, tak jak przede mną moja matula – ale mój chłop robił w polu i czego przez tylne drzwi nie dałam rady zobaczyć, to on mi w nocy opowiadał. Czasem niektórzy z tych chorych służących nie byli zbyt chętni przyjmować pomoc od panny Marthy, więc jej tatko zawsze miał przy sobie mojego Bena, a on ich przytrzymywał, kiedy ona w nich wlewała te swoje medykamenty.

Jej tatko zrobił z mojego Bena swoją prawą rękę i zawsze na nim polegał, bo nigdy żeśmy nie mieli tu żadnego nadzorca na stałe. Posiadłość była dość duża, by kogoś zatrudnić na stałe, ale nasz stary pan zawsze lubił sam wszystkiego doglądać – albo przynajmniej lubił myśleć, że to robi. I właśnie dlatego – ten i ów wam to może powiedzieć – cała posiadłość Farnsworthów poszła na zmarnowanie.

No i to chyba prawda, co mówią, że przez ostatnie sto lat, a może i więcej, mężczyźni w tej rodzinie byli do niczego. Od czasów, kiedy pierwsi z nich zamieszkali w Tidewater, to właśnie kobiety od Farnsworthów bardziej się zajmowały rodzinnymi pieniędzmi i majątkiem. Dużo tego mieli, tak mi się zdaje – kiedyś, kiedy mieszkali w wielkim domu nad rzeką James, ale potem któryś z chłopów się wplątał w jakieś tarapaty i był skandal na całą okolicę, więc babunia panny Marthy postanowiła, że będzie lepiej, jak się tu przeniosą i zaczną jeszcze raz wszystko od nowa. Może ziemia nie była zbyt dobra pod ich korzenie, a może to ich korzenie po prostu nie potrafiły wejść w tę nową ziemię zbyt głęboko, bo i pieniądze, i nazwisko Farnsworthów od tamtej pory powoli mizerniały.

Tatko panny Marthy był porządnym człowiekiem, ale pilniej mu było polować na przepiórki czy lisy albo czytać książkę czy po prostu patrzeć, jak słońce zachodzi za krawędź szklanki z whiskey, niż doglądać zbiorów i ogrodzeń. A jego syn Robert był taki samiuśki jak ojciec, jeśli nawet nie gorszy. Pan Robert nie tylko siedział i patrzył, jak pieniądze mu uciekają; on sam wyrzucał je tak szybko, jak tylko potrafił: na karty, na konie i jakie tam jeszcze inne sporty i zbytki udało mu się wynaleźć.

Oczywiście to się zaczęło trochę po tym, jak już dorósł. Za młodu był dużo porządniejszy i posłuszny matuli, aż jej się w końcu zmarło. Potem słuchał się panny Marthy, która zaczęła mieć na niego oko. Panna Martha i pan Robert byli sobie bardzo bliscy w dzieciństwie. Jeździli razem konno, urządzali sobie pikniki w lasach, a czasem przesiadywali godzinami na ganku i grali w warcaby czy domino albo tak po prostu sobie siedzieli i całe popołudnie tylko ze sobą rozmawiali.

A potem pan Robert nagle dorósł i jakby coś w niego wlaźło. Cały czas biegał na przyjęcia i po szulerniach, od Waszyngtonu po Nowy Orlean, i w ogóle się w domu nie pokazywał, chyba że czasem na noc albo dwie, coby wyprosić od tatka jeszcze trochę pieniędzy. I nawet słońce nie zdążyło wstać, a jego już znów nie było, i żeśmy go na oczy nie widzieli następne sześć miesięcy albo i dłużej.

Jego tatko nic w tym złego nie widział. Nawet tak się złożyło, że raz na

własne uszy słyszała, jak starszy pan mówi, że dobrze będzie dla chłopaka się na trochę od sióstr oderwać. Że może to z niego zrobi mężczyznę, tak mówił.

No a ostatni raz pan Robert przyjechał do domu zaraz po tym, jak jego tatkowi się zmarło, i tym razem też długo nie zabawiał. Ja wcale nie chcę tu opowiadać o żadnych skandalach w tej rodzinie, ale powiem tylko, że tamtego wieczoru pan Robert i panna Martha okropnie się pokłócili. Panna Martha błagała, by został w domu, ale on jej słuchać nie chciał. Nie będę powtarzała wszystkiego, co żem wtedy słyszała, ale o to chodziło. Wcale bym nie słuchała, gdyby nie to, że hałas się niósł aż do kuchni i mnie obudził, a potem usłyszałam, jak mała panienka Harriet zanosi się płaczem, no to poszłam do góry na korytarz i ją znalazłam, jak siedziała na podłodze przed pokojem pana Roberta. Wszyscy wtedy płakali, cała trójka. Muszę powiedzieć, że to był pierwszy raz, gdy widziałam, jak panna Martha płacze. I nie spodziewam się, że jeszcze kiedyś coś takiego zobaczę.

Pan Robert wyjechał następnego ranka, zanim jego siostry zdążyły wstać z łóżek. Zabrał ze sobą wszystko, co miało jakąkolwiek wartość, co tylko udało mu się wcisnąć do juków: cały pieniądz, jaki tylko był w domu, a poza tym dużo biżuterii mamy i sióstr. I na ile mi wiadomo, to już nigdy do nikogo w tym domu słowem się nie odezwał.

Panna Martha wszystkiego próbowała, by go odnaleźć. Pisała listy i zatrudniała ludzi, żeby go szukali w każdym mieście, o którym kiedykolwiek wspominała. Sama jeździła do Richmond i Charleston, i jeszcze do pół tuzina innych miast, ale wszystko na nic. Pan Robert tak zniknął, jakby ziemia się rozstała i go pochłonęła.

Myślę sobie, że może to dlatego panna Martha nie była zbyt zdenerwowana, przynajmniej z początku, kiedy jakiś czas później panna Harriet też uciekła, goniąc za jakimś hultajem, co się przyjaźnił z panem Robertem i przyjechał tu z nim jakiś rok czy dwa wcześniej. Panna Martha chyba uznała, że panna Harriet dowiedziała się, gdzie jest pan Robert, i przynajmniej część pieniędzy czy klejnotów pojechała odzyskać. Ale nic takiego się nie stało i po jakimś czasie panna Martha się zorientowała, że panna Harriet też zabrała ze sobą sporo pieniędzy.

Cóż, więcej o tym biednym dziecku mówić nie będę. Swoje w tym domu panna Harriet wycierpiała – wiele przed tą ucieczką i jeszcze więcej po powrocie. Panna Martha pozwoliła jej w życiu tylko na ten jeden wielki błąd: panna Harriet po dziś dzień za niego płaci.

A potem, jak już zaczęła się wojna, dużo wieści do nas przychodziło – większość to były historie z trzeciej i czwartej ręki, że ktoś zna kogoś, kto widział pana Roberta w bitwie pod Manassas albo na balu jakiegoś oficera w Roanoke, albo jak leżał chory w jakimś szpitalu w Richmond. Panna Martha sprawdziła każdą jedną plotkę, ale nawet jeśli było w nich ziarno prawdy, to ptaszek zawsze zdążył już odlecieć, zanim wieść dotarła do nas.

Wreszcie, pewnego dnia zeszłej zimy – chyba w połowie grudnia – panna Martha poznała w sklepie pana Pottera jakiegoś żołnierza, co jej powiedział, że widział pana Roberta wiosną podczas wielkiej bitwy, która się rozpełtała wokół Chancellorsville.

– Wyglądał tak samo jak zawsze, tyle że był martwy – wyznał żołnierz.

Pan Robert raczej nie cieszył się wielką sympatią wśród ludzi, co tu mieszkają w okolicy.

Cóż, każdy wie, że prawie żaden z żołnierzy, co zginęli w tamtej bitwie, nie miał pogrzebu, bo szalał ogień i było tak gorąco, że generałom trudno było żywych pozabierać, a co tam dopiero martwych. A jak ognie wreszcie przygasły, to wszyscy z obu stron już dawno uznali, że lepiej uciekać gdzie pieprz rośnie, więc do teraz leży tam mnóstwo tych niepogrzebanych biedaków, smaganych słońcem i wiatrem. I czekają tak sobie na Dzień Sądu, co dla nas wszystkich w końcu nadejdzie.

Tak czy inaczej, jeszcze tej samej nocy, gdy nadeszła ta wieść, panna Martha odczekała, aż wszystkie panienki pójdą spać, a potem przypięła araba naszego starego pana do dwukółki, mi i pannie Harriet kazała sięść za sobą i pojechaliśmy drogą na Chancellorsville. Oczywiście nie uradowałam się z takiej nocnej wyprawy w środku zimy, a z początku to nawet nie wiedziałam, dokąd to jedziemy.

Kiedy dotarliśmy tam, gdzie droga z Germanna Ford się krzyżuje z główną, jużem zdążyła zgadnąć, gdzie nas panna Martha wiezie. W tamto miejsce przy

starej oberży, gdzie się kiedyś zatrzymywał dyliżans z Fredericksburga, niedaleko miejsca, w którym generał Jackson został ranny i nie przeżył, gdzie w zaroślach leży większość nieoprzezobanych zwłok. Gdyby nie było tak ciemno, a my nie zajechały już tak daleko, tobym w tamtym momencie wyskoczyła z powozu i popędziła precz do domu. Panna Harriet to samo czuła, ja wiem, i błagała siostrę, cobyśmy zawróciły i jechały z powrotem, ale panna Martha nie słuchała.

Myślę sobie, że może ten żołnierz, z którym za dnia rozmawiała, powiedział jej, gdzie szukać pana Roberta, bo skręciła w drogę na Ford bez zatrzymywania i ruszyła na południe ku starej oberży Chancellora. Kiedyśmy dojechały do kościoła Świętego Jana, a potem do cmentarza Fairview, panna Martha zjechała z drogi na pole i przywiązała ogiera do połamanego ogrodzenia.

– Chodź ze mną, Harriet – poleciała, zsiadając i biorąc latarnię i szpadle, co je wzięła z domu. – I ty też, Mattie.

– Panno Martho – mówię jej – nigdy w całym życiu żem pani niczego nie odmówiła, ale nawet gdyby sam Pan Bóg Wszechmogący mnie chciał za rękę poprowadzić, to i tak bym nie mogła w te ciemne pola wejść po nocy. Choćby i dusza chciała, to nogi nie posłuchają.

Panna Martha zobaczyła, jak się boję, więc już się nie odezwała. Biedna panna Harriet też była na śmierć przerażona, ale siostry chyba bała się bardziej niż ciemności, więc ruszyła przez to błoto za panną Martha, taszcząc ten ciężki szpadel, co jej go panna Martha dała. Poszły w mrok, przez mgłę, co się unosiła nad bagnistą ziemią, przez rów, gdzie leżał przewalony wóz z popsutą armatą wycelowaną w księżyc.

Jeśli kiedyś naprawdę żem się do Pana Boga modliła, to właśnie tamtej nocy. Gdy ich kroki ucichły, a maleńkie światełko latarni zniknęło mi z oczu, zacisnęła żem powieki i się modliła. Bałam się mroku, ale jeszcze bardziej żem się bała, że chmury odsłonią księżyc i zobaczą gorsze rzeczy, niż sama bym umiała sobie wyobrazić.

Straszne rzeczy się działy w tej mgle – wojska maszerowały za generałem Jacksonem, co im przewodził na czarnym koniu, szły kobiety zapłakane,

leciały paskudne ptaszyska, nietoperze i inne stworzenia prosto z piekieł – wszystko to w ciszy przemierzało pola, tylko wiatr słyszałam, jak szeleści w połamanych drzewach, i naszego biednego starego ogiera, co rżał i tupał w nocnym chłodzie.

No i tak, Pan Bóg zlitował się tamtej nocy i utrzymał wszystkie duchy z dala ode mnie. Jakąś godzinę przed świtem panna Martha i panna Harriet wyszły z mgły, wsiadły do powozu i razem ześmy ruszyły do domu. Nie wiedziałam, czy znalazły pana Roberta i go pogrzebały czy nie. Nie pytałam, a one mi nie powiedziały. Panna Martha to w ogóle ani słowem się nie odezwała, a panna Harriet całą drogę do domu przepłakała. Od tamtej pory już nigdy nie słyszałam, żeby któraś z nich o panu Robercie w ogóle wspomniała.

Może z dzień później panna Martha sprzedała starego araba swojego tatki. Powiedziała, że już nam niepotrzebny, a pieniądze i owszem. Ale mnie się wydawało, że może ona już nie chce mieć w tym domu żadnych mężczyzn, nawet zwierząt męskiego gatunku.

Ta sama myśl raz już mnie wcześniej naszała, jak jej tatkowi się zmarło, a pan Robert uciekł. To był ten dzień, kiedy panna Martha sprowadziła z Richmond handlarza i sprzedała całą służbę. Ja wtedy stałam na podwórzu i patrzyłam, jak ładują ludzi na furmankę.

Panna Harriet mnie zobaczyła i podeszła.

– Dobrze się nimi zajmą, Mattie – rzekła do mnie. – Panna Martha kazała ich sprzedać wyłącznie najlepszym gospodarzom. Widzisz, Mattie, panna Martha sama mówi, że nie chciałaby tego robić, ale zakłada tu szkołę i potrzebuje pieniędzy.

Ja to chciałam na nią krzyknąć i powiedzieć, co sobie myślę o panie Marcie i co jej tatko i matula by pomyśleli, gdyby żyli, ale słowem się nie odezwałam. Wtedy ona jeszcze nie sprzedała Bena, więc pomyślałam, że jak będę trzymać język za zębami, to może go wcale nie sprzeda. No i czekała z Benem do samego końca. Pamiętam, jak popatrzyła na mnie, potem na Bena, a potem na handlarza. Chciałam ją zawołać i powiedzieć: „Niechże panna Martha mnie też odeśle, jeśli ma Bena odesłać”, ale nic nie rzekłam. Nie mogłam. Była we mnie duma, która kazała mi milczeć, duma niemalże tak

samo silna jak u panny Marthy.

No i tamtego dnia ona Bena nie sprzedała. W końcu odesłała handlarza z furmanką pełną służby, a potem poszła do domu, słowem się nie odezwawszy, i zostawiła pannę Harriet i Bena, i mnie na podwórzu. Nie wiem, co ona wtedy poczuła w swoim sercu, ale cokolwiek to było, to szybko z niej uszło, bo już jakiś tydzień później sprzedała Bena farmerowi z Locust Grove.

Dostała za niego mniej pieniędzy, niż jej dawał handlarz wtedy z początku, tak mi potem panna Harriet powiedziała – nie dużo mniej, no ale mniej – i farma była niedaleko, więc Ben mógł do mnie przychodzić raz na jakiś czas, aż w końcu mu się zmarło. Może to była największa dobroć, jaką panna Martha mogła z siebie wycisnąć, kiedy w grę wchodził pieniądź i jej duma.

Mój Ben zawsze powtarzał, że tego pierwszego dnia ona go zatrzymała z innej przyczyny. Mówił, że to dlatego, że panna Martha mnie się bała, bo znam ją lepiej, niż ktokolwiek inny ją kiedy znał, nawet panna Harriet. Ben wiedział, że ja żem słyszała tę rozmowę tamtej nocy w sypialni panny Marthy, zanim pan Robert uciekł. Powiedziałam o niej Benowi, ale nikomu innemu żem nie mówiła i nigdy nie powiem.

Może kiedyś ona się mnie trochę obawiała, ale to było dawno temu. Wszystkim nam się zmieniają uczucia do siebie nawzajem, jak się starzejemy. Ja to już jej nawet nie nienawidzę tak jak kiedyś. Wiem, że jest taka, jak ją Pan Bóg stworzył, i myślę, że nic na to nie poradzi, a sama zmienić się też nie może.

No, te myśli wszystkie mnie naraz naszły tamtego popołudnia, kiedy ten jankeski żołnierz został nam do domu sprowadzony. Stała żem tam w bawialni i patrzyła na biedną pannę Harriet, jak się nim zajmuje, najlepiej jak potrafi, i myślałam sobie: „Co też panna Martha robi, jak wróci do domu i znajdzie w swoim domu tego mężczyznę – przystojnego, młodego mężczyznę akurat w tym samym wieku co pan Robert, kiedy odszedł. Powie nam, coby się go pozbyć albo co? Każe nam go zaciągnąć na drogę i zostawić, by nasi żołnierze go zgarnęli, jak będą przechodzić?”.

Ale w końcu żem pomyślała: „No, może zrobi tak później, ale nie od razu.

Najpierw wpadnie tu do nas jak burza, wszystkich skrzyczy i będzie wygrażać, żeśmy Jankesa w dom sprowadziły... A potem dobrze mu się przyjrzy i stwierdzi, żeśmy się nim źle zajmowały, i ona nam musi pokazać, jak to się robi”.

Dobrze pamiętałam tę małą pannę Marthę, co chodziła zajmować się służbą, i wiedziałam, jaka będzie zadowolona, że znowu może się zająć kimś, kto jest naprawdę chory. Oj, byłam całkiem pewna, że ona nie przepuści takiej okazji i będzie chciała sobie na nim poćwiczyć swoje pielęgniarskie zdolności.

Ale nawet nie mam pewności, czy w ogóle tego chciałam. Wtedy się go tak nie bałam, tylko trochę było we mnie litości. Ale teraz sobie myślę, że nie miałabym nic naprzeciwno, gdyby panna Martha postanowiła go oddać już tego pierwszego popołudnia prosto w ręce naszych żołnierzy. Na pewno wszystkim nam by to wyszło na dobre, gdyby właśnie tak zrobiła – albo gdyby go palcem nie ruszyła, tylko mu tak dała leżeć. Gdyby tak po prostu sobie poszła i nas zabrała ze sobą, zamknęła drzwi do bawialni i pozwoliła mu odejść w samotności.

Od tego młokosa czuć było śmiercią. I nawet nie przez to, że krwawił i był biały jak mąka, ani przez to, że tak leżał bez ruchu. On był jakby naznaczony, a ja bym ten znak na nim poznała, nawet jakby wcale nie był ranny i tylko maszerował sobie drogą. Jak go pierwszy raz zobaczyłam, to już wiedziałam, że nic na całym bożym świecie go nie ocali, i nawet nie warto próbować.

Panna Martha przyszła potem z ganku, a za nią panna Edwina Morrow. I już nie było nad czym się zastanawiać. Co się miało zadziać, to się miało zadziać.

EMILY STEVENSON

Kiedy tylko tamtego popołudnia panna Martha stanęła w drzwiach, stało się oczywiste, że plotkara Edwina Morrow dokładnie jej zrelacjonowała, jak mała Amelia Dabney znalazła żołnierza w lesie i przyprowadziła go do domu. Właśnie tego rodzaju paplaniny można się spodziewać po Edwinie. Zwykła walić na oślep w każdy możliwy sposób, licząc na to, że jak najwięcej dziewcząt zdoła okryć hańbą. Postanowiłam zatem bronić Amelii najlepiej, jak umiałam.

– Panno Martho, Janke nie był w stanie chodzić, więc Amelia mu pomogła – oznajmiłam. – To prawda, że znalazła go w lesie, ale o ile wiem, to nie za bardzo głęboko w lesie, słyszałam też, że Amelia poszła tam w jak najlepszych zamiarach.

– A jakie to były zamiary, panno Amelio?

– Aby zebrać trochę grzybów, którymi zasililiby nasz stół – odparłam.

– Panno Emily, niech panna Amelia odpowiada za siebie. Panno Amelio, czy była to wyprawa aprowizacyjna?

Biedna Amelia wydawała się pólżywa ze strachu. Zresztą nawet kiedy nie zrobi nic złego, i tak żyje w śmiertelnej trwodze przed jakąkolwiek ludzką władzą. Wystarczy, by panna Martha skierowała na nią spojrzenie, a biedactwo gotowe jest zemdleć.

– No... – zająknęła się. – Jest tak, jak powiedziała Emily. Zbierałam te grzyby...

– Na stół czy do swojej kolekcji?

– W sumie to chyba jedno i drugie.

– I jakie grzyby przyniosłaś?

– No, trochę *amanita phalloides*...

– Czyli muchomora zielonawego. Jakież jeszcze?

– Parę *amanita muscaria*.

– To również gatunek trujący. A może jakieś jadalne, panno Amelio?

– Wiele razy przynosiła jadalne grzyby, Martho, a także orzechy, dzikie jabłka i owoce leśne – wtrąciła się panna Harriet. – Sama dobrze wiesz.

– Wiem, że wiele razy ostrzegano ją, by w tak niebezpiecznych czasach nie chodziła po lesie. Czy zdajesz sobie z tego sprawę, Harriet, że w tej sytuacji to ty i ja jesteśmy za wszystko odpowiedzialne? Właśnie nam powierzono te młode panienki. Ich rodzice umieścili je pod naszą opieką, oczekując, że będziemy o nie dbać i uchronimy je przed wszelką moralną czy fizyczną krzywdą.

– Martho, wydawało się, że na naszym terenie naprawdę nie grozi jej żadne niebezpieczeństwo.

– Żadne niebezpieczeństwo? Okolicznymi drogami przechodzą tysiące młodych mężczyzn... młodych mężczyzn, w których mniemaniu większość zasad moralnych przestała obowiązywać. Gotowi są otwarcie łamać szóste przykazanie z błogosławieństwem swoich dowódców. Sądziś, że wielu z nich zawahałoby się przed złamaniem i siódmego z własnej inicjatywy?

– W religii katolickiej to raczej piąte i szóste przykazanie – wtrąciła się zuchwale mała Marie Deveraux.

– Nie odzywaj się, panienko, jeśli łaska – odparowała panna Martha. – Zdaję sobie sprawę, że większość z was, dziewczęta, ma krewnych w szeregach armii i niekoniecznie miałam na myśli tego rodzaju młodzieńców czy też innych równie dobrze jak oni wychowanych. Jednakże to nie oni stanowią dziś większość żołnierzy Konfederacji. Teraz nasze sztandary niosą ulicznicy z Richmond, chłopaczki z prowincji, niepiśmienni dzierżawcy i wypuszczeni z więzień w Atlancie.

Wówczas poczułam, że muszę się odezwać.

– Czy znaczy to, panno Martho, że pani zdaniem nasi chłopcy są mniej mężni albo mniej oddani swojej sprawie niż jankescy poborowi tacy jak ten na naszej kanapie?

– Może to nie poborowy – odezwała się Amelia, gotowa bronić swojego

skarbu. – Może się zgłosił na ochotnika.

– Sądzę, że jak na jeden dzień wystarczająco napytałaś sobie biedy, młoda damo, i nie ma potrzeby, byś jeszcze do tego dokładała – orzekła panna Martha, po czym zupełnie niepotrzebnie dodała: – Będę zobowiązana, jeśli i panienka zmilknie, panno Emily. Wcale nie bronię Jankesów. Jestem przekonana, że indywidualnie są równie źli jak nasi, kolektywnie zaś, rzecz jasna, chodzi ponoć o naszych nieprzyjaciół.

Ponoć! Dobry Boże, pomyślałam, kto to słyszał, by nauczycielka wypowiadała się w ten sposób wobec dzieci, jakimi są Amelia i Marie, nie mówiąc już o osobach tak łatwo ulegających wpływom jak Alice. Jeśli najeźdźcy z Północy nie są najpodlejszym wrogiem, z jakim kiedykolwiek musiał się mierzyć jakikolwiek cywilizowany naród, to cała nasza edukacja i wychowanie poszły na marne.

– Jak myślisz, Martho, co powinniśmy z nim zrobić? – spytała ostrożnie panna Harriet, kiedy panna Martha wreszcie podeszła przyjrzeć się rannemu.

– Pierwsze, co nasuwa mi się na myśl, to załadować go na wózek, zawieźć go do drogi i przekazać żołnierzom – oznajmiła panna Martha. – To nie nasz interes, a sprawa dla wojskowych.

Mimo że odezwała się do mnie dosyć wstrętne, co do tego byłam skłonna się z nią zgodzić. Usiłowałam wyobrazić sobie, co w takich okolicznościach zaleciłby uczynić mój ojciec, generał brygady John Wade Stevenson i musiałam przyznać, że on również uznałby to za sprawę dla wojska, zupełnie natomiast nieodpowiednią dla młodych panien. Już miałam o tym napomknąć, a pewne późniejsze wydarzenia sprawiły wręcz, że pożałowałam, że tego nie uczyniłam, kiedy panna Harriet odezwała się tonem dla niej nietypowym.

– Uważam, że to kwestia humanitarna – orzekła. – Byłybyście gotowe przekazać poważnie rannego chłopca szorstkim żołnierzom, którzy się w dodatku przemieszczają?

– Najprawdopodobniej, panno Martho, wcale by go nie zabrali – oceniła Alice Simms, która rozważała już ewentualne korzyści płynące z obecności w domu młodego mężczyzny. – Bo i co by mogli zrobić z rannym chłopakiem? W pobliżu nie ma żadnego obozu jenieckiego, do którego mogliby go wtrącić.

Prawdopodobnie kazaliby nam po prostu się nim zająć, przynajmniej do czasu zakończenia walk.

– Poza tym – dodała mała Marie Deveraux, której wyraźnie spodobało się podekscytowanie wprowadzane pod nasz dach przez obecność nowego gościa – poza tym jeśli nasi chłopcy znajdą tego Jankesa gdzieś przy drodze, może ich zaciekawić, skąd się tam wziął, i zaczną się zastanawiać, czy aby w okolicy nie ma takich więcej. Skutkiem czego mogą całą masę zacząć tu myszkować, aby upewnić się, czy nie mamy więcej rannych Jankesów, a wydaje mi się, panno Martho, że właśnie takiej sytuacji stara się pani uniknąć.

– Możemy poczekać, aż się ściemni – wtrąciła stara Mattie – i wtedy zabrać go kawałek drogą, to nie pomyślą, że on od nas.

– Mattie, jakże możesz być tak nieczuła, kiedy ten biedny chłopiec walczył o to, by wyzwolono takich jak ty – zachnęła się Marie.

– Jaka tam nieczuła – zaoponowała Mattie. – Po prostu mi straszno.

Mattie zapewne znowu widywała dziwne znaki w swojej ziołowej herbatce albo też wsłuchiwała się w wycie dzikich psów do księżyca, co w obu przypadkach interpretowała jako pewną zapowiedź nadciągającej zguby. Jeszcze w naszym domu zdążyłam przywyknąć do starych Murzynek w rodzaju Mattie i wiedziałam, że w straszliwych rzeczach, które przepowiadały, często było sporo prawdy. Tacy ludzie tak już przywykli do tarapatów, że zdaje się, że wykształcili szczególną zdolność ich przewidywania.

– Można by go zabrać z powrotem do lasu, tak jak zaproponowała Mattie, i po prostu byśmy zapomniały, żeśmy go w ogóle znalazły – odezwała się Edwina Morrow.

– To nie wyście go znalazły, tylko ja! – krzyknęła Amelia. – I nie zabiorę go z powrotem, nawet jeśli mi to rozkażecie!

– Młoda damo, pójdziesz dziś spać bez kolacji za tę wypowiedź i za swoje zachowanie dzisiejszego popołudnia – oznajmiła panna Martha. – Jego noga wciąż krwawi. Zupełnie żeście ten opatrunek spartaczyły.

– To popraw go, Martho – odparła panna Harriet. – Ty się świetnie znasz na

takich sprawach.

– Widzę, że nie żal wam było zniszczyć adamaszku. Cena samej tylko koronki z obszycia przed stu laty wynosiła co najmniej dwadzieścia pięć dolarów, a teraz kosztowałyby dziesięć razy tyle, jeśli w ogóle dałoby się ją gdzieś kupić.

– Był stary i zużyty, Martho, a koronka uszkodzona.

– Jeśli to powód, by go zniszczyć, to może Jankesi mają rację. Wszak powiadają, że wszystkie nasze obyczaje są stare i zużyte i zamierzają wpoić nam nowe.

Panna Martha poluzowała bandaż na nodze rannego i zaczęła go delikatnie odwijać. Tak jak mówiła, krew w dalszym ciągu wypływała z rany, choć może już nie tak obficie jak wcześniej. Prawdopodobnie miał już jej w sobie niewiele. Panna Martha bezceremonialnie oderwała pozostałość nogawki jego spodni, a następnie owinęła materiał z powrotem, tym razem jednak w wyższej części uda.

– Wydaje mi się, że główna tętnica nogi rozdziela się gdzieś w pobliżu kolana i najlepiej będzie zacisnąć ją powyżej. Niech któraś poda mi tę batutę.

Wzięła batutę, z której korzystamy podczas lekcji muzyki, i poczęła wsuwać ją między tkaninę a nogę Jankesa, obracając kijkiem, aż krwotok wyraźnie osłabł. Następnie zamocowała kijek w miejscu innym kawałkiem tkaniny i nachyliła się, aby zbadać ranę, szturchając ją i macając palcem z wprawą starego chirurga wojskowego. Pomimo gniewu, jaki we mnie wzbudziła, nie mogłam powstrzymać podziwu. Jankes, na szczęście, pozostawał nieprzytomny.

– Ma w środku tyle żelastwa, że starczyłoby do podkucia konia – oceniła. – Wątpię, by dało się to wszystko wyciągnąć, nawet gdybyśmy miały odpowiednie instrumenty. A całkiem możliwe, że i tak nie byłoby to warte zachodu.

Sprawiła mu puls, jako że nie wyczuwałyśmy żadnych odruchów. Następnie przytknęła ucho do jego klatki piersiowej i się wsłuchała.

– Wciąż oddycha, ale praktycznie nic poza tym – stwierdziła w końcu.

– Czyli nie przekażesz go w ręce naszych żołnierzy? – dopytała panna Harriet.

– O ile nie przeżyje, co na tę chwilę wydaje się nader wątpliwe, to pytanie jest czysto teoretyczne. Jeśli jednak jakimś cudem przetrwa noc, rano zdecydujemy, co dalej z nim zrobić. A teraz wszystkie uważajcie. Przynieście mi igły, różnego rozmiaru, i jedwabne nici. Mattie, nanieś tyle wody, ile tylko zdołasz, i prędko ją zagotuj. Będę też potrzebowała trochę mydła i ręczników, no i więcej tkaniny na szarpie. W tym kłębku w holu jest trochę białego muślinu. Przynieście mi go, do tego nożyczki. Niektórym z was zamierzałam sprawić tego lata nowe koszule, ale skoro już musicie znosić tutaj rannych Jankesów, to poradzicie sobie bez nowej bielizny. Będę też potrzebowała jakiegoś ostrego przyrządu, by sprawdzać mu nogę. Mattie, znajdź mi coś w kuchni.

– To może widelczyk do marynat? – zapytała Mattie.

– Powinien się nadać, w każdym razie spróbujemy. I może jeszcze nożyk do obierania. Ruszajcie się szybciej, jeśli chcecie, by na dobranoc wasz Jankes był jeszcze żywy.

Mattie poszła po przybory do kuchni, a panna Harriet wzięła się do wyciągania igieł, nici i nożyczek ze swojego koszyka do robótek, który miała już pod ręką. Ja przyniosłam z holu muślin, Marie ruszyła po ręczniki i naczynie z mydłem z łaju, z którego byliśmy teraz zmuszone korzystać, a i to bardzo oszczędnie. Lecz nim Marie zdążyła wrócić z niezbędnymi przedmiotami, Edwina, nieprzewidywalna jak zawsze, popędziła do swojego pokoju i przyniosła skrawek perfumowanego mydła toaletowego.

– To mydło buduarowe – rzuciła od niechcienia. – Ojciec przywiózł mi je z podróży do Paryża.

– Racja, francuskie – przyznała Alice. – Moja matka ciągle takiego używa.

Cóż, pomyślałam, zdaje się, że nie ma wyboru, zważywszy na jej profesję, ale powstrzymałam się od komentarza.

– Chciałaś powiedzieć, że twoja matka korzystała z takiego mydła, kiedy ostatnio ją widziałaś.

– Jak wolisz – odparowała Alice. – Skoro już jesteś taka dokładna, to wydaje mi się, że było to pewnie parę miesięcy czy nawet lat po tym, jak po raz ostatni widziałas na oczy swojego ojca.

– Dość tego – przerwała im panna Martha. Skończyła badanie pacjenta i była gotowa wziąć się do roboty. – Stańcie wszystkie za tą kanapą i przepchnijcie ją gdzieś, gdzie jest więcej światła.

Przesunęłyśmy kanapę wraz z jej nieuskarżającym się lokatorem w miejsce, gdzie przez drzwi do ogrodu wpadały ostatnie promienie słońca czy raczej tyle jego światła, ile przedzierało się przez dym unoszący się nad lasem.

Mattie szybko wróciła z wiadrem parującej wody i sprzętami kuchennymi. Panna Martha wrzuciła nóż i widelec do wrzątku wraz z igłami i nicią i podczas gdy namakały, chwyciła nożyczki i zaczęła kroić muślin i resztę swego cennego obrusa. Następnie wrzuciła kawałek tkaniny do wody, chwilę go pomoczyła, wyciągnęła czubkiem nożyczek, chwyciła gołą dłonią i zanurzywszy w łojowym mydle, zaczęła nim szorować nogę Jankesa.

– Możesz schować swoje perfumowane mydło, Edwino – poleciła. – Niewykluczone, że nam się przyda kiedy indziej. W każdym razie to miło z twojej strony, że je zaproponowałaś. Teraz, dziewczęta, może się zrobić nieprzyjemnie. Jeśli któraś z obecnych przypuszcza, że zemdleje albo popełni inne głupstwo, niech wyjdzie z pokoju. To dotyczy też ciebie, panno Harriet.

Nikt się nie ruszył. Panna Martha uśmiechnęła się ponuro i działała dalej. Gorący gałganek musiał okrutnie parzyć jej dłoń, nie zdradzała jednak żadnych oznak bólu. Po raz kolejny przeszło mi przez myśl, że gdyby tylko panna Martha urodziła się mężczyzną, mogłaby wielce się przysłużyć sprawie Południa.

Po dokładnym oczyszczeniu nogi z błota, prochu i zakrzepłej krwi panna Martha się wyprostowała.

– Będę teraz potrzebować więcej światła. Przynieście lampę – zarządziła.

Mattie wyszła po lampę, którą przechowuje się obecnie w kuchni, aby niepotrzebnie jej nie zapalać. Jak wszyscy, jesteśmy zmuszone używać oleju bawełnianego zamiast nafty, a i tego mamy niewiele. Tymczasem panna Martha starała się wyłować nożyczkami z gorącej wody widelczyk do marynat i nożyk.

– Masz – powiedziała, upuszczając narzędzia na ręcznik i podając go Marie. – Trzymaj je, aż cię o nie poproszę. Prosiłabym jeszcze o dwie osoby do pomocy. Jedna niech podniesie nogę tego dżentelmena i trzyma ją nieruchomo, a druga niech stoi obok i bacznie się mu przygląda, a gdyby odzyskiwał przytomność, niech go przytrzyma.

Zgłosiłam się do pilnowania nóg, a panna Harriet, która zdążyła do tego czasu całkiem zblednąć, oznajmiła, że stanie obok i będzie doglądała, by się nie szarpał. Mattie wróciła z lampą i uniosła ją nad kanapą, jak poleciła jej panna Martha. Panna Martha wzięła wtedy nożyk i widelczyk i zaczęła wyskubywać odłamki szrapnela z nogi Jankesa.

Tak jak mówiła, tkwiło w niej mnóstwo powbijanych kawałków metalu i długo przyszło je usuwać. Nim się z tym uporała, sama też zdążyła zblednąć. Kosmyk zazwyczaj dokładnie upiętych włosów zwisał jej na czoło, a po jej policzkach spływały strużki potu. „Nie jest to kobieta piękna, ale atrakcyjna na swój sposób”, pomyślałam, obserwując ją z ogromnym podziwem. Chyba nigdy nie widziałam kogoś równie zdeterminowanego.

Kiedy udało się usunąć wszystkie odłamki, a przynajmniej tyle, ile panna Martha była w stanie zlokalizować prymitywnymi narzędziami, nałożyła na nogę więcej gorących szmatek, najlepiej jak umiała poskładała strzaskaną kość, a następnie, wzięwszy od Marie igłę i nieco czarnej, jedwabnej nici, zaczęła zszywać ranę. Nim skończyła drugi szew, Edwina Morrow osunęła się na podłogę.

– Alice, Amelio, wynieście ją – poleciła panna Martha, nie podnosząc nawet wzroku. – Mattie, pomóż im, proszę. Panna Harriet przejmie lampę. Emily, podnieś nogę trochę wyżej. Teraz to już nic wielkiego. Zupełnie jak zaszyć indyka na Święto Dziękczynienia.

Bez wątpienia rzecz nie była taka prosta. Choć zdarzało mi się widzieć elegantszy szew, to zważywszy na okoliczności, w jakich przyszło jej pracować, a także stan operowanej nogi, panna Martha zdobyłaby złoty naparstek w dowolnym konkursie krawieckim na świecie. Noga chłopaka była nie tyle rozerwana, ile pogruhotana, a poszukiwania wbitych odłamków z pewnością nie ułatwiały naprawy.

Zanim zużywszy prawie całą szpulkę nici, zaciągnęła ostatni supeł, musiała upłynąć niemal godzina. Następnie poleciała Marie skoczyć do pokoju po starą krynolinę, którą ona, panna Harriet albo ktoś z jej rodziny nosił w zamierzchłych czasach. Zrobiona z delikatnej, lawendowej tafty z wyhaftowanymi różowymi różami mimo starości prezentowała się całkiem przyzwoicie. Niemniej jednak panna Martha nie wahała się ani chwili, rozerwała suknię, wyjęła z niej wzmocnienia i użyła ich jako szyny do unieruchomienia nogi Jankesa. Następnie obwiązała wszystko paskami z pociętego muślinu i pozostałością adamaszkowego obrusa.

– Już... – oznajmiła. – Proszę bardzo, panienki.

Westchnęła, cofnęła się i zupełnie nieuchodzącym damie gestem otarła spoczone czoło.

Mała Marie tak się przejęła, że zaczęła klaskać, a Alice i ja poszliśmy w jej ślad.

– Lepiej, by ten stary Jankes teraz przeżył! – zawołała Marie. – Tyle się przy tym natrudziłyśmy.

– Bardzo dobrze, Martho, bardzo dobrze – skomentowała panna Harriet, sama też dość przejęta.

– Żadne tam „dobrze” – sprostowała panna Martha, choć jestem pewna, że nasza aprobata sprawiła jej przyjemność. – W ogóle bym się do tego nie zabierała, gdyby nie przeświadczenie, że bardziej mu już nie zaszkodzę. No, teraz to musimy zaczekać i zobaczyć, co z nim będzie w najbliższych godzinach. Przynajmniej powstrzymałyśmy upływ krwi. Jeśli iskra życia tli się w nim dość mocno, to po całonocnym odpoczynku może się rozżarzy. A teraz, panienki, wracajcie do swoich obowiązków. Jak która ma lekcje, to niech się nimi zajmie. Reszta niech znajdzie sobie jakieś pożyteczne zajęcie. Czy panna Edwina doszła już do siebie? Niech któraś weźmie z kuchni niewielką cebulę, przekroi ją i podetknie jej pod nos. Mattie, Harriet, posprzątajmy tu i zajmijmy się kolacją.

– Panno Martho, chciałabym pani podziękować za dobroć okazaną temu Jankesowi – odezwała się nieśmiało Amelia Dabney. – Na wypadek gdyby się pani zastanawiała, to nazywa się John McBurney.

– Zupełnie się nad tym nie zastanawiałam, panno Amelio – odparła nasza przełożona. – I obawiam się, że żywy czy martwy nie pozostanie tutaj na tyle długo, by jego imię miało dla nas jakiegokolwiek znaczenie. Jako że nie będziesz z nami jadła kolacji, możesz już iść do swojego pokoju.

Marie wyruszyła do kuchni po cebulę dla Edwiny, która w dalszym ciągu leżała nieprzytomna na sofie w holu. Oczywiście, większość z nas z dziką ochotą wpakowałyby cebulę pod nos Edwiny Morrow, ale naturalnie tylko co bardziej dziecinne z uczennic mogły okazywać to w tak bezpośredni sposób. Jednakże Marie była gotowa zaryzykować nawet tak niepowtarzalną okazję, byle tylko pozawracać jeszcze głowę pannie Marcie.

– Panno Martho, sądzę, że to niesprawiedliwe, by karała pani moją współlokatorkę Amelię Dabney za pójście dziś do lasu, wszak wyjaśniła, że miała po temu należyte powody natury edukacyjnej – odezwała się. – Nawet jeżeli nie wszystkie podzielamy jej osobliwe zainteresowania, nie uważam, by należało ją za nie karać, a zwłaszcza że to nie jej wina, że ją dzisiaj na tym przyłapano. Ja sama pewnego dnia, mniej więcej przed tygodniem, poszłam do tego samego lasu bez żadnego konkretnego powodu poza tym, że chciałam pobyć sama, i nikt mnie nie przyłapał ani nawet o nic nie podejrzewał.

– No to teraz cię przyłapałam i możesz dołączyć do ukaranej Amelii – odparła panna Martha.

– Ależ, panno Martho, na litość... przecież się przyznałam!

– A zatem będziesz miała czyste sumienie, z czego powinnaś się cieszyć. Idźcie już obie do pokoju. Panno Alice, weź cebulę i zajmij się panną Edwiną.

Alice ruszyła z wielką ochotą, a ten diablilik, mamrocząc pod nosem i strojąc koszmarnie miny pod adresem nas wszystkich, ruszył schodami za współlokatorką. Przedziwne to dziecko i jestem przekonana, że wielka w tym rola jej katolickiego wychowania. Nierzadko zachowuje się nad wyraz uparcie, a wręcz skandalicznie – bardzo często, zdawać by się mogło, bez żadnej przyczyny, jak tylko z czystej złośliwości – by zaraz potem wszystko radośnie wyznać, jak gdyby dzięki temu zmazywała cały występki. Tak, w tej grze Marie i panna Martha mierzą się od dawna. Na szczęście panna Martha połapała się w osobliwym systemie moralności panny Deveraux i nie waha się

prowadzić jej twardą ręką.

Jak już mówiłam, nie zawsze darzę pannę Marthę sympatią, ale podziwiam jej siłę woli. Muszę powtórzyć, że nasza armia straciła w osobie panny Marthy wspaniałego żołnierza i powiem wam, że jej odwaga i opanowanie w warunkach bojowych zostały w następnych tygodniach wstawione na jeszcze cięższą próbę.

MARIE DEVERAUX

Cóż, wcale nie przeszkadzało mi to, że tego pierwszego wieczoru zostałam odesłana do mojego pokoju bez kolacji. Wcześniej zdarzało mi się to wiele razy i spodziewam się, że jeszcze nieraz się powtórzy. Nie jest to tak poważna katastrofa, jak mógłby przypuszczać ktoś nieznający naszej szkoły.

Przykładowo, pannie Harriet zwykle w takich sytuacjach udaje się zaryzykować gniew swojej siostry i wymknąć się do mnie później z porcją kolacji ukrytą pod szalem. Na dobrą sprawę człowiekowi lepiej się powodzi dzięki takim sekretnym posiłkom niż wówczas, gdy musi mierzyć się z codzienną rywalizacją przy wspólnym stole. Domyślam się, że panna Martha i panna Harriet wzniosłyby ręce ze zgrozy, słysząc sugestię, że podczas posiłków może istnieć w tej szkole jakakolwiek rywalizacja pomiędzy uprzejmymi, młodymi damami. Tak czy inaczej ona jednak z całą pewnością istnieje.

Ktoś mógłby pomyśleć, że mnie i Amelii, jako najmłodszym, powinno przysługiwać pierwszeństwo przy stole, lecz w szkole Farnsworthów wcale tak nie jest. W ostatnim czasie można odnieść wrażenie, że obowiązuje tu zasada „łupy biorą najstarsi”, bez uwzględniania tych uczennic, które przybywając na pensję, przywiozły ze sobą cenne i w dzisiejszych czasach bardzo trudne do zdobycia produkty żywnościowe i inne towary... bez nazwisk.

Przez pewien czas sądziłam, że odkryłam sposób na wygrywanie tych swoistych konkursów w czasie posiłków. Zaczęłam na różne sposoby wywoływać niewielkie poruszenie na moim końcu stołu. Czasem kopałam Amelię albo głośno z nią rozmawiałam, innym razem rozlewałam trochę wody albo sięgałam po jakiś odległy produkt, zamiast poprosić o jego podanie. W ten i wiele innych sposobów okazywałam tak okropne maniery przy stole, że w końcu panna Martha w desperacji ni mniej, ni więcej, tylko ściągała mnie z mojego krzesła, aby następnie doprowadzić na miejsce obok siebie,

naprzeciw panny Harriet.

Mój plan działał świetnie przez pewien czas. Tam, u szczytu stołu, byłam obsługiwana tuż po nauczycielkach i przed pozostałymi dziewczętami, dzięki czemu przez kilka semestrów powodziło mi się znacznie lepiej niż wcześniej, do momentu, w którym panna Martha ostatecznie uświadomiła sobie, że celowo zachowuję się niepoprawnie, i zaczęła nakazywać mi, bym odeszła od stołu.

Sądzę, że gdyby to panna Harriet zarządzała tutaj jadalnią, nie miałybyśmy tych problemów. Jest bardziej sprawiedliwa, gdy chodzi o zapewnienie młodszym uczennicom należnej im porcji jedzenia, lecz – jak zwykł mawiać mój ojciec – nie ona kieruje tym parowcem. Poza tym tak często śni na jawie, że nawet nie zauważa, co się dzieje. Niemniej jednak, gdy ktoś zostaje odesłany od stołu, mamy do czynienia z zupełnie inną sytuacją. Wygnana osoba natychmiast zyskuje bezwarunkowe współczucie panny Harriet i tyle jej wsparcia, na ile może sobie pozwolić.

Wyjaśniłam to wszystko Amelii Dabney, która – podobnie jak panna Harriet – żyje we własnym świecie. Oczywiście nie są to zbyt podobne światy. Umysł panny Harriet zasadniczo tkwi w przeszłości i zajmuje się balami oraz przyjęciami, na które uczęszczała w dawnych czasach bądź w swojej pamięci o dawnych czasach. Wiem o tym, ponieważ bidulka często mówi sama do siebie, gdy myśli, że nikt jej nie słyszy.

Świat Amelii zupełnie nie obejmuje istot ludzkich. Jest pełen nietoperzy, robaków i wszystkich pełzających stworzeń, które żyją w kłodach, pod kamieniami i w szczelinach drzew. Sądzę, że Amelia Dabney ani trochę nie przejęłaby się, gdyby jutro cała ludzka rasa uległa zagładzie, pod warunkiem że jej ukochane leśne stworzenia nie doznałyby uszczerbku. Przyznam, że czasem chciałabym mieć inną współlokatorkę, ponieważ wcale nie podoba mi się mieszkanie w pokoju, w którym w każdej chwili możesz natknąć się na robaki w szufladzie biurka i nietoperze na stelażu łóżka.

– Nie martw się teraz o swoją kolację – dodałam jej otuchy. – Panna Harriet będzie tu za chwilę z jakimiś batatami i zieleninami, a może nawet plasterkiem bekonu, ponieważ sądzę, że pannie Marcie udało się dzisiaj przywieźć ich

trochę do domu.

Próbowałam pocieszyć Amelię, ponieważ nie przywykła, tak jak ja, do bycia w niełasce. Niemniej jednak, choć żyje w śmiertelnym strachu przed ostrym słowem ze strony panny Marthy bądź kogokolwiek, na dobrą sprawę ma mniej powodów do martwienia się brakiem kolacji niż ktokolwiek w tym domu. Ta dziewczyna ma skrzynię pełną orzechów, korzonków, jagód i grzybów dzisiaj zebranych, jak sądzę trujących, a także takich, które da się bezpiecznie jeść. Domyślałam się, że można niektóre spokojnie jeść, ponieważ przy tej okazji Amelia z pewnością je jadła.

Zaproponowała mi kilka, lecz grzecznie odmówiłam. Nie ma wątpliwości, że zna wiele sekretów przyrody, dopóki jednak byłam pewna, że panna Harriet wkrótce i tak przyjdzie z czymś, co uda jej się przemycić z kolacji, dopóty nie chciałam ryzykować z grzybami. Przyjęłam garść jagód oraz kilka orzechów włoskich i laskowych, które pozostały z zeszłej jesieni.

– Jak, twoim zdaniem, zakończy się ta historia z Jankesem? – spytałam.

– We wszystkich znanych mi porządkach panujących w królestwie zwierząt i owadów intruz nigdy nie jest pokojowo akceptowany. Wynika to jasno z książki pewnego angielskiego przyrodnika, którą mam w kufrze.

– A co się dzieje z intruzami w tych królestwach? – spytałam. Usiłowałam po cichutku rozłupać orzecha włoskiego, przytrzymując go szufladą biurka, aby panna Martha tego nie usłyszała.

– Cóż, czasami wygrywają – stwierdziła Amelia w zamyśleniu. – Widziałam kiedyś, jak osa zaatakowała gniazdo koników polnych, zabiła je, a przynajmniej sparaliżowała żądłem, a potem powyciągała po kolei i zjadła.

– Dobry Boże, jakże się cieszę, że nie jestem konikiem polnym! – powiedziałam w chwili, w której wreszcie udało mi się rozłupać orzecha, uszkodzając przy tym nieco bok szuflady, ale chyba w niezbyt widoczny sposób.

– Z drugiej strony często intruz wcale nie wygrywa – kontynuowała Amelia. – Widziałam gąsienicę, która zaatakowała gniazdo małych czerwonych mrówek, ale one obróciły ją w taki sposób, że była całkowicie zdana na ich łaskę. Maleńkie mrówki tak długo głaskały gąsienicę swoimi

czułkami, aż się odprężyła i wypuściła z okolic odwłoka kilka kropel płynu. One się nim podzieliły i czerpały z tego wyraźną przyjemność. Gdy już ją w ten sposób wydoiły, wspólnymi siłami zaciągnęły bezbroną ofiarę pod ziemię, aby później ją zjeść.

– Wielkie nieba! – wykrzyknęłam. – Czy ta gąsienica została na stałe okaleczona?

– Nie jestem pewna, choć z punktu widzenia przyrodnika nie ma to większego znaczenia. Gąsienica i tak umarłaby wiosną, przekształcając się w motyla, a tymczasem dostarczała pożywienia tej małej kolonii mrówek.

Ta dziewczyna wyraźnie zabawia się w przedziwny sposób. Chyba nigdy nie znałam drugiej osoby, która spędzałaby czas tak jak Amelia. Godzinami siedzi nad mrowiskiem czy gniazdem koników polnych, a następnie wyciąga naukę moralną z aktywności tych owadów, jeśli to, co usiłowała mi wówczas przekazać, miało stanowić naukę moralną.

– Nadal nie powiedziałaś, co twoim zdaniem panna Martha ostatecznie zrobi z kapralem McBurneyem – uściśliłam.

– Nie wiem – odparła. – Mam nadzieję, że wkrótce wyzdrowieje i odejdzie albo umrze.

– Amelio Dabney! – zawołałam nieco zszokowana.

– Jeśli miałby zostać tu potraktowany w okrutny sposób, wolałabym chyba, żeby tak właśnie się stało. Jeśli stwierdzę, że tak się dzieje, to chyba zabiorę go dziś wieczór z powrotem do lasu.

– Wątpię, czy jest w stanie chodzić – zauważyłam.

– Pomogę mu, tak jak wcześniej.

– Teraz jest nieprzytomny.

– Może po pewnym czasie się ocknie.

– No, jeśli tak, to dzięki temu, że panna Martha się nim zajęła i pozszywała mu nogę. A to moim zdaniem nie wygląda na okrucieństwo. „Oddaj szatanowi, co szatańskie” powtarza moja matka, a co jest dobre dla szatana, jest dobre i dla panny Marthy, tak ja uważam – podsumowałam.

– Dzisiaj jest traktowany dobrze, ale to żadna gwarancja na przyszłość –

zauważyła Amelia. – Chciałabym, abyś coś mi obiecała, Marie. Jeśli stwierdzę, że lepiej będzie, by kapral McBurney nas opuścił, razem ze mną pomożesz mu uciec.

– A jakiej to pomocy on miałby potrzebować? Jest dorosłym mężczyzną, ma co najmniej osiemnaście lat. Gdy noga mu się wyleczy, będzie mógł po prostu stąd wyjść i wrócić do Armii Unii albo nawet na biegun północny czy dokądkolwiek sobie zażyczy.

– Ale i tak mi to obiecaj – nalegała Amelia.

Zrobiłam to, aby ją uspokoić. Nie mogłam zrozumieć, jakaż to krzywda mogła się przydarzyć kapralowi McBurneyowi ze strony pięciu dziewcząt i trzech starszych kobiet, lecz by uspokoić to nerwowe dziecko, zgodziłam się. Choć jest o trzy lata ode mnie starsza, nazywam ją dzieckiem, bo ja na pewno dorosnę na długo przed panną Amelią Dabney.

Wkrótce postanowiła wrócić na dół, aby zobaczyć, jak się miewa kapral McBurney. Nie miałam nic przeciwko temu, bo gdyby nie wróciła, zanim pojawi się tu panna Harriet z przemyconą kolacją, oznaczałoby to więcej jedzenia dla mnie. Amelia zjadła tak dużo swoich leśnych smakołyków, że niewątpliwie nie miała już apetytu na normalne jedzenie.

– Jeśli nie jesteś zajęta niczym innym, chciałabym, abyś rzuciła okiem na mojego chelydra serpentina – powiedziała, przystając w drzwiach.

– Na co?

– To mój mały żółw jaszczurowaty. Jest pod łóżkiem w tym twoim starym pudełku na biżuterię, które stało puste i którego i tak nie używałaś.

– Gdyby ktoś kiedyś dał mi jakieś klejnoty, trzeba będzie je umieścić w tym właśnie pudełku – zwróciłam jej uwagę. – Sądzę, że właśnie dlatego moja matka mi je podarowała. Gdyby dowiedziała się, że jakiś stary żółw jaszczurowaty zajmuje moją szkatułkę z drewna tekowego, na pewno nie byłaby zadowolona.

Mój Boże, musisz nieustannie mieć się na baczności z tą dziewczyną, jeśli nie chcesz, aby wszystkie twoje rzeczy posłużyły za schronienie kolekcjonowanych przez nią potworów. W każdym razie stanowczo

odmówiłam jakiegokolwiek kontaktu z jej żółwiem jaszczurowatym.

Następnie Amelia opuściła pokój, poruszając się jak zawsze bardzo cichutko, i zeszła na dół. Pomyślałam, że ta dziewczyna bez wątpienia nie będzie miała najmniejszego problemu, aby uciec skądkolwiek i komukolwiek. Potrafi pojawiać się i znikać niezauważalnie niczym letni cień. Gdyby ktoś naprawdę chciał uciec niepostrzeżenie z pensji Farnsworthów, moim zdaniem powinien poprosić o radę pannę Amelię Dabney.

AMELIA DABNEY

Kiedy zesłam po schodach, żeby zajrzeć do kaprała Johna McBurneya, pozostałe mieszkanki szkoły siedziały jeszcze przy stole, dzięki temu mogłam wejść do bawialni niezauważona.

Chyba naprawdę czuł się nieco lepiej. Nadal był bardzo blady i się nie ruszał, ale chyba miał cieplejsze dłonie, a jego oddech stawał się już prawie równy i w miarę słyszalny. Podeszłam do drzwi ogrodowych i lekko je uchyliłam, żeby wpuścić trochę świeżego powietrza.

Dzień dobiegł już końca, a wraz z nim właściwie umilkły odgłosy bitwy, ale las położony na wschód od nas wciąż płonął. Zastanawiałam się, co się stanie z tymi ptakami i zwierzętami. Czy Bóg pozwoli im uniknąć płomieni? Czy ochroni ich nory i gniazda do czasu, aż wojska przejdą dalej?

Kilka tygodni wcześniej właśnie w tamtej części lasu natrafiłam na wspaniale zbudowane przepiórcze gniazdo, skryte w kępie wysokiej trawy i niedostępne oczom przelatujących jastrzębi, pod daszkiem z pnączy dzikiego wina. I wtedy gdy je odkryłam, naliczyłam w nim jedenaście jajek, a teraz się zastanawiałam, czy przepiórcze pisklęta zdążyły do dziś wykluć się ze skorupki i uciec z gniazda. Bóg, który pozwoliłby zginąć tym pisklakom, byłby straszliwie okrutny i chyba nigdy bym nie znalazła z Nim wspólnego języka.

Szczerze mówiąc, czasami bardziej się martwię o los niewinnych zwierząt, które cierpią przez tę wojnę, niż o żołnierzy po obu stronach, którzy przynajmniej częściowo odpowiadają za swój los. Większość z nich pewnie zgłosiła się na ochotnika i dlatego tu jest, a nawet jeśli nie, to przecież zawsze mogą uciec z płonącego lasu tak jak kapral McBurney.

Nie potrafię powiedzieć, czy myślałabym podobnie, gdyby moi bracia wciąż żyli. Wiem, że zarówno Dick, jak i Billy pewnie wyśmialiby moje uczucia, gdyby tu teraz byli, tak jak zawsze śmiali się z mojego płaczu, kiedy polowali na przepiórki i bażanty. Wiem też, że gdyby mieli jutro wstać

z grobu, na pewno znowu by się zgłosili do wojska z poczuciem, że poprzednio pewnie ich ominęło coś ekscytującego. A żadne zwierzę przenigdy nie zrobiłoby nic tak głupiego.

A to, czy dla kogoś ważniejsze są zwierzęta, czy ludzie, zależy przede wszystkim od konkretnych okoliczności. Dobrze wiem, że na pensji nigdy nie czułam się z nikim szczególnie blisko związana, może poza Marie Deveraux, ale i to sporadycznie. Aż w końcu trafiłam na kaprala McBurneya i sprowadziłam go do nas. Jak stwierdziłam już tego pierwszego wieczoru, był on osobą bardzo podobną do mnie – można chyba mnie nazwać osobą samotną i byłam przekonana, że kapral McBurney też taki jest.

Pomimo wojny dźwięki zapadającej nocy odezwały się jak zwykle. Najpierw cykady w dębie za budynkiem, do nich dołączyły świerszcze i żaby z potoku. Przez chwilę brakowało mi głosu znajomej żaby ryczącej i już się zmartwiłam, że coś jej się stało, ale w końcu zabrała głos... muuu.... muuu... Później swój trel podjęli mieszkańcy drzew, w nocny śpiew włączyło się kilka słowików, a w końcu stara sowa mieszkająca pod okapem naszego dachu. W dzień siedzi cicho z obawy przed zdemaskowaniem, ale doskonale wie, że nocą nic jej nie grozi z naszej strony, więc i ona pohukiwaniem uzupełniła chór.

Do odgłosów natury niekiedy dołączały strzały, które echo niosło z daleka, od lasu. Wartownicy obu walczących stron wciąż się nie uspokoili. Chyba trudno zaprzestać czegokolwiek, nawet zabijania, gdy sumiennie robi się to przez cały dzień. Biedni i samotni wartownicy – westchnęłam. – Chciałabym, żebyście wszyscy mogli się wydostać dziś z tego lasu. I tak wróciłam myślami do kaprala McBurneya, który odnalazł swoją drogę wyjścia.

Czy teraz zwyczajnie spał, czy wciąż leżał nieprzytomny z osłabienia? Kiedy usiadłam na podłodze przy kanapie i niemal przyłożyłam usta do jego ucha, nawet się nie poruszył.

– Kapralu McBurney – wyszeptałam. – Może mnie nie słyszysz, ale i tak chcę powiedzieć, że postaram się panu pomóc tak, jak tylko potrafię. Jestem pańską przyjaciółką, kapralu McBurney. Jeśli będzie pan tu źle traktowany, musi pan tylko przyjść do mnie, a ja panu pomogę. Zapewne są tu tacy, którzy

znienawidzą pana za ten mundur, ale ja nie mam w sobie takich uczuć. Lubię pana i chcę, żeby pan szybko wyzdrowiał. Proszę o tym pamiętać, kapralu McBurney. Jestem pańską przyjaciółką.

– Co ty tu robisz, mała przybłądo? – W progu pokoju stała Edwina Morrow. Jak widać podniosła się już po omdleniu.

– Mówiłam kapralowi McBurneyowi coś osobistego – odparłam.

– Odsuń się od niego, ty mała flejo. To nie jest jeden z twoich ptaszków czy żuczków, które miętolisz brudnymi paluchami.

– Edwino, ręce mam czyste. Poza tym i tak nie dotykam kaprala McBurneya, tylko mówię do niego.

– Jak możesz do niego mówić, kiedy jest w takim stanie, ty mały bęcwale!

Edwina niestrudzenie określała mnie epitetami, zaczynając od „ty mały”. Nie wiem, jak coś małego może być gorsze od czegoś dużego, ale w ustach Edwiny zawsze tak to właśnie brzmiało. Oczywiście guzik mnie obchodzi, jak mnie nazywa. Wiem, że mówienie takich rzeczy leży w naturze Edwiny i jestem przekonana, że nie idzie za tym osobista niechęć do mnie, a przynajmniej nie większa do mnie niż do kogokolwiek innego.

To prawda, że czasami dostaje mi się więcej niż innym dziewczętom, ale myślę, że to dlatego, że nie odpłacam pięknym za nadobne. Kiedyś, gdy Edwina pozwoliła sobie na wyjątkowo paskudną uwagę pod adresem Alice Simms, ta przeszła przez cały pokój i spoliczkowała ją. Kiedy innym razem powiedziała coś, co Marie Deveraux opacznie odebrała, Marie, która, jak to mieszkańcy Luizjany, jest wyczulona w sprawach honoru, odczekała cierpliwie tydzień czy dłużej, a gdy przyszedł niedzielny poranek przed nabożeństwem kościelnym, spacerującą po ogrodzie Edwinę oblała wiadrem brudnej wody. Oczywiście została za to surowo ukarana, ale dla Marie kara w takiej sytuacji naprawdę niewiele znaczy. To niechybnie spowodowało, że potem już Edwina nie wchodziła jej w drogę. Marie ma wprawdzie raptem dziesięć lat, ale należy do wyjątkowo mściwych ludzi.

Edwina weszła do pokoju, trzymając coś za plecami.

– Idź na górę do łóżka, jak panna Martha ci kazała – rzuciła w moją stronę.

– Wcale nie kazała mi iść do łóżka – poprawiłam ją. – Powiedziała tylko Marie i mnie, że mamy pójść do pokoju bez kolacji. Edwino, co trzymasz za plecami?

– Nic – szybko odparła. – To nie twoja sprawa.

– Wygląda na miskę porowej z ziemniakami. – Domyśliłam się. – I właśnie rozlewasz zupę po dywanie.

– Rany, ale ty jesteś wścibska – westchnęła Edwina. – Po prostu miałam już potąd głupiego gędzenia w jadalni i wzięłam zupę ze sobą, żeby tu ją dokończyć.

– No to dokończ, śmiało, przecież nie będę ci przeszkadzać.

– Zjem, jak przyjdzie na to czas.

– Jeśli się nie pospieszysz, zupa całkiem wystygnie.

– To naprawdę nie powinno cię obchodzić, Amelio – rzuciła w złości. – A może wolę zjeść zimną, nie pomyślałaś o tym?

Wtedy przyszło mi do głowy coś, na co wpadłabym natychmiast, gdyby chodziło nie o Edwinę, tylko o kogokolwiek innego przynoszącego zupę. Postanowiłam sprawdzić swoje podejrzenia.

– Wracam na górę, skoro ty tu będziesz i nie spuścisz kaprała McBurneya z oka – zdecydowałam.

– Wreszcie pierwsza rozsądna rzecz, jaką od ciebie usłyszałam. On musi swoje wyleżeć. Do niczego nie potrzebuje natrętnych małych dzieciaków – sarknęła.

Przynajmniej awansowałam na małego dzieciaka, co w ustach Edwiny brzmiało niemal jak komplement.

– Dobrze, Edwino, dobrej nocy – pożegnałam ją, niespiesznie wychodząc z pomieszczenia.

– Krzyżyk na drogę – odparła, obserwując mnie.

Weszłam kilka schodków, potem przystanąłam i odczekałam chwilę, a później zeszłam najciszej, jak się da, i stanęłam obok wejścia do bawialni. Naprawdę nie lubię szpiegować innych osób, ale skoro chodziło o kaprała McBurneya, musiałam upewnić się co do sytuacji.

Tak jak przypuszczałam, Edwina stała nad nim i usiłowała go nakarmić. Chciałam krzyknąć, bo śmiertelnie się bałam, że zadławi go zupą, jednocześnie doceniałam, że tak troszczy się o niego. Poza tym bałam się, że jeśli nakryję ją na wspaniałomyślnym uczynku, to może już nigdy nie zechce mu pomóc. A postanowiłam, że w takim momencie kapral McBurney potrzebuje każdej przyjaznej duszy, jaką może spotkać w tym domu.

O dziwo część zupy chyba trafiała tam, gdzie trzeba. Większość co prawda kapłała mu z brody, a za każdym razem Edwina cierpliwie odkładała łyżkę i delikatnie przecierała podbródek kaprała swoją chusteczką. Zauważyłam, że to inna chusteczka niż ta, o której wcześniej mówiła, że jest z chińskiego jedwabiu. Edwina ewidentnie mogła więc poświęcić wiele chusteczek dla kaprała McBurneya, a kapral McBurney ewidentnie połykał trochę porowej z ziemniakami.

„No, no, Edwino Morrow”, pomyślałam. „Jeśli tak wygląda twoja prawdziwa twarz, to możesz mnie nazywać, jak tylko zapragniesz, nie będzie mi to przeszkadzać ani trochę. No i zachowam twój sekret, skoro tak chcesz. Nie zapominajmy, że obecnie liczy się tylko to, by kapral McBurney wrócił do zdrowia”.

Skoro miałam już pewność, że Jankes w mundurze znajduje się – przynajmniej na razie – w dobrych rękach, zadowolona odeszłam od drzwi i wróciłam po schodach do pokoju, który dzielę z Marie Deveraux.

HARRIET FARNSWORTH

Kiedy już zostało posprzątane po obiedzie, uznałam, że miłość bliźniego nakazuje zanieść nieco jedzenia na górę Amelii Dabney i Marie Deveraux, które zostały odesłane do swojego pokoju. Siostra z pewnością nie pochwaliłaby mojego zachowania, a ja zdaję sobie sprawę, że miała wszelkie prawo przywołać te dziewczęta do porządku i ukarać za impertynenckie zachowanie, ale cała noc bez pożywienia to dla dorastającego organizmu bardzo długi czas. Poza tym sam Pan Bóg wie, że w tych dniach niedostatku one i tak nie odżywiają się jak należy. Z pomocą naszej kochanej Mattie zdołałam zdobyć bochenek chleba, nieco groszku i zieleniny. Uznałam, że miska takiego pożywienia, połączona z odrobiną bekonu, który zachowałam dla nich z własnego talerza, powinna pomóc tym młodym grzesznicom przetrwać do rana. Przyjęły mój dobroczynny gest z typową dla nich obojętnością – jak podarunki przyniesione arystokracji, a nie jałmużnę dla potrzebujących.

– Jedźcie prędko, dziewczęta – nakazałam. – A później gościę światło i kładźcie się do łóżek, zanim panna Martha przyjdzie na obchód.

– Ze wszystkim sobie poradzimy, panno Harriet – odrzekła swobodnie Marie, biorąc swoją porcję. – Mamy w tym pokoju opracowany system, dzięki któremu panna Martha może wejść aż na szczyt schodów, a nawet ruszyć korytarzem, a my i tak zdążymy zdmuchnąć świecę i leżeć w łóżkach, jakbyśmy spały już długie godziny, zanim panna Martha dotrze do naszych drzwi. Naszą podstawową linię obrony stanowi doskonały słuch Amelii, która jest w stanie wychwycić nawet najcichszy odgłos z każdego miejsca w całym domu.

– Nie wygląda mi to na porządny system – oceniłam. – I radziłabym wam nie marnować świec. Możecie tego bardzo żałować, gdy będziecie w prawdziwej potrzebie i okaże się, że nic wam nie zostało.

– Mamy zapas – odparło to dziecko, które zawsze na wszystko ma

odpowiedź. – Amelia przyniosła wosk pszczeli z lasu i zrobiliśmy sobie własne.

– Marie, proszę, odłóż dla mnie trochę chleba – zwróciła się do niej Amelia, skubiąc zieleninę.

– Wystarczy dla was obu – zapewniłam. – Możecie podzielić się po równo.

– Ona nie chce chleba dla siebie – wyjaśniła Marie. – To dla jej żółwia. Twierdzi, że jest niezdrów, a ona przez to zamieszanie z McBurneyem zapomniała dziś nałapać much dla niego.

– Rozumiem – powiedziałam i naprawdę pragnęłam zrozumieć, ale to nie było łatwe. – Cóż, wszyscy jesteśmy stworzeniami Bożymi... wy i ja, i pan McBurney... i żółw Amelii również.

– Czy zwierzęta idą po śmierci do nieba? – zapytała Amelia, zwracając ku mnie swoją drobną twarzyczkę.

– Nie sędzę – odrzekłam. – Wydaje mi się, że Pan Bóg pozwala im zaznać szczęścia w życiu doczesnym.

– A co ze zwierzętami, które giną dzisiaj w lasach?

– Cóż, po pierwsze, nie mamy pewności, czy rzeczywiście umierają, prawda? Może wszystkim udało się uciec przed ogniem. A nawet jeśli kilka utknęło w lesie, to na pewno były stare zwierzęta, których czas i tak już nadchodził. Jestem pewna, że Pan Bóg oszczędził im cierpienia – wyjaśniłam.

– A co z nami? – wtrąciła Marie. – Czy my nie zaznamy szczęścia w życiu doczesnym?

– Niewielu ludzi go zaznaje.

– Ja zamierzam swojego zaznać – oznajmiła Marie. – Nie jestem taka pewna, czy zależy mi na pójsciu do nieba, zwłaszcza że jest tam wiele zasad i zakazów. Chyba wolę nacieszyć się życiem na ziemi.

– Będiesz mieć wielkie szczęście, jeśli ci się to uda. Już teraz zaznałaś więcej szczęścia niż Amelia. Ona doświadczyła wielkiego cierpienia, bo straciła dwóch braci.

– Cóż, mój ojciec też jest w armii, tak samo jak mój brat Louis – odparła Marie. – Skąd mogę wiedzieć, czy w ogóle jeszcze żyje, zwłaszcza że poczta

ostatnimi czasy mocno szwankuje. A czy pani była kiedyś naprawdę szczęśliwa, panno Harriet?

– Owszem, raz, dawno temu, ale to nie trwało zbyt długo.

– A co zakończyło pani szczęście? – zaciekała się Amelia.

– Zdrowy rozsądek – odparłam zwięźle. Czasem trudno mi ocenić, jak daleko można się posunąć z takimi dziećmi jak one. Człowiek pragnie być dla nich dobry, ale jednocześnie trudno pozbyć się podejrzeń, że wiedzą więcej, niż dają po sobie poznać. Często myślę, że dobrze znają odpowiedzi na swoje pytania i zadają je tylko dlatego, że są ciekawe, jaką reakcję wywołają.

– Czy kapral McBurney jest szczęśliwy, jak pani myśli? – wtrąciła Amelia.

– Jeśli nie jest, a odzyska siły, musimy zrobić co w naszej mocy, by pobyt tutaj upłynął mu jak najprzyjemniej. Choć wydaje mi się, że samo przebywanie jakiś czas z dala od wojny powinno go uszczęśliwić.

– Tak, to prawda. – Zamyśliła się Amelia. – Sam tak dzisiaj powiedział.

– Panno Harriet, a jak to było, kiedy doświadczyła pani swojego szczęścia dawno temu? – zapytała Marie, nasza naczelna śledcza.

– Bardzo miło.

– Czy myśli pani, że jeszcze kiedyś się to pani przydarzy?

– Już na to nie liczę.

– A cieszyłaby się pani, gdyby tak się stało?

– Cóż... tak, myślę, że tak, ale widzicie, to nie byłoby już takie samo, bo kiedy raz poznamy nieszczęście, nie jesteśmy już w stanie doświadczyć niezmaconego szczęścia. To możliwe jedynie w stanie niewinności.

Niewinności? Tak, wydawały się zupełnie niewinne, kiedy przyglądały mi się w milczeniu: Amelia smutnymi, brązowymi oczami, a Marie – w kolorze czystego błękitu.

– Umyjcie teraz twarze i zęby i wyszczotkujcie włosy, jedna i druga. Każda niech przeczesze włosy energicznie sto razy, żeby były gładkie i lśniące, kiedy wyrośniecie na piękne młode damy i będziecie tańczyć na parkiecie na waszym pierwszym balu.

– A czy pani włosy lśniły podczas pierwszego balu, panno Harriet? – dopytywała Marie.

– Owszem, tak. Były czarne jak heban i lśniące, bardzo podobne do włosów panny Edwiny Morrow. Miałam je upięte w piękny węzeł złotą spinką, jeśli dobrze pamiętam...

– A kto odprowadzał panią na pierwszy bal? – zainteresowała się Amelia.

– Mój brat.

– On też nie żyje, prawda? – wtrąciła Marie.

– Panna Martha tak uważa.

– Ale pani nie? – chciała wiedzieć Amelia.

– Nie myślę o tym.

– Ma pani teraz we włosach siwe pasmo – zauważyła Amelia. – Czy to ze smutku, czy z rozczarowania?

– Najpewniej to kwestia wieku – odrzekłam.

– Dlaczego ma pani siwiznę we włosach? – Marie się nie poddawała. – Przecież panna Martha jest starsza, a nie ma ani jednego siwego włosa.

– Może lepiej spytaj o to pannę Marthę – ucięłam. – A teraz proszę zrobić tak, jak poleciłam, a potem zmówić pacierz i kłaść się do łóżek.

– Mnie niespecjalnie interesują bale – oznajmiła Marie. – Wiem, że nigdy nie będę olśniewającą pięknnością, więc wydaje mi się, że to okropna strata czasu.

– Ja też niewiele myślę o balach, chyba że kiedyś mogłabym pójść na bal z kapralem McBurneyem – dodała Amelia. – Jak pani myśli, panno Harriet, czy mógłby mi kiedyś towarzyszyć na takim przyjęciu? Oczywiście kiedy wojna już się skończy.

– Myślę, że chętnie to zrobi, ale sugerowałabym, żebyś w tej chwili nie składała mu takich propozycji. – To powiedziawszy, zamknęłam drzwi do ich pokoju i zeszłam z powrotem do bawialni. Lampa nadal paliła się na stole przy sofie, a nasz pacjent wciąż był nieprzytomny. Przy nim stało krzesło, na którym siedziała Edwina Morrow z nieprzyjazną miną i włosami z mojej młodości. Na dźwięk otwieranych drzwi podniosła wzrok i posłała mi harde

spojrzenie, lecz się nie odezwała, kiedy się zbliżyłam. Kapral McBurney nie wyglądał, jakby w bliższej lub dalszej przyszłości mógł wybrać się z Amelią na jakikolwiek bal.

– Odzyskał przytomność choć na chwilę? – wyszeptałam do Edwiny.

– Raz otworzył oczy, a kilka razy poruszył wargami, jakby próbował coś powiedzieć.

– No, to już coś – oceniłam. – A nuż do rana mu się poprawi. Możesz już iść do swojego pokoju, Edwino, teraz ja z nim trochę posiedzę.

– Mogę tu zostać. – Powiedziała to beznamiętnym tonem i widziałam, że czeka na moje protesty.

– Wiem, że możesz, moja droga, ale potrzebny ci odpoczynek. To bardzo szlachetne z twojej strony, że tak się troszczysz o tego młodego człowieka. Z pewnością będzie ci ogromnie wdzięczny, kiedy już wróci do zdrowia.

– Myśli pani, że on odzyska siły, panno Harriet?

– Wydaje mi się, że robi postępy. Możemy tylko się modlić, aby było tak dalej.

– Nie pokładam zbyt wielkich nadziei w modlitwie – oznajmiła Edwina. – Nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek coś dzięki niej zyskała.

– A czy kiedykolwiek się o coś modlisz?

– Kiedyś się modliłam, dawno temu. A pani, panno Harriet, modli się pani o coś czasami?

– Ależ oczywiście.

– A czy pani modlitwy zostały kiedyś wysłuchane?

Czy powinnam była powiedzieć jej prawdę? Nie, nigdy nie otrzymałam tego, o co prosiłam w modlitwach. Muszę przyznać, że od lat nie modłę się tak naprawdę, po prostu wykonuję wszystkie konieczne czynności, by zadowolić siostrę i podtrzymywać wizerunek pobożnej nauczycielki w chrześcijańskiej szkole. Boję się Boga – podobnie jak wielu innych rzeczy – ale się do Niego nie modłę, bo wiem, że to, o co bym się modliła, i tak nigdy nie będzie mi dane. W rzeczy samej, gdybym to ja była Bogiem, pewnie też bym nie spełniła takiej prośby.

– Mówi się, że żadna modlitwa nigdy nie idzie na zmarnowanie – odparłam oględnie. – Jeśli nie zawsze otrzymujemy to, o co prosimy, to dlatego, że czasem Pan daje nam w zamian coś lepszego.

– A gdybyśmy się modliły, by Jankes przeżył, a on umrze, czy to byłoby lepsze?

Zbyt pochopnie wyciągnęłam wnioski. Edwina pozostała tą samą krnąbrną panią.

– Nie wiem, na jakiej podstawie i proszę, moja droga, nie pytaj mnie o to, ale wierzę, że mogłoby tak właśnie być.

– Och, ja widzę, na jakiej podstawie. – Uśmiechnęła się, widząc moje zniecierpliwienie. – Jeśli nasze życie jest dostatecznie złe i nieszczęśliwe, czasami lepiej umrzeć... zgodzi się pani ze mną? Tak czy inaczej, nie zamierzam modlić się za tego Jankesa. Niech natura zadecyduje. Jestem pewna, że i tak właśnie to się wydarzy.

– Jak wolisz, moja droga.

– Z wyglądu przypomina nieco mojego ojca – dodała niespodziewanie. – Widziała pani kiedyś mojego ojca, panno Harriet? Jest dość przystojnym mężczyzną.

– Nie wydaje mi się, bym kiedyś dostąpiła tej przyjemności – odparłam. Edwina doskonale wiedziała, że pan Morrow nigdy nie odwiedził naszej szkoły, ale jeśli pragnęła udawać, że przy jakiejś okazji się tu pojawił, a mnie to akurat ominęło, cóż, nic mnie nie kosztowało tolerowanie jej smutnego małego kaprysu. – W takim razie zgaduję, że urodę masz po matce – zauważyłam. Miałam dobre intencje, chciałam jedynie tak poprowadzić rozmowę, by nie doszło do sprzeczki. – Rozumiem, że twój ojciec jest jasnej karnacji.

– Nie, wcale nie. Jest ciemny, jeszcze ciemniejszy niż ja – sprostowała prędko Edwina. – Chciałam tylko powiedzieć, że on ma podobne rysy twarzy.

– W takim razie twoja matka musi być niezwykle piękną kobietą, a ty z pewnością to po niej odziedziczyłaś, bo w niczym nie przypominasz tego młodego człowieka.

– Panno Harriet, dlaczego tak bardzo draży pani ten temat? Po co w kółko mówić o czymś tak nieistotnym?

– Wybacz, moja droga. Zapomniałam, o ile w ogóle kiedyś mi o tym mówiono, czy twoja matka nadal żyje?

– Oczywiście, że żyje!

– Proszę... – zaczęłam. – Moje dziecko, nie chciałam wyprowadzić cię z równowagi.

– Nie jestem pani dzieckiem! Niech pani przestanie się tak niemądrze zachowywać!

– Ale to przecież ty... – zaprotestowałam zaskoczona, po czym zrozumiałam, że nie mam nic na swoją obronę. Po raz kolejny odkryłam, że okazywanie Edwinie Morrow życzliwości to próżny wysiłek.

– Możesz już odejść do swojego pokoju, Edwino.

– Dobrze, proszę pani – odparła z szyderczym dygnięciem.

– Och, proszę – westchnęłam. Tego słowa używam chyba najczęściej, ale po prostu nie potrafię dla nikogo być surowa zbyt długo, nawet dla Edwiny. Kiedy się odwracała, wyglądała jak samotna, mała dziewczynka. – Proszę, Edwino, poczekaj chwilę.

– Tak, proszę pani?

– Ile masz lat?

– Panna Martha ma to zapisane w księdze przyjęć.

– Nie mam jej w tej chwili pod ręką.

– Mam szesnaście lat.

– Prawie siedemnaście?

– Jeszcze nie siedemnaście.

– Czy to nie zdumiewające, jak elastyczną sprawą jest wiek? – zauważyłam rozbawiona. – Gdybym zadała to samo pytanie Marie, która jeśli dobrze pamiętam, ma dziesięć lat, bez wątplenia odparłaby „jedenaście”, chcąc przez to powiedzieć, że rozpoczęła już jedenasty rok życia, ale mimo to nieco by sobie dodała. Czy chciałabyś dalej mieć szesnaście lat?

– Wszystko mi jedno.

– Jesteś tu chyba najstarsza.

– Możliwe, ale tylko kilka miesięcy starsza od Emily. Znow prowadzimy bardzo przyziemną rozmowę, panno Harriet.

– Wiem – przytaknęłam. – Chciałam tylko... cóż, nie odesłać cię tak gwałtownie.

– Przyjmuję pani przeprosiny.

– Nie przepraszam, panno Edwino! – Obawiam się, że podniosłam głos, bo panna Edwina znow wytrąciła mnie z równowagi.

– Tak, proszę pani. Czy mogę już odejść, jak pani sugerowała?

– A co chciałabyś zrobić, Edwino? – Teraz mogłabym przysiąc, że celowo mnie prowokuje. – Pozwolę ci zdecydować. Jeśli wolałabyś tu zostać jeszcze przez jakiś czas, możesz zostać.

– Sama?

– No, z kapralem McBurneyem. Może też trochę tu posiedzę z robótką, skoro i tak pali się lampa.

– Myślę, że chyba jednak wolałabym się położyć, panno Harriet.

– Dobrze – powiedziałam tak łagodnie, jak tylko potrafiłam. – Jeszcze jedno, i to nie jest przyziemna sprawa, przynajmniej dla mnie. Dziś ktoś mi przypomniał, że twoje włosy mają niemal dokładnie taki sam kolor i blask jak moje, kiedy byłam w twoim wieku, a przynajmniej teraz tak mi się wydaje.

Edwina przez chwilę stała w milczeniu, zapewne doszukując się w komplementcie ukrytego ciernia, aż w końcu chyba uznała, że jeśli rzeczywiście jakiś tam jest, to jej nie zagraża.

– Dziękuję, panno Harriet – rzekła ostatecznie, całkiem uprzejmie.

– Edwino, jesteś bardzo atrakcyjną młodą damą. Powinnaś się cieszyć, że dorastasz. Od dawna nie uczyła się w naszej szkole równie piękna panna.

– Za to również dziękuję – dodała, teraz już zupełnie bez złośliwości. – Nie sprawia mi to większej różnicy, ale doceniam pani miłe słowa. – Uśmiechnęła się blado, to była jedna z rzadkich chwil, kiedy ujrzałam na jej twarzy

uśmiech, i odwróciła się do wyjścia, lecz wtem przystanąła.

– Gdyby była potrzebna para rąk do opieki nad Jankesem, będę wdzięczna, jeśli poprosi mnie pani o pomoc. Może pani zauważyła, że dziś po południu nieco zasłabłam, ale to ze względu na silny ból głowy, który mnie dręczył od rana.

– Domyślałam się, że to musiało wiązać się z takim niedomaganiem, Edwino. Z pewnością cię zawołamy, gdy tylko będzie potrzebna jakaś pomoc.

Znów się uśmiechnęła i wyszła z pokoju, bez słowa mijając w przejściu starą Mattie. Służąca ponuro odprowadziła ją wzrokiem aż do schodów, po czym podeszła do mnie.

– Właśnie zrobiłam coś, dzięki czemu dobrze się poczułam – oznajmiłam. – Ukołam gniew komplementem. Powiedziałam przed chwilą tej młodej damie, że uważam ją za bardzo atrakcyjną.

– O, pewno, że jest ładna – zgodziła się Mattie. To pokazało, że w tej dobrej duszy kryje się głębokie człowieczeństwo, bo Edwina sprawiała Mattie zawsze więcej trudności niż którakolwiek z uczennic na pensji.

– Edwina bywa czasami niezwykle przykrą osobą – dodałam. – Ale teraz mam nadzieję, że dobroć ostatecznie przeciągnie ją na właściwą stronę.

– Dobrocią nie da się wymazać jej kłopotów – stwierdziła Mattie.

– Cóż, wiem, że jest w trudnej sytuacji rodzinnej. Ona i Alice Simms są w tej kwestii nieco do siebie podobne. Alice szuka swojego ojca, a Edwina matki.

– Mnie tam się nie wydaje, żeby ona szukała swojej matki – zaprzeczyła Mattie.

– To taka przerośnia. Nie wiem dokładnie, jak wygląda jej sytuacja, ale wydaje mi się, że jej rodzice nie mieszkają razem. I oczywiście nie ma też zbyt wielu okazji widywać się ze swoim ojcem. Nigdy nie przyjechał jej tu odwiedzić, a odkąd Edwina u nas mieszka, ani razu nie pojechała do domu. Muszę powiedzieć, że pieniędzy ma dostatek, choć to również nieco zastanawiające, skoro nigdy nie otrzymuje od niego żadnych listów.

– Pieniądze to ona ze sobą przywiozła – oznajmiła Mattie. – Trzyma je

w swoim pokoju i w innych miejscach w domu też. A przynajmniej kiedyś tak było. Teraz to możliwe że już jej nie zostało zbyt wiele.

– Może tym też się martwi, jeśli rzeczywiście kończą jej się pieniądze.

– Może też, ale pewno nie to ją gryzie najmocniej.

– No dobrze – odparłam dla świętego spokoju. – W takim razie wyjaśnij nam to, Mattie. Co jest główną przyczyną nieszczęść Edwiny?

– To, że nie wie, kim jest, nie wie, czym jest.

– Co masz na myśli, Mattie?

– Ona ma w sobie czarną krew.

– Mattie, Mattie... – wyszeptałam z przerażeniem. – Nie wolno ci mówić takich rzeczy.

– Jakby to była nieprawda, tobym nie gadała.

– Ale Mattie, ona wcale nie jest ciemniejsza niż mała Marie Deveraux, a jej rysy są niemal równie ostre jak moje.

– To niechże pani się jej przyjrzy jeszcze raz, panno Harriet. Pani jej w oczy dobrze popatrzy. To przez to jej tatko ją tu trzyma. Przez to jej nigdy do domu nie bierze.

– Posłuchaj mnie, Mattie – powiedziałam tak stanowczo, jak tylko umiałam. – Bez względu na twoją prywatną opinię na ten temat nie wolno ci nigdy powtórzyć tego ani słowem nikomu innemu.

– Dobrze, proszę pani, nie powtórzę.

– Nawet pannie Marcie.

– Nic więcej nie będę o tym mówiła. Pani też bym nic nie gadała, ale sama mnie pani spytała.

– Nawet gdyby to była prawda, a ja nie jestem gotowa tego przyjąć do wiadomości, Mattie, ale nawet jeśli, to bez różnicy. Może to dziecko nawet o tym nie wie.

– Wie.

– Mimo to nie możemy nigdy więcej o tym wspominać: ani przy niej, ani przy nikim innym. Nikt więcej w tym domu nie może o tym usłyszeć od żadnej

z nas.

– Może być, że ktoś już zdążył usłyszeć.

– Kto taki?

– A ten tu Jankes. Na chwilę otworzył oczy. Kto wie, czy uszy też.

Natychmiast się odwróciłam, ale wyglądał dokładnie tak samo jak wcześniej: błądy i nieruchomy. Oddychał regularnie, lecz tak płytko, że niemal nie dało się tego dostrzec.

– Mylisz się, Mattie – rzekłam po długiej chwili. – Nadal jest nieprzytomny. Może to tylko światło tak padło mu na twarz.

– Tak, proszę pani. Jak tak pani uważa.

Wtedy nieśmiało weszła Alice Simms. Zawsze gdy na nią patrzę, myślę sobie, że wygląda jak laleczka z dreźnieńskiej porcelany. Nawet jeśli jej przodkowie pochodzili z nizin, jej dziedzictwo rasowe nie pozostawiało najmniejszych wątpliwości. Miała tak błękitne oczy i tak złote włosy, że brakowało jej tylko kija i zielonego wzgórza w tle, by zmienić się w uroczą pastereczkę.

– Nie odmówimy dziś wieczornej modlitwy, Alice – oznajmiłam. – To znaczy nie będziemy modlić się wspólnie. Zmów tylko pacierz w swoim pokoju. Chcemy, aby nasz pacjent zaznał tu jak najwięcej spokoju.

– Tak, proszę pani – odrzekła moja mała pastereczka, mimo to wchodząc do bawialni.

Od dawna mam mocne postanowienie, by zrobić coś z tym dzieckiem. Jestem przekonana, że taka panienska jak Alice może wznieść się z nizin do najmajętniejszego stanu i dlatego trwam u jej boku. Już kilka razy stawiałam w jej obronie, gdy moja siostra traciła wszelką cierpliwość dla jej zachowania i zdolności oraz braku chęci do nauki, a raz czy dwa zamierzała nawet relegować ją z pensji. Alice w żadnym wypadku nie można uznać za najtrudniejszą z uczennic, ale dochodzi do tego jeszcze problem finansowy, który niestety w oczach mojej siostry wydłuża listę jej grzechów. Mimo to ostatnimi czasy okazuje się, że jeden z problemów Alice stał się jej błogosławieństwem. Nawet Martha nie może w tak trudnych czasach odesłać

panienki ze szkoły, jeśli nie ma dokąd.

– Wydaje mi się, że teraz wygląda przystojniej niż wcześniej – zauważyło moje bezdomne dziewczę.

– Prawdopodobnie sprawia takie wrażenie tylko dlatego, że teraz jest umyty – odparłam. – Przed przyjściem na kolację przetrąłam mu twarz i uczesałam nieco włosy.

– Należałoby go też ogolić – stwierdziła Alice. – Jego broda jest zbyt chłopięca, by dodawać mu szlachetności, a teraz wygląda po prostu nieporządnie.

– Cóż, może uda mi się znaleźć gdzieś starą brzytwę po moim ojcu albo bracie, ale nie ryzykowałabym takiej operacji w jego obecnym stanie. Nie posyłamy go na wystawę, próbujemy tylko przywrócić go do zdrowia.

– Ale chyba należałoby go porządnie umyć, nie sądzi pani, panno Harriet?

– Co masz na myśli?

– No... Może przydałaby mu się kąpiel.

– Jeśli ten młody człowiek wyzdrowieje, sam będzie mógł się wykąpać.

– Oczywiście, proszę pani – odparła bez zażenowania moja złotowłosa panienka.

Wtedy weszła Emily Stevenson, nasza młodsza starsza sierżant.

– Panno Harriet, panna Martha chciałyby porozmawiać z panią w kuchni – oznajmiła. – Natychmiast.

– Dobrze, panno Emily. Nie odmawiamy dziś tu wspólnie wieczornej modlitwy, więc możesz udać się do swojego pokoju, kiedy zechcesz.

– Dziękuję, panno Harriet – odparła Emily, niemal salutując. – Czy wspominała pani o tym pannie Marcie? Powiedziała mi, że modlitwa wieczorna odbędzie się tu jak zwykle za dziesięć minut i życzy sobie, abym poinformowała o tym pozostałe dziewczęta.

– Ach, tak. Panna Martha chyba zapomniała, że niektóre dziewczęta zostały już odesłane do łóżek – zauważyłam może odrobinę cierpko.

– Nie, nie zapomniała. Nakazała mi wezwać ukarane dziewczęta do

bawialni, by mogły pomodlić się o przebaczenie.

– Wydaje mi się to bardzo niesprawiedliwe – skomentowała Alice. – Jeśli ktoś zostaje odesłany do łóżka bez kolacji, to stanowczo nie powinno się go później zmuszać do publicznej pokuty.

– Obawiam się, że twoja opinia na ten temat raczej nie zmieni biegu historii – zauważyła Emily. – Poza tym pojawiły się pewne wątpliwości co do tego, czy dziewczęta, o których mowa, rzeczywiście nie jadły kolacji. Panna Martha odkryła, że zniknęło trochę jedzenia z kuchni i podejrzewa, że Marie i Amelia je ukradły.

– Och, wystarczy już – zaprotestowałam. – Muszę porozmawiać o tym z panną Martha.

– Tak, proszę pani – przytaknęła chłodno Emily. – Panna Martha właśnie tego sobie życzy.

Mojej siostrze zdarzało się czasem deklorować, że mogłaby pozostawić pensję Farnsworthów w rękach Emily Stevenson, a ta poprowadziłaby ją równie sprawnie jak ona sama, a zapewne też o wiele sprawniej ode mnie. Przypuszczam, że to dość uczciwa ocena potencjału Emily. Niestety ona również zdaje sobie sprawę ze swoich zdolności przywódczych i to czasami sprawia, że do naszej relacji wkrada się sporo niezręczności. W tej chwili jednak nie miałam czasu się tym przejmować, zajęłam się bowiem szukaniem wytłumaczenia dla uszczuplonych zapasów bez wplątywania w to Emily i Amelii.

– Chodź ze mną, będziesz mi potrzebna – zwróciłam się do Mattie. – Emily, poinformuj pozostałe dziewczęta zgodnie z instrukcjami panny Marthy. Panno Alice, pilnuj tego młodego człowieka, ale proszę go nie dotykać.

– Dotykać? – powtórzyła Alice, otwierając szeroko oczy. – A po cóż miałabym go dotykać?

ALICIA SIMMS

Czy go dotykałam? Tak, gdy zostałam z nim sama, oparłam się o sofę i bardzo delikatnie dotknęłam palcem czubka jego nosa, następnie czoła, a potem policzka. Stwierdziłam, że naprawdę należałoby go ogolić. Byłby o wiele przystojniejszy, gdyby go dokładnie ogolić.

Przyszła mi wtedy do głowy dość szalona myśl. Chciałam pocałować kaprala McBurneya. „Pocałowałabym go bardzo delikatnie”, pomyślałam. „Nie tak, żeby go obudzić, lecz na tyle mocno, aby miał świadomość, że ktoś go całował, i śnił o tej osobie, i gdy wreszcie się obudzi, pamiętał ją, szukał jej i powiedział: „Alice Simms, pamiętam cię z moich snów. Przyszedłem dla ciebie, Alice. Przyszedłem, aby na zawsze cię stąd zabrać”.

Potem oświadczyłby mi się, a ja przyjąłabym jego oświadczyny i pobralibyśmy się tu, w tej bawialni. Na wesele przybyłaby moja matka i wszystkie dziewczęta, i ich rodzice, i bracia w mundurach.

Pojawiliby się oficerowie wszelakiej rangi z naszych armii... Generałowie i pułkownicy, i kapitanowie, a może nawet jacyś przystojni szeregowcy. No i piękne damy w aksamitnych, jedwabnych i brokatowych sukniach, wykończonych koronkowymi i złotymi zdobieniami, noszące pierścionki i naszyjniki oraz klejnoty we włosach, a na głowach najnowsze i najmodniejsze kapelusze z Paryża, każdy zwieńczony gigantycznym strusim piórem.

Przybyłby także mój ojciec. Być może przyprowadziłaby go moja matka. Może znowu by go znalazła, w samą porę, aby zabrać go na ślub. Stawiłby się tego popołudnia w bawialni szkoły Farnsworth. W to wiosenne popołudnie żonkile i bzy zachwycalyby pełnym rozkwitem, tak że czulibyśmy ich woń przez otwarte drzwi oraz słyszelibyśmy pszczoły na łąkach i przepiórki w lasach – zobaczyłby mnie po raz pierwszy, stojącą tutaj, i zwyczajnie nie uwierzyłby własnym oczom.

– Nie mogę uwierzyć, że to moja mała dziewczynka – rzekłby do matki. – Jest jeszcze piękniejsza od ciebie, Saro.

Następnie złapałby mnie i wyściskał, i uniósł, jak małą dziewczynkę. „A potem mój ojciec wziąłby mnie za rękę i poprowadził do wychodzącego na ogród okna, gdzie czekałbyś na mnie ty, kapralu McBurney”, marzyłam.

„Kocham cię”, pomyślałam i wypowiedziałam te słowa:

– Kocham cię, kapralu McBurney – powtórzyłam. – Chciałabym cię pocałować. – I tak też zrobiłam. Pochyliłam się i zrobiłam to: szybko za pierwszym razem i wolniej za drugim.

Mogę przysiąc, że za drugim razem odwzajemnił pocałunek. Zaskoczyło mnie to, przyznam szczerze. Odsunęłam się i popatrzyłam na niego, lecz nic się w nim nie zmieniło – nadal był bardzo blady, miał zamknięte oczy i delikatnie oddychał. Czy aby na pewno aż tak delikatnie? Pozostałe dziewczęta przyszły na wieczorne modlitwy, co powstrzymało mnie przed sprawdzeniem reakcji kaprała McBurneya po raz trzeci.

– Pospieszcie się, pospieszcie się – ponaglała je panna Martha, wskazując drogę swoją Biblią. – Nie chcemy, aby ta lampa paliła się przez całą noc.

Panna Harriet i stara Mattie przewodziły całej procesji, obie z zaczerwienionymi oczami – od niedawnego pochlipywania, oczywiście. W istocie Mattie wciąż jeszcze od czasu do czasu pociągała nosem. Najwyraźniej w kuchni panna Martha udzieliła im reprimendy z powodu zaginionego jedzenia. Prawdopodobnie panna Harriet znowu zastosowała swoje stare sztuczki i wyżebrała kolację od Mattie, aby zanieść ją do góry ukaranym dziewczętom i panna Martha przyłapała ją na tym. Jeśli tak właśnie było, to nie mogłabym źle myśleć o panie Harriet, ponieważ kobiecina wielokrotnie robiła tak również w moim przypadku, gdy zostałam ukarana, w tym nawet kilka razy, kiedy nie złamałam zasad, lecz panna Harriet sądziła, że nie dostałam wystarczającej porcji jedzenia. A ostatnio zdarza się to nieustannie, gdyby ktoś chciał wiedzieć.

– Co tutaj robisz, panno Alice? – spytała mnie panna Martha.

– Pilnuje młodego, rannego człowieka – odparła panna Harriet nieco łamiącym się głosem. – Zostawiłam ją, aby go doglądała. Czy i tym razem źle

zrobiłam, siostrze? Czy przekroczyłam tym samym swoje uprawnienia?

– Harriet, panuj, proszę, nad sobą – przywoła ją do porządku panna Martha. – Jeśli twoje emocje nie pozwalają ci po cichu modlić się z nami, sugeruję, abyś opuściła pokój. Odnosi się to także do Mattie.

Nie wyszły, ponieważ nie śmiały tego zrobić. Wieczorne modlitwy stanowiły dla panny Marthy rytuał. Gdyby panna Harriet i Mattie wyszły, tak jak sugerowała, prawdopodobnie następnego dnia miałyby znacznie poważniejszy powód do pochlipywania.

– W takim razie – powiedziała panna Martha – bądźcie uprzejmie zajmć swoje miejsca. Panienci Amelia i Marie mogą dzisiaj stać podczas modlitwy.

Pozostałe z nas usiadły na krzesłach, a dwie winowajczynie oraz Mattie stanęły za naszymi plecami. To oczywiście bardzo odpowiadało Marie, ponieważ jako papistka i tak nigdy nie brała aktywnego udziału w naszych modłach, może z wyjątkiem mamrotania powściągliwego „amen” co jakiś czas, gdy była w szczególnie towarzyskim nastroju, czyli nieczęsto. W większości przypadków, kiedy nadchodził czas wieczornej modlitwy, Mattie miała już za sobą niemiłą wymianę zdań z panną Martha, dlatego starała się trwać w milczącej ofensywie.

– Przestań się wiercić, Marie – strofowała ją panna Martha. – Spuść głowę i złoż ręce, jak reszta. Jestem pewna, że papież nie będzie miał nic przeciwko. Amelio, co tam jesz?

Amelia, jak zwykle wystraszona, przełykając, zakrztusiła się, Marie musiała więc poklepać ją po plecach.

– To był orzeszek – doniosła Marie. – O, i już go nie ma.

– Wszchemogący Boże – westchnęła panna Martha, milknąc na dostatecznie długo, aby jej słowa zabrzmiały jak przekleństwo. – Wszchemogący Boże, dziś wieczór prosimy cię o szczególne błogosławieństwo dla tej szkoły. Niespokojne czasy trwają, trudności narastają, lecz przewyciężymy je, jeśli wolą Twą będzie obdarzyć nas siłą. Nade wszystko prosimy Cię, Boże, aby ta szkoła i jej mieszkańcy uniknęli Twojego gniewu w nadchodzących dniach. Prosimy o to z całą pokorą, świadome, żeśmy niegodne Twojej uwagi. Niektóre z nas są słabe, bardzo słabe. Niektóre z nas, które powinny być silne i zdolne

do dawania dobrego przykładu dzieciom pozostającym pod naszą opieką, nie posiadają dość Twojej mądrości, aby móc zrozumieć, że zdrowa dyscyplina stanowi największą przysługę, jaką możemy wyświadczyć naszym podopiecznym.

Gdy Martha zamilkła, aby wziąć oddech, panna Harriet znowu zaczęła łkać.

– Amen – dokończyła Emily za nią. Emily zawsze jest gotowa sekundować wszelkim wezwaniom do dyscypliny.

– Dzieci trzeba trzymać krótko, to prawda, która jak nigdy dotąd nabiera swojej mocy – kontynuowała Martha. – Nie będę już dłużej karać dwóch dziewcząt, które dostały kolację po tym, jak nakazałam im pójść do łóżek bez niej. Nie dostrzegam ich winy. Oby dobry Bóg wybaczył winowajczyni i sprawił, by dostrzegła swój błąd.

Wówczas wstała panna Harriet.

– To nie Bóg doznał tu obrazy! – krzyknęła. – A jeśli tak się stało, nie uskarża się z tego powodu. Obawiam się, Martho, że jesteś jedyną osobą, która poczuła się urażona.

Po tych słowach niemal wszystkie padłyśmy na kolana. Był to pierwszy przypadek w pamięci uczennic pensji Farnsworth, kiedy panna Harriet odważyła się przeciwstawić swojej siostrze.

– Dobrze i właściwie jest rozmawiać o niepokojach i trudach dnia codziennego – ciągnęła panna Harriet drżącym głosem – istnieje jednak coś takiego jak zbędne trudy, a także coś, co zwą cnotą miłosierdzia, czego nie powinno brakować w szkole dla dzieci.

Następnie znowu zaczęła łkać, co trochę zepsuło cały występ. Panna Martha powiedziała jej, że tego typu zachowanie jest haniebne i poprosiła, aby raczyła usiąść, zamilknąć i nie przeszkadzać więcej w modlitwach. Panna Harriet usiadła, ciągle pochlipując.

– Jestem skłonna zachować nieco więcej tolerancji wobec tych nieprawidłowości i wybuchów emocji – oznajmiła panna Martha, gdy ponownie udało jej się zyskać powszechną uwagę – ze względu na niecodzienny stan ekscytacji wywołany w dniu dzisiejszym pojawieniem się

rannego gościa. Niemniej jednak to właśnie z powodu jego obecności nie powinniśmy tej ekscytacji ulegać. Gdy gość wyzdrowieje, może nadejść czas, kiedy będziemy potrzebować całej niezłomności i siły woli, na jaką jesteśmy w stanie się zdobyć, aby uchronić nasz dobrostan. Oczywiście nie przewiduję, aby nowo przybyły pozostał z nami na tyle długo, aby mógł przysporzyć nam jakichkolwiek realnych trudności, lecz w obecnych czasach należy przygotować się na każdą ewentualność. A istotną częścią tych przygotowań jest samodyscyplina.

– Amen – powtórzyła Emily.

Cóż, sądzę, że tego typu uwagi były głupie, lecz oczywiście nie skomentowałam ich. Po prostu wydawało mi się niedorzecznością, aby tak niegroźnie wyglądający chłopiec jak kapral McBurney mógł kiedykolwiek nas zranić. Jednak gdy myślę o tym teraz, sądzę, że to nie fizyczną krzywdę panna Martha miała na myśli.

Po chwili zaczęła wertować swoją Biblię, czytając nam kilka stosownych fragmentów, które odnosiły się do jej uwag. Nie pamiętam dokładnych wersów, lecz wiem, że dotyczyły grzesznych ludzi i zniszczenia Jeruzalem, a także tego, jak ważną kwestią jest zachowanie czujności w nocy.

Potem, jak to było w zwyczaju, panna Martha spytała, czy którakolwiek z dziewcząt – a dokładniej którakolwiek ze zgromadzonych, surowo spoglądając przy tym na pannę Harriet – chciałyby przyznać się do błędu popełnionego tego dnia i poprosić Boga o wybaczenie. Zaproszenie to nie spotkało się z żadną reakcją. W okresie spędzonym przeze mnie w szkole Farnsworth nie zdarzało się to zresztą zbyt często.

– A zatem – podjęła panna Martha po chwili milczenia – jeśli wszystkie czujecie, że nie ponosicie winy za żadne złe uczynki w dniu dzisiejszym, mogę tylko modlić się, aby Bóg was oświecił. A teraz przejdziemy do próśb. Czy któraś chciałyby poprosić o jakieś szczególne błogosławieństwa?

Edwina podniosła rękę.

– Modlę się, aby Pan uznał za właściwe przywrócenie zdrowia rannemu Jankesowi – powiedziała i spojrzała na nas tak, jak gdyby spodziewała się kłótni.

– To właściwa modlitwa – zgodziła się panna Martha. – Pomodlimy się za jego powrót do zdrowia i za jego szybki wyjazd.

Wszystkie pochyliłyśmy głowy – nawet uczestnicząca we wszystkim Marie – i poprosiłyśmy o błogosławieństwo dla kaprała McBurneya. Modliłam się szczególnie mocno za jego zdrowie, lecz nie za wyjazd. Chciałam, aby kapral McBurney wyzdrowiał i pozostał tu z nami, bardziej niż czegokolwiek w całym moim dotychczasowym życiu. W tamtej chwili pragnęłam tego bardziej niż tego, żeby moja matka wróciła i zabrała mnie z Farnsworth, a nawet bardziej niż chciałam odnaleźć mojego ojca.

– Czy są jeszcze jakieś prośby? – spytała panna Martha, uznając, że kapral McBurney uzyskał już dostatecznie dużo uwagi Boga.

– Proszę o Boże błogosławieństwo dla naszych wrogów – rozpoczęła Emily. – Proszę, aby armia generała Lee zwyciężyła w tej bitwie. Modlę się, aby było to ostatnie, miażdżące uderzenie we wroga i aby nasi chłopcy mogli wrócić do domu, do swoich rodzin, i aby nasza wspaniała Konfederacja mogła się rozwijać i trwać w pokoju – urwała, a po chwili podjęła z pewnym wahaniem. – Modlę się również o to, aby już nikt więcej nie odszedł.

– Po obu stronach – dokończyła panna Harriet, wycierając oczy. – Modlę się o bezpieczeństwo wszystkich naszych walczących krewnych i przyjaciół, zwłaszcza tych na odpowiedzialnych stanowiskach, jak ojcowie Emily i Marie. Modlę się również za naszych zmarłych bliskich. Za dwóch braci Amelii... za brata Emily... za brata panny Marthy i mojego... który zaginął...

– I który z całą pewnością nie żyje – dodała panna Martha. Nie potrafiła się powstrzymać przed poprawianiem błędów, nawet w modlitwie.

– Oby trwali w szczęściu, gdzieś... oczekując na nas. – Zdawało się, że chodziło jej o coś jeszcze, ale głos panny Harriet zwykle jest tak cichy, że trudno ją usłyszeć. W końcu jej modlitwa ucichła.

– I obyśmy prowadziły się w naszym codziennym życiu w taki sposób – kontynuowała panna Martha, która musiała mieć ostatnie słowo – abyśmy były godne dołączenia do naszych bliskich w niebie. Czy są jeszcze jakieś tematy dla naszych modłów?

Amelia nieśmiało uniosła dłoń.

– Mój żółw jaszczurowaty jest chory – wyznała.

– Twój co?

– Mój mały żółwik. Nie chce wyjść ze skorupy.

– Obawiam się, że nie jest to stosowny temat do modlitwy – zauważyła panna Martha chłodno. – Módl się za swoich zmarłych krewnych, a nie za chore gady. Skoro nie ma żadnych stosownych prośb, zakończymy, prosząc Boga o nieustanną pomoc i błogosławieństwo na jutro. Oby zachował nas od złego przez całą noc.

– Amen! – powiedziała głośno Mattie, która dostała pozwolenie na wypowiedzenie końcowego „amen”. Sądzę, że zwyczaj ten obowiązuje na naszej pensji od lat, choć panna Martha stale grozi, że skończy z nim, ponieważ Mattie ma zwyczaj wykrzykiwania swoich „amenów”, zanim panna Martha jest na nie gotowa.

„Amen”, powiedziałam w duchu. „Niech kaprala McBurneya również Bóg zachowa od złego przez noc”. Wyraźnie pamiętam, jak powiedziałam to sama do siebie tego pierwszego wieczoru. Nie wiem, co takiego moim zdaniem mogło mu zaszkodzić, ale i tak to powiedziałam. Niemniej jednak nie przypominam sobie, abym kiedykolwiek później takie słowa powtórzyła.

Panna Martha i panna Harriet podeszły, aby jeszcze raz spojrzeć na niego przed udaniem się na spoczynek.

– Wygląda lepiej, siostró – stwierdziła panna Harriet, nieco przygaszona.

– Moim zdaniem wcale dobrze nie wygląda – zaprzeczyła panna Martha.

– Śpi sobie cichutko.

– To osłabienie.

– Kolory znacznie mu się poprawiły.

– To gorączka.

– Krwawienie ustało.

– A noga zaczyna puchnąć. Widzisz? Tu i tu..

– Może od ciasnego bandaża? – spytała panna Harriet z nadzieją w głosie. – Jestem pewna, że oddycha teraz spokojniej.

– Niewykluczone – przyznała panna Martha niechętnie. – Tak czy owak nic w tej chwili nie możemy zrobić. Mattie, możesz tu dzisiaj spać. Weź swoją pościel i zrób sobie posłanie na drugiej sofie. Jeśli obudzi się w nocy i będzie próbował się ruszać, natychmiast mnie wezwij.

– I mnie – dodała panna Harriet. – Mnie też musisz zawiadomić, Mattie. To miłe z twojej strony, że tak troszczysz się o tego chłopca, Martho.

– Nie tylko o chłopca – odrzekła stanowczo siostra. – Troszczę się o cały dom. To prawda, że dołożyłam dzisiaj wszelkich starań, aby wspomóc jego powrót do zdrowia, lecz zamierzam dzisiaj spać z pistoletem ojca pod ręką.

Nie wiem, czy słowa te zostały wypowiedziane w trosce o kaprala McBurneya, czy też nie, ale jeśli je usłyszał, to nie zareagował. Gdyby panna Martha potrafiła odpalić ten stary pistolet skałkowy, byłby to nie lada wyczyn. Zwykle leżał w skrzynce w bibliotece wraz z zapasem prochu i kulą. Pewnego popołudnia, podczas nieobecności panny Marthy, Marie wzięła go do ogrodu, aby pokazać nam, w jaki sposób jej ojciec wygrał kiedyś pojedynek w Baton Rouge. Jednak Marie nie zdołała go odpalić, podobnie zresztą jak żadna z nas, łącznie z naszą wojskową ekspertką Emily. Wkrótce po tym epizodzie panna Martha przeniosła pistolet do swojego pokoju.

– Pospieszcie się dziewczęta, pospieszcie – ponagliła nas teraz. Z lampą w dłoni czekała w drzwiach, aż wszystkie wyjdziemy, a następnie jak zwykle wyprzedziła nas w drodze na schody, z panną Harriet niosącą świecę z tyłu, aby zapobiec ewentualnemu ociąganiu się. Tak oto zakończył się pierwszy dzień pobytu kaprala McBurneya w naszej szkole.

AMELIA DABNEY

Następnego dnia jak zwykle obudziłam się wcześniej rano. Z grona uczennic naszej pensji zazwyczaj jestem pierwsza na nogach. Panna Harriet mówi, że dziewczynie nie przystoi obudzić się przed ósmą i nie wpływa to dobrze na cerę, ponieważ powoduje zmarszczki. Chociaż panna Martha niezbyt przejmuje się cerą swoich podopiecznych, to jednak nie nalega, żeby ktokolwiek wstawał wcześniej. Ale ja nigdy nie potrafiłam spać, gdy niebo zaczynało się przejaśniać. A tego akurat ranka – nazajutrz po tym, jak pojawił się u nas kapral McBurney – wstałam i ubrałam się wyjątkowo wcześniej.

Po cichu wymknęłam się z pokoju, na paluszkach, żeby nie zakłócić snu Marie, i zeszałam po schodach. Przygotowałam się na to, że albo poprzedni dzień był tylko snem i nigdy nie pojawił się u nas żaden kapral McBurney, albo może i przez chwilę nas odwiedził, ale zląkł się nas i pewnie wymknął nocą. Ale nie.

– Dzień doberek – powiedział, otwierając błękitne oczy i wyraźnie mrugając do mnie jednym z nich. – Na moje to chyba mamy już poranek.

– Tak, jest około szóstej. Tak myślę.

– Tak mi też podpowiadały skowronki, których śpiew dobiega gdzieś z za domu.

– Czy lubi pan ptaki? – Z góry wiedziałam, że tak będzie.

– Och, uwielbiam. Uwielbiam wszystko, co dzikie, wszystko, co dzikie i wolne.

– A moim zdaniem to nie są skowronki. Ja słyszę chyba rudziki i może drozda.

– Mhm. No to wniosek jest taki, że macie tu innego skowronka niż u nas w Irlandii. Ten trel i świergot brzmi tak jak irlandzkie skowronki.

– To bardzo możliwe – przyznałam. – Może tam żyć parę gatunków, których tu nie mamy. Czy mógłby pan opisać mi irlandzkiego skowronka, kolor jego

upierzenia i inne cechy, jak wyglądają gniazdo i jajka?

– Pewnie, z największą przyjemnością, gdy tylko będę w ździebko lepszej formie. Jak czuję się na siłach, to nic nie sprawia mi takiej frajdy jak miła pogawędka o ptakach.

– A czy pan w ogóle mnie pamięta? – zapytałam go nieco zaniepokojona.

– Jak mógłbym nie pamiętać panienki?! Jesteś aniołem, co to ocalił mi życie.

– Bez przesady, chyba nie zasługuję na aż takie uznanie. Ja tylko przyprowadziłam pana tutaj, a potem to panna Martha zajmowała się pańską nogą. Jeśli ktoś uratował panu życie, to chyba prędzej jednak ona.

– To ta starsza, co to pociąga tu za sznurki?

– Tak. Pamięta pan, że tu była?

– Jak przez mgłę – odparł. – Mam też mgliste wspomnienie kilku innych... i że to też były bardzo atrakcyjne młode damy.

– Przyszli tu wszyscy mieszkańcy domu, strasznie się o pana martwiłyśmy.

– Czyż to nie wspaniałe mieć tyle czarujących osóbek przejętych losem takiego jaskiniowca jak ja – westchnął.

– Kapralu McBurney...

– Mów mi Johnny.

– Johnny, pamięta pan, jak wczoraj mniej więcej w porze kolacji przyszłam i mówiłam do pana?

– Coś mi się wydawało, że ktoś tu był.

– Powiedziałam wtedy, że gdyby kiedyś pan wpadł tu w jakieś tarapaty i coś by panu groziło, i musiałby pan uciekać, to ma pan przyjść do mnie, a ja panu pomogę.

– A w jakie to tarapaty mógłbym tu niby wpaść? Ja jestem spokojny, skarbie...

– Amelio...

– Żeby było jasne, Amelio, skarbie, staram się zachowywać spokojnie i kulturalnie, no to w ogóle nie ma mowy o tarapatach. I co niby ma mi grozić

w domu pełnym czarujących, dobrze wychowanych młodych dam? Sama mówiłaś, że nie ma tu żadnych mężczyzn, he? No to bezpieczny będę jak w matczynych ramionach, przynajmniej póki ktoś nie dojrzeje, żeby wybrać się i dać o mnie cynk konfederatom. Albo, co gorsza, Jankesom.

– A to chce pan, żeby Jankesi też nie wiedzieli, że pan tu jest?

– Czemu miałbym chcieć, żeby te nowojorskie oprychy i holenderskie knioty dowiedziały się o tym miejscu i zaczęły was nachodzić, narzucać się i naprzykrzać, a może i dokonywać gorszych rzeczy. Jak ździebko podlecę nogę, pewno będę musiał wrócić do nich, ale jeśli do tego czasu ktoś przyjdzie i będzie o mnie pytał, możecie mu powiedzieć, że nikt tu o takim nie słyszał.

– Panna Martha będzie bardzo zadowolona, gdy dowie się, że ma pan takie podejście. Jestem pewna. I stanie się przez to o wiele bardziej życzliwa panu. Poza tym nie sądzi pan, Johnny, że trochę to potrwa, zanim rana się podgoi?

– Kiedy na ciebie patrzę, Amelio, mam nadzieję, że to potrwa długie lata.

Znów puścił do mnie oko, wiedziałam więc, że się ze mną droczy.

– A jak tam noga? Bardzo boli?

– Jakoś dam radę.

– Chciałabym mieć takie lekarstwo, które uśmierzyłoby ból.

– To bardzo miłe z twojej strony. A wiesz, w sumie jakbyście miały kropelkę czegoś mocniejszego...

– Hm, pomyślmy... Panna Harriet dała panu wczoraj trochę brandy i chyba odstawiła butelkę z powrotem do szafki – zauważyłam.

– Ale tam jej nie ma – stwierdził, nim jeszcze zdążyłam otworzyć szafkę z winem. – Niedawno poprosiłem o to waszą czarnuchę. Powiedziała, że butelka znikła.

– Czyli pewnie panna Martha musiała ją zabrać.

– Na moje to ona nie wygląda na taką, co to zagląda do kieliszka.

– W życiu nie wzięłaby tej brandy dla siebie – oznajmiłam. – Jeśli zabrała ją z szafki, to pewnie, żeby panna Harriet nie miała do niej dostępu.

– No, no...

– Przepraszam – zreflektowałam się. – Nie powinnam pleść o takich sprawach.

– Dzielenie się wiadomościami z przyjaciółmi to nie plotkarstwo, kochanie. Skoro mam tu ździebko czasu posiedzieć, to muszę stawać na głowie, byle tylko dowiedzieć się wszystkiego o tutejszych, żeby jak najciszej i bez narzucania się wpasować się tutaj, nie uważasz? No i nie zrobić fałszywego kroku w tej defiladzie.

– To prawda – przyznałam. – Zawsze może mnie pan pytać o wszystko, co chciałby pan wiedzieć, Johnny. Chociaż inne dziewczęta wiedzą więcej niż ja. Na przykład Marie, moja koleżanka z pokoju, dosłownie wie wszystko, co w tym domu piszczy.

– Czyli będę musiał zaznajomić się z Marie.

– To nie będzie trudne. Ona z pewnością przyjdzie jeszcze dziś rano, żeby pana zobaczyć. Chciałabym pana jednak ostrzec, że chociaż Marie jest bardzo sympatyczna, to jednak przebiegła z niej osóbką. Co prawda jest najmłodsza, ale i tak może najbardziej przebiegła w tym domu. Właściwie nie da się jej zwieść w żadnej sprawie.

– Och, mam nadzieję, że nigdy tu nikogo nie będę zwodzić – obiecał Johnny. – Nawet nie zamierzałem nic takiego.

– Wiem przecież, ale tak czy siak uznałam, że lepiej będzie powiedzieć panu o Marie. Teraz kiedy panna Martha zejdzie na dół, poproszę ją o przyniesienie panu brandy.

– Nie rób sobie kłopotu. Poradzę sobie i bez tego.

– A czy poza tym jest panu wygodnie? Czy Mattie dobrze opiekowała się panem w nocy?

– Ta stara czarnucha? No nie jest to najbardziej przyjaźnie nastawiona pokojówka, jaką spotkałem w życiu, ale opiekowała się mną jak najbardziej poprawnie. A już rano przyniosła mi miskę zupy. I jak sobie przypominam, ktoś inny wczoraj wieczorem też mi przyniósł ździebko zupy.

– Edwina Morrow.

– Brunetka, ta ładniutka?

– Tak. – Zawahałam się, czy mówić dalej, ale uznałam, że to nie bierze się u mnie z zazdrości, tylko ze szczerzej troski o jego dobro: – A na Edwinę też musi pan bardzo uważać, na nią najbardziej. Potrafi być strasznie wredna, jeśli uzna, że kogoś nie lubi.

– Czyli nie mogę dać jej żadnego powodu, żeby mnie znieubiła? Mam nadzieję, Amelio, że nikt w tym domu mnie nie znieubi. Nie jestem z tych najgorszych, wiesz o tym. – Jego głos stawał się coraz słabszy i kapral powoli zapadał w drzemkę.

– Jestem pewna, Johnny, że dobry z pana człowiek. I że wszyscy tutaj przyznają mi rację.

– Tak? No to wybornie, tego mi właśnie trzeba, żeby odzyskać zdrowie. Zaufania ze strony przyjaciół, pewności, że nie opuszczą na dobre i na złe, w radości i w smutku, czy świeci słońce, czy pada deszcz...

Po chwili uznałam, że przysnął, i na paluszkach chciałam odejść, ale przywołał mnie z powrotem.

– Zaczekaj no, moja mała, droga Amelio, póki nie opowiem ci o takim dziwnym ptaku, o takim ptaku, którego z pewnością nigdy nie widziałaś w swoim krótkim życiu.

– A co to za ptak?

– Taki bardzo mały, bardzo wątki, ale bardzo uparty i silniejszy, niżbyś się spodziewała, patrząc na niego... o ile w ogóle znajdziesz się tak blisko, żeby go zobaczyć. To bardzo rzadki ptak i bardzo nieśmiały, żyje tylko w najbardziej odległych i niedostępnych częściach świata. Czasem widują go w wysokich górach, czasem w głębi ciemnego lasu, czasami unosi się na wietrze nad niezbadanym oceanem.

– A jakie jest jego środowisko naturalne?

– Chyba cały świat, no bo nie ma domu z prawdziwego zdarzenia. I nikt nie wie, skąd się wziął, skoro prawie zawsze jest w locie. Fruwa od brzasku do zachodu słońca, a skoro potrafi latać z tak niesamowitą prędkością, często towarzyszy słońcu dookoła świata. Nigdy nigdzie się nie zatrzymuje na tak długo, żeby zbudować gniazdo czy wychować swoje pisklaki. I chyba dlatego

właśnie to wymierający gatunek. Pewnego dnia nie ostanie się już ani jeden okaz...

– Mój Boże, to na pewno bardzo dziwny ptak. A jak pan myśli, czego on szuka?

– To właśnie jest wielką zagadką.

– A jak się ten ptak nazywa?

– Nie wiem, jaka jest jego właściwa nazwa, ale ja go nazywam ptakiem samotnikiem.

Odczekałam chwilę, ale już się nie odezwał. Tym razem jednak najwyraźniej przysnął.

– Może już by tak panienka zostawiła tego biednego chłopca w spokoju – odezwała się Mattie, stając w progu pokoju. – A musi to panienka wstawać przed świtem i go nagabywać?

– Wiesz, Mattie, on mówi naprawdę strasznie ciekawe rzeczy. Właśnie opowiedział mi o niezwykłym ptaku.

– Mniejsza, o jakim paniencie opowiadał, myślę, że on sam jest niezwykłym ptakiem.

– A jakim on jest ptakiem twoim zdaniem?

Mattie ma dar trafego oceniania ludzi, czy to białych, czy kolorowych, chociaż pochodzenie danej osoby potrafi wpływać na jej pierwsze wrażenie. Dlatego nie zaskoczyło mnie, że tak od razu nie wypowiedziała się życzliwie o kapralu McBurneyu.

– Na moje to on jest wrona, stara, rozgadana wrona. Wrony uwielbiają ciągle krakać, puszyć się, a i przyciągają je świecące błyskotki.

– Ale chyba nie ma w tym nic złego – odparłam. – Przecież u nas też wiele osób lubi gadać i jestem pewna, że kapral McBurney jest oceniany po pozorach dokładnie tak jak ty. A jeśli chodzi o puszenie się, to jakoś nie widzę, żeby można było się puszyć, gdy się leży plackiem.

– Puszyć się to on może, nawet nie kiwając palcem. Już ja dobrze wiem, co ten chłopaczyna sobie myśli, kiedy tak tu sobie poleguje. Myśli sobie, że jest jedynym kogutem w zagrodzie, a klatka pełna tłuszczutkich kurek.

– Czy to naprawdę takie złe, że tak myśli? Z biologicznego punktu widzenia to przecież chyba naturalne.

– Klnę się na Pana Boga, że jak panna Martha teraz by panienkę słyszała, skończyłaby panienka o suchym pysku przez bity tydzień. A gdyby własna matka panienki to usłyszała, pewno dostałaby panienka po twarzy.

– No ale w końcu czy to złe, czy nie?

– A wie panienka, może i nie takie złe, o ile pozostanie w myślach i nie pójdzie krok dalej. A co do mówienia za dużo, to od kiedy ten Jankes zjawił się u nas, to nagle ma panienka o wiele więcej do powiedzenia niż przez cały ten długi czas, jak tu panienka jest. Normalnie to nie zabierała panienka głosu, dopóki ktoś o coś panienki nie pytał. A teraz wszem wobec wygłasza panienka poglądy biologiczne. Wie panienka co, proszę stąd wyjść i lepiej pomóc mi przy pielenu.

– Mattie, on naprawdę jest bardzo miły – zapewniłam, idąc za nią do kuchni. – Mówi, że chce tylko, żeby wszyscy go lubili.

– O tak, w to nie wątpię. Stanie na głowie, żeby tak się stało. Wie panienka, co on mi powiedział ciutkę wcześniej? Że jak Jankesi wygrają wojnę, osobiście dopilnuje, by pan Lincoln mianował mnie przełożoną naszej pensji.

Obie serdecznie się z tego uśmiełyśmy. Mattie jest wspaniała, do rany przyłóż, a poza tym rezolutna i potrafi docenić żart.

– Stawiam dolary przeciw orzechom, że kiedy Johnny ci to mówił, puścił oko – dodałam.

– Ano puścił, pewnie, ale też zerkał na mnie, żeby zobaczyć, jak na to zareaguję, i tylko potem puścił oko – przyznała.

– Widzisz, Mattie, jeśli Jankesi wygrają wojnę, otworzysz własną szkołę, a ja się do niej zapiszę. – Zdjęłam z kołka w kuchni swój kapelusz od słońca. – Ale musisz mi obiecać, że pozwolisz mi cały czas spędzać na badaniu przyrody.

– Na tym tutaj, naszym poletku będzie panienka zaraz miała całe badanie przyrody, co tylko się zamarzy. Niech no panienka już tam polec i pobada te wszystkie robaki na winorośli.

Zanim jednak wyszliśmy do ogródka, Mattie poczęstowała mnie filiżanką kawy żołądziejowej, którą wolę od naturalnej, choć nikt inny tej opinii nie podziela, oraz bułeczką maślaną przechowaną dla mnie z kolacji poprzedniego wieczoru. A jako że z grona uczennic zawsze jestem pierwsza do ogrodowej harówki, choć oczekuje się od nas, że wszystkie zrobimy tyle a tyle przed śniadaniem, to Mattie na ogół ma dla mnie drobny smakołyk.

Tak jak powiedziałam McBurneyowi, gdy szliśmy z lasu, czasami sobie myślę, że Mattie jest najukochańszą osobą w całej szkole. Wcale bym się nie zdziwiła, jeśli byłaby też najporządniejsza i najbardziej bezinteresowna. Przyszło mi do głowy, że powinnam powiedzieć McBurneyowi, że może całkowicie ufać Mattie, i postanowiłam mu to przekazać przy najbliższej okazji.

A potem wyszliśmy do ogródka. Lubię tak wczesnym rankiem pracować w ogródku, ale uświadomiłam sobie, że bardzo dawno nie byłam tak radosna jak właśnie tego poranka.

MARTHA FARNSWORTH

Na drugi dzień nasz gość musiał się czuć już o wiele lepiej. Zbudził się i uśmiechał wesoło, kiedy krótko po ósmej rano weszłam do bawialni, żeby sprawdzić, jak się miewa.

Część dziewcząt już wcześniej zgromadziła się pod drzwiami i utkwiała w nim spojrzenia wśród chichotów i śmiechów. On z kolei musiał machać do nich ręką lub gestykulować w inny sposób, ale nawet jeśli tak było, to nie w chwili, kiedy wchodziłam do środka. Dziewczęta przepuściły mnie, po czym ruszyły za mną w stosownej odległości.

– Proszę wyjść – nakazałam. – Proszę zająć się swoimi sprawami. Prace ogrodowe czekają, proszę do nich wrócić, i to już.

– Oj, panno Martho, bardzo prosimy – odezwała się Alice Simms. – Czy dziś rano możemy przeprowadzić zajęcia tutaj?

– Nie, nie możemy. Zajęcia, które normalnie odbywają się tutaj, czyli jeśli dobrze pamiętam, francuski i historia Anglii, tym razem odbędą się w bibliotece.

– A co z lekcją muzyki, panno Martho? – zapytała Marie. – Czy przesunie pani klawesyn do biblioteki?

– A lekcje tańca z panną Harriet, które mamy w planach na to popołudnie? – dodała Edwina Morrow. – W bibliotece nie ma miejsca na tańce.

– Będziemy o tym myśleć, kiedy przyjdzie pora. Jeśli to konieczne, przełożymy zajęcia z muzyki na kiedy indziej, a co do lekcji tańca panny Harriet, myślę, że i tak możemy je sobie na razie darować. A teraz zwracam się do wszystkich: proszę zająć się obowiązkami w ogródku.

Niechętnie poszły, na odchodnym jeszcze więcej chichocząc, szepcząc i oglądając się przez ramię. Pewne było jak amen w pacierzu, że w związku z obecnością tego młodzieńca w naszej szkole czekają nas same kłopoty.

– Burzę spokój tego miejsca, to chyba jasne, zgodzi się pani ze mną? –

odezwał się główny zainteresowany, kiedy odwróciłam się w jego stronę.

– Nie da się ukryć – odparłam.

– Nie owija pani w bawełnę, pani szanowna. Wali pani prosto z mostu. Podoba mi się.

– Doprawdy? A czy sądzi pan, że robi mi wielką różnicę, czy panu się to podoba, czy nie?

– A pewno, pani szanowna, że moje zdanie nic a nic dla pani nie znaczy. Nie oczekuję aprobaty.

– Nie oczekuje pan. Zatem czego pan oczekuje?

– Takiej opieki, jaką będzie mi pani łaskawa zapewnić. Już mi pani wiele dała i jestem pani dłużnikiem. Nie wiem, jak zdołam się odwdziaczyć poza oczywiście jak najszybszym odzyskaniem zdrowia i opuszczeniem pani progów. Chyba taka odpowiedź chodziła pani po głowie, prawda?

Nie mylił się. Ten człowiek miał łatwość odgadywania cudzych myśli.

– A nie obawia się pan, że oddam go w ręce naszych żołnierzy? – zapytałam.

– Nie sądzę. Nie mówię, że nie zrobi tego pani, a i to nie najgorsza rzecz, jaka może mi się w życiu przydarzyć. Choć jasne, nie pałam radością na samą myśl o spędzeniu kolejnych kilku miesięcy w kryminale Libby czy w Andersonville, ale to i tak lepsze niż śmierć. A taki byłby mój los, gdyby mi pani nie pomogła.

– Tego nie może pan być pewien. Nawet gdyby moja podopieczna nie sprowadziła pana tutaj, to zapewne znaleźliby pana towarzysze broni. A nawet gdyby trafił pan do niewoli, zajęliby się panem nasi chirurdzy.

– Obiło mi się o uszy, pani szanowna, że wasi chirurdzy obecnie raczej nie nadążają z robotą, mają jej aż nadto. A nasi też letko nie mają. Wolę pani pielęgnacyjne starania niż opiekę w szpitalu polowym. Każdy lekarz wojskowy pozbyłby się nogi, i basta.

– A panu by się to nie spodobało.

– A pani by się spodobało? Gnić resztę życia jako kaleka? Kuśtykać, wspierając się na jakiejś starej lasce? Nie mógłbym godnie zarabiać na chleb,

zależałbym od jałmużny i dobroczynności innych. Nie, pani kochana, ja widziałem, co to się wyprawia w tych namiotach szpitalnych, i da mi pani wiarę, jestem rad, że znalazłem się tutaj. Niech mnie pani dobrze zrozumie, pani kochana, z kończyn dolnych zawsze korzystałem bardziej niż inni równi mi wiekiem. Byłem niczego sobie w bieganiu, skakaniu, podskokach, przeskokach. I w skocznym tańczeniu do bladego świtu, a słyszałem raptem przed sekundką, jak wspomina pani o lekcjach tańca. Bym mógł przyuczyć te pani uczennice w dowolnym tańcu, co to sobie pani wybierze... irlandzki, angielski, amerykański, szkockie, skoczne, walce, polki, do wyboru, do koloru. Proszę mi uwierzyć na słowo, że z takimi nogami zajechałbym ramię każdego skrzypka!

Nie dało się go nie lubić. Sprawiał wrażenie tak otwartego, tak życzliwego, i nawet kiedy człowiek zdawał sobie sprawę, że za ową niewinnością kryje się wyrachowanie, mimowolnie patrzyło się na to jako na chłopięce koperczaki. A że wyrachowanie wchodziło w grę, wątpliwości nie było żadnych. Cokolwiek by kapral John McBurney powiedział, człowiek zawsze musiał zadać sobie pytanie: czy kapral McBurney rzeczywiście czuje w ten sposób, a może on tylko chce, żeby myśleć, że on tak czuje, a może jest przebieglejszy, niż myślimy, i odsłania rąbek swojej gierki w nadziei, że człowiek to zobaczy, poczuje się mądrzejszy od niego. Podczas gdy w rzeczywistości nie jest. A przynajmniej on tak nie sądzi. Ponieważ to, na co on tak naprawdę liczy, to fałszywe mniemanie o nim.

Zastanawiałam się kiedyś, jak głęboko mogą sięgać pokłady tej blagi. Ale to nie było jeszcze tego drugiego dnia. Tamtego poranka poczułam – przynajmniej przez chwilę – że zaczynam lubić towarzystwo młodego kaprala McBurneya. Naturalnie nie zamierzałam pozwolić mu zostać, kiedy już będzie w stanie chodzić. Podobnie nie zamierzałam pozwolić mu na żadne konszachty z moimi pensjonarkami.

– Jestem przekonana, że na dłuższą metę tak drastyczny zabieg operacyjny nie byłby najodpowiedniejszym postępowaniem medycznym – stwierdziłam. Odkryłam jego nogę i lekko nacisnęłam palcami nad bandażem. – I na pewno pańscy chirurdzy wojskowi wiedzą o takich ranach więcej niż ja. Aczkolwiek

stan pańskiej nogi nie wydaje się pogarszać. Czy ma pan czucie w nodze?

– Oj, aż nadto.

– Proszę się modlić, żeby wciąż pana bolało. Kiedy wkrada się odrętwienie, to znak, że organ zaczyna gnić, ja przynajmniej tak to widzę.

– A to mi raczej nie grozi. Nogę czuję jak czorta, przysięgłbym, że gotowała ją pani na kolację.

– W tym domu nie jadamy Jankesów – odparłam. – Leczymy ich i liczymy, że tymczasem ich ucywilizujemy, a potem pójdą swoją drogą. Ból powinien niebawem się wyciszyć. Najważniejsze, żeby szwy trzymały i abyśmy chronili ranę przed jakimkolwiek zakażeniem. Chcę przez to powiedzieć, że nie powinien pan próbować chodzić na tej nodze. W ogóle nie może pan się poruszać, chyba że z pomocą innych, kiedy w pobliżu jestem ja lub Mattie. Czy się rozumiemy?

– Doskonale.

– Jeśli ból będzie zbyt dotkliwy, mogę podać panu szklaneczkę wina. Jak rozumiem, dostał pan wczoraj mojej brandy, a powiedziałabym nawet, że nieco za dużo.

– Będę z panią szczery, niewiele pamiętam z wczorajszego dnia.

– Nie ma się co dziwić. Jeśli wypił pan tyle brandy, ile sugeruje moja siostra, zdziwiłabym się, gdyby pan pamiętał cokolwiek. W każdym razie butelka jest pusta, ale w piwniczce zostało jeszcze trochę ojcowskiego wina. Zaraz pošlę Mattie na dół.

– Ależ proszę się nie kłopotać, pani kochana.

– Jak pan sobie życzy. – Odwróciłam się, uśmiechając się pod nosem. Byłam pewna, że go rozgryzłam i zmieni front, nim straci taką możliwość. Ale kiedy zrobiłam kilka kroków w stronę drzwi i rozejrzałam się, ten mały czort zamknął oczy i udawał senność. – Nie podejrzewałam pana o abstynencję – zauważyłam.

– Słucham?

– Mówią, że Irlandczyk wypije wszystko, co się da.

– Bo tak jest. Albo prawie wszystko. Jeśli okazja ku temu.

„Drogi panie, jeśli chcesz mojego wina, musisz o to poprosić”, pomyślałam.

Uchylił jedno oko, spojrzał na mnie i uśmiechnął się, przyznając mi małe zwycięstwo.

– A wie pani co, dochodzę jednak do wniosku, że to jest naprawdę dobra okazja. No dobrze, pani kochana, ma mnie pani. Dosłownie marzę o skosztowaniu pani wina. Nie jestem może entuzjastą winogron i coś ździebko mocniejszego z ziaren zbóż bardziej mi leży, ale jeśli pani coś tu trzyma, to musi to być prima sort.

– Nie proponuję panu wina dla pańskiego zadowolenia, a jedynie dla poprawy samopoczucia – oznajmiłam oziębło.

– Raczej nie inaczej. Choć bywa, że jedno idzie w parze z drugim.

– Kapralu McBurney, chyba muszę panu przypomnieć, że nie jest pan naszym mile widzianym gościem, już prędzej niepożądanym. Nie jesteśmy tu, żeby pana zabawiać.

– Nie oczekuję tego, proszę pani, nie w takich czasach, jakie mamy. Chociaż sama się pani przekona, że niewiele potrzeba, aby mnie zabawić.

Znów się uśmiechnął i wymownie spojrzał za mnie. Odwróciłam się i zobaczyłam w progu Edwinę Morrow.

– Panno Edwino, chyba wyraźnie nakazałam panience popracować w ogrodzie – przypomniałam jej.

– Tak, panno Martho. Ale już skończyłam pielienie mojej grządki.

– Musiała panienka pracować w zdumiewającym tempie – zauważyłam. – Czego tu panience potrzeba?

– A nic takiego, może jest coś, co mogłabym zrobić.

Usłyszałam stłumiony chichot młodego człowieka leżącego na kanapie. „Panie kolego, jeśli piśniesz teraz choć jedno słowo, jeszcze przed południem wylądujesz na poboczu drogi”, pomyślałam. Ale nie odezwał się już. Leżał spokojnie na plecach z zamkniętymi oczami i wciąż się uśmiechał.

– Nie masz tu nic do roboty – powiadomiłam Edwinę. – Oczekuję od was, dziewczęta, że nie będziecie zaglądały do tego pomieszczenia. Dość przecież macie nauki i innych zajęć, żeby jeszcze zakłócać spokój temu choremu

człowiekowi.

– Nie chciałam przeszkadzać. Pomyślałam, że pomogę w opiece.

– Nie będzie to konieczne – wyznałam. – Tym się będą zajmować dorośli.

– Ale młode damy w moim wieku na ogół już uchodzą za dorosłe, a przynajmniej panna Harriet zawsze mi to powtarza. – Zaczęła się wycofywać na korytarz, ale jeszcze się zatrzymała. – Naprawdę chciałam jedynie się przydać.

„A chciałaś kiedykolwiek wcześniej, moja panno?”, spytałam w duchu. Poczułam jednak wyrzuty sumienia. Jeśli to dziewczę naprawdę choć raz w życiu chce zrobić coś bezinteresownego, szkoda odmawiać jej takiej możliwości. Nie zagłębiałam się jednak w dalsze rozmyślenia. Uznałam, że mam większe zmartwienia niż to, czy dopuścić Edwinę do pomocy innym, nawet jeśli była ze mną szczerą – a po zastanowieniu wydawało się to zdecydowanie mało prawdopodobne.

Ledwie Edwina zniknęła, a już pojawiła się kolejna życzliwa zatroskana stanem zdrowia kaprała. Tym razem była to Alice Simms i nie powiem, żeby to mnie zaskoczyło. Nieodrodna córka swojej matki, pewnych rzeczy można się spodziewać.

– Panno Martho, mam pytanie. – Zaczęła niby niewinnie, a z wprawą starego wygi. – Czy zjemy śniadanie tutaj, a nie w jadalni? Panna Harriet chciała wiedzieć.

– Z jakiego to niby powodu miałybyśmy jeść śniadanie tutaj?

– Skoro kapral McBurney nie może jeszcze dzisiaj opuszczać łóżka, to panna Harriet pomyślała, że byłoby miło z naszej strony, gdybyśmy tu wszyscy wspólnie zjedli śniadanie.

Ponownie dobiegł mnie stłumiony chichot z kanapy.

– Czy coś pan mówił, drogi panie? – zapytałam, gwałtownie się odwracając.

– Ależ nie, pani szanowna – odparł, tym razem bez śladu uśmiechu na twarzy. Dobrze wyczuł, na ile może sobie przy mnie pozwolić.

– I ma pan szczęście, a ty, panienko Alice, przekaz, proszę, pannie Harriet,

że zjemy śniadanie tam gdzie zwykle, w jadalni, i że żadna uczennica nie ma wstępu do tego pokoju, dopóki nie ustalimy inaczej. Czy wszystko jasne?

– Tak, proszę pani – powiedziała z bezczelnym dygnięciem. A potem spojrzała mi przez ramię, uśmiechnęła się porozumiewawczo do McBurneya i zniknęła z moich oczu, nim zdążyłam złajać ją za zuchwałość.

Stałam znów przodem do kaprała i obserwowałam go dość długo. Jego twarz była teraz pozbawiona wyrazu, znów miał zamknięte oczy, ale wiedziałam, że nie śpi.

Po chwili westchnął.

– Czyli wyznaczy pani nieprzekraczalną linię, taką jak w obozach jenieckich? No to może pani wyznaczyć ją o tam, w progu. I wtedy będzie pani mogła sama tam stanąć na posterunku.

– Proszę sobie nie dworować ze mnie, szanowny panie. To może okazać się dla pana przykre w skutkach.

– Żdziebko jednak w to wątpię. Nie wygląda mi pani na taką, co działa pod wpływem złości albo byle irytacji – przerwał na moment. – Chyba to nie moja wina, że nie jesteśmy tej samej płci?

– Nie mam awersji do mężczyzn, jeśli takie pan odniósł wrażenie. Nie czuję nawet awersji do pana. Gdybyśmy byli tutaj tylko ja i pan, miałby pan pełną swobodę poruszania się, oczywiście gdybym miała przekonanie, że niczego pan nie ukradnie.

– Teraz nie jest pani o tym przekonana?

– A niby skąd? Nie znamy się.

– I nie poprawi sytuacji moje słowo honoru, że nigdy w życiu nic nie ukradłem?

– Nie znamy się.

– Powiedziała pani, że „gdybyśmy byli tylko ja i pan”. Czy to znaczy, że boi się pani, że zaatakuję pani podopieczne?

– Nie, tak nie myślę. Zamierzam dopilnować, żeby nie miał pan nawet takiej okazji.

Podparł się łokciami, na wpół siadając.

– Wie pani co, droga pani? Mógłbym do takiej okazji doprowadzić, gdybym był takim człowiekiem!

– Proszę się położyć z powrotem i zamilknąć. W tym domu nie ma zgody na pokrzykiwania. Poza tym podrażni pan ranę.

– Chyba nie myśli pani, że ja z takich?

– Nie potrafię pana jeszcze ocenić. Jeśli uznam, że jest pan z takich, długo pan tu nie zabawi.

– I nic nie zmieni, jak przysięgnę, że ani mi w głowie skrzywdzić te młode damy?

– Powtarzam, że się nie znamy, nic o panu nie wiem.

– A ile trzeba czasu, żeby mnie poznać?

– Nie będzie pan tu przebywał na tyle długo.

– A więc dobrze. – Położył się znowu i sapnął ciężko z wysiłku. – Na wszelki wypadek, w razie gdyby zechciała mnie łaskawa pani wyrzucić jeszcze przed południem, podam kilka wstępnych informacji o sobie, żebym nie był pani zupełnie obcy. John McBurney, lat dwadzieścia. Kolonialny obywatel Wielkiej Brytanii bez pełni praw obywatelskich. Urodzony w hrabstwie Wexford, syn świętej pamięci Patricka McBurneya i wciąż żyjącej Mary McBurney, o ile można to nazwać życiem obecnie w Irlandii. Środków brak, perspektyw brak, zmartwień brak. Chorób zakaźnych brak, wad fizycznych brak, poza dopiero co nabytą raną wojenną. Uzębienie i owłosienie pełne, wszystkie palce u rąk i stóp. Umysł w dobrej kondycji, tak mówią, a i pamięć dobra. Kłopotów brak, pretensji brak, nienawistnych uczuć brak, co może panią zdziwić, mając na względzie pochodzenie. Zainteresowań brak, poza ciekawością świata. Pragnień brak, poza pragnieniem, by pozostać panem swojego losu. Data dopłynięcia do Nowego Jorku: dwudziesty trzeci grudnia roku tysiąc osiemset sześćdziesiątego trzeciego. Data rekrutacji do wojsk Unii: czwarty styczenia tysiąc osiemset sześćdziesiątego czwartego. Data tymczasowego awansu do rangi kaprala: piętnasty kwietnia tysiąc osiemset sześćdziesiątego czwartego. Data dostania się do niewoli konfederackich dam: piąty maja tysiąc osiemset sześćdziesiątego czwartego. Pani kochana, czy nadal pani będzie utrzymywać, że mnie nie zna?

– Wiem, co mi pan powiedział.

– Czyli że mogę kłamać?

– Tak, może pan, ale nawet gdyby wyznał pan prawdę, to podał pan tylko garść informacji biograficznych, które mogą dotyczyć równie dobrze duchownego i szubrawca. Wciąż nie wiem, jaki pan jest naprawdę.

– Nie sądzę, żeby się pani tego dowiedziała, nawet gdybym został tu na zawsze. Ja podobnie, nawet w takim czasie nie dowiem się, jaka pani jest naprawdę. Poza tym, że już teraz nieco o pani wiem.

– Ach tak, czyżby? – Muszę przyznać, że do pewnego stopnia kusił mnie tą bezpośredniością, a może nawet tupetem. – Powiedział pan, że niczego nie chce poza pozostaniem panem swojego losu. Jak rozumiem, chodzi o to, żeby pozostać wolnym i niczym nieskrępowanym. I tylko tyle pan chce od życia?

– Chcę przeżyć życie tak, jak sam postanowię. Nie chcę zobowiązań wobec nikogo i nie chcę słuchać niczyich rozkazów. Dlatego właśnie przyjechałem do tego kraju. Zrozumiałaby mnie pani, gdyby wiedziała, jak to wygląda w mojej ojczyźnie. I myślę, że chciałbym zwyczajnych rzeczy, czyli mieć żonę, dzieci, dach nad głową. To bardzo dużo. A teraz jeszcze chciałbym mieć przyjaciela.

– Tylko jednego?

– Niełatwo zyskać takiego w obcych krajach.

– Spędził pan cztery miesiące w wojskach Unii. A towarzysze?

– Niektórzy miejscowi szydzili ze mnie. Wie pani, o co chodzi, o akcent i pewno prowincjonalne maniery. Musiałem albo to zwalczyć, albo się wycofać, ale nawet jakbym wolał to drugie, to w wojsku niezbyt jest gdzie się schować. Żadne z tych rozwiązań nie zjednuje wielu przyjaciół, a już na pewno wtedy, gdy przebywa się w gronie weteranów, co to są razem od dawna i razem dzielili dole i niedole. Te stare wygi nie odnoszą się zbyt ciepło do nowych twarzy i łowców nagród.

– Łowców nagród?

– Za zaciąg do wojska dali dwieście dolarów.

– To dużo.

– Żołnierze Konfederacji zawsze zaciągają się ku chwale Boga i ojczyzny,

a brudni Jankesi sprzedają się za pieniądze, prawda?

– Niektórzy nasi tak twierdzą. Ciekawe, że dostał pan awans, skoro patrzono na pana tak niechętnie.

– Nie do końca pani mnie rozumie. Nie o to idzie, że wszyscy mnie nie lubili, to nie tak. Chodzi o to, że nie byli zupełnie otwarci i szczerzy. Co do dystynkcji, powiem, jak to było po prawdzie. Zdobyłem je w uczciwym boju. Postawiłem cały roczny żołd przeciw naszywkom kaprała, że spiorę go na kwaśne jabłko. Kapitan, kawał drania, chciał zobaczyć, jak dostaję od tamtego w skórę, no to się zgodził. Muszę mu oddać, że dotrzymał słowa, kiedy wygrałem, chociaż pewno się tego nie spodziewał. Tak czy siak pozwolił mi wziąć naszywki i nosić je, póki, jak mi powiedział, kaprał nie dojdzie do siebie i przyjdzie pora rewanżu. Nie chcę wyjść na nieskromnego, ale kapitan poznał, że zasłużyłem sobie. A co do nagrody... Wysłałem te dwieście dolarów matce.

Zastanawiałam się, czy rzeczywiście to zrobił.

– Wierzy mi pani?

– Nie jest tak, że nie wierzę.

– To jednak nie to samo, prawda? Niech no pani już pójdzie i da mi pospać.

Odwrócił się do oparcia kanapy. Wydawało mi się, że jego oczy się zaszklily. Kiedy leżał do mnie tyłem, nagle zaczął uderzająco przypominać mi mojego zmarłego brata. Nie zachodziło podobieństwo w rysach, McBurney był też znacznie drobniejszej budowy niż Robert, ale tył głowy tego chłopca spoczywającej na poduszce kanapy i skulone ramiona przypominały mi Roberta, kiedy widziałam go chyba po raz ostatni.

Leżał na łóżku w swoim pokoju plecami do mnie i o ile dobrze pamiętam, rzucił uderzająco podobne słowa. „Nie chcę z tobą rozmawiać. Odejdź i daj mi spać”. Zbeształam go wtedy, co zresztą zdarzało mi się często, za jakąś błażostkę, a on tak właśnie zareagował.

Włosy Roberta też bardzo przypominały włosy kaprała: kędzierzawe i płowe opadały na skraj kołnierzyka, zupełnie jak u tego chłopca. Zastanawiało mnie, czy Harriet też to dostrzegła. A teraz zastanawiam się też,

co by się stało, gdybym ja tego nie dostrzegła.

Albowiem teraz myślę, że właśnie dlatego wypowiedziałam następujące słowa:

– Zmieniłam zdanie. Myślę, że powinniśmy wszyscy razem zjeść śniadanie tutaj.

To nie żal spowodował, że byłam ślepa na niebezpieczeństwa takiego spoufalania. Wciąż miałam świadomość ewentualnego zagrożenia. A skoro o tym mowa, w moim bracie też tkwił ten zły duch i z pewnością zastanowiłabym się dwa razy, zanim pozwoliłabym Robertowi zarządzać pensją dla młodych kobiet.

Ale w tamtej chwili nie zapowiadało się, żeby w najbliższym czasie nasz gość miał gdziekolwiek uciekać. „Przynajmniej możemy go w ten sposób wypróbować. Zobaczymy, jak się zachowuje w towarzystwie. Ale jeśli okaże choćby krztynę arogancji, wyrzucę go stąd natychmiast i bez chwili zawahania”, pomyślałam.

– Co pan na to? – zapytałam go. – Czy zgodzi się pan zjeść śniadanie w towarzystwie?

Odwrócił się i wlepił we mnie wzrok.

– Chciałbym prosić o mydło – odezwał się. – I o grzebień. I o brzytwę, jeśli pani ma.

– Sprawdzę zaraz, czy mam jeszcze brzytwę mojego ojca – odparłam. – Grzebień to żaden kłopot, natomiast panienka Edwina Morrow miała wczoraj wieczorem kawałek mydła i może dziś też będzie gotowa się z nim rozstać. Przyślę zaraz Mattie ze wszystkim i spodziewam się, że będzie pan gotowy podjąć nas za kwadrans.

– Ma się rozumieć, pani kochana – przytaknął kapral McBurney, wesoło się uśmiechając. Tym razem nie było żadnego szelmostwa w jego wyrazie twarzy, tylko chłopięca radość.

Słońce stało już wysoko, a działa zaczynały dudnić gdzieś w lesie. Bitwa miała się rozpętać na nowo. Ja tymczasem udałam się powiadomić innych o zmianie planów.

EDWINA MORROW

Rankiem drugiego dnia panna Martha wyszła z bawialni i oznajmiła, że kapral McBurney w pełni ją do siebie przekonał i może się czuć jak u siebie. Jasne, że użyła nieco innych sformułowań, ale brzmiało to tak, jakby właśnie to miała na myśli. Dosłownie oznajmiła – i przysięgam, że się przy tym rumieniła – że przemyślała całą sprawę i postanowiła, że naszą chrześcijańską powinnością jest przyjąć go przy naszym stole.

Wszystkie usiadłyśmy przy stole w jadalni, a Mattie stała na progu kuchni, czekając na przyjście panny Marthy, aby zacząć wydawać to, co akurat w danym momencie uchodziło za pożywienie dla ludzi. Kiedy decyzja została ogłoszona, można by pomyśleć, że na stole wylądował jankeski pocisk, oto bowiem wszystkie dobrze ułożone panny poderwały się z miejsc i rozbiegły na wszystkie strony, parszcząc i chichocząc, upinając włosy i na powrót je rozpuszczając, czemu towarzyszyły nawoływania w rodzaju „kto ma moją broszkę z kości słoniowej” i „kto ma perły mojej matki”. O ile dobrze pamiętam, te akurat okrzyki wznosiła Alice Simms, wbiegając jednocześnie po schodach, aby zmienić sukienkę.

Patriotycznie usposobiona Emily oznajmiła, że dla żadnego nieprzyjacielskiego żołnierza nie zamierza przebierać się ze swojej zwyczajowej sukni z czarnego muszliny, którą rodzina przysłała jej po tym, jak zginął jej brat. Od tej pory nosiła ją niczym osobisty sztandar i – prawdę mówiąc – zaczynała tego lata już cuchnąć, jako że Emily nie ma perfum, którymi mogłaby ją spryskiwać, a gdyby nawet miała, prawdopodobnie nie zniżałaby się do tego rodzaju błahostek. Niezależnie jednak od czynionych deklaracji o podtrzymywaniu żałoby, mówiąc te słowa, Emily stała przed lustrem w jadalni, szczypiąc się w policzki, aby przydać im nieco rumieńców.

Nawet panna Harriet dała się ponieść emocjom i w ślad za Alice, Marie i Amelią pospieszyła ku schodom. Nie wiem, jakim działaniom upiększającym zamierzała poddać się Amelia, jako że zawsze wyglądała tak, jakby dopiero co

w kreacji, którą ma na sobie, wspinała się pod drzewach. Ona również nosiła suknię żałobną, którą przysłano jej z domu, ale zdaje mi się, że już przy pierwszej okazji, gdy miała ją na sobie, spadła w niej z płotu czy jakoś tak i rozdarła ją w sposób wykluczający reperację. Oczywiście panna Martha i panna Harriet niemal cały czas ubierały się na czarno dla uczczenia pamięci po bracie. Odważę się stwierdzić, bez obrazy względem drogiego pana Roberta, że kolor ten im nie służy, ale też jaki kolor cokolwiek by tu pomógł?

– Gdzie się wybierasz, siostrzo? – zawołała panna Martha.

– Tylko się nieco oporządzę – odparła zapytana, czerwieniąc po cebulki włosów.

– Dostatecznieś już oporzędzona – zapewniła panna Martha. – Harriet, na Boga, zachowuj się, jak na twój wiek przystało.

Lecz panna Harriet i tak udała się na górę, a panna Martha podążyła za nią, oświadczając wszem wobec, że przynajmniej ona w żadnym razie nie idzie głupio się upiększać, a jedynie musi poszukać ojcowskiej brzytwy, o którą najwyraźniej poprosił McBurney. Wspomniała również, że kapral potrzebuje kilku innych przedmiotów, które akurat w tej chwili miałam w kieszeni spódnicy, to jest kostki perfumowanego mydła toaletowego oraz szylkretowego grzebienia. Sama zamierzałam zaproponować je Jankesowi już wcześniej tego ranka, lecz wówczas panna Martha, najwidoczniej pragnąc odbyć z nim rozmowę na osobności, nie pozwoliła mi wejść do bawialni.

W każdym razie nie zamierzałam zbyt stroić się z myślą o kapralu. Jeżeli miałabym mu się nie spodobać taka, jaka jestem, to równie dobrze mógł sobie „zapolować na lepszą sztukę”, jak to zwykł mawiać mój ojciec. Mimo wszystko postanowiłam wykorzystać nadarzącą się okazję, by wślizgnąć się do pomieszczenia, zobaczyć się z kapralem McBurneyem i przekazać mu przybory toaletowe. Właśnie szykowałam się, by to uczynić, przystanąwszy tylko w progu, aby nieco wygładzić kok, kiedy Marie Deveraux sfrunęła z powrotem po schodach, w jednej ręce ściskając Biblię czy też modlitewnik, w drugiej zaś biżuterię.

– Przepuść mnie, Edwino, jeśli łaska – rzuciła, niemal na mnie wpadając. – Mam tam prywatną sprawę do załatwienia. – Po czym wtargnęła do bawialni

i popędziła ku kanapie z kapralem McBurneyem.

Nie jestem z tych, co podsłuchują cudze rozmowy, ale za nic w świecie nie byłam w stanie pojąć, jak dziecko w wieku lat dziesięciu, jedenastu czy ile tam ona ma, może mieć jakąkolwiek sprawę do absolutnie nieznanego żołnierza sił nieprzyjaciela. Dlatego też, skoro sama miałam uzasadniony powód, by się z nim zobaczyć, postanowiłam zaczekać na progu, aż ta niewychowana osóbką powie, co ma do powiedzenia. Nijak nie starałam się podsłuchiwać, ale oczywiście nie jest to konieczne, by poznać słowa wygłaszane przez Marie Deveraux, mało kiedy bowiem wypowiada się tonem spokojniejszym niż wycie.

Tym razem, nie czyniąc żadnych wstępów, rzuciła książeczkę na kolana kaprała McBurneya, po czym oznajmiła:

– Mam coś dla pana. Chciałam to przynieść ubiegłej nocy, bo bałam się, że umrze pan przed świtem, ale wtedy pomyślałam, że skoro jest pan nieprzytomny, to i tak nie będzie pan w stanie czytać.

– Słuszna uwaga – zauważył.

– Przyjmuję, że jest pan katolikiem. Słyszałam, że prawie wszyscy mieszkańcy Irlandii to katolicy.

– Nie do końca – sprostował. – Ale dobrze trafiłaś. Mnie w tej wierze ochrzczono.

– A zatem oto katolicki modlitewnik, który będzie pan mógł sobie przeglądać w wolnym czasie. Należy do mojej matki i jest po francusku, ale *Ojciec nasz* i *Zdrowaś Mario* pewnie się pan domyśli. A może ma pan ochotę na spowiedź?

– Przed tobą?

– Bynajmniej, ale mogłabym pobiec do głównej drogi i pewnie w którymś z naszych pułków znalazłabym katolickiego kapelana, który chętnie przyszedłby panu z pomocą. Oczywiście jeśli czuje się pan umierający i nie może dłużej czekać.

– Wydaje mi się, że parę godzin jeszcze pociągnę.

– Pewnie narobił pan w życiu sporo okropnych rzeczy, a nim cokolwiek się

stanie, powinien pan zrobić porządek z duszą. Bo narobił pan trochę okropności, co nie?

– Sądzę, że to zależy od punktu widzenia.

– Proszę więc przebadać sumienie, jak pan tak leży, a jeśli trochę później będzie pan chciał zobaczyć księdza, proszę mi dać znać. Tak w ogóle to jestem Marie Deveraux.

– A ja John Patrick McBurney.

– Miło poznać – oznajmiła i wystrzeliła z pokoju, odsłaniając teraz to, co trzymała w drugiej dłoni. Były to kolczyki, a w biegu starała się przyczepić jeden z nich do ucha.

– Jedną chwilę, panienko. – Zastąpiłam jej drogę. – Gdzie się wybierasz z moimi kolczykami z jadeitu?

– Oj, Edwino – zaczęła, posyłając mi swój najbardziej ujmujący jej zdaniem uśmiech, po który sięga tylko wówczas, gdy ją przyłapać na jakimś występku. – Nie bądź zła, Edwino. Wszyscy stroją się na śniadanie.

– Ale nie w moją biżuterię. – Sięgnęłam ku niej, ale się uchyliła. – A zresztą skąd ty je w ogóle masz, mała złodziejko?

– Po prostu zauważyłam jeden z nich na podłodze twojego pokoju.

– Drzwi były zamknięte!

– Czyli wiatr musiał je otworzyć. W każdym razie podniosłam ten z podłogi, żeby nikt go nie nadepnął ani nie zniszczył, wtedy zobaczyłam drugi na szafce i chciałam odnieść ci oba, ale wtedy zorientowałam się, że nie mam co włożyć na pierwsze śniadanie kaprała McBurneya w tym domu, a ty z pewnością nie miałabyś nic przeciwko...

– Ty mały diable! – Niemal ją dorwałam, ale schowała się za krzesłem i zrzuciła je tuż przede mną, o mały włos mnie nie wywracając.

– Za nią, za nią... właśnie tak! – wołał wesoło Jankes, podciągając się na oparciu kanapy. – Jak obstawiacie, drodzy państwo, mała, brunatna wiewiórka czy może duży, czarny kot? Śmiało, obstawiać, póki przyjmuję zakłady. Większa z nich ma lepszy zasięg, ale za małą przemawia doświadczenie. Czyście widzieli, z jakim obrotem się teraz wywinęła! Za nią, czarnulko, łap

ją, dziewczyno!

– Edwino, proszę! – darła się mała jędza. – Masz mnóstwo pięknej biżuterii. Nie potrzeba ci tych dwóch starych kolczyków. Wykończysz się, Edwino. Ja tak mogę cały dzień.

– Ona ma rację, czarnulko – odezwał się Jankes. – Na otwartej przestrzeni miałabyś większe szanse, ale w zamkniętym pomieszczeniu jest od ciebie lepsza. Niech sobie ma już te świecidełka. Tak blady odcień zieleni i tak nie pasuje do twoich kruczoczarnych loków. Do ciebie, czarnulko, bardziej pasowałyby rubiny.

Wtem zdałam sobie sprawę, jak niestosownie musiałam wyglądać, i gdy już tę małą paskudę prawie schwytałam, zatrzymałam się i pozwoliłam jej uciec.

– Jak ślicznie dziś wyglądasz, Edwino! – krzyknęła od progu. – Wystroiłaś się, co nie?

– Nieprawda!

– No, może praktycznie jesteś teraz trochę rozczochna. Ale tej cudownej sukni z jedwabnego brokatu nie widziałam na tobie, o ile się nie mylę, od Bożego Narodzenia.

– Wynoś się stąd!

Wybiegła, wyjąc ze śmiechu jak głupia. Byłam tak zawstydzona mym niegodnym damy zachowaniem, że również odwróciłam się ku wyjściu.

– Poczekaj no, chwilę, czarnulko – odezwał się wtedy Jankes. – Nie zmykaj jeszcze, skoro dopiero co tu przyszłaś. Masz do mnie jakąś sprawę?

Skinęłam głową i podeszłam do niewielkiego stolika, który Mattie ustawiła obok zajętej przez niego kanapy. Położyłam moje pachnące mydło toaletowe oraz szylkretowy grzebień obok dzbanka z wodą i cofnęłam się, zniecka zawstydzona, nie wiedząc, co mu powiedzieć.

– Bardzo ci, czarnulko, dziękuję.

Znowu nachylał się, usiłując oczyścić paznokcie dziesięciocentówką z Północy. Bez dwóch zdań się o to prosiły. To też mu powiedziałam. Były to w ogóle pierwsze słowa, które wygłosiłam do Johnny’ego McBurneya.

– Wyglądają, jakby próbował pan nimi wykopać dół – zauważyłam.

– Bo próbowałem – odparł. – Wczoraj, podczas bitwy. Kiedy nad głową śmigało mi mnóstwo żelastwa, pierwszą myślą, czarnulko, było się tam zakopać.

– A kiedy nie udało się panu głębiej się wkopać, uciekł pan.

– Owszem. Bóg mi świadkiem, czarnulko.

Czy powtarzał to ciągle, żeby ze mnie zakpić? Z oczu dobrze mu patrzyło, a głos miał przyjazny.

– Jestem panna Edwina Morrow – oznajmiłam.

– Ano tak. Uszanowanko.

– Nie zachował się pan zbyt odważnie, uciekając.

– Pewnie nie. Ale za to mądrze.

– Bo pan przeżył?

– Nie dość, że przeżyłem, to do tego w nagrodę mogłem poznać ciebie.

– Nie zna mnie pan.

– Wiem, jak się nazywasz... panno Edwino Morrow.

– Co pan o mnie słyszał?

– Nic poza tym, jak masz na imię. A masz bardzo ładnie. Gdybym był Edgarem Allanem Poem, napisałbym wiersz pod tytułem *Panna Edwina Morrow*.

– Jest pan pewien, że nic więcej o mnie nie wspomiano?

– Cóż, dziewczę drogie – odparł, zabierając się ponownie do czyszczenia swoich zaniedbanych paznokci. – Nie byłem ostatnio w najlepszej formie, by wsłuchiwać się w plotki na temat kogokolwiek. A zresztą czego się obawiasz?

– Niczego.

– To co się przejmujesz, co o tobie mówią?

– Nie przejmuję się.

– Zuch dziewczyna.

Gdyby kto inny wypowiadał te słowa, byłabym pewna, że ze mnie drwi, ponownie więc zamilkłam, wcale nieprzekonana, że nie jest tak i tym razem. On jednak spojrział na mnie i się uśmiechnął – tak ciepło i przyjaźnie – aż

pomyślałam, że przecież to w końcu ktoś obcy, a do tego nawet nie Amerykanin. Używane przez niego sformułowania nie do końca odpowiadają naszym wymogom grzeczności, ale nie znaczy to, by od razu okazywał złe wychowanie.

– Po prostu nie chciałam, by odniósł pan mylne pierwsze wrażenie, nim w ogóle zyskałabym okazję sama z panem porozmawiać.

– Czyli jednak obchodzi cię, co o tobie myślę.

– Ani trochę! Jest pan tu obcy i tyle, i nie chcę, by dał się pan co do mnie wprowadzić w błąd. Poza tym to, co pan myśli, guzik mnie obchodzi. – Co ciekawe, sądzę, że już tamtej chwili tak naprawdę mnie to obchodziło. Ale oczywiście nie mogłam mu tego powiedzieć. Nie wtedy.

– No to muszę bardzo się postarać, żeby nie dać się wprowadzić w błąd, prawda, panno Edwino Morrow? Może najlepiej będzie, jeśli z miejsca odpowiednio mnie nakierujesz, w pełni i akuratnie opisując samą siebie. Choćby skąd jesteś i jak długo już tu mieszkasz?

– Jestem tu od czterech lat, a mój ojciec rezyduje obecnie w Richmond.

– A gdzie jest twoja matka?

– W Savannah w Georgii. Rodzice nie mieszkają razem.

– O, to szkoda. Kiedy ostatnio widziałaś się z matką?

– Skoro musi pan wiedzieć, to nigdy. A przynajmniej nie pamiętam, bym ją kiedykolwiek widziała. – Normalnie takie pytania ogromnie by mnie zdenerwowały, ale miał w sobie jakąś taką dziecięcą bezpośredniość, przez którą wydawało się, że nie chce obnażyć moich osobistych tajemnic, a jedynie próbuje poszerzyć własną wiedzę o tym dziwnym świecie, w którym teraz się znalazł.

– Ojciec zabrał mnie z Savannah, kiedy byłam bardzo młoda – kontynuowałam. – Odtąd mieszkaliśmy w rozmaitych miejscach. Ojciec podejmował się przeróżnych przedsięwzięć i w większości z nich odnosił wielkie sukcesy.

– Nie wątpię. To wspaniały kraj dla ludzi sukcesu. Aż czuć go w powietrzu. Weźmy choćby przykład mnie samego. Jestem tu niecałe pół roku i spójrz

tylko, jak mi się świetnie wiedzie. Zobaczyłem kawał waszego kraju. W wojsku otrzymałem awans, a teraz cieszę się wspaniałymi wczasami pod opieką i w towarzystwie nader wytwornych dam. Czegóż jeszcze taki irlandzki nędzarz mógłby sobie życzyć? Ale powiedz mi coś więcej o sobie, panno Edwino Morrow.

– Teraz nie ma na to czasu – odparłam. – Reszta zaraz tu przyjdzie.

– A zatem musisz tu przyjść później, a porozmawiamy sobie na osobności. Bardzo chciałbym poznać cię bliżej.

– Dlaczego tak pana interesuję?

– Ponieważ, panno Edwino, sędzę, że jesteśmy do siebie bardzo podobni. Coś mi mówi, że oboje tu tak naprawdę nie pasujemy. Ja z przyczyn oczywistych. Ty zaś z powodów, których być może nie widać gołym okiem, lecz których po części mogę się domyślać.

– A więc co to za powody?

– Jedną poważną kwestią jest twój wygląd. Ta mała Francuzeczka nie kłamała, mówiąc, że jesteś piękna.

– To nie ma dla mnie znaczenia.

– Założę się, że ma spore znaczenie dla części pozostałych lokatorek. I założę się jeszcze, że niektóre tutaj bardzo ci zazdroszczą.

– Nawet jeśli to prawda, to nie robi mi to różnicy.

– A czy obchodzi cię, że zgadzam się z tą Francuzeczką?

Zamilkłam i uważnie przemyślałam sprawę.

– Tak, chyba mnie to cieszy – odparłam.

– Coś ci powiem, panno Edwino Morrow. Górujesz nad całą resztą tutejszych dzierlatek jak jasna gwiazda świecąca ponad pustym morzem. I to nie tylko te tutaj przyćmiewasz. Bywałem w największych miastach tego świata i szczerze mogę zapewnić, że zostawiasz w tyle najświetniejsze niewiasty z każdego z nich.

– Proszę ze mnie nie kpić.

– Nie kpić? Moja droga, nawet by mi to przez myśl nie przeszło. Wiesz,

panno Edwino, jaki jest twój główny kłopot? Nie chwalono cię, ile trzeba. Nie doceniasz swojej prawdziwej wartości, bo idę o zakład, że nikt ci nigdy o niej nie powiedział. Nie jest tak?

– Być może.

– Panno Edwino Morrow, za mało się panna ceni. Trzeba się cieszyć, że nie jest się jak inni, nawet jeśli czasami człowiek czuje się przez to ciut samotny. I to właśnie drugi z powodów, panno Edwino, dla których tutaj nie pasujesz. Założę się, że jesteś z tych niezależnych, co mówią to, co myślą, i czort z tym, kto się z tobą nie zgodzi. W końcu tak trzeba żyć. Panno Edwino, czego najbardziej pragniesz na tym świecie?

– Czego pragnę?

– O to właśnie pytam. Słyszałaś kiedyś, że tam, skąd pochodzę, żyją małe ludziki o magicznych mocach? Udajmy teraz, że jestem jednym z nich i mogę spełnić twoje dowolne życzenie. No to o co, droga moja, poprosisz?

– O nic. Niczego nie chcę.

– Oj, no. Czegoś musisz pragnąć. Chciałabyś może, żeby wojna natychmiast się skończyła, a twój wybranek wrócił do ciebie cały i zdrowy?

– Nie ma kogoś takiego. Nie mam nikogo w wojsku.

– No, to szczęściara z ciebie. Czego więc byś sobie życzyła? Zobaczyć matkę?

– Nie.

– No to co? Powiedz po prostu pierwszą rzecz, jaka przyjdzie ci do głowy. Szybko... wpadłaś na coś?

W odpowiedzi skinęłam głową.

– No to powiedz.

I wtedy powiedziałam.

– I tego właśnie byś chciała najbardziej na świecie?

– Tak – potwierdziłam.

– W porządku – odparł poważnie. – Postaram się, żebyś to dostała.

Wówczas do bawialni weszła na śniadanie cała reszta i tak oto moja

pierwsza rozmowa z kapralem McBurneyem dobiegła końca.

EMILY STEVENSON

Pierwsze śniadanie kaprała McBurneya w naszej szkole przekształciło się w ceremonię. Muszę przyznać, że początkowo nie do końca się z tym zgadzałam, zważywszy na sztandar, który reprezentował sobą kapral. Był jednak ranny i obcy, skoro więc panna Martha zapragnęła zademonstrować, jak szczodre i gościnne jesteśmy, gdy wygrywamy, postanowiła zbytnio się temu nie sprzeciwiać.

Mattie ustawiła nam stół po jednej stronie pokoju, podczas gdy kapral McBurney pozostał na kanapie naprzeciw, lecz w pewnej odległości od nas. Podparto go na poduszkach, a kanapę obrócono, tak aby północ i południe, jak to raczyła ująć Marie, mogły na siebie dogodnie spoglądać. Rozmów nie zabroniono. Do pewnego momentu panna Martha starała się wręcz do nich zachęcać, lecz zrazu nie powiedziano praktycznie nic znaczącego, padały jedynie ogólne spostrzeżenia dotyczące pogody, ogrodu oraz warunków panujących w Farnsworth w czasach młodości panny Martha i panny Harriet.

To, rzecz jasna, ulubiony temat przy każdym posiłku – jak było kiedyś, a jak jest teraz. Podejrzewam, że nieboraczki czują, że od czasu do czasu muszą dodać sobie otuchy, a jednocześnie zaimponować biedniejszym uczennicom, opowiadając o chwalebnych dziejach ich rodziny. Nie sprzeciwiam się temu, ale też nie wywiera to na mnie większego wrażenia, podobnie zresztą jak na niektórych z pozostałych, na przykład Amelii i Marie.

Ojciec Marie jest właścicielem dwóch czy trzech sporych posiadłości w Luizjanie, rodzina Amelii zaś ma jedną z najrozleglejszych plantacji w północnej części Georgii, która, jak rozumiem, została już opanowana przez Jankesów, a także duży, nowy dom w Atlancie. Jeżeli zaś chodzi o nasze ziemie w Karolinie Południowej, to posiadłość Farnsworthów wraz z całym jej terenem można by zmieścić gdzieś w ich kącie i nigdy już tej szkółki nie oglądać, chyba że przypadkiem zapuściłoby się w okolicę z okazji, dajmy na to, polowania.

Może i opowieści o balach, przyjęciach i rozmaitych innych spotkaniach towarzyskich w tym domu i w dawnej siedzibie Farnsworthów nad rzeką James, czy gdzie tam ona stała, budziły w naszym gościu pewne zainteresowanie, lecz nie okazywał on zbytniego entuzjazmu. Niewątpliwie był uprzejmy, kiwał głową i zgodnie się uśmiechał, gdy ktoś na niego spojrzał, nie próbował jednak dołączyć na tym etapie do konwersacji. Jadł tylko dalej, w sumie pochłaniając ogromną ilość pożywienia.

Wszyscy starali się unikać tematu wojny, nie chcąc wprawić McBurneya w zakłopotanie, aczkolwiek, jak w końcu sobie uświadomiłyśmy, było to cokolwiek absurdalne, skoro na wschód od nas szalała bitwa w jeszcze mniejszej niż ubiegłego dnia, zdawało się, odległości. Trudno nie mówić o czymś, przez co okna od ogrodu się telepią, a filizanki niebezpiecznie podskakują na spodeczkach.

– Boże drogi, skoro już muszą toczyć wojny o poranku, to mogliby to robić nieco ciszej – odezwałam się w końcu.

– Jestem za – oznajmił rozweselony McBurney. – Proponowałbym, byśmy wrócili do starych, dobrych czasów, gdy walczyło się na piki, włócznie i miecze. A wtedy, zobaczycie panie, Irlandczycy zapanują nad światem.

– Naprawdę tak pan sądzi, panie McBurney? – dopytała panna Harriet.

– Tak jest, nie mam co do tego wątpliwości. Nie było narodu lepszego w walce wręcz jak Irlandczycy. Czy nie powstrzymaliśmy rzymskich legionów, gdy wszyscy Brytowie pochowali się po jaskiniach i powłazili na drzewa? Odparliśmy Angłów, Sasów, Jutów i Piktów, Galów i wikingów, a potem uporaliśmy się z Normanami. Otóż to, droga pani, wasze mapy Wysp Brytyjskich wyglądałyby dzisiaj nieco inaczej, gdyby nie proch strzelniczy. To wynalezienie prochu nas zgubiło.

– Ciekawa teoria – zauważyłam. – A jeśli ją pociągnąć jeszcze trochę, można by przewidzieć inne interesujące rezultaty. Założę się, że wasze armie Północy nie byłyby teraz w Wirginii, gdyby tę wojnę toczyć wyłącznie przy użyciu broni wykorzystywanej przez Greków i Rzymian.

– Ma panienska absolutną rację – przyznał. – Właśnie to samo sobie pomyślałem nie dalej jak wczoraj, kiedy zobaczyłem, jak dzielnie

zachowywali się wasi chłopcy, i to w tak niesprzyjających warunkach. Widzą panie, mieliśmy, a było nas mnóstwo, przekroczyć taką drogę, której broniła grupka waszych, zdaje mi się, że z Georgii...

– Ja jestem z Georgii – oznajmiła Amelia. – Choć w tych pułkach z Georgii nie mam już nikogo bliskiego.

– Czy to był może siedemdziesiąty pierwszy, czy siedemdziesiąty czwarty pułk ochotników z Georgii? – spytałam. – To pułki z brygady mojego ojca, choć możliwe że ciągle jeszcze walczą pod generałem Longstreetem na zachodzie.

– A jeśli to był dwudziesty trzeci z Georgii – odezwała się Marie – to możliwe, że strzelał pan do mojego wuja Philipa. Mieszka w Macon i jestem pewna, że służy w tym pułku, o ile jeszcze żyje.

– Prawdę mówiąc, to nie wiem, co to był za pułk – odparł McBurney. – Nie mówili. Zawołali tylko, że ci z Georgii za nic nie dadzą się przedrzeć Jankesom, i faktycznie nie dali. Okopali się za jakimiś skałami i zwalonymi kłodami i wytrzymali z tuzin szturmów naszych najlepszych ludzi. Nie wiem, co się działo potem, bo na tyły podciągnięto nam artylerię, a potem naszą grupę odesłano do pomocy przy natarciu na innym odcinku, więc nie potrafię powiedzieć, czy jeszcze się tam trzymają. Wiecie panie, w pewnym sensie mam nadzieję, że tak.

– Nie takich chyba odczuć należałoby się spodziewać po lojalnym żołnierzu wojsk Unii – poczuła się w obowiązku zauważyć panna Martha.

– Boże drogi, panno Martho – odezwała się Alice. – Pan tylko oddawał cześć naszym chłopcom. Tak czy siak jestem pewna, że kapral McBurney nie sprawował żadnej funkcji dowódczej, bo jedynie wówczas robiłoby mu różnicę, czy nasi się utrzymali, czy też nie. Prawda, kapralu?

– Nie inaczej – odparł, szybko puszczając do niej oko.

Już sobie pannę Alice wypatrzył i zaszufadkował. Większość młodych dam gotowa byłaby się poczuć urażona, jeśli ktoś pokroju McBurneya posłałby im oko, ale w przypadku kogoś takiego jak Alice Simms człowiek właściwie spodziewa się tego typu sytuacji.

– Pełna zgoda, panienki – kontynuował. – W żadnym razie nie oceniam niepoohlebnie armii Unii, w jej szeregach służy wielu prawych i odważnych chłopców. Chcę tylko powiedzieć, że za sprawą mechanicznych wynalazków wojna straciła swój urok. Brak już w niej tej frajdy, jakiej mogła dostarczać, powiedzmy, tysiąc lat temu. Tak, musiało to wyglądać zgoła inaczej, kiedy wyruszałeś w bój, skryty pod przyłbicą i kolczugą, polegając wyłącznie na sile własnego ramienia i chyżości oka, by uratowały cię przed czymś gorszym aniżeli utrata paru palców, ucha albo wgniecenie na hełmie i ból głowy przez tydzień czy dwa. A nawet jeśli w tamtych czasach ginałeś, to otuchy dodawała ci świadomość, że pokonał cię ktoś lepszy, a nie jakiś chuderlawy, podenerwowany subiekt ze sklepu pasmanteryjnego z ręką dygoczącą na armatniej lince spustowej dobre dwie mile od ciebie. Panienki, kiedy ujrzałem wczoraj tych waszych chłopaków strzegących błotnistej drogi, zdałem sobie sprawę, że nawiązują do najwspanialszych i najszlachetniejszych tradycji z przeszłości. Gdy pomyśleć, co proch strzelniczy uczynił ze światowym rycerstwem. Wszak jegomoście za murami Troi nie wytrzymałyby do zachodu słońca, gdyby ci pod miastem mieli ze dwa moździerze albo chociaż trzycalowe działo. Całe światowe dzieje i literatura wyglądałyby zupełnie inaczej. Jak się nazywa ta książka tego jegomościa z Grecji?

– *Iliada* Homera – uzupełniła Edwina Morrow, która wpatrywała się w niego z błyskiem w oczach.

– O, to właśnie – przytaknął. – No to człowiek zupełnie nie miałby o czym pisać, gdyby miasto już pierwszego dnia legło w gruzach. Toć o wojnie nie pisują już poezji, i nie dziwota. Bo co tam poetyckiego w tym, że niszczy cię maszyna... – W tym miejscu przystanął, spuścił wzrok, jak gdyby uznał, że powiedział coś niewłaściwego, i ponownie skupił się na posiłku.

– To ciekawe, bardzo ciekawe – zauważyła panna Martha.

– Ogromnie ciekawe – przyznała panna Harriet. – Znać u pana zacny zmysł filozoficzny, panie McBurney.

– Dziękuję pani – odparł skromnie. – Staram się dostrzegać pożyteczne lekcje w codziennych doświadczeniach. – I mrugnął do mnie, diabeł, zza swojej filizanki z kawą.

„Ty łobuzie, ty bezczelny, ryży łobuzie”, pomyślałam. Cóż, tymi słowami zdołał jednak, pochłaniając śniadanie złożone z trzech misek kaszki jęczmiennej, czterech porcji kukurydzianych ciastek z melasą, mniej więcej tuzina sucharków w tłustej polewie oraz iluś filiżanek kawy żołądziejowej, bez reszty zauroczyć całe towarzystwo, do pewnego stopnia wliczając w to i mnie. Jestem przekonana, że gdyby w tym momencie zarządzić głosowanie, nie dając uprzednio chwili do namysłu, kapral McBurney zostałby stałym mieszkańcem naszej pensji.

Przypuszczam, oczywiście, że niektóre z uczennic głosowałyby w ten sposób nawet jeszcze przed tym śniadaniem. Co bardziej trzpiotowate zadały sobie mnóstwo trudu, upiększając się dla kaprała. Wśród nich była Edwina, o której sądziłam, że będzie ponad podobne frywolności, a tymczasem zeszła na śniadanie w swojej najlepszej sukni z czerwonego brokatu, jak również Alice, która w ogóle ma, rzecz jasna, mało sukien, w tym żadnej wyjątkowej, lecz mimo to zdołała obwiesić się najrozmaitszymi krzykliwymi świecidełkami – pierścionkami, bransoletkami i innymi ozdóbkami – jak mniemam, stanowiącym pośledniejszą część trofeów jej matki.

Mała Marie, której nie sposób pominąć przy jakiegokolwiek uroczystej okazji, wkroczyła po królewsku, z jadeitowymi kolczykami, prezentując się wszystkim jak jakaś karlica-ulicznica i tak pewnie siedziałaby sobie przy stole, gdyby nie panna Martha, która zdała sobie sprawę, że to już krańcowy absurd i poleciła dziewczynce bądź to zdjąć biżuterię, bądź też opuścić pokój. Marie niechętnie wyjęła kolczyki z uszu i do końca posiłku była tak ponura i niegrzeczna, jak tylko ona to potrafi.

– Być może wszystkie się tego ranka czegoś nauczyłyśmy – odezwała się teraz panna Harriet. – Być może wszystkie nauczyłyśmy się, by nikogo pochopnie nie oceniać.

– Człowiek to więcej niż kolor płaszcza czy, dajmy na to, skóry – zauważył trzeźwo kapral McBurney. Mówiąc to, spoglądał kolejno na każdą z nas, pragnąc, jak podejrzewam, sprawdzić nasze reakcje na kwestię, która zdaniem Jankesów musi być chyba jedynym, o czym tu myślimy, aż doszedł do starej Mattie, która właśnie wchodziła ze dzbankiem świeżej kawy żołądziejowej. –

Czy tak właśnie widzicie tę sytuację? – spytał ją. I mogłabym przysiąc, że na końcu języka miał już „panno Mattie”, lecz przypomniał sobie, gdzie się znajduje, i w czas się ugryzł.

– Ja tam o takich rzeczach nie myślę – odpowiedziała wstrzemięźliwie tonem, jaki rezerwuje dla białych ludzi, którzy nie do końca spełniają jej oczekiwania. – Nikt nas nie zna dobrze jak tylko dobry Bóg. I tylko On nas może osądzać, jak należy. Wie, że choćby najprzyjaźniejsza twarz może kryć ogrom nienawiści, a za te, które się nigdy nie uśmiechają, ogrom miłości.

– Amen. – O dziwo, rzuciła to Edwina. Nigdy nie słyszałam, by zgodziła się choćby z jednym z drobnych spostrzeżeń, którymi Mattie niekiedy częstuje nas za darmo, w porze posiłku czy też w dowolnej innej, gdy tylko trafi się okazja. Właściwie to nie byłam w stanie sobie przypomnieć, by Edwina kiedykolwiek zgodziła się z Mattie, co nie powinno chyba zaskakiwać, gdy pomyśleć, że rzadko kiedy Edwina zgadza się z kimkolwiek.

Niedługo potem uczta śniadaniowa dobiegła końca. Panna Martha powiedziała błogosławieństwo, a nasz gość pochylił głowę wraz z nami i posłusznie pogрузzył się w rozmyślaniach, acz czy nad kwestiami religijnymi, czy też innej natury, tego nie umiem orzec.

– Czy w obozach Północy wiele uwagi poświęca się modlitwie, panie McBurney? – spytała panna Harriet, gdy wstawaliśmy od stołu.

– Niewiele, szanowna pani – odparł. – Tylko gra w karty, przekleństwa i ogólne pogaduchy, chyba że ma się rozumieć, w noc przed bitwą, kiedy to nie sposób o cal ruszyć się ze swojego koca, by nie potknąć się o mężnych chrześcijan na kolanach.

– Nie sądzi pan, że tak samo może to wyglądać w szeregach armii Konfederacji? – spytała Edwina.

– Sądzę, że tak właśnie jest, panienko – odparł, spoglądając na nią w zamyśleniu. – Jedyna różnica w tym, że skoro większość konfederatów najwyraźniej wie, o co walczy, to może częściej niż Jankesi skupiają się na robocie.

– A czy pan wiedział, o co pan walczy, kapralu McBurney? – dopytałam.

– Ujmijmy to tak, panienko – rzekł. – Sądziłem, że wiem, ale wątpliwości nachodziły mnie już od dnia, kiedy wsiadłem do wagonu i wyruszyłem do Marylandu.

– A co sprawiło, że zmienił pan zdanie? – chciała wiedzieć Mary.

– Fakt, że byliśmy najeźdźcami – odparł żwawo. – Wszelkie wartości sprawy jankeskiej nie zmieniają faktu, że jesteśmy najeźdźcami. A skoro przybyłem z kraju, który pod obcasem najeźdźcy żyje już od kilkuset lat, zacząłem tracić zapał do tej całej historii. Bóg mi świadkiem, panienki. Daję wam moje uroczyste słowo.

Wyglądało na to, że na każde pytanie miał nienaganną odpowiedź. Zastanawiałam się, czy rzeczywiście wierzy w każde wypowiedziane słowo, czy też po prostu nieco nam słodzi, jak to się mówi, aby zapewnić sobie przyjemne warunki pobytu. Dlatego też uznałam, że kiedy reszta będzie się zbierała, ja zostanę na chwilę i jeszcze go trochę podpytam.

Młoda Marie także została na moment.

– Pozwolę sobie coś panu doradzić – zwróciła się do niego tak cicho, jak tylko potrafiła. – Proszę się zbyt nie angażować w te protestanckie modły, które tu ciągle odbywamy.

– To jak ich najlepiej unikać? – spytał, delikatnie uśmiechając się do mnie nad jej ramieniem.

– Tak zupełnie uniknąć się nie da. Trzeba się po prostu dostosować. Chodzi o to, by liczyć barany, odmawiać zdrowaśki czy co tam się chce, kiedy tylko panna Martha zaczyna wygłaszać jedno z tych długich i pokrętnych błogosławieństw, które tak uwielbia układać. Nie trzeba być od razu niegrzecznym. Tylko proszę nie dać się w to wciągnąć. Inaczej może pan utracić swoją wiarę.

– Bardzo paniencie dziękuję – odpowiedział uroczyście. – Doceniam panienki troskę.

– Nie musi mi pan dziękować – zapewniła. – Pan i ja musimy się trzymać razem wobec tych bezbożniczek. – I z tymi słowy wyszła, kompletnie mnie ignorując.

– No, panienko – zwrócił się do mnie radośnie. – Wygląda na to, że teraz panny kolej. Czy również ma panna dla mnie jakąś radę? Tylko proszę zanadto się nie zbliżać, jeśli jest panienka jedną z tych bezbożniczek, o których wspominała ta mała.

– Jeżeli zamierza pan postępować wedle rozsądku tego dziewczęcia – zastrzegłam – to bardzo prawdopodobne, że jeszcze przed wieczorem znajdzie się pan w poważnych tarapatach. Marie uwielbia udzielać innym rad co do zachowania, tyle że sama zawsze pakuje się w kłopoty.

– Co prawda, to prawda, prawdziwa z niej koszarowa mądrała – przyznał ze śmiechem. – Już na pierwszy rzut oka ją rozgryzłem.

– Nikt tu nie będzie ingerował w pańskie wierzenia religijne.

– Wiem, panienko. Choć tak właściwie to kwestia religii nie budzi we mnie głębszych uczuć.

– A czy cokolwiek budzi w panu głębsze uczucia?

– Co ma panienka na myśli?

– Czy jest pan oddany jakiegokolwiek wierze lub sprawie? Czy jest coś, za co gotów byłby pan umrzeć?

– Szczerze mówiąc, panienko, to nie wydaje mi się – oznajmił po chwili milczenia. – Chyba że chodziłoby o jakąś osobę, może moją matkę albo bardzo bliską mi dziewczynę. Być może poświęciłbym się dla kogoś takiego. Rzecz jasna, musi panienka zdawać sobie sprawę, że nie każdy, kto wkłada mundur, myśli o tym, że zaleje go własną krwią. W istocie idę o zakład, że niewielu gości walczących na tej wojnie, czy to z Północy, czy z Południa, w chwili wymarszu w ogóle rozważa możliwość, że przyjdzie im zginąć.

– Zapewne ma pan rację – przyznałam. – Pewnie nawet mój ojciec woli nie oddawać życia, o ile może tego uniknąć. Oczywiście nie oznacza to, że nie będzie do tego gotowy, jeśli okaże się to konieczne. Ale jeżeli odwagę naszych chłopców ocenia pan tak, jak pan o tym mówił, to wydaje mi się, że stanął pan po niewłaściwej stronie.

– Sam po wielekroć tak sobie myślałem, panienko – wyznał kapral McBurney z niezachwianym spojrzeniem. – Zdałem sobie z tego sprawę, gdy

zacząłem orientować się w przebiegu wojny i w tym, jak to Północ zaczęła całe zamieszanie. Widzi pani, w chwili zejścia z pokładu nie miałem o tym pojęcia. To jest słyshałem, że toczą się jakieś walki, ale zupełnie nie wiedziałem, o co poszło. Obie strony wydawały mi się sobie warte, tyle że na Broadwayu w Nowym Jorku nie stały punkty werbujące do Konfederatów.

– Chce pan powiedzieć, że dołączył pan do wojsk Unii dla samej przygody?

– Chyba tak – odparł spokojnie. – Ma się rozumieć, w decyzji bardzo pomógł mi oficer werbunkowy, wygadany, śliski typ, który opowiedział, jak to tu męczycie i źle traktujecie wszystkich czarnych.

– To wierutne kłamstwo! – odparowałam w złości.

– Na to by wyglądało, sądząc po moich skąpych jak na razie obserwacjach – uznał. – Z Mattie, którą tutaj macie, wydaje się, że obchodzicie się całkiem nieźle.

– Ależ oczywiście. Podobnie jak większość pozostałych. W naszej posiadłości w Karolinie Południowej czarnuszków traktujemy jak członków rodziny.

– Czyli są z wami spokrewnieni?

– Ma się rozumieć, że nie. Miałam na myśli, że traktuje się ich mniej więcej tak samo, jak pozostałych.

– Ale nigdy się z nimi nie mieszacie.

– Nie, oczywiście, że nie.

– Ale gdzieś też słyshałem, że na Południu zdarzają się ludzie mieszani, że mają w sobie krew czarnych.

– Zapewne istnieje jakaś liczba takich przypadków pośród klas niższych – przyznałam. – Ale większość naszych ludzi jednego i drugiego koloru jest równie godna szacunku co ludzie żyjący gdziekolwiek indziej.

– To ja wiem. O tym nie musi mnie pani przekonywać. Jak już mówiłem, wcześniej nie znałem tylko dziejów samej wojny. W innym wypadku mogę zaręczyć, że wsiadłbym na statek do Charlestonu, a nie do Nowego Jorku.

– Nie wydaje mi się, by pan tam dotarł – uprzedziłam go. – W porcie

Charleston mamy teraz blokadę i dostać się tam statkiem jest niezwykle trudno. Ale jeżeli naprawdę poważnie myśli pan o zmianie stron, na pewno da się to łatwo zaaranżować. Musiałabym tylko wysłać list do ojca i jestem przekonana, że z miejsca mógłby się tym zająć.

– To bardzo miłe z panienki strony – odparł i rzeczywiście sprawiał wrażenie wdzięcznego. – Bardzo możliwe, że skorzystam z propozycji... kiedy tylko zaleczę tę nogę.

– Mogłabym już teraz napisać do ojca, a noga by się leczyła, podczas gdy oczekivalibyśmy na odpowiedź.

– Proszę, proszę. Panienka pozwoli, że się wpierw nad tym dobrze zastanowię. To nic miłego zostać zdrajcą, choć przypuszczam, że człowiek ma w życiu prawo do jednego, zwyczajnego błędu. Niemniej i tak wolałbym bardzo uważnie rozważyć tę propozycję. Panienka rozumie, prawda?

– Tak, naturalnie, że rozumiem. I uważam, że to słuszne. Rada też jestem, że wspomniał pan słowo „zdrajca”. Na zdrajcy samej by mi nie zależało, ale tak jak pan zauważył, zwyczajnemu błędowi da się zaradzić.

– Wspaniale, zatem doszliśmy do porozumienia. Czyli kiedy tylko całą sprawę sobie przemyślę, a powinno to nastąpić, jak tylko ból w nodze zelży i przejaśni mi się w głowie, pošlę panienkę po pióro i kałamarz, by wystosowała panienka uprzejmy list do taty, oferując w nim me skromne usługi. Zgadza się, panienko?

– Zgadza się.

– W porządku. Lecz teraz wróćmy do sprawy, o której rozmawialiśmy wcześniej, co z tymi ludźmi mieszanymi? Uznaje się ich za białych?

– Nie!

– Nigdy? Mam na myśli przypadki, kiedy mają w sobie tylko trochę czarnej krwi. Powiedzmy ćwiartkę, jedną ósmą albo nawet jeszcze mniej.

– I tak uważa się ich za czarnych.

– Ale nie traktujecie ich źle.

– Absolutnie nie. Takich mieszaińców bardzo wysoko się ceni jako służących w domu, pokojówki, lokajów i tak dalej.

– Tak, rozumiem.

– Jedynymi, którzy dopuszczali się złego traktowania ludzi, są Jankesi, choć pewna jestem, że nic o tym panu nie opowiadali. O tym, jak palili domy, kradli Murzynów i bydło, jak brutalnie obchodzili się z kobietami i dziećmi właśnie tutaj, w Wirginii, podczas swoich wypadów kawaleryjskich do hrabstwa Westmoreland, a również i w innych miejscach.

– Dla gości, którzy dopuściliby się czegoś podobnego, stryczek to za mało.

– Z pewnością panna Martha i panna Harriet będą zadowolone, że też tak pan uważa.

– Jak panienka o mnie teraz myśli?

– Chyba lepiej niż dotychczas.

– Wie panienka, wczoraj, kiedy trafiłem do tego domu, powiedziałem sobie: „Tutaj rządzi ta z rumianymi policzkami. To jej musisz się sprzedać”.

– Dlaczego miałby pan uznać, że musi się pan sprzedać?

– No, może nie całego McBurneya, ale sam fakt, że źle wam on nie życzy.

– Nie wydaje mi się, by wczoraj był pan dostatecznie przytomny, by móc nas pod takim względem oceniać.

– Bynajmniej, po prostu zgadywałem. Ale, Boże, jaka panienka podejrzliwa.

– Nazywam się Emily Stevenson.

– Stevenson... to irlandzkie nazwisko?

– Angielskie.

– Ach, ale to jeśli sięgnąć wiele pokoleń wstecz, rzecz jasna.

– Chyba można powiedzieć, że moja rodzina mieszka w Karolinie Południowej już od dawna. Mój pradziadek służył u generała Waszyngtona.

– I walczył z Brytyjczykami? Czyli jednak coś nas łączy, he?

– Pan nie walczył na żadnej wojnie przeciwko Anglii.

– Nie, ale chętnie bym to uczynił. Właśnie na taką wojnę bym się zaciągnął, gdyby akurat jakaś trwała.

– Brytyjczycy to obecnie niemal nasi sprzymierzeńcy. Szmuglerzy

przemycają przez blokadę mnóstwo zaopatrzenia z Anglii.

– Podejrzewam, że niektórzy z nich są w porządku. Zwykli ludzie są wszędzie tacy sami. To królowie i królowe, wszyscy pyszni książęta i panowie ciągle wszczynają kłopoty. Jak już coś dorwą w swoje szpony, nie mogą znieść myśli, żeby to wypuścić. Gdy stracili ten kraj, poczuli się zdruzgotani, a teraz bardzo się boją, że utracą również Irlandię.

– I to jest sprawa, której jest pan oddany, prawda? Sprawa pana własnego kraju.

– Tak, możliwe. Chyba można tak powiedzieć.

– Cieszę się. Sądzę, że każdy powinien się czemuś poświęcać. Inaczej nie wydaje mi się, by taka osoba przedstawiała sobą większą wartość.

– Mężczyzna, który poświęci się pani, to będzie szczęśliwiec.

– Dziękuję.

– Mówię poważnie. Zaczyna z panienki, prawdomówna i prawa młoda dama. Wie panienka, mnóstwo kobiet jest z natury fałszywych. Nic na to nie poradzą. Mówią jedno, a myślą drugie i wpuszczają gości w maliny dla własnej rozrywki, zupełnie się tym nie przejmując. Ale mam wrażenie, że w przypadku panienki nigdy by się tak nie stało. Panienka wydaje mi się bardzo szczerą młodą damą.

– Mam nadzieję, że taka właśnie jestem. Nigdy nie miałam powodu, by w jakiegokolwiek kwestii być nieszczera.

– Z powodem czy bez, nie sądzę, by kiedykolwiek panienka była. Panno Emily, wie panienka, kogo mi panienka przypomina? Dziewczęta w kraju. Taka panienka solidna i o pewnym spojrzeniu... i porządna, przyzwoita i krzepka.

– Wszystkie te epitety poczytuję sobie za komplement.

– Taki też był ich cel, panno Emily. Powiem coś jeszcze. Nie wiem, czy mi panienka ufa, czy też nie, ale jeśli sam zaufałbym komuś w tym domostwie, to właśnie panience.

– Raz jeszcze dziękuję. Nie poznał pan jeszcze wszystkich tutaj, prawda?

– Większość. A na resztę miałem okazję rzucić okiem. To wszystko pewnie miłe osoby, ale coś mi mówi, że żadna z nich nie jest tak bezpośrednia jak

panienka. Jeśliby panienska stwierdziła, że będzie z kimś trzymać, to ja bym w to uwierzył.

– Nie powiedziała bym tak, gdy bym tak nie uważała.

– O to mi właśnie chodzi. Wciąż nie jest panienska gotowa, by kupić, co sprzedaję, co?

– Już chyba prawie.

– Proszę jeszcze sobie to przemyśleć, panno Emily. Zapewniam, że to niezły interes. Zyska panienska dobrego przyjaciela, jeżeli cokolwiek to znaczy. Proszę to przemyśleć, panno Emily, a tymczasem ja przemyślę sprawę tego listu do panienski ojca.

Wówczas weszła Mattie, aby uprzątnąć ze stołu.

– Panna Harriet mówi, żeby panienska szła na lekcję francuskiego do biblioteki – poinformowała. – A panna Martha mówi, żeby temu Jankesowi do końca dnia już nie przeszkadzać.

– Przepraszam – odparłam. – Nie zdawałam sobie sprawy, że opóźnię zajęcia. A jeśli naprzykrzyłam się panu, kapralu, to za to również przepraszam.

– Panno Emily, panienska nigdy by mi się naprzykrzała – odparł tak szarmancko, jakby wręcz był którymś z naszych. I uśmiechnął się, tym razem jednak nie mrugając.

Muszę przyznać, że po wyjściu z pokoju zrobiłam coś, co w normalnych okolicznościach uznałabym za nikczemne i podejrzewam, że takie to w istocie było, choć powiedziałam sobie, że w owym czasie miałam po temu wystarczające powody. Wciąż nie wiedziałam, czy powinnam zaakceptować kaprała McBurneya, tak więc na chwilę przystanąłam tuż za drzwiami bawialni, aby posłuchać, czy będzie chciał coś o mnie powiedzieć Mattie.

A chciał.

– To bardzo miła młoda dama – zauważył.

– Aha – odparła Mattie.

– Będzie komuś wspaniałą żoną – dodał. – Ze wszystkich panien w tej szkole uważam, że to z niej będzie najlepsza.

– Nie widzi mi się, by panna Emily myślała hajtać się z Jankesem –

skwitowała.

– Och, absolutnie nie o tym myślałem – zastrzegł. – Jest daleko poza moim zasięgiem. Co do tego nie mam wątpliwości. Może i mam olej w głowie, i wyglądam nie najgorzej, ale brak mi majątku, by stawać do takich zawodów. Chciałem tylko powiedzieć, że gdyby jakiś odpowiedni jegomość wpadł tutaj zapoznać się z ofertą, to moim zdaniem panna Emily stanowiłaby najlepszy wybór.

– Nie wydaje mnie się, żeby takie mówienie o panie Emily i pozostałych panienkach było właściwe – odpowiedziała Mattie.

„Nie, nie jest, jest za to bardzo zabawne”, pomyślałam. Kapral McBurney na swój cokolwiek chropowaty sposób obsypał mnie chyba wszystkimi komplementami, jakie mogą człowiekowi przyjść do głowy – pomijając, rzecz jasna, stwierdzenie, że jestem piękna. Oczywiście, gdyby tak stwierdził, wiedziałabym, że sam nie jest ze mną szczery.

Nie czekałam już dłużej pod drzwiami i pospieszyłam do biblioteki. Po raz pierwszy w ciągu trzech lat spędzonych w szkole spóźniłam się na lekcję i, co dziwne, zbytnio się tym nie przejęłam.

MATILDA FARNSWORTH

Następnego ranka wydawał mi się nad wyraz żywotny jak na człowieka, co to prawie umarł poprzedniej nocy. Panna Emily wyszła z pokoju, a ja przyszedłam pozbierać talerze po śniadaniu. A on tak się wychylał na sofie, jak tylko mógł, jakby bardzo mu zależało się upewnić, że panna Emily nic nie usłyszy i czy aby na pewno nie kryje się jeszcze w korytarzu.

No i powiedział o niej trochę miłych rzeczy, ale potem zadał pytanie, co już mi wcale tak przyjemnie nie zabrzmiało. Gdyby kto inny zapytał, a nie on – obcy, co w tym domu był krócej niż dzień – to pewnie bym się nie przejęła, ale tak to mi się nie spodobało.

– A która z tych dziewczuszek ma najwięcej pieniędzy, co? – Tak je nazwał: nie powiedział „dziewczęta” czy „młode panienki”, tylko „dziewuszki”, tak jak kolorowi mówią.

– Żadna z młodych panienek nie ma pieniędzy, tylko to, co ich rodziny im posyłają na szkołę. Młode damy zazwyczaj nie noszą przy sobie pieniędzy – odparłam.

– A która rodzina ma najwięcej?

– Nie wiem.

– Stevensonowie?

– Może. Nie wiem.

– Ta mała, co mnie tu sprowadziła, Amelia Jakaśtam. Założę się, że jej rodzinka też ma niezły pieniądź.

A wtedy ja tak żem się zdenerwowała, żem musiała coś powiedzieć.

– Większość ich rodzin ma pieniądze, bo inaczej to ich tu by w ogóle nie było! To jest porządna pensja!

– Ale nie wszystkie te dziewczuszki są takie porządne, co?

– Nie mam teraz czasu z panem gadać – mówię mu. – Czas leci, roboty nie

ubywa.

– Wybacz, Mattie. – On na to do mnie. – Nie chciałem być nieuprzejmy. Mam w sobie po prostu wiele ciekawości świata, a teraz widzę tutaj te wszystkie dziewczuszki i leżę zamknięty w czterech ścianach. Nic nie poradzę, że sobie o nich rozmyślam. A teraz, tak tylko między nami, spróbuję zgadnąć kilka rzeczy, a ty mi powiesz, czy mam rację, czy nie. Założę się, że ta bardzo ładna blond dziewczuszka – Alice – wcale nie jest porządna. Mam rację?

– A bo to ja wiem, jaka ona jest. Panna Martha ją tu trzyma z dobroci serca, a jeśli coś jest dość dobre dla panny Marthy, to dla mnie też.

– Tak myślałem. A ta milutka panna Edwina Morrow, założę się, że też nie jest zbyt porządna. Co, mam rację? Raz-dwa, mówże.

– Może jej tatko ma więcej pieniędzy niż niektórzy inni.

– O to cię nie pytałem. Pytałem, czy ona jest porządna, czy nie.

– O, ja to już panu ani słowa nie powiem. Jeśli jeszcze czego jest pan ciekaw, to niech pan sam się spyta panny Marthy albo panny Harriet.

– One są porządne.

– Pewno, że są! Niechże pan nawet nie próbuje powiedzieć, że ta rodzina nie jest porządna!

– Ależ Mattie, w życiu bym się nie poważył czegoś takiego powiedzieć. Błagam, nie bij inwalidy. Tylko sobie tak z tobą żartuję, staruszko. Nic mnie nie obchodzi, kto jest czy nie jest porządny ani czy ma pieniądze. Jestem wam wdzięczny, że mogę dochodzić do zdrowia w bezpiecznym miejscu, z dala od strzałów i zamętu. Mi też daleko do porządności, Mattie, jeśli chcesz oceniać po linii krwi. Pochodzę od Cyganów i włóczęgów, od ludzi bez nazwiska. Nie mam ziemi ani fortuny i jestem skazany na najdalsze miejsce od ognia, gdzie nie da się czytać nawet modlitewnika z największym drukiem, a w zimną noc człowiek nigdy nie ogrzeje pleców.

– Bardzo dziwnie pan opowiada.

– Bo ze mnie taki już bardzo dziwny człowiek, Mattie. Ale nikomu źle nie życzę. Jestem wędrowcem i niespokojnym duchem, wielkim marzycielem, co śni najdziwsze sny... I chyba też wielkim oszustem. Rzadko kiedy kto mnie

widzi, gdy przechodzę, a kiedy znikam, nikomu mnie nie brakuje. Ale uwierz, nikomu źle nie życzę. Mattie, a nie masz ty czasem nieco tytoniu?

– Za domem rośnie jeszcze trochę na grządce.

– A ścinasz ździebko od czasu do czasu? Może masz troszkę rozwieszzonego i ususzonego?

– A fajkę pan ma?

– Gdzieś zgubiłem. Skorzystam z twojej, Mattie.

– Pan to z pewnością nie jest porządny.

On wtedy tak się zaśmiał, jakby się miał rozpęknąć. Dziwny był z niego człowiek, bez dwóch zdań.

– Oj, Mattie, choćby sam Pan Jezus Chrystus tu wszedł i poprosił o fajkę, co byś mu powiedziała? Założę się, że zaraz byś mu rzekła: „Panie Jezu, Pan to z pewnością żeś nie jest porządny!”. – I znowu wziął i zawył z uciechy. Tak rechotał, aż się sama musiałam w końcu roześmiać.

– Teraz pan poczeka, a potem pan spyta pannę Harriet, czy nie ma tu gdzieś jakiej fajki – rzekłam mu, kiedy jużem odzyskała oddech. – Może da panu którąś z tych starych, po jej tatku albo panu Robercie.

– Dziękuję ci, Mattie. A kim jest pan Robert?

– Był bratem panny Marthy i panny Harriet.

– Nie żyje?

– Cóż, panna Martha tak myśli. Że go zabili w tej bitwie, tam w lasach zeszłego roku.

– Chancellorsville.

– A bo ja wiem, jak na to Jankesi gadają. My na to mówimy bitwa w lesie. A teraz to pewnie mówimy na to pierwsza bitwa w lesie.

– A dlaczego panna Martha tylko myśli, że jej brat tam zginął? Jego pułk powinien wiedzieć na pewno, co się z nim stało.

– A bo ja wiem, czy oni coś wiedzą, czy nie.

– Nawet jeśli z początku został uznany za zaginionego, od bitwy minął już cały rok. Wasz Departament Wojny powinien posiadać jakieś dokumenty. Teraz

już powinni go mieć zapisanego jako martwego albo pojmanego.

– Cały w tym kłopot, że pan Robert mógł się zaciągnąć do armii pod innym nazwiskiem niż swoje własne.

– A czemuż miałby robić coś takiego?

– Może on nie chciał, coby panna Martha wiedziała, gdzie on jest.

– Jeśli tak było, to może wcale nie zginął. Może tylko gdzieś uciekł i nikt go już nigdy nie znajdzie.

– Tak jak pan?

– A co ty chcesz przez to powiedzieć, Mattie?

– Toż przecież pan też uciekł, nie? Nikt nie wie, gdzie się pan podział, tylko my. Może pana też nikt nigdy nie znajdzie.

– Właśnie tak, nie inaczej. Czy to by nie było wspaniałe? Mógłbym tu sobie mieszkać do końca życia, otoczony czarującymi młodymi damami, na każde moje skinienie gotowymi dać mi wszystko, czego tylko zapragnę. To mogłaby być taka wymiana. Ja za pana Roberta. Będę musiał to zaproponować panie Marcie.

– Ja to bym wcale panu nie radziła przy niej takich rzeczy odpowiadać.

– A cóż tam zaszło między nimi, co, Mattie?

– A bo ja wiem.

– To znaczy, że nie chcesz mi powiedzieć.

– Jak tam pan sobie uważa.

– To powiedz mi co innego. Czemuż to dwie takie przystojne panie nigdy nie wyszły za mąż?

– Pan to lubi pytania zadawać jak mało kto.

– Dzięki temu dzień prędzej minie, Mattie.

– Oj, coby pan zaraz nie minął drzwi przez próg, kiedy panna Martha się dowie, jaki pan wścibski.

– No powiedz, Mattie.

– Ja to sobie myślę, że panna Martha nigdy nie chciała za mąż wychodzić. Panna Harriet to może i kiedyś chciała, ale chyba zmieniła zdanie.

– Dlaczego?

– A bo ja wiem. Sam jej pan zapyta. Tylko niech jej pan nie mówi, że ja panu tak powiedziałam. Tak pan człowieka zasypuje pytaniami, gorzej niż mały dzieciak. No, ale ja już nie mam więcej czasu do trwonienia tu z panem. Pół poranka mi już uciekło, a pracy wcale nie ubyło.

– Kiedy Jankesi tu przyjdą i wszystko przejmą, Mattie, to nic już nie będziesz musiała robić.

– Aż tyle żywota to mnie nie czeka, cobym miała taki dzień zobaczyć. Nikt z nas aż tyle żywota nie ma przed sobą.

– Oj, Mattie, to już nadchodzi, to pewne jak twoje narodziny. Dzień Triumfu na to mówią. A jak już nadejdzie, to pojedziesz sobie na północ w salonce, którą przyśle tu po ciebie sam pan Lincoln. Ubiorą cię w jedwabną suknię, na palce włożą diamenty i będziesz pić szampana ze złotych kielichów. A stary kochany pan Lincoln będzie na ciebie czekał na stacji w Waszyngtonie, by przywitać ciebie i innych czarnych, a potem poprowadzi wielką procesję po ulicy aż do Białego Domu. Tylko wiesz, Mattie, wtedy go przemianują na Czarny Dom. I wy wszyscy czarni się do niego wprowadzicie, i będziecie mogli tam sobie mieszkać tak długo, jak wam się tylko zachce. Każdemu z was dadzą piękną sypialnię z wielkim mięciuchnym łóżkiem i z jedwabną pościelą, dostaniecie białe służące i lokajów, co się będą wami zajmować. Będziecie mogli cały dzień wylegiwać się w łóżku, jeśli was najdzie ochota, a wszystkie posiłki wam będą przynosić na srebrnych tacach. Będziecie mogli sobie zamówić do jedzenia, co tylko wam przyjdzie do głowy. Nawet jak nie będzie tego w karcie dań, to i tak ugotują specjalnie dla was. Będziecie mogli na każdy posiłek jeść szynkę w sosie, lody i kurczaka, jeśli się wam zachce, i torty, i placki, i ciastka z wiśniami, wszystko, na co tylko was najdzie fantazja. A co wieczór na trawniku pod waszym oknem będzie grała orkiestra, a wy tylko będziecie musieli krzyknąć, by zagrali, co tylko zechcecie usłyszeć – jig, hymn, marsz, czego tam zażądacie. A potem, zanim pójdziecie spać, usłyszycie bardzo uprzejme pukanie do drzwi, a kiedy otworzycie, zobaczycie, że na progu stoi pan Lincoln i mówi: „Mattie, czy byłaś dziś ze wszystkiego zadowolona? Masz jakieś zastrzeżenia? Wiemy, że niezbyt

przyjemnie wam było tam na Południu w Dixie i chcemy wam to teraz wynagrodzić. Więc dobrze się zastanów, a jeśli czegokolwiek tylko zapragniesz, napisz to na kawałku papieru tym szczerozłotym piórem, które leży sobie tam na biurku. Jak się przyjrzyysz, to zobaczysz, że na piórze jest wygrawerowane: „Wyrazy szacunku od starego Abe’a” – specjalnie dla was takie zamówiłem. No nieważne, napisz na kartce, czego tylko byś chciała, a jeśli nie umiesz pisać, to nie szkodzi, postaw tylko duży krzyżyk – mamy tu takiego jednego, co czyta w myślach i umie zgadnąć, co to ma oznaczać – a potem wysuń karteczkę przez szparę pod drzwiami, a my zajmiemy się twoim zamówieniem z samego rana. A teraz miłej nocy, kochana Mattie. Dobranoc, pchły na noc. Przynajmniej ci, że jutro będzie jeszcze lepszy dzień niż dziś”. I wiesz co, Mattie? Właśnie tak będzie. Podoba ci się taki Dzień Triumfu, Mattie?

– Pan to żeś jest szalony człowiek.

– A kiedy ten Dzień Triumfu już nadejdzie, to ja im powiem, że też jestem kolorowy, cobym mógł razem z wami sobie świętować. Tylko się im nie wygadaj, Mattie.

– Dobrze, dobrze – mówię. – Teraz to pan się lepiej położy i sobie wypocznie. Tak pan wygląda, jakby panu znowu na gorączkę szło.

– Mattie, a jak się nazywał ten przyjaciel panny Harriet, ten, co to prawie za niego wyszła za męża?

No to żem mu powiedziała.

– Howard Winslow. – Ani pięć minut nie minęło, a już zdążyłam pożałować. Ale wtedy nie sądziłam, że to mogłoby narobić komu kłopotów, i tak na pewno to dalej nie wiem, czy rzeczywiście kiedy narobiło. No ale wtedy ten Jankes nie wyglądał, jakby mógł komu krzywdę zrobić. Najgorsze, co się wtedy dało o nim rzec, to że jest niby jazgoczący szczeniak, co męczy starą kobietę.

Taki on się wydawał. Nie umiał się wstrzymać, bez przerwy go nachodziło na jakie wygłupy, tu dokuczył, tam życia uprzykrzył. Czasem to aż się człowiekowi zdawało, że mu nigdy ani jedna myśl poważna w głowie nie powstała. A innym razem znowu tak wyglądał, jakby mimo tego pajacowania

miął ich w środku całe mnóstwo. Ale wtedy ja już zaczęłam wynosić naczynia po śniadaniu, a zaraz potem weszła panna Harriet.

HARRIET FARNSWORTH

Dopiero około dziesiątej następnego dnia rano miałam szansę porozmawiać na osobności z naszym gościem. Pierwsza lekcja, jakiej udziela rano moja siostra, to język francuski wraz z literaturą tego kraju – niektóre eseje Montaigne'a, sztuki Racine'a, i co mniej ateistyczne fragmenty pism Voltaire'a i Rousseau – w zależności od tego, co nasze podopieczne są w stanie sobie przyswoić. Moim zadaniem w tym czasie jest udzielanie prywatnych lekcji z innych przedmiotów pannie Marie Deveraux. Marie czyta i mówi po francusku niczym rodowita paryżanka, i zdążyła już pochłonąć wszystkie francuskie książki w całym domu, choć z niewielkim zrozumieniem ich zawartości filozoficznej. Nakazałam jej poprawić kilka stron gramatyki angielskiej, a kiedy była już zajęta pracą, postanowiłam zajrzeć do bawialni i sprawdzić, jak się miewa kapral McBurney. Zamierzałam go zapewnić, że zależy nam na jego zdrowiu i powiedzieć, że jeśli chodzi o mnie, to może przebywać u nas, aż całkiem powrócą mu siły.

W tym miejscu chciałabym zaznaczyć, że opisując to i kolejne moje spotkania z kapralem McBurneyem, pragnę być tak dokładna, jak to tylko możliwe. Kiedy wspominam coś, co powiedziałam, a w szczególności rzeczy, które on powiedział, dokładam wszelkich starań, by późniejsze wydarzenia nie przeinaczyły moich wspomnień. Zamierzam też zachować najwyższą ostrożność w opisie sposobu, w jaki mówił różne rzeczy, bo prędko sobie uświadomiłam, że to miało nierzadko większą wagę od słów, których używał. Niewykluczone że Mattie zrozumiała to najprędzej z nas wszystkich.

– Jak on się czuje? – zapytałam, gdy wychodziła z pokoju z naczyniami po śniadaniu.

– Gorączka go żre – odparła. – Najlepiej to go pani nie słucha za bardzo, czego by nie gadał. A jeszcze lepiej to w ogóle z nim nie gadać.

– Mattie, pozwól, proszę, bym sama to oceniła – oznajmiłam nieco cierpkim

tonem. Jak już wspominałam, Mattie to prawdziwy skarb, ale czasami zdarza się jej czerpać irytującą przyjemność z wydawania mi rozkazów. Domyślałam się, że trudno pozbyć się takiego nawyku w wieku Mattie, która jest w tej rodzinie dłużej niż nasze pokolenie, choć w stosunkach z moją siostrą nigdy nie zdarza jej się zapomnieć o swojej pozycji.

Kiedy weszłam do pokoju, on leżał na sofie z zamkniętymi oczami, ale blady uśmiech na jego wargach zasugerował mi, że tylko udaje sen. Podeszłam i położyłam mu dłoń na czole. Może miał niewielką gorączkę, ale nic ponad to.

– Niech pani to zrobi jeszcze raz – poprosił. – To takie przyjemne. – Spełniłam jego prośbę. – Przypomina mi się, jak kiedyś leżałem chory w domu... Dopadł mnie bronchit czy coś podobnego i musiałem zostać w łóżku...

– Pańska matka się panem zajmowała?

– Nie, a przynajmniej nie za dnia. Nie mogła. Widzi pani, wynajmowaliśmy zaledwie mały kąt w wielkiej posiadłości, a po śmierci mojego ojca matka poszła do pracy w głównym domu. To jedna z pań z głównego domu dowiedziała się o mojej chorobie i któregoś dnia przyszła mnie odwiedzić. Nakarmiła mnie rosółem i mówiła różne miłe słowa, a potem położyła mi chłodną dłoń na ramieniu. Była Angielką, ale bardzo miłą.

– Nie wątpię. Pewnie sama miała dzieci.

– Nie, była na to za młoda. Była córką. Ja wtedy miałem osiem albo dziewięć lat, a ona była ode mnie może pięć, sześć lat starsza. Niezwykłej urody panna, pamiętam... dość drobnej postury, szczupła, o drobnych kościach, z przepięknymi, ciemnymi włosami i najbledszą na świecie, najmiłszą twarzą. Ale oczywiście nie była dla kogoś takiego jak ja.

– I tak dzieliła pana od niej przepastna różnica wieku.

– Och, nie, tak pani uważa? Czy kilka lat robi aż taką różnicę? Nigdy tak nie myślałem.

– Może to kwestia poglądów. Jestem zaskoczona, że chłopiec ośmio- czy dziewięcioletni myślał o takich sprawach.

– Możliwe, że w Irlandii zaczynamy wcześniej niż tutejsi chłopcy – odparł,

uśmiechając się przewrotnie. – Muszę dodać, że do tej chwili ta myśl nigdy nie przeszła mi przez głowę. Najpewniej czułem po prostu wdzięczność za jej dobroć i dopiero później dołączył do tego element romantyczny.

– To wydaje mi się bardziej logiczne.

– Cóż, dotyk jej dłoni był taki sam jak pani w tej chwili.

Słuchając go, zapomniałam, że moja dłoń nadal spoczywa na jego czole, i zabrałam ją prędko – może w zaskoczeniu nieco za szybko. On się roześmiał. Jego śmiech był cichy i wielce rozbawiony, i nawet teraz nie mogę powiedzieć, żeby kryła się w nim kpina.

– Chyba gorączka podniosła mi się gwałtownie i sparzyła pani rękę – powiedział.

– Nie, nie... nie o to chodzi.

– Więc o co? Zawstydziłem panią? Jeśli tak, to żałuję, chociażby dlatego, że w przeciwnym razie może nieco dłużej dawałaby mi pani ulgę. To było bardzo miłe czuć dotyk pani dłoni i myśleć o tej angielskiej młodej damie. Z wyglądu też bardzo ją pani przypomina.

– Nie powinien pan się czuć zobligowany do komplementowania osoby w moim wieku.

– Och, *madam*, nie czuję żadnego obowiązku. Poza tym to przecież nie są jakieś niezwykle komplementy. Mógłbym wymyślić coś o wiele lepszego, gdybym się trochę postarał. I wcale nie uważam pani za wiekową.

– Proszę, panie kapralu...

– Przecież nie ma pani dość lat, by być moją matką, prawda? To chciała pani powiedzieć?

– Nie, nie zamierzałam tego mówić. I niewykluczone, że nie jestem aż tak stara, przynajmniej nie w cywilizowanym społeczeństwie.

– To właśnie największy kłopot ze światem, wie pani, cywilizowane społeczeństwo. Właśnie przez to jesteśmy związani, zamknięci, zakneblowani. Nie czuła pani nigdy w sobie małego nieucywilizowanego duszka, który tłucze się o ściany pani serca i wykrzykuje cieniutkim głosikiem: „Proszę mnie wypuścić, panno Harriet Farnsworth. Niech mnie pani wypuści, niech mi pani

da odetchnąć”?

– Tak – przyznałam. – Zdarzyło mi się to poczuć.

– Ale nigdy go pani nie wypuściła.

– Raz mi się to przytrafiło.

– Wspaniale! Musi mi pani wszystko opowiedzieć.

– Chyba nie mam ochoty panu o tym opowiadać.

– Tak mocno złożyła pani dłonie, *madam*, jakby się pani obawiała, że jedna z nich ucieknie na wolność i znów się poparzy.

– Z całą pewnością nie zamierzałam wyrzucić na panu takiego wrażenia.

– Oczywiście, że nie, *madam*. To tylko taki żart z mojej strony. A może któregoś dnia mi pani opowie o tym, jak wypuściła pani swego niepokornego duszka na wolność. Kiedyś, jak już lepiej mnie pani pozna.

– Nie wiem, dlaczego miałabym kiedykolwiek zwierzać się panu z czegoś tak osobistego.

– Och, proszę nie myśleć o tym w ten sposób, *madam*. Nie jestem zainteresowany pani sekretami. Chciałbym tylko posłuchać o tym, nieważne gdzie i w jakich okolicznościach to się wydarzyło, może pani pominąć wszystkie imiona i daty, jeśli pani sobie życzy – tylko o tym, jak odrzuciła pani ostrożność, rzuciła wyzwanie wszystkim bogom, wszystkim siłom natury i furiom, i wykrzyknęła: „Jestem Harriet Farnsworth, chcę zrobić tę rzecz i na niebiosy, zrobię to!”. Tylko tyle chciałbym od pani usłyszeć. Przecież opowiedziałem pani, jak sam zrobiłem coś podobnego, prawda?

– Nie przypominam sobie. Powiedział mi pan tylko, jak miła młoda dama przyszła do pana, żeby się panem zaopiekować.

– Och, nie dokończyłem tej historii. Cóż, widzi pani, kiedy już się zbierała do wyjścia, pocałowałem ją.

– Tak?

– Tak. Byłem jej tak wdzięczny, że usiadłem na łóżku, o tak, i przyciągnąłem ją do siebie, i pocałowałem. – Zademonstrował. Odsunęłam się, ale nie zrobiłam tego dostatecznie szybko, może dlatego, że ten gest wytrącił mnie z równowagi. – Musiałem to zrobić, *madam*, i nie będę za to przepraszać –

oznajmił. – Nie żałowałem za pierwszym razem z tamtą młodą damą i teraz też nie żałuję. Może pani tu stać i myśleć sobie, co tylko pani chce, że jestem niedźcielmeński, nieokrzesany i cokolwiek jeszcze się mówi w takich sytuacjach. Ale ja pani powiem tylko jedno, panno Farnsworth, nie zamierzałem uchybić pani czci. Sytuacja była taka sama jak za pierwszym razem, kiedy byłem dzieckiem, i poczułem, że muszę uczynić to samo, co poprzednio. Oczywiście gdybym panią zapytał, nie pozwoliłaby mi pani na to. Więc nie pytałem. A teraz proszę ze mną zrobić, co pani sobie życzy. Może pani powiadomić siostrę, a potem wezwać przed dom konfederatów, jeśli taka pani wola.

– Mogłabym też zrobić panu coś gorszego.

– Cóż takiego, *madam*?

– Mogłabym to zignorować. Udawać, że to się w ogóle nie wydarzyło.

– Na wszystkich świętych – odparł uradowany. Nadal jestem przekonana, że właśnie tak zareagował. Tym razem nie blagował, moje słowa szczerze go ucieszyły. – Trafiała pani w samiusieńkie sedno, *madam*. Znalazła pani moją słabość, oj tak. To by mnie zupełnie zmiażdżyło. To by mnie rozpląszczyło, sparaliżowało, gdyby pani stąd odeszła, kompletnie mnie zignorowawszy. Potrafi to pani zrobić? Jak pani uważa, *madam*?

– Nie, nie sędzę.

– Ach, to niedobrze... dla pani, ale dla mnie bardzo dobrze. Cóż, mógłbym dać pani jeszcze jedną szansę. Mógłbym powtórzyć całe przedstawienie, powiedzmy jutro, o tej samej porze.

– Nie sędzę, żeby zdarzyła się ku temu okazja.

– Poprosi pani siostrę, aby się mnie pozbyła, czy po prostu będzie się pani trzymać ode mnie z daleka?

– Nadal jest pan naszym pacjentem. Na pańskim miejscu nie byłabym taka pewna, że pana los spoczywa wyłącznie w rękach mojej siostry.

– Teraz się pani rozgniewała.

– Jest pan nieokrzesaną osobą, naprawdę.

– Panno Farnsworth, pochodzę z nizin i nie robię z tego tajemnicy. Proszę,

może pani odejść i mnie zignorować. Daję pani słowo, że to się więcej nie powtórzy. Proszę udawać, że w ogóle dziś tu pani nie przyszła. Tak właśnie zrobiła ta angielska młoda dama. Po prostu uśmiechnęła się łagodnie i wyszła ze swoją miską i łyżką i już nigdy więcej jej nie ujrzałem. Tylko raz czy dwa z daleka, kiedy przejeżdżała na koniu przez pole, i raz, gdy jechała w wozie z przystojnym młodym mężczyzną w mundurze.

– Przykro mi – rzekłam.

– Ach, nie ma potrzeby. Niczego mi nie ubyło, może tylko nieco dumy. Wstyd to potężna broń, *madam*. Robi duszy większą krzywdę, niż wojna jest w stanie wyrządzić ciału.

– Wiem, wiem o tym.

– Pomyślałem, że może pani to zrozumie. Cóż, w takim razie proszę odejść i oboje zapomnimy o wszystkim. Tylko proszę przez jakiś czas nie zaglądać do lustra. Pani też wygląda na nieco rozgorączkowaną.

– Jest pan nieokrzesany.

– Sam to przyznałem, prawda? Ale może jeśli dotrzyma mi pani towarzystwa, zdoła pani wygładzić co ostrzejsze krawędzie. Wie pani co, panno Farnsworth, wydaje mi się, że jesteśmy bardzo podobni. Choć klasowo oczywiście dzieli nas przepaść, mamy ze sobą trochę wspólnego. Na przykład dumę i może jeszcze to, że żadne z nas nie przypomina pozostałych osób w tym domu.

– Wyczuwa pan to we mnie? – zapytałam nieco zaskoczona.

– Owszem. Odnoszę wrażenie, że jest w pani wielka miłość do rzeczy wyższych, rzeczy, które prostszym ludziom mogą się wydawać bezużyteczne, trywialne, może nawet ekstrawaganckie, ale dla pani one są ważniejsze niż zwykłe codzienne fakty, z którymi musimy mierzyć się każdego dnia. Wydaje mi się, że kocha pani filigranowe, kruche przedmioty, które tak łatwo ulegają zniszczeniu w niezdarnych dłoniach. Delikatna porcelana, założę się, i stara koronka... Kielichy z cienkiego kryształu, może kawałki polerowanej kości słoniowej...

– Mam takie! – odparłam. – Mam kilka religijnych figurek z Chin, które od

wielu lat są w naszej rodzinie. Pokażę je panu, jeśli jest pan ciekaw.

– Będę ogromnie zobowiązany.

– Mam też orientalne malowidło na parawanie, które liczy sobie kilka wieków i należało do mojej matki... I starą hiszpańską koronkę, która pochodzi ponoć z dworu Filipa II. Och, jaka jestem szczęśliwa, że interesują pana takie rzeczy.

– Bądźmy szczerzy, *madam*. Nie twierdziłem, że mnie interesują. Powiedziałem, że zgaduję, iż to panią one interesują. Ja urodziłem się pod strzechą, *madam*, i przeżyłem pod nią większość życia. Niewiele wiem o rzeczach wyrafinowanych, ale przyznaję, że chciałbym dowiedzieć się więcej.

– Zatem ja pana nauczę – zadeklarowałam. Teraz nie mam pojęcia, jak udało mu się obudzić we mnie tak wielki zapał za pomocą bardzo prostego i zapewne nietrudnego osądu mojej osobowości, zwłaszcza biorąc pod uwagę, co wydarzyło się zaledwie chwilę wcześniej. Oczywiście sprawiał wrażenie, że pragnie wznieść się ponad swój stan, a ja takie marzenia zawsze popierałam. I może chciał też stać się kimś lepszym. Może to też nie było oszustwo.

– Czy tam na stole leży książka z poezją? – zapytał.

To były wiersze zebrane Johna Keatsa, tak właśnie opisane dużymi literami na okładce.

– Lubi pan poezję? – zainteresowałam się, podając mu tomik.

– Niewiele mi wiadomo na ten temat – odparł. – Ale wiem, co mi się podoba.

– Czy potrafiłby pan wyrecytować jakiś wiersz?

– Cóż, pamiętam jeden autorstwa pana Szekspira. Zobaczmy... jak to szło?

Spójnie serc wiernych nie znają przeszkody;

Nie jest już miłość miłością, jeżeli,

Widząc przemianę, chce z nią iść w zawody,

Jeśli z burzącym, chęć burzenia dzieli:

*Miłość jest więz, której nic nie szkodzi –
Nie wstrząśnie wicher nią żaden u wybrzeży;
Gwiazdą przewodnią dla zbłąkanej łodzi –
Sternik wysokość, nie jej wartość mierzy.
Nie błaznem Czasu jest miłość, choć po nią,
Po róże lic jej, sięga jego kosa.
Niech sobie chwile i tygodnie gonią,
To trwa, aż grób li zgotują niebios.
Jeśli to myłka, nie pisałbym przecie
I chyba nikt tu nie kochał na świecie.*^[2]

– Bardzo dobrze... Bardzo, bardzo dobrze, panie McBurney.

– John.

– To była doskonała recytacja, John.

– Cóż, mieliśmy w domu taką starą książkę z dziełami Szekspira. Jedyną, jaką posiadaliśmy, poza modlitewnikiem, tak się składa. Przeczytałem ją z tysiąc razy, jestem pewien.

– Czyżby? Koniecznie powinien mi pan coś jeszcze wyrecytować... może jakiś fragment sztuki.

– Z przyjemnością. Może za dzień czy dwa, kiedy poczuję się lepiej. Dziękuję za zainteresowanie, *madam*. Nie, ten zwrot chyba rzeczywiście panią postarza. Będę się do pani zwracać „panno Harriet”, tak jak dziewczęta. Poczyta mi pani coś z tych poezji Keatsa, panno Harriet?

Znów wyciągnął się na sofie i zamknął oczy. Przekartkowałałam wolumen i wybrałam *Odę do greckiej urny*, chyba moje ulubione ze wszystkich dzieł tego poety. Przeczytałam cichym głosem. Nastąpiła długa pauza, podczas której zaczęłam podejrzewać, że tym razem naprawdę zasnął. Ale nie.

– „Piękno jest prawdą, prawda pięknem”^[3]... To prawdziwe, to bardzo prawdziwe. Choć są ludzie, którzy próbowaliby zaprzeczyć. Więcej powiem, założę się, że większość ludzi stwierdziłaby, że prawda to ten dźwięk, który

słyszemy tutaj w lesie. Że prawda to huk, ogień i śmierć, a jeśli ktoś myśli, że to jest piękno, to musi być szalony. Ale ja zgadzam się z poetą. Myślę, że prawda to ten spokojny pokój... dobra kobieta... i ten motyl, który lata w promieniach słońca w ogrodzie.

– Ma pan dobrą duszę, Johnie McBurney – powiedziałam kierowana impulsem. – Może i krawędzie szorstkie, jak sam pan mówi, ale ja uważam, że duszę ma pan najlepszą. – Dokładnie tych słów wtedy użyłam, a gdyby wyjąć z kalendarza dzień lub dwa i wymazać nieliczne wypadki, to moim zdaniem nadal można by powiedzieć te słowa dziś o kapralu McBurneyu.

– Piękne myśli łatwo snuć – odparł. – Takim jak ja nietrudno przychodzą. Przynoszą je dobre wiersze... albo dobre wino. Jestem pewien, że to też potrafi pani docenić... Dobry kieliszek starego wina.

– Owszem, zdarza mi się skosztować odrobinę od czasu do czasu.

– Pani siostra zapowiedziała, że przyniesie mi szklaneczkę, by mi ulżyć w bólu nogi, ale chyba o tym zapomniała – zwierzył się. – Może mogłaby pani jej o tym napomknąć, gdy ją pani zobaczy?

– Obiecała to panu?

– Och, tak. Może ją pani zapytać, jeśli mi pani nie wierzy.

– Nie ma potrzeby. Wystarczy mi pańskie słowo. Teraz jednak może mi być trudno przynieść panu wino. Widzi pan, kiedy zmieniliśmy nasz dom w pensję dla młodych panien, uznałyśmy, że lepiej będzie trzymać piwniczkę z winem pod kluczem. Od tamtego czasu zawsze jest zamknięta, a moja siostra ma do niej klucz.

– Nosi go przy sobie, prawda?

– Zawsze. Jest przymocowany do kółka razem z pozostałymi.

– A teraz pani siostra udziela lekcji, nieprawdaż? Domyślam się, że nie byłaby zadowolona, gdyby jej przeszkodzić.

– Owszem, byłaby bardzo niezadowolona. Szkoda. Jest tam stara madera, która na pewno by panu posmakowała.

– Nie zależałoby mi tak bardzo na smaku jak na tym, aby nieco złagodzić ból w nodze.

– Z pewnością. Wiele lat temu zdarzyło się, że zwichnęłam sobie nadgarstek podczas jakiejś gry i wie pan, że do dziś mnie czasem bardzo boli, zwłaszcza nocami i przy wilgotnej pogodzie. Mały kieliszek wina zawsze przynosi ulgę.

– Nie ma nic lepszego na wszelki ból w kościach niż dobre wino. Moja matka, niech jej Pan Bóg strzeże, zawsze to powtarza. Wielka szkoda, że nie ma pani drugiego klucza.

– Może kiedy wojna się skończy, zlecimy wykonanie drugiego klucza. Zasugeruję to siostrze.

– A może ja mógłbym zrobić pani jeden już teraz, gdybym tylko miał pilnik i kawałek żelaza. Jestem w takich rzeczach całkiem niezły. Wystarczyłby dość długi gwóźdź ze stodoły. A jak ten klucz wygląda?

– Zwyczajny klucz. Bardzo podobny do wszystkich innych.

– Gdybym mógł obejrzeć zamek, może nawet nie potrzebowałbym klucza, by go otworzyć. Może wystarczyłoby pokręcić ostrzem nożyka. W naszej kompanii był taki jeden, co wcześniej pracował jako klucznik w więzieniu. Pokazał mi kilka sztuczek, których nauczył się od więźniów.

– Czyżby? Może kiedyś zechce pan to zademonstrować.

– Cóż, może...

– Och, nie może się pan ruszać, nie wolno! Rozerwie pan sobie szwy.

– Kiedyś i tak będę musiał się ruszyć, panno Harriet. Nie mogę tak długo leżeć na plecach. Gdybym tylko miał kule albo laskę czy coś w tym rodzaju...

– Znajdziemy panu jakąś podporę, kiedy tylko będzie pan mógł bezpiecznie poruszać zranioną nogą. A tymczasem coś panu wyznam. Zamek od piwniczki na wino można otworzyć bez klucza. Sama to zrobiłam raz czy dwa ostrzem od nożyczek, kiedy czułam ból w nadgarstku, a siostra akurat wyszła z domu.

– Co też pani mówi! Cóż, teraz ona tu jest, oczywiście. Ale jest zajęta, co?

– Owszem, i nie chciałabym przerywać jej w prowadzenia zajęć. Co więcej, wydaje mi się, że zaraz po tej lekcji będzie mieć kolejną, w bibliotece, chyba historię Anglii. Czy noga bardzo pana teraz boli?

– Jakby sam szatan mi w nią sakramenckie igły wbijał. A pani nadgarstek?

– Pobolewa co jakiś czas. John, przyniosę panu madery. Ale muszę coś panu

wyznać. Moja siostra nie popiera stosowania wina jako środka na uśmierzenie bólu. Uważa, że to cierpienie jest jedynie wytworem mojej wyobraźni. Zatem nie będę dziś pić wina razem z panem, chyba że pan nalega...

– Och, ależ jak najbardziej nalegam! Nie mogę sam pić szlachetnej madery.

– No dobrze. W takim razie wypiję z panem małą szklaneczkę. I jeszcze jedno. Jeśli uważa pan, że należałoby o tym poinformować moją siostrę, to oczywiście bardzo proszę.

– Nie widzę powodu, by o tym wspominać.

– Jak pan sobie życzy. Ale jeśli zapyta pana wprost, musi jej pan wyznać prawdę, John.

– Zawsze staram się mówić prawdę, panno Harriet.

– Nie wątpię.

Ruszyłam na górę po nożyczki do szycia, po czym, nie siląc się wcale na konspirację, zesłam do piwniczki z winem i zabrałam butelkę madery. Następnie wróciłam do bawialni z winem i dwiema szklaneczkami. Podczas gdy kapral McBurney mnie obserwował, napełniłam obie dokładnie po krawędź. Wznieśliśmy toast i pociągnęliśmy łyk wina. On poprosił, bym przeczytała mu jeszcze nieco poezji, więc wydeklowałam kilka wybranych wierszy z tomiku Keatsa. Gołym okiem było widać, że wino łagodzi dyskomfort w jego zranionej nodze.

Nie dopił jeszcze drugiej szklanki wina, a ja nie skończyłam czytać, kiedy zasnął. Podniosłam się i jeszcze raz przyłożyłam dłoń do jego czoła, po czym uznałam, że nie ma gorączki. Następnie zabrałam butelkę i szklanki – w tych czasach niedostatku nie wstydzę się przyznać, że dokończyłam jego porcję – i udałam się na piętro do swojego pokoju.

Tamtego dnia nie rozmawiałam już więcej z kapralem McBurneyem. Ponieważ zaczął mi doskwierać lekki ból głowy, posłałam przez Mattie wiadomość, że moje lekcje są odwołane – literatura angielska i gramatyka – i pozostanę w swoim pokoju aż do kolacji.

ALICIA SIMMS

– Gdzie byłaś? – spytał.

Wyjaśniłam mu, że nie miałam możliwości zobaczyć się z nim wcześniej. Panna Martha przez cały dzień obserwowwała mnie niczym jastrząb, dbając o to, abym nie nudziła się przez cały ranek i popołudnie.

Na domiar złego przed południem panna Harriet stwierdziła, że jest chora i dlatego panna Martha musiała przejąć jej wszystkie lekcje. Cóż, czasem wymknięcie się na kilka chwil spod czujnego oka panny Harriet wcale nie jest takie trudne, lecz nikomu – może z wyjątkiem Amelii Dabney – nie udało się tego osiągnąć z panną Martha.

– Wymówki, wymówki – rzucił Johnny. – Chodź tu do mnie teraz, odważna dziewczyno, i nie marnuj już mojego czasu. – Przesunął się, aby zrobić mi miejsce, a ja dołączyłam do niego na sofie. Nie mieliśmy wiele miejsca, ponieważ sofa nie należy do największych, a ja chciałam zachować ostrożność i nie potrącić jego zranionej nogi, choć taka ewentualność najwyraźniej nie martwiła Johnny'ego.

– O tutaj, pozbędziemy się tego i będzie nam wygodniej – zdecydował i zepchnął część książek na podłogę. Jedna z nich okazała się dużym tomem dzieł Szekspira, dotychczas leżącym pod jego poduszką.

– Co pan, na Boga, z tym robi?! – krzyknęłam.

– Poleruję kilka nierównych kantów – odparł. – Trochę się ukulturalniam.

– Nie chce pan chyba przez to powiedzieć, że to czytał?

– Kilka stron, moja droga. Nie bądź taka zszokowana. Nie jest to wcale takie złe.

Następnie chwycił mnie i pocałował. Muszę przyznać, że w ogóle nie spodziewałam się, że to nastąpi. Przynajmniej nie tak znenacka.

– Jak się teraz czujesz? – odezwałam się po chwili.

– Cudowanie teraz, gdy ty tu jesteś. Jak zatem udało ci się wymknąć starszej pani, skoro takie z niej sokole oko?

– Lekcje się skończyły. Zbliża się kolacja. Mogę zostać tylko na chwilę, gdy reszta jest na górze.

– Czy jest aż tak późno? Spałem cały dzień?

– Tak sędzę. W porze lunchu Mattie powiedziała pannie Marcie, że śpisz, a ta poleciła nie przeszkadzać ci.

– To było dobre ze strony starszej pani, prawda, ale teraz jestem strasznie głodny.

– Głodny czego? – spytałam go.

– Och, wielu wspaniałych rzeczy.

Później niewiele rozmawialiśmy. Sędzę, że następne słowa zostały wypowiedziane przeze mnie. Zdaje się, że zdobyłam się tylko na jakąś trywialną uwagę w stylu: „O mój Boże, czy pozwolisz mi złapać oddech?”, a następnie dodałam: „Zdaje się, że nie zostaliśmy sobie formalnie przedstawieni. Nazywam się Alicia Simms”.

– Och, znam cię od wieków. Śniłem o tobie, gdy byłem dzieckiem.

– Naprawdę?

– Co noc. Przez pewien czas kładłem się nawet do łóżka przed zachodem słońca, aby wcześniej z tobą zacząć.

– Ty diable.

– To prawda. Szedłem do łóżka wcześniej i późno wstawałem, aż matka biła mnie za to miotłą, ponieważ jej zdaniem wszystkie te marzenia hamowały mój wzrost.

– Zdaje się jednak, że tak się nie stało. Wydajesz się całkiem nieźle rozwinięty.

– Dziękuję. To samo można powiedzieć o tobie.

– Och, to nie to samo. Myślałam o twoich ramionach i rękach. Zdajesz się zbudowany z samych kości i mięśni. Chyba nie masz żadnych miękkich miejsc.

– Przykro mi, ale nie mogę odwzajemnić tego komplementu.

– Przestań! Skończ z tym podszczypywaniem i szturchaniem! A gdyby tak ktoś tu zajrzał?

– Powiedziałbym, że udzielasz mi lekcji anatomii.

– Nie sądzę, aby ktokolwiek mógł cię czegokolwiek nauczyć, panie McBurney, zwłaszcza żadna młoda dama.

– Czy jesteś damą, Alice?

– Alicia. Oczywiście, że jestem damą. A przynajmniej taką mam nadzieję. Cóż to za pytanie?

– To tylko żart. Drażnię się z tobą.

– Cóż, nie sądzę, aby to był miły temat do żartów. Pewnego razu matka powiedziała mi, że jeśli ktokolwiek zasugeruje, że nie jestem damą albo nie dorównuję innym, powinnam bez wahania wymierzyć mu policzek, tak mocny, jak potrafię. Gdyby natomiast osoba ta trwała w swoich obelgach, powinnam podrapać ją i skopać, i w ogóle zrobić wszystko, byle tylko się przymknęła.

– O madonno, nie chciałbym znaleźć się na ringu z twoją matką.

– Nie jest brutalna. Zwykle jest uprzejma i delikatna. Po prostu uważa, że wszystkie dziewczęta powinny nauczyć się chronić same siebie.

– Mama musiała bywać w niezłych tarapatach, co? Tak czy inaczej wydała na świat ponętą córkę. Trzeba poczytać jej to za zasługę.

– Dziękuję.

– Nie ma o czym mówić. A jeśli ktokolwiek w mojej obecności stwierdzi, że nie jesteś damą, sam wymierzę mu solidnego kopniaka, pod warunkiem że moja noga wydobrzeje. Po kim odziedziczyłaś blond włosy, po mamie czy po tacie?

– Po tacie, jak przypuszczam. Moja matka jest ruda.

– Dlaczego tylko przypuszczasz? Czy nie wiesz, jakiego koloru są włosy twojego ojca?

– Oczywiście, że jego włosy są jasne. Nie widuję go od dawna, to wszystko – jest w armii – a gdy nie widzisz kogoś przez tak długi czas, zaczynasz zapominać, jak wygląda.

– Coś w tym jest. Czasem nawet nie musisz długo przebywać w oddaleniu. Przykładowo, gdy opuszczałem Nowy Jork, przyjaźniłem się z kilkoma najładniejszymi dziewczynami na Broadwayu, lecz po kilku chwilach z tobą wiem, że nawet bym ich teraz nie rozpoznał, gdybym tam wrócił i mijał którąś na ulicy.

– Ma pan niezłą gadkę, panie McBurney.

– Nigdy dotąd mnie o to nie oskarżano. Jeśli cymkolwiek się kiedyś szczyliłem, to tym, że potrafiłem trzymać język za zębami. Zawsze wierzyłem w stare powiedzenie, zgodnie z którym liczą się czyny, a nie słowa... A skoro tak...

Powiedziawszy to, zademonstrował mi pewne działania, które naprawdę mnie zdenerwowały.

– Przestań, mówiłam ci! W każdej chwili mogą zejść na dół!

– Nie przejmujesz się tym, co robisz, dopóki cię na tym nie przyłapią, czyż nie tak, Alice... Alicio, wybacz. Zejdź na dół dziś w nocy, gdy wszyscy pójda spać.

– Nie ma mowy.

– Gdzie jest twój pokój? Odwiedzę cię.

– Nie zrobisz tego! Czy chcesz, żeby mnie stąd odesłano?

– To ostatnia rzecz, której chcę, kochanie. Czymże byłoby moje życie tutaj, u starej Farnsworth, bez ciebie?

– Cóż, wiem, że i tak żartujesz, ponieważ jak niby miałbyś wspiąć się po schodach z tą nogą. I oczywiście cieszę się, że masz takie odczucia wobec naszej pensji i wobec mnie. Musimy uczynić twój pobyt tutaj jak najprzyjemniejszym. Musimy być wobec ciebie miłe... i uprzejme... i pomóc ci w powrocie do zdrowia... i utuczyć cię... ponieważ jesteś taki blady... i kościsty... i chudy...

– Teraz ty przestań, bezczelna dziewczyno! Co by powiedziała panna Martha, gdyby przyłapała cię na takim macaniu moich żeber?

– Sprawdzalam tylko, jak bardzo jesteś chudy.

– Nie wolno ci tego robić bez uprawnień lekarskich. Tylko panna Martha

i panna Harriet mogą badać mnie bez uprawnień... w świetle dnia. Każda śliczna dziewczyna może rzucić okiem na moje żebra po zachodzie słońca, oczywiście po uprzednim umówieniu spotkania.

– Słońce już zaszło.

– Ach tak! Zatem zerknę w mój terminarz. Bardzo mi tu trudno bez mojego osobistego sekretarza. Tak czy owak, gdzie jest twój pokój, śliczna ptaszyno, tak na wszelki wypadek, gdyby moja noga wyzdrowiała i chciałbym podczas nocnej przechadzki złożyć ci wizytę towarzyską?

– Na najwyższym piętrze, na poddaszu.

– Aż tam? Jesteś sama?

– Tak, teraz tak. Gdy mieszkało tu więcej dziewcząt, niektóre z nich również nocowały na samej górze.

– A ta ciemnowłosa? Czy ma pokój dla siebie?

– Dlaczego pytasz?

– Tak tylko byłem ciekaw, nic poza tym. Zastanawiałem się, jak duży jest dom i ile macie sypialni.

– Jest bardzo duży. Na drugim piętrze mamy sześć sypialni, do niektórych przylega salonik, a w każdej z nich jest dość miejsca na kilka łóżek. W pewnym momencie na liście pensjonarek widniało co najmniej dwadzieścia nazwisk.

– A niech to, szkoda, że nie pojawiłem się tu wcześniej!

– Cóż, niektóre z dziewcząt nie były przesadnie atrakcyjne.

– Jestem pewien, że żadna z nich nie mogła się równać tobie ani tej czarnowłosej.

– Dlaczego musisz cały czas ją wspominać?

– Przyznasz, że jest ładna.

– Wcale tak nie uważam. Wygląda jak Indianka albo Meksykanka, albo jeszcze jakaś inna.

– Jaka inna?

– Nieważne. Czy uważasz, że jest ładniejsza ode mnie?

– Trudno was porównywać, bo macie zupełnie inny typ urody.

– Mam nadzieję.

– Ona śpi sama?

– Tak. Czy teraz jesteś zadowolony? Kiedyś dzieliła pokój z Emily, ale ponieważ nigdy nie potrafiła się z nikim w tym domu dogadać, poprosiła pannę Marthę, aby dała jej osobny pokój. Edwina bardzo się boi, że ktoś będzie ją szpiegował i oglądał jej cenny dobytek, i dowie się, ile ma pieniędzy.

– Ma pieniądze?

– Musi mieć. Nikt nigdy żadnych jej nie wysyła, a zawsze na czas płaci swoje rachunki za szkołę. Panna Martha kładzie nacisk na to, abym o tym nie zapomniła. Czy wreszcie przestaniesz o niej mówić? Zmuszę cię do tego! – Przykryłam jego usta moimi, tak że nie mógł mówić... przez dłuższy czas.

– Proszę, kochanie... jestem chorym człowiekiem.

– Nie jesteś aż tak chory.

– No dobrze. Jeśli umrę, będziesz mnie miała na sumieniu.

Mówił to z uśmiechem. Potem, przez następną dłuższą chwilę, żadne z nas już nic nie powiedziało – a przynajmniej nic wartego wspomnienia. Nie wiem, jak długo trwalibyśmy w tym albo co w końcu by się stało, gdybym nie spojrzała w górę i nie ujrzała Marie Deveraux stojącej w drzwiach i obserwującej nas.

– Mam krótki komunikat do przekazania – odezwała się. – Jeśli oczywiście macie czas go wysłuchać. W jadalni czeka kolacja, Alice, gdybyś chciała do nas dołączyć. Kolacja kaprala McBurneya zostanie wkrótce tu przyniesiona, jeśli nie jest zbyt chory, aby ją spożyć. Zostałam poinstruowana, by przekazać te informacje wam obojgu, choć jestem pewna, że osoba wydająca mi to polecenie nigdy nie wpadłaby na to, że spotkam was razem. Cóż, *c'est la vie*. Kontynuujcie to co robiliście... cokolwiek to było.

Następnie uśmiechnęła się w niemiły sposób i nucąc pod nosem jakąś piosenkę, wyszła. Gdy doprowadziłam się do jako takiego stanu, musiałam za nią pójść.

MARIE DEVERAUX

Obecność Alice w bawialni mnie nie zaskoczyła, ponieważ widziałam, jak przemyka na dół po schodach. Byłam nieco zdumiona tym, jak szybko zaczęła flirtować z kapralem McBurneyem, choć – jak sądzę – jest to efekt jej wcześniejszego wychowania. Prawdę mówiąc, gdy weszłam do bawialni, kapral McBurney zdejmował z niej sukienkę przy wyraźnej pomocy Alice.

Jak możecie sobie wyobrazić, moje wejście speszyło tę dwójkę. Kapral McBurney zdołał puścić do mnie oko, lecz nie zrobił tego z prawdziwym zaangażowaniem. W istocie jego policzki nabrały nieco koloru – znacznie silniejszego, jak zauważyłam, od delikatnego rumieńca, który pojawił się na twarzy panny Alice. Oczywiście wciąż był tu obcy, podczas gdy Alice przywykła do mojego nieoczekiwanego wpadania do różnych pomieszczeń i wypadania z nich.

Jeśli chcecie wiedzieć, zdarzenie to ani trochę nie zmniejszyło mojej sympatii wobec McBurneya, ponieważ szczerze mówiąc, od początku i tak nie uważałam go za osobę mającą zbyt wiele rozumu. Całkowitą tajemnicą pozostaje dla mnie, dlaczego ktokolwiek przy zdrowych zmysłach chciałby rozebrać tak nieciekawą osobę jak Alice Simms. Cóż takiego spodziewał się znaleźć – jakiś wspaniały ukryty skarb? Niemniej jednak każdy robi, jak uważa. Moim zdaniem wszyscy mężczyźni to dziwne stworzenia, a kapral McBurney prawdopodobnie nie był gorszy od innych.

Następnie wróciłam do jadalni, gdzie po kilku chwilach dołączyła do nas Alice. Cichutko zajęła swoje miejsce przy stole, a ponieważ ani panna Martha, ani panna Harriet nie czyniły żadnych uwag na temat jej spóźnienia, nie miałam powodu, aby sama poruszać ten temat.

To zabawne, jak różnie się tutaj wszystko odbywa. Czasami, gdy spóźnisz się minutę z siadaniem do stołu, panna Martha potrafi poświęcić cały posiłek na wykład dotyczący punktualności. Innym razem znowu zdaje się zupełnie nie

zwracać na nią uwagi. Oczywiście, najczęściej dzieje się tak, gdy martwi się innymi sprawami, takimi jak kwestie finansowe, dziury w dachu czy coś w tym rodzaju. Ponieważ jednak tamtego wieczoru uśmiech był zbyt miły, aby mógł wskazywać na jakieś zmartwienia, doszłam do jedyne go słusznego wniosku, a mianowicie, że to obecność kaprala McBurneya czyni ją bardziej ludzką.

Innym sygnałem świadczącym o jej złagodnieniu było to, że najwyraźniej nie zauważyła posępnej miny panny Harriet, która niechętnie spożywała swoją zupę. Takie drobne demonstracje z jej strony zawsze stanowiły nieomylny znak świadczący o odwiedzinach w piwniczce z winem, lecz panna Martha zdawała się tego nieświadoma.

– Przyszło mi do głowy – zaczęła panna Martha – że wszystkie możemy skorzystać na pobycie kaprala McBurneya w tym domu, oczywiście do czasu, aż jego noga wyzdrowieje. Co sądzicie na ten temat? – Zadając to pytanie, patrzyła na Alice. To nieszczęsne dziewczę tym razem naprawdę zarumieniło się na całej twarzy oraz na dekolcie sukienki, którą zapomniała zapiąć.

– No więc, panno Alice?

– Tak, proszę pani... jestem pewna, że tak właśnie będzie.

– W jaki sposób, twoim zdaniem, jego tutejsza obecność może przysporzyć nam korzyści?

– Cóż, może widok kaprala McBurneya pomoże nam pamiętać, że poza lekcjami są jeszcze inne rzeczy na tym świecie – odparła Alice, trzymając się desperackiej nadziei, że nie jest to pułapka.

– Sądzę, że dla młodej damy w twoim wieku powinny być wszystkim. Jeśli za młodu dobrze przyswoimy swoje lekcje, możemy spodziewać się spokojnego i szczęśliwego życia w późniejszym jego etapie, gdy będziemy musiały mierzyć się z pokusami tego świata. Czyż nie tak, siostrze?

– Trudno mi na to pytanie odpowiedzieć – odparła kwaśno panna Harriet – ponieważ nie napotkałam zbyt wielu takich pokus.

– Coś mi się zdaje, że spotkałaś jedną z nich tego dnia – stwierdziła panna Martha, najwyraźniej po raz pierwszy dokładnie przyglądając się swojej siostrze. Pozostawało dla panny Marthy tajemnicą, w jaki sposób jej siostra

dostaje się do piwniczki z winem, skoro drzwi zawsze są zamknięte na klucz. Nie wiedziała, że panna Harriet potrafi sforsować zamek swoimi nożyczkami do szycia, a ponieważ nie będę miała z tego żadnych oczywistych korzyści, nie mam zamiaru jej tego mówić. Oczywiście panna Harriet w ostatnim czasie nie odwiedza piwniczki z winem nazbyt często, ponieważ wie, że to doprowadziłoby do wszczęcia zakrojonego na szeroką skalę śledztwa. Nadto, gdy usuwa jakąś butelkę, to pozostałe przekłada, czasem zastępując te z górnych półek butelkami, które – jak sądzę – są wypełnione wodą, a następnie w ramach dodatkowych środków ostrożności zmiata ewentualne odciski swoich stóp pozostałe na zakurzonej powierzchni.

Działania te sprawiają, że panna Martha zastanawia się, czy jej siostra nie ma gdzieś innego, ukrytego źródła zaopatrzenia w trunki, na czym naturalnie by jej zależało. Wiem, że w kilku przypadkach, gdy panna Harriet była w widoczny sposób podchmielona, panna Martha poszukiwała takiego źródła w jej pokoju i w innych miejscach, lecz oczywiście nigdy żadnego nie znalazła. Gdy panna Harriet zabiera butelkę z piwniczki, natychmiast ją opróżnia, tak jak zapewne dzisiaj się wydarzyło. Czasem zastanawiam się, czy pannie Harriet to jej picie naprawdę sprawia przyjemność, czy też robi to na złość siostrze.

W każdym razie panna Martha tym razem nie drążyła tematu – rzadko to robi w naszej obecności – lecz przeszła do wypytywania Emily, jak jej zdaniem mogłybyśmy skorzystać na obecności wroga.

– Będzie stanowił nieustanne przypomnienie, że wojna nadal się toczy – odparła Emily. – Ponieważ wydaje się niespecjalnie zaangażowany w sprawę Unii, zaczynam niemalże myśleć już o nim nie jak o wrogu. Nadal jednak ma na sobie ich mundur i za każdym razem, gdy patrzymy na niego, będziemy przypominały sobie o poświęceniu, które stale musimy znosić, oraz o modlitwach, które musimy wznosić do nieba, aby Pan zapewnił nam chwalebne zwycięstwo.

Oczywiście to nie wszystko, co powiedziała, lecz teraz tylko tyle jestem w stanie sobie przypomnieć. Czasem myślę, że Emily marnuje czas na pensji. Powinna spakować swoje rzeczy i pojechać do Richmond, aby pełnić jakiś

urząd państwowy. Byłaby wspaniałym politykiem, potrafi bowiem natychmiast wygłosić przemowę na dowolny temat, a gdy nie umie sklecić wypowiedzi zadawalająco obszernej, cytuje kogoś, a ja wtedy myślę, że jeśli natychmiast nie skończy, doprowadzi mnie do obłędu.

Ostatnio tak mnie to wszystko męczy, że podczas lekcji retoryki zaczęłam odmawiać w myślach różaniec. Któregoś dnia przeszłam już przez pięć i pół dziesiątki, podczas gdy Emily recytowała waszyngtońskie przemowy autorstwa kogoś o nazwisku Henry Clay.

Panna Martha kontynuowała przepytywanie każdej z nas na temat wartości pobytu McBurneya. Amelia zdradziła jej, że McBurney, podobnie jak ona, studiuje przyrodę, i ma nadzieję nauczyć się wiele od niego na temat fauny i flory Europy. Edwina oznajmiła, że zgadza się z Alice – co samo w sobie stanowiło spory ewenement – że każdy powiew świeżego powietrza ze świata zewnętrznego jest wielce pożądany, a jej kapral McBurney wydaje się osobą wrażliwą, która poznała ją lepiej, niż wszystkie z nas razem wzięte zdążyły to zrobić przez cały okres jej czteroletniego pobytu.

Wydawało się, że komentarz ten nieco ożywił pannę Harriet.

– Co masz na myśli, mówiąc, że poznał cię lepiej, kochanie? – dopytywała.

– Wie, że nie traktuje się mnie tutaj jako kogoś wartościowego – odparła Edwina.

– A czy on uważa cię za taką osobę? – spytała panna Harriet łagodnie.

– Tak, tak sędzę.

Wtedy po raz pierwszy usłyszałam, że Edwina troszczy się o to, co ktoś o niej sądzi. Najwyraźniej spowodowało to powstanie niewielkiej szczeliny w jej charakterze, o czym świadczyła łza, która spłynęła po jej policzku i wpadła do miski z zupą z rzepy. Następnie, zawstydzona swoją słabością, wstała i odeszła od stołu, nie prosząc nawet o pozwolenie.

Ku memu zaskoczeniu panna Martha nie zrobiła z tego problemu i postanowiła zignorować całą sprawę. Ograniczyła się do stwierdzenia, że skoro temat wydaje się przykry dla niektórych osób, dyskusja zostaje zakończona, a następnie pochyliwszy głowę, przeszła do kończącej kolację

modlitwy dziękczynnej, nie dając mi nawet szansy na wyrażenie mojej opinii. Byłam przygotowana na spekulacje nad możliwością, iż to Pan posłał McBurneya do naszej szkoły w celu zwiększenia populacji katolików. Zamierzałam oznajmić, że choć z całą pewnością nie uważam kaprala McBurneya za najlepszego katolika czy choćby za dobrego chrześcijanina, to mam nadzieję wpłynąć na jego poprawę. Nie udało mi się jednak wyrzec nawet dwóch słów, zanim wszyscy zaczęli wychodzić. Czasami sędzę, że to naprawdę haniebne, iż zawsze mnie jako ostatnią prosi się o wypowiedź przy stole, w przeciwieństwie do klasy, gdzie jestem pierwsza, która musi recytować. Jeśli kiedykolwiek zostanę zapisana do innej szkoły, mam zamiar skłamać w kwestii swojego wieku w nadziei uzyskania odrobiny zwykłej sprawiedliwości.

Gdy wyszliśmy z jadalni, Mattie doniosła, że kapral McBurney również skończył swoją kolację, po czym panna Martha, w odpowiedzi na sugestię panny Harriet – wobec której, zważywszy na jej stan, była niezwykle przyjacielska – zgodziła się na przeniesienie naszej wieczornej modlitwy do bawialni oraz na kilka chwil luźnej rozmowy z naszym gościem.

Nie wydawał się w nastroju do żadnej rozmowy, ponieważ weszliśmy do bawialni wszystkie naraz i ustawiliśmy się w niewielkim kręgu wokół jego sofy. Udawał nawet, że przerwałyśmy mu drzemkę, do której chciałby jak najszybciej wrócić.

– Ojej, niewątpliwie wyglądasz na wypoczętego, kapralu McBurney – próbowałam jakoś zacząć rozmowę. – Czy nie wygląda na wypoczętego i ożywionego, panienko Alice, po spokojnym dniu samotnie spędzonym tu na sofie?

Alice nic nie odpowiedziała, a jedynie rzuciła mi bezczelne, gniewne spojrzenie. Kapral McBurney natomiast wyglądał tak, jakby uznał już wszystko za stracone i jakby usilnie rozmyślał nad zdaniem się bądź to na łaskę panny Marthy, bądź to na moją. Niestety, panna Martha, niczego nieświadoma, przerwała tę grę.

– Kapral McBurney byłby niewątpliwie jeszcze bardziej wypoczęty, gdybyś nie prześladowała go przez cały dzień swoimi nonsensami – stwierdziła

niesprawiedliwie.

– Och nie – zaprzeczył, dokonując wyboru. – Ta młoda dama była dla mnie bardzo miła, Okazała mi dzisiaj wiele uprzejmości i jestem pewny, że jej małe serduszko jest nią przepełnione. Mam nadzieję, że któregoś dnia będę mógł odwdziżyć się jej za okazaną mi dobroć.

– Dość często zdaje się prawdziwym utrapieniem – zauważyła Emily, która poczuła się zobligowana włączyć się do rozmowy. – Oczywiście trzeba jednak wziąć pod uwagę jej wiek.

– No cóż, nigdy nie uważałem jej za młodszą od pozostałych tutejszych uczennic. Panna Marie sprawia wrażenie bardzo rozsądnej i poważnej osoby – ocenił McBurney.

– Czy naprawdę tak uważasz? – spytała go Alice, szczerze zaskoczona.

Gdy Alice, która nie jest przecież tak do końca głupia, posunęła się do zakwestionowania jego pochlebstwa, zaczęłam się zastanawiać, czy McBurney wierzy w to, co powiedział.

– Naprawdę tak uważam – potwierdził.

Obserwowałam go bardzo uważnie i wiem, że nie puścił do niej oka.

– Zgadza się – przyznała panna Harriet. – Marie posiada wiele dobrych cech i czas, abyśmy to sobie uświadomiły.

Pomyślałam, że nie zaszkodziłoby, gdyby kontynuowała i wymieniła kilka spośród tych cech. A jednak to bardzo miłe z jej strony, że publicznie wyraziła wobec mnie uznanie, choć wiem, że po części to zasługa nastawienia, by przeciwstawiać się panie Marcie w każdej możliwej sprawie. Niemniej jednak po tym zdarzeniu przez długi czas żywiłam znacznie większą życzliwość zarówno wobec niej, jak i wobec McBurneya. Najwyraźniej nie był on tak mało inteligentny, jak sądziłam.

– Mam pewną sugestię – dodała panna Harriet. – Skoro nasze lekcje muzyki zostały dzisiaj zawieszane, aby pozwolić kapralowi McBurneyowi nieco odpocząć, dlaczego nie miałybyśmy teraz nieco pomuzykować, jeśli oczywiście kapralowi McBurneyowi nie będzie to przeszkadzać.

– Ależ skąd. To wspaniały pomysł. Bardzo lubię muzykę – oznajmił.

Panna Harriet natychmiast podeszła do klawesynu. W Luizjanie od setek lat albo i dłużej graliśmy w naszych domach na pianinie, lecz tu, w Wirginii, najwyraźniej najlepsze rodziny muszą korzystać z tych samych rozstrojonych klawesynów, które ich przodkowie przywieźli do kolonii, choć moim zdaniem spokojnie mogliby ich ze sobą nie brać.

Zaczęliśmy od zaśpiewania starej pieśni *Lorena*, którą McBurney dobrze znał, ponieważ, jak sądziłyśmy, Jankesi śpiewają ją przy obozowych ogniskach. McBurney myślał, że napisał ją jakiś mieszkaniec Północy, lecz Emily stanowczo temu zaprzeczyła. Była rozżłoszczona, ponieważ chciała rozpocząć program od *Bonnie Blue Flag*, lecz panna Martha odrzuciła jej propozycję, czując, że McBurney odbierze to negatywnie. Szczerze mówiąc, nie sądzę, aby troszczył się o tego typu rzeczy, ponieważ, gdy wreszcie dotarliśmy do *Bonnie Blue Flag*, po *Lorien*, *Flow Gently Sweet Afton* i *Drink to Me Only with Thine Eyes*, kapral McBurney przyłączył się, intonując „Jesteśmy grupą braci” tak głośno, jak my wszystkie, i zdecydowanie mniej fałszując niż niejedna z nas.

Śpiewaliśmy właśnie drugi refren, gdy nagle rozległo się łomotanie do drzwi frontowych. Przerwałyśmy pieśń.

– Jankesi – powiedziała Emily gotowa szykować się do boju.

– Nie sądzę – zaprzeczyła panna Harriet. Jej głos trząśł się, a dłonie zawisły nad klawiaturą. – Równie dobrze może to być ktoś z naszych.

– Istnieje tylko jeden sposób, aby się tego dowiedzieć – stwierdziła panna Martha. – Mattie...

Mattie, która zaczęła śpiewać razem z nami, wyglądała, jakby jej oczy miały wyskoczyć na wierzch z przerażenia. Właściwie o każdej porze przybycie jakichkolwiek gości stanowiło tu zdarzenie wyjątkowe, a nocą praktycznie wręcz niebywałe.

– Czy muszę iść sama? – spytała biedaczka.

– Tak, ale będę stała za tobą w sieni – zapowiedziała panna Martha. – Ktokolwiek to jest, powiesz mu, aby poczekał na ganku do czasu, aż zawiadomisz swoją panią. Nie jest to uprzejme, wiem, ale to nie są czasy *savoir-vivre*'u. Harriet, zostaniesz tutaj z dziewczętami. Jeśli to Jankesi albo

jacyś niesubordynowani żołnierze z naszej armii, trzykrotnie zastukam w te drzwi. Wówczas poprowadzisz dziewczęta przez ogród do lasu i pozostaniecie tam, aż po was przyjdę. Czy to jasne dla wszystkich?

– A co z kapralem McBurneyem? – Chciała wiedzieć Amelia.

Kapral McBurney, siedzący na sofie, wyglądał na bardziej przestraszonego niż my, w tym także Mattie. Z całą pewnością zbladł bardziej, niż wyglądał poprzedniego dnia.

– Kapral McBurney może zostać tam, gdzie jest, ponieważ i tak nie jest w stanie nigdzie pójść bez pomocy. Idę teraz na górę po pistolet ojca. Mattie, możesz udawać, że masz kłopot z odsunięciem rygla na drzwiach frontowych, aby dać mi czas na powrót do sieni. Siedźcie tu cicho, wszystkie, a ty, Mattie, chodź ze mną.

Wyszła, a za nią niechętnie podążyła Mattie. Łomot do drzwi nie ustawał. Teraz niewątpliwie uderzało w nie kilka pięści.

– Johnny, nawet jeśli musisz tu zostać, wcale nie musisz rzucać się w oczy – zauważyła Amelia spokojnie. – Czy możemy przykryć go dywanem, panno Harriet?

– Tak, oczywiście – przytaknęła panna Harriet zadowolona, że jest coś do zrobienia. – Wszystkie możecie przy tym pomagać.

Podniosłyśmy dywanik perski i przerzuciłyśmy go przez sofę i przez kaprała McBurneya, pozostawiając mu z jednej strony niewielki otwór na dostęp powietrza.

– Nie wydawaj tam żadnych dźwięków, Johnny – poinstruowała go Alice.

– Nie sądzę, abyś musiała mu o tym przypominać – zwróciłam jej uwagę. – Chyba z własnej woli nie wyda żadnych głośniejszych dźwięków, natomiast powinien zrobić coś ze szczękaniem zębów.

Potem czekałyśmy cichutko, obserwując drzwi, aż do momentu kiedy kilka minut później panna Martha wróciła z sieni. Była blada jak ściana, lecz na jej twarzy malował się wyraz triumfu. Niosła stary pistolet ojca z czasów wojny meksykańskiej, który trzymała w szufladzie nocnej szafki.

– Wszystko w porządku – uspokoiła nas. – To tylko dwóch kawalerzystów,

kapitan i sierżant z naszej armii. Mattie daje im w kuchni coś do jedzenia.

– Po co tu przyszli? – spytała panna Harriet.

– Aby zaoferować swoją pomoc, zanim armia opuści okolicę. Prawdopodobnie generał Grant jutro przerwie walki w tych stronach i ruszy na Południe. Kapitan twierdzi, że nasza armia będzie musiała dotrzeć do Spotsylwanii przed Jankesami, aby zabezpieczyć drogę do Richmond. Dlatego już jutro możemy znaleźć się za jankeską linią frontu.

– Jak ci kawalerzyści się o nas dowiedzieli? – dopytywała się Amelia.

– Ktoś w sklepie Pottera powiedział im o pensji. Ich oddział obozuje dzisiaj przy głównej drodze, dlatego tych dwóch mężczyzn postanowiło przyjechać tutaj, aby sprawdzić, czy nie mogą służyć nam pomocą.

Panna Martha zauważyła dywanik przykrywający sofę i domyśliła się, co zrobiłyśmy. Zawahała się przez chwilę, zastanawiając się nad czymś, gdy my tymczasem patrzyłyśmy na nią.

– Nie wspomniałam im jeszcze o kapralu McBurneyu – zauważyła. – Chciałam to zrobić, lecz potem pomyślałam, że najpierw powinienam porozmawiać z wami. Tymczasem to, co tu widzę, utwierdza mnie w przekonaniu, że już zdecydowałyście, co waszym zdaniem powinienam zrobić.

– I zrobisz to, siostrze? – spytała łagodnie panna Harriet.

– Niekoniecznie. Pozwólcie jednak, że przypomnę wam, jakie są możliwości. Po pierwsze mogłybyśmy poprosić ich, aby zabrali ze sobą kaprala McBurneya.

– Ale on nie może jeździć konno, nie narażając przy tym nogi, nawet gdyby mieli dodatkowego konia, którego zapewne nie mają – zauważyła Amelia.

– Mógłby jechać z jednym z nich – zaproponowała panna Martha. – Lecz to prawda, że to by pewnie spowodowało ponowne otwarcie się rany. To z kolei prowadzi nas do drugiej możliwości. Mogłybyśmy powiedzieć im, że kapral McBurney tu jest, lecz jednocześnie zasugerować, by wrócili po niego później z powodu jego stanu zdrowia.

– Myślałam, że powiedziała pani, że nasi chłopcy są w odwrocie – wtrąciła

się Alice.

– Zgadza się, lecz ich kapitan jest przekonany, że wkrótce tu wróca.

– To myślenie życzeniowe – oceniła panna Harriet. – Mogą minąć tygodnie, a nawet miesiące, zanim wrócą, jeśli w ogóle im się to uda.

– Ależ panno Harriet, jestem pewna, że wcale tak pani nie myśli – stwierdziła Emily. – Niemniej jednak zgadzam się, że przypuszczenie kontraktaku może zająć nieco czasu i minie kilka tygodni, nim znów ich tu wszystkich zobaczymy.

– Dlatego też, jeśli powie im pani o Johnnym, najprawdopodobniej będą nalegali, by go od razu ze sobą zabrać, i wtedy niechybnie umrze, zanim dotrą z nim do szpitala – podsumowała Alice. – Nie będą mieli czasu, by troszczyć się o niego, więc zwyczajnie nie będzie ich obchodzić, co się z nim stanie.

Dotychczas nie zabierałam głosu w tej rozmowie, a czułam, że powinnam całą sprawę jakoś skomentować.

– Jeśli okaże się dla nich zbyt dużym kłopotem, pewnie po prostu go zastrzelą i zostawią przy drodze. – Zauważyłam, że moje słowa wywołały wyraźne poruszenie pod dywanem.

– Trzecia opcja jest taka, że pozwolimy kapralowi McBurneyowi pozostać tu, aż dojdzie do siebie, a następnie wyślemy go samego. – Panna Martha znowu zamilkła i zaczęła nam się przyglądać.

– Prawdopodobnie nie powinnam w ogóle tego z wami omawiać. Jako dyrektorka tej szkoły, osoba za was odpowiedzialna, powinnam sama zdecydować, co należy zrobić.

– Zatem zrób to, siostró – poprosiła panna Harriet. – Sama podejmij decyzję i zrób to. Cokolwiek postanowisz, nie poczytamy tego przeciwko tobie.

– Wiem, że nie jestem nieomylna – kontynuowała panna Martha, jak gdyby nie usłyszała słów panny Harriet. – Należy również wziąć pod uwagę kwestię chrześcijańskiego miłosierdzia, rozważyć ją w obliczu istniejącego ryzyka.

– Mówi pani o kapralu McBurneyu jak o starym bagażu, a nie dobrej, miłej osobie obecnej w tym pokoju – stwierdziła Amelia bliska łez. – Tak czy

inaczej jest jeszcze inna kwestia, którą należy wziąć pod uwagę. Tak naprawdę nie jest on pani więźniem, dlatego żadna z was nie może nawet myśleć o przekazaniu go żołnierzom. Żadna z was go nie pojmała i nie przyszedł tu z własnej woli. To ja go znalazłam i przyprowadziłam do szkoły, nie pytając go, czy tego chce.

– Ponadto sądzę, że panna Emily wspomniała o swoich wątpliwościach względem tego, czy w ogóle można uznać go za naszego wroga – dodała Alice.

– To prawda – zgodziła się Emily, choć z wyraźnym powątpiewaniem. – Pod wieloma względami zdaje się z nami sympatyzować.

– Nie ma teraz zbyt wiele czasu. Z całą pewnością chłopcy szybko uporają się z tą niewielką ilością pozostałego nam jedzenia. Jeśli zatem uważacie, że kapral McBurney powinien zostać do chwili, gdy stan jego nogi się poprawi, będę kierować się waszymi życzeniami. Jeśli jednak którakolwiek z was uważa inaczej, niech podniesie rękę. Jeśli ktokolwiek sprzeciwia się jego pozostaniu, poinformuję żołnierzy i to im pozwolę zdecydować, czy zabiorą go teraz, czy później – zarządziła panna Martha.

Nikt nie podniósł ręki do góry. Przez chwilę sama chciałam to zrobić, aby sprawdzić, czy panna Martha weźmie pod uwagę moją opinię, ale zmieniłam zdanie. W tamtym momencie naprawdę nie miałam nic przeciwko kapralowi McBurneyowi, poza tym zaledwie kilka minut wcześniej obiecał, że odpłaci mi za moją dobroć.

Panna Martha odczekała dłuższą chwilę, a następnie uśmiechnęła się z ulgą. Dopiero wtedy uświadomiła sobie, że wciąż nosi przy sobie stary pistolet.

– Gdy żołnierze zobaczyli mnie z pistoletem w ręce, byli bardziej wystraszeni od Mattie i ode mnie. Jeden nawet zauważył: „W moim życiu spotkałem wielu Jankesów, proszę pani, lecz nie wydaje mi się, aby wszyscy razem wzięci byli równie niebezpieczni jak jedna nerwowa dama trzymająca odbezpieczony pistolet w dłoniach”. „Cóż – odparłam – jeśli udowodni mi pan, że nie ma żadnych niewłaściwych zamiarów, pozwolę mu opuścić kurek w tym wynalazku. Z wielkim wysiłkiem udało mi się go odwieść, lecz obawiam się, że nigdy go z powrotem nie uwolnię bez pociągania za spust” – powiedziała.

Na te słowa wszystkie, panna Martha również, wybuchnęłyśmy śmiechem. Nigdy nie widziałam, aby tak się ubawiła.

– I czy opuścili go dla pani, panno Martho? – spytała Alice.

– Widzicie, że tak. Gdyby tego nie zrobili, obawiam się, że zmierzyłybyśmy się z problemem następnego rannego żołnierza, a przynajmniej z wielką dziurą w suficie w sieni.

To ponownie nas rozbawiło i zapewne znowu byśmy się roześmiały, gdyby kapral McBurney nie zaczął pokasływać, krztusić się i wydawać różnego rodzaju bełkotliwe dźwięki pod dywanem. Ściągnęłyśmy szybko dywan i poklepałyśmy go w plecy, dzięki czemu już po chwili oddychał normalnie. Na dobrą sprawę mógł udawać, że się krztusi, aby zyskać sobie naszą sympatię. Wtedy ją miał, lecz nie mógł wiedzieć na jak długo.

Alice zasugerowała, że chciałyby towarzyszyć panie Marcie, gdy ta wróci do sieni, aby skierować słowa pokrzepienia do naszych dzielnych żołnierzy, Emilia natomiast powiedziała, że cieszyłaby się, gdyby mogła dołączyć do Alice podczas tej misji. To skłoniło mnie, by napomknąć, że i ja chciałabym rzucić okiem na tych dwóch kawalerzystów, lecz cała nasza trójka natychmiast usłyszała stanowczą odmowę panny Marthy, która oznajmiła, że choć kapitan i sierżant są miłymi młodymi mężczyznami i członkami dobrych rodzin z Missisipi – czego z pewnością dowiedziała się w pośpiechu – to nie widzi potrzeby, aby narażać ich na pokusy i tęsknoty.

Powiedzenie czegoś takiego było bardzo sprytnym posunięciem ze strony panny Marthy, ponieważ Alice niezwykle schlebia to, że jest uważana za pokusę, w przypadku Emily natomiast był to prawdopodobnie największy komplement, jaki kiedykolwiek usłyszała. Nie jest brzydką dziewczyną, lecz niewątpliwie jest osobą banalną, o której mój tata powiedziałby, że urodziła się, żeby zostać czyjąś niezamężną ciotką. Poza tym gdyby Emily nie odstręczała chłopaków swoim nieatrakcyjnym wyglądem, z pewnością uczyniłaby to jęczorem. Nikt, poza kimś całkowicie tępym, nie chciałaby spędzić całego życia, przyjmując rozkazy i będąc nieustannie korygowanym przez Emily Stevenson.

Nie przypuszczam, aby panna Martha zamierzała włączyć mnie do kategorii

uwodzicielkę, ponieważ zostałabym uznana przez ekspertów w tej dziedzinie bądź to za zbyt młodą, bądź zbyt małą, aby kogokolwiek skusić. Poza tym nie interesują mnie takie sprawy. Nie, dziękuję.

Nieważne. Panna Martha opuściła pokój, a pozostałe w nim osoby ponownie zwróciły swoją uwagę na McBurneya, który rozpoczął następne przedstawienie złożone z pokasywań i zakrztuszeń, tym razem zapewne z zazdrości, gdyż nasze myśli oddaliły się od niego. Podczas gdy pozostałe dziewczęta zaczęły mu nadskakiwać, ja postanowiłam podążyć za panną Martha, aby rzucić okiem na kawalerzystów, przede wszystkim dlatego że mam w Missisipi wielu krewnych i sądziłam, że jeden z tych chłopców może być moim kuzynem Geoffreyem albo kuzynem Edmondem z Biloxi.

Ale nie był nim. Z kuchni, wciąż przeżuując suchary i rzodkiewki, wyszli dwaj zmęczeni wiejscy chłopcy, eskortowani przez Mattie. Mieli na sobie poszarpane, brudne ubrania i jestem pewna, że rodziny nie rozpoznałyby ich przy własnych drzwiach frontowych. Byli tak chudzi, że gdyby zdjąć z nich płaszcz i koszulę, można by im policzyć wszystkie żebra.

Stałam na pierwszym schodku w miejscu, w którym schody skręcają, zerkając na nich nad poręczą, gdy żegnali się przy drzwiach z panną Martha. Wtedy też usłyszałam za sobą hałas, a gdy się odwróciłam, ujrzałam pannę Edwinę Morrow. W całym tym podnieceniu zapomnieliśmy o niej.

- Czy zabierają kaprala McBurneya ze sobą? – wyszeptwała.
- Nie, postanowiłyśmy zatrzymać go tu – odparłam również cicho.
- Co masz na myśli, mówiąc „my”? Nikt mnie o to nie pytał.
- To twoja wina. Nie powinnaś być tak niegrzeczna i zrywać się od stołu – oznajmiłam.

Panna Martha ewidentnie usłyszała którąś z nas – być może mnie – dlatego obróciła się, aby na nas nakrzyczeć przez ramię jednego z kawalerzystów.

- Czy jest pani pewna, że wszystko w porządku? Czy nic nie możemy dla pani zrobić? – Słowa te wypowiedział kapitan, w każdym razie przypuszczam, że w ogóle oficer, ponieważ jego płaszcz miał na sobie więcej guzików niż płaszcz tego drugiego, a poza tym nie był na łokciach tak bardzo wytarty. –

Jeśli obawiacie się nękania ze strony Jankesów, moglibyśmy polecić kilku naszym chłopakom, aby spali w waszej stodole przez noc lub dwie – kontynuował. – Moglibyśmy przysłać tu paru od razu.

– Chętnie zostanę tu z damami, kapitanie – zgłosił się na ochotnika sierżant. – Moglibyście ruszyć dalej beze mnie, a ja po kilku dniach bym was dogonił, gdy zrobi się tu bezpiecznie. Położę mój koc o tu, w tej sieni.

– Jesteście bardzo uprzejmi, lecz nie możemy wam na to pozwolić. Musicie wykonywać swoje obowiązki w terenie – odparła panna Martha.

– Mogłoby to być korzystne dla nas, pani, zostawić kogoś na tyłach wojsk Granta, by miał na niego baczenie, przynajmniej do czasu, aż poznamy jego zamiary. W istocie może nawet sam powinienem tu zostać, sierżancie, podczas gdy wy wrócicie na drogę i powiecie pułkownikowi, co zamierzam zrobić – zastanawiał się kapitan.

– Nie, nie – odparła stanowczo panna Martha. – Nie mogę na to pozwolić. Jeden czy dwóch żołnierzy nie zapewniłoby nam ochrony przed armią Jankesów. Co więcej, wasza obecność mogłaby ściągnąć na nas uwagę i sprowokować do podpalenia tego miejsca. Dziękuję wam za wasze uprzejme zainteresowanie, panowie dżentelmeni. Dobranoc.

– Byłbym dumny, mogąc złożyć moje uszanowanie pani uczennicom – powiedział kapitan.

– Dziękuję raz jeszcze. Przekażę.

– Wcześniej odbywały się tu chyba jakieś śpiewy – zauważył sierżant z nutą tęsknoty w głosie. – Lubię ładny śpiew.

– Nie wątpię – potwierdziła panna Martha. – To widać od razu. Dobranoc, panowie. Niech Bóg ma was w swojej opiece. Dobranoc – powtórzyła, wypchnęła ich za drzwi i zatrzasnęła je za nimi.

– Jakim cudem to pani zrobiła? – spytała ją Mattie. – Nawet jeśli nie chciała pani nic powiedzieć o Jankesie, to nie zaszkodziłoby, gdyby paru przenocowało w stodole.

– Zapominasz, że Jankes jest obecnie bezradny, podczas gdy oni nie – wyjaśniła panna Martha. – Poza tym skoro nie powiedziałam im o nim od razu,

informowanie ich teraz nie wydaje się roztropne. Wiesz, że wcale nie jesteśmy tak daleko od Waszyngtonu. W tym regionie działało paru znanych abolicjonistów i sympatyków Jankesów, a armia generała Lee może podpalać domy i dokonywać grabieży równie dobrze jak armia generała Granta.

– Mogłabym przysiąc przed nimi, że żadna z pani abolicjonistka.

– Nie bądź bezczelna!

– Być może później pani stwierdzi, że popełniła wielki błąd.

– Jeśli tak, to poniosę tego konsekwencje – oznajmiła panna Martha. – Wiem, że popełniłam jeden poważny błąd, nie sprzedając cię na Południe wiele lat temu, gdy jeszcze mogłam zarobić na tobie choć dolara!

Ponownie otworzyła drzwi frontowe i poszła odprowadzić żołnierzy, oznajmiając, że idzie upewnić się, czy opuścili nasze domostwo, nie zabierając ze sobą kuca ani krowy. Mattie nie przejęła się zbytnio uwagami panny Marthy, ponieważ tego typu rzeczy słyszy przez cały czas.

– Ta biedna kobieta po prostu nikomu nie ufa – westchnęła Mattie.

– Z jednym wyjątkiem – wtrąciła Edwina. – Wyraźnie postanowiła zaufać kapralowi McBurneyowi.

– Czy zagłosowałabyś za jego pozostaniem, gdybyś była tu z nami wcześniej, Edwino? – spytałam ją.

– Nie jestem pewna. – Zamyśliła się. – Lubię go, jak sędzę... ale nie jestem pewna, czy pozostanie tu będzie dla niego albo dla nas dobre...

Nie zdziwiło mnie, że jeśli wszyscy w szkole coś popierali, Edwina musiała być temu przeciwna. Niemniej jednak usłyszeć z jej ust, że kogoś lub coś lubi, należało do niecodziennych zdarzeń. Nie pamiętam, abym kiedykolwiek słyszała od niej tego typu stwierdzenie i, o ile mi wiadomo, nigdy później czegoś podobnego nie powiedziała, nawet w odniesieniu do McBurneya.

Potem wróciłyśmy do bawialni, gdzie dostałam reprimendę z powodu nieprzestrzegania poleceń, najpierw od panny Harriet, a potem od panny Marthy, gdy ta wróciła. To właśnie cena, którą płaci się za niezależność, lecz ja nauczyłam się to znosić. Nie wiem, czego innego można się spodziewać po

członku rodziny, która – jak mawia mój ojciec – słynie ze spierania się z katem nawet wówczas, gdy ostrze już opada. Jestem osobą, która zawsze samodzielnie podejmuje decyzje i prawdę mówiąc, dość często z tego właśnie powodu nie zgadzałam się z moją drogą matką, co z kolei doprowadziło do tego, że zostałam wysłana właśnie tu, do tej odciętej od świata protestanckiej szkoły. Mam zbyt wyrobione poglądy, aby kiedykolwiek je zmieniać.

Wspomniałam o tym w nieco zawoalowany sposób kapralowi McBurneyowi wtedy, gdy panna Martha zakończyła lekturę, a panna Harriet wróciła do klawesynu. Spytałam go również, jak zamierza odpłacić za moją dobroć.

– Co takiego, skarbie?

– Jakiś czas temu powiedział pan, że masz nadzieję któregoś dnia odpłacić za moją dobroć.

– Ach tak – wymamrotał. – A kiedy są twoje urodziny?

– Osiemnastego lipca.

– W tym samym miesiącu co moje. Ja mam trzeciego lipca. Dobrze zatem, dostaniesz na urodziny ładny prezent w nagrodę za bycie tak miłą dla mnie.

– Jakiego typu będzie to prezent?

– Och, nie mogę ci tego powiedzieć. To niespodzianka.

Trudno mi było wyobrazić sobie, gdzie zamierzał nabyć ten cudowny prezent, ponieważ najbliższe markowe sklepy znajdują się w Richmond, a on raczej nie przyniósł ze sobą niczego cennego. Niemniej jednak jako osoba dobrze wychowana, nie zmierzałam wypytywać go o to, a poza tym nie miałam ku temu okazji, ponieważ właśnie zamierzaliśmy wrócić do naszego śpiewania.

Po przerwie pierwsza zgłosiła się na ochotnika z solowym występem panna Emily Stevenson, która zaśpiewała *Somebody's Darling*, czyli całkiem nową i bardzo smutną pieśń o młodym żołnierzu o niebieskich oczach, z kręconymi włosami, umierającym w szpitalu. Emily wnosi do każdej pieśni entuzjizm, lecz ten utwór jest tak smutny, że chyba wzruszyłby każdego, nawet gdyby został wykonany przez stado wron.

Ledwie doszliśmy do siebie po dokonanej przez Emily wyborze, kiedy to kapral McBurney zaproponował, abyśmy spróbowali wykonać coś podobnego, dość zdaje się popularnego w szeregach Unii. Pieśń nosiła tytuł *Just Before the Battle, Mother* i opowiadała historię młodego mężczyzny przygotowującego się do udziału w bitwie, najwyraźniej bez nadziei na przeżycie, który sądził, że wolałby zostać w domu ze swoją matką, niż być tam, gdzie się aktualnie znajdował, co stanowiło dość naturalne pragnienie w takich okolicznościach.

Kapral McBurney naprawdę miał zaskakująco dobry tenor, umiał także zaśpiewać tę smutną pieśń w niezwykle dramatyczny sposób, tak że gdy dotarł do ostatniego refrenu, niemal wszystkie się rozkleiłyśmy, włączając pannę Marthę Farnsworth, pannę Edwinę Morrow – i możecie mi wierzyć albo nie – również mnie. Nie wiem, czy kiedykolwiek wcześniej zdarzyło mi się szlochać podczas wieczornego muzykowania, lecz muszę przyznać, że wtedy dorównywałam najgłośniejszym.

McBurney tylko na chwilę przerwał, aby zbadać dokonaną przez siebie destrukcję, a następnie zaintonował bardzo żwawy, radosny utwór, tym razem bez akompaniamentu, ponieważ mokre oczy panny Harriet nie widziały klawiatury. Co ciekawe, druga piosenka zdawała się tak zabawna, a McBurney tak komiczny podczas jej wykonywania, z tymi swoimi wszystkimi przerysowanymi minami, w pewnym momencie nawet udający pijanego Irlandczyka rozwalonego na sofie, że niemal natychmiast przeszliśmy od łez do śmiechu. Nie wydaje mi się, aby tekst piosenki naprawdę był pouczający, nieco później słyszałam, jak panna Harriet określiła ją mianem dość wulgarnej, choć oczywiście tamtego wieczoru śmiała się równie głośno jak my, mimo że wciąż wycierała oczy po utworze o matce – jednak McBurney wykonał ją niczym bywalec estrady.

O ile dobrze pamiętam, szło to mniej więcej tak – oczywiście z irlandzkim akcentem McBurneya.

Nie dla mnie-ście szkolne panienki,

Ach, słodkie istotki płochliwe,

*Nie znacie, szczebiotki, udręki,
Nie wiecie, jak bywa zdradliwie.
Nie kuszą mnie słodkie podchody,
Amory, zaloty, półsłówka,
Ja wolę krągłości i słodycz,
Którymi ogrzeje mnie wdówka.
Och, dreszcze dziewczęce już za nią,
Dojrzały w niej zmysłów owoce,
A pierwsza jej miłość, pod ziemią,
Wystygła, gdzie ja aż dygoczę.
To miłe, że o tych, co gasną
Tak czule się troszczą wdów ręce,
I to, że rozpaczać nie zaczną,
Gdy nagle i ja się przekręcę.*

Piosenka była znacznie dłuższa, lecz w tej chwili tylko tyle jestem w stanie przywołać z pamięci.

Następnie Alice, która tak długo wystaje przy bramie, że zna wszystkie pieśni marszowe, zaśpiewała *Yellow Rose of Texas* i *Goober Peas*, a my włączałyśmy się w tych miejscach, w których znałyśmy tekst piosenki. Później Edwina, która również okazała się posiadaczką miłego, czystego głosu, ale nigdy nie popisywała się nim zbyt często, zaprezentowała nam solową wersję *Virginia, Virginia* i *Land of the Free*, a gdy skończyła, spłonęła takim rumieńcem, że zrobiło mi się jej okropnie żal.

Następnie kapral McBurney oznajmił, że o ile mu wiadomo, najwspanialszą pieśnią całej wojny jest *Dixie*, po czym poprowadził nas przez kilka porywających refrenów pieśni, zapewne pobrzmiwającej w uszach biednego sierżanta kawalerii, który musiał być już gdzieś daleko przy Orange Peak Road. Jeszcze bardziej niezwykła dla tego oddziału kawalerii musiałaby wydać się pieśń, do której przeszliśmy w następnej kolejności, a mianowicie

John's Brown Body, którą zasugerowała Emily w przypiływie dobrej woli, a my podjęłyśmy równie ochoczo co nasze własne pieśni.

Potem nasz gość niezwykle wspaniałomyślnie poprosił o powtórzenie pieśni *Bonnie Blue Flag*, podczas której wprawiliśmy w drzenie krokwie, aby wreszcie zakończyć wieczór utworem *O słodki domie*, ponownie powodując kręcenie się łez w oku, lecz tym razem zdecydowanie bardziej radosnych, jeśli wiecie co mam na myśli.

Nie sądzę, abyśmy śpiewały równie dobrze, płakały równie mocno i czuły się równie szczęśliwe kiedykolwiek wcześniej bądź później. Z całą szczerością muszę stwierdzić, że osoby w tej szkole, ani indywidualnie, ani jako grupa, nie są najlepszymi śpiewakami, jakich kiedykolwiek słyszałam, lecz tamtego wieczoru spokojnie wypełniłyśmy słuchaczami całą operę w Nowym Orleanie.

Co więcej sądzę, że wszyscy obecni mogą poświadczyć, że nigdy nie czułyśmy się równie ciepło, dobrze i przyjaźnie wobec siebie, jak tamtego wieczoru. Wszyscy wszystkich całowali, ściskali i szeptali komplementy pod adresem swoich głosów czy wyjątkowo korzystnego wyglądu, co zdało się zostać zauważone po raz pierwszy – a wszystko to w sposób, który zwykle uznałabym za dość nużący, lecz w tamtej chwili sama zaangażowałam się w całą sprawę, podskakując z gotowości do bycia miłą wobec każdego, kimkolwiek by był.

Oczywiście kapral McBurney stanowił oś tej wspólnoty. Mogło się zdawać, że wszystkie dziewczęta ustawiają się w kolejce, aby powiedzieć mu, jakim to jest cudownym śpiewakiem, dobrym chrześcijaninem i odważnym młodym człowiekiem, a także przekazać inne luźne stwierdzenia tego typu. Jeśli nawet nie wszystkim udało się to uczynić, jestem pewna, że każda z nas to czuła, ponieważ tamtego wieczoru nie mogłyśmy dostrzec nic złego w kapralu McBurneyu. Byłyśmy gotowe powierzyć mu swoje pieniądze i cnotę – te z nas, które takową posiadały – oraz swoje życie.

A on się tym cieszył. Prawdopodobnie jeszcze nigdy w całym swoim życiu nie znajdował się tak bardzo w centrum uwagi, jak udało mu się tym razem w ciągu półtora dnia spędzonego w naszej szkole. Oczywiście nikomu w ogóle

nie przeszło przez myśl, aby przekazać go naszym oddziałom czy choćby jego własnym, nawet gdy wyzdrowieje. W ciągu tych kilku godzin stał się tak bardzo mile widzianym członkiem naszego małego zespołu, że gdyby rozważnie rozgrywał swoje karty i utrzymywał nas wszystkie w tym przekonaniu z owego wieczoru, kapral McBurney mógłby zostać z nami na wieki.

Jednak to zahacza już o następną część tej historii. Tę zakończyły nasze modlitwy, tym razem przebiegające niezwykle gładko, w których to McBurney uczestniczył z taką swobodą, jak gdyby urodził się i wychowywał jako protestant. Gdy panna Martha zachęciła nas do wznoszenia prośb o błogosławieństwo, natychmiast się przyłączył, prosząc Boga o opiekę nad każdym w tej szkole, kto okazał mu dobroć, a następnie, aby nieco ubarwić swoją prośbę, o wybaczenie dla wszystkich grzeszników z obu armii, sugerując przy tym ze sporym wdziękiem, iż w jego armii jest ich prawdopodobnie znacznie więcej niż w naszej. „Swój swojego zawsze pozna”, jak mawia mój ojciec.

Panna Martha odpowiedziała wielkodusznie prośbą, by Pan czuwał nad wszystkimi dzielnymi żołnierzami w obu armiach oraz by w sposób szczególny strzegł i zachował od złego naszego gościa przebywającego z dala od swojego domu. Na co wszystkie zareagowałyśmy – w sposób dość osobliwy, jak się teraz wydaje – donośnym „amen”.

Następnie zostałyśmy oddelegowane, aby panna Martha oraz Mattie mogły obejrzeć nogę kaprala McBurneya i przygotować go do nocy. Żadna z nas nie miała ochoty przerywać tak szczęśliwego zgromadzenia, lecz gdy McBurney (w swej roztropności rzadko publicznie niezgadający się z władzą) stwierdził, że jest bardzo zmęczony, wszystkie wesoło się z nim pożegnałyśmy.

– Cóż, najwyraźniej twój cenny, leśny okaz zdobył wszystkie obecne tu serca – napomknęłam mojej współlokatorce Amelii Dabney, gdy weszłyśmy na górę. – Nie sądzę, abyś musiała się o niego martwić. Z całą pewnością nie brak mu przyjaciół.

– Tak się wydaje, prawda? – przyznała Amelia. – Niemniej jednak musimy pamiętać, że łatwo być wobec kogoś przyjacielskim, gdy nie ma się żadnego

osobistego powodu, aby odczuwać wobec niego co innego. Musimy o tym pamiętać i mieć się na baczności, abyśmy mogły pomóc kapralowi McBurneyowi, gdy będzie tego potrzebował.

– Kapral McBurney może w znacznej mierze sam sobie pomóc, jeśli będzie zajmował się własnymi sprawami i nie da ludziom osobistych powodów, by go nie lubili – poinformowałam ją.

Z tymi słowami położyłam się do łóżka. Teraz pamiętam, że moja ostatnia myśl, zanim zapadłam w sen, dotyczyła tego, czy aby na pewno panna Martha pamięta, by odnieść pistolet ojca z powrotem do swojego pokoju. Z tego, co pamiętałam, gdy zaczęły się śpiewy, położyła broń na stoliku w bawialni. Zastanawiałam się, czy zapomniała, o tym, choć panna Martha nie była typem osoby, która często o czymś zapomina. Zapewne zostawi ją tam celowo jako dowód zaufania dla kaprala McBurneya albo – co jeszcze bardziej prawdopodobne – może ją tam zostawi niezaladowaną, aby go sprawdzić. Mogłaby potajemnie obserwować go zza uchylonych drzwi, aby przekonać się, czy weźmie pistolet i nie będzie próbował go ukryć. Potem jednak pomyślałam, że kapral McBurney może okazać się równie sprytny jak panna Martha i przewidzieć, że jeśli pistolet tam jest, to nie bez przyczyny, w związku z czym nie dotknie go.

Zasnęłam, snując wszystkie te domysły, a następnego dnia zapomniałam o całej sprawie.

AMELIA DABNEY

Kapral McBurney najwyraźniej błyskawicznie dochodził do zdrowia po ciężkich obrażeniach i znacznej utracie krwi. Codziennie był coraz silniejszy i nie minął tydzień, a już zaczął wstawać, by się przejść.

Panna Martha nie zgadzała się z tymi pomysłami, ponieważ czuła, że nie upłynął czas potrzebny strzaskanej kości do zrośnięcia ani ranie do wygojenia. Jednak już szóstego dnia, kiedy okazało się, że już postanowił spróbować tak czy siak, niezależnie od zgody panny Marthy, poleciła pannie Harriet przynieść mu starą laskę do chodzenia, która została po kimś z rodziny, a potem wszystkie stanęłyśmy wokół kanapy, wstrzymując oddech, kiedy ona i Mattie pomogły mu wstać na nogi.

– Proszę się opierać na tej lasce i na zdrowej nodze – pouczyła go panna Martha. – Proszę w ogóle nie obciążać uszkodzonej kończyny.

– W ogóle nie trzeba mu ruszać tą nogą – narzekała Mattie. – Nawet małe wymachy nie przyniosą nic dobrego, a jak przygrzmoci nią o coś, całe szwy puszczą w try miga.

Panna Martha zgodziła się z opinią Mattie, ale stwierdziła, że szala opinii publicznej przechyla się w drugą stronę. Z młodszych mieszkanek tego domu, licząc w tym jej własną siostrę, nikt się nie nauczył, jakie korzyści płyną z nieponaglania Matki Natury i z umożliwienia jej działania własnym rytmem. Jeśli w każdym razie kapral McBurney chce ryzykować ponowne uszkodzenie nogi, to oczywiście droga wolna, ale ona chce nam wszystkim wyraźnie powiedzieć, że w żadnej mierze nie bierze odpowiedzialności za skutki.

Po oświadczeniach już we trzy towarzyszyły kapralowi McBurneyowi w powolnym marszu przez bawialnię ku drzwiom ogrodowym. Trochę wspierał się na lasce, a trochę skakał na zdrowej nodze, a panna Martha i Mattie asekuracyjnie szły obok niego. Nagle poślizgnął się i na pewno upadłby, gdyby obie go nie podtrzymały.

– Ale świetnie odegrane – syknęła mi do ucha moja koleżanka z pokoju Marie Deveraux. – To tylko udawane poślizgnięcie, żeby sytuacja wyglądała poważniej.

– Nic podobnego, na pewno nie – szepnęłam. – Mógł sobie zrobić ogromną krzywdę, gdyby panna Martha i Mattie nie trwały na posterunku.

– Ale o to właśnie chodzi, że one tam były, a on o tym wiedział – stwierdziła Marie, która abstrahując od jej innych cech, jest chyba najbardziej cyniczną osobą, jaką znam, i to bez względu na wiek. – Sztukmistrzowie i akrobaci w kółko tak robią, kiedy wiedzą, że pod nimi jest rozpięta siatka. W Nowym Orleanie podczas festynów bożonarodzeniowych w budynku opery wiele razy widziałam, jak specjalnie osuwają się z liny lub trapezu tylko po to, aby zyskać trochę współczucia ze strony publiczności. Mój Boże, patrz, patrz, czy on aby nie próbuje zrobić drugi raz tej samej sztuczki?!

Nie zrobił – o ile to była sztuczka, a wciąż nie wierzę, że tak zaplanował. Tym razem sam odzyskał równowagę i udało mu się dojść do drzwi ogrodowych, gdzie przystanął na chwilę. Próbował uspokoić oddech i wyjrzał na ogród.

– Wasze róże proszą się o przycięcie – powiedział po chwili. – A żywopłot ma paskudny kształt. Całemu ogrodowi kwiatowemu trzeba zrobić gruntowny przegląd. Zajmę się tym jutro lub pojutrze.

– Nie będzie pan robił żadnej takiej rzeczy – oznajmiła panna Martha. – To bardzo miłe z pana strony, ale ogród jest zaniedbany już od dłuższego czasu i jeszcze trochę może taki pozostać.

– To naprawdę bardzo miła propozycja, panie McBurney – zaproponowała panna Harriet. – Czy ma pan duże doświadczenie przy pracach ogrodowych?

– A jak – odparł. – Pracowałem długo w dużej posiadłości w ojczyźnie. Mieli mnie tam nawet z czasem zrobić głównym ogrodnikiem, gdybym zdecydował się zostać, no ale ciągnęło wilka do większych wyzwań, na przykład do wplątania się w wojnę w Ameryce.

– Skoro naprawdę ma pan dryg do ogrodnictwa, skorzystamy z tego z otwartymi rękami, ale na późniejszym etapie rekonwalescencji. Ten klasyczny bukszpan angielski nie był odpowiednio przycinany przez

przynajmniej ostatnie trzy lata. Nie ma w okolicy nikogo, kto potrafiłby się tym zająć.

– Z tuzin razy próbowałam uporządkować tę pergolę z róż i nic nie wskórałam poza pokaleczeniem palców – poskarżyła się panna Harriet.

– Takim kwietnym ogrodem musi się zająć mężczyzna, ot co – oznajmiła Mattie. – Ja to pewno nic tu nie zaradzę. Nadto wychowywano mnie do roboty w domu, a nie w ogródku.

– Mattie świetnie sobie radzi z naszym warzywniakiem, ale kwiatom nie podołała, tak jak zresztą my wszystkie – zauważyła panna Martha.

Kolejny raz potwierdziło się, jak dobrze wpływa kapral McBurney na atmosferę w szkole. Naprawdę rzadko się zdarzało, żeby panna Martha powiedziała ciepłe słowo o staraniach Mattie czy to w ogródku warzywnym, czy gdzie indziej, a przecież ta kochana, dobra duszyczka wypruwa sobie wszystkie żyły przy fasoli, grochu i innych roślinach, nawet jeśli musi czasem ponarzekać, że to nie jej parafia.

Ale na przykład taka Marie mówi, że Mattie naprawdę lubi swoje obowiązki pod gołym niebem i byłaby w rozpacz, gdyby musiała z nich zrezygnować. Marie czuje, że ogródek warzywny jest specjalnym przydziałem Mattie i skoro tak, to daje jej tę wyjątkową okazję, żeby kierować innymi w szkole, w tym nawet panną Martha, która tak jak pozostali też bierze udział w pielenui ogródka. Zgodnie z tokiem myślenia mojej współlokatorce Mattie dlatego się skarży, że niby nie jest stworzona do prac polowych czy ogrodowych, żeby panna Martha nie miała satysfakcji z tego, że tamta jest szczęśliwa przy tych obowiązkach. Szczerze mówiąc, rzadko tak dużo się zastanawiam nad intencjami ludzkich działań, jak moja koleżanka z pokoju.

– Odtąd możecie już nie martwić się o wasze bukieciki – zażartował Johnny McBurney. – Macie tu fachurę, co wszystkiego dopilnuje.

Nie musiałyśmy długo czekać, żeby się przekonać, że mówił prawdę. Już nazajutrz rano uparł się, że przejdzie się do ogrodu, żeby obejrzyć, co jest do zrobienia. Szłam obok niego, a on, kuśtykając o lasce i na zdrowej nodze, przyglądał się różanej pergoli i otaczającemu ją żywopłotowi, który panna Martha nazwała bukszpanem. Tak naprawdę to nie jest wcale żaden bukszpan

angielski, tylko borówka bukszpanowata *Gaylussacia brachycera*, zimozielony krzew, który zazwyczaj nie przyjmuje się dużo dalej na północ niż Alabama czy obie Karoliny.

Nieco później przyglądaliśmy się drugiemu rzędowi żywopłotu z forsycji, nazwanej tak na cześć znanego botanika Williama Forsytha, a potem też różanej pergoli. Po pergoli przeszliśmy do lawendy, lilaków i kamelii, które rosły wzdłuż całej ścieżki wiodącej do niewielkiej – jak nazywa to miejsce panna Harriet – świątyni Erosa. Miejsce to jest obecnie masą poplątanych pnączy jaśminu, mirtu, wiciokrzewu i wysokich traw, których właściwych nazw gatunkowych sama nie znam.

Johnny przyjrzał się dokładnie nawet trawnikowi i posłał mnie do rabat kwiatowych, żebym z niektórych miejsc wybrała poszczególne źdźbła trawy i przyniosła mu je. On brał je do ręki, przyglądał się im badawczo, skręcał w palcach, co – jak podejrzewam – cechowało prawdziwego znawcę. A raz czy dwa to nawet w zamyśleniu zaczął przeżuwać źdźbło, jakby mógł na podstawie smaku trawy dokładnie określić, jakich czynności pielęgnacyjnych potrzebuje.

– Ten kawałek ma trochę nietypowy posmak – stwierdził nawet.

– Może były tu Lucinda i Dolly.

– Kto?

– To nasza krowa i walijski kuc. Panna Martha pozwala im się tu wypasać.

– Dziewczyno droga, na litość boską... – Wypluł trawę. – Czemuś mi wcześniej nic nie powiedziała?

– Bo pan nie pytał – odparłam. – U nas tak właśnie wygląda koszenie trawnika. Oczywiście ktoś zawsze tu wtedy jest z Lucindą i Dolly i pilnuje, żeby nie skubały krzewów ani kwiatów.

– Nieważne, taki ładny trawnik nie może robić za pastwisko – orzekł.

– Zgadzam się – odparłam. – W ogóle nie widzę korzyści z jakiegokolwiek przycinania trawnika. Przecież znika wtedy cała warstwa dla małych zwierzątek i ptaszków, poza tym pamiętajmy, że kiedy ścinamy koniczynę i mlecze, pozbawiamy dzikie pszczoły źródła pyłu kwiatowego. Zastanawiał

się pan nad tym kiedyś?

– O kurczę pieczone! Nie zastanawiałem – przyznał Johnny. – Ale pewno przemielę to sobie kilka razy w głowie na dobry sen. Na razie to jednak widzę tydzień pracy tylko przy tej otwartej szopie. Wygląda, jakbyście zamiast kwiatów uprawiały tam chwasty.

– Panna Harriet kilka razy rozważała ścięcie ich, ale ta część ogrodu jest, można powiedzieć, prywatnym poletkiem panny Marthy i koniec końców panna Harriet zawsze zostawia te chwasty w spokoju.

– Po co więc stoi tu ta niewielka budowla?

– To świątynia Erosa, greckiego boga miłości.

– A to ci dopiero. Czy miejscowi byli poganami?

– Bez przesady. Po prostu kiedy panna Martha i jej brat Robert byli jeszcze młodzi, postawili to coś pewnego lata. Pewnie zostało trochę cegieł po jakichś pracach budowlanych i z tego zbudowali te kolumny, a potem nakryli je starymi deskami, a wszystko jak widać pomalowali na biało. Chyba miało wyglądać jak ateński Akropol, ale domyślam się, że podobieństwo chyba jest niewielkie. A potem jedno z nich, już nie wiem które, zdobyło stary posążek Erosa ze sklepu w Richmond i postawili go na środku, i zasadzili winorośl wszędzie wokół.

– Ten mały nagusek to Eros?

– Tak, Rzymianie nazywali go Kupidynem.

– No ładnie. Specyficzne zainteresowania jak na pannę Marthę, hę? Po prostu nie wyglądała mi na taką. A jej brat, z całym poszanowaniem dla tego pana, to musiał być równie wielkim cudaczną.

– Niestety nigdy go nie spotkałam i na pańskim miejscu nie pisnęłabym pannie Marcie słowa o świątyni. Naprawdę nie lubi o niej rozmawiać – przestrzegłam go.

– Zobaczysz, że mną będzie chciała o tym porozmawiać – odparł Johnny. – Ja to wiem, że ludzie nawet chętnie ze mną rozmawiają o takich najbardziej osobistych sprawach. Pewno jestem tak rozbrajający.

– A czemu chce pan tak dużo wiedzieć o wszystkich i ich sprawach

osobistych?

– Po części z ciekawości, po części jako zabezpieczenie, droga Amelio. Żyjemy w okrutnym świecie i człowiek musi przedsięwziąć środki ostrożności.

– A czy czytał pan kiedyś jakieś dzieło pana Karola Darwina? – zapytałam. – Cała przyroda jest okrutna, tak twierdzi pan Darwin.

– No to chwała Bogu, żeśmy tu w cywilizowanym gronie.

Kiedy Johnny skończył swoją ocenę koniecznych prac ogrodowych, posłał mnie do szopy na tytoń, żebym przyniosła potrzebne mu narzędzia – kilka różnych szpadli, rydli i nożyce ogrodowe – z których wszystkie okazały się mocno pordzewiałe i wymagały naostrzenia. Reszta pierwszego poranka na zewnątrz upłynęła nam na polerowaniu i ostrzeniu narzędzi ogrodniczych o niewielką granitową płytę, którą również znalazłam w szopie.

– Porządny kamień – ocenił Johnny, gdy splunął na nią i przyłożył do niej koniec noża ogrodniczego.

Siedzieliśmy na ławeczce w pergoli i zerkałam na dom w nadziei, że inne zaśnie tego dnia i podarują mnie i Johnny'emu nieco więcej poranka. Wiedziałam oczywiście, że panna Martha będzie na nogach o tradycyjnej dla siebie porze, kwadrans przed ósmą, a wkrótce potem dołączą do niej panna Harriet i dziewczęta, ale i tak chętnie się łudziłam, że tego ranka coś się może zmienić.

Mattie klęczała w ogródku warzywnym, wybierając z batatów chrząszcze ryjkowce – *Cylas formicarius* – i wiedziałam, że nie zamierza nam przeszkadzać, bo sama już zaczynała się niepokoić, czy kapral McBurney nie wtrąci swoich trzech groszy w jej warzywa. Ale wcześniej uspokajałam ją w tej kwestii i powiedziałam, że gdyby kapral McBurney zgłosił chęć pomocy w ogródku kuchennym, gdy już będzie w stanie, to na pewno – byłam o tym przekonana – z radością uczyniłby to pod jej kierownictwem.

– Ten kamień to granit z Nowej Anglii – wyjaśniłam Johnny'emu. – Nie jest z tej części kraju, ale podejrzewam, że ojciec panny Marthy i panny Harriet miał cały wóz tego przywieziony tu niegdyś z północy.

– I po kiego mu to było?

– Większość wykorzystano do wybrukowania chodnika przed wejściem do domu, a z reszty granitowych płyt zrobiono nagrobki na cmentarzu w lesie. Poza tą jedną zużyto wszystkie płyty.

– Czyli Farnsworthowie są pochowani w lesie?

– Rodzina nie. Ich chowa się na cmentarzu przykościelnym, przy Świętym Andrzeju. Na tamtym, o którym mówię, leżą Murzyni. Zanim pan Farnsworth kupił ten granit, ich groby znaczone drewnianymi deskami lub w ogóle niczym. A od tamtej pory każdy grób ma własny kamienny nagrobek z tymi nazwiskami i datami, które pan Farnsworth zapamiętał.

– Trzymani poza murami nawet po śmierci. Jest tam miejsce jeszcze na jeden nagrobek, dla starej Mattie.

– Pewnie tak. Na pewno liczy, że zostanie tam pochowana. Myślę, że bardzo lubi ten las tak jak ja, przynajmniej za dnia go lubi, no i jej mąż też tam spoczął. Należał do pobliskiego farmera, i kiedy umarł, zwrócił on Mattie jego ciało. Bodaj Mattie mówiła, że panna Martha zapłaciła mu dziesięć dolarów za tę przysługę.

– Cóż, ja akurat nie troszczę się o to, gdzie zostaną pochowani, ale gdybym już miał wybierać, to las brzmi mi lepiej niż cmentarz przykościelny – wyznał Johnny. – Według mnie w lesie można nie być tak samotnym.

– Johnny, czy pan wierzy w niebo?

– Szczerze ci powiem, że nie zastanawiałem się nad tym jakoś szczególnie. Może niebo istnieje, a może nie, ale tak czy siak nigdy nie czułem żadnej potrzeby ani chęci, aby się nad tym głowić. Może dlatego, że nie jestem jeszcze do końca pewny, że kiedykolwiek przyjdzie mi umrzeć. To może ci zabrzmieć dziwnie, ale taki właśnie jestem. Nigdy głębiej nie zastanawiałem się nad śmiercią, nawet w najcięższych chwilach bitwy nie przypominam sobie, żebym się zastanawiał. Z różnych przyczyn po prostu nie obawiałem się śmierci, nawet kiedy znajdowała się na wyciągnięcie ręki, prędzej ciężkiego poranienia i kalectwa. Pamiętam, że w czasie bitwy najgorzej bałem się, że mnie osłepią, a później, że stracę nogę albo rękę. Zdradzę ci sekret, Amelio. Czy wiesz, że chyba z pięćdziesiąt razy budziłem się tej pierwszej nocy

u was? Wcale nie byłem taki nieprzytomny, jak niektórzy myślą, a tylko tkwiłem w takiej jakiejś mgłę, co to przez nią mogłem tylko ciut widzieć i słyszeć, choć nie mówić. No ale co jakiś czas wracałem do zmysłów w panice. Miałem w głowie potworności widziane w lesie, ogień i dym, i te krzyki, i myślałem, że straciłem nogę. Czy jeszcze kiedyś będę chodził? Czy kiedyś pobiegnę, podskoczę do góry, czy zatańczę znów? Wtedy nagle nacierał potężny ból i, Amelio, błogosławiłem go, tak, błogosławiłem ten ból, a po chwili odpływałem we mgłę na nowo.

– Ale teraz jest dobrze, Johnny? Nie martwi się pan już o nogę, prawda?

– No nie, teraz to o nic się nie martwię. Noga ma się dobrze i ja się mam dobrze, i jestem na dobrej drodze, aby znów stać się w pełni zdrowym, żywotnym mężczyzną. Tylko patrzeć, jak będę sprawny jak nigdy, gotów stanąć do walki lub zmagania, lub swawolenia w piernatach, za twoim przeproszeniem, że taka dziewczynka tego słucha. To jest moje niebo, droga Amelio. I tylko takiego potrzebuję. A czy ty wierzysz w niebo, kochanie?

– Myśl, że moi bracia gdzieś tam są i kiedyś znowu się zobaczymy, oczywiście niesie pocieszenie, ale zdarza się, że czasami czuję, że wcale tak to nie wygląda. A są też chwile, kiedy myślę, że nawet jeśli niebo istnieje, to sama nie chciałabym tam iść. A to dlatego, że Marie Deveraux, moja koleżanka z pokoju, powtarza mi w kółko, że zdecydowanie zgodnie z teologią chrześcijańską zwierzęta po śmierci w ogóle nie mogą pójść do nieba, ponieważ nie mają duszy.

– Nie przejmowałbym się tak bardzo tym, co ona mówi.

– Marie może i jest mała, ale nad wiek rozgarnięta. A czasem tak sobie myślę, że rozmyślnie się stara, żeby nasze nauczycielki nie widziały, jaka ona jest rozgarnięta. No ale zapytałam też o to pannę Marthę i pannę Harriet, czy uważają, że zwierzęta mogą iść do nieba, i obie też potwierdziły, że nie. A panna Harriet powiedziała, że być może niebo jest już wypełnione różnymi zwierzętami o życiu wiecznym, ale że jej zdaniem bardzo wątpliwe, żeby zgodę na wstąpienie tam otrzymało jakiegokolwiek ziemskie zwierzę hodowlane.

– To ja ci powiem, że nawet panna Martha i panna Harriet nie pozjadały wszystkich rozumów. No bo sama mi powiedz, gdzie to one bywały na tym

wielkim świecie, że to takie z nich znawczynie teologii zwierząt? No i co to byłoby za miejsce, to niebo, co by człowiekowi szło docierać konno do jego bram i zostawiać konia na zewnątrz? A co z osłem, o którym mówi Biblia, jeśli dobrze pamiętam lekcje, że Pan jeździł na nim po Galilei? A co z tymi wszystkimi kozami i krowami, i innymi zwierzętami, jak te ze stajni betlejemskiej w noc Bożego Narodzenia? A jak już o tym będziesz myślała, to jeszcze wspomnij sobie o ptakach i zwierzętach, co to przez czterdzieści dni i nocy dryfowały ze starym Noem na jego arce. Sama pomyśl, toć to byłaby czysta niewdzięczność ze strony sił wyższych, gdyby tym wszystkim biblijnym sławom odmówić choćby krzty niebiańskiej nagrody.

– To oczywiście prawda. Nigdy nie patrzyłam na to od tej strony.

– No to śmiało, możesz teraz. Jeśli istnieją jakieś zaświaty poza naszą doczesnością, to logicznie biorąc, będą na tyle duże, żeby pomieścić wszystkie zwierzęta, co to pojawiły się tu od początku świata. Wszystkie tam trafią, te dobre i te złe, wszystkie dinozaury, jednorożce i smoki, wieloryb, co to połknął Jonasza, lwy, co to przepuściły okazję, żeby pożreć Daniela... a może nawet i niektóre z tych lwów, co to pożerały chrześcijan dawniej za Nerona. Lew, który zjadł świętego na obiad, chyba przejmuje odrobinę tej jego świętości, zgodzisz się ze mną, Amelio?

– Tak – przyznałam, lekko chichocząc. – Zdradzę panu, Johnny, czemu trochę dotyczy mnie ta kwestia. A to dlatego, że mam w domu żółwika jaszczurowatego, który jest bardzo chory.

– Nie masz co się przejmować. Żółwie dożywają sędziwego wieku.

– Wiem o tym, a przynajmniej wiem, że niektóre gatunki tak robią. Nie mam takiej pewności co do żółwi jaszczurowatych. W każdym razie, kiedy się człowiek przywiązuje do takiego zwierzątka, na pewno prędzej zaczyna się zastanawiać, co się z nim stanie po śmierci.

– Ależ twojemu żółwiowi pewno jednak wciąż daleko, żeby stanąć u bram raj, i to nawet bez przeprowadzenia pełnych badań lekarskich. Idę o zakład, że ten twój żółw przeżyje nas oboje, a już na pewno mnie, i już ci powiedziałem, że nie jestem przekonany, czy kiedykolwiek umrę.

Tak mniej więcej zakończyła się moja rozmowa z Johnnym McBurneyem

pierwszego poranka poza domem. Panna Martha i pozostałe uczennice wstały i też przystąpiły do swoich obowiązków w naszym ogródku warzywnym. Uważam, że była to jedna z najlepszych i najprzyjemniejszych rozmów, jakie w ogóle przeprowadziliśmy. Oczywiście w inne poranki też zdarzały się pogawędki, ale ta pierwsza na pewno należała do najlepszych i chyba była najdłuższa między nami podczas całego jego pobytu, ponieważ okazji do rozmów robiło się mniej, gdy Johnny z każdym dniem był coraz zdrowszy i mógł podejmować coraz to inne zadania. Po dwóch dniach mógł już na przykład chodzić bezpiecznie, bez asekuracji innych, a kilka dni później potrafił już przepracować cały poranek w ogródku. Zaczął od czynności wykonywanych na stojąco, takich jak przycinanie róż i usuwanie zwiędłych pędów winorośli za budynkiem szkoły. Później przeszedł do działań wymagających pochylania się i skłonów, na przykład zajmował się zaroślami i krzewami, przycinaniem i kształtowaniem żywopłotów, oczywiście cały czas nieco odciążał ranną nogę, ale każdego dnia zwracał na nią coraz mniej uwagi. Stan nogi poprawiał się równie błyskawicznie jak stan ogrodu, który teraz – jak zauważyła panna Harriet – zaczynał wyglądać równie pięknie jak w czasach młodości jej i panny Marthy.

Panna Martha nie zachwycała się pracą Johnny'ego tak jak jej siostra, chociaż myślę, że w głębi duszy pewnie się radowała ze zmian. Na początku jednak nie zezwoliła mu na wycięcie chwastów wokół świątyni Erosa. Johnny napomknął o tym właściwie przy okazji, trzeciego czy czwartego poranka na zewnątrz, kiedy panna Martha zajrzała do nas z ogródka warzywnego, żeby sprawdzić, jak sobie radzimy.

– W ciągu dnia lub dwóch dotrę z robotą już do końca tej ścieżki. O tam, gdzie stoi ta mała grecka budowla gotowa udzielić schronienia samemu Homerowi, gdyby staruszek zechciał wpaść do nas któregoś popołudnia – zaproponował.

– Nie ma takiej potrzeby – skomentowała panna Martha. – Zamierzam kiedyś zburzyć tę budowlę. Do tego czasu niech porastają ją chwasty.

– No ale naprawdę – postawił się Johnny. – To bardzo ładny dodatek w takim ogrodzie. Pozbędę się chwastów, przytnę winorośl i odświeżę całość

wapnem.

– Chyba wyraźnie powiedziałam, że nie ma takiej potrzeby – powtórzyła panna Martha, tym razem ostrym tonem.

Johnny zamilkł, przyjrzał się jej, a potem rozsądnie uznał, że nie ma co naciskać.

– Tak jest, pani kochana – przytaknął tylko, lekko się uśmiechając i wykonując nieznaczny ukłon, którym zawsze kończył spór. A inni później zaczęli określać ten ukłon jako kpiarski, ale mnie się nie wydaje, żeby kiedykolwiek chciał, żeby to miało kpiarską wymowę. Myślę, że po prostu chciał być uprzejmy. Postanowiłam wtedy zaproponować inne wyjście.

– Zamiast wyburzać ten cały budynek, może pani usunąć posąg i zrobić z tego karmnik i przytulisko dla ptaków, wiewiórek, królików i innych zwierząt. Może pani się nad tym zastanowi, panno Martho? – odpowiedziałam.

Panna Martha uznała za stosowne pominąć moją uwagę.

– Panienko, jeśli kapral McBurney nie ma już dziś nic dla panienki do roboty tutaj, może panienka wrócić do swojej grządki w drugim ogródku albo wejść do środka i powtórzyć lekcje – rzuciła oziębło.

– Kapral McBurney ma dla mnie mnóstwo pracy, panno Martho – odparłam. – Johnny, niech pan powie pannie Marcie o wszystkim, co mam zrobić.

– Najważniejsze zadania dla panienki to pilnowanie, żeby taki niezdara jak ja nie zdeptał ptasich gniazd i nie poskromił towarzysko usposobionych robaków – zaczął Johnny z szerokim uśmiechem. – A też dotrzymywanie mi towarzystwa i bycie dla mnie miłym.

– Czyż nie jesteśmy wszystkie miłe dla pana, panie McBurney? – zapytała go panna Martha.

– O tak, pani kochana, zdecydowanie panie jesteście. Nie mógłbym marzyć o miłszym i życzliwszym traktowaniu niż to, co tu mnie spotkało. Nawet gdybym trafił pod opiekę swoich, na Północy, to nie byłoby mi lepiej.

Zadowolona z takiej odpowiedzi panna Martha wycofała się do swoich

obowiązków w ogródku warzywnym. Kiedy była już na tyle daleko, żeby nas nie słyszeć, Johnny powiedział:

– Nie mówiłem jej tego, ale chciałbym, żebyś mi dłużej pomagała, bo mam cię za najlepszą przyjaciółkę tutaj.

Te słowa wywarły na mnie takie wrażenie, że na chwilę odebrało mi mowę.

– Naprawdę tak pan uważa? – tylko tyle potrafiłam w końcu wydusić z siebie.

– Naprawdę, pewno że naprawdę. – Roześmiał się. – Czy ja kiedykolwiek mówię coś, czego nie uważam? Ha, oczywiście tak, Amelio, setki razy, bo taki mam charakter. Ale nie w relacji z tobą, Amelio. Pamiętaj o tym, dziewczę miłe. Z tobą zawsze będę do bólu szczery. Uratowałaś mi życie, więc jestem z tobą szczery. No dobra, dość trwonienia czasu na te tanie komplementy. Wróćmy do żywopłotów.

I tak zrobił. A powinnam jeszcze wspomnieć, że to bardzo miło ze strony panny Marthy, że udzieliła mi zgody na pomaganie Johnny’emu przez pewien czas zamiast obowiązków w warzywniaku. A muszę też dodać, że wszystkie pozostałe pensjonarki natychmiast jęły nagabywać pannę Marthę o podobną zgodę, ale więcej przeniesień z ogródka warzywnego do kwietnego nie było. To rozbudziło pewną wrogość wobec mnie, słowo honoru, i to nawet ze strony mojej koleżanki z pokoju, która wcześniej chełpiła się, że nie pomoże kapralowi McBurneyowi w obowiązkach, nawet gdyby panna Martha oferowała jej za to zapłatę. Ale jak można się było spodziewać, okazała się pierwsza w nagabywaniu, żeby dołączyć do nas w ogrodzie kwiatowym, już rano nazajutrz po ogłoszeniu moich przenosin.

Mało tego. Kiedy panna Martha powiedziała jej, żeby wzięła motykę do ręki i wróciła na swoją grządkę, Marie – w przerażającym przypiływie złości – zamachnęła się narzędziem tak mocno, że za jednym razem wycięła dwie łodygi kukurydzy tuż przy korzeniu, a kiedy panna Harriet upomniała ją za to, po prostu odrzuciła motykę na bok i przemaszerowała w tę i z powrotem przez kilka grządek, kopiąc i uderzając rękami w kukurydżę, groszek i pnącza batatów. Aż w końcu Mattie złapała ją za ucho i zaprowadziła do domu, gdzie w ramach konsekwencji panna Martha kazała jej siedzieć w pokoju przez

resztę poranka, a także ukarała ją brakiem kolacji przez kolejne trzy dni, co w przypadku panienki Marie Deveraux oczywiście nie jest niczym nowym.

W każdym razie Marie nie była jedyną osobą, która zazdrościła mi nowych obowiązków, choć inne dziewczęta nie protestowały tak otwarcie i gwałtownie, a przynajmniej nie przy innych. Ale zarówno Alice, jak i Emily zaczęły mnie szczypać i targać za włosy za każdym razem, kiedy dopadły mnie w sieni lub na schodach, a Edwina z kolei powtarzała mi na osobności, że uważa mnie za pospolitą, przebrzydłą donosicielkę, która wyszła ze mnie teraz, już pierwszego poranka z kapralem McBurneyem w ogródku, bo jakoby wtedy nagadałam mu o niej mnóstwo kłamstw. Szczerze mówiąc, nic takiego nie robiłam, a nawet prawie w ogóle nie rozmawiałam z Johnnym o Edwinie, chyba że o nią pytał, ale nawet wtedy starałam się odpowiadać mu jak najbardziej zdawkowo.

Rzeczywiście pytał o nią, i to dosyć często, ponieważ Edwiną zainteresowany był od samego początku. Nawet kiedy nie wypytywał o nią, zazwyczaj jej się przyglądał, jak pracuje przy swojej grządce w warzywniaku. A ona zazwyczaj udawała, że tego nie widzi, ale tak naprawdę wcale tak nie było. Zawsze wiedziała, kiedy się w nią wpatruje, ponieważ zauważyłam, że od czasu do czasu zerka na niego kątem oka, chociaż nigdy nie uśmiechała się do niego ani mu nie pomachała, co akurat Alice Simms robiła w kółko. O dziwo, im bardziej nasilało się zainteresowanie Johnny'ego, tym otwarciej Edwina ignorowała go. W pierwszych dniach jego pobytu u nas kilka razy dziennie odwiedzała go w bawialni tak jak pozostałe, ale kiedy wyczuła, że go pociąga, zaczęła – przynajmniej przy innych – traktować go jak powietrze. Moim zdaniem to bardzo dziwaczna reakcja ludzi, dla której nie znajdziemy odpowiednika w królestwie zwierząt.

Oczywiście w ciągu dnia nikt nie miał wiele szans na przebywanie sam na sam z Johnnym. Zajęcia zaczynały się od razu po obowiązkach w ogródku, a kiedy mamy otwarte podręczniki, to nie ma już dosłownie żadnej wolnej chwili. A nawet gdy pojawiał się moment oddechu od nauki, trudno się od siebie uwolnić, a w tamtym czasie pierwszą myślą każdej z nas było zobaczyć, co słyhać u Johnny'ego McBurneya.

Sam Johnny, o ile wiem, odkąd już mógł kuśtykać, nie miał wyznaczonych ograniczeń. Najwyraźniej gdy panna Martha uznała na dobre, że jest godzien zaufania, pozwoliła mu szwendać się po budynku pensji, a przynajmniej po parterze.

Do tego czasu bitwa się już przeniosła w okolice Spotsylwanii i dalej i jeśli w naszych okolicach przebywały jakieś oddziały Unii, musiały unikać pobliskich szlaków. Nigdy więcej nie spotkałyśmy w pobliżu szkoły żadnego żołnierza z tej czy tamtej strony, a wedle Emily Stevenson, która analizowała sytuację, nie należało się temu dziwić, ponieważ – jak nam wyjaśniła – w naszej okolicy nie znajduje się nic, co miałoby znaczenie militarne.

Nie miałyśmy powodu do narzekania, że tak jest. Skoro wojna odsunęła się od nas i zapewne miała pozostać daleko, każdego dnia słabły podstawy, żeby łączyć z nią Johnny'ego McBurneya. Wszystkie z łatwością zapominałyśmy, że kiedykolwiek w ogóle był naszym wrogiem. A mówię teraz o tych, które mogły tak czuć z początku. Jak już wspomniałam, ja akurat od pierwszej chwili uważałam go za przyjaciela. Dlatego kiedy oznajmił, że jestem jego najlepszą przyjaciółką w szkole, w pełni mu wierzyłam, a przecież wiedziałam o jego zainteresowaniu Edwiną Morrow. Wierzyłam mu, bo rozumiałam, że to, co może czuć do niej, jest czymś zupełnie innym niż to, co odczuwa do mnie.

Wiedziałam, że kiedy chłopcy osiągają pewien wiek, pojawia się u nich biologiczne zainteresowanie kobietami, które przypomina zwierzęce instynkty. Jeśli Johnny McBurney żywił to biologiczne uczucie w stosunku do Edwiny Morrow, to nie mógł temu zaradzić. Z naukowego punktu widzenia to było dla niego zachowanie w pełni naturalne i nawet właściwe.

Nie miałam więc żadnego powodu, żeby stać się o to zazdrosna. Nie byłam wystarczająco duża ani wystarczająco ładna, żeby wyzwalać w nim ten rodzaj uczuć, cieszyłam się za to jego przyjaźnią i zaufaniem, a to znaczyło dla mnie o wiele więcej niż jakiś tam instynkt.

Oczywiście bardziej niż o jego biologiczne popędy martwiłam się nadejściem chwili, kiedy już noga się zagoi, a on będzie musiał odejść. I wydaje mi się, że Johnny też o tym myślał. Wciąż mieszkał w bawialni, choć jego noga miała się o wiele lepiej. Podejrzewam, że spokojnie znalazłoby się

dla niego miejsce na górze, ale on wiedział, że panna Martha woli, aby pozostał na parterze, więc nigdy nie zasugerował zmiany stanu rzeczy. Ponadto moim zdaniem czuł, że dopóki zajmuje swoją pierwotną kwaterę, wciąż może uchodzić za pacjenta. A kiedy przeprowadzi się na piętro lub gdzieś indziej, można go będzie uznać za wyleczonego i wypisanego, a wtedy nie miałby już powodu dalej u nas przebywać.

Jeszcze całkiem niedawno panna Martha przypomniała mi krótką rozmowę, którą przeprowadziła z Johnnym. Myślę, że musiała się ona odbyć mniej więcej w środku trzeciego tygodnia jego pobytu u nas. Któregoś wieczoru po ostatniej lekcji jakimś cudem udało mi się wygospodarować chwilę z nim sam na sam. Rozmawialiśmy o planach ogrodowych na następny dzień, chociaż szczerze mówiąc, nie zostało wiele do zrobienia. Ciężko harowaliśmy przy tym kilka ładnych poranków, a przecież kiedy ja zasiadałam do nauki, Johnny cały dzień pracował dalej.

Ale i tak zauważyłam, że zaczął bumelować, zwłaszcza po południu. Prawdopodobnie noga dawała znać o sobie, ale podejrzewałam, że nie tylko to, ponieważ ewidentnie przedłużał swoją pracę. Panna Martha, jak widać, też to dostrzegła, ponieważ tamtego popołudnia weszła do bawialni, podeszła do kanapy, na której siedzieliśmy, i zapytała go o to w swoim stylu, czyli prosto z mostu.

– Wie pan – zaczęła wcale nie jakimś nieuprzejmym tonem – widziałam dzisiaj po południu, jak pan siedzi na ławce pod pergolą i czyta książkę.

– Do Szekspira zajrzałem – usprawiedliwiał się Johnny – Czy to w porządku?

– Ależ naturalnie, bardzo dobrze – przyznała panna Martha. – Bardzo się cieszę, że ma pan dobry gust do książek. Może pan do woli szperać w bibliotece i czytać książki, jakie się panu spodobają. Trochę martwiłam się o pańskie zdrowie. Pomyślałam, że może dlatego odpoczywał pan dziś po południu na ławce, że noga doskwierała.

– Czasami pojawiają się ataki bólu – przyznał Johnny.

– Tego się zresztą spodziewałam. Jak pan zapewne pamięta, byłam przeciwna temu, żeby zaczął pan spacerować tak szybko. – Panna Martha

schyliła się i nie przestając mówić, ściągała bandaż z jego rannej nogi. – Natomiast potrafię docenić pańską chęć aktywności. Zapewne sama też bym się zbuntowała w pańskim wieku, gdyby czekała mnie długa perspektywa leżenia. W każdym razie z wyjątkiem brudnego bandaża chyba nie dzieje się tu nic niepokojącego. Z tego, co widzę, nie nabawił się pan żadnego nowego urazu. Szwy raczej trzymają z odpowiednią siłą, a rana ładnie się goi. Może za dzień czy dwa będziemy mogli już usunąć tę nić.

– Jak pani szanowna uważa, kiedy wrócę do pełni zdrowia? – zapytał ją Johnny.

– Myślę, że to zależy od podejścia. Co prawda zapewne wciąż jest pan dość osłabiony wskutek dużego ubytku krwi, ale niektórzy powiedzieliby, że już pan wyzdrowiał, skoro może pan chodzić i stać na tej nodze dłużej niż godzinę.

– Aha, ale oszczędzam ją – wyjaśnił Johnny. – Nie obciążam jej wcale. Nadal nie ma mowy o długim spacerze, a na pewno odpadają szybkie marsze. Może i bym zrobił powolutku ze sto jardów, ale teraz za nic nie przeszedłbym z taką nogą całej mili.

– A jednak jestem przekonana, że gdyby znalazł się pan pod opieką własnych chirurgów wojskowych, uznaliby, że jest pan już gotów na powrót do służby. Zapewne nie pozwoliliby panu w ogóle chodzić ze szwami w nodze, a to by się zmieniło dopiero, gdyby mógł pan stać na niej i przemieszczać się. Szczerze wątpię, czy tak długo by pana hospitalizowano.

– Chciałaby pani, żebym już odszedł... O to chodzi?

– Tego nie powiedziałam.

– Czyli jednak. Jeśli mam być szczery, jest pani zbyt uprzejmą damą, żeby mi to powiedzieć.

– Jestem na tyle szczerą, na ile potrzeba, panie McBurney, powinien pan już o tym wiedzieć. Skoro sam pan podniósł ten temat, pozwolę sobie powiedzieć, że moim zdaniem noga jest wystarczająco zaleczona, żeby opuścił nas pan do końca tygodnia. Niech to będzie do niedzieli.

– Cztery dni, licząc od dziś.

– Tak, zgadza się.

– No i dokąd miałbym pójść?

– Obawiam się, że to wyłącznie pańska sprawa, panie McBurney. Wydaje mi się, że może pan odnaleźć swoje oddziały gdzieś na Brock Road, która łączy się z głównym szlakiem do Richmond.

– Nie wiem, czy uda mi tyle przejść, aż do Brock Road.

– Mogę pana podwieźć dwukółką.

– To sporawy kłopot dla pani, panno Martho, a można go uniknąć, odczekując jeszcze może z tydzień. Na pewno chętnie pójde, jak tylko poczuję, że dam radę. No i zostało nam jeszcze trochę pracy w ogrodzie. Prace jeszcze nie są na ukończeniu.

– Zrobił pan wystarczająco dużo. Pozostałą część mogą dokończyć dziewczęta.

– Taki ogród to trzeba regularnie doglądać. No i potrzebny wam tu ogrodnik na stałe.

– Nawet jeśli takiego potrzebujemy, to myślę, że w obecnych czasach obejdziemy się bez niego.

– Panno Martho, ładnie proszę, czy mogę zostać jeszcze jeden tydzień? – zapytał nagle Johnny.

Wyglądał biednie i samotnie, usta mu drżały i myślałam, że się rozpłaczę, a muszę przyznać, że też byłam tego bliska.

– Bardzo mi przykro, ale naprawdę nie ma żadnego powodu, żeby tak się stało. Nie chcę być posądzona o nieżyczliwość, ale po prostu nie widzę, co jeszcze mogłybyśmy dla pana zrobić. – Panna Martha pokręciła głową.

– A może jednak coś by się znalazło – nalegał Johnny. – Ale to już nie podchodzi pod miłosierną pomoc ani troskliwą pielęgnację chorego. Tak, wiem, że wychodzę na straszego niewdzięcznika. Zamiast błagać o dalszy pobyt, powinienem podziękować pani pięknie za tak długą opiekę.

– Nie musi pan dziękować – powiedziała mu. – Otrzymał pan tyle, ile dostałby każdy bezbronny obcy w potrzebie.

– Tu jest pies pogrzebany, prawda? – odparł. – Jaka szkoda, że nie mogłem pozostać bezbronny.

Panna Martha przemilczała tę uwagę, wpatrywała się tylko w niego nieco dłużej niż zwykle, a potem zebrała się i wyszła. Pojawia się pytanie, co Johnny McBurney miał na myśli, mówiąc ostatnie słowa. Panna Martha pamięta całą rozmowę podobnie jak ja, ale interpretuje te słowa Johnny'ego na jej zakończenie inaczej – że naprawdę żałował, że wciąż nie jest bezbronny. Wydaje mi się jednocześnie, że znałam Johnny'ego McBurneya nie gorzej niż inni w szkole. Tamtego popołudnia siedziałam na kanapie tuż przy nim i zapamiętałam gorzki ton, którym to wypowiadał. Przypominał ten, którym czasem mówią nieszczęśliwi ludzie: „Chciałbym już nie żyć” albo „Obym się nigdy nie narodził”. Wcale nie mają na myśli takich rzeczy i nie sądzę, żeby Johnny też miał na myśli dosłownie to, co wtedy powiedział. Z całą pewnością wiem, że możliwość chodzenia, biegania i nieskrępowanego poruszania się była dla Johnny'ego bodaj najważniejszą sprawą w życiu.

Po wyjściu panny Marthy jakiś czas siedzieliśmy razem, a ja starałam się wymyślić coś, co by go podniosło na duchu. Ale ponieważ czułam się równie źle jak on z tym, że będzie musiał wyjechać, to podejrzewam, że nie sprawdziłam się jako skuteczna pocieszycielka.

– A nuż przed końcem tygodnia panna Martha zmieni zdanie – odezwałam się w końcu.

– Bardzo wątpię – odparł. – A jak już spojrzeć na to na chłodno, to ona pewno ma rację. Nie pasuję do tego miejsca. Nie należę do tej szkoły, a jak zostanę, narobimy sobie kłopotów.

– Jakich niby kłopotów?

– A jakich się można spodziewać, jak takiego faceta jak ja spuści się ze smyczy w gronie ślicznotek...

– Nie wszystkie jesteśmy ładne.

– Właśnie, że jesteście. – Nagle się roześmiał. – I to każda z was. A ty jesteś tu najładniejsza, moja droga Amelio.

Mocno przesadził, nawet jak na Johnny'ego McBurneya, ale było to bardzo miłe. Oczywiście wiedziałam, że on nie wierzy w to bardziej niż ja, ale wiedziałam też, że skoro nie ma niczego takiego, czego on by ode mnie oczekiwał – poza może moją przyjaźnią, a przecież dostał to ode mnie

w prezencie bez konieczności odpłacania – to był to najmiłszy i najbardziej wspaniałomyślny komentarz. A ja i tak z przekory wcale go wtedy nie doceniłam.

– Jeśli naprawdę uważa pan, że może narobić tu sobie kłopotów, to chyba jednak lepiej, by pan wyjechał za parę dni – stwierdziłam.

Wcale nie miałam takich intencji, ale i tak to powiedziałam.

– Jak coś mi w tym wszystkim przeszkadza – kontynuował, jakby mnie nie usłyszał – to że nakazano mi odejść. Kiedy skądś odchodzę, wolę to zrobić wtedy, gdy sam uznam to za stosowne, i na moich warunkach.

– To może powinien pan wyjechać, jeszcze zanim skończy się ten tydzień? – Znow nie miałam tego na myśli, ale z różnych powodów nie mogłam odmówić sobie złościwości.

A Johnny wziął to na poważnie, ponieważ odpowiedział:

– Myślę, że masz rację, Amelio. Może zwyczajnie trzeba pożegnać się z tym miejscem jutro czy pojutrze, przed upływem wyznaczonej przez starszą panią daty nakazu eksmisji. Wsunę czapkę na głowę, tak zrobię, i wyjdę przez drzwi, i zniknę w oddali. Nie chcę, żebyś myślała, że nie doceniam dobroci, którą mi wszystkie okazałyście, no ale uważam, że to najlepsze rozwiązanie.

Byłam bardzo zła na jego nagłą decyzję, nie przeczę, choć przecież zdawałam sobie sprawę, że decyzję tę na nim wymuszono. Wiem, że wcale nie kwapił się do opuszczania nas, ale też wyglądało na to, że ze stroskania całą sytuacją otrząsnął się wyjątkowo szybko. Tak czy siak nie miałam już tego popołudnia ponownej okazji do porozmawiania z nim na ten temat, ponieważ właśnie wtedy do bawialni weszła Edwina Morrow i – no tak – Johnny McBurney nie miał już głowy do dalszej rozmowy ze mną.

– Och, wybaczcie – powiedziała Edwina, moim zdaniem udając, że nie spodziewała się zastać kogokolwiek w pokoju. – Szukałam tomu dzieł Szekspira – dodała płochliwiej niż zazwyczaj. – Nie znalazłam na półce w bibliotece i pomyślałam, że może zostawiłam go tutaj.

– O tak, jest tutaj – przyznał Johnny z ogromną żarliwością.

– Skoro pan to czyta, to gdzieżbym nawet śmiała go odbierać. Mogę

poczekać, aż pan skończy.

– Ależ nie. Weź go koniecznie. Pewnie potrzebujesz do nauki.

– Dzień czy dwa dni nie zrobią różnicy – odparła.

– Wiesz co, Edwino, zachowujesz się niepoważnie – odezwałam się wściekła. – Przecież sama dobrze wiesz, że nie możesz czekać ani chwili dłużej. Może po prostu usiądźcie tu z Johnnym obok siebie na kanapie i razem poczytajcie tę głupią książkę!

A potem wyszłam z bawialni i wbiegłam po schodach na górę. Chyba nigdy w życiu nie byłam tak wściekła jak tamtego popołudnia, wściekła na Edwinę i Johnny'ego, i pewnie na cały świat, a jednocześnie zniesmaczona swoim wybuchem złości. Dopiero w drodze do pokoju zdałam sobie sprawę, że Johnny nawet nie spróbował mnie zatrzymać, przywołać z powrotem, a to oczywiście tym bardziej mnie wzburzyło.

Położyłam się na łóżku i popłakałam chwilę, moja koleżanka z pokoju zaś, odbywająca nie wiadomo już którą karę, usiadła, opierając się o łóżko, i w milczeniu przyglądała mi się, zjadając dzikie jabłko. Kiedy już je zjadła, wyrzuciła ogryzek przez okno, nie pierwszy raz zresztą, bo zazwyczaj w ten sposób pozbywała się dowodów.

– Niewiele rzeczy w życiu wartych jest szlochowi – odezwała się w końcu. – Chyba że służy to jakiemuś celowi. Właściwie nigdy nie płaczę, chyba że mogę coś na tym zyskać.

– Ja nie płaczę ze zgryzoty – wyjaśniłam jej po chwili. – A tylko raczej taki mam nastrój.

– Jeden i drugi powód to strata czasu – orzekła Marie, wybierając kolejne jabłuszek z kupki leżącej na łóżku. Tym razem przygotowała się na długie osadzenie.

Wtedy opowiedziałam jej o tym, że Johnny wkrótce będzie musiał odejść i chce się zgodzić na to bez szemrania, i o Edwinie, i o wszystkim innym, co mi leżało na sercu. Marie nie odezwała się, dopóki nie skończyłam opowiadać i dopóki nie zjadła drugiego jabłka.

– Możemy pomyśleć, w jaki sposób go zatrzymać, jeśli właśnie tego

chcesz – powiedziała w końcu. – Szczerze mówiąc, mnie to nie robi większej różnicy. Ostatnio tyle muszę siedzieć w tym zamknięciu, że i tak wcale nie widuję McBurneya. Możemy na przykład napisać jakieś podanie, które każda z nas podpisze, ale raczej wątpię, żeby to mogło wpłynąć na decyzję panny Marthy. Za to skoro to stan nogi zdecydował, że panna Martha uznała za wskazane, by wyjechał, to możemy przekonać go, żeby znowu sobie zrobił jakąś krzywdę.

– Johnny nie zgodzi się na nic takiego – oświadczyłam. – W ogóle nie jest oszukańcem.

– Oho, czyżby? Najwyraźniej nie znasz go tak dobrze, jak ci się wydaje – zauważyła Marie. – W każdym razie to musiałyby być prawdziwe uszkodzenie albo żadne, no bo panna Martha na pewno zajmie się bardzo dokładnymi oględzinami. Musiałby rozerwać sobie kilka szwów albo żeby wdało się zakażenie, albo coś takiego. Dla pewności można by nawet doprowadzić do posocznicy.

– Nigdy się na to nie zgodzę – ucięłam stanowczo. – Nie chcę, żeby Johnny znowu zrobił sobie coś złego z nogą.

Emily Stevenson, która właśnie wybierała się na kolację, przeszła korytarzem obok otwartych drzwi do naszego pokoju, ale oczywiście musiała wrócić i dopytać się, o czym rozmawiamy. Jako że sprawa ta dotyczyła jej w równym stopniu, jak mnie i Marie, wprowadziłyśmy ją w temat. Kiedy skończyłyśmy, dołączyła do nas Alice Simms i całą historię trzeba było powtarzać od początku.

– To nie jest przeszkoda nie do pokonania – stwierdziła Alice. – Widać wyraźnie, że trzeba tylko przekonać kaprala McBurneya, żeby nie odchodził.

– W tej kwestii ostatnie słowo będzie należało do panny Marthy – zauważyła Emily.

– A niech i je ma – odparła Alice. – Jak chce, to może mieć nawet wszystkie słowa. Jeżeli Johnny odmówi wyjazdu, ona niewiele będzie mogła zrobić, zwłaszcza jeśli wszystkie staniemy po stronie Johnny’ego. Nie zapominajmy, że to on jest mężczyzną. Zgadza się? A przynajmniej tak mi powiedziano.

– Nie wydaje mi się, żeby lekceważenie bezpośredniego rozkazu panny Marthy mogło przynieść jakąś korzyść kapralowi McBurneyowi – powiedziała Emily. – Takie zachowanie moim zdaniem nie będzie szczególnie honorowe.

– Czemu nie, na litość boską! – Alice nie mogła zrozumieć. – Ona chyba nie jest żadnym dowódcą, prawda? Może nie byłoby właściwe, żeby uczennice nie słuchały bezpośredniego rozkazu przełożonej, ale zupełnie nie rozumiem, czemu Johnny miałby się podporządkować osobie, która formalnie jest przecież jego wrogiem. Jeśli musisz w to wszystko w ogóle wtrącać kwestie honoru i gdyby Johnny był taką osobą, którą od działań odwiódą tak staromodne koncepty, a bardzo mocno w to wątpię, bo nie jest to żaden z tych galancików, tych plantatorów z twoich kręgów, zawsze można mu to przedstawić w takim świetle, że bardziej honorowo jest usłuchać woli damskiej większości, a nie tych, których jest mniej.

– Byłabym bardzo wdzięczna, gdybyś powstrzymała się od takich uwag o środowisku plantatorów, skoro ewidentnie nigdy nie spotkałaś nikogo takiego – oznajmiła Emily z wymówką w głosie. – A teraz powiedz mi, proszę, jak możemy zapobiec temu, że panna Martha podniesie krzyk i pośle po pomoc z zewnątrz, jeśli McBurney będzie starał się stawić opór?

– Najpierw musisz jednak wiedzieć, że ja i moja matka miałyśmy serdeczne relacje z najlepszymi plantatorami z każdego stanu całej tej Konfederacji! – wykrzyczała Alice. – A tylko wyjątkowy tępak może nie wpaść na to, że panna Martha nie ma skąd wezwać pomocy przeciw McBurneyowi. W okolicy nie ma już naszych żołnierzy, a jestem przekonana, że sama zastanowi się trzy razy, zanim wezwie unionistów do pomocy. Bo zamiast jednego jankeskiego gościa może zaraz pojawić się ze stu!

– Taka perspektywa pewnie widzi ci się jako bardzo przyjemna – odgryzła się Emily. – W każdym razie to wszystko wygląda mi na bunt i nie jestem przekonana, czy chcę mieć z tym cokolwiek wspólnego.

– Niekoniecznie musi dochodzić do otwartej wojny między McBurneyem a panną Martha – powiedziała Marie, która pałaszowała jabłka i przysłuchiwała się rozmowie trochę z rozbawieniem, a trochę z rozdrażnieniem. Marie nienawidzi zgadzać się z pomysłami, które nie

zrodziły się w jej głowie. Skoro w tym przypadku nie była w stanie wpaść na nic lepszego, musiała się zadowolić choć drobnym retuszem. – McBurney zamiast otwartej odmowy pannie Marcie może po prostu odwlec na pewien czas moment odejścia i powiedzieć, że wolałby wyjechać w następnym tygodniu albo w jeszcze następnym, a nie już teraz, i przytoczyć jakieś dobre wytłumaczenie. Na przykład dowiedział się, że jego pułk nie będzie tędy przejeżdżał mniej więcej przez kolejny miesiąc i to byłby dogodniejszy moment, żeby po tym czasie do nich dołączyć.

– Może też powiedzieć, że doszedł do wniosku, że akurat teraz to nie jest dobry czas na podróżowanie – zaproponowała Alice. – Bo miał niby jakiś ponury sen albo gdzieś zobaczył zły omen, choćby sowę czy ropuchę w lesie, no nie wiem.

– Sowy i ropuchy nie są złe – sprostowałam. – Tylko przesądni wierzą w takie bajdy.

– A kto może być bardziej przesądny od Irlandczyka? – zapytała Alice. – Moja matka, częściowo irlandzkiego pochodzenia, zawsze wyczytuje potworne rzeczy z herbacianych fusów.

– Nawet nie mamy herbaty – zauważyła Emily. – Ale przecież Mattie ma ogromną wiedzę na temat złych omenów. I na pewno mogłaby podsunąć McBurneyowi jakieś dobre pomysły, za jakimi omenami ten ma się rozglądać.

– Nadal jednak nie rozwiązałyśmy podstawowej kwestii – przypomniałam im. – Chyba zapominacie o tym, że Johnny już postanowił odejść.

– W takim razie – powiedziała Alice – będziemy musiały po prostu spowodować, żeby zmienił zdanie. Będziemy tu robić dla niego rzeczy tak przyjemne, że nawet nie pomyśli o opuszczeniu nas, oczywiście dopóki same nie postanowimy, że powinien już odjechać.

– Alice, czy masz jakieś konkretne propozycje w tym temacie? – zapytała Marie.

Alice wpatrywała się w nią chwilę, nim w końcu uznała, że Marie chyba się z niej nie nabija.

– Nie, nie mam w tej chwili takich propozycji. Będę musiała spokojnie się

nad tym zastanowić.

– Myślę, że jest taka rzecz, którą możemy zrobić już teraz – wtrąciła Emily. – Możemy zasugerować panie Marcie i panie Harriet, że byłoby miło, gdyby kapral McBurney usiadł razem z nami do kolacji. Wszystkie posiłki jada sam w bawialni, a wtedy musi czuć się strasznie samotny.

– Wspaniały pomysł! – zachwyciła się Alice, zapominając o kłótni z Emily. – To będzie najlepsze na początek.

Zgodziłam się z tą opinią i Marie też, chociaż dość powściągliwie, skoro to nie ona o tym pomyślała. I właśnie wtedy w drzwiach sypialni pojawiła się Edwina Morrow, i powiedziała, że panna Martha i panna Harriet oczekują nas w jadalni, a my zorientowałyśmy się – a przynajmniej ja – że snujemy plany dotyczące kaprala McBurneya, nie mając na względzie osoby, która moim zdaniem interesowała go najmocniej. Jeszcze chwilę wcześniej byłam na nią strasznie wściekła, ale mimo wszystko czułam, że to zdecydowanie także i jej sprawa, dlatego gdy Emily i Alice już zbiegały po schodach – poza Marie, która przecież znowu miała karę – zatrzymałam się w korytarzu, żeby opowiedzieć Edwinie, co postanowiłyśmy.

– Czy chcesz, żeby kapral McBurney został tu na stałe? – zapytała mnie.

– Tak, chciałabym. A ty nie?

Zamurowała mnie swoją odpowiedzią.

– Do pewnego stopnia chcę tego bardzo, bardziej, o wiele bardziej niż ty czy ktokolwiek inny w tym miejscu... A jednocześnie wolałabym, żeby nigdy się tu nie zjawił.

– Edwino, dlaczego?

– Bo się boję...

– Że coś mu się stanie?

– Niekoniecznie jemu. Może mnie... lub komukolwiek innemu. Czemu wy, kretyнки jedne, nie możecie trzymać się z dala od cudzych spraw!

Nie mam żadnych wątpliwości, że Edwina Morrow jest najdziwniejszą osobą, jaką kiedykolwiek poznałam. Spodziewałam się, że będzie bardzo zadowolona z naszych planów, a tymczasem była równie krytyczna i niemiła

jak zawsze. Nie miałam jednak ochoty się z nią kłócić. Stwierdziłam tylko, że wszystkie martwimy się o dobro kaprala McBurneya, bo miałam nadzieję, że wtedy się uspokoi.

– Jego dobro, tak. Ale czy na pewno dla ciebie to główny powód? A może chcesz, żeby tu został, bo to dla ciebie dobra rozrywka? W twoim akurat przypadku, żeby opowiadać mu codziennie rano w ogrodzie anegdotki przyrodnicze w przerwach między plotkowaniem o wszystkich mieszkańcach tego domu!

– To nieprawda, Edwino – sprzeciwiłam się z całą uprzejmością. Tym razem chciałam za wszelką cenę nie stracić nerwów. – Naprawdę nie plotkuję o nikim.

– Tak czy siak, jeśli zamierzalyscie poprosić pannę Marthę o zgodę, żeby Johnny usiadł z nami do stołu, to się spóźniłaś.

– Panna Martha chyba nie wyrzuca Johnny’ego już teraz?

– Ty głupia gąsko, ty króliku mały, głupi ty.

– Czyli wyrzuca?

– On już tam jest, siedzi w jadalni. Panna Martha najwyraźniej przestraszyła się, że wcześniej mogła urazić jego uczucia, dlatego sama poprosiła go, żeby zjadł z nami kolację. Powiedziawszy to, Edwina zostawiła mnie na korytarzu i poszła do swojego pokoju, żeby, jak się domyślam, nieco bardziej się wystroić na tę wyjątkową okazję. Chociaż aby oddać jej sprawiedliwość, muszę przyznać, że Edwina zawsze bardziej dba o swój wygląd niż pozostali domownicy. Emily dba o higienę osobistą, ale moim zdaniem to Edwina wygrywała, jeśli chodzi o dobór i szykowność stroju. W przeciwieństwie do niektórych naprawdę podziwiam schludność i czystość u innych, nawet jeśli czasem zdarza mi się zapomnieć o takich sprawach.

Wtedy jednak wcale o tym nie myślałam, a tylko o tym, że Johnny zje kolację razem z nami. Byłam już w połowie schodów, kiedy lecąc na łeb na szyję, dopadła mnie moja współlokatorka.

– Słyszałam, co powiedziała Edwina – szepnęła bez tchu. – Pomyślałam, że spróbuję zejść na dół razem z wami. Może w tych wyjątkowych

okolicznościach nikt mnie nie zauważy.

Nawet jeśli została zauważona, to nikt się nie sprzeciwił, że siedzi z nami. Tamtego wieczoru wszyscy spędziliśmy tak cudowny czas i byliśmy tak weseli, pogodni i beztroscy, że gdyby Marie nie zeszła sama z własnej inicjatywy i na własne ryzyko, to panna Martha niechybnie zawiesiłaby jej karę i tak czy owak zaprosiła do wspólnego stołu.

A to dlatego, że aż tak wesoły był ten uroczysty posiłek. Wszystkie uczennice i nauczycielki wyglądały na bardzo szczęśliwe w towarzystwie kaprała McBurneya. Właściwie od razu zrobiło się bardzo miło i nikt nie musiał udawać, że się lubimy. Wszyscy mieliśmy doskonały humor. Panna Martha nie musiała tym razem do niczego namawiać, a żadna z nas nie musiała starać się na siłę. Musi to brzmieć zaskakująco dla kogoś, kto trochę wie, jak zwykle wyglądają u nas takie kolacje.

Kochana Mattie z tej okazji z ochotą zadała sobie więcej trudu i przygotowała naprawdę wyborny posiłek, choć wszystko okazało się tak nagle. Na stole pojawiły się wszystkie potrawy, które według naszej wiedzy lubił Johnny. Pamiętam zwłaszcza placek ziemniaczany, nakrapianą fasolkę, sucharki oraz na cześć gościa „irlandzkie ziemniaki” – kartofle, których nie udało nam się wyhodować w ogródku, ale pannie Marcie najwidoczniej udało się zdobyć je w sklepie pana Pottera.

Johnny wyglądał na bardzo zadowolonego i nasz posiłek nazwał najlepszą kolacją, jaką jadł dotychczas w Ameryce.

– I co do jedzenia, i co do towarzystwa – uściślił, co pewnie wszystkim przypadło do gustu.

Chyba nigdy wcześniej ani nigdy później nie przygotowano mu u nas lepszego posiłku, a przynajmniej z niektórych względów ten był lepszy od innych, ale nie będę teraz zagłębiać się w ten temat.

W tej serdecznej atmosferze unoszącej się nad stołem owego wieczoru, kiedy kapral McBurney pierwszy raz jadł z nami kolację, nikt nawet nie dopuszczał do siebie myśli, że chciałby nas opuścić albo ktoś nakazałby mu wyjazd. Może właśnie dlatego przemknęło mi przez głowę, choć dopiero jakiś czas po tamtej kolacji, pewne pytanie. A gdyby tak ktoś wtedy po prostu wstał

i powiedział: „Panno Marto, chyba widać, jak wspaniale czujemy się dziś razem przy stole. Zjedliśmy doskonały posiłek, a kapral McBurney opowiedział nam wiele uroczych i dowcipnych anegdotek o swoich podróżach i przeżyciach. Nie doszło przy stole do żadnych kłótni czy sprzeczek. Nie musiała pani dziś ani razu udzielać reprimendy nawet panience Marie Deveraux, co jak chyba sama pani przyzna, jest naprawdę niezwykle. Ewidentnie to dzisiejsza obecność kaprała McBurneya doprowadziła do tego, że wieczór upłynął w tak przyjemnej atmosferze. Dlatego chciałabym zaproponować wzniesienie toastu za to, żebyśmy zapewniły sobie na naszej pensji o wiele więcej takich wieczorów jak ten, poprzez natychmiastowe postanowienie, że kapral McBurney nigdy nas nie opuści, a przynajmniej nie uczyni tego jeszcze długo. Chciałabym prosić, żeby te z nas, które popierają ten pomysł, powstały teraz wraz ze mną i w ten sposób zaznaczyły, że mają takie samo zdanie”.

Przemknęło mi przez myśl, że gdybym ja lub ktoś inny wypowiedział wtedy takie słowa, wszyscy przy stole natychmiast zerwaliby się z miejsc, w tym niemal na pewno panna Harriet, a może wręcz panna Martha. A nawet gdyby w pierwszej chwili nie dołączyła do reszty, to jestem przekonana, że scena, kiedy wszyscy pozostali stoją, wywarłaby na niej tak ogromne wrażenie, że potem długo nie byłaby skora wracać do tematu odejścia kaprała McBurneya.

Ponieważ uważam też, że gdyby kapral McBurney wiedział, że domownicy chcą jego obecności w szkole, wszystko by się potoczyło zupełnie innym torem. Gdyby uświadomił sobie, że właśnie otrzymał jednogłośnie zaproszenie do pozostania z nami na długo, moim zdaniem na pewno jego zachowanie przybrałoby inny obrót. Poza tym – co równie ważne – niewykluczone, że taki wyobrażony sobie przeze mnie jednomyślny sygnał przyjaźni niektórych by odwiódł od późniejszego postanowienia, że muszą okazać Johnny’emu McBurneyowi szczególną zyczliwość osobistą.

Rozważanie tego wszystkiego teraz nie ma większego sensu, to prawda. Nie zerwałam się z krzesła podczas tamtej kolacji i nie wstawiłam się za Johnnym. Tak naprawdę wtedy nawet mi to przez myśl nie przeszło i jestem przekonana, że innym też nie. Oczywiście teraz łatwo się zastanawiać, co dobrego wtedy

mogłyśmy potencjalnie uczynić, dzisiaj, gdy znane są opłakane konsekwencje. W każdym razie po kolacji wszyscy udaliśmy się do bawialni i zaśpiewaliśmy razem kilka piosenek, odmówiliśmy modlitwy, a wkrótce udaliśmy się na spoczynek. Tamtej nocy wydarzyły się jednak jeszcze inne rzeczy, ale nie brałam w nich udziału. To wtedy panienki Alice Simms i Edwina Morrow stały się pierwszoplanowymi postaciami w opowieści o kapralu Johnnym McBurneyu.

EDWINA MORROW

Czułam, że mu się podobałam. Jeżeli chcielibyście poznać szczegółową analizę tego uczucia, to nie potrafię jej przedstawić. Teraz nawet nie jestem pewna, czy mnie lubił, a w pewnym momencie byłam przekonana, że nie. Wszyscy wiemy, jak ludzi potrafi przyciągać coś, czego nie lubią, na przykład pająki na suficie lub pryszczki na policzku. W każdym razie moja wiedza o jego zainteresowaniu mną opierała się na zbiorze drobnych i być może dla niektórych nic nieznaczących obserwacji: tego, jak wpatrywał się we mnie w ogrodzie i gdzie indziej, jak starał się stać obok mnie przy każdej wieczornej modlitwie, jak – jestem tego pewna – starał się dowiedzieć o mnie jak najwięcej od kogokolwiek w szkole, kto tylko był gotów dostarczyć mu informacji, to zaś, gwarantuję, oznaczało wszystkich tu obecnych.

Nie zaprzeczę, że mi to schlebiało. Nie zaprzeczę, że mi się podobał. Przyznam też, że bardzo go polubiłam – z początku – i choćby dlatego usiłowałam trzymać się od niego z daleka. Oprócz bardzo nielicznych wyjątków nigdy zbyt długo nie pozostawałam w przyjaznych relacjach z osobami, które zdołałam dobrze poznać. Bardzo szybko doszukiwały się we mnie wad czy też ja dostrzegałam je w nich. Teraz zaś, jak sądzę, uprzedzam rozczarowanie innych, samej sobie nie robiąc złudzeń.

Mimo to byłam zadowolona z pierwszych odwiedzin u kaprala McBurneya, bardzo chciałam wywrzeć na nim dobre wrażenie i zaraz po naszej pierwszej dłuższej rozmowie uznałam, że mi się to udało. Lecz później zaczęły mnie nachodzić co do tego pewne wątpliwości. Powinam tu dodać, że tego rodzaju niepewność jest u mnie czymś bardzo częstym. Początkowo czułam, że jak nikt inny do tej pory w tym miejscu zrozumiał moją dość skomplikowaną, a może i kłopotliwą naturę. Bywam raczej niełatwa w kontaktach z innymi, tymczasem odnosiłam wrażenie, że kapral McBurney może okazać się kimś, kto – nawet nie znając wszystkich przyczyn mojego zgorzkniałego usposobienia – zaakceptuje mnie taką, jaka jestem, może z nadzieją, że pod wpływem jego

uczucia zmienię się na lepsze. Bo wiecie, tak się mogło stać. Tak się naprawdę mogło stać.

W każdym razie gdzieś po dwóch dniach jego pobytu zaczęłam się zastanawiać, czy określenia „rozumienie” on sam użyłby do opisanego swojego podejścia względem mnie. O wrażeniu, jakie na mnie zrobił, pod wpływem niemądrego impulsu wspomniałam pozostałym dziewczętom i odtąd żyłam w trwodze, że któraś z nich, zapewne Emily lub Alice, pójdzie do niego z przeinaczoną czy też, co również byłoby niedobre, prawdziwą wersją relacji ze zdarzenia, a wówczas McBurney i któraś z moich koleżanek mogłoby setnie się uśmieć z głupiutkiej, niezrozumianej Edwiny. Przyszło mi do głowy, że w żadnym razie nie nazwałby tego „rozumieniem”. Raczej „przejrzeniem mnie” – przejrzaniem płytkiej osoby o niskiej samoocenie, tak złaknionej przyjaźni, że gotowej poddać się nawet najbardziej osobistemu przesłuchaniu i przyjmować najbardziej swobodne i bezpośrednie komentarze pod swoim adresem, by następnie udawać, że wszystko to jej schlebiało.

Tak więc unikałam go. Nie podjęłam jeszcze decyzji, czy będę trzymała się z dala od niego na stałe, lecz na razie czułam, że nie mogę sobie pozwolić na zaangażowanie wobec kogoś, kto najwyraźniej potrzebował mojego towarzystwa o wiele mniej niż ja jego. Wszyscy w tym domu mu nadskakiwali, ja zaś zdecydowałam, że ani myślę stać w kolejce w nadziei na okruchy jego uwagi.

Co ciekawe, wyglądało na to, że ignorując go, pobudziłam w nim tylko zainteresowanie moją osobą. Choć przez pewien czas od pierwszego spotkania nie odbyłam z nim żadnej, nawet najkrótszej rozmowy, zauważyłam, że mnie obserwuje i przy każdej okazji szuka ze mną kontaktu. W takich sytuacjach nie odcinałam się ani też nie zachowywałam się wobec niego niegrzecznie, a przynajmniej nie miałam takich intencji, nie można też jednak powiedzieć, bym go zachęcała. Kiedy się do mnie zwracał, odpowiadałam mu zwięźle, choć uprzejmie, a kiedy wpatrywał się we mnie, odpowiadałam uśmiechem. Jako że w owym czasie bałam się mu zaufać, utrzymywałam między nami dystans.

Później, tego popołudnia, gdy po raz pierwszy zasiadł z nami do kolacji,

akurat odrabiałam lekcje w bibliotece, kiedy dostrzegłam, że tom zawierający dzieła zebrane Szekspira nie stoi na tej półce, co zwykle. W owym czasie nie omawialiśmy Szekspira na zajęciach, lecz osobiście bardzo lubię jego sztuki i w tych niewielu chwilach, gdy mogę pobyc sama, nierzadko je przeglądam.

Pamiętałam, że jakiś czas temu zostawiłam tę książkę w bawialni – było to zresztą tego samego dnia, kiedy trafił do nas kapral McBurney – tak więc założyłam, że ciągle tam będzie, skoro nikt inny nie podziela tu mojego zainteresowania twórczością barda, może z wyjątkiem panny Harriet. Przeszłam zatem holem do bawialni i już położyłam dłoń na kłamce, kiedy przypomniałam sobie, kto tam najprawdopodobniej będzie. Mimo wszystko weszłam i zastałam go na kanapie, głęboko zaabsorbowanego rozmową z naszą małą przyrodniczką, panną Amelią Dabney.

Powiedziałam mu, po co przyszłam, lecz Amelia natychmiast uznała, że książka to tylko pretekst, którego użyłam, by zobaczyć się z McBurneyem. Może po części miała rację. Myślałam o nim ciągle, na jawie i we śnie, i nie mogę zaprzeczyć, że jakaś część mnie – być może nawet bardzo duża – bardzo pragnęła znaleźć się obok niego.

I ta właśnie część otrzymała to, co chciała. Po tym jak Amelia wybiegła z pokoju, sapiąc i popłakując, na moment stanęłam bardzo blisko niego, podczas gdy on starał się wcisnąć mi książkę w dłoń. Przez dłuższą chwilę nikt z nas nic nie mówił i tylko wpatrywaliśmy się w siebie. Po pewnym czasie upuścił książkę i mnie pocałował. Bardzo delikatnie.

– Tęskniłem.

– Tak? – spytałam. – Ale naprawdę?

– Klnę się na honor. Na życie.

– Tęskniłam za tobą, Johnny – przyznałam. – Bardzo za tobą tęskniłam.

Następnie pocałował mnie jeszcze raz, nadal delikatnie, ale tym razem trwało to o wiele dłużej. Potem usiedliśmy na kanapie i znów przez chwilę milczeliśmy.

– Niedługo stąd zniknę – oznajmił, kiedy znowu się odezwał. – Podjąłem decyzję. Stara zasugerowała, że jestem już na siłach, aby podróżować, i na

pewno ma rację. Nie chcę od ciebie odchodzić i nie wydaje mi się, by miała mnie wyrzucić, gdybym zdecydowanie się postawił, ale mam w sobie zbyt wiele dumy, by pozostać gdzieś, gdzie nie jestem mile widziany.

– Nie chcę, Johnny, abyś odchodził, ale nie mogę cię za to winić – odparłam. – Pojadę z tobą.

– Dokąd? Nie możesz wrócić ze mną do pułku, choć gdybyś tak zrobiła, wzbudziłbym zazdrość w każdym żołnierzu Armii Potomaku. Ale nie chcę zrobić z ciebie markietanki, bo tak by cię przecież określili, a jednocześnie nie mógłbym temu zapobiec.

– Już nieraz przyczepiano mi niepochlebne etykiety – oznajmiłam. – Nie obchodziłoby mnie, jak mnie nazywają, o ile ty dobrze byś o mnie myślał.

– Ja zawsze będę o tobie dobrze myślał, Edwino Morrow. Pozostaniesz na szczycie moich myśli do końca moich dni. Ale i tak by mnie szlag trafił, gdyby inni wyrażali się o tobie niepochlebnie, a nie mogę w tej sprawie walczyć z całą armią generała Granta.

– No nie, nie możesz, aczkolwiek wcale bym tego po tobie nie oczekiwała – przyznałam, uśmiechając się. – Byłoby to jak nosić wodę w pękniętym dzbanie, o czym już kiedyś się przekonałam sama. Wszyscy w tym domu źle o mnie myślą i nigdy nie potrafiłam temu zaradzić siłą, choć nie przeczę, że pewnie istnieją skuteczniejsze metody. Ale dlaczego w ogóle musisz wracać do swojej armii? Nie moglibyśmy po prostu wyjechać gdzieś?

– Chciałabyś, by mnie uznali za dezertera?

– Może już cię uznali. Armie wymieniają się spisami jeńców, prawda? Czyli twoi pewnie już wiedzą, że ani nie zginąłeś, ani nie wzięto cię do niewoli.

– Na takie listy może być za wcześnie – odparł Johnny. – Jeszcze przez długi czas mogą mnie uznawać za zaginionego, tak jak szanownego Roberta Farnswortha, o którym, o ile mi wiadomo, wszelki słuch zaginął po pierwszej bitwie w tutejszych lasach. W każdym razie cała ta okolica została już tak przeorana, że po obu bitwach leżą tam pewnie tysiące nieszczęśników, których nikt nigdy nie rozpozna.

– Czyli mógłbyś zagać na zawsze. Mogliby cię nigdy nie odnaleźć. Mógłbyś wyjechać, dokądkolwiek byś zechciał. W ogóle nie musiałbyś już wracać do swoich oddziałów.

– Skoro chcesz tak to ująć, to chyba istotnie bym nie musiał.

– Nie mów mi, Johnny, że nie przeszło ci to przez myśl. To żadna hańba wziąć to pod rozwagę. Emily Stevenson mówiła wręcz, że wspominałaś o zmianie stron.

– Może i coś takiego stwierdziłem. Wiesz, staram się być ugodowy.

– Johnny, ze mną nigdy tak nie rób. Mnie zawsze musisz mówić dokładnie to, co myślisz o wszystkim... a w szczególności o mnie.

– Wiesz, co o tobie myślę.

– Powiedz.

– Kocham cię.

– Johnny, proszę cię... jeśli chcesz, możesz to cofnąć. Będę udawała, że tego nie słyszałam. Proszę, Johnny, nie mów mi tego, o ile naprawdę tak nie myślisz.

– Myślę tak, najdroższa. Przysięgam. Edwino, nigdy bym ci nie skłamał. Doskonale wiem, co czuję od pierwszego dnia, kiedy z tobą rozmawiałem, wtedy jednak bałem się cokolwiek powiedzieć w obawie, że oddalisz się i już nigdy mnie do siebie nie dopuścisz. Teraz mówię to tylko dlatego, że muszę stąd odejść i lepsza okazja może się nie nadarzyć. Jestem świadom, Edwino, że na ciebie nie zasługuję.

– To nieprawda. Nawet nie wiesz, jak bardzo jest to nieprawda.

– To nie skromność przeze mnie przemawia. Jasne, że czuję się tyle wart co każdy inny mężczyzna na świecie, ale jeśli ty jesteś z tych, co przejmują się koligacjami rodzinnymi i historią, to jakieś sto ostatnich lat mojego pochodzenia to niekoniecznie sama błękitna krew. Znalazłoby się tam pewnie paru rabusiów i złodziei, co kariery pokończyli na stryczku albo w rowie, ale jeśli cofniemy się o tysiąc lat, to pewnie doszukam się wśród przodków także paru królów. No bo jak wszyscy na świecie wiedzą, każdy Irlandczyk pochodzi od królów.

– Nie żartuj, Johnny. Naprawdę przeszłość cię nie obchodzi?

– Ani trochę, słodka Edwino. Będę z tobą szczery. Nie chcę od ciebie odchodzić, nie chcę też wracać do wojska Unii ani też jakiegokolwiek innego. Dosyć mam wojny. To nie jest moja sprawa. Czy może przez to tracę w twoich oczach?

– Jeszcze bardziej, o ile w ogóle to możliwe, zyskujesz – odparłam – a to dlatego, że jesteś szczery. Też nie chcę, żebyś wracał na wojnę. Całą tę sprawę uważam za szaleństwo i w tym momencie zbytnio mnie już nie obchodzi, która strona wygra. A gdyby jeszcze coś ci się stało, to sama bym tego nie przeżyła. Jeśli chcesz, Johnny, to możesz to powtórzyć.

– Kocham cię, Edwino.

– Kocham cię, Johnny. I nigdy cię nie okłamię. Pewnie jeszcze trochę potrwa, nim zbiorę się w sobie, by wszystko ci wyznać, ale odpowiem na każde pytanie. Ostatnio, kiedy do ciebie przyszedłam, nie chciałam rozmawiać o mojej przeszłości, ale teraz jestem na to gotowa, o ile tylko spytasz. Czy jest coś, Johnny, o co chciałbyś mnie spytać?

– Nie – odparł. – Już mówiłem, że przeszłość mnie nie interesuje. Obchodzi mnie wyłącznie przyszłość, nasza przyszłość.

– W porządku, Johnny – zgodziłam się z nim. – A zatem nie możesz wrócić do swojego pułku. Zabraniam ci tego. Już i tak nadto zrobiłeś dla cudzej sprawy. Teraz powinieneś udać się do Richmond. Dam ci list polecający do mojego ojca, a on pomoże ci wydostać się z kraju... do Anglii, do Irlandii czy dokądkolwiek zechcesz.

– A co z tobą?

– Pewnego dnia pojadę za tobą, jeżeli nadal tego będziesz chciał.

– Oczywiście, że bym chciał. Ale jak w ogóle miałbym dostać się do Richmond... sam i to w mundurze?

– Nie musisz iść w mundurze. Jestem pewna, że panna Martha pozwoli ci zatrzymać ubrania jej brata. – Kilka dni po przybyciu otrzymał od panny Marthy stary garnitur Roberta.

– A pieniądze na podróż do Richmond?

- O to też się postaram..
- Mówiłaś, że twój ojciec może mi załatwić przerzut z powrotem przez ocean. Jak miałyby to zrobić? Zajmuje się kontrabandą?
- Tak, przykro mi to mówić.
- Nie ma powodu. To zajęcie godne szacunku: zapewniać krajowi towary, których ten potrzebuje, a w inny sposób nie może pozyskać.
- I nieźle przy tym zarabiać, a zyski kryć za granicą?
- Niemniej jednak to uczciwa forma złodziejstwa i niech mu się wiedzie jak najlepiej. Ale dlaczego jesteś pewna, że zechciałby mi pomóc? Nawet mnie nie zna.
- Ale zna mnie. I sądzę, że mogłoby mu zależeć na tym, bym pewnego dnia popłynęła w ślad za tobą.
- Aż tak bardzo chce się ciebie pozbyć?
- Niewykluczone.
- No to, za przeproszeniem, ostatni z niego dureń.
- To nic. Widzisz, on mnie zna znacznie lepiej od ciebie.
- To niemożliwe, skoro nie ceni ciebie ponad wszystko na tym świecie.
- Dziękuję, Johnny. Nawet jeśli nie powiedziałbyś mi już nigdy nic miłego, to za to jedno będę ci nad wyraz wdzięczna.
- Do końca życia dniem i nocą będę ci mówił tyle miłych rzeczy, że oszalejesz od mojego głosu i będziesz mnie błagała, bym cię zbeształ czy zwymsłał, aby tylko przerwać monotonię.
- Johnny, czy ty zamierzasz... czy chcesz powiedzieć, że chciałbyś się ze mną ożenić?
- Jak najbardziej. Wychowano mnie na porządnego chrześcijanina. Myślisz, że proponowałbym ci wspólne życie w grzechu?
- Obejmij mnie, Johnny – poprosiłam bezwstydnie. – Obejmij mnie.
- Ale jest jeszcze coś – odezwał się po chwili. – Nie jestem do końca przekonany, czy chciałbym wracać do swojego kraju. Wolałbym chyba wyjechać w jakieś zupełnie nowe miejsce, gdzie człowiek miałby chociaż

minimalną szansę na stworzenie dla siebie przyzwoitego domu. Sądzę, że mógłbym spróbować swoich sił tu u was, na zachodzie. Chciałbym zobaczyć, co tam leży za tymi rzekami. Powiadają, że czeka tam mnóstwo wolnej ziemi do zagospodarowania. Chciałabyś, Edwino, przyjrzeć się im wraz ze mną?

– Pojadę wszędzie tam, gdzie ty, o ile tylko będziesz chciał – zapewniłam. – Jeżeli chcesz wyjechać na wolne tereny, mój ojciec również może to załatwić.

– Oczywiście przemyślę to bardzo rozważnie – oznajmił. – Nie będę podejmował pochopnych decyzji. Zastanowię się przez chwilę, co byłoby dla ciebie najlepsze. To najważniejsze.

– Co byłoby dla nas najlepsze – poprawiłam go.

– Niech i tak będzie, skoro chcesz.

Wydaje mi się, że na tym nasza rozmowa tamtego popołudnia niemal dobiegła końca. W każdym razie przez jakiś czas nie odzywaliśmy się, choć też od razu się nie rozstaliśmy. Nastąpiło to dopiero dziesięć czy piętnaście minut później, kiedy stara Mattie weszła, by obwieścić, że „kaprala McBurneya zaprasza się, by tego wieczoru spożył z panienkami kolację”. Domyśliłam się, że Mattie nie do końca zgadza się z decyzją podjętą przez panną Marthę.

Zresztą Mattie ani przez chwilę nie sprzyjała chyba jakimkolwiek zbędnym kontaktom między mieszkankami domostwa Farnsworthów a kapralem McBurneyem. Przypuszczam, że gdyby to ona zawiadywała szkołą, rekonwalescencja Johnny’ego trwałaby bardzo krótko, a przez ten czas drzwi do bawialni pozostawałyby stale zamknięte dla wszelkich nieproszonych gości.

Ma się rozumieć, że gdyby to od niej zależało, podobne obostrzenia wprowadzono by też zapewne względem mnie. Gdyby szkołą zarządzała stara Mattie, najpewniej otrzymywałabym posiłki i uczestniczyła w lekcjach we własnym pokoju, z dala od wszystkich innych. Wszyscy zdają sobie sprawę, że mnie Mattie też nie darzy aprobatą, ale to już całkiem inna historia. W każdym razie przekazała zaproszenie i natychmiast wyszła, lecz nawet to przelotne wtargnięcie wystarczyło, by wprawić mnie w podły nastrój – czy też mój zwykły nastrój, jakby to ujęli niektórzy. Tak czy siak, naszyły mnie tradycyjne

wątpliwości co do szans na to, że w przyszłości czeka mnie cokolwiek dobrego.

– Możesz cofnąć wszystko, co powiedziałaś – oznajmiłam Johnny’emu. – Daję ci jeszcze jedną szansę.

– Niczego nie myślę cofać, najdroższa – zapewnił. – Zaklinam się, że moje słowa płynęły z serca. Nie ufasz mi, Edwino?

– Ufam ci, ufam, a to oznacza, że zaliczam cię do bardzo wąskiego grona, Johnny, bo przez długi czas nie zaufałam nikomu.

– Jeśli mi ufasz, to skąd ten grymas? Po co brukać tak piękne rysy zaciśniętymi wargami, ciągniętą brwią i zmrużonymi oczyma, tak jakbyś usiłowała się wpatrzeć w każdy ciemny zakamarek mojego umysłu i sprawdzić, czy gdzieś tam nie skrywam choćby jednej, drobnej, złej myśli na twój temat?

– Wiem, Johnny, że niczego takiego nie znajdę. Nie chodzi o to, co teraz do mnie czujesz. Chodzi o to, co mógłbyś do mnie poczuć w przyszłości, kiedy lepiej mnie poznasz.

– Już teraz znam cię wystarczająco dobrze, a moje uczucia do ciebie nigdy się nie zmieniają.

– Nie wszystko o mnie wiesz...

– Na litość boską, co niby miałbym wiedzieć? Masz wybuchowe usposobienie, tak jak ja, i niewyparzony język, ja też. Bardzo możliwe że pozabijamy się nawzajem w pierwszym tygodniu spędzonym ze sobą. A teraz, na miłość boską, zapomnij o tym. Wiem o tobie wszystko, co trzeba, wszystko, co chcę wiedzieć.

– Skoro jesteś pewien, Johnny – wyszeptałam.

– Absolutnie pewien, moja droga Edwino.

I to, jak sądzę – o ile takie sytuacje można sprowadzić do pojedynczych chwil – był najszcześniejszy moment mojego życia. Nie trwał długo, ale należał do najmiłszych.

Zdaję sobie sprawę, rzecz jasna, że sama w znacznej mierze odpowiadam za swoją niedolę, bo zawsze wobec wszystkich w moim otoczeniu byłam

podejrzliwa i tak skora do obrazy, niekiedy ledwie czym sprowokowana. Kiedy jednak tamtego popołudnia wyszłam z bawialni, podjęłam decyzję o zmianie swojego postępowania. Mój los się odmienił, przed chwilą nic nie miałam, teraz zyskiwałam więcej, niż kiedykolwiek mogłam się spodziewać. Pomyślałam, że już nic nie może mnie skrzywdzić. W tamtej chwili towarzysząca mi od zawsze trwoga zniknęła i miałam nadzieję, że nigdy już nie wróci. Zamierzałam podjąć wielki wysiłek i być miła dla otoczenia.

Nawet gdybym została odrzucona, a w moim mniemaniu na to zasługiwałam, wcale bym się tym nie przejęła. Miałam Johnny'ego McBurneya i już zawsze będę szczęśliwa. Wyrwałam w moim postanowieniu aż do połowy wysokości schodów, natknęłam się bowiem na schodzące po nich Alice i Emily, które w paru słowach przywróciły mi typowe nastawienie.

– Mamy dobre wieści, Edwino! – zakrzyknęła Emily. – Uznałyśmy, że już czas, by kapral McBurney lepiej się z nami zapoznał.

– I byśmy my lepiej zapoznały się z nim! – wrzasnęła Alice, kiedy mnie mijaly.

– Co to ma znaczyć? – zawołałam za nimi. – Co chcecie zrobić?

Lecz one podążyły na dół do jadalni, nie udzielając mi odpowiedzi. Weszłam na górę, gdzie spotkałam Amelię. Zdążyła pozbierać się po ataku złości i rozpromieniona podzieliła się ze mną planem, jaki obmyślały, aby zatrzymać kaprala McBurneya wśród nas. Postanowiły, że będą wobec niego tak miłe i otoczą go taką atencją, że nigdy nie zgodzi się nas opuścić, bez względu na to, co na to powie panna Martha.

Wiedziałam, że to śmieszne, bo gdyby panna Martha naprawdę postanowiła pozbyć się Johnny'ego, to na pewno nie powstrzymałyby jej przed tymi knowaniami zgrai niemądrych podlotków. Jeśli tylko by tego chciała, mogłaby tak dalece uprzykrzyć życie jemu i pozostałym, że jeszcze przed zachodem słońca McBurney by się stąd wyniósł, ja zaś samolubnie muszę przyznać, że wolałabym już taki rozwój wypadków od ryzyka, że stracę jego względy na rzecz jakichś tutejszych konkurentek.

Oczywiście opisuję sytuację tak, jak wyglądała tamtego popołudnia. Po tym dniu uległa ona diametralnej zmianie i nadszedł czas, kiedy sam McBurney

oznajmił, że nic, co którakolwiek z nas powie lub zrobi, nie skłoni go do odejścia, nim sam nie będzie na to gotowy. Czy tak by w istocie się stało, to kwestia – podejrzewam – otwarta.

W każdym razie zasugerowałam Amelii, że może dla wszystkich będzie lepiej, jeśli niektóre tutejsze idiotki będą pilnować swojego nosa. Następnie poszłam do swojego pokoju, aby oporządzić się przed kolacją i w trakcie przygotowań zaczęłam myśleć o tym, co właśnie mi się przydarzyło w bawialni, o wszystkim, co Johnny mi wyznał, a niebawem moje obawy i podły nastrój ponownie uleciały. Kiedy wróciłam do bawialni, czułam się niemal radosna i nie minęło dziesięć minut u stołu, a stałam się tak wesoła i gadatliwa, że parę osób postanowiło to skomentować.

– Edwino, chyba nigdy nie widziałam cię tak ożywionej – zauważyła panna Martha.

– Ani ja – dodała panna Harriet. – Całkiem jej z tym dobrze, nie sądzi pan, kapralu McBurney?

– Święta racja – przyznał. – W tej sukni z czarnego aksamitu, z tak upiętymi włosami i z tym rumieńcem na policzkach w kolorze kości słoniowej wygląda jak wspinała dama na dworze hiszpańskiego króla.

– Tak, Edwina ma w sobie coś kastylijskiego, prawda? – zauważyła Emily.

Przyglądałam jej się i uznałam, że rzuciła to wyłącznie dla podtrzymania konwersacji.

Niemniej jednak Alice nie była zbyt zadowolona z takiego zwrotu w rozmowie, poczuła się więc w obowiązku stwierdzić, że z tego, co słyszała, zazwyczaj na dworach dawnych europejskich królów aż się roiło od dam o złej sławie. Oczywiście kiedy tylko wypowiedziała te słowa, zdała sobie sprawę, że jakakolwiek rozmowa o damach złej sławy raczej nie okaże się dla niej korzystna. Dlatego też zmieniła taktykę, napomykając coś na temat dziewcząt o ciemniejszej karnacji i tego, jak lepiej wyglądają w świetle łożowych świec, po czym oznajmiła, że są na świecie też inne osoby o atrakcyjnych ramionach i że jeśli suknie odsłaniające ramiona byłyby dopuszczalne na pensjach dla młodych panien, wówczas władze powinny przedsięwziąć kroki mające na celu zapewnienie takich sukni wszystkim

uczennicom, aby żadna nie cieszyła się nieuczciwą przewagą.

Ta smężna zagrywka, zamiast mnie rozgniewać, spowodowała, że zrobiło mi się jej żal. Wiedziałam, że stara się zwrócić na siebie uwagę McBurneya – nie wiedziałam tylko, jak bardzo – a że wówczas uważałam szanse jej powodzenia za mizerne, zwłaszcza że akurat w tym momencie spojrział na mnie przez stół i puścił oko, w przypływie wspaniałomyślności postanowiłam zadeklarować, że z chęcią podzielę się swoimi sukniami z Alice czy też z kimkolwiek, kto będzie ich potrzebować.

– Któregoś wieczoru może ja coś pożyczę – odezwała się Marie, wywołując przy stole ogólną wesołość, co jej samej się nie spodobało.

– Potrzebowałybyś szcudeł, by nie potykać się o spódnicę, a i dużych ilości kleju, by to wszystko utrzymało się na górze – skomentowała Emily.

– Nie zaprzeczę – odpowiedziała poirytowana Marie – że Edwina może i jest nieco wyższa ode mnie i bardziej rozwinięta, ale znalazłyby się tu osoby, które nie zmieściłyby się w suknie Edwiny z innych powodów. Myślę tu w szczególności o osobie, która, aby się wcisnąć w taką suknię, musiałaby się boleśnie ściągnąć gorsetem. Nie będę, rzecz jasna, wymieniała nazwisk, ale mogę wyznać, że chodzi o kogoś o inicjałach A.S.

– Dziewczęta, dziewczęta – wtrąciła się panna Martha, uderzając łyżką o szklanekę, nim Alice zdążyła coś odpowiedzieć. – To nie jest właściwa rozmowa dla młodych dam. A skoro już mowa o tym, co właściwe, to dodam, że moim zdaniem strój Edwiny nie do końca licuje z pensją dla panien. Zarazem jednak wiemy, że Edwina zdążyła przywyknąć do społeczności miejskiej, gdzie niekiedy panują odmienne obyczaje dotyczące garderoby. Wiemy również, że przywiozła ze sobą sporo takich sukni i miała je na sobie przy okazji wielu wieczorów, nie tylko dziś. Nic więcej tedy na ten temat nie powiem, proponuję jedynie Edwinie, by rozważyła okrycie ramion szalem, co pozwoli uniknąć jakichkolwiek dalszych spekulacji na ten temat.

Tak też uczyniłam, płonąć przy tym na twarzy, lecz panując nad sobą, powtarzałam bowiem sobie, że właśnie nagrodzono mnie komplementem. Poza tym Johnny znowu do mnie mrugnął i się uśmiechnął, co sprawiło, że pomyślałam, że zapewne niebawem nie będę już musiała się kłopotać

provincialnymi postawami w Farnsworth.

W Farnsworth ubieram się tak, jak nosiłam się w Richmond, gdzie przy naszym stole zasiadali najświetniejsi dżentelmeni z Wirginii. Zdaję sobie sprawę, że część mieszkańców Richmond uważała, że nie jest to najlepsze towarzystwo dla samotnej młodej damy, lecz mój ojciec twierdził co innego, tak więc od najmłodszych lat byłam zapraszana do stołu. Ci sami mieszkańcy Richmond uznawali, że ojciec nigdy nie pozwolił mi nacieszyć się dzieciństwem i nazbyt wcześnie zaczął traktować mnie jak dorosłą. Po tym jednak, jak w szkole pojawił się Johnny, zaczęłam zdawać sobie sprawę, że ojciec w rzeczywistości nigdy nie traktował mnie inaczej niż jak dziecko, bez względu na to, jak pozwalał mi się ubierać czy też z kim się widywać, i że dopiero wówczas, gdy zmiarkował, że nie da się mnie dłużej traktować jak małej, niesłyszącej i obojętnej zabawki, odesłał mnie tutaj.

Oczywiście nie była to wyłącznie jego wina. Przed przybyciem w to miejsce nigdy nie mieszkałam w jednym domu z innymi kobietami, nie licząc służby, tak więc ojciec uznał mnie za kobietę, jeżeli nie za osobę dorosłą, kiedy ocenił, że to już czas, a ocenić mógł tylko na jeden sposób – po moim wyglądzie. Pod tym względem wcześniej stałam się kobietą, lecz aż do pojawienia się Johnny’ego nie cieszyłam się zbytnio z tego powodu.

Tego wieczoru jednak o tym nie myślałam. Skupiałam się na tym, że muszę panować nad językiem, aby nie zrobić złego wrażenia na Johnnym. Pomyślałam, że muszę mu udowodnić, że potrafię przyjmować naukę od starszych od siebie i zasługuję na to, by traktować mnie jak damę. Poza tym, powiedziałam sobie, była to dość łagodna nagana, a panna Martha bez dwóch zdań ma prawo do własnej opinii na temat ubioru jej uczennic. Po chwili złapałam się na myśli, że na jej miejscu zapewne stwierdziłabym dokładnie to samo.

Panowaniem nad sobą zdumiałam pozostałe uczennice, które najwyraźniej spodziewały się, że urządzę scenę – co też w innych okolicznościach pewnie by nastąpiło – i przyglądały mi się ukradkiem. Ja jednak bez słowa skupiałam się na swoim talerzu i cierpliwość ta się w końcu opłacała, bo po chwili odezwała się mała Amelia Dabney.

– Uważam, że i tak nie ma się o co kłócić. Edwina Morrow to najpiękniejsza dziewczyna w szkole niezależnie od tego, co ma na sobie. Muszę to przyznać, Edwino, nawet jeśli czasami cię nie lubię – oznajmiła.

– Dziękuję – powiedziałam znowu zawstydzona, lecz tym razem także zadowolona.

– Nawet jeśli nie możemy się z tym zgodzić, możemy chyba przyznać, że sprawa rozstrzygnęłaby się o włos między panną Edwiną a jedną czy dwiema innymi spośród obecnych, aczkolwiek powabna sylwetka czy rysy niekoniecznie od razu oznaczają doskonałość umysłu albo duszy – skomentowała taktownie panna Martha. – Gotowa jednak jestem bez wahania zapewnić, że panna Edwina mogłaby stać się najlepszą tutaj uczennicą, o ile tylko wykazałaby się nieco większą pilnością.

– Dziękuję, panno Martho. Postaram się zastosować do pani rady. – Poczułam, jak twarz znowu rozpała mi rumieniec, ponieważ ostatni komplement znaczył dla mnie o wiele więcej niż którykolwiek z pozostałych.

– Dobry Boże – odezwała się Marie. – Czy to na pewno Edwina Morrow siedzi z nami przy stole, czy też może ktoś się pod nią podszył?

– Sądzę, że Edwina ukazuje nam tego wieczoru swoją prawdziwą naturę – podjęła panna Martha. – Szkoda, że w przeszłości trzymała ją w ukryciu, lecz być może teraz dane nam będzie częściej z nią obcować. Zarazem sądzą, że to pod pannę Marie Deveraux przy tym stole musiał się ktoś podszyć, bo z tego, co pamiętam, to prawdziwa Marie Deveraux otrzymała zakaz opuszczania pokoju.

Ta uwaga wzbudziła przy stole mnóstwo wesołości. Wszyscy, w tym Alice, która dała się udobruchać wzmiance panny Marthy o porównywalnej urodzie, wybuchli gromkim śmiechem, który ucichł dopiero, gdy panna Martha ponownie postukała o szklanekę.

– Gołym okiem widać, że ma pan na nas ożywczy wpływ, panie McBurney, nawet jeśli bezpośrednio nie angażuje się pan w rozmowę – orzekła. – Od dawna przy kolacji nie panowało tu takie rozbawienie. Teraz może na chwilę zdołamy wszyscy spoważnieć. Pan McBurney czytał dzisiaj dzieła Szekspira. Ciekawe, czy nam powie, czy spodobało mu się, co przeczytał?

– Tak, szanowna pani. Spodobało... i to bardzo – odparł Johnny. Widać wyraźnie, że nie czuł się w tym temacie komfortowo.

– Kapral McBurney jest ze sztukami Szekspira nader obeznany – wtrąciła panna Harriet. – W domu zwykł je czytać bez ustanku.

– To może w takim razie mógłby nam coś wyrecytować? – zaproponowała Emily. – Która scena jest pańską ulubioną, Johnny?

– Jest ich, oczywiście, wiele. Trudno wybrać jedną ulubioną. Na przykład przeglądałem dziś tę starą sztukę, tę o tym jegomościu, jak on się nazywał... chyba jakoś tak jak ja.

– Król Jan? – zapytała panna Harriet.

– Nie, chodzi o nazwisko. Mak coś tam.

– Makbet! – zawołałyśmy chóralnie.

– O tego mi chodzi. No więc wiecie, raz jeszcze to sobie przeglądałem. Ale pewien jestem, żeście to czytały setki razy.

– Ja ani razu – odezwała się Marie. – Jak dla mnie za dużo tam angielskiej poezji.

– A ja zaczęłam, ale nie skończyłam – oznajmiła Alice. – W tej starej książce druk jest za drobny.

– Ja też tego nie czytałam – przyznała Amelia. – Może byś nam tak opowiedział, Johnny?

– Istotnie – poparła panna Martha. – Nawet te z nas, które znają sztukę, z pewnością skorzystają na wysłuchaniu jej w pańskiej interpretacji, kapralu McBurney.

– Niewykluczone – zapowiedział Johnny.

Postaram się przytoczyć ją tak, jak on to zrobił.

– Pewnie jako mężczyzna widzę to nieco inaczej niż wy. No więc przede wszystkim jest taki młody jegomość, co nazywa się Makbet, dobrze zapowiadający się oficer w armii starego króla Szkocji. O ile pamiętam, nie piszą, jakiej rangi, ale mnie się zdaje, że na początku ma jakiś niewysoki stopień oficerski. Majora, powiedzmy, albo co najwyżej podpułkownika, i raczej nigdzie wyżej już by się nie wdrapał, gdyby nie przedziwny zbieg

okoliczności, jaki pewnego dnia przytrafił mu się na wrzosowisku. Bo widzicie, ta jego armia była zajęta jednocześnie odpieraniem inwazji i tłumieniem rebelii – panienki wybaczą określenie – no i król wysłał Makbeta razem z małą grupką harcowników, żeby pojмали kilku takich samowolnych panów. No więc Makbet i jego kompan Banko prowadzili zwiad na tym wrzosowisku, kiedy natrafili na naprawdę niecodzienną sytuację. Oto przed nimi stanęły trzy srogie, stare babiny, co mieszały jakiś cuchnący wywar w garze i podśpiewywały wysokim, skrzekliwym głosem, przez co Szkoci z miejsca się połapali, że te stare dziewczuszki to żadne tam zwykłe śmiertelniczki. „Witaj, Makbecie”, odzywa się jedna. „Czekałyśmy tu na ciebie”. „Po cóż?”, zapytał. „Nie znam was”. „Chciałyśmy tylko pozdrowić cię”, mówi inna. „Pewnie zechcesz wiedzieć, że już niedługo zostaniesz królem Szkocji”. „Oszalałyście”, on na to. „Czyżby?”, odpowiadają. „Oto dowód na to, że wiemy, co mówimy. W ciągu godziny znajdziesz się o krok bliżej tronu, a nim dzień się skończy, o kolejny krok, tak prędko stary król będzie cię obrzucał awansami za twą mężną postawę w boju”. „No, przyznam, że swoje zrobiłem”, odpowiada Makbet, bo nie był z niego jegomość nazbyt skromny. „Ale i tak bym powiedział, że stary król wciąż się nieźle trzyma”. „No to rzuć okiem do naszego gara, Makbecie”, zaproponowały. „A co tam zobaczysz, tego nie idzie przekreślić”. No więc spojrział do tego ich starego, brudnego kotła, ale nic tam nie zobaczył poza kotłowaniną gotowanych gacków, ropuch i innych takich frykasów, które lubią na kolację pałaszować więdźmy, bo tym właśnie były te trzy staruszki, na dowód czego zaskrzeczały okropnie i bez słowa odleciały na miotłach.

No to po chwili Makbet i ten jego kolega nie byli nawet pewni, czy w ogóle coś tam widzieli. Może to słońko za mocno przygrzało albo dzień wcześniej trochę za dużo wieczorem popili. Ale kiedy wrócili do głównego obozu, stary król przekazał Makbetowi, że za odwagę w bitwie robi z niego lorda, a niespełna godzinę później postanowił, że lord to wciąż za mało i awansował go na tana, co zdaje mi się, oznacza nawet więcej niż ksiączę. Tak więc Makbet wrócił do domu i bardzo niemądrze opowiedział o tym żonie. Ja tam myślę, że jemu by to wystarczyło i o więcej by już nie grał, tyle że jego żona nawet nie chciała o tym słyszeć. Najgorsza to była jędzka w całej Szkocji, co zamiast

serca miała bryłę lodu, a jęzor tak ostry, że przecięłaby nim dębową deskę. „Skoro tak daleko już doszedłeś, to dlaczego by nie zagrać o całą pulę? Stary król dziś u nas gości. Wystarczy ostry nóż i pewna ręka, a rano tron będzie twój”, podpowiedziała. „Boże, uchowaj, nigdy bym tego nie zrobił!”, wzbrania się Makbet. „A czemu nie?”, pyta na to paniusia. „Na pewno o tym pomyślałeś”.

Bo i rzeczywiście pomyślał, ale w końcu wszystkim nam zdarzają się czasami paskudne myśli, których byśmy w życiu w czyn nie wprowadzili, gdyby nie stał za nami ktoś taki jak Makbetowa. Tak więc za jej namową Makbet zamordował starego króla i zdobył tron dla siebie. Straszny to czyn i w końcu Makbet zań zapłacił. Za pierwszą zbrodnią poszły kolejne, jak to ponoć bardzo często się zdarza, kiedy chłopak zejdzie na złą drogę. Ledwie ostygł stary król, a Makbet z żonką złapali się na tym, że muszą wykończyć jeszcze ileś osób, w tym jego dawnego kumpla Banka, żeby zabezpieczyć sobie to, co już uzyskali.

Przez cały ten czas, rzecz jasna, Makbet latał na wrzosowisko, szukając otuchy u starowinek. Obiecały mu wszak główną krajową zdobycz, a teraz chciał usłyszeć, jak długo zdoła ją zachować. „Aż wszystkie drzewa z lasu podejną pod miasto”, odpowiedziała wiedźma. Makbet niezbyt sobie wyobrażał, jak niby do tego by doszło, ale i tak nie zdołał się do końca uspokoić, a sprawy nie ułatwiał fakt, że jego żona stwierdziła, że wciąż ma na rękach trochę krwi starego króla, której nie szło zmyć żadnym mydłem w Szkocji. Czy rzeczywiście miała jakieś plamy, czy też po prostu zaczynała już wariować, tego wam nie powiem. Ale jakkolwiek było, tylko dowodziło to prawdziwości słów mojej matki, że bez względu na to, jak szybko biegasz, nigdy nie uciekniesz od własnej przeszłości. „Jest jak cień”, mówiła. Niektórzy lubią myśleć, że ich cienie znikają po ciemku, ale matka zawsze powtarzała, że to właśnie wtedy diabeł rusza do działania, a twój cień cię dopada. „Jeśli byłeś dobry, Johnny, to nie masz się czego obawiać. Ale jeśli zły, to uważaj na siebie. Wszystkie twoje złe uczynki ciągną się za tobą, schowane w połach twojego cienia, a którejs nocy diabeł zakradnie ci się do łóżka i dzięki nim cię pochwyci”, przestrzegała mnie.

No i to właśnie się przytrafiło Makbetowi i jego żonie. Ich złe uczynki ich dopadły. Makbetowej wreszcie zupełnie odbiło i na koniec, jak kojarzę, zmarła po napadzie szału, a niedługo potem mąż poszedł w jej ślady. Las rzeczywiście podszedł pod zamek, a za każdym z drzew chował się żołnierz nieprzyjaciela, rzucili się na biednego Makbeta i odrąbali mu głowę. I na tym opowieść się kończy.

– Myśli pan, panie McBurney, że jest w niej jakiś morał? – zapytała panna Harriet.

– Oczywiście – odparł uśmiechnięty. – Morał jest taki, by strzec się kobiet, zwłaszcza gdy samemu jest się słabym, śmiertelnym mężczyzną. Tak jak już mówiłem, Makbet mógłby sobie żyć spokojnie, może bez większych zdobyczy ni fortuny, ale bardzo prawdopodobne, że i wolny od licha. Dożyłby siwizny z sumieniem wolnym od większych zmartwień jak przegapiona niedzielna msza raz czy dwa do roku, piwko albo dwa za dużo w sobotni wieczór, przez co od czasu do czasu strzeliłby żonkę w głowę, żeby się zamknęła. A Bóg mu świadkiem, że jej się to należało, bo zawsze trajkotała. Otóż to, panienki, raczycie wybaczyć, ale to właśnie kobiety załatwiły nieboraka Makbeta: jego własna żona, no i te trzy prukwy.

– Jeszcze ze strony żony Makbeta dostrzegam jakiś motyw, ale nie rozumiem, co na tym wszystkim mogły zyskać wiedźmy – zauważyła Marie. – Dlaczego w ogóle zwracały sobie nim głowę?

– Wiedźmy nie potrzebują powodów, żeby czynić zło – wyjaśnił Johnny. – Może zrobiły to ot tak, dla zabawy.

– Albo nie zdawały sobie sprawy, że wszystko aż tak źle się skończy – dodała Amelia. – Bo przecież może przewidziały, że Makbetowi jest pisane zostać królem, choć zarazem nie wiedziały, jak dokładnie ma do tego dojść.

– Lecz powiodły go na pokuszenie, a już to było bardzo niedobre – zauważyła panna Harriet.

– Ale skoro to, że Makbet ma zostać królem, już przesądzono, to wydaje mi się, że czy by o tym zawczasu wiedział, czy nie, było praktycznie bez znaczenia – zabrała głos Alice.

– To mogło mieć znaczenie przez to, jak się potem zachowywał –

utrzymywała Emily. – Może wystarczyłoby, by Makbet odczekał chwilkę, aż król Duncan umrze śmiercią naturalną, a wówczas ludzie obwołaliby go królem bez najmniejszego wysiłku z jego strony. W końcu zdaje się, że jako wódz cieszył się wielką popularnością.

– Jeszcze nic dobrego z tego nie wyszło, jak ktoś znał swoją przyszłość – zawyrokowała stara Mattie, gdy weszła z kolejnym dzbankiem żółdziowej kawy. – I dlatego dobry Bóg nas przed tym chroni. Gdybyśmy wiedzieli, co nas zaraz czeka choćby i co drugi dzień, myślę, że ze strachu nie wychodzilibyśmy z łóżka.

– Pełna zgoda – przytaknęłam. – W żadnym razie nie chciałabym znać przyszłości. To byłoby straszne znać wydarzenia kolejnego dnia, zawsze wiedzieć, że nie będzie lepszy, niż go sobie wyobrażasz.

– Jutro po jutrze i po jutrze jutro^[4] – odezwała się panna Harriet. – Pamięta pan ten fragment, panie McBurney? To życie tylko cieniem jest przelotnym, chwilowym wspomnieniem dni zmarnotrawionych.

– Czy mówisz to z własnego doświadczenia, siostró? – spytała panna Martha. – Żaden dzień nie jest zmarnowany, jeśli się z niego czegoś nauczymy. Jak kapral McBurney z pewnością dostrzegł w sztuce, większość strasznych rzeczy, które się nam zdarzają, to skutki naszych złych uczynków.

– Straszne zdarzenia mogą też wynikać z błędów, prawda, panno Martho? – spytała niewinnie Marie. – Czasami ludzi spotyka kara, choć nie chcieli nikogo skrzywdzić.

– Jestem pewna, że w przypadku takich osób mamy do czynienia z rachunkiem prawdopodobieństwa – odpowiedziała oschle panna Martha. – Ci, którzy uważają, że ukarano ich niesłusznie, powinni dla własnego pocieszenia odnieść karę do dawnych przewinień, których się dopuścili, a które nie wyszły na jaw.

– A może i do przyszłych, co? – zapytał wesoło Johnny. – Poza, ma się rozumieć, przypadkami kary śmierci.

I tym wesołym akcentem nasza konwersacja przy stole dobiegła tego wieczoru końca. Odmówiliśmy modlitwę dziękczynną i przeszliśmy do

bawialni śpiewać piosenki, co weszło nam już w zwyczaj, a także odmówić wieczorną modlitwę.

O ile mogę przywołać swoje ówczesne samopoczucie, to jestem pewna, że znów byłam szczęśliwa – może nawet tak bardzo, jak wcześniej. Gdy wychodziliśmy z jadalni, Johnny szedł obok mnie, wtedy też chwycił mnie za rękę i odciągnął od pozostałych. Nikt tego nie zauważył poza starą Mattie, która właśnie zaczęła sprzątać ze stołu i zmarszczyła brwi, lecz nic nie powiedziała. Czy wyrażała w ten sposób dezaprobatę wobec mnie, wobec Johnny'ego czy też wobec nas dwojga, tego wciąż nie jestem tak do końca pewna, aczkolwiek możliwe, że było to wszystkiego po trochu.

W każdym razie tego wieczoru absolutnie nie przejmowałam się zdaniem Mattie. Dopóki byłam pewna uczucia, którym darzył mnie Johnny, zdanie kogokolwiek z domowników na mój temat zupełnie mnie nie obchodziło. Bynajmniej nie zdenerwowałam się – ktoś mógł wręcz uznać, że staję się coraz bardziej tolerancyjna, gdyby zobaczył, jak się uśmiecham i podtrzymuję jałową pogawędkę z panną Harriet, choć zauważyłam, jak Johnny odsuwa się od nas, by na przeciwległym końcu bawialni porozmawiać na osobności z Alice. W tamtej chwili wydawałam się nie dostrzegać powodów, dla których Johnny nie miałby prawa rozmawiać prywatnie z kim chce. Skarciłam nawet siebie za to, że w ogóle przeszła mi przez myśl zazdrość. Mimo to odrobinę pewnie byłam i możliwe, że to okazywałam, bo kiedy zaczęło się śpiewanie, Johnny wrócił do mnie i uspokajającym gestem ścisnął mnie za ramię. Pamiętam, że gdy przechodził przez pokój, wciąż wspierał się na lasce, lecz utykał już nieco mniej niż zwykle. „Czyżby w ramach pokazu dla panny Marthy?”, zastanowiłam się rozdrażniona. Pomyślałam, że jego ówczesne popisy i działania podjęte chwilę później ze mną mogły mieć na celu wyłącznie zademonstrowanie pannie Marcie, że stał się już od niej niezależny. Kiedy jednak zatrzymał się obok mnie, choć nie spojrzałam na niego wprost, kątem oka zauważyłam, że wyglądał na bardzo zmęczonego. Na jego ustach perliły się krople potu wywołane zapewne bólem, jako że tego wieczoru w pokoju nie było nazbyt ciepło.

Odśpiewaliśmy parę starych pieśni – naszą *Bonnie Blue Flag* i tym

podobne – po czym Johnny zaśpiewał irlandzką piosenkę o biednym chłopcu na emigracji, który tęskni za domowym kominkiem i matką, następnie zaś, by wyrwać towarzystwo ze smutnego nastroju, panna Harriet zagrała na klawesynie skoczną polkę i niemal natychmiast Johnny chwycił mnie, i zaczął tańczyć ze mną po całym pokoju.

– Uważaj na nogę. Musisz być ostrożny.

– Nie przejmuj się, droga Edwino. – Zaśmiał się. – Na zeszywnienie nogi najlepiej jest potańczyć, a nie mógłbym sobie dobrać lepszej partnerki.

– Skąd to wiesz? – spytałam. – Z nikim innym tu nie tańczyłeś.

– Nie ma takiej potrzeby. To niemożliwe, by którakolwiek z nich poruszała się tak wdzięcznie i tak lekko jak ty.

Był to ze strony Johnny’ego kolejny miły komplement, aczkolwiek nie wypowiedział go na tyle głośno, by ktoś jeszcze mimo muzyki go usłyszał. Wszyscy na nas patrzyli, łącznie z panną Marthą, która nie wydawała się nadmiernie poirytowana, aczkolwiek o ile dobrze zrozumiałam, rzuciła Johnny’emu słowo ostrzeżenia. Wiedziałam, że powinnam natychmiast go powstrzymać, istniało bowiem ogromne ryzyko, że rana na nodze ponownie się otworzy, nic jednak nie zrobiłam. Za dobrze się bawiłam. Wiedziałam, że wszystkie dziewczęta są niesamowicie zazdrosne, ale tym również się nie przejmowałam.

– Wyznam ci sekret – powiedziałam Johnny’emu, nieco tracąc dech. – Nigdy dotąd nie tańczyłam z mężczyzną, chyba że z moim ojcem. W ogóle niewiele tańczyłam, tylko tutaj w ramach zajęć, a nasze lekcje tańca odwołano na czas twojej rekonwalescencji.

– Zatem powinnaś je jak najszybciej wznowić – odparł mój pewny siebie partner. – Nauczę was wszystkiego, co umiem. – Wciąż równo się uśmiechał, acz oddychał teraz o wiele ciężiej ode mnie. Bardzo też pobladł i wiedziałam, że noga musi go okropnie boleć.

– Jak to możliwe, byś nas czegokolwiek uczył? – spytałam, usiłując nieco go spowolnić. – Wydawało mi się, że planujesz rychły wyjazd.

– Ach, prawda, uciekło mi z głowy. W każdym razie jest jedna, bardzo

ważna lekcja, której nie mogę odpuścić. Muszę cię nauczyć, jak bardzo cię kocham, abyś nigdy nie potrafiła mnie zapomnieć.

To jego dokładne słowa i mam powód, by wyraźnie je pamiętać, bo była to niemal ostatnia z miłych rzeczy, jakie mi wyznał. W każdym razie w tym momencie panna Harriet dostrzegła jego zmęczenie i spowolniła muzykę do walca. Walca tańczył tak dobrze jak polkę, co też mu powiedziałam.

– A teraz to ja ci ujawnię sekret – oznajmił. – Jeszcze nigdy z nikim nie tańczyłem tak walca. Wiem o nim tyle, co parę razy podejrziałem przez okno pałaców w rodzinnych stronach. Ma się rozumieć, od początku wiedziałem, że radziłbym z nim sobie równie dobrze, jak którykolwiek z tych paniczyków w jedwabnych surdutach i czerwonych mundurkach. Owszem, tańczyłem takie rzeczy jak jig czy reel na jarmarkach i podobnych okazjach, ale to pierwszy raz, bym walcował na polerowanej podłodze z taką piękną, młodą damą jak ty w moich ramionach.

Odsunęliśmy się w drugi koniec bawialni, oddalając się nieco od grupki skupionej wokół instrumentu, teraz jednak do tańca ruszyły razem Alice i Emily, po czym niepewnie na parkiet wyszły Amelia i Marie. Wiedziałam, że niebawem któraś z nich, najprawdopodobniej Alice, postanowi wciąć się między nas, robiłam więc, co mogłam, by odciągnąć Johnny’ego od nich. Na tym etapie w pełni już dawał mi się prowadzić. Plecy kurtki miał mokre od potu, a mimo to wciąż uśmiechał się ponuro, podskakując raczej, niż sunąc na zdrowej nodze.

– Chyba już wystarczy – stwierdziłam.

– Jeszcze nie, jeszcze nie – nalegał.

– Wydaje mi się, że niektóre dziewczęta również chciałyby chwilę z tobą zatańczyć, chociażby Alice Simms.

– Zauważyłem. Uważasz, że powinienem w tej kwestii zachować się jak dżentelmen?

– Decyzja należy do ciebie. To nie moja sprawa.

– Ależ tak, najdroższa. Powziąłem wobec ciebie zobowiązania, prawda? Zawarliśmy porozumienie, czyż nie?

– Skoro tak mówisz, Johnny.

– Właśnie mówię. Ach, to jest życie. Wolałbym tańczyć, niż robić praktycznie cokolwiek innego, co mi teraz na myśl przychodzi, i wolałbym tańczyć z tobą niż z kimkolwiek innym pod tym dachem czy właściwie na całym świecie. Chcę spędzić z tobą całe moje życie, tańczyć i kochać się z tobą, Edwino. – Tak bardzo brakowało mu już tchu, że mówienie sprawiało mu wysiłek.

– Radziłabym liczyć się ze słowami, kapralu McBurney – odpowiedziałam. – Bo jeszcze sama cię z nich rozliczę.

Uśmiechnął się, mrugnął do mnie i ponownie ścisnął mnie za ramię, lecz nic więcej nie rzekł. Był tak wyczerpany, że nieomal się o mnie opierał. Tak jak się spodziewałam, Alice i Emily przesunęły się wówczas ku nam.

– Czy mogę pożyczyć partnera? – spytała mnie słodko Alicia.

– Ależ proszę, o ile tylko go utrzymasz.

Panna Martha dostrzegła jego stan i przerwała muzykę. Doprowadziłam go do krzesła, na które z wdzięcznością opadł, prostując ranną nogę. Na poły omdlewał z bólu, wciąż jednak się uśmiechał. Tak bardzo był dumny ze swojego osiągnięcia. Siedział jak mały chłopczyk, który pokonał wszystkich kolegów w wyścigu czy innej zabawie.

– Wiedziałem – oznajmił szczęśliwy. – Wiedziałem, że wrócę do formy.

Panna Martha podeszła, aby obejrzeć jego nogę, ale odprawił ją gestem ręki.

– Wszystko w porządku – oznajmił. – Wciąż działa jak trzeba, szanowna pani. Jest tylko trochę podrażniona i zeszywniała, ale rano to minie. I sądzę, że wtedy was opuszczę. Jeśli byłaby pani tak miła, to niech mi pani rano wyciągnie z nogi te nitki, a wtedy sobie pójdę.

– To znaczy, że zmienił pan zdanie? – dopytała panna Martha. – Zrozumiałam, że zamierzał pan odpoczywać tu nieco dłużej.

– Jeśli będę musiał odpocząć, to przykucnę przy drodze. Człowiek, który może tańczyć, równie dobrze może chodzić, prawda, szanowna pani?

– Zapewne, ale tańczył pan wszystkiego może z pięć minut i nie wydaje mi

się, by był pan w stanie chodzić wiele dłużej.

– Czyżby sugerowała pani, abym został? – zapytał.

– Sugeruję, by postąpił pan, jak sobie pan zażyczy – odparowała gniewnie panna Martha i przeszła na koniec pokoju, aby rozpocząć modlitwę.

Jak możecie się pewnie domyślić, naraz w pomieszczeniu zapanowało straszliwe przygnębienie. Panna Martha była zła, panna Harriet i dziewczęta wyglądały, jak gdyby właśnie pożegnały się z jedynym przyjacielem, a i Johnny od ogłoszenia decyzji nie wykazywał specjalnej radości. Wydaje mi się, że tylko mnie wieść o jego rychłym wyjeździe nie wyprowadziła zupełnie z równowagi. Ma się rozumieć, że pomijam tu Mattie. Sądzę, że Mattie nie była tą nowiną przybita.

Sama poczułam ulgę. Bez względu na to, jak wyglądało to później, w danym momencie właśnie tak się czułam. To prawda, że normalny człowiek nie chce się rozstawać z kimś, do kogo się przywiązał – a ja czułam się głęboko i silnie związana z Johnnym McBurneyem – lecz skoro wiedziałam, że wcześniej czy później i tak będzie musiał nas opuścić, byłam usatysfakcjonowana, że się wreszcie do tego zabrał. Wydawało się, że dla nas obojga lepiej będzie, jeżeli Johnny jak najprędzej wróci do swojego życia z dala od nas. Jeżeli naprawdę darzył mnie takim uczuciem, w jakie uwierzyłam, wówczas nie miało sensu, by dłużej marnował tutaj czas. Im prędzej by się stąd wydostał, tym prędzej mógłby po mnie posłać i tym prędzej moglibyśmy rozpocząć nasze wspólne życie.

Wieczorna modlitwa poszła szybciej niż zwykle, obyło się bez zwyczajowych prośb do Boga o interwencje w sprawach prywatnych, zgłaszanych przez niektóre nasze uczennice. Panna Martha zwięźle poprosiła Boga, aby chronił szkołę oraz mężnych ludzi w szeregach naszej armii, a następnie, po chwili namysłu, dodała, że dla uczennic i personelu pensji Farnsworth dobrze by było, aby Bóg miał oko na wszelkich przybyszów zarówno z Północy, jak i z Południa.

Zachęcona tym panna Harriet wielce miłosiernie poprosiła o niebiańskie błogosławieństwo dla kaprala McBurneya, którego – jak to ujęła – wszystkie zdążyliśmy poznać i zaskarbić sobie jako przyjaciela podczas tych kilku

krótkich tygodni, które spędził z nami. Poprosiła Boga, by dał kapralowi McBurneyowi długie i pożyteczne życie, by zsyłał mu powodzenie we wszelkich dobrych działaniach, jakich będzie się podejmował, a wreszcie by Bóg dopilnował, aby kapral McBurney nigdy o nas nie zapomniał, bo my z pewnością nigdy nie zapomnimy o nim.

Od słów tych, oczywiście, łzy stanęły w oczach wszystkich zgromadzonych – w tym panny Marthy i Johnny’ego, a także zapewne w moich. Panna Martha oznajmiła, że sama też życzy dobrze kapralowi McBurneyowi i nie chce, by się czuł jakkolwiek względem nas zobligowany, gdyż jego obecność w naszej szkole dla wszystkich nas miała ogromną wartość.

– Pobyt kaprała McBurneya z nami – oznajmiła panna Martha – dał nam bardzo istotną lekcję: że poszczególni ludzie po stronie nieprzyjaciela niekoniecznie są źli.

To również dokładnie zapamiętałam. Tak właśnie brzmiały słowa panny Marthy, po których tradycyjnie wezwała do skupienia w milczeniu, czym zawsze kończymy nasze wieczorne modlitwy. Chwilę później mogliśmy pójść.

Nie zwlekałam w towarzystwie Johnny’ego jak reszta dziewcząt, tylko odebrałam zapaloną świeczkę z rąk Mattie i udałam się prosto na piętro. Zamierzałam wstać bardzo wcześnie rano i zejść na dół, aby złożyć mu prywatną wizytę, nim nas opuści. Byłam przekonana, że żadna z pozostałych, może poza Amelią, nie byłaby w stanie podnieść się przed świtem dla jakiegokolwiek pożegnania, nawet gdyby chodziło o jej ukochanego.

I wystarczyło mi tej nocy, że Johnny posłał mi uśmiech i ponownie ścisnął za ramię, i wyszeptał do ucha coś słodkiego – „jedyne me kochanie” albo „jedyna moja droga” czy coś takiego. Odprowadził mnie do drzwi bawialni i prędko wymieniliśmy słowa i gesty, czego, jak sobie potem przypomniałam, nie powtórzył w przypadku pozostałych. W każdym razie powiedziałam mu, że zobaczymy się rano, on uśmiechnął się nader kochająco, wdzięcznie i skromnie, a ja weszłam na górę do swojego pokoju – sama też zakochana, wdzięczna i raz jeszcze, już ostatni, szczęśliwa.

Mój pokój znajduje się w głębi tego domu, w pobliżu schodów, które wiodą na strych. Wcześniej dzieliłam pokój z Emily Stevenson, lecz nie układało nam

się za dobrze, więc skoro wiedziałam, że Emily chce się mnie pozbyć, a w domu i tak pełno wolnych miejsc, poprosiłam pannę Marthę o przydzielenie mi własnego pokoju.

Rzecz jasna, tej nocy głowę przepełniały mi najserdeczniejsze uczucia względem Emily i wszystkich innych w domu. Przygotowałam się do snu tak jak co wieczór, przecierając się wszędzie zimną wodą, nie tylko twarz i dłonie, jak to robią w tym domu inne – te, które nie zaniedbują przynajmniej tak podstawowych elementów higieny. Zawsze do kwestii czystości osobistej pochodziłam z pewnym fanatyzmem. W domu w Richmond zwykłam myć się i szorować po kilka razy dziennie, co pewnego razu wywołało u ojca komentarz, że jeśli nie będę uważać, to niebawem zmyję sobie skórę.

Tak się nigdy nie stało, ale przynajmniej zawsze miałam pewność, że na zewnątrz jestem czysta. A skoro już jestem przy tym temacie, to nadmienię, że dbałość o siebie była jedną z cech, które najbardziej pociągały mnie u kaprala McBurneya. Do tej chwili, wyjąwszy dzień, kiedy Amelia przyprowadziła go z lasu całego w błocie, zawsze widziałam go umytego i uczesanego. Jeżeli zaś chodzi o odzież, panna Martha zapewniła mu zmianę bielizny z zapasów pozostałych w domu po jej bracie i ojcu, a Johnny starał się utrzymywać ją czystą. Kiedy tylko dostatecznie odzyskał siły, raz na dzień można go było zwykle spotkać w pralni, gdzie szorował swoje skarpety, koszule czy bieliznę. Z pewnością Mattie byłaby gotowa się tym zająć, tak jak to czyni dla pozostałych nas, zarazem jednak sama rzadko kiedy daje jej do prania moje rzeczy osobiste i widocznie Johnny podchodził do tego tak samo. Muszę, oczywiście, podkreślić, że kiedy wspominam o jego dbałości o prezencję, odnoszę się do jego wyglądu sprzed tej nocy.

Tak więc obmywszy się, wyszczotkowałam zęby i włosy i przebrałam się w koszulę nocną z paryskiej koronki, będącą kolejnym prezentem pożegnalnym od mojego ojca. Jeślibyście mnie spytali, skąd ją miał, nie potrafiłabym odpowiedzieć, aczkolwiek jestem pewna, że nie kupił jej z myślą o mnie. Mógł to być więc prezent dla kogoś, komu się nie spodobał, lub też może po prostu coś, co pewnego razu ktoś zostawił mu w pokoju. Sama jej nie chciałam i właściwie to nie wiem, dlaczego w ogóle wzięłam ją ze sobą do Farnsworth,

chyba że po to, by mieć czym jeszcze się udreć. W każdym razie nigdy przed tą nocą nie miałam jej na sobie i nie włożyłam jej już nigdy później.

Dlaczego wtedy ją włożyłam? I dlaczego wyszczotkowałam sobie włosy dwustoma pociągnięciami szczotki miast zwyczajowych pięćdziesięciu, dzięki czemu zyskały oszałamiający blask, aczkolwiek nie stały się ani trochę jaśniejsze? Dlaczego natarłam się w paru miejscach moimi francuskimi perfumami – kolejną pozostałością po ojcu – i dlaczego zostawiłam lekko niedomknięte drzwi?

Bo myślałam, że może do mnie przyjdzie. Wiedziałam, że absolutnie nie powinnam myśleć o takich sprawach, a tym bardziej ich pragnąć, ale tak się właśnie czułam i nie zamierzam za to przepraszać. Nie wydaje mi się, bym była zdolna poprosić go, aby przyszedł, niemniej z całego serca tego pragnęłam.

Tak więc nie spałam. Siedziałam podparta na łóżku ze świeczką na szafce nieopodal i tomikiem wierszy Williama Blake’a na kolanach i nasłuchiwałam. Słuchałam odgłosów, z którymi reszta domu udawała się na spoczynek – Emily wykonującą przy oknie ćwiczenia oddechowe, zbawienne ponoć dla cery, rozmawiające i chichoczące Amelię i Marie, narzekającą pannę Harriet, ganiącą ją za to pannę Marthę – jak również dobiegających z zewnątrz odgłosy nocy – sów w starej suszarni tytoniu, słowików pośród wawrzynów za domem, szarańczy w żywopłotach i żab pod lasem, wiatru delikatnie szumiącego pod okapem i gałęzi dębu szorujących po brzegu dachu nade mną – a wnet i kolejnych odgłosów wewnątrz – tykania zegara w bawialni, łkającej panny Harriet, skrzypienia kilku łóżek, dygoczącego okna, a wreszcie wchodzącego na górę Johnny’ego.

Szedł bez butów, lecz mimo to słyszałam go już z dołu schodów. Jest tam obłuzowany stopień i on właśnie nań nadepnął, tym samym dowodząc swojej obecności, po czym na chwilę przystanął ewidentnie wystraszony. Ja zaś czekałam w rozedrganiu, bojąc się, że ktoś dosłyszy łomotanie mojego serca. Gdy już policzyłam do stu, ruszył, tym razem wolniej, lecz wciąż równym krokiem, w górę schodów i korytarzem ku mojemu pokojowi.

Opadłam na łóżko, zamknęłam oczy, wstrzymałam oddech i przygryzłam

wargę, aby przestała mi dygotać, i już go nie słyszałam, bo też nie musiałam słyszeć, jako że wiedziałam, że tam jest i za chwilę odsłoni mnie z pościeli, nachyli się i mnie pocałuje, i powie mi, jak już mówił: „moja droga Edwino...”.

Ale tak się nie stało. Mogłabym przysiąc, że słyszałam jego oddech, lecz najwyraźniej to szumiała mi krew w głowie, bo kiedy otworzyłam oczy, wcale go nie było. Czyżby wszedł, wystraszył się i wyszedł? Czy tylko zajrzał przez drzwi, uznał, że już śpię, i wrócił na dół? Czy też wciąż czekał w mroku korytarza – czekał może, aż to ja go przywołam?

– Johnny... – szepnęłam i zamilkłam. Nie było odpowiedzi. Ponownie wstrzymałam oddech i wytężyłam słuch. Z korytarza nie dobiegał nawet odgłos oddechu. Byłam niemal pewna, że już go tam nie ma, a przynajmniej nie w pobliżu moich drzwi. Jednakże po chwili rozległ się inny odgłos – trzeszczenie stopnia na schodkach prowadzących na strych. Czyli nie schodził, a szedł jeszcze wyżej. Na górze są tylko stare meble, nasze kufry i inne przechowywane tam przedmioty, a także sypialnia Alice Simms.

Zdmuchnęłam świeczkę, naciągnęłam kołdrę na głowę, osłaniając uszy przed jakimikolwiek dalszymi odgłosami, z całych sił starałam się nie myśleć o niczym i zasnąć, ale nie mogłam. Nie wiem, ile to trwało, ale po prostu nie mogłam. Wtem zaczęłam wmawiać sobie, że zaprosiła go na górę pod tym lub innym pretekstem – może po to, by mu coś pokazać, może zaś tylko po to, by się pożegnać – a kiedy on zda sobie sprawę, że nic istotnego od niej nie usłyszy, wróci prosto do mnie. Może nawet zauważyła Johnny’ego w korytarzu. Może sama właśnie schodziła ze strychu i dostrzegła go pod moimi drzwiami, po czym groźbą skłoniła go do wejścia wraz z nią na górę – najprawdopodobniej przywołując go bezgłośnie ruchem palca i dając do zrozumienia, że jeżeli jej nie posłucha, ona krzykiem obudzi pannę Marthę.

Ale może to wcale nie Johnny wchodził na górę po schodach. Równie dobrze mógł to być ktokolwiek inny, a nawet sama Alice, która stąpając bardzo ostrożnie, aby nas nie pobudzić, mijała drzwi do mojego pokoju po drodze do własnej sypialni. Ale co też Alice miałaby robić na parterze po tym, jak wszyscy udali się już na spoczynek? Na to pytanie odpowiedź nie

nastęcała większych problemów – bez cienia wątpliwości naprzykrzała się Johnny’emu. Ale czy panna Martha by na to pozwoliła? Z całą pewnością nie udzieliłaby podobnej zgody, ale też jednak wcale nie musiała nic o tym wiedzieć. Alice, uznałam, najprawdopodobniej schowała się w jadalni albo w bibliotece do czasu, aż wszystkie zniknęłyśmy na piętrze, po czym wślizgnęła się z powrotem do bawialni, aby porozmawiać z Johnnym w cztery oczy. Cóż, jeśli tak było – a teraz wydawało się, że musiało – to widocznie nie zdołała długo tam zabawić.

Ale czy dopiero co nie słyszałam, jak Alice wchodziła na górę? Czy nie zegnała się w korytarzu z Emily albo z Amelią? Przeczesałam pamięć, teraz jednak nie byłam w stanie sobie przypomnieć. A zresztą bez względu na to, czy Alice pozostała na dole, gdy wszyscy udali się już na spoczynek, czy też dopiero później zeszła na dół, teraz na pewno była już na górze – i niemal na pewno była sama – ja zaś zdecydowanie nie zamierzałam dopuszczać w myślach innej ewentualności.

Ponownie usiadłam w łóżku, próbując czytać poezję Blake’a przy świetle księżycy, lecz na próżno. Księżyc zaraz zniknął za chmurami, a ja i tak nie potrafiłam skupić się na wierszach. Spróbowałam z kolei pomyśleć, jak już niedługo będzie wspaniale, kiedy Johnny i ja znów się spotkamy gdzieś daleko stąd – daleko od wszystkich miejsc, w których byłam nieszczęśliwa. Usiłowałam wyobrazić sobie Johnny’ego i mnie jako męża i żonę, mieszkających gdzieś w ładnym domu – może w Nowym Jorku albo w Filadelfii czy też w innym mieście na Północy, gdzie pewnie ludzi niekiedy ocenia się bardziej za to, kim są i co umieją zrobić, niż za to, czym są i skąd pochodzą – bo w pewnym sensie z każdym dniem coraz bardziej nienawidziałam Południa. Czasami mam nadzieję, że przegramy tę wojnę i zostaniemy przez Jankesów doszczętnie zniszczeni – dosłownie zmiażdżeni pod ich obcasami, że nie pozostanie ślad po nas, naszych matkach czy naszych dzieciach. Nienawidzę Richmond, nienawidzę Savannah, nienawidzę tej pensji i tego wszystkiego. Nienawidzę tego teraz, lecz jeszcze bardziej nienawidziałam tamtej nocy, bowiem wobec świadomości, że czeka mnie coś lepszego, nie miałam już po co tej nienawiści powściągać. Tamtej nocy po

prostu nienawidziłam całego świata, poza Johnnym. A jego kochałam, tak czułam w tamtej chwili. Powiedziałam mu to po południu, i to z przekonaniem, ale to w tym momencie nabrałam pewności, że kocham tylko jego.

A skoro go kocham, to muszę mu ufać. Uznałam, że pozostawanie dłużej tutaj nie ma sensu. Równie dobrze mogłam rano odejść z Johnnym, a nie zostawać tu i żałować decyzji, gdy tylko zniknie mi z oczu. Na parterze doszłam do wniosku, że dla niego najlepiej będzie, jeżeli odejdzie z Farnsworth, teraz zaś wydawało się, że bez cienia wątpliwości wyjazd byłby najlepszym rozwiązaniem dla nas obojga. Musieliśmy tylko udać się razem do Richmond, odwiedzić mojego ojca i opowiedzieć mu, że planujemy ślub, a wiadomość ta tak bardzo by go uradowała, że zadbałby o nasz transport do Anglii, do Kalifornii czy dokądkolwiek byśmy chcieli. Wszystko stawało się tak oczywiste wraz z uzupełnieniem brakującego elementu układanki – odkąd postanowiłam w pełni zdać się na McBurneya.

Stwierdziłam, że wcale nie będzie to takie trudne przedsięwzięcie. Musiałam tylko spakować do torby podręcznej niezbędne drobiazgi, a resztę zostawiłabym z poleceniem, by rozdano ją dziewczętom. Pomyślałam, że część odzieży mogłaby nawet otrzymać Alice. Zdecydowałam wręcz, że przekażę jej moją suknię z czarnego aksamitu, właśnie tę, która skupiła uwagę przy kolacji. Jeśli Alice by chciała, mogłaby też dostać tę czerwoną z jedwabnego brokatu. Z kolei wszystkie suknie popołudniowe zostawiłabym Emily, bo te by jej bardziej pasowały. Wszystkie perfumy, mydła i jedwabne chusteczki rozdzieliłyby między siebie Marie i Amelia, pannie Marcie i pannie Harriet zaś może zdałoby się na coś parę zostawionych przeze mnie chust i szali. Oczywiście panna Martha i panna Harriet mogłyby sobie zatrzymać, co tylko by chciały, aczkolwiek w chwili składania im tej propozycji zamierzałam być bardzo grzeczna i ostrożna, aby ich nie urazić.

Jeżeli chodzi o pieniądze, to ze złotych monet nic mi już nie zostało, nadal jednak miałam jankeskie dolary w srebrze i jeszcze dziesięć papierowych, co aż nadto powinno wystarczyć na przejazd koleją Richmond, Fredericksburg & Potomac. Problem stanowiła znajdująca się między nami a Fredericksburgiem jankeska armia, z tego, co ostatnio słyszałyśmy, nacierająca na południowy

wschód z okolic Spotsylvanii i obozująca teraz ponoć w rejonie rzeki North Anna. Niewątpliwie Jankesi opanowali szlak wiodący z Fredericksburga do Richmond, a może i nawet pozrywali na nim tory. Była też linia Virginia Central, która kończyła się w Gordonsville, około dwudziestu mil na południowy zachód od nas. Pamiętałam, że Virginia Central biegnie najpierw na wschód do Hanover Junction, by następnie skręcić na południe w stronę Richmond, lecz najprawdopodobniej Jankesi nie dotarli jeszcze do Hanover Junction, tak więc linia powinna jeszcze działać.

Plan był zatem prosty. Johnny, przebrany w stary garnitur Roberta Farnswortha, i ja, w mojej sukience podróżnej z brązowej satyny i niebieskim czepku, poszlibyśmy rano do Gordonsville i tam złapali pociąg linii Virginia Central. Pociąg do Richmond. Panna Martha musiała wiedzieć, czy piętnaście jankeskich dolarów wystarczy, by zapłacić za przejazd dla nas dwojga, a jeżeli nie, to z pewnością pożyczylaby mi brakującą kwotę. A zresztą, jeśli rozdałabym wszystkie niepotrzebne mi już rzeczy Amelii, Emily i Marie, któraś z nich bez wątpienia dałaby mi nieco pieniędzy. Pomyślałam sobie, że wszystkie pochodziły z bogatych rodzin i mimo pewnych wad były szczodre.

Pozostawało więc już tylko powiedzieć o planie Johnny'emu. Nie przewidywałam, by uzyskanie jego zgody wiązało się z trudnościami, wszak przekonał mnie o szczerości swojego uczucia, a poza tym wszystko świetnie poparłabym odpowiednimi argumentami. Na pewno od razu dostrzegłby, że wspólny wyjazd jest korzystny dla nas obojga. Nawet pomijając nasze wzajemne uczucia, i tak przecież pragnęłam opuścić szkołę, on zaś łatwiej uniknąłby w podróży zaczepek, jeśli towarzyszyłaby mu osoba płci przeciwnej.

Przepełniona zatem takimi myślami wstałam z łóżka, na koronkową koszulę nocną narzuciłam niebieski, jedwabny szlafrok i ruszyłam się do drzwi. W tym momencie zdałam sobie sprawę z hałasu dochodzącego z pokoju nade mną – pokoju Alice. Teraz sobie myślę, że musiał on się rozlegać już od jakiegoś czasu, lecz najwyraźniej nie dopuszczałam go do świadomości. Były to odgłosy ruchów i uderzających o coś mebli, a kiedy wyszłam na korytarz, usłyszałam głos – chichot Alice – ale tylko jeden. Zaczekałam, nasłuchując

pod moimi drzwiami, lecz do odgłosów jej uradowania nie dołączał nikt inny.

Czyżby śmiała się sama do siebie, na przykład czytając książkę? Mało prawdopodobne, zważywszy na niechęć Alice do słowa drukowanego. Czy mogła sama śmiać się ze swoich żartów? Czy też – z oporem rozważyłam taką ewentualność – ktoś był tam z nią na górze, może Amelia czy też raczej Marie. Istotnie Alice i Marie nie żyły w najlepszej przyjaźni, lecz to Marie często snuła się nocą po domu, szczególnie wtedy, gdy nakazano jej zostać w pokoju. Przypomniałam sobie, że właśnie tego dnia wymierzono jej taką karę, i choć najwyraźniej doczekała się ułaskawienia z okazji kolacji z Johnnym, możliwe, że w związku z zasądzoną sankcją dawała upust swojemu brakowi szacunku dla władzy, myszkując teraz po domu.

Jeżeli Alice w ogóle przyjmowała u siebie kogoś, z pewnością tą osobą była Marie. Pewna tej tezy już ruszałam do schodów, gdy wtem Alice ponownie się zaśmiała. Nagle przyszło mi na myśl, że ona śmieje się ze mnie. Czy to jednak Johnny u niej był i teraz o mnie opowiadał, powtarzając wszystkie te głupoty, których mu nagadałam po południu? Czyżby Alice powtarzała mu krążące w szkole plotki na mój temat – dokładnie naśladując mój sposób mówienia – wyśmiewając się ze mnie i kpiąc?

Wiedziałam, że jeśli chodzi o Alice, wszystko jest możliwe, nadal jednak gotowa byłam dać głowę, że jeżeli Johnny jest tam, na górze, ma to absolutnie wiarygodne uzasadnienie, które z miejsca i bez słowa przyjmę. A zresztą, jeżeli tam jest, to na pewno nie rozmawia z Alice o mnie. „Wiem, że nie jest taki”, przekonywałam siebie. Może nie jestem najwytrawniejszą na świecie znawczynią ludzkich charakterów, ale na pewno wiem, że Johnny taki nie jest. Jakże Johnny czy ktokolwiek inny mógłby oszukać kogoś, kto przez całe życie wypatrywał podejrzanych słów i spojrzeń, uniesionych brwi i odwróconych do człowieka pleców, kryjącej się za uśmiechem drwiny?

Lecz i tak, zanim zejść do bawialni, mogę w sumie podejść po cichu do drzwi pokoju Alice i chwilę posłuchać, aby tylko się upewnić. Czy on tam jest, czy nie, uznałam, że lepiej będzie wiedzieć. Jeżeli by go tam nie było, mogłam zejść prosto do bawialni i podzielić się z nim planem na jutro. Jeżeli zaś by tam był, wcale bym się tym nie smuciła, a po prostu przyjęła, że ma do

załatwienia z Alice jakąś prywatną sprawę, wróciłabym do swojego pokoju i zaczęła do rana, by wtedy mu oznajmić, że razem wyjeżdżamy.

Z tymi myślami weszłam na górę. W połowie drogi uznałam, że nie powinnam się skradać, bo wydało mi się to zbędnie podstępne i przebiegłe. W tym momencie postanowiłam, że jeżeli usłyszę z jej pokoju jego głos, to zapukam i powiem: „Przepraszam, że przeszkadzam, Johnny, ale chciałabym z tobą o czymś pomówić, więc bądź tak dobry i zajrzyj do mnie, jak będziesz schodził” albo „O ile Alice nie ma nic przeciwko temu, że się wtrącam, jest pewna sprawa, która mogłaby cię zainteresować. Powiem ci o niej, jeśli dosłownie na chwilę wyjdiesz tu na korytarz”.

Spod drzwi przenikało światło, lecz teraz z wnętrza nie dobiegały żadne słowa. Być może Alice była jednak sama. Może wcześniej śmiała się przez sen lub wręcz płakała, wszak brzmi to podobnie. Ponoć ja sama raz czy dwa płakałam przez sen – choć kiedy powiedziała mi to Emily, zaprzeczyłam – a panna Harriet wcale nierzadko chlipie po nocach. Alice też mógł nawiedzić nieprzyjemny sen, jaki czasem dopada nas wszystkich. Jeśli zaś chodzi o zapaloną świeczkę, to może Alice bała się ciemności. Pomyślałam, że gdybym sama musiała spać na strychu, pewnie także wstrzymywałabym się przed zdmuchnięciem świeczki.

Z zadowoleniem przyjąwszy takie wytłumaczenie, zawróciłam, by zejść z powrotem na dół, lecz było już za późno. Alice ponownie się zaśmiała, a zaraz po niej Johnny. Po czym zupełnie wyraźnie rzekł „Kocham cię”.

Otworzyłam drzwi. Był z nią w łóżku. Zawylałam czy też wrzasnęłam, a może coś wykrzyknęłam. Zerwał się do pionu, zgarnął z krzesła spodnie, cały czas uśmiechając się do mnie i kiwając głową, jak gdyby nic się nie stało i wszystko mógł wytłumaczyć. Wtem podszedł do mnie i wyciągnął rękę. Cofnęłam się, chyba nadal krzycząc. Powiedział: „Edwino droga”, a ja go odepchnęłam. Uderzyłam go... w twarz... i popchnęłam. Poleciał... na plecy... w dół schodów...

EMILY STEVENSON

Pewnie się domyślacie, jak wielka powstała w szkole konsternacja, po tym jak Edwina Morrow obudziła tamtej nocy cały dom swoimi krzykami i wrzaskami, a muszę przyznać, że sięgała przy tym po naprawdę paskudne słownictwo. Nie mam pojęcia, gdzie Edwina poznała tak plugawe słowa, bo nawet ja nie rozumiałam znaczenia wszystkich. Marie Deveraux, dziecko nad wyraz rozwinięte, choć moim zdaniem zdecydowanie w niewłaściwym kierunku, zapewniła nas, że słówka i określenia użyte przez Edwinę są bardzo rozpowszechnione na nowoorleańskich parowcach, pośród handlarzy niewolników i tego rodzaju podejrzanych indywiduali. W każdym razie wszystkie uznałyśmy, że po tak szokującym występie byłoby całkowitym absurdem, gdyby Edwina kiedykolwiek jeszcze próbowała się tu pysznić lub odgrywać damę z Richmond.

McBurney był nieprzytomny – przypuszczam, że w rezultacie uderzenia głową o schody – a na dodatek rana nogi mu się otworzyła i zalewała teraz krwią podłogę holu. W pierwszej chwili uznałyśmy, że nie żyje, lecz kiedy Mattie przyniosła z kuchni światło, panna Martha przebadła go naprędce i stwierdziła, że serce wciąż mu bije, lecz stan ten nie potrwa długo, o ile nie zatamuje się upływu krwi.

Na rozkaz panny Marthy Edwina przestała się wydzierać, lecz wciąż stała u szczytu schodów, gapiąc się bez wyrazu na scenę rozgrywającą się poniżej. Jeżeli chodzi o Alice, to o ile wiem, jeszcze w ogóle nie wyszła ze swojego pokoju, chyba że wyjrzała na moment zza drzwi i wróciła do środka. W rezultacie poza tym, co byłyśmy w stanie wychwycić z wścieklej tyrady Edwiny, w danej chwili bardzo słabo orientowałyśmy się w sytuacji. Kiedy zaś panna Martha poprosiła Edwinę o wyjaśnienie, ta odmówiła odpowiedzi.

– No, siostrze, to czy teraz jesteś już usatysfakcjonowana, czy też nadal uważasz, że to cnotliwy młody człowiek? – odezwała się panna Martha, zwracając swój gniew w innym kierunku.

– Nic mi nie wiadomo, by był czemukolwiek winny – odparła panna Harriet.

– Mówisz to, widząc go w tym miejscu?

– Widzę, jak leży na podłodze. Nie widzę żadnych dowodów na to, by dopuścił się czegoś złego. Zanim o cokolwiek go oskarżysz, pozwolisz, siostro, by wykrwawił się na śmierć?

– Odsuńcie się, dziewczęta, na litość boską – warknęła panna Martha. – Nie stójcie tak wgąpione. Harriet czy któraś z was, lećcie po jakiś materiał na bandażę, cokolwiek!

Teraz Edwina raczyła zstąpić na dół.

– Poczekajcie – odezwała się, schodząc powoli i przytrzymując fałdy swojego szlafroka.

Kiedy dołączyła do nas, zdjęła szlafrok, odsłaniając najbardziej nieprzyzwoitą koszulę nocną, jaką w życiu widziałam. Uszyta z koronki i możliwie najcieńszego materiału, który, jak zauważyła mała Marie, nadawałaby się do szklenia okien. Nie miałyśmy jednak szansy przyjrzeć jej się dokładniej, Edwina bowiem niezwłocznie zsunęła ją z ramion, po czym wyszła z niej, obnażając się do końca. Następnie podniosła ją z podłogi i z wściekłością podarła na strzępy.

– Proszę – powiedziała, wręczając pozostałości pannie Marcie. – Na tę chwilę powinno wystarczyć.

– Zakryj się, panienko – rzuciła panna Martha. – W holu jest chłodno. – Po czym nie mówiąc nic więcej, nie zerkając już nawet na Edwinę, zabrała się do owijania pasków materiału wokół nogi McBurneya.

Nie wiem, czy Edwina oczekiwała podziękowań za swą ofiarność, ale jeśli tak, to spotkało ją rozczarowanie. Włożyła z powrotem szlafrok, uważnie go zawiązała i wygładziła na nim zmarszczki, po czym nie wypowiadając słowa do którejkolwiek z nas, zniknęła za drzwiami swojego pokoju.

Tymczasem Mattie wróciła z miednicą zimnej wody i zaczęła obmywać guz z tyłu głowy McBurneya, a zaraz dołączyła do niej panna Harriet, usiłując ocucić go solami trzeźwiącymi. Był on jednak tak głęboko nieprzytomny, że

wątpię, by cokolwiek mogło przywrócić go do świadomości, choćby nawet Anioł Zagłady ze swoją srebrną trąbą. Z drugiej strony, jak sobie później uświadomiłam, McBurney mógł cały czas udawać, aby uniknąć konieczności udzielania upokarzających wyjaśnień. Rzecz jasna, jeżeli to prawda, to był z niego lepszy aktor, niżbym przypuszczała, kiedy bowiem panna Martha zaciskała opaskę, nie wykazał żadnych oznak czucia ani bólu.

– Panno Martho, czy naprawdę nie dałoby się tego robić delikatniej? – spytała niespokojnie Amelia.

– Jeżeli w ogóle mamy to robić, to trzeba to zrobić prędko – odpowiedziała panna Martha, nie zadając sobie trudu, by udzielić jej reprimendy.

– Twoja zdobycz i tak niczego teraz nie czuje – wtrąciłam. – Acz moim zdaniem zasłużył swoim zachowaniem na szarpnięcie albo dwa, nie zgodzi się pani, panno Martho?

Panna Martha nie odpowiedziała, ale sędzę, że w pełni potwierdzała moją opinię, bo faktem jest, że podczas opatrywania nogi McBurneya była zdecydowanie mniej ostrożna niż za pierwszym razem. To jest, podejrzewam, że robiła to dostatecznie sumiennie, jak w przypadku każdego zadania, jakie sobie wyznaczy, ale muszę przyznać, że w żadnym razie nie chciałabym, by ktoś równie szorstko obchodził się z moją nogą, nawet gdybym była wówczas nieprzytomna. Tak czy owak, panna Martha zakończyła mocowanie opaski i wzięła się do rozrywania nogawki spodni McBurneya.

– To już druga para spodni zmarnowana przez Johnny’ego McBurneya – zauważyła Marie. – Wpierw jego własne, a teraz te, które dostał od panny Marthy.

– Może później da się je nareperować – zasugerowała panna Harriet.

– Niewykluczone że nie będzie takiej konieczności – odparła jej siostra. – Może wasz pan McBurney już nigdy nie będzie potrzebował dwóch nogawek.

Wobec wyglądu jego nogi było to niedopowiedzenie. Nie dość, że rana uległa otwarciu, to jeszcze poprzednio rozłupana kość teraz zdawała się całkowicie pogruchotana, jak wskazywał kierunek wygięcia nogi poniżej kolana.

– Tutaj już nic więcej nie zdołamy dla niego zrobić – oceniła panna Martha. – Będzie trzeba ponownie znieść go na parter.

– A nie mogłybyśmy go po prostu położyć w jednej z sypialni tutaj? – zasugerowała panna Harriet. – Pokój naprzeciwko Edwiny stoi pusty.

– Chcesz powtórki dzisiejszego wypadku? – spytała panna Martha.

– Na Boga, Martho! – praktycznie zakrzyknęła panna Harriet. – Toż ten chłopiec jest bezbronny.

– Być może w danej chwili – odparowała nasza przełożona – ale jeszcze żyje. Poza tym jest też inny powód, dla którego wolę go mieć na dole. Może będziemy musiały ułożyć go na stole w jadalni, żeby zająć się tą nogą. A teraz przyda się pomoc was wszystkich. Harriet, weź za to ramię, a ty, Emily, złap za drugie. Mattie może chwycić za zdrową nogę, a ja podtrzymam tę uszkodzoną. Amelio, Marie, podeprzyjcie mu plecy.

Jakoś zdołaliśmy go podnieść z podłogi, po czym przedźwigałyśmy go przez hol do schodów wiodących na parter. Te z nas, które szły tyłem, miały najgorzej, bo cały czas istniało ryzyko, że poprzewracamy się o własne koszule nocne. I akurat w tym momencie panna Alice Simms nieśmiało wychynęła ze swojego pokoju na drugim piętrze.

– Czy mogę jakkolwiek pomóc?! – zawołała z góry.

Panna Martha zignorowała ją, podobnie jak my. Zresztą byłyśmy tak wykończone wysiłkiem, że wątpię, byśmy mogły jej odpowiedzieć, nawet gdybyśmy chciały. Zebrawszy się więc na odwagę, Alice zeszła po schodach i ruszyła za nami.

– Byłam tak wstrząśnięta i zaszokowana tym przeżyciem, że nie mogłam się zebrać w sobie, by wyjść z pokoju – oznajmiła.

– Czyżby, panienko? – sapnęła panna Martha.

– Owszem. Widzi pani, ja spałam, kiedy on wszedł na górę.

– Doprawdy?

– Ależ tak – potwierdziła Alice z szeroko otwartymi oczami. – To straszne, jak on tu wpadł. Kiedy go ujrzałam, byłam półżywa z przerażenia, a wtem Edwina weszła na górę i zaczęła się z nim siłować. I zepchnęła go ze

schodów.

– Nie podejrzewałyśmy, by sam z nich zeskokczył – odparła panna Martha.

– A jak myślisz, po co w ogóle Johnny szedł do twojego pokoju, Alice? – zapytała Marie.

– A skąd mam wiedzieć? – odparło niewiniątko.

– Myślałam, że może ci zdążył powiedzieć – ciągnęła Marie. – Zdawało mi się, że może jakiś czas upłynął między chwilą, kiedy wpadł do twojego pokoju i tak cię wystraszył, a tym, jak Edwina weszła na górę, by się go za ciebie pozbyć.

– Wszystkie milczeć! – rozkazała panna Martha. – Skupcie się na tym, co macie robić.

Wreszcie zdołałyśmy dotrzeć z naszym cennym ładunkiem do schodów prowadzących na parter i po prostu upuściłyśmy go na moment, aby zażyć zasłużonego wytchnienia.

– Nie wiem, siostrzyczko, jak my go niby mamy stargać na sam dół – zatroskała się panna Harriet.

– Będzie trudno – przyznała panna Martha. – A nie możemy go stąd spuścić. Nie wydaje mi się, by wasz przyjaciel zniósł jeszcze jeden upadek.

– Ale nie musimy go nieść, prawda? Może opuścimy go na linie czy jakoś tak – zaproponowałam.

– Ten pomysł Emily nie jest wcale zły – zauważyła Marie. – Mogłybyśmy go związać i bardzo powoli spuścić po schodach. Jak będziemy uważać, to za bardzo go nie uszkodzimy.

– A skąd weźmiemy linę? – zadumała się panna Harriet.

– W stodole jest taka stara, co nie? – odezwała się Mattie. – No i mnóstwo starych uprzęży. Do tego nawet uprząż będzie lepsza.

– To idź po nią – poleciała panna Martha. – Ale pospiesz się, inaczej na nic nam się już nie zda.

– Nawet jeśli umrze, to i tak będziemy musiały jakoś stargać go na dół – stwierdziła Alice, podczas gdy Mattie pognała tak szybko, jak tylko mogła na swoich starych, bosych stopach.

– Kiedy on nie umrze! – zawołała Amelia. – A zresztą ładnie to teraz Alice mówi po tym, jak z Edwiną kręciły się wokół niego, zaczepiały go i podpuszczały, by robił Bóg wie jakie rzeczy!

– No właśnie! – zakrzyknęła jej współlokatorka Marie. – To Alice i Edwina zawsze wywołują tu jakieś kłopoty, a potem inne za to obrywają. Moim zdaniem Alice i Edwinę trzeba na miesiąc pozamykać w pokojach bez kolacji!

– Wszystkie bądźcie cicho – poleciła panna Martha. – To ja tu wyznaczę kary. Teraz tylko opowiem, że bez względu na to, co się stanie z panem McBurneyem, takie sceny jak dzisiejszej nocy już się nie powtórzą. I zamierzam niezwłocznie dociec prawdy.

– Nic się nie stało. – Alice zaczęła łkać. – Klnę się na Boga, panno Martho, że nic właściwie się nie stało, a przynajmniej nic bardzo złego. Tak jak mówiłam, wszedł do mojego pokoju, a zaraz potem Edwina zrzuciła go ze schodów.

– Tak czy owak, ciekawie będzie usłyszeć wersję McBurneya – oznajmiłam. – Oczywiście, jeśli umrze, będziemy musiały polegać na słowie Alice i Edwiny, prawda?

– Ale ja nie chcę, żeby on umarł – zaprotestowała płacząco Alice. – Panno Martho, niech te dziewczęta przestaną mówić, że ja chcę jego śmierci!

– Uciszcie się... uciszcie się wszystkie albo marsz do swoich pokojów – nakazała panna Martha. – Tu jest jak w wariatkowie!

Lecz płacz nie ustawał. Wydaje mi się, że spośród obecnych płakali wszyscy poza panną Martha, mną samą i być może Marie, która raczej krzyczała, aniżeli szlochała, no i także, oczywiście poza McBurneyem, który nie robił nic, tylko leżał oklapły jak stara szmata i blady niczym pergamin. Jak teraz o tym myślę, to chyba jednak naprawdę nie udawał, bo nawet największy szarlatan świata nie uleżałby tam w spokoju przez całą tę awanturę, chyba że pod wpływem utraty przytomności.

Po jakimś czasie powróciła Mattie z naręczem upręży i najdłuższymi ich elementami przewiązałyśmy McBurneyowi ramiona oraz pas, po czym prowadzone przez Marie, która szła przed nami z lampą, podczas gdy Amelia podtrzymywała jego nogę, złapałyśmy od góry za rzemienie i przesunęłyśmy

McBurneya na plecach na parter, ześlizgując go tak delikatnie, jak się tylko dało.

– Dziękuję, Emily – odezwała się panna Martha, kiedy już złapała oddech. – To była bardzo inteligentna sugestia.

– Zaledwie prosty problem logistyczny – odparłam. – Każdy dobry kwatermistrz doradziłby pani to samo.

Następnie przeciągnęliśmy McBurneya, który wciąż tkwił w uprzęży, do bawialni i przełożyliśmy go na jego kanapę.

– Proszę, Johnny, staruszkę – odezwała się Marie. – Gdybyś jak dobry chłopiec został tu wcześniej wieczorem, wszystkim nam zaoszczędziłbyś sporo zachodu.

Mattie ponownie robiła mu okłady z zimnej wody na głowę, a panna Harriet ciągle suwała mu pod nosem solami trzeźwiącymi. Czy to pod wpływem tych zabiegów, czy też w rezultacie wstrząsów, jakich doznał podczas transportu, w każdym razie niedługo potem otworzył oczy i spojrzał na nas z wyrazem niezrozumienia. Wyglądało to niemal tak, jakby zapomniał, gdzie się znajduje. Po chwili zorientował się w otoczeniu i zdobył na słaby uśmiech.

– Uszanowanko, drogim paniąkom – rzucił, po czym najwyraźniej zdał sobie sprawę, że żadna z nas się nie uśmiecha, gdyż wesołość widoczna na jego twarzy prędko zagasła. Spróbował się podnieść, ale nie był w stanie.

– Niech pan się nie rusza – poleciła panna Martha, która ponownie przyglądała się jego nodze.

– Czy znowu pokiereszowałem sobie kulasa? – spytał niepewnie.

– Owszem, Johnny – odpowiedziała mu Amelia. – Ale nie martw się. Panna Martha znów temu zaradzi.

– No jasne – zauważył. – Nikt tak nie łąta nóg jak droga panna Martha. – Zamknął oczy i przez długą chwilę milczał. Wreszcie się odezwał: – Przepraszam, jeżeli tej nocy sprawiłem jakikolwiek kłopot. Ale to się już nie zdarzy. Jeżeli mogłaby pani jedynie przykryć mi trochę tę nogę dla osłony od kurzu, to jutro rano i tak stąd odjeżdżam.

– Ma pan złamaną nogę, i to tym razem poważnie – oznajmiła panna

Martha. – A ja nie jestem w stanie jej nastawić.

– Niech pani po prostu upchnie to wszystko jakoś, tak jak poprzednio, i owinie nieco jakąś szmatką. Będzie dobrze. Nie boli bardziej niż przedtem. – Cały czas usiłował podnieść się na łokciach, aby przekonać się, jak poważnie tak naprawdę to wygląda.

– Obawiam się, panie McBurney, że później będzie to panu dokuczało – włączyła się panna Harriet. – Teraz ciągle jest pan pod wpływem szoku. Ale proszę się nie martwić. Zrobimy, co będzie dla pana najlepsze.

– A na czym to, siostrzyczko, miałyby niby polegać? – spytała panna Martha. – Nic nie mogę zrobić z tym urazem. Nie jestem chirurgiem, choć wątpię, by nawet chirurg się tego podjął. Mogłybyśmy jednak znaleźć kogoś wykwalifikowanego, jeżeli uważasz, że powinniśmy. Rano mogę udać się na Brock Road i poprosić któregoś z oficerów Unii, by przysłano nam tu lekarza.

– Wydawało mi się, że nie chciałaś ściągać tu więcej Jankesów – zauważyła panna Harriet.

– Bo i nie chcę. Ale zdałam sobie teraz sprawę, że może to się okazać nieuniknione. Powinnam już pierwszej nocy powiadomić o nim nasze wojska. Tak byłoby lepiej i dla niego, i dla nas wszystkich.

– Ale on pragnął zostać – zauważyłam. – Nie może się pani za to winić, panno Martho.

– Nie ma po co ściągać tu doktora – oznajmiła Mattie. – Możemy po prostu wpakować go na wózek i przewieźć do głównej drogi. Swoi go wezmą i się nim zajmą.

– W porządku – odparła panna Martha. – O ile panna Harriet się zgodzi, możemy tak uczynić. Tak czy siak, zależnie od tego, co woli.

– Dlaczego akurat mnie o to pytasz, siostrzyczko? Dlaczego to mnie zostawiasz decyzję? – Panna Harriet zaczęła nerwowo zacierać ręce.

McBurney tymczasem dokładnie przyjrzał się nodze i spostrzegł, jak bardzo znowu jest powykręcana i poszarpana.

– Jak pani myśli, co z taką nogą najprawdopodobniej zrobią wojskowi chirurdzy? – spytał cienkim głosem.

– Amputują – skwitowała bezceremonialnie panna Martha.

– Tak też się mnie wydawało. Ci goście nie lubią tracić czasu. Nie mają tyle cierpliwości, co panienki. – Opadł z powrotem na kanapę i zamknął oczy. – Jeżeli nie robi to paniom różnicy, wolałbym, byście nikogo nie powiadamiły. Nie uśmiecha mi się tracić nogi. Kiepsko by mi się potem tańczyło.

– Poza tym najprawdopodobniej oskarżyliby pana o dezercję – nadmieniłam.

– Niewykluczone, że ma panienka rację – przyznał. – To również bardzo możliwe...

W danej chwili było to jednak najmniejsze jego zmartwienie. Głos mu przycichł i wydało się, że ponownie stracił przytomność. Panna Martha przyjrzała mu się, po czym przykryła go kocem.

– W porządku, wszystkie wracać do łóżek – zarządziła.

– Nawet nie spróbujesz mu tego zszyć z powrotem? – spytała panna Harriet.

– Skoro nie mogę nastawić kości, nie mogę też połączyć tkanek wokół niej – wyjaśniła panna Martha.

– Ale mogłabyś ją nieco wyprostować, prawda? – Panna Harriet nie ustępowała. – Włożyć w łupki, tak jak zrobiłaś poprzednio. I to jak porządnie... Bacznie cię obserwowałam.

– No to następnym razem zrób to sama – odparowała panna Martha. – Już ci mówiłam, że to niemożliwe, ale skoro chcesz i tak spróbować, to masz moją zgodę!

– Ja spróbuję – wtrąciła Amelia, wykorzystując wahanie panny Harriet.

– Nic podobnego – zaprzeczyła panna Martha. – Wrócisz natychmiast do pokoju, tak jak ci polecono.

– Kapralowi McBurneyowi nic nie będzie, serdeńko – powiedziała panna Harriet, która usiłowała przekonać samą siebie. – Krwawienie ustało, toteż nic bezpośrednio mu nie grozi. Jutro rano, kiedy będzie widniej, panna Martha raz jeszcze przyjrzy się jego nodze, prawda, siostrzyczko?

– Tak – odparła nieprzekonująco panna Martha. – Chyba jeszcze spojrzę. Dobrze, młode panie...

Trzymając lampę, ruszyła do drzwi i odczekała, aż wszystkie ją minęłyśmy i weszłyśmy po schodach. Amelia, która wychodziła jako ostatnia, przystanęła, by opatulić stopy McBurneya kocem, po czym podążyła za nami, a mijając pannę Marthę, spojrzała na nią, jak spostrzegłam, hardo i wyzywająco. Panna Martha, rzecz jasna, całkiem roztropnie postanowiła ją zignorować. Amelia, która niegdyś była nader uroczym stworzonkiem, zaczyna robić się nieco problematyczna, ja zaś podejrzewam, że jej kłopoty mogą mieć związek z osobą, z którą dzieli pokój. Jestem przekonana, że sama jedna Marie Deveraux zdołałaby zdemoralizować cały pułk dziewcząt pokroju Amelii.

Wróciłam do łóżka, ale oczywiście po wszystkich tych emocjach nie byłam w stanie od razu zasnąć. Poza tym dom wciąż rozbrzmiewał tyłoma odgłosami, że same tylko szmery i pomruki wystarczyłyby, by uniemożliwić sen głuchemu. Amelia i Marie, które mieszkają naprzeciwko mnie, trajkotały o sytuacji w najlepsze jak dwie stare sroki, aż w końcu panna Martha, nie mogąc już tego wytrzymać, musiała pójść pod ich drzwi i zagrozić najsroższymi możliwymi konsekwencjami, jeżeli natychmiast się nie zamkną. Możliwe, że wyraziła to nieco właściwymi damie słowami, lecz nie ulegało wątpliwości, że to właśnie pragnęła przekazać. W każdym razie zdołała uciszyć Marie i Amelię, teraz jednak z kolei nasz spoczynek zakłóciła Edwina, która za zamkniętymi drzwiami zaniósła się szlochem czy też może szlochała tak cały czas, a po prostu dopiero teraz dało się to usłyszeć.

Wreszcie – i był to chyba ostatni incydent, jaki pamiętam z tamtej nocy – usłyszałam, jak panna Harriet po cichu skrada się w dół schodami. Łatwo rozpoznać kroki panny Harriet, są bowiem drobne, szybkie i nerwowe. Niemal natychmiast dało się też słyszeć bardziej zdecydowane stąpanie panny Marthy, która – jak przypuszczałam – ruszyła w pościg za siostrą, aczkolwiek w tym momencie czułam się już, szczerze mówiąc, tak zmęczona, że nie miałam siły snuć domysłów co do natury powstałego zamieszania. Zarazem jednak mamy w naszej szkole małe osóbkę, u których wszystko budzi ciekawość, bez względu na to, jak późno w nocy miałyby się to dziać.

– Panna Harriet zeszła do piwnicy po wino – syknęła Marie, otwórzysz drzwi do pokoju. – Panna Martha ruszyła za nią!

– Skąd to wiesz? – zdołałam spytać.

– Odgadłam. Przewiduję też, że wino tak naprawdę bierze dla siebie, ale powie, że to dla kaprała McBurneya, na wypadek gdyby ból w nodze nie dawał mu spać.

– Idź do łóżka... to mnie nie dajesz spać.

– Myślisz, że panna Martha naprawdę doniosłaby Jankesom, że mamy tu McBurneya?

– Nie mam zielonego pojęcia... wracaj do łóżka.

– Jestem prawie pewna, że tak by nie zrobiła – zapewnił mój mały gość, a przynajmniej wydaje mi się, że to właśnie powiedziała. – Panna Martha bałaby się, że nas wszystkich rozstrzelają za ukrywanie dezertera.

– Proszę, proszę, idź już spać!

– Czyż to wszystko nie jest okropnie ciekawe? Jak myślisz, Emily, co się teraz stanie?

– To! – zakrzyknęłam i rzuciłam w nią butem. Uchyliła się, przez co pocisk uderzył w ścianę na korytarzu.

– Oj, Emily, do artylerii to cię nigdy nie wezmą – zachichotała, po czym umknęła.

Przeszło mi przez głowę, by pogonić za nią i dać jej w ucho, lecz w czasie gdy się nad tym namyślałam, zasnęłam – i na szczęście przespałam już całą noc. Jeżeli nawet przed świtem miały miejsce w domu jeszcze jakieś niepokoje, to ich nie słyszałam.

Następnego ranka zakazano nam wstępu do bawialni. Panna Martha oznajmiła, że do odwołania ta część domu jest dostępna tylko tym, którzy mają pilną sprawę, i nie oznacza to uczennic, chyba że otrzymałyby od niej specjalne pozwolenie.

Informację tę podano przy śniadaniu i osobiście uznałam to za bardzo dobry pomysł. Jasne, że spotkał się on z gwałtownymi protestami – przede wszystkim ze strony Amelii i Marie. Amelia zawsze stawiała opór, gdy trzeba było dostrzec jakiegokolwiek ułomności w charakterze jej drogiego McBurneya, co zaś się tyczy Marie, to po prostu odruchowo sprzeciwiała się wszelkiemu

ograniczaniu jej swobody ruchu, bez względu na stojące za tym powody. Gdyby Marie nigdy dotąd nie rozważała wejścia do bawialni pod jakimkolwiek pozorem, a usłyszałyby, że ktoś jej tego zabrania, wówczas, naturalnie, zapragnęłyby spędzać tam czas bez ustanku.

Panna Martha najwyraźniej jednak ponownie przemyślała kwestię podjęcia się naprawy uszkodzeń nogi McBurneya, gdyż kiedy wstałyśmy od stołu, posłała wszystkie uczennice do nauki w bibliotece, sama zaś z panną Harriet i Mattie udały się do bawialni, zabierając ze sobą koszyk z przyborami do szycia panny Harriet, kawałki kory, które mogły posłużyć za łupki, a także pasy podartego prześcieradła, które – jak zgadywałyśmy – najwyraźniej zgodziła się poświęcić z własnego łóżka panna Harriet.

– Panna Martha oddała dla sprawy kolejną butelkę wina – zameldowała spod drzwi biblioteki Marie. – Czyli albo Johnny, albo panna Harriet musieli wydudlić do dna tamtą, którą panna Harriet zaniósł mu nocą.

– Ciekawe, czy Johnny się na mnie gniewa – odezwała się Alice.

– Ale dlaczego niby miałby się na ciebie gniewać? – zapytała z całkiem niewinną miną Marie. – Sądzę, że mogłoby być wręcz odwrotnie, w końcu to on wpakował ci się do pokoju, obezwładnił cię i tak brutalnie potraktował.

– Nie wydaje mi się, bym dokładnie tak to ujęła – zastrzegła Alice, przyglądając się nam bardzo uważnie.

– No to ujmij to dokładnie teraz, Alice. Opowiedz o tych wszystkich okropieństwach, do których tam doszło. To musiało być doprawdy potworne dziesięć czy piętnaście minut albo może trwało to dłużej? Czy wołałaś o pomoc, czy też strach tak cię sparaliżował, że nie potrafiłaś nawet otworzyć ust? Masz jakieś zadrapania albo siniaki, które chciałybyś nam pokazać na dowód tego brutalnego traktowania?

– Wcale nie mówiłam, że potraktował mnie brutalnie! – krzyknęła nerwowo Alice. – Powiedziałam, że się bałam.

– Dlaczego się bałaś? – spytała Amelia. – Johnny niedawno mi wyznał, że to ty go tam zaprosiłaś.

– Tak mówił? No to może napomknęłam, że mógłby tam kiedyś wpaść, jeśli

nie miałyby już nic do roboty. Ale żaden z niego dżentelmen, skoro rozpowiada takie rzeczy za plecami dziewczyny.

– Niczego nie rozpowiadał – odparowała gniewnie Amelia. – Po prostu zadałam mu pytanie, a on na nie odpowiedział. Mówił, że wspomniałaś, że masz w pokoju mapę, którą mógłby ze sobą zabrać, jak będzie odchodził, i nic ponadto.

– A dopiero co, przed śniadaniem, panna Martha spytała go o to samo, kiedy akurat stałam przy drzwiach bawialni i udzielił panie Marcie praktycznie takiej samej odpowiedzi – dodała Marie. – A wtedy panna Martha zauważyła, że to musi być okropnie ciężka mapa, skoro sama nie mogłaś znieść mu jej na parter. Dodała też, że jeszcze dzisiaj zamierza sama rzucić okiem na tę mapę.

– Bardzo chętnie, jeżeli tylko mi powie, gdzie ją znajdę – oznajmiła Alice. – Wiecie, że tej akurat mapy szukam już równo od tygodnia i po prostu nie byłam w stanie jej odnaleźć? To zresztą bardzo dobra mapa tych okolic. Kapitan statku z Missisipi dał ją mojej matce, gdy tu jechałyśmy, ale nie mam pojęcia, co potem z nią zrobiłam.

– No to lepiej przyłóż się do poszukiwań, bo obawiam się, że znajdą się w tym domu osoby, które nie uwierzą, by taka akurat mapa w ogóle kiedyś istniała – doradziła jej Marie.

– Przestańcie się wyklócać i skupcie na gramatyce angielskiej – poleciłam im. Jako że jestem w tej szkole najstarsza, z wyjątkiem Edwiny, która pozostawała w swoim pokoju, zignorowawszy wszelkie pukanie, stukanie i głośne wezwania na śniadanie, pod nieobecność panny Marthy i panny Harriet to zwykle ja przejmuję ich obowiązki. Rzecz jasna, Edwina jest tak bardzo humorzasta i zaabsorbowana własnymi sprawami, że w rzeczywistości nie nadaje się do pełnienia funkcji kierowniczych, choć możecie się założyć o przyszłoroczne zbiory bawełny, że powierzenie mi odpowiedzialności za resztę nie napawa jej radością.

Kiedy zbliżała się pora południowego posiłku, do biblioteki weszła panna Harriet, która sprawiała wrażenie nader zmordowanej i jeszcze bardziej niż zwykle przygaszonej. Zaraz jednak całkiem pogodnym tonem poinformowała nas, że panna Martha oporządziła nogę McBurneya i właśnie przystąpiła do jej

ponownego zszywania. Panna Harriet dodała, że choć panna Martha nie oceniała jeszcze sytuacji nazbyt optymistycznie, to ona sama przeczuwała, że już niebawem z nogą znowu będzie lepiej. Przewidywała też, że kiedy nasz gość ponownie stanie na nogi, ujrzymy w nim innego człowieka.

– Niewykluczone, że ten wypadek będzie dla niego zasłużoną nauką – oznajmiła panna Harriet. – Sądzę, że w przyszłości może okazać się znacznie bardziej godnym zaufania młodzieńcem.

– Panno Harriet, pani wie, że to, co on mówi, to może być prawda – zastrzegła Alice. – Możliwe, że przyszedł do mojego pokoju po mapę. Mój Boże, gdyby od razu powiedział mi, o co mu chodziło...

– Jejku, pamiętasz, Alice, jak to zastałam was dwoje na tej kanapie w bawialni? – spytała Marie. – Założę się, że McBurney właśnie szukał mapy, co? I sądził, że ukryłaś ją gdzieś na sobie, idę o zakład.

– Dziewczęta, proszę... – wtrąciła się panna Harriet, stając pomiędzy Marie a morderczo na nią spoglądającą Alice. – To nie czas na sprzeczki. Panna Martha liczy, że same zajmiecie się dziś lekcjami. Wiecie, jak jej ciągle mówię, że jesteście pilnymi młodymi damami, że mamy w tej szkole same cnotliwe i pracowite panienki.

– I bez względu na to, jak często jej to pani powtarza, założę się, że i tak w to nie wierzy, co, panno Harriet? – zauważyła Marie.

– Panno Harriet, czy Johnny cierpi? – spytała Amelia.

– Sądzę, że nie bardziej niż wcześniej. Podałyśmy mu trochę wina, a to uśmierzyło ból.

– Proszę, niech mu pani przekaże, że nas do niego nie dopuszczają – poprosiła Amelia. – Nie chciałabym, by sobie pomyślał, że nie mam ochoty go odwiedzić.

– Tak, przekażę mu – obiecała panna Harriet. – A ten zakaz być może da się złagodzić za dzień lub dwa, kiedy wszyscy, łącznie z kapralem McBurneyem, udowodnimy panie Marcie, że jesteśmy tak dobrzy, jakby sobie tego życzyła.

– To fizycznie niemożliwe – uznała Marie.

– Niemniej jestem pewna, że wszystkie postaramy się na miarę naszych

możliwości – ciągnęła słodko zastępczyni naszej przełożonej. Ma się rozumieć, że gdyby Marie poczyniła taką uwagę bezpośrednio wobec panny Marthy, zostałaby za to na tydzień zamknięta w pokoju bez kolacji, panna Harriet jednak zachowuje się po prostu tak, jak gdyby połowy słów padających w tym domu w ogóle nie słyszała. W każdym razie teraz oznajmiła nam, że musi wrócić do bawialni i dopomóc pannie Marcie, a tymczasem potrzebuje ochotniczki, która zaniósłaby Edwinie tacę z jedzeniem. Zgłosiłam się. Co ciekawe, tak samo uczyniły pozostałe.

– Panna Edwina najwyraźniej cieszy się większą popularnością, niż przypuszczaliśmy – skomentowała z typowym dla siebie uśmiechem.

– To nie popularność – wyprowadziła ją z błędu Marie. – To ciekawość, a tylko ja jestem na tyle szczerą, by to przyznać.

W moim przypadku nie była to do końca prawda. Naturalnie, w pewnym sensie zastanawiałam się, co też Edwina ma do powiedzenia na temat wydarzeń z minionej nocy, zarazem jednak budziła we mnie pewne współczucie. Zawsze było mi jej trochę żal i nie zawaham się do tego przed kimkolwiek przyznać.

W każdym razie panna Harriet najwyraźniej wyczuła prawdziwe kierujące mną motywy – czy też może ponownie uznała mnie za najbardziej godną zaufania – ponieważ niezwłocznie to mnie wybrała do pełnienia funkcji miłosiernej samarytanki. Następnie powróciła do bawialni, ja zaś udałam się do kuchni, aby przygotować tacę, grupę lekcyjną pozostawiając tymczasowo pod opieką Alice. Nie było innej rady. Amelia i Marie zawsze muszą przebywać pod nadzorem kogoś, jeżeli nie mądrzejszego, to chociaż starszego od siebie.

– Emily, ach, Emily! – zawołała za mną nasza kłopotliwa kruszyna. – Alice zapomniała ci zaszalutować, kiedy przejmowała posterunek!

Naturalnie puściłam jej słowa mimo uszu i podążyłam do kuchni. Taca, którą przygotowałam z myślą o pannie Edwinie, zapewne nie wydałaby się szczególnie apetyczną gościom hotelu Exchange czy też saloonu Oriental w Richmond, niemniej było to smaczne i pożywne jedzenie. W garnku zostało nieco kaszki jęczmiennej, tak więc nałożyłam jej do miski, aczkolwiek nie

podgrzewałam, bo to by wymagało ponownego rozpalenia ognia, a dopóki w okolicy kręcili się wciąż Jankesi, dopóty używanie ognia w kuchni starałyśmy się ograniczyć do minimum. Nie żebyśmy usiłowały ukryć naszą obecność, ale nie zamierzałyśmy się też z nią afiszować poprzez wypuszczanie zbędnych kłębow dymu w biały dzień.

Wzięłam więc kaszę, trochę niezjedzonych ciastek kukurydzianych oraz filiżankę kawy żołądziejowej – siłą rzeczy również zimnej, ale wciąż ożywczej – i poszłam na górę do pokoju Edwiny. Swego czasu mieszkaliśmy razem, lecz między nami się nie układało. Nieustannie oskarżała mnie o wtrącanie się w jej sprawy, a wręcz o szpiegowanie jej i myszkowanie w jej rzeczach. Przyznam, że początkowo dość intensywnie ją przepytywałam, ale robiłam to tylko po to, by ustalić, czy łączy nas cokolwiek, na czym dałoby się zbudować choćby tymczasową przyjaźń, na przykład wspólne zainteresowania. Rzecz jasna była to strata czasu. Nawet gdyby zechciała cokolwiek mi o sobie opowiedzieć – a nie chciała – nie uczyniłaby tego z myślą o przyjaźni. Edwina Morrow nie szuka przyjaciół.

Nie spodziewałam się, by odpowiedziała na moje pukanie, tak się też nie stało. Jednak skoro polecono mi dostarczyć jej śniadanie, nie wspominając nic o wypytywaniu, czy tego chce, czy nie, uznałam, że w granicach moich kompetencji będzie otworzyć drzwi i wejść do środka. Co też uczyniłam. Panna Martha nigdy nie pozwalała nam zamykać na klucz drzwi do sypialni – a zresztą w ogóle nie miałyśmy do nich kluczy – być może właśnie przewidując tego rodzaju sytuacje awaryjne.

Panna Morrow, wciąż w szlafroku z niebieskiego jedwabiu, siedziała przy oknie, które wychodzi na las i część ogrodu. Na kolanach trzymała otwartą książkę, ale jej nie czytała. W istocie nie wyglądało na to, by robiła cokolwiek. Siedziała tak jedynie w jakimś transie, przytomna, lecz widocznie nieświadoma otoczenia.

– Masz śniadanie. Tego ranka trafił ci się serwis do pokoju – oznajmiłam.

Nawet nie mrugnęła, więc spróbowałam raz jeszcze.

– Panna Harriet mówi, że może z nogą kaprała McBurneya będzie w porządku. Czyli że być może wcale nie została uszkodzona na zawsze. –

Zero odpowiedzi, ale zdecydowanie przyspieszył jej oddech. Postanowiłam podążyć w tym kierunku. – Ogólne wrażenie jest takie, że zdarzenie z minionej nocy było nieszczęśliwym wypadkiem i trzeba jak najprędzej o nim zapomnieć.

– Kto tak uważa? – spytała cicho Edwina, wciąż nie zwracając się w moją stronę.

– No, chociażby panna Harriet. I zapewne sam McBurney. On bez wątplenia nikogo nie oskarżał o przyłożenie się do jego upadku. Jeżeli o mnie chodzi, to nie wyobrażam sobie, by McBurney kogokolwiek zajmował na tyle, by zadać sobie kłopot z jego okaleczaniem. Rzecz jasna, wszystkie wczoraj wieczorem wywnioskowałyśmy z twoich cokolwiek gniewnych słów, że między tobą a McBurneyem doszło do pewnej różnicy zdań.

– Popchnęłam go – oznajmiła, wciąż tym samym spokojnym głosem. – Zepchnęłam go ze schodów.

– Dlaczego? – spytałam naprędce.

– Bo go nienawidzę.

– To przez jego mundur? Czy też dlatego, że poszedł tam, do Alice? Alice utrzymuje, że pojawił się tam tylko po to, by pożyczyć od niej jakąś mapę. Oczywiście wszystkie mamy co do tego wątpliwości, muszę jednak powiedzieć, że w danej chwili nie zdaje się zbytnio nim przejmować.

– Kiedy sobie stąd pójdzie?

– Podejrzewam, że kiedy tylko będzie dostatecznie sprawny.

– Nie chcę już więcej na niego patrzeć.

– Nie będzie to konieczne – odparłam. – Leży w bawialni, a nam zabroniono tam wstępu.

Postawiłam tacę na stoliku obok niej. Znow zaczęła szlochać, a książka spadła z kolan. Łzy spływały jej po twarzy, nie próbowała ich powstrzymywać ani nawet otrzeć. Tego typu sytuacje – czy też w sumie, jak sądzę, wszelkie takie oznaki nieskrywanej słabości – zawsze budzą we mnie pewne zniecierpliwienie, tak też właśnie się poczułam, kiedy odwróciłam się od niej i podeszłam do jej komody w poszukiwaniu czystej chusteczki.

Zapewniam was, moją jedyną intencją w tym momencie było znalezienie chusteczki. Nie miałam najmniejszego zamiaru myszkować w jej rzeczach i bynajmniej nie odczuwałam zaciekawienia, otwierając górną szufladę komody, gdzie logicznie można się spodziewać tego rodzaju przedmiotu. W środku istotnie leżały chusteczki – i to całkiem sporo, we wszelkich typach i kolorach, było ich prawdopodobnie więcej niż razem u wszystkich pozostałych. Na szczycie stosiku chusteczek spoczywało niewielkie lustro toaletowe z rączką z kości słoniowej, obok niego zaś – kieszonkowy ferrotyp w taniej ramce, nieco wygnieciony i wyblakły.

Zdjęcie przedstawiało młodą Murzynkę o jasnej karnacji, w zwiewnej, letniej sukience i z parasolką w dłoni, przy czym zarówno sukienkę, jak i parasolkę, jak sądzę, pożyczyła jej na tę okazję jej pobłażliwa pani czy też może sam fotograf, którego zakład, jak przeczytałam na ramce, znajdował się w Savannah. Dziewczyna, przynajmniej w połowie mieszanej krwi, była uderzająco piękna i uznałam, że to zapewne jakaś niańka bądź służąca, do której Edwina była w dzieciństwie przywiązana, aczkolwiek trudno sobie wyobrazić, by Edwina do kogokolwiek mogła się przywiązać. Lecz kiedy odwróciłam już uwagę od zdjęcia i zaczęłam przyglądać się lusterku – bardzo misternie, acz nieco ckliwie zdobionemu kupidynami, pączkami róży i tego typu dodatkami na rączce i na ramce – nastąpił pewien dość nieprzyjemny incydent.

W tym miejscu wyjaśnię, że nie podniosłam lusterka – ani też zresztą zdjęcia – a przyglądałam im się leżącym w szufladzie, przypuszczam więc, że Edwina nie miała pojęcia, który z jej ukrytych skarbów odnalazłam. W każdym razie kiedy odwróciłam się z powrotem w jej kierunku z chusteczką, dostrzegłam, jak wpatruje się we mnie z wyrazem absolutnego przerażenia na twarzy.

– Twoje złoto i klejnoty są bezpieczne – zapewniłam ją. – Nic stamtąd nie wzięłam.

– Na pewno...?

– Niczego nie ruszyłam – przerwałam jej dość gniewnie. – Bądź spokojna, że guzik mnie obchodzą twoje skarby!

– Przepraszam, Emily. Nie pomyślałam nic złego.

– No, mam nadzieję – odparłam. – Zachowujesz się skandalicznie. A teraz otrzyj oczy i doprowadź się do porządku. Wyglądasz absolutnie odrażająco.

Tak się złożyło, że łyzy, jak zauważyłam, przestały jej płynąć, gdy podałam chusteczkę. Najwidoczniej chciwość bierze niekiedy górę nad szlachetniejszymi emocjami. Tak czy siak, pomimo poirytowania kontynuowałam swoje dzieło miłosierdzia, oporządzając jej szlafrok, który się rozchełstał, odsłaniając spory kawałek jej ciała. Miała na sobie dokładnie to samo, co w chwili, gdy opuszczała nas poprzedniego wieczoru, było więc oczywiste, że w ogóle nie położyła się do łóżka. Cóż, zdawszy sobie sprawę ze zgryzoty, jaka najwyraźniej nie dała jej zmrużyć oka, nieco ochłonełam.

– Jestem pewna, że panna Martha i panna Harriet zrozumieją, jeśli postanowisz zostać tu aż do kolacji – oznajmiłam. – Przy całej tej sytuacji z McBurneyem nie zdziwię się, jeśli do końca dnia i tak nie będzie lekcji.

W ramach jeszcze jednego gestu dobrej woli podniosłam książkę, która upadła. Był to zbiór utworów Williama Blake’a, otwarty na wierszu o niewielu słowach, lecz okazałym ładunku sentymentalnym.

– „Nigdy nie staraj się wyrazić, bo nie ma dla niej słów, miłości” – przeczytałam na głos. – „Najłagodniejszy wiatru powiew niewidzialny jest, bezgłośny”^[5].

– Emily, proszę cię – odezwała się moja była współlokatorka, przygryzając kostki.

– „Wypowiedziałem moją miłość, wszystko, czym żyła moja dusza. Drząc, ogarnięta trwogą, miłość, ach, oto mnie opuszcza”.

– Emily, proszę, nie czytaj już!

– To jakieś straszne głupoty, nie uważasz?

– Tak, Emily. Emily...?

– No co? Wysłów się.

– Emily, czy ty mnie lubisz?

– W danej chwili nieszczęśliwie, nie. Aczkolwiek zważywszy na szczególne okoliczności, chyba mogę wyznać, że lubię ludzi wykazujących inicjatywę.

Możesz to wziąć pod rozwagę i uwzględnić w swoim postępowaniu. A teraz weź się w garść i spróbuj zachowywać się jak dorosła dama.

– Dobrze, Emily.

– Dość mamy dzisiaj kłopotów, by jeszcze do tego ktoś urządzał sceny z powodu podobnej błażostki. Bez względu na to, jak bardzo kapral McBurney cię obraził. Jesteś kobietą z Południa, i jeśli już musisz szlochać, to znajdziesz po temu godniejsze powody.

– Tak, Emily.

– No dobrze. Zjedz śniadanie i dajmy już sobie spokój z tym absurdem.

– Dobrze, Emily. – Posłusznie wzięła łyżkę i zabrała się do jedzenia kaszy.

Wówczas z poczuciem drobnego osiągnięcia wyszłam z pokoju i wróciłam na parter. „Dziewczyny!”, pamiętam, że pomyślałam ze zniecierpliwieniem. „Durne dziewczyny, gotowe stracić panowanie nad sobą i całą godność dla bezwartościowego włóczęgi pokroju McBurneya”. W myślach zaczęłam odcinać go od grona Jankesów, ponieważ fakt jego przynależności do choćby i nieprzyjacielskiej armii sprawiał, że cała ta wojna zdawała się mniej szlachetna, Jankesi zaś – mniej godni roli naszych przeciwników. W swojej odrazie zaczynałam wręcz chyba odcinać się od całej kobiecej płci.

Kiedy zesłam do biblioteki, zgromadzone były pochłonięte bynajmniej nie nauką, a entuzjastyczną dyskusją. W przypadku uczennic nie można liczyć, by przez choćby pięć kolejnych minut wykonywały otrzymane polecenia, o ile nie stoi się nad nimi jak kat nad dobrą duszą.

– Na litość boską, a teraz o co chodzi? – spytałam.

– O nogę biednego Johnny’ego, nie żeby ten temat w ogóle cię jakoś obchodził – odparła impertynencko Alice.

– Istotnie, są teraz w życiu ważniejsze sprawy – odparowałam. – Tak czy owak, wydawało mi się, że według słów panny Harriet z nogą McBurneya jest już lepiej.

– Panna Harriet myliła się w tej kwestii, tak jak często myli się w wielu innych – poinformowała Marie z typową dla siebie impertynencją. – Dosłownie chwilę temu panna Martha przysłała tu z oficjalnymi i dokładnymi

nowinami w sprawie McBurneya. I tak mi przykro, Emily, że przed zakomunikowaniem tego nie spytała wpierw, czy jesteś obecna.

– Doczekasz ty się jeszcze dziś wytargania za uszy, panienko – oznajmiłam. – A teraz niech któraś mi przekaże, co powiedziała panna Martha, albo w tej chwili wszystkie wróćcie do książek. Wybór należy do was, zupełnie nie robi mi to różnicy.

Rzecz jasna, jakąś tam robiło. Jestem tak samo jak każdy inny zainteresowana wszystkim, co dzieje się w tym domu. Kara, którą zagroziłam, była właściwie najsurowsza, jaką mogłam im wymierzyć. I zgodnie z moimi przewidywaniami groźba okazała się skuteczna.

– To straszne – wyrzuciła z siebie Amelia, która jak teraz spostrzegłam, nie okazywała tego samego entuzjazmu co pozostałe, a w rzeczywistości pochlipywała. Oczywiście powinnam się tego spodziewać, w tych dniach bowiem w tym domu niemal zawsze ktoś akurat pochlipywał.

– Co jest takie straszne, biedactwo? – dopytałam.

– Chodzi o nogę Johnny’ego – wyjaśniła nasza przyrodniczka. – Panna Martha całkiem mu ją utnie!

MARTHA FARNSWORTH

Wiedziałam, że wina spoczywa na nim, nieistotne, jaką część odpowiedzialności można by zrzucić na którąkolwiek z uczennic. Nieistotne nawet, co się tej nocy stało na drugim piętrze, co nim kierowało, i tak wiedziałam, jakie miał zamiary. Byłam tak rozjuszona tym aktem nadużycia mojej gościnności, że najchętniej zawlokłabym go na Brock Road i tam porzuciła, gdyby nie interwencja mojej siostry. Później dotarło do mnie, że taki postępek z mojej strony mógłby zbulwersować młodsze dziewczynki, które przypuszczalnie nie miały świadomości zamiarów McBurneya.

Tak czy owak, choć przekonana o jego winie, udzieliłam mu pierwszej pomocy. Powstrzymałam krwawienie, przeniosłam z powrotem do łóżka na parterze, a następnego ranka po usilnych namowach wszystkich podjęłam naprawę długotrwałą próbę naprawienia szkód, jakie panu McBurneyowi wyrządziła jego własna głupota.

– Trzeba nam tu cudotwórcy, żeby przywrócić nogę do dawnej sprawności – orzekłam po powtórnym jej zaszyciu.

– A pani to na pewno umie czynić cuda – powiedział pogodnie mój pacjent. – Oj, naprawdę, proszę nie zaprzeczać, pani kochana, bo nikt tutaj nie uwierzy w ani jedno pani skromne słowo.

– Jest zszyte równie starannie jak poprzednio – odezwała się do mnie dzielnie Harriet.

Jeszcze chwilę wcześniej było jej słabo i musiałam posłać ją do biblioteki, żeby sprawdziła, co robią uczennice. Ewidentnie jednak odczekała w korytarzu, ile się dało, ponieważ wróciła dopiero, kiedy już kończyłam swoją robotę.

– Może wygląda na staranne, ale na pewno nie wygląda dobrze – zauważyłam. – Sama spójrz, jak łydka jest spuchnięta i posiniąta.

– Na miły Bóg, jak łydka sina, to dajta mi wina – zakrzyknął beztrosko pan

McBurney. – A zresztą czort z tym, nie ma co pieścić się z tą łydką i w ogóle z całą nogą. Panie kochane, za pań szanownych przeproszeniem, temu giczołowi trzeba zimnego okładu i porządnego masażu nieskalanie bielutkimi rąsiami panny Marthy Farnsworth, a szybko tam wszystko będzie mocne i zdrowe jak nowo narodzone. Takie mam zdanie i nie zmieni tego ni papież, ni prezydent Lincoln, ni nawet sama królowa Wiktorja!

– Proszę też zauważyć, że nie ma pan w niej żadnego czucia.

– Jak pani tak może, panno szanowna, jak pani może! A to jeszcze pani trzeba wiedzieć, że ta noga jest najczulszym moim członkiem ciała. Ta noga, gdy w złe towarzystwo wpadam, rumieni się caluteńka jak ta lala. Lata całe służyła mi za barometr, abym pozostawał zawsze w stanie łaski!

– On na pewno czuje trochę bólu – nie ustępowała Harriet. – Tylko to wino i ta fanfaronada powodują, że nawet się nie wzdryga, kiedy zszywasz igłą.

Wino, niezależnie czy rzeczywiście dawało jakiś efekt uśmierający, na pewno przydało mu animuszu, żeby odgrywać przed wszystkimi obojętność. Moja siostra polewała mu nader szczerze, a co gorsza to wyraźnie rozwiązało mu język. Zaczął używać słów zupełnie haniebnych, a po każdym przekleństwie czy rynsztokowym zwrocie następowały kpiące przeprosiny pod adresem moim i siostry.

– Bóg wychłoscze bogatych, za przeproszeniem drogich pań – podjął teraz McBurney. Przytoczę tu dokładnie jego słowa. – Nie ma to jak dwie zacne damulki z Południa umilające twojej nodze ciepły wiosenny poranek. Śmiało, kochana panno Harriet, niech pani tu podejdzie i posmyra nóżkę tam czy siam. Po co ta nieśmiałość, kochaniutka? Nie widzi pani, co to siostra haruje przy szkodzie? Wcześniej może ze dwa razy miała męską nogę na kolanach, o, wystarczy spojrzeć na nią, a od razu widać. O tak, o, zabierz mi nogę do Wirginii umiłowanej! I ze dwie powabne dzierlatki, co by mi ją gładziły... i podszczypywały... i ździebko masowały ukradkiem. O tak, powabne dzierlatki na trzy zacności: zacnie urodzone, zacnie wychowane, no i zacnie obdarzone, ha! Gdzie mnie tam karczemne biusty, żadne tam gminne, w żadnym razie, ale takie najprawdziwsze, rejestrowane, proszę panią kochaną, z pierwszej klasy, ot, królewskie. Z prawdziwego ziemiaństwa, jak cię mogę,

drobne, ale nie niepokażne, bardziej do oglądania niż używania, gustowne, wyniosłe, wytworne, dziarskie, dziewczęce śliczności...

– Nie ruszaj się stamtąd, siostró, albo stąd wyjdź – powiedziałam do Harriet.

– Odejdź, o tak, panno Harriet. Pani kiecka ma zbyt głęboki dekolt jak na salę operacyjną.

– Nie zwracaj na to uwagi, Harriet, słyszysz?

– Nie zwracam, no przecież nie zwracam.

Ale była zarumieniona jak dojrzałe jabłko i nawet lekko się uśmiechała, co oczywiście tylko dodawało mu animuszu.

– Panno Martho, po co ta zazdrość? Moje ostatnie uwagi odnosiły się do was obu.

– Powiesz pan jeszcze jedno słowo, młody człowieku, a będziesz pan przeżuwał ten zimny okład, zrozumiano?

– O tak, pani szanowna. Bez urazy, ja bardzo panią kochaną proszę. Jak może taki biedny wrak prowincjusza jak ja w ogóle ośmielać się drażnić takie cudowne osóbki... dystygowane i okazałe, zrównoważone i doskonałe, rzadko uśmiechnięte, nigdy roześmiane, z częsta uprzejme, z czasem okrutne, wiecznie rozmarzone, nigdy ośmielone...

– Dostyc tego!

– Ma pani rację, pani szanowna. A proszę się nieco pochylić, to przygryzę z deczka pani usteczka.

To przelało czarę mojej goryczy i spełniłam swoją wcześniejszą groźbę: cisnęłam mu w twarz zimny kompres. Przykryty nim wesoło wciąż rechotał, ale nie uczynił najmniejszego ruchu, żeby go zdjąć.

– Chciałabym wiedzieć, która z nas dwóch marzyła, a się nie ośmieliła – podjęła cicho moja siostra. – I jakie to marzenie.

– Nie słuchaj tego – odparłam. – Skończmy z tym ordynarnym mieleniem ozorem.

Zawiązałam supeł w szwie i odciąłam nitkę, potem wstałam na chwilę, mierząc wzrokiem z góry swoje dzieło.

– Mam to zabandażować, panno Martho? – wtrąciła się Mattie cierpliwie stojąca obok.

– Możesz, jeśli chcesz. Szczerze mówiąc, nie sędzę, żeby to miało jakiegokolwiek znaczenie.

– Co masz na myśli? – zapytała mnie Harriet.

– Może to zabrzmi okrutnie, może nie, ale chyba czas spojrzeć prawdzie w oczy. W nogę wdało się zakażenie, które postępuje. Trzeba będzie ją amputować.

Można by oczekiwać, że chichot pod tkaniną ścichnie jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, ale nic takiego nie nastąpiło. Odgłosy wesołości trwały w najlepsze, jak gdyby mój rozmówca uważał moje komentarze za wyjątkowo pocieszne.

Harriet wpadła jednak w większy popłoch.

– Siostró, ty chyba nie mówisz poważnie!

– Czyżby?

– Przecież na razie nie dałaś tej nodze szansy, żeby się zagoiła.

– Nie zagoi się. Wiedziałam, że nasze starania nie zdadzą się na nic. Ale chciałam, żebyś była zadowolona.

– Czyli chcesz go oddać teraz jankeskim chirurgom, jak tyle czasu spędziłaś nad nim dziś rano? Wyrzucisz go przy głównej szosie czy zaprosisz tu kogoś od nich?

Na kanapie pod kompresem na twarzy wreszcie zapadła cisza. Biło po oczach, że pan McBurney o wiele bardziej boi się konsekwencji związanych z trafieniem w ręce swoich towarzyszy niż wszystkiego, co ja mogłabym mu wyrządzić.

– Ani jedno, ani drugie. Całą noc nie spałam i zastanawiałam się nad taką ewentualnością. Uznałam, że nie byłoby zbyt roztropne sprowadzać tu kolejnych żołnierzy. Poza tym kapral McBurney też nie chciałby spotkać żadnego ze swoich chirurgów. Dlatego po wykluczeniu wszelkich innych możliwości wychodzi na to, że same będziemy musiały mu tę nogę amputować – podsumowałam.

Reakcją na moje słowa była potężna salwa śmiechu w wykonaniu naszego gościa. Odrzucił tkaninę na bok i kwiczał z niepohamowanej wesołości.

– Śmiało, panno Martho, proszę ją odrąbać! – wołał. – Ma pani moje pozwolenie!

– Bardzo dobrze, to wszystko uprości, choć zresztą i tak zamierzałam o nie spytać – potwierdziłam.

– Daję pani zgodę z ogromną przyjemnością – powtórzył. – Proszę odciąć piłą, skarbie, a słodka panna Harriet potrzyma mnie wtedy za ramię, coby mi ulżyć.

– Musimy się wpierw przygotować, a to trochę potrwa – odparłam. – Pewnie nie zaczniemy przed porą obiadową. Ale myślę, że trzeba to zrobić przed zmrokiem, ponieważ wahałabym się operować przy świetle lampy.

– Martho, on myśli, że ty żartujesz – stwierdziła moja siostra.

– Naprawdę?

– Myśli, że próbujesz go tylko nastraszyć.

– Dlaczego miałabym to robić?

– Żeby ukarać mnie, pani droga memu sercu. – McBurney wyszczerzył zęby w uśmiechu. – A jak mi Bóg świadkiem, zapracowałem na karę za to gorszące obchodzenie się z pannami, moje kochane, za nadużycie waszej gościnności i wiele innych rzeczy. Ale zadośćuczynię wam już niebawem, przyrzekam. Zanim was opuszczę, chcę każdą mocno ucisnąć i ucałować za to, że byłyście dla mnie takie łaskawe. Zrobię to, jak tylko mi wino wyszumi w głowie i wtedy nie będę raził was swoim pijackim oddechem.. – Wciąż rozchichotany położył się z powrotem i zamknął oczy.

– Jest całkowicie odurzony, Martho – oznajmiła moja siostra.

– No, to na pewno. Dziwne, że w ogóle może mówić. Właś w niego tyle alkoholu, że obezwładniłby i dwóch takich.

– Ale on nie zdaje sobie sprawy z tego, co mówisz! On naprawdę myśli, że to są twoje gierki, dobrze o tym wiesz, Martho. A nawet jeśli by dotarło do niego, że mówisz poważnie, tak czy inaczej nie możesz uznać jego zgody. Nie można polegać na sądach pijanego!

– Nie opieram się na jego sądach, tylko na swoich. Podejrzewam, że kiedy wytrzeźwieje, zapewne odmówi takiej zgody, ale myślę, że bardziej godna zaufania jest moja ocena sytuacji niż jego. Uważam, że ten wprowadzić bardzo drastyczny krok jest konieczny, aby uratować mu życie.

– To jest jego życie, Martho.

– Nie tylko jego. Odpowiadamy za siebie nawzajem, jedni za drugich. Każdy z nas należy do braci i sióstr swych... i do Boga.

Myślę, że McBurney zdążył już usnąć, ponieważ nie dawał po sobie poznać, że słyszy te ostatnie zdania. Wciąż się nieznacznie uśmiechał z beztrasko otwartymi ustami. Nawet się nie poruszył, kiedy położyłam mu dłoń na czole.

– Ma gorączkę, tutaj to ani chybi – zauważyła Mattie. Owijała pasek tkaniny wokół nogi. Tkanina... Kolejny ofiarowany przez panienkę Edwinę Morrow kawałek jakiegoś ubrania lepiej moim zdaniem byłoby zostawić na późniejszy użytek, ale zachowałam to spostrzeżenie dla siebie. – Pewnikiem, proszę pani, ma on jakąś parszywość w swoim ciele, co go całego rozpała.

– Czyli zgadzasz się ze mną, że noga jest zakażona?

– O zdanie się mnie pani pyta? No to ja myślę, że ani chybi ta noga ma się gorzej niż poprzednio. Robi się cała ciemna i jest opuchnięta, jak cię mogę. Aha, no i trochę to może brać się i z tego, że krew tam nie dopływa. Za mocno chyba zacisnęła pani opatrunek.

– Martho, czy możemy usunąć tę opaskę? – poprosiła Harriet. – Może wpierw powinna zostać poluzowana.

– Trzeba było ścisnąć żyły w dolnej części kończyny, żeby w nocy się całkiem nie wykrwawił – odparłam ostrym tonem. – Jeśli uważasz, że masz bardziej fachową wiedzę w tym zakresie niż ja, to poproszę, żebyś objęła stery i pozwoliła mi udać się na spoczynek.

Harriet nic nie odpowiedziała, tylko w charakterystyczny dla siebie, idiotyczny sposób uśmiechnęła się słabo i spuściła wzrok. Spojrzałam wymownie na Mattie, ale ona tylko wzruszyła ramionami i też nic nie powiedziała. Wtedy – podejrzewam, że już z widoczną irytacją – spełniłam ich życzenie, wzięłam nożyczki i rozciąłam opatrunek uciskowy. Nogą

szarpnęło, a McBurney zmarszczył brwi i lekko jęknął. Szczęśliwie jednak szwy wytrzymały i noga nie zaczęła krwawić na nowo.

– Ewidentnie coś poczuł przy tym – zauważyła moja uparta siostra.

– Możliwe że czasami rwie go z bólu – przyznałam. – Zakładam, że obecność gangreny nie oznacza koniecznie zupełnego braku czucia w zajętej kończynie. Dlatego wyznaczę ci zadanie, które chyba będzie ci odpowiadać. Możesz zejść do piwniczki i przynieść kolejną butelkę wina, dwie butelki, jeśli wolisz. Potem przez kilka godzin możesz dalej go tym poić. Chcę, żeby był całkowicie otumaniony, kiedy przystąpimy do dzieła.

– Nie poczekaś i nie porozmawiasz z nim o tym, kiedy będzie przytomny? – Nie ustępowała Harriet.

– Przecież to nic nie zmieni – przypomniałam jej z anielską cierpliwością. – Nieważne, co powie. Nie mamy aż tyle czasu.

– A to jest pani pewna, panno Martho, że z nim aż tak kiepsko? – dopytywała się Mattie.

– Tak, jestem absolutnie pewna.

I rzeczywiście byłam. Przeszłam przez korytarz, żeby zawiadomić uczennice o mojej decyzji. Chciałam w tym przypadku zakomunikować im to wystarczająco wcześnie, żeby się z tą myślą oswoiły, przetrwały ją i przyzwyczyły się do niej, zwłaszcza że niektóre mocno przywiązały się do pana McBurneya. Pokrótce wyjaśniłam im, że jest to absolutnie konieczny krok, aby ocalić mu życie, i że operacja zostałaby przeprowadzona już dawno, gdyby znajdował się pod opieką służb medycznych jednej czy drugiej armii.

– Ale tylko dlatego, że z braku czasu nie chcieliby sobie nim zawracać głowy – zauważyła panienska Amelia nieco zuchwale.

– A my już zawracałyśmy sobie nim głowę chyba wystarczająco długo – odparłam. – I mogę panienkę zapewnić, że ratowałybyśmy tę nogę, gdybym sądziła, że to najlepsze wyjście.

– Najlepsze dla kogo, panno Martho? – zapytała Marie.

– Trzeba to zrobić przez wzgląd na dobro kaprała McBurneya. A zrobimy to same, przez wzgląd na nasze dobro. I jestem pewna, że pójdzie nam równie

dobrze jak chirurgom wojskowym.

Następnie poszłam na górę do swojego pokoju i pomodliłam się, żeby w najbliższych godzinach moja determinacja nie straciła na sile. Żeby moja ręka była pewna, spokojna i niewzruszona i żebym ani na chwilę nie zwątpiła, że uczyniłam słusznie. Usiadłam na krześle przy oknie wychodzącym na pergolę, przy której ten młodzian przywrócił porządek i piękno pamiętane z mojego dzieciństwa. Bez dwóch zdań miał smykałkę do ogrodnictwa. Nawet ten niewielki, okrągły kawałek ziemi na szarym końcu ogrodu, gdzie stała nasza mała imitacja greckiej świątyni, został uprzątnięty. Zauważyłam to teraz, chociaż wyraźnie pamiętam, jak zakazywałam mu zajmowania się tamtą częścią ogrodu.

Wyciął zarośla wokół budyneczku i naniósł z zewnątrz warstwę wapna, ponieważ w pełnym słońcu wyglądała na czystą i równie nową jak tamtego letniego dnia przed wielu laty, kiedy wznosiliśmy ją z bratem. Uznałam, że McBurney musiał wykonać to zadanie wczorajszego popołudnia i umknęło to uwadze wszystkich domowników, ponieważ – w obliczu tylu emocji i wydarzeń – tego poranka nie odbywały się zajęcia w ogródku warzywnym.

Zdecydowanie będę musiała poruszyć z nim ten temat, jak tylko dojdzie do siebie. Może zanim się go odeśle, warto będzie wcześniej zlecić mu rozebranie tego budyneczku. I tak przecież już od dłuższego czasu myślałam o tym i może to byłaby dobra nauczka dla McBurneya, jeśli właśnie jemu się to powierzy. Potem sobie przypomniałam, co zamierzam, i że wiele wody upłynie, nim on znów będzie w stanie zająć się takimi rzeczami, o ile w ogóle.

Nie miało to wielkiego znaczenia. Świątynia mogła poczekać lub ktoś inny mógł ją rozebrać. Albo równie dobrze mogła zostać tak jak teraz, jaśniejąca po odnowieniu, świadectwo niezrealizowanych zamierzeń i błędów życiowych.

Byłam jednak przekonana, że zadanie, którego się podejmiemy po południu, zakończy się powodzeniem. McBurney szybko wydobrzeje i odejdzie, a wtedy wróci do nas taki porządek, jaki zapanował teraz w ogrodzie. McBurney może się udać, dokąd zapragnie. Aby przyspieszyć jego wyjazd, może zapewnię mu trochę pieniędzy na bilet kolejowy do Richmond lub Charlestonu, czy

gdziekolwiek będzie chciał. Nie trzeba mówić, że nie pali się do powrotu na Północ, a skoro będzie już niezdolny do odbywania służby wojskowej, tamtejsze władze zapewne nie będą się nim już interesować. W tym sensie może nawet wyświadczamy mu przysługę. Byłam przekonana, że po wszystkim spojrzy na to w ten sposób. Zrozumie nieodzowność tego kroku, dostosuje się do nowej sytuacji i wykorzysta ją, na ile się da. Jako i my powinniśmy czynić przez wszystkie dni nasze.

Będzie wiedział, że cokolwiek uczyniliśmy, to dla ratowania jego życia. Nie karałyśmy go naumyślnie, nie okaleczyłyśmy go po to, żeby ograniczyć jego swobodę poruszania się, lecz tylko starałyśmy się mu pomóc. Jest rezolutnym chłopcem – chociaż tyle – i na pewno zdoła pojąć, że wszystko to nie mogło być niczym przyjemnym dla żadnej z nas, a już zwłaszcza dla mnie, albowiem to ja będę musiała ponosić ciężar nie tylko dokonania samej czynności, lecz także odpowiedzialności za tę decyzję.

Spałam mniej więcej godzinę i ocknęłam się, gdy Mattie przyniosła mi filiżankę herbaty miętowej. Akurat tego nie brakuje w naszej szkole. Liści mięty i innych ziół mamy pod dostatkiem dzięki małej Amelii Dabney, która za każdym razem, kiedy udzielam jej zgody na pójście do lasu, przynosi świeżą dostawę – choć obawiam się, że w większości produktów nie do strawienia.

– Panienci zjadły posiłek w południe – poinformowała mnie Mattie – a panna Harriet mówi, że ten Jankes to bardziej otumaniony już nie będzie. Czego by pani od nas jeszcze chciała?

– Kilku rzeczy, a każda musi zostać wykonana starannie, ale bez ociągania. W pierwszej kolejności zbierz wszystkie nasze noże kuchenne. Jeszcze nie wiem, których będę potrzebowała, więc przygotuj wszystkie. Naostrz je bardzo dokładnie, a potem wyparz we wrzątku. – Podeszłam do dużej komody, w której trzymam niektóre rzeczy osobiste należące do mojego brata i do ojca, i wyciągnęłam dwie brzytwy z uchwytem z kości słoniowej, z najprzedniejszej stali z Sheffield. Mój ojciec wiele lat temu nabył je w Anglii. – Te są chyba czyste – powiedziałam Mattie – ale i tak wyparz je w tym garnku z pozostałymi. Możesz też przynieść wielką piłę do mięsa z wędzarni i wyczyść ją najlepiej, jak się da. Potem zabierz dywan z jadalni i porządnie

wyszoruj stół.

– Chce pani zniszczyć to piękne drewno?

– Nie ma wyjścia – odparłam. – To jedyny duży stół, jaki mamy. A nawet jeśli nie będzie teraz wyszorowany, to i tak trzeba to będzie zrobić już po wszystkim. Może kiedyś pokryjemy go znów lakierem, ale teraz nie czas na takie rozmowy. Potem zbierz całe czyste płótno, jakie się znajdzie. Prześcieradła, obrusy, zapasowe poszewki na poduszki...

– Nie mamy zapasowych poszewek na poduszki już po pierwszym roku wojny – przypomniała Mattie. – No a prześcieradeł to i tak nie starcza na pani łóżko i dla panny Harriet. Zostało nam może wszystkich ze cztery czy pięć.

– Weź je i zobaczmy, co się okaże potrzebne. Weź też wszystkie poszewki na poduszki. Nie wątpię, że dziewczęta chętnie zgodzą się je przekazać. Możesz je jeszcze zapytać, czy zechcą pójść za przykładem panienki Edwiny i oddać nam zapasowe koszule i bieliznę nocną. Najlepiej płócienne, jeśli mogą się bez nich obyć. Też chcę mieć tego sporo pod ręką, a potem podrzemy je już pod kątem naszych potrzeb. Możesz też poprosić o pomoc dowolnie wybrane przez siebie uczennice. Przekaż im, że masz moją zgodę.

– Jedyna, co to z niej jakikolwiek pożytek tutaj, to moja mała, biedna panienka Amelia, ale jest zbyt pomarkotniała tym wszystkim, żeby jeszcze komuś pomagać. Panienka Amelia jako jedyna tutaj do czegoś się zdaje. Panienka Emily to za dużo dyryguje, panienka Marie ma nadto diabelskich cech, a panienka Alice to nadaje się jeno do stania przed lustrem i wypatrywania, czy przez noc spotężniała w biuście. A jeszcze tamta, co to siedzi teraz zamknięta w swoim pokoju... Ja nawet nie wiem, co człowiek może o niej powiedzieć do rzeczy. Nie ma należytego podejścia do niczego, nawet do siebie samej.

– Zgodzę się, że panienka Edwina to bardzo trudna młoda dama. Nigdy nie dała najmniejszej choćby nadziei, że się przystosuje. Gdy skończy się już ta sprawa z kapralem McBurneyem, może napiszę do jej ojca, żeby ją stąd zabrał.

– A to założę się o wszystkie dobra, panno Martho, że jej tatusiek nigdy nie odpowie na pani list. Pewnikiem, że chce ją widzieć równie mocno, jak i pani.

– Może tak czy inaczej będzie musiała wyjechać. Niewykluczone, że odeślemy ją do domu, nawet jeśli jej ojciec tego nie chce.

– Czyli pani uważa, że skończyły się jej już pieniądze?

– Dosyć tego tematu!

– Ja po prostu tak myślałam, czemu już dawno nie odesłała jej pani do domu.

– Miałam nadzieję, że będę w stanie coś dla niej zrobić, ponieważ w jakimś sensie stanowiła dla mnie wyzwanie. Do tej pory nigdy w przypadku żadnej uczennicy nie przyznałam się do porażki, ale może musi być ten pierwszy raz. A skoro już do tego dojdzie, to może dobrze będzie przyznać się do dwóch porażek. Tak, myślę, że z końcem tego lata panienkę Edwinę oraz panienkę Alice chyba należałoby odesłać. Wojna raczej się do tego czasu skończy, bez względu na to, kto ją wygra, a w szkole wkrótce znów pojawi się dużo uczennic bardziej godnych przebywania tutaj.

– Żal mi tej dwójki – westchnęła Mattie. – Nic nie poradzą na to, jakie są. Panią Alice nie zmieni tego, co to wyrządziła jej własna matka. To tyczy się i tej drugiej.

– Też mi ich żal, ale nie można prowadzić takiej instytucji, opierając się na współczuciu czy w ogóle kierując się jakimikolwiek emocjami. Tak jak nie mogę pozwolić dojść do głosu moim emocjom, jeśli chodzi o decyzję o amputowaniu nogi kaprala McBurneya – potwierdziłam.

– A to jest pani pewna, że właśnie tego pani teraz nie robi? – wypaliła Mattie.

Przytoczę to wszystko dosłownie tak, jak zostało powiedziane. Jeśli kiedykolwiek zostanę w tej sprawie oskarżona o działanie pod wpływem niegodnych pobudek lub jeśli ktoś oświadczy kiedyś, że byłam ostrzegana, aby nie przeprowadzać niepotrzebnej operacji, to będzie można utrzymywać zgodnie ze stanem faktycznym, że panna Martha Farnsworth nigdy nie odmówiła przedyskutowania tej kwestii otwarcie, wyczerpująco i nieskrępowanie, i nigdy nie usiłowała niczego ukrywać. I zdecydowanie nie czuje się teraz winna niczemu i wtedy też się nie czuła winna, ewentualnie temu, że skazuje swoje podopieczne, by cały dzień kłopotowały się osobą

postronną.

– Jesteś bezczelną, prymitywną łajdaczką, jakich mało, i z każdym mijającym dniem w karygodny sposób stajesz się coraz bardziej nieznośna. Czasami sobie myślę, że obrażam samego Pana, trzymając cię tutaj, żebyś mnie dręczyła! – odpowiedziałam swojej służącej.

– A ja tylko pytanie zadałam – bezczelnie powiedziała Mattie.

– To było zdecydowanie niewłaściwe pytanie, o czym sama dobrze wiesz – upomniałam ją. – W ogóle nie zasługuje na odpowiedź, ale żebyś już nie roztrząsała tej kwestii w obecności postronnych, powiem, że moja decyzja, zapewniam cię, jest całkowicie obiektywna. Nie zamierzam odjąć Jankesowi nogi z powodu strachu, złości, współczucia czy innego niż zdrowy rozsądek i żelazna logika. Zrobię to, ponieważ zdecydowałam, że to jedyne rozsądne rozwiązanie.

– Rozsądne dla niego?

– Tak! – krzyknęłam. – Dla niego!

– No dobrze już – zaczęła się krygować. – Nie ma co się od tego tak od razu gorączkować. Tylko bym wolała wiedzieć, że jest pani pewna, i tyle. Niech no się pani teraz napije tej herbaty, póki nie wystygnie. Czy chce pani, bym przyniosła tu na górę pyszną zupę z rzepy i ciutkę zieleniny, a może też kawałek boczku, który nam został?

– Nie, nic nie chcę.

– Przyda się pani wrzucić coś na żołądek, zanim weźmie się pani za tego chłopinę. Musi być pani silna i żeby się pani aby w głowie nie zakreśliło. To nie będzie nic przyjemnego, a nie może pani omdleć tak w trakcie, jak dziś rano prawie się to trafiło pannie Harriet. Zupa będzie na panią czekać, kiedy zjedzie pani na dół, a i ja będę ciągle stała nad panią, aż zje pani ostatnią łyżkę.

Potem wyszła z pokoju, kolejny już raz okazując swoją chytrą umiejętność łatwego przejścia od buty i otwartego buntu po – jeśli się jej nie znało – najbardziej przekonującą i ujmującą troskę. Cóż, znam ją na wylot i nie daję się nabrać na nagłe zmiany masek. Gniew jednak szybko ustąpił, kiedy

uświadomiłam sobie, że ta sytuacja z Mattie nie była niczym nowym i niestety nie można rozwiązać tego w taki sposób, w jaki zaradzano tego typu sytuacjom przed wojną. Nie można już ot, tak sprzedać swoich udreń, skoro nie ma nikogo, kto by je nabył. Trzeba je znosić, zawiesić je sobie jak kamień młyński, póki nie nastaną lepszy czasy. A sądzę, że wkrótce muszą nadejść, ponieważ po prostu gorsze być już nie mogą.

Tak rozmyślając, wypiliśmy herbatę miętową, potem przebrałam się w starą, ale czystą sukienkę z kraciastej bawełny i mocno upięłam włosy, żeby nie rozsypały się w trakcie i nie przesłoniły oczu. Na koniec wyszorowałam dłonie i ramiona twardą szczotką w wodzie z mydłem, a potem upewniwszy się, że zrobiłam wszystko, co mogłam, żeby się przygotować, zeszałam na dół, by ocenić przygotowania sali operacyjnej.

Po chwili przekonałam się, że jadalnia rzeczywiście zaczyna powoli przypominać prowizoryczny szpital. Mattie i dziewczęta zebrały dywan i wyniosły krzesła. Emily właśnie tarła mydłem z łoju i parującym wrzątkiem mój ukochany stół z orzecha włoskiego. Alice i Marie z przejęciem biegały po budynku, zbierając kawałki materiału, o które prosiłam, a ich stos – jak zauważyłam z uznaniem – rósł na pulpicie przylegającym do stołu. W przypływie entuzjazmu któraś z pomocnic postanowiła nawet zebrać w jednym miejscu wszystkie lekarstwa i teraz te buteleczki i słoiczki stały obok na drugim pulpicie. Wiedziałam, że krople na żołądek, maści przeciwreumatyczne czy któreś z należących do mojej siostry środków na ból głowy nie będą potrzebne, ale nie chciałam gasić ich zapachu, więc lekko się uśmiechnęłam i nic nie powiedziałam.

Mattie zastałam w kuchni, gdzie zgodnie z moim poleceniem wyparzała i wypłukiwała narzędzia do cięcia. W tamtej chwili wrócił mi już dobry humor i byłam zadowolona, że przygotowania zmierzają w dobrym kierunku. Dlatego przyjąłm miskę zupy z rzepy, którą moja niedawna przeciwniczka bez słowa naląa chochlą, i usiadłam, żeby zjeść kilka łyżek.

– Gdzie jest panna Harriet? – zapytałam Mattie.

– Na końcu korytarza, nie spuszcza tego Jankesa z oka. Nie sądzę, żeby okazała się dla pani pomocna, gdy się pani za to weźmie.

– Nie liczyłam na pomoc z jej strony – powiedziałam uprzejmie. – A gdzie jest nasza mała Amelia?

– A nawiąła nie wiadomo gdzie. Ona też nie jest za tym, co pani i tak robi.

– No to niedobrze – odparłam, ignorując owo „i tak”. – Bardzo mi przykro, ale nie możemy wprowadzić tu demokracji ateńskiej, żeby rządziły nami Amelia Dabney i pozostałe pensjonarki. Obawiam się, że panna Amelia stanie się równie krnąbrna jak Marie Deveraux. Niewątpliwie jest to skutek zbyt częstego przebywania w towarzystwie Marie. Może warto będzie umieścić je w osobnych sypialniach.

– Nie myślę, że słusznie karać dziecko za to, że ma wrażliwe serce.

– Daję ci trzy kwestie pod rozwagę, Mattie – powiedziałam, znowu rozdrażniona. – Po pierwsze nie zamierzam jej karać. Po drugie duża wrażliwość niekoniecznie bywa cnotą, wręcz przeciwnie, w niektórych okolicznościach może okazać się głupotą. Po trzecie kiedy będę chciała twojej rady, sama o nią poproszę.

– Niech pani skończy już, żeby nie ostygła – zmieniała temat niewzruszona.

Szybko dokończyłam, nie ciesząc się już jej smakiem, a potem przesłam przez korytarz, żeby rzucić okiem na pacjenta. Tak jak Mattie przekazywała, był już nieprzytomny. Moja siostra siedziała obok niego i sama raczyła się kieliszkiem.

– To już końcówka – wyjaśniła. – Pomyślałam, że równie dobrze mogę dopić.

– To końcówka tej akurat butelki, co po prostu oznacza, że jeśli obudzi się w trakcie zabiegu, otworzymy kolejną.

– Tak czy inaczej lepiej otworzyć butelkę, Martho. Chyba rozsądnie mieć ją pod ręką, prawda? Tak na wszelki wypadek.

Te usprawiedliwienia oczywiście też były dla mnie solą w oku, ale akurat na to nie mogłam nic poradzić, nieważne czy to wojna, czy nie.

– Korek można usunąć w ułamku sekundy, a madera psuje się, gdy się ją wystawia na działanie powietrza – upomniałam.

– Tak, to prawda. – Harriet westchnęła głęboko. – Wielka szkoda, że nie

mam więcej brandy, którą podsyła nam ojciec Marie. Taki trunek jest najlepszym środkiem nasennym.

– Rzeczywiście byłby – zgodziłam się. – To źle, że nie mamy więcej brandy, ale i źle, że nie zostawialiśmy tego, cośmy miały.

Siostra nie zareagowała na tę uwagę poza kolejnym westchnieniem, choć może zwyczajnie jej się odbiło. Nawet nie próbowałam dociekać, tylko podeszłam znów do drzwi na korytarz i przywołałam Mattie i dziewczęta.

– Przeniesiemy kaprała McBurneya do jadalni – przekazałam, kiedy już przyszły. – Musicie mi w tym pomóc.

– Czy zamierza pani skorzystać z mojej metody? – zapytała Emily. – Czy mamy go pociągnąć tak, jak ściągnęliśmy z piętra wczoraj w nocy?

– To nie jest dobry pomysł, głównie dlatego że w miarę możliwości nie chciałabym go obudzić. Poza tym pozostawałaby kwestia podźwignięcia go do góry i położenia na stole, którego blat znajduje się o wiele wyżej niż kanapa – wyjaśniłam.

– To może przygotujemy jakieś tragi – zaproponowała moja siostra. – Złożmy prześcieradło i przyszyjmy do dwóch mioteł albo weźmy dwie podpórki do winorośli, lepiej się sprawdzą. Podejrzewam, że i tak będziemy potrzebowały czegoś, żeby go przenieść, kiedy już zrobisz, co trzeba...

– Ależ to genialny pomysł, droga siostrzo. Co tylko dowodzi, że twój umysł wciąż może być przydatny, jeśli używasz go do odpowiednich celów. Myślę, że podpórki do winorośli są wytrzymalsze. Emily, pójdz za stodołę i weź dwie porządne podpórki. A ty, Alice, wybierz jedno z prześcieradeł ze sterty zgromadzonej w jadalni, Marie, przynieś z mojego pokoju koszyk na robótki.

– Nie, nie, przynieś mój koszyk na robótki – wtrąciła moja siostra. – Pozwól, Martho... To ja o tym pomyślałam.

– W porządku – zgodziłam się bez urazy. – Przynajmniej zrobisz coś pożytecznego. Ale pospiesz się z tym. Chcę wykorzystać popołudniowe słońce. Tymczasem my będziemy tu kontynuować przygotowania. Dziewczęta i Mattie wrócą do zadań w kuchni i jadalni, a ja przejrzę kilka książek medycznych w bibliotece. Zawołaj mnie, Harriet, jak tylko tragi będą gotowe.

Stosunkowo szybko się z tym uwinęła. Trwałe przyszycie prześcieradła do podpórek – bardzo starannymi, porządnymi ściegami, mimo wyraźnego stanu nerwowości, w jakim się znajdowała – zajęło jej może kwadrans. Pozwoliłam sobie pochwalić jej pracę, a ona nawet się lekko uśmiechnęła, choć wciąż zagryzała wargi.

– Chciałam przygotować na tyle wytrzymałe, żeby kapral McBurney nie wypadł znowu i nie zrobił sobie jeszcze większej krzywdy. Czy poza tym uważasz, że to odpowiada naszym potrzebom? Jak widzisz, zostawiłam sporo miejsca na końcach prześcieradła, żeby cztery osoby mogły nieść podpórki – zdawała mi relację.

– Znakomita robota, Harriet. Jesteś świetną krawcową. Bez dwóch zdań. Gdybyś jeszcze teraz mogła pomóc nam przenieść pana McBurneya przez korytarz, to nie będę nalegać, żebyś uczestniczyła w dalszych działaniach. Znam twój wyjątkowo słaby charakter i myślę, że lepiej cię w to nie angażować, niż liczyć się z tym, że twoja wymuszona pomoc doprowadzi do kolejnego omdlenia lub innego zamieszania, które będzie nam przeszkadzać. Dlatego się nie pogniewam, jeśli pozostawisz to przedsięwzięcie pozostałym, a sama udasz się do pokoju i pomodlisz za powodzenie operacji.

– Zdziwisz się, ale chyba wolałabym być przy tym obecna – odparła Harriet. – Może i nie będzie ze mnie wymiernego pożytku, ale obiecuję nie sprawiać żadnego kłopotu. Skoro twierdzisz, że to wszystko konieczne i trzeba zrobić to dzisiaj... w takim razie czuję się w obowiązku... nie zostawiać cię tu samej... tylko w towarzystwie dzieci...

– Brawo, panno Harriet! – pochwaliła ją Emily. – I o to chodzi. Dokładnie tak samo zawsze mówią sobie nasi dzielni chłopcy, kiedy idą w bój. Mimo że wcale tego nie chcą, to i tak ruszają bez słowa skargi, bo tylko w ten sposób możemy kiedyś wygrać tę wojnę.

– Bzdury – zachnęła się Marie. – Ruszają do boju, ponieważ za nimi stoi długi szereg dowódców gotowych przeszyć ich szpadami czy bagnietami, jeśli nie wykonają rozkazu.

– Panno Martho! – zawołała Emily. – Czy naprawdę pozwoli pani na wygadywanie takich wiarołomnych opinii w pani szkole?

– Nie pozwolę w ogóle już na żadne gadaniny na jakikolwiek temat – oświadczyłam. – Mamy teraz coś do załatwienia. A teraz, Harriet, proszę cię, żebyście z Mattie przytrzymały za końce tragów, a ja i Emily uniesiemy kaprała za ramiona i go tam położymy. Następnie Emily pomoże ci z przodu, a ja przełożę jego stopy. A potem pomogę Mattie przy podpórce na drugim końcu. Czy wszystko jasne?

– Wszystko jasne, ale czy ja też mam coś robić? – zapytała Alice.

– Możesz cały czas iść obok i podtrzymywać go, żeby mu oszczędzić szturchnięć.

– A ja, a ja, czy ja mam być całkiem z tego wykluczona? – zaprotestowała oburzona Marie.

– Ty możesz iść po drugiej stronie i uważać, żeby nie wypadł. Poza tym możesz też ponieść ten podręcznik do anatomii oraz koszyk panny Harriet. Czy wszystkie już wiedzą, co mają robić?

– Robię to przez wzgląd na niego – wyszeptała moja siostra. – Wiem, że to dla jego dobra. Nigdy bym już nie zasnęła spokojnie, gdyby coś mu się stało, a mnie by tam nie było...

– No dobrze. Emily, podnieśmy go razem – zarządziłam.

Po chwili rzeczywiście podniosłyśmy go i ułożyłyśmy na tragach szybciej i sprawniej, niż się spodziewałam. Cała operacja przebiegła tak gładko, że kapral McBurney nawet nie mrugnął okiem ani nie przestał chrapać przez otwarte usta. Poniosłyśmy go przez korytarz do jadalni, delikatnie i bezpiecznie, jakby to była skrzynka świeżych jajek, a potem wspólnym wysiłkiem, tym razem z pomocą Marie Deveraux, która była na tyle niska, że mogła wejść pod tragi i podeprzeć pacjenta od dołu, podniosłyśmy go i ułożyłyśmy na wyszorowanym i nienagannie czystym dużym stole, i wreszcie wysunęłyśmy spod niego nosze.

– Udało się. Przesyłka spakowana i dostarczona na miejsce cała i zdrowa. Wszystkie spisałyście się na medal – pochwaliłam je.

– Czy chcesz go teraz zbudzić, Martho? – zapytała łagodnie Harriet.

– Zbudzić, też mi coś! Na litość boską, zużyłyśmy przecież trzy butelki wina,

żeby go uśpić.

– Tak, wiem – nie ustępowała Harriet. – Ale pomyślałam, że może chciałabyś go jeszcze zapytać, no wiesz... po prostu zapytać go, czy na pewno chce, żeby to zrobić. Mamy jeszcze wino. Możemy go potem znowu uśpić.

– Harriet, podobno dobrze wiesz, że robimy to dla jego dobra, przed chwilą sama tak mówiłaś. – Usiłowałam ukryć rozdrażnienie. – Wiem, że to dla jego dobra, tak samo Mattie, tak samo obecne tu młode damy. Przecież widzimy i potrafimy ocenić stan nogi tego młodzieńca o wiele lepiej niż on sam. Na co się zda wybudzanie go teraz i ponowne pytanie o zgodę? Raz już jej udzielił, i tak, wiem, że do pewnego stopnia był wtedy odurzony. Jeśli go teraz obudzimy, nadal będzie odurzony, nieważne, czy tym razem udzieli pozwolenia, czy nie. Wciąż jestem za tym, żeby robić swoje. Poza tym zaczyna mnie męczyć ustawiczne przekonywanie innych, co jest w tym przypadku właściwe, prawidłowe i uzasadnione. Uwierz mi, mnie też czasem ciąży odpowiedzialność i dlatego chciałabym teraz przekazać to brzemię komuś, kto będzie gotów je udźwignąć. Harriet, co ty na to? Czy mam go obudzić i narażać go na ból?

– Nie, nie...

– A może działam zbyt pochopnie. Może powinnam zostawić decyzję tobie? Co ty na to, Harriet? Czy mamy mu odjąć nogę, czy pozwolić, żeby umarł wskutek zakażenia?

– Martho, błagam!

– Odpowiedz, Harriet!

Czekałam. Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale nie zdołała. Skrzyżowałam ramiona i cierpliwie czekałam, tak jak reszta zgromadzonych. Po dłuższej chwili odezwała się.

– Martho, zrób to, co uważasz za stosowne. Wezmę za to współodpowiedzialność, ale nie zrzucaj jej całej na mnie – wykrztusiła.

– Czy możemy więc przystąpić do dzieła?

– Tak, do jasnej cholery, śmiało! – wrzasnęła. – Obetnij mu obie nogi, może to cię zadowoli!

– Harriet, zachowujesz się, jakbyś była niepoczytalna – stwierdziłam spokojnie.

– Nie jestem pijana, jeśli to chciałaś zasugerować. – Bezcelnie wpatrywała się we mnie.

– Jesteś czy nie, wszystko to odbywa się w obecności uczennic. Muszę cię prosić, żebyś wyszła.

– A ja muszę ci powiedzieć, że odmawiam wyjścia! Przyjęłam połowę odpowiedzialności, zaangażowałam się w to i teraz zamierzam zostać chociaż jako obserwator. Nie musisz się obawiać, Martho. Nie zamierzam już więcej przeszkadzać. Nie mogę przecież sobie pozwolić, żebyś straciła panowanie nad sobą i by zadrżała ci ręka, skoro połowa winy i tak spadnie na mnie...

Była blada jak ściana i chyba bliska omdlenia, dlatego uznałam, że lepiej będzie nie roztrząsać z nią tej sprawy, zwłaszcza że wokół nas stały wszystkie uczennice z oczami jak spodki, wyraźnie śledzące naszą krępującą wymianę zdań. Postanowiłam, że obecnie jedynym sensownym wyjściem będzie jak najszybciej zrobić to, co musimy. A nasze nieporozumienia z Harriet mogą poczekać.

– Jak sobie życzysz – powiedziałam. – Marie, możesz już stąd wyjść.

– Ale czemu? – zawyła sama zainteresowana. – Na pewno przecież mogę tu się przydać równie dobrze jak Alice i Emily!

– Alice i Emily są jednak o kilka lat starsze od ciebie. Doceniam twoją chęć pomocy, ale na niewiele się tu zdasz.

– Kochanie, pójdź i poszukaj Amelii – poprosiła Harriet tonem zaskakująco opanowanym w zestawieniu z jej wyglądem. – Znajdź swoją koleżankę z pokoju i spróbuj ją podnieść na duchu. To będzie teraz najbardziej przydatne. Panna Martha i ja będziemy ci obie bardzo wdzięczne.

Porywczy charakter Marie niełatwo było okiełznać, ale usłuchała. Wyszła z jadalni, tak głośno trzaskając drzwiami, że zatrzęsły się wszystkie okna. Odnutowałam to w myślach, dodając Marie do mojej listy problemów oczekujących na rozwiązanie. W tamtej jednak chwili nie skomentowałam jej skandalicznego zachowania, a tylko przymknęłam oczy i stojąc przy samym

stole, odczekałam, aż ustąpi donośny stukot kroków na schodach.

– Drogie panny, zacznijmy powinność od tego, od czego należy się zaczynać wszystkie sprawiedliwe czyny, od modlitwy. Pochylmy teraz głowy i prośmy Boga Wszchemogącego o pobłogosławienie naszych czynów i zapewnienie im powodzenia. Poprośmy też Go o łaskę, żeby pozwolił panu McBurneyowi na szybki powrót do formy i zdrowia. Na koniec poprośmy Go też, aby pan McBurney dostał łaski zrozumienia, aby pojął konieczność tego kroku, który początkowo może wziąć za krzywdę. Dopóki nie przewyżczy tego poczucia skrzywdzenia, niechaj pogodzi się ze swoim stanem jako częścią Twego dlań planu. – Rozmyślaliśmy nad tym dłuższą chwilę, po czym dodałam: – No dobrze, drogie panny, bierzmy się do pracy. Mattie, przynieś z kuchni narzędzia do cięcia i połóż je na pulpicie obok mnie. Emily, jakbyś mogła podrzeć te tkaniny na strzępy, a potem stanąć obok, na wypadek gdybym potrzebowała opaski uciskowej. Alice, podaj mi nożyczki z koszyka panny Harriet.

– Czy ja w czymś mogę pomóc? – zapytała moja siostra, teraz już potulnie.

– Nie sędzę.

– Zrobię, cokolwiek zechcesz.

Odwróciłam się w jej stronę i zmierzyłam ją wzrokiem. Postanowiłam, że jeśli zamierza nalegać na pozostanie, to przynajmniej niech ma jakieś zajęcie.

– Dobrze, Harriet, możesz nam czytać na głos. Weź ten podręcznik i otwórz go na stronie, którą zaznaczyłam. Rzuć szybko okiem na te właśnie strony. Za chwilę poproszę cię, żebyś odczytała podkreślone przeze mnie fragmenty.

Był to *Podręcznik do anatomii ludzkiego ciała* Graya, który nabyłam w Richmond przed paru laty, by korzystać z niego na zajęciach z nauk stosowanych. Nigdy nie wprowadziłyśmy tego przedmiotu jako części zasadniczego programu nauczania, więc po książkę dotychczas mało kto sięgał, poza sporadycznym nerwowym przekartkowaniem w wykonaniu którejś z naszych młodych dam zainteresowanych dyskretnym nabyciem wiedzy na temat męskiej fizjologii.

Wzięłam nożyczki i odciąłam prawą nogawkę spodni McBurneya powyżej kolana. To były stare eleganckie spodnie mojego brata i pewnie wystarczyło

podwinąć materiał tak jak tego dnia wcześniej, kiedy bandażowałam ranę, ale przecież nogawka mogła się zsunąć i przeszkodzić mi w trakcie zabiegu. A zresztą i tak McBurney już nigdy nie będzie potrzebował tej nogawki.

„Teraz jest taki blady i tak bardzo przypomina Roberta”, pomyślałam. Już wcześniej, drugiego dnia pobytu McBurneya w naszej szkole zauważyłam to podobieństwo. Wzbudził wtedy we mnie ogromne współczucie, a i teraz wywołał chwilę zawahania, zaraz jednak rozcięłam bandaż, które nie tak dawno owijałam i starannie zawiązywałam. Noga była teraz odsłonięta i zauważyłam, że założone przeze mnie szwy wciąż mocno trzymają, chociaż oczywiście teraz już nie były naprężone. Łydka wciąż miała siną barwę, aczkolwiek obrzęk raczej się nieco zmniejszył od czasu ostatniej kontroli.

– Wygląda ciutkę lepiej, co? – spytała Mattie.

– Niestety nie wygląda. Wygląda na równie zakażoną jak wcześniej. Zważ ponadto, że teraz oglądamy tylko z zewnątrz. W ogóle nie rozpatrujemy strzaskanej kości w środku. Dobrze, teraz to już ostatnie ostrzeżenie. Jeśli jest wśród nas ktoś, kto nie czuje się na siłach tego oglądać, niech teraz wyjdzie. Alice? Emily? – rzuciłam. Tym razem nawet nie spojrzałam na swoją siostrę. Ze strony Alice i Emily nie pojawiła się żadna oznaka zmiany zdania. – Dobrze zatem. – Spojrzałam na pulpit, na którym Mattie ułożyła narzędzia, dokładnie je obejrzałam, a na koniec sięgnęłam po jedną z brzytwów mojego ojca, o uchwycie z kości słoniowej, żeby tym instrumentem rozpocząć cięcie. Otworzyłam brzytwę i przesunęłam ostrze po kciuku, tak jak to wielokrotnie czynił mój ojciec. – No dobrze... nad kolanem czy pod kolanem... oto jest pytanie.

– Nie wiem, jaki jest stan nogi pod kolanem, ale absolutnie nic się złego nie dzieje z nogą powyżej rzepki – stwierdziła stanowczo moja siostra. – Dla mnie to oczywiste.

– Może się tak wydawać, ponieważ patrzysz tylko na powierzchnię nogi. Nie wiesz, jak daleko zakażenie rozniosło się pod skórą.

– No to odetnij ją na wysokości biodra i skończmy z tym wreszcie.

– Harriet, nie będę tego tolerować – skarciłam ją ostro.

Wpatrywała się we mnie z wyrazem twarzy, który przez kogoś obcego,

nieznającego naszych relacji, zostałyby niewątpliwie uznany za nienawiść. Po chwili spuściła wzrok.

– Przepraszam – powiedziała. – Wybacz. Nie będę więcej nic mówić.

– Świetnie. Po namyśle muszę przyznać, że skłaniam się do tego samego zdania, że nie ma wystarczających przesłanek na rozniesienie się zakażenia, żeby usprawiedliwić amputację powyżej kolana. Rana zaczyna się około trzech cali poniżej rzepki, z boku nogi, a siność pojawia się około dwóch cali poniżej rzepki z przodu i z tyłu nogi. Zatem odetnijmy ją tuż nad sinizną. Harriet, powiedz, co jest napisane w części poświęconej kościom podudzia?

Harriet spojrzała badawczo w podręcznik.

– „Szkielet goleni to kość piszczelowa (*tibia*) i kość strzałkowa (*fibula*). Piszczel znajduje się w przyśrodkowej części nogi, i jeśli nie liczyć kości udowej (*femur*), jest najdłuższą kością szkieletu ludzkiego. Strzałka znajduje się z boku piszczeli, z którą jest połączona na górze i na dole”.

– Kość piszczelowa jest bodaj po wewnętrznej, a strzałkowa po zewnętrznej, dobrze mówię, siostrze? I o ile pamiętam, są rozdzielone chrząstką albo czymś podobnym. Czy jest tam jakiś schemat?

Harriet znalazła taki dla mnie, szybko mu się przyjrzałam i porównałam z nogą McBurneya, lokalizując obszar kości, przez który będę musiała poprowadzić cięcie.

– „W ciele mężczyzny – czytała dalej Harriet – kość piszczelowa jest ukierunkowana pionowo i zarazem równoległe z kością po drugiej stronie goleni, w ciele kobiety natomiast jest położona lekko ukośnie, na bok i do dołu, żeby wyrównać większą pochyłość femuru”.

– Coś podobnego – zachwyciła się Alice.

– *Femur* to kość udowa – obwieściła Emily.

– Te informacje nie są takie istotne – oświadczyłam. – Znaczenia nie ma też dla mnie ukośne położenie kości. Czytaj dalej, co tam jest powiedziane o mięśniach. Ile mięśni trzeba będzie przeciąć?

– „Zasadnicze mięśnie goleni to mięsień brzuchaty (*gastrocnemius*) i mięsień płaszczkowaty (*soleus*), które łączą się, tworząc ścięgno na

wysokości pięty. Następnie znajdują się mięsień piszczelowy przedni (*tibialis anterior*) i mięsień zginacz długi palców (*digitorum longus*) w przedniej części goleni oraz mięsień strzałkowy długi (*peroneus longus*) i mięsień strzałkowy krótki (*peroneus brevis*) po bokach goleni oraz mięsień dwugłowy uda (*biceps femoris*) z tyłu kolana”, który chyba, jak wynika ze schematu, jest połączony z większymi mięśniami znajdującymi się wyżej.

– To właśnie chciałam usłyszeć. Pozwól, że spojrzę na ten schemat. Czy rozumiecie, jak ważne jest precyzyjne odnalezienie umiejscowienia tych mięśni? Być może powinniśmy zaryzykować cięcie nieco niżej niż w pierwotnie upatrzonym miejscu, aby nie uszkodzić mięśni w udowej części nogi, przez co miałyby sztywne kolano – myślałam głośno.

– A co to za różnica, skoro kolano nie będzie do niczego przymocowane? – zapytała Alice.

– To pokazuje, jak bardzo się znasz na chirurgii polowej – zauważyła Emily. – Zawsze możemy sprawić mu drewnianą nogę i będzie nam o wiele łatwiej, jeśli będzie mógł ruszać kolanem.

– Uciszcie się, dziewczęta – poleciłam. – Posłuchaj, Harriet, a co z żyłami i tętnicami?

– Wygląda na to, że główną tętnicą z tyłu goleni jest tętnica podkolanowa. To przedłużenie tętnicy udowej, która wyłania się gdzieś z tułowia.

– To akurat nas nie interesuje.

– Tętnica podkolanowa rozdwaja się, najwyraźniej tuż pod kolanem, na tętnice piszczelowe, tylną i przednią.

– Jak nisko pod kolanem?

– Nie jest napisane, ale na schemacie nie wygląda na to, żeby to było bardzo daleko.

– Bądź jednak bardziej dokładna. Pokaż, niech zerknę na rysunek. Myślę, że będzie dobrze, jeśli utniemy nad rozdrożeniem tętnicy podkolanowej, a nie poniżej. Dzięki temu będziemy mogli się borykać z mniejszą liczbą pojedynczych tętnic.

– Czy mam coś powiedzieć o żyłach? „Żyły dolnej części kończyny dolnej

są podzielone na dwie grupy, żyły powierzchowne i żyły głębokie. Dalej znajdują się tętnice mniejsze, takie jak odgałęzienia tętnicy podkolanowej, którymi są gałęzie mięśniowe łydkowe (*muscular sural*) i gałęzie mięśniowe górne (*muscular superior*), tętnice skórne, górna przyśrodkowa kolana (*medial superior genicular*), górna końcowa kolana (*lateral superior genicular*)...

– Wystarczy – przerwałam. – Kręci mi się od tego w głowie.

– Chyba niezależnie od tego, gdzie przeprowadzisz cięcie, będziemy musiały się zmierzyć z wieloma naczyniami krwionośnymi. Jeśli miałabym coś doradzić, to ponownie zawiąż opaskę uciskową wokół uda i zapomnij o podręczniku. Każdą tętnicę, do której dotrzesz, uwiąż nitką lub czymś innym.

– Zamierzałam tak właśnie zrobić, moja droga – zapewniłam ją. – Niemniej bardzo ci dziękuję za przypomnienie.

Wzięłam od Emily kilka pasków materiału i zawiązałam je mocno powyżej kolana kaprała.

– A co do podręcznika – dodałam w trakcie tej czynności – to myślę, że był nam bardzo pomocny. Teraz przynajmniej wiemy, czego się możemy spodziewać. Nasze zadanie będzie niezwykle złożone.

– Prosiłabym, żebyś przestała mówić „my”. To ty to robisz, nawet jeśli zgodziłam się przyjąć na siebie część odpowiedzialności.

– Jak sobie życzysz, siostrze. Będę zatem mówić „ja”. Jestem gotowa. A pozostałe?

– A to z kwadrans już nic, tylko myśmy gotowe – zadeklarowała Mattie.

– Zamilcz natychmiast! – niemal krzyknęłam.

– Co pani życzy. Po prostu od tego stania i stania jęły już boleć stopy.

– Zapewniam cię, że plecy będą cię bolały bardziej niż stopy.

– Na miłość boską, Martho, zacznij wreszcie! – krzyknęła moja siostra. – Skoro chcesz to zrobić, to zróbże.

– Dobrze.

Zaznaczyłam palcem wskazującym nowe miejsce na nodze kaprała i przyłożyłam tam ostrze brzytwy. Potem – to był błąd – spojrzałam na niego,

żeby sprawdzić, czy na pewno wciąż jest nieprzytomny. Był, ale owo chwilowe spojrzenie skruszyło pancierz obojętności, którą zachowywałam. McBurney nagle przestał wyglądać jak problem do rozwiązania, lecz jak osoba, co do której żywiłam pewne uczucia. Nie zawsze może sympatię, niekiedy nawet awersję, ale one zawsze występowały, niektóre o bardzo osobistym podłożu. Nie mogłam dłużej udawać, że nie jest człowiekiem, zwłaszcza teraz, gdy przypomniało mi się jego podobieństwo do kogoś innego.

– Weź, Mattie, jedno z tych prześcieradeł i nakryj go – poleciłam.

– A kiedy on nie zimny.

– Zrób, jak mówię. Zakryj go po kolana. Nasuń też na twarz, ale złóż materiał trochę wokół jego głowy, tak aby dochodziło powietrze.

– Okazuje się, że masz jednak w sobie krztynę słabości, prawda? – zauważyła moja siostra, gdy Mattie przykryła kaprała prześcieradłem.

– Nigdy temu nie zaprzeczałam – odparłam. – Odmawiam sobie za to przyjemności folgowania tej słabości. Zrobiłam to nie tyle po to, żeby sobie oszczędzić widoku, lecz aby zapobiec możliwemu rozproszeniu się, które byłoby potencjalnie niebezpieczne. – Po czym zaczęłam odcinać nogę kaprała McBurneya.

Nie będę szczegółowo opisywać, jak wyglądało kolejne pół godziny, nadmienię tylko, że było to zdecydowanie najgorsze pół godziny w moim życiu. Później zdarzały się w mojej szkole wydarzenia nieprzyjemne i godne pożałowania, które uczestnikom tamtych wydarzeń mogą wydawać się gorsze niż te bodaj trzydzieści minut, jakie zajęło mi amputowanie nogi McBurneya. Dla mnie jednak to tamte chwile stanowiły największy koszmar, jakiego doświadczyłam. A jednak te minuty wydają się takie dopiero po upływie czasu. Doskonale je pamiętam, bez przerwy śnię o nich, jednak gdy wtedy płynęły, presja czasu i związany z tym wysiłek fizyczny nie pozwalały mi myśleć o niczym innym niż o zakończeniu tej czynności. Nawet gdy się zbudził i krzyczał, wciąż potrafiłam skupić się na zadaniu. Pamiętam nawet, co w tamtej chwili pomyślałam. „Mattie może go przytrzymać... będzie tu straszne pobojowisko... czy opaska odpowiednio mocno ściska... szkoda, że Mattie nie znalazła lepszej piły”, myślałam.

Alice upadła na podłogę i tam pozostała. Emily sztywno wyszła do kuchni i już nie wróciła. Mattie stanęła wtedy na wysokości zadania, jak zawsze w sytuacjach krytycznych. Moja siostra całą tę gehennę zniosła całkiem poprawnie. Kiedy na przykład McBurney ocknął się, wyciągnęła korek z kolejnej butelki wina, przytrzymała jego głowę i wlała w niego połowę zawartości, przez cały ten czas szepcząc pokrzepiające słowa.

Dzięki Bogu nie był długo przytomny. Wino, a może szok i utrata krwi złożyły się na to, że znów stracił przytomność. Wtedy moja siostra sama upiła duży łyk, po czym wyciągnęła butelkę w moją stronę. Podniosłam głowę i kiwnęłam na Harriet, a ona przystawiła wino do moich ust i pomogła mi wziąć niemały haust. Później podała butelkę Mattie, która skwapliwie ją opróżniła.

Mattie w którymś momencie operacji ulotniła się do kuchni i wróciła z koszykiem ogrodowym. Potem czekała z nim w pogotowiu, a gdy ostrze oparło się o powierzchnię stołu, podniosła odcięty fragment McBurneya, włożyła do koszyka i delikatnie zakryła materiałem. I to jak delikatnie, zauważyłam. Dwie mało istotne rzeczy przemknęły mi wtedy przez myśl. Pierwsza: „Nadciąłam stół z drewna orzechowego”, druga: „Że też nie pomyślałam o tym, żeby zdjąć mu skarpetę”.

Wykonaną przeze mnie pracę też można określić mianem starannej. Sądzę, że gdyby chirurg obejrzał efekt, zgodziłby się, że wykonano tu bardzo porządną robotę. Podwiązałam wszystkie główne naczynia krwionośne jedwabną nitką Harriet, a potem, uprzednio pozostawiwszy odpowiednie płyty skóry wokół kikuta, mogłam je szczepić ze sobą i ściśle zszyć wokół kości, ciasno jak gorset.

- Dobrze – powiedziałam, odstępując od pacjenta. – To chyba tyle.
- Tak, to chyba tyle – powtórzyła moja siostra.
- I co ja mam z tym zrobić? – zapytała Mattie.
- Zakop to gdzieś. Weź łopatę i zakop porządnie. Wpierw jednak zajmij się panienką Alice.
- Co zamierzasz z nim dalej? – zapytała Harriet.

- Przenieść z powrotem na kanapę, gdy odetchnę chwilę.
- Chodziło mi o później, o ile przeżyje.
- Przeżyje.
- Podobno w wojsku żołnierze rzadko dobrzeją po takich operacjach.
- Nie wspominałaś o tym wcześniej.
- Myślałam, że o tym wiesz.
- Cóż, to nie ma znaczenia. Przeżyje, dobrze wiem, że tak będzie. A potem jeśli będzie chciał, to może u nas zostać. Dopóki tylko będzie chciał, dopóty zawsze będzie tu dla niego miejsce.

Nie wiem, dlaczego to powiedziałam, ale stało się. Zapewne w tamtej chwili byłam na wpół nieprzytomna z napięcia i mogłam obiecać każdą rzecz. Znajdowałam się – dziś tak to widzę – w stanie ocierającym się o euforię. Miałam poczucie triumfu, odniesienia walnego zwycięstwa nad przeważającymi siłami wroga. Te pół godziny uważam za najgorsze w życiu, ale wiem też, że w tamtej chwili wcale tak tego nie czułam. Gdyby ktoś mnie wtedy spytał, mogłabym wręcz nazwać je najlepszymi w życiu.

– No dobrze. Teraz przenieśmy go z powrotem do łóżka. Podnieście go delikatnie... o tak... i wsuńcie pod niego tragi. A teraz, Harriet i Mattie, weźcie te podpórki z przodu, a ja złapię z tyłu – wydałam kolejne polecenie.

– Samej będzie pani za ciężko – zauważyła Mattie.

– Nonsens – powiedziałam, kiedy go wynosiliśmy. – Mogłabym nieść dwa razy tyle, gdyby była taka potrzeba.

W korytarzu spotkaliśmy naburmuszoną Marie Deveraux, która przycupnęła na najniższym schodku. Kiedy Harriet ją przywołała, wstała i przejęła ode mnie jedną z podpórek. Przeszliśmy w ten sposób przez korytarz, weszliśmy do bawialni i położyliśmy pana McBurneya z powrotem na kanapie.

MARIE DEVERAUX

Zastanawiam się, czy w chwili gdy panna Martha wspomina popołudnie, w którym ucięła McBurneyowi nogę, pamięta, w jak nikczemny sposób potraktowała wtedy mnie. Mam na myśli odesłanie mnie z pokoju niczym trędowatej bądź chorej na ospę, nie dając nawet okazji, abym wyjaśniła, że wcale nie miałam zamiaru wtrącać się do całej sprawy z operacją bądź rozpraszać panią chirurg w jakikolwiek sposób. Nie pozwolono mi opowiedzieć nawet, jak to kiedyś – gdy miałam zaledwie siedem lat – spędziłam całe popołudnie w domu, obserwując doktora Bonnarda szukającego w klatce piersiowej mojego wuja George’a, zwykle pojedynkującego się z niezwyklej wprawą, kuli, która znalazła się tam w wyniku nieszczęśliwego poślizgnięcia się na porannej trawie. Wprawdzie usiłowałam ukryć się za zasłoną, lecz doktor Bonnard wiedział, że tam jestem, ponieważ w pewnym momencie, gdy zrobił przerwę, aby podejść do okna i zaczerpnąć świeżego powietrza oraz łyknąć brandy, odwrócił się i puścił do mnie oko. Poza tym powracając do bieżącej kwestii, zawsze pozostaje pytanie o to, dlaczego tak mnie potraktowano, skoro jestem dostatecznie duża i rozsądna, aby móc obserwować naprawę nogi McBurneya. Nie pozwolono mi patrzeć, jak się ją odcina.

Cóż, nie chowam żadnej urazy. Noga McBurneya to dzisiaj przeszłość. Od tamtego czasu wielokrotnie byłam obiektem szeregu drobnych upokorzeń, lecz nauczyłam się z nimi żyć. Wszystko jest kwestią decyzji, czego się chce, a następnie dokonywania drobnych modyfikacji, które pozwolą ci osiągnąć cel. Tamtego dnia bardzo chciałam obejrzeć operację amputowania nogi, co rzecz jasna uczyniłam – przez dziurkę od klucza. Czy raczej początkowo przez dziurkę od klucza, a następnie zza uchylonych drzwi, które bardzo cichutko otworzyłam.

Nie żebym się tym chwaliła, lecz gwoli dokładności wspomnę tylko, że jako jedyna uczennica widziałam wszystko od samego początku do końca, ponieważ

panna Emily Stevenson uciekła w młodościach, a panna Alice Simms tylko raz zdążyła zafalować swoim cudownym biustem, po czym padła zemdlona. Oczywiście Edwina Morrow ani Amelia Dabney nie były obecne podczas żadnej części zabiegu.

Powinłam dodać też, że pomogłam przenieść go z powrotem do bawialni. Panna Martha nie potrzebowała mojej pomocy podczas operacji, lecz gdy te dwa wzory urody i inteligencji okazały się całkowitymi nieudacznikami, wówczas panna Harriet z radością zawołała swoją posłuszną sługę, aby pomogła zanieść Johnny'ego do łóżka.

Gdy już go ułożyliśmy, panna Martha przyłożyła dłoń do jego czoła i sprawdziła puls, następnie położyła głowę na jego piersi, słuchając oddechu – a wszystko to w medycznie bardzo profesjonalny sposób, o czym mogę was zapewnić. Potem, przez pewien czas, jak wyznałam później mojej współlokatorce, bardzo martwiłam się, czy cały ten pomysł z operacją nie stanie się przesadnie popularny i nie skończy się epidemią obcinania ludzkich nóg.

– Lepiej, abyśmy w przyszłości spały z podwiniętymi nogami, w przeciwnym razie pewnego ranka możemy obudzić się i stwierdzić, że złożyliśmy je na ołtarzu nowej pasji panny Marthy – powiedziałam żartobliwie Amelii. Oczywiście Amelia nie uznała tego za śmieszne, ponieważ operację Johnny'ego potraktowała niezwykle osobiście i przez długi czas po niej była bardzo zdenerwowana.

Podobnie jak panna Martha, zapewniam. W jadalni nie zdradzała żadnych emocji, lecz gdy tylko położyła McBurneya do łóżka, wpadła w absolutną histerię, rzucała gromy i wrzeszczała, zachowując się w najgorszy możliwy sposób, aż w końcu wyrzuciła nas z pokoju.

Sądzę, że to panna Harriet tak ją rozsierdziła, rzucając jakąś niewinną uwagę o tym, że Johnny już nie przypomina brata jej i panny Marthy. O ile pamiętam, panna Harriet powiedziała, że kiedyś uważała podobieństwo między Johnnym a ich zmarłym bratem za dość uderzające, lecz później wrażenie to zniknęło.

– Przypuszczam, że myślisz, iż ucięłam mu nogę, aby zmienić jego wygląd –

wrzasnęła niemal panna Martha.

– Nie, nie... oczywiście, że nie – zaprzeczyła panna Harriet, usiłując ją uspokoić. – Absolutnie nie odnosiłam się do jego nogi. Mam na myśli to, że teraz jego twarz zdaje się odmieniona. Jest jakby bardziej wyciągnięta i starsza niż wcześniej. Przypuszczam jednak, że to naturalna reakcja na szok, i to wszystko.

– Oczywiście. Ty też tak zareagowałaś, Harriet. Również wyglądasz wiele lat starszej niż rano.

– Domyślam się, że tak właśnie jest – doparła panna Harriet. – Tak właśnie się czuję.

– A co ze mną? – dopominała się panna Martha. – Czy może cały ten koszmar zupełnie na mnie nie wpłynął? Czy sądzisz, że był to dla mnie po prostu zwykły pracowity dzień, a może odnosisz wrażenie, że zrobiłam to dla rozrywki?

– Nie dla rozrywki, Martho, lecz być może dla czegoś innego... dla satysfakcji.

– Oczywiście, że mam satysfakcję! – krzyknęła panna Martha. – Przyznaję, czuję satysfakcję, ponieważ zrobiłam wszystko, co w mojej mocy, aby uratować chłopakowi życie! Czy jest w tym coś złego?

– Nic, siostrze. Jeśli szczerze potrafisz odczuwać dumę z powodu tego osiągnięcia, mogę ci tylko pozazdrościć. Zazdroszczę ci spokoju umysłu.

– Czyżby, siostrze? Czy nie czułabyś się choć odrobinę lepiej, gdybyś myślała, że targają mną jakieś wyrzuty sumienia?

– Ta rozmowa nie ma sensu, Martho. Teraz nie ma żadnego znaczenia, co którakolwiek z nas czuje. Już jest po wszystkim i bez względu na to, czy jest ci przykro, czy jesteś zadowolona, niczego to nie zmieni. Twoje wyrzuty sumienia nie przywrócą chłopcu nogi, podobnie jak nie spowodują powrotu Roberta po tym, jak go odprawiłaś.

Niezależnie od sensu tej uwagi najwyraźniej miała ona wielkie znaczenie dla panny Marthy, bo moim zdaniem rzuciłaby się wtedy na pannę Harriet – jeśli wcześniej sama nie padłaby na skutek ataku apopleksji – ponieważ

obróciła się i zamachnęła na siostrę z rękami uniesionymi w górę i rozcapierzonymi palcami, gotowa wydrapać jej oczy albo wyrwać włosy. Tymczasem panna Harriet tylko stała, nie podejmując żadnej próby obrony, spokojnie czekając, jak gdyby spodziewała się ataku od długiego czasu, a teraz, gdy wreszcie nastąpił, przyjmowała go ze spokojem. Albo ja tak odczytałam jej postawę, gdy myślałam o tym później.

Tak czy owak w tamtym momencie do akcji wkroczyła stara, dobra Mattie, która chwyciła pannę Marthę wpół i mocno ją trzymała. Panna Martha w swoim szaleństwie usiłowała się wyrwać, lecz naturalnie nie miała szans z silną Mattie. Po upływie mniej więcej połowy minuty panna Martha przestała walczyć, jej twarz z ognistoczerwonej stała się blada niczym twarz McBurneya, a może nawet bledsza, ona sama zaś głośno westchnęła i osunęła się bezwładnie w ramionach Mattie. Potem Mattie bardzo delikatnie opuściła ją na ziemię, rozpięła i poluźniła jej gorset.

– Panno Harriet, proszę nalać mi trochę wody. Panienko Marie, przynieś mi z kuchni sporej wielkości cebulę – poinstruowała nas Mattie.

Te wszystkie zdarzenia śledziłam z tak wielką fascynacją, że myśl o opuszczeniu pokoju przyjąłam z niechęcią. Odczekałam chwilę, aby sprawdzić, czy sama woda nie wystarczy, by ocucić naszą dyrektorkę, lecz gdy tak się nie stało, a Mattie nie przestawała żądać cebuli, wyszłam, zatrzymując się tylko na chwilę w holu na zewnątrz w nadziei, że panna Harriet będzie chciała wyjaśnić Mattie całe zajście. Obserwowanie postawy panny Harriet było tamtego dnia naprawdę bardzo ciekawe. Nigdy wcześniej nie widziałam, aby mówiła bądź zachowywała się z taką pewnością siebie, i nie sądzę, żeby ktokolwiek kiedykolwiek widział tu coś podobnego.

– Panno Harriet, zachowała się pani okrutnie. – Usłyszałam skierowane do niej słowa Mattie. – Powinna się pani wstydzić tych słów.

– Wiem – przyznała panna Harriet, choć nie wydawała się ani trochę zawstydzona. – Tak czy owak należało je wypowiedzieć. Tym razem Martha została poinformowana, że nie może kierować światem wedle własnego upodobania. Cóż, nieważne, skoro już skończyła. Zrobiła temu chłopcu coś strasznego. Nie będzie traktować go tak, jak postąpiła z Robertem. Nie jest

Bogiem i nadszedł czas, aby sobie to uświadomiła.

– Pani również nim nie jest, panno Harriet.

– Nie zależy mi na tym. Nie chcę go zmieniać. Nie chcę nikogo z niego robić. Po prostu chcę, aby był szczęśliwy.

– Mówi pani o tym chłopcu czy o panu Robercie?

– O jednym i drugim.

To zestawienie wydawało się dziwne, ponieważ Robert Farnsworth był martwy i został pochowany albo przynajmniej tak myślały uczennice pensji. Jeśli rozmowa ta miała jakąś kontynuację, nie usłyszałam jej, ponieważ Mattie dostrzegła mnie stojącą przy drzwiach i krzyknęła, że jeśli nie przyniosę jej cebuli, osobiście wygarbuje mi skórę. Naturalnie tego typu gadka ze strony Mattie zupełnie mnie nie denerwuje, ponieważ pod tym względem przypomina wszystkie domowe czarnuchy, które w życiu spotkałam. Grożą ci najwyższą karą, choć nie mają szansy jej wymierzyć. Podejrzewam, że to jeden z nielicznych sposobów, jaki biedactwa mają na wyrażenie swojego rozczarowania światem białych. Niemniej jednak choć tego typu groźby nie robią na mnie specjalnego wrażenia od czasu, gdy skończyłam siedem czy osiem lat, a może nawet dłużej, zwykle odgrywam przerażenie, aby sprawić Mattie nieco przyjemności.

Tym razem szeroko otworzyłam oczy, przycisnęłam dłoń do ust i przez chwilę gwałtownie się trzęsłam, a następnie w te pędy pognałam do kuchni, wykrzykując: „Tak, Mattie... natychmiast, Mattie... proszę, nie gniewaj się, Mattie” i tak dalej. Myślę, że za każdym razem moje występy w roli przerażonego dziecka są coraz lepsze. Ledwie mogę się doczekać chwili, gdy wrócę do domu i wypróbuję je na Betsy i Cleo oraz na reszcie służby. Mogłabym dać ich posmak nawet mojej matce, ale tylko wówczas, jeśli uznam, że jestem w najlepszej formie, ponieważ moja matka prawdopodobnie jest najtrudniejszą do oszukania osobą na świecie – czego mój ojciec, ku swej wielkiej rozpaczy, uczy się po dziś dzień.

Poza tym tamtego dnia coś jeszcze poza błazenadą zawiodło mnie do kuchni. Była to nagła myśl, że panna Alice mogła nie dojść do siebie po omdleniu i w konsekwencji może się zaciągnąć zapachem cebuli, zanim zaniosę ją

pannie Marcie. Wiem, że po tym, gdy McBurney został przeniesiony na kanapę, Mattie została poinstruowana, aby zająć się Alice, lecz przy mdlejących nauczycielkach Mattie nie miała czasu martwić się uczennicami, dlatego z wielką nadzieją pospieszyłam, chcąc ujrzeć naszą złotowłosą kusicielkę wciąż rozciągniętą na podłodze w jadalni.

Niestety moje nadzieje szybko okazały się płonne. Najwyraźniej Alice udało się oprzytomnieć bez pomocy, ponieważ gdy dotarłam do jadalni, nie było jej w zasięgu wzroku, w kuchni także. Gdy już wzięłam cebulę ze spiżarni, wyszłam na chwilę tylnymi drzwiami, aby szybko rozejrzeć się po ogrodzie, gdzie też ujrzałam pannę Alice siedzącą na ławce w altanie obok swojej towarzyszki dezenterki, panny Emily Stevenson. Skoro dotarłam tak daleko, mogłam równie dobrze poświęcić jeszcze chwilę, aby dowiedzieć się, jak się czują moje koleżanki.

– Dziewczęta, jeśli wasze żołądki uspokoiły się już nieco, możecie wrócić do domu! – zawołałam, zbliżając się do nich. – Operacja dobiegła końca, choć jadalnia wciąż nie prezentuje się najlepiej, na wypadek gdyby tego typu sprawy was niepokoiły.

Najwyraźniej tak właśnie było. Siedziały tam obie blade jak papier i sztywne jak strachy na wróble, jak gdyby najmniejsze słowo czy oddech wychodzące z nich miały ponownie przywołać minioną godzinę i sprawić, że to, co zdawało się złym snem, stanie się rzeczywistością.

– Sądzę, że Mattie wkrótce będzie gotowa z kolacją, gdy tylko nieco posprząta w jadalni – dodałam, chcąc je pocieszyć.

– Wynoś się stąd, ty mały potworze – wysyczała Alice przez zaciśnięte zęby.

– Wcale nie mam zamiaru tu zostać – oznajmiłam. – Idę ocucić pannę Marthę, która właśnie zemdląła, jednak ze znacznie większym wdziękiem, niż ty, Alice.

– A zatem idź i zostaw nas w spokoju – rozkazała mi Emily.

– Emily, mogłabym spodziewać się, że Alice będzie zdenerwowana, ponieważ ewidentnie jest osobą o wielkiej wrażliwości – powiedziałam uspokajająco. – Nie sądziłam jednak, że osoba twojego pokroju, mająca taką

wiedzę i doświadczenie w sprawach wojskowych zostanie pokonana przez tego typu błahostkę.

– To przez operację – odparła Emily. – W jadalni zrobiło się duszno, a poza tym już od samego rana boli mnie głowa.

– Miałam wrażenie, że chodziło o coś takiego.

– Jak się Johnny teraz czuje? – spytała Alice niepewnie.

– Zgodnie z oczekiwaniami jeszcze śpi.

– Myślę, że zrobiono mu straszną rzecz. – Alice się wzdrygnęła.

– Wcześniej tak nie mówiłaś.

– Nie byłam świadoma, że tak to się odbędzie.

– Takie sprawy zwykle nieco niepokoją osoby nieobeznane z nimi – zgodziła się Emily. – Jednak żołnierze do nich przywykli i jakoś sobie radzą. Domyślałam się, że kapral McBurney był w armii na tyle długo, aby potraktować całą sprawę filozoficznie. Najgorsze w tym wszystkim jest to, że prawdopodobnie oznacza to koniec jego kariery wojskowej. Biedaczysko, od tygodni prosił mnie, abym napisała do ojca w sprawie przyjęcia go do pułku.

– Cóż, sądzę, że przy odrobinie wysiłku Johnny jakoś sobie poradzi z tym rozczarowaniem – zauważyłam.

– Powinniśmy zachowywać się wobec niego szczególnie miło – zaznaczyła Alice.

– Miałam wrażenie, że już wcześniej przyjęłaś taką politykę – stwierdziłam. – Obawiam się, że jeśli dzięki twoim uprzejmościom ktoś ponownie go zrzuci ze schodów, lepiej, abys dla dobra Johnny'ego wcześniej dwa razy się zastanowiła.

– Nie chodziło mi o nic romantycznego – zachnęła się Alice, choć bynajmniej nie powiedziała, że taką wyklucza. – Powinniśmy być bardziej miłe i uprzejme dla niego i włożyć wiele wysiłku, aby poczuł się tu naprawdę mile widziany.

– Wydaje mi się, że wiem, co masz na myśli, Alice – zapewniła ją Emily. – Powinniśmy teraz spędzać z nim jak najwięcej czasu, aby odciągnąć go od jego nieszczęścia. Możemy mu czytać, opowiadać różne historie i ogólnie

bawić go opowieściami o naszych domach i rodzinach, a także informować go na bieżąco o przebiegu wojny i mówić o innych tego typu pocieszających sprawach. W istocie dzięki temu możemy poprawić jego stan ducha i morale.

– I zanim się obejrzysz, kapralowi McBurneyowi tak się poprawi, że będzie nam dziękował za obcięcie mu nogi – skwitowałam.

– Odczepisz się ode mnie wreszcie, ty małe wredne stworzenie?! – wrzasnęła Emily.

Rzecz jasna nie zwróciłabym najmniejszej uwagi na jej krzyki, gdyby w tamtym momencie panna Harriet nie otworzyła okien w jadalni i nie wyszła na trawnik. To przypomniało mi o cebuli, którą niosłam, i o biednej panie Marcie leżącej na podłodze, dlatego pobiegłam do domu co sił w nogach.

– Przepraszam, że tyle to trwało – tłumaczyłam się panie Harriet, wręczając jej remedium. – Pomyślałam po prostu, że powinnam zatrzymać się na chwilę i sprawdzić, czy Alice i Emily nie potrzebują pomocy. Nie czują się najlepiej. Mam nadzieję, że panie Marcie trochę się poprawiło.

– Panna Martha oprzytomniała i poszła do swojego pokoju – odparła panna Harriet zgryźliwie. – Mam nadzieję, że moje zdrowie nigdy nie będzie zależało od twojej gotowości do niesienia pomocy. Możesz teraz zrobić coś jeszcze i chcę, abyś tym razem się pospieszyła. Czy udało ci się znaleźć Amelię, tak jak cię wcześniej prosiłam?

– Nie miałam czasu, aby ją wytropić, ale chyba wiem, gdzie się znajduje. Siedzi zapewne w swojej leśnej kryjówce. Czasami lubi posiedzieć tam sama, gdy sprawy nie układają się po jej myśli – wyjaśniłam.

– W takim razie chcę, abyś tam za nią poszła i przyprowadziła ją tutaj. Nie chcę, aby sama przesiadywała w lesie, szczególnie że zapada zmrok. Poza tym mogłaby zrobić coś dla kaprala McBurneya.

– Co takiego?

– Mam nadzieję, że uda jej się uspokoić go. Przed chwilą otworzył oczy i powiedział coś, co zabrzmiało jak prośba o wodę. Gdy mu ją przyniosłam, wpatrywał się we mnie z przerażeniem... i się wzdrygnął. Wówczas odsunęłam się, a on znowu zapadł w sen, lecz nadal cicho pojękuje.

Mile mnie zaskoczyło zaufanie, którym obdarzyła mnie panna Harriet.

– Proszę się tym nie martwić – uspokoiłam ją. – Nie ma powodu, aby się pani mogła obawiać. Prawdopodobnie majaczy i myli panią z panną Martha.

– Tak czy inaczej mała Amelia zawsze okazywała mu lojalność. Sądzę, że on o tym wie i jej zaufa. Jeśli znowu poprosi o wodę, chciałabym, aby to ona mu ją podała.

Wybiegłam zatem do lasu, myśląc sobie, że wcale nie miałabym Amelii za złe, gdyby nigdy nie wróciła. To, co przydarzyło się McBurneyowi, było pod pewnymi względami nieprzyjemne dla nas wszystkich, lecz szczególnie trudne dla biednej dziewczynki, która go znalazła i przyniosła tutaj.

Gdy przemierzałam trawnik, dotarło do mnie, że w domu przebywa jeszcze jedna osoba, która nie uczestniczyła w operacji, a mianowicie panna Edwina Morrow. Prawdopodobnie cały dzień spędziła w swoim pokoju i dlatego zapewne nie miała pojęcia o tym, co się stało.

Myśląc o Edwinie, odwróciłam się i spojrzałam w górę w kierunku jej pokoju. Ujrzałam ją stojącą w oknie i wpatrującą się we mnie. Przeszył mnie nieprzyjemny dreszcz, gdy pomyślałam, że stała tam przez cały czas, obserwując mnie, gdy byłam w ogrodzie – po prostu stojąc tam, wpatrując się swoim zimnym spojrzeniem i myśląc Bóg wie jak niemiłe rzeczy na mój temat.

Tak czy inaczej pomyślałam, że mogłabym wyświadczyć Edwinie przysługę i przekazać jej wieści dotyczące ostatnich wydarzeń. Nie chciałam jednak robić tego, krzycząc, aby ponownie nie ściągnąć na siebie gniewu panny Harriet, a być może panny Marthy, dlatego dołożyłam wszelkich starań, aby jak najlepiej przekazać wszystko za pomocą pantomimy. Wskazałam na bawialnię, zakładając, że Edwina zrozumie, że chodzi o McBurneya, po czym pokazałam na moją nogę i wykonałam palcami ruch cięcia. Aby nadać całej prezentacji bardziej dramatyczny wydźwięk, odegrałam na twarzy grymas przeraźliwego bólu, po czym ułożyłam policzek na złożonych dłoniach, aby pokazać brak przytomności. Jednak Edwina trwała nieporuszona, a jeśli nawet miało to dla niej jakikolwiek sens, nie dała tego po sobie poznać.

W istocie obróciła głowę, aby spojrzeć poza mnie, a ja – podążając za jej wzrokiem – ujrzałam Mattie wychodzącą z kuchni z koszem ogrodowym,

w którym leżała noga McBurneya. Kosz był całkiem gustownie i stosownie przykryty czystymi lnianymi chusteczkami z irlandzkim wzorem, a Mattie niosła go w nabożnym skupieniu, powoli zmierzając ku szopie, w której przechowywano łopaty i inne narzędzia ogrodnicze. Zauważyłam również, że Emily i Alice, które nie ruszyły się ze swojej ławki, również śledzą Mattie wzrokiem.

Natychmiast uświadomiłam sobie, że jeśli chcę zdążyć na ceremonię pogrzebową, powinnam pospieszyć się z poszukiwaniami Amelii. Dlatego ruszyłam, biegnąc jak najszybciej, przez trawnik i pole kukurydzy, a następnie starą drogą leśną i głębokim rowem, prosto do lasu, gdzie jednak gęste zarośla i nierówne podłoże spowolniły moje tempo.

Pozoga po bitwie sprzed kilku tygodni już wygasła, jednak gdy zawiął wiatr ze wschodu, przyniósł swąd spalenizny. Ale to nie odór dawnych bitew niepokoił mnie podczas eskapady, lecz typowe dla lasu niebezpieczeństwa – zwisające pnącza i splątane korzenie utrudniające przejście, roje pszczoł i muszek oraz innych owadów, śliska kłoda, po której trzeba przejść, aby przekroczyć strumień, wilki i dzikie koty, które mogły nagle wyskoczyć zza drzewa, mokradła pokryte liśćmi czające się na nieuważnych wędrowców, po których nie zostanie nawet jedna bańka powietrza wskazująca na miejsce pochówku. Właśnie tego typu straszne myśli zajmowały moją głowę podczas tamtej wyprawy.

Niemniej jednak doskonale wiedziałam, dokąd się udaję, i znałam najkrótszą drogę do celu. Byłam jedyną uczennicą, która miała pozwolenie na odwiedzin kryjówki Amelii – a ci, którzy dobrze znają Amelię, wiedzą, jak wielki to zaszczyt, gdy zaufa ci na tyle, by podzielić się z tobą jedną ze swoich tajemnic. Jej sekretne miejsce obejmowało polankę pośród rosnących blisko siebie dębów, których pnie gęsto pokrywało poszycie leśne i splątane pnącza. Istnieje tylko jedno przejście wiodące na polankę – bardzo niski i wąski tunel w gąszczu, w którym musisz poruszać się praktycznie na czworakach. Gdy wreszcie dochodzisz do końca tunelu – zwykle z podrapaną twarzą, ramionami i nogami oraz rozdartą przez ciernie sukienką – trafiasz do maleńkiego, lecz otoczonego wysokimi ścianami pokoiku, w którym dywan jest zrobiony

z mchu, a sufit z zielonych liści z prześwitem błękitu na środku. Z wyjątkiem południa pomieszczenie to jest bardzo chłodne i zacienione – w istocie niezwykle przyjemne miejsce, gdzie można leżeć na plecach i słuchać ptaków szeleszczących w ścianach, a przez niewielki prześwit obserwować chmury płynące po niebie nad głową.

To właśnie robiła Amelia, gdy wyłoniłam się z jej tunelu – po prostu leżała, tak jak przewidywałam, a obok niej, w moim pudełku z drewna tekowego siedział drzemiący żółw – ten śmierzący, cierpiący żółw jaszczurowaty, którego w tamtym czasie wszędzie ze sobą nosiła.

– Naprawdę nie wiem, czy to warte zachodu, czy nie – stwierdziłam, siadając tuż obok niej i zaczynając wyskubywać z włosów liście i gałązki. – Muszę jednak przyznać, że zawsze udaje ci się przemknąć przez ten tunel z wielką łatwością, nie drąc się przy tym na strzępy.

– A ty przeszkadzasz wszystkim roślinom, gdy tu wchodzisz – powiedziała łagodnie, wciąż wpatrując się w niebo. – To twój problem. Nie możesz walczyć z nimi, torując sobie drogę. Musisz je delikatnie odsuwać tam, dokąd chcą pójść. Tak właśnie robią zwierzęta, dzięki czemu rzadko doznają zadrapań. Uważaj, proszę, w jaki sposób się tu poruszasz.

– A jak się czuje twoje zwierzątko? – spytałam nie z powodu jakiejś szczególnej troski, ale dla dobra naszych relacji.

– Znacznie lepiej. Dzisiaj czuje się o wiele lepiej.

– Domyślałam się, że kapral McBurney nie czuje się tak dobrze.

– Nie chcę dzisiaj rozmawiać o nikim o tym nazwisku – oznajmiła, nadal na mnie nie patrząc. – Nikogo o tym nazwisku nie znam.

– Znalazłaś go.

– Nie. Nigdy nikogo takiego nie spotkałam.

Nie można dyskutować z Amelią, gdy postanawia się w taki sposób zachowywać. Po prostu wyrzuca z umysłu wszystko, co ją niepokoi, i nawet sam Pan Bóg, dysponujący żelaznym wiertłem, nie byłby w stanie z powrotem jej tej prawdy do głowy wepchnąć.

– Cóż, jak tam chcesz. Niezależnie jednak od tego, czy znasz go, czy nie,

jeśli zostaniesz tu dłużej, ominie cię niecodzienna ceremonia pogrzebowa. Wkrótce wszystkie zgromadzimy się, aby pochować nogę kaprala McBurneya – zapowiedziałam.

Sądziłam, że moje słowa wzbudzą w niej zainteresowanie, lecz zdawały się nie wywrzeć na niej żadnego wrażenia. Desperacko usiłowałam wymyślić coś, co przemówiłoby jej do rozsądku, ponieważ zbliżało się popołudnie i istniało poważne niebezpieczeństwo, że przegapię pogrzeb. Jednocześnie niechętnie myślałam o powrocie do panny Harriet i przyznaniu się do porażki. Gdy podejmuję się jakiegoś zadania, lubię je wykonać, nawet jeśli czasem specjalnie się z tym nie spieszę.

– Zakładając, że nie znasz kaprala McBurneya, może zechcesz poznać go teraz – kusiłam ją. – Z przyjemnością was sobie przedstawię, gdy tylko się obudzi.

– Nie wydaje mi się, aby zależało mi na poznaniu go.

– Ale on jest bardzo interesującą osobą. Jestem pewna, że polubiłabyś jego towarzystwo. Poza tym wkrótce i tak będzie kolacja.

– Mam tu mnóstwo rzeczy do jedzenia: orzechy, jagody i grzyby.

– Kiedyś zjesz nie tego grzyba, co trzeba, i nastąpi koniec Amelii Dabney.

– To też byłoby w porządku, choć nie sądzę, aby coś takiego nastąpiło, ponieważ te niejadalne bardzo łatwo rozpoznać.

– Kiedy zatem raczysz wrócić do starej dobrej szkoły Farnsworthów?

– Może nigdy. Może nigdy nie wrócę.

– Czy innych osób też nie znasz: panny Marty i panny Harriet oraz dziewcząt?

– Zaczynam myśleć, że chyba faktycznie ich nie znam.

– Ale znasz mnie, do licha!

– Tak, myślę, że zawsze będę cię znała, Marie.

Po tych słowach przez dłuższy czas milczałam. Prawdę mówiąc, trudno mi było coś wymyślić po tej miłej uwadze, którą Amelia na mój temat uczyniła, i to w reakcji na moje pokrzykiwanie.

– Ja również jestem pewna, że zawsze cię będę znała, Amelio. Uważam, że jesteś najmilszą osobą w całej szkole, choć prawdopodobnie również najdziwniejszą. Zostań teraz w swojej kryjówce tak długo, jak chcesz. Wrócę i powiem panie Harriet, że nie będziesz z nami jadła i prawdopodobnie w ogóle nie wrócisz już do szkoły. Powiem jej też, że jeśli kapral McBurney znowu o ciebie zapyta, niech przekaże mu tę wiadomość – podsumowałam.

– Pytał o mnie?

– Zdaje mi się, że panna Harriet o tym wspominała. Widzisz, najwyraźniej cię zna, nawet jeśli ty go nie znasz. Dlatego właśnie panna Harriet wysłała mnie, aby cię odszukać. Johnny McBurney bardzo cierpi i ona chyba uważa, że tylko ty możesz mu pomóc.

– Nigdy mnie nie okłamujesz, prawda, Marie?

– Nie w ważnych sprawach.

Wówczas wstała i zamknęła moją szkatułkę ze swoim żółciem.

– Podnieś spódnicę i chodź tuż za mną tunelem – poleciła. – Nie podrapiesz się znowu.

I tak właśnie się stało. Dzięki przewodnictwu Amelii po prostu prześliznęliśmy się przez tunel, wychodząc na słońce, niemal nie dotykając żadnej gałęzi ani kolca po drodze. Ta dziewczyna zna sposób na wszystko, co żyje w tym lesie. Zwyczajna osoba może zostać pogryziona i użądlnona, pokłuta i posiniaczona, gdy tylko postawi stopę poza cywilizowany świat, ale nie Amelia. Kolce nie drapią jej, komary nigdy jej nie gryzą i podejrzewam, że mogłaby nawet zjeść ciasto z trującym bluszczem, a i tak nie dostałaby nawet wysypki na języku.

– Naprawdę jestem przekonana, że jesteś jakimś leśnym stworem, którego wiedźma zamieniła w ludzką postać – powiedziałam, gdy kłusowałyśmy w tempie, jakim zdaniem Amelii zawsze przemieszczali się niegdyś buszujący tu Indianie. – Jestem święcie przekonana, że pewnego rana obudzę się i ujrzę w sąsiednim łóżku olbrzymią jaszczurkę lub wielką ropuchę, i to będziesz ty. Spojrzysz na mnie smutnymi przenikliwymi oczami, wypełnionymi łzami i powiesz: „Żegnaj na zawsze, Marie. Wybacz, że byłam wobec ciebie tak wredna”. Potem oddalisz się skokami albo truchtem, zależy od tego, jaką

będziesz miała postać, wymkniesz się przez okno i znikniesz.

– Jak to jestem wobec ciebie wredna? – dopytywała się, nie kwestionując moich oskarżeń związanych z czarami. W zasadzie myślę, że byłaby szczęśliwa, gdyby tak właśnie się stało. Amelii bardzo by pasowało być czymkolwiek, byle nie ludzkim stworzeniem.

– Tak naprawdę to nie jesteś wredna – sprostowałam. – W istocie, gdy tak teraz o tym myślę, dochodzę do wniosku, że jesteś najmniej wredną osobą, jaką znam.

Wkrótce po tym moim niezwykle szczerym oświadczeniu wyszliśmy z lasu i przeciąwszy drogę, weszliśmy na pole. Ujrzałam wówczas jakieś zgromadzenie w ogrodzie i zaczęłam modlić się, aby nie ominęła nas przynajmniej część ceremonii pogrzebowej. Dzięki Bogu nie rozpoczęła się jeszcze, lecz niewiele brakowało. Mattie właśnie skończyła kopać maleńki grób przy altanie i stała obok niego, trzymając kosz ogrodowy. Obok niej Alice i Emily z uroczystymi minami skromnie składały dłonie i spuszczały głowy.

Amelia, nie zatrzymując się, podbiegła do drzwi bawialni, niosąc pudełko z żółwiem ostrożnie przyciśnięte do piersi, podczas gdy ja dołączyłam do niewielkiej grupki w altanie.

– Panie – zaczęła Mattie – spraw, abyśmy pochowały wszystkie troski tego chłopca wraz z jego nogą. Spraw, abyśmy pochowały cały przysły ból i nieszczęście oraz żal, które mogłeś do niego mieć, gdyby to wszystko się nie wydarzyło. Spraw, aby wiódł szczęśliwe życie z jedną nogą, która mu pozostała, a gdy przyjdiesz, aby zabrać go ze sobą do nieba w sądny dzień, pamiętaj, proszę, gdzie jego prawa noga jest, i przyklej mu ją z powrotem, aby mógł odzyskać pełnię swojej męskości i urody na wszystkie dni wieczności. Spraw, abyśmy odtąd wszystkie były wobec niego miłe i dobre oraz wytrzymały z nim, gdy będzie trochę narzekał i gderał, ponieważ powodów mu nie brak. Przywróć mu zdrowie i spraw, aby wkrótce mógł ruszyć dalej w swoją drogę. Pozwól mu nas wszystkie zapamiętać... a przynajmniej większość z nas, jako przyjaciół. A wszystko to dla Twojej wielkiej chwały... i naszego zbawienia... amen.

– Amen – zawtórowałyśmy jej.

Następnie Mattie włożyła przykryty chusteczkami kosz ogrodowy do dziury i rzuciła na niego grudkę ziemi, po czym każda z nas również podniosła garść ziemi i podążyła za jej przykładem.

– A teraz, młode damy, idźcie umyć ręce i przygotujcie się do kolacji – poleciła Mattie, chwytając za łopatę, by wypełnić dół. – Posługa zakończona. Nie macie tu już nic do roboty.

– Powinnyśmy położyć na grobie kwiaty – stwierdziła Alice. – Róże albo hiacynty.

– Malwy albo irysy to bardziej męskie kwiaty – zauważyła Emily. – Zarówno jedne, jak i drugie ładnie kontrastowałyby z pozostałą roślinnością altany.

– Skoro rozpoczynamy kampanię przyjaźni wobec McBurneya, miłym gestem na dobry początek byłoby pozostawienie wyboru kwiatów jemu samemu. W końcu to jego noga – skwitowałam.

Pozostałe skinęły głowami, czy to na zgodę, czy to na znak, że mnie usłyszały – trudno powiedzieć. W każdym razie opuściłyśmy altanę i wróciłyśmy do domu przez kuchenne drzwi, aby przygotować się do kolacji.

AMELIA DABNEY

W dniu okaleczenia kaprała McBurneya poszłam do lasu i zostałam tam długi czas, aż w końcu około czwartej po południu lub nieco później Marie Deveraux przyszła powiedzieć mi, że Johnny mnie potrzebuje. A wtedy wróciłam, żeby mu pomóc, jak tylko potrafię.

Początkowo nie chciałam na niego patrzeć w obawie, że po tym, co się stało, może być całkiem odmieniony, że go nie poznam – wmawiałam sobie cały dzień, że tak będzie. W końcu zaczęłam sobie wyrzucać tchórzostwo. Spojrzałam na niego szybko i przekonałam się, że nie wygląda inaczej niż wcześniej. Co prawda dolna, najmocniej zmieniona część ciała była przykryta kocem, ale jego twarz pozostała taka sama – może tylko nieco bardziej wychudła, ale na pewno nie blejsza niż w dniu, kiedy pojawił się u nas po raz pierwszy.

Panna Harriet drzemała tak jak Johnny. Siedziała na krześle obok niego ze szklanką w dłoni do połowy wypełnioną winem. Dygotała i drgała, jakby prześladował ją zły sen, przez co wino plamiło jej sukienkę, dlatego najdelikatniej, jak tylko umiałam, wysunęłam jej szklankę z ręki i postawiłam na pulpicie obok butelki. Potem przestawiłam drugie krzesło w pobliże kanapy i usiadłam, czekając, aż Johnny się zbudzi i powie mi, co mogę dla niego zrobić.

A w tamtej chwili zrobiłabym wszystko, o co by tylko poprosił. Cóż, czułam się fatalnie, ponieważ to ja sprowadziłam go do szkoły i powiedziałam mu, że będzie tu bezpieczny i szczęśliwy, a teraz uczyniono mu coś tak straszliwego. Nie miałam pojęcia, czy to było konieczne, czy nie, ale byłam pewna, że nie musiało nastąpić tak szybko. I oczywiście – niezależnie od kwestii „konieczne czy nie” – miałam poczucie, że większa część odpowiedzialności spada na mnie. Mogłam go zostawić w tym lesie i jego towarzysze broni może by go znaleźli i zapewnili mu o wiele lepszą opiekę, niż my byliśmy mu w stanie zapewnić. Mogłam zostawić go tak leżącego w liściach i odejść, a może sam

wróciłby do zdrowia, tak jak ranne zwierzęta niekiedy potrafią, albo umarłby w cichości i bez lęku przed bólem, tak też się dzieje ze zwierzętami, tak mi się wydaje.

W tamtym czasie po prostu miałam wrażenie, że sięgam najgłębszych pokładów cierpienia. Czułam się chyba gorzej niż tego dnia, kiedy dowiedziałam się, że moi bracia polegli nad Chickamaugą. To jeszcze wcale nie znaczy, że myślałam więcej o Johnnym niż o Dicku i Billym – choć niewykluczone, że tak było – ale chcę powiedzieć, że zawsze większy ból sprawiało mi myślenie o cierpieniu niż o śmierci. Śmierć jest naturalnym zdarzeniem biologicznym, nie ma natomiast w przyrodzie takiej reguły, która wymaga cierpienia. Być może to prawo religijne – do czego kiedyś próbowała mnie przekonać moja koleżanka z pokoju – ale jestem pewna, że nie ma nic podobnego w świecie przyrody.

Naturalnie nie ma sposobu, żebym wiedziała, czy Dick i Billy ponieśli bezbolesną śmierć, natomiast cierpienie Johnny'ego McBurneya było widoczne gołym okiem. Nie sposób temu zaprzeczać. Dopiero teraz uświadomiłam sobie, że nawet zaszywając się w lesie, pocieszałam tylko siebie. Jego ból nie mijał od tego.

Kiedy tak rozmyślałam o tych wszystkich sprawach, on otworzył oczy i spojrzał na mnie.

– Mamo... – wyszeptał.

– Co się stało, Johnny? – Pochyliłam się nad nim.

– Mamo... Gdzie jest mama?

– To ja, Amelia. Nie ma tu nikogo poza Amelią i panną Harriet.

– Amelia?

– Tak, twoja przyjaciółka.

– Boli mnie noga, Amelio.

– Johnny, tak mi przykro. – Nie wiedziałam, co jeszcze mogę dodać.

Po chwili znów otworzył oczy i poprosił o wodę. Nalałam i przystawiłam mu szklanekę do ust, a on upił troszeczkę. Potem spojrzał mi prosto w oczy.

– Czy mi ją odcięły, Amelio? – zapytał bardzo wyraźnie.

Myślałam, czy może mu nie skłamać, ale szybko sobie uświadomiłam, że byłaby to tylko przejściowa ulga.

– Tak, odcięły – przyznałam.

Właściwie nie sposób było to złagodzić, więc nawet nie próbowałam.

– Załatwię je – przysiągł zdecydowanym głosem. – Już ja je, psiakrew, załatwię. – A potem zadrżała mu warga, a oczy zaszkliły się łzami. – Byłem najlepszym biegaczem w całym hrabstwie, do cholery, i najlepszym skoczkiem...

– Nadal możesz nim być, Johnny. – Podtrzymywałam go na duchu. – Zrobimy ci inną nogę, taką z drewna, i jak trochę z nią potrenujesz, to będziesz w stanie biegać i skakać do góry i do przodu, tak jak zawsze. – Oczywiście nie byłam o tym absolutnie przekonana, ale też nie wiedziałam, czy to na pewno niewykonalne. Im więcej nad tym rozmyślałam, tym bardziej wydawało się realne, że możemy sprawić mu piękną drewnianą nogę, na której powinien sprawnie chodzić, choć może nie jakoś bardzo prędko. Uchwyciłam się mocno tej myśli, a i on też tego potrzebował. Dlatego zaczęłam mu opowiadać, jaką to nową piękną nogę mu sprawimy. – Sam będziesz mógł wybrać rodzaj drewna, Johnny – mówiłam. – Wiem nawet, gdzie leżą świeże, porządne kłody... Dębina, drewno cedrowe, nawet buczyna... Pochodzą z drzew, które runęły od ognia artyleryjskiego. Oczywiście najłatwiej pracować w sośninie, ale myślę, że do intensywnego użytku będziesz chciał coś wytrzymalszego. Dalej, orzech to dobre, niezawodne drewno i wydaje mi się nawet, że wiem, gdzie leży takie jedno przewrócone drzewo orzechowe, chociaż jeśli ma być długo i forsownie używana, to lepsza będzie hikora. Co prawda dość trudno ją ciąć, ale cierpliwie się do tego zabierzemy i w końcu otrzymasz nogę, która będzie już twoja na zawsze. Zacznę od razu, od jutra, Johnny, poszukam najlepszej hikory w całej okolicy. Pójdę aż nad Rapidan, jeśli będzie trzeba, żeby znaleźć to drzewo... a jeśli walki wciąż go nie przewróciły, to ty i ja razem weźmiemy siekiery i piły i zetniemy je. Co o tym sądzisz, Johnny?

– Niech będzie – wyszeptał. – Cokolwiek powiesz...

– Wszystko będzie dobrze, Johnny, zobaczysz. Musisz w to uwierzyć.

– Wierzę ci, Amelio, ufam ci...

– Cieszę się, że mi ufasz. Chciałabym, żebyś dalej mi ufał. A kiedy ból zelżeje, obiecuję ci, że nikt więcej w tym miejscu ci go nie zada. Sama cię stąd zabiorę, jeśli będzie trzeba, żeby temu zapobiec. Słyszysz, co mówię, Johnny?

– Tak, słyszę. Pierońsko boli ta noga, Amelio. A pewnaś, że jej tam nie ma?

– Tak, jestem pewna.

– Może byś tam tylko zerknęła, co, Amelio? Może one tak dworują ze mnie!

Co zrobić, wzięłam głęboki oddech i niechętnie uniosłam rąbek koca. Nikt sobie z niego nie dworował.

– Nie ma jej, Johnny. Dlatego na pewno po jakimś czasie przestanie boleć. Wkrótce przestanie boleć i już nigdy nie będzie cię boleć.

– Załatwię je – wyszeptał znów. – Jak mi Bóg miły, załatwię je na amen.

– Nie możesz mówić w ten sposób, Johnny. To nieładnie tak mówić. A poza tym kogo chcesz załatwić? Jestem pewna, że panna Martha i pozostałe osoby wierzyły, że postępują jak trzeba. A chociaż w tej chwili fatalnie to musi wyglądać, to przynajmniej wiesz, że nic gorszego się nie zdarzy. A nie mogą już wyrządzić ci większej krzywdy. A nawet założę się, że wszyscy tu będą się starać jakoś ci to wszystko wynagrodzić, w każdy możliwy sposób. Założę się, że od teraz będziesz miał tutaj jak prawdziwy król. I otrzymasz tyle troski od wszystkich, że nawet nie zauważysz, jak szybko zapomnisz o tamtej starej nodze. – A potem uchyliłam puzderko, które miałam ze sobą, i pokazałam mu, co się znajduje w środku. – Widzisz tego małego żółwika jaszczurowatego w tym puzderku, Johnny? A wiesz, ten żółwik jeszcze kilka tygodni temu bardzo chorował i był taki zrezygnowany, że było mu obojętne, czy żyje czy nie? Ale spójrz na niego, jaki jest teraz. Całkiem wyzdrowiał i jeśli nie przytrafi mu się wypadek, pewnie dożyje stu lat. A czy wiesz, co zadziałało, Johnny? Wiesz, co wyleczyło tego żółwika?

– No co?

– Miłość. Miłość i czuła opieka. I to właśnie otrzymasz. Nie tylko ode mnie. Założę się o ostatniego dolara, że otrzymasz ją też od wszystkich pozostałych.

– Od nich to ja nic nie chcę. Może one już mi wyrządziły najgorsze, ale

jeszcze ja im nie.

Oczywiście taka rozmowa mnie zatrzymała. Ale jemu chyba w ten sposób robiło się trochę lepiej, więc pomyślałam, że niech będzie, przecież on zasługuje na każde możliwe ukojenie. A myślę, że gdyby nie uczepił się wtedy tych mściwych myśli, mógłby powoli stoczyć się w objęcia śmierci.

– Johnny, a czy wiesz, co widziałam niedawno w lesie? – Staralam się zmienić temat. – Czy pamiętasz tego ptaka, o którym opowiadałeś mi rano nazajutrz po twoim przybyciu tutaj, tego ptaka, o którym mówiłeś, że jest niemal zawsze w locie i nie ma swojego prawdziwego domu? No to ja dzisiaj widziałam właśnie tego ptaka: bardzo mały i w jaskrawych barwach, trochę jak koliber, ale jednak nie taki sam. Jego dziób nie był aż tak długi, poza tym nie trzepotał skrzydłami jak kolibry, tylko wdzięcznie jakby wisiał w powietrzu, bez wysiłku, tak jak mewy i inne morskie ptaki. Zniżył lot w moją stronę, a potem znów wzbił się wyżej i odleciał, i przyleciał znów, i tak kilka razy, zupełnie jakby chciał mi coś powiedzieć. Nie mogłam się domyślić, jaką to wiadomość ten ptaszek mi przynosi, a potem nagle mnie olśniło. Ten ptak próbował mi powiedzieć: „Amelio, spójrz na mnie. Zobacz tylko, jak szybko potrafię odlatywać z ciemności ku słońcu. A może zrobisz to samo, Amelio? Choćbyś nie wiadomo jakie miała troski, nie mogą być większe od moich. Jak wiesz, jestem jednym z ostatnich przedstawicieli swojego gatunku i zapewne nigdy nie znajdę pary i nie przedłużę naszego istnienia, ale się nie zamartwiam. Po prostu skupiam się na tym, że mamy lato i słońce świeci, a ja będę mógł sobie polatać po całym szerokim niebie. Może, Amelio, pomyślisz w podobny sposób o sobie? Może porzucisz przygnębiające myśli i wzlecisz wraz ze mną ku słonecznym przestworzom?”. A w tamtej chwili ptaszek błyskawicznie odfrunął, tak jak to opisywałeś, Johnny, prosto w stronę słońca. Przyglądałam się mu, dopóki to było możliwe, a potem, kiedy stał się małym punktem na rozświetlonym niebie, zakryłam oczy i wyobraziłam sobie, że wraz z tym ptaszkiem wzlatuję ku jasności i wszystkie zmartwienia zostawiam za sobą. To naprawdę działa, Johnny, ty też możesz tak zrobić. Możesz zapomnieć o wszystkich zmartwieniach i polecieć w stronę słońca. Możesz zapomnieć o wszystkim związanym z panną Marthą i resztą

i po prostu skupić się na pięknych dniach, które dopiero nadejdą. Po prostu niech cały twój ból i strach, i wszystkie troski, i wszystkie smutki... niech to będzie poza tobą. Myśl po prostu ciągle o tym, że od tej pory wszystko będzie dla ciebie przyjemne. Nawet nie będziesz musiał wracać na front. A nawet jeśli twoi żołnierze odkryją, gdzie jesteś, nie zmuszą cię do powrotu. Będą musieli wystawić ci honorowe zwolnienie z wojska, a może nawet otrzymasz jakąś pochwałę w związku z odniesionymi obrażeniami, taką jak generał Bragg przysłał mojej matce po śmierci Dicka i Billy'ego. Ja sama nie traktuję tego jako coś ważnego, ale moja matka uważa, i może twoja mama też, jeśli tę pochwałę pošlesz i do niej.

– Załatwię je... Załatwię – wciąż mamrotał słabym tonem. Oczy znów miał zamknięte.

– Dobrze, Johnny, załatwisz je. Załatwisz je już tylko tym, że zapomnisz, że kiedykolwiek istniały.

Odsunęłam krzesło nieco w kąt, żeby Johnny mógł w pełni cieszyć się popołudniowym wiaterek, który łagodnie przedostawał się przez kotary przy drzwiach ogrodowych. Znajdowało się w zacienionej części pomieszczenia, a ponieważ miało wysokie oparcie i stało odwrócone od kanapy, to osoba odwiedzająca chorego mogła bardzo łatwo mnie przeoczyć. Nie zamierzałam szpiegować ani podsłuchiwać komentarzy innych, ale z drugiej strony nie zasygnalizowałam innym swojej obecności, dlatego że nie chciałam ani zostać teraz odesłana od Johnny'ego, ani też toczyć o nim jałowych dyskusji z innymi uczennicami. Nie chciałam dywagować o obecnym stanie Johnny'ego ani słyszeć o jego operacji cokolwiek poza tym, co Marie już i tak zdążyła mi przekazać. Wcale nie byłam zainteresowana tym, co każdy z gości miał do powiedzenia – albo może tylko odrobinę – za to bardzo liczyłam na to, że żadne z nich nie zbudzi Johnny'ego, który chyba spał spokojnie.

A został zbudzony już po chwili, ale nie przez pierwszą z osób odwiedzających. Ponieważ najpierw zjawiła się panna Martha i weszła bardzo ostrożnie. Dosłownie na paluszkach przeszła przez bawialnię, rzuciła szybko okiem na pannę Harriet, która wciąż spała, a potem stanęła obok leżącego Johnny'ego i stała tak długo, w milczeniu lustrując go wzrokiem.

A potem miękko powiedziała:

– Wcale nie wyglądasz tak jak on. Teraz nie i wcześniej też nie. – A po kolejnej długiej przerwie dodała: – Przepraszam cię. Nie chciałam wyrządzić ci krzywdy.

Patrzyła tak jeszcze czas jakiś na niego, potem sprawdziła dłonią temperaturę na czole i puls w nadgarstku, podniosła wino ze stołu obok panny Harriet i opuściła bawialnię, zabierając butelkę ze sobą.

Drugim gościem była Mattie, która weszła do bawialni po kilku kolejnych minutach. Podeszła bliżej, żeby spojrzeć, jak się ma Johnny, i dotknąć jego czoła.

– Biedaczyna z ciebie – rozczuliła się. – Tyleś jechał z dalekiego kraju, a tu masz, coś takiego.

Potem się odwróciła i dostrzegła mnie. Ze wszystkich osób, które tego popołudnia weszły zobaczyć Johnny'ego, tylko ona mnie zauważyła.

– Proszę mi stamtąd wyleźć, panienko Amelio – poleciła. – A niech panienka pójdzie do studni i przyniesie sobie ciutkę wody, a potem marsz po schodach na górę do pokoju i przyszykować się do kolacji. Widzi mi się, że robi się panienka równie niesforna jak panienka Marie, a to już coś.

– Mattie, czy kończyny nigdy nie odrastają człowiekowi, tak jak odcięte ogony potrafią czasami odrosnąć jaszczurkom?

– Ja nigdy nie słyszałam, żeby coś takiego się stało.

– Ja też. Byłam raczej pewna, że to niemożliwe, ale pomyślałam, że może słyszałaś o czymś takim, że tak się dzieje w Afryce czy skąd wy tam się wzięliście.

– Mój tato stąd się wziął, z Wirginii, panienko, i ja nie inaczej stąd się wzięłam.

– No a ojciec twojego taty?

– Ja go nigdy nie poznałam. Może i pochodził z dalekich krajów, ale nawet jeśli, to mnie nigdy nikt o tym nic nie mówił.

– Ale czy wasi dawniej nie pochodzili z różnych dziwnych miejsc, w których mieli magiczne środki i mikstury, dzięki czemu można wyczyniać

niesamowite rzeczy u nas po prostu niemożliwe. Oj, Mattie, na pewno słyszałaś nawet od mieszkańców tego domu, jak rozmawiają o takich rzeczach.

– Może panienska słyszała, jak ktoś od taty panienki coś takiego opowiada, ale nie słyszała panienka, żebym ja coś takiego mówiła, i ode mnie panienka nie usłyszy! To gadanie Złego Licha i takiej małej chrześcijance nie można przy tym grzebać.

– Mattie, a czy Zły może przywrócić nogę Johnny’emu?

– A może by i tak. Zły może wszystko, co tylko mu przyjdzie do głowy, poza pójściem do nieba.

– Jak się zabrać do czegoś takiego dla Johnny’ego?

– Dziecko, czyś ty rozum postradała?

– Tylko się zastanawiam.

– No to niech panienka przestanie się zastanawiać. Nikt nie powinien nawet tego rozważać, a już pewno nie taka dziewczynka jak panienka. Zły, gdyby zechciał, pewno mógłby oddać nogę temu chłopcu, ale nie zrobiłby tego za nic. Zły nie postępuje w ten sposób. Jeśli robi coś dla panienki, w zamian oczekuje od niej przysługi. A w takim przypadku, umówmy się, że to nieletka, oj, nieletka sprawa, bo przytwierdzić komuś nogę z powrotem to pewno nie takie dziecinne proste, a już jak pogrzebana najmniej dobry jard pod ziemią, no to mówię, w takim wypadku Zły nie przyjąłby takiego zlecenia za mniej niż gwarancję znakomitej ludzkiej duszy. Czyli musiałyby panienka sprzedać własną duszę Złemu za przywróconą nogę temu Jankesowi. A teraz niech panienka sama powie, czy taka biała nieskalana duszyczka młodej panienki z Południa to uczciwa wymiana za nogę byle żołnierza jankeskiego?

– Ale on nie jest byle żołnierzem, Mattie.

– Co ja mam panience powiedzieć. To przecież jednak byle żołnierz. A nawet gdyby był nie taki byle, nawet gdyby był jankeskim generałem albo królem Francji, albo najmniej burmistrzem Nowego Orleanu, to i tak nie byłby to dobry targ. Ludzka dusza ma wysoką wartość, skarbie, zwłaszcza tak nieskalana, niezagospodarowana duszyczka jak u panienki.

– A niby czemu w zamian za nogę Johnny’ego miałyby być zaoferowana

moja dusza? Czemu Johnny nie może przehandlować własnej duszy?

– A temu, że nie jest tak nierozsądny. Bo wie, że kiedy przyjdzie mu umrzeć, to bez duszy nie idzie się do nieba. A równie dobry powód to taki, że nie idzie porównywać duszy panienki z duszą tego Jankesiny, który ledwie dorósł, a już włóczy się po całym świecie, Bóg raczy wiedzieć, jak psocąc. Dusza panienki jak ze sto razy więcej warta od duszy tego chłopca, a Zły, co to w ciemną bitą nie jest, wie to równie dobrze jak ja. Złego guzik obchodzi dusza McBurneya, jeśli jest jakaś szansa, żeby zdobyć tę panienkę. Dość o tym gadania. Niech się panienka przyszykuje na kolację i przestanie wygłupiać.

– Nie bardzo mam ochotę, żeby jeść, Mattie – stwierdziłam.

– Ale nie zawsze liczy się, na co to panienka nie ma ochoty. Panience idzie nauczyć się być silną i dźwigać problemy, i nie ugiąć się pod ich ciężarem. Każdy, kto się kiedyś narodził, cierpiał w swoim życiu. Jak nosi panienka duży ciężar dzisiaj i będzie to znosić bez skargi, to pewnikiem dobra Bozia ześle na panienkę jutro lżejsze brzemię. Zawsze na to tak patrzałam.

– Ale to nie moje cierpienia mnie trapią, tylko cierpienie Johnny’ego. I niestety boję się, że nie będzie chciał go znosić.

– A tam, dzień czy dwa i przekona się i do tego, zobaczy panienka – powiedziała Mattie. – Stracić jedną nogę to jeszcze nie koniec świata. Jest dużo więcej takich, co to wyjdą z tej wojny bez nogi, a są i tacy, co może i bez dwóch pożyją tak długo i dorobią się tyleż, i równie będą swarliwi w sąsiedzkich sprzeczkach co inni. Jeśli panienka chce tu jeszcze chwilę zostać, to niech chociaż będzie cicho. Niech biedna panna Harriet sobie tu jeszcze podpoczywa.

Niebawem po wyjściu Mattie panna Harriet i tak zaczęła się powoli budzić. Przeciągnęła się, westchnęła i sennie zerknęła na stół. Właśnie wtedy uświadomiła sobie, nawet mimo wpeł przytomnego stanu, że butelka wina zniknęła. Gwałtownie wzdrygnęła się, rozbudziła, przechyliła w stronę stołu i uważnie mu się przyjrzała, oczywiście nadaremnie. Wtedy znów westchnęła, tym razem ciężiej, wróciła do wygodnej pozycji i znów przymknęła oczy, rozmarzając się może smakiem wina, którego już nie było. A po kolejnej chwili najwyraźniej przypomniała sobie o Johnnym i wtedy – z pewnym jakby

rozdrażnieniem – wzdrygnęła się gwałtownie i usiadła na krześle prosta jak struna. Przetarła oczy i znów się schyliła, by przestudiować go dokładnie.

– Panie McBurney? – odezwała się niepewnie. – Czy pan śpi?

Panna Harriet nie ma takiego wzroku jak inni i początkowo nie mogła ocenić, czy Johnny wciąż jest nieprzytomny. Tym bardziej nie mogła oczywiście zobaczyć mnie, dalej, w mroku. A chwilę potem zaczęłam żałować, że nie dałam znaku życia, ale wtedy było już za późno, żeby to zrobić bez wprowadzania jej w ogromne zakłopotanie. A to dlatego, że panna Harriet zaczęła mówić o bardzo osobistych sprawach, a jestem pewna, że nie wspominałaby o nich, gdyby wiedziała, że w pobliżu znajduje się osoba przytomna. Jakby wykorzystywała sytuację, że Johnny śpi na kanapie, by opowiedzieć głośno o sprawach, które szmat czasu zachowywała tylko dla siebie. Myślę, że mogła potrzebować obecności innej osoby, do której można skierować swoje słowa, ale jednocześnie ta sama osoba musiała być niezdolna do słuchania, nie wiem, czy się jasno wyrażam. Moim zdaniem to żaden wstyd mówić tak do siebie. Sama w kółko to robię, kiedy jestem w lesie. Mówię do ptaków i zwierząt, o których przecież wiem, że nie mogą mnie zrozumieć, chociaż oczywiście one mnie wysłuchują, niekiedy nawet bardzo uważnie.

Jestem w stanie sobie wyobrazić, że panna Harriet czekała długi czas na taką okazję i po prostu skorzystała z niej. Zaczęła od tego, że wspomniała o zabranym winie i powiedziała, że wiedziała, że wina nie będzie, kiedy się zbudzi.

– Martha tylko czekała na taką sposobność. Zapewne przechodziła obok tych drzwi paręnaście razy i tylko czekała, aż przymknę oczy, żeby się tu zakraść i zabrać butelkę. Bardzo kiepsko, jeśli pański ból się nasili i będzie pan tego wina potrzebować, a wina nie będzie, no ale jeśli tak się stanie, proszę za to winić tylko moją siostrę. To dla pana je oszczędzałam, ale Marthy z pewnością się do tego nie przekona. Proszę mnie brać za tę słabszą z dwóch sióstr, ale wie pan co, tak po prostu nie jest. Jestem znacznie silniejsza, o wiele bardziej niezależna niż Martha... i tak było zawsze. Mam, widzi pan, nadzwyczajną siłę, która zapewnia mi odpowiednie miejsce w tym domu.

Dotychczas niechętnie po tę siłę sięgałam, ale jeśli będzie trzeba, jest do dyspozycji. Wiem o pewnych sprawach, panie McBurney, i moja siostra obawia się mnie z tego powodu. Tak, może sobie szydzić ze mnie przed uczennicami, może mnie lekceważyć przy stole, może mnie wystawiać na tysiące drobnych upokorzeń, na przykład chować klucz od piwniczki z winem, gdy potrzebuję lekarstwa na zaziębienie lub doskwierające plecy, ale wszystko ma swoje granice, panie McBurney. Są pewne granice, po których przekroczeniu nie zamierzam znosić zachowań mojej siostry. Może czyhać na korytarzu na moje przyśnięcie i potem zakradać się tu jak złodziej, i wykradać mi niemal opróżnione butelki wina, ale wprost to nie wyda mi polecenia, którego nie chciałabym wykonać. Nie może mi kazać dokądś pójść, gdzieś zostać, usiąść czy stać właśnie albo zrobić cokolwiek niezgodnego z moimi własnymi życzeniami, a to dlatego, że mam w sobie ową siłę, panie McBurney. Mam siłę, żeby ją zniszczyć.

Jestem przekonana – ciągnęła panna Harriet – że moja siostra była szczerze przerażona, gdy sobie uświadomiła, co panu wyrządziła, panie McBurney. Tak samo jak zupełnie się załamała, kiedy uświadomiła sobie, co wyrządziła mojemu bratu. Oczywiście bardzo szybko doszła do siebie po rozpacz z powodu Roberta, tak jak teraz w dzień lub dwa może dojść do siebie po wstrząsającym uprzytomnieniu sobie, że dokonała niepotrzebnej amputacji.

Panna Harriet mówiła teraz cicho, choć pospieszniej i może nawet zjadliwiej niż zazwyczaj. W ogóle całe jej zachowanie zupełnie nie przypominało potulnej i niepewnej osóbki, która zazwyczaj najczęściej ustępuje przy wszelkich sporach, nawet z uczennicami, Edwiną, Emily, a czasem nawet z Marie.

– Wielka szkoda, panie McBurney, że nie odwiedził nas pan dużo wcześniej – skarżyła się panna Harriet. – Dobrze by pan tu się wtedy bawił, u Farnsworthów. Kiedy jeszcze żył ojciec, to było naprawdę przyjemne miejsce i przyjemny dom. Wszystko wtedy wyglądało inaczej. Zawsze ktoś u nas bawił albo prawie zawsze. A ile przyjęć wszelakich tu się odbywało... barbecue, uroczystości, bale może nie na taką skalę, jak potrafią w Richmond, zgoda, ale tak czy siak były to uroczne okazje. Chyba mogę spokojnie

powiedzieć, że w tej części hrabstwa najlepsze zabawy urządzano tylko u Farnsworthów. I przychodzili na nie ludzie zewsząd. Podejmowaliśmy tu gości z Fredericksburga, z Culpepper, z Warrenton, a niejednokrotnie nawet z Courthouse i z Richmond. Kilka razy przyjechali znajomi rodziny z minionych czasów, ludzie z naszych dawnych okolic nad rzeką James. I oczywiście gdy Robert uczęszczał na uniwersytet, w tamtym roku sprowadził tu na czas przerwy w nauce wielu znajomych. A pochodzili zewsząd. Pamiętam, że w tamto Boże Narodzenie pojawili się młodzieńcy z Augusty i Biloxi, a jeden nawet ze stolicy, mam tu na myśli jankeską stolicę, i jeszcze inny, śmiertelnie blady i nieśmiały chłopiec z Nowego Jorku, który spoufalał się ze mną i z nikim innym, tylko ze mną. No i oczywiście był tu też Howard Winslow, w tamtych czasach ciągle tu bywał. Przyjęcia i rozrywki różnorakie mieliśmy tu każdego dnia i wieczoru nawet przez bity tydzień. My z Martha też wówczas uczęszczałyśmy do szkoły panny Monroe we Fredericksburgu i na Boże Narodzenie przyjechały do nas trzy dziewczęta stamtąd. Jedna to Mary Bradley, jak pamiętam, druga Elizabeth Colby, a trzecia to niezgrabna dziewczyna z Bostonu, której imienia za żadne skarby świata nie pomnę, ale pamiętam, że miała najszkaradniejszą cerę w całej szkole. Oczywiście Elizabeth i Mary również nie grzeszyły urodą, co rzecz jasna było właśnie przyczyną, dla których Martha je zaprosiła. Nie pozwoliłaby, żeby Robert został wystawiony na jakiegokolwiek nieprzykładne pokusy.

Tak, wraz z Martha byłyśmy tamtego roku poza domem, w szkole. Do tamtej pory nauki pobierałyśmy w domu u zubożałych imigrantów w średnim wieku, głównie Niemców i Austriaków, z których żaden nigdy nie czuł się tu, w głębi kontynentu, szczególnie szczęśliwy, zwłaszcza gdy weźmie się pod uwagę uporczywe wywyższanie się Marthy. Kiedy więc akurat nie miałyśmy żadnego nauczyciela, a Robert planował wyjazd na uczelnię, moja siostra przekonała ojca, żeby posłać nas do szkoły panny Monroe. Pamiętam, że chciała, aby i ją, i Roberta zapisać na jakąś uczelnię we Francji, gdzie bodaj kobiety mają dostęp do nauki, ale ojciec nigdy nie był zdeklarowanym zwolennikiem jakiegokolwiek kształcenia kobiet i w przypadku Marthy pojął, całkiem słusznie zresztą, że akurat takie doświadczenie życiowe uczyni ją jeszcze nieznośniejszą.

Oczywiście nie chcę przez to powiedzieć, że Martha nie jest bystra. Akurat pod tym względem zawsze przewyższała i Roberta, i mnie. Jestem przekonana, że gdyby urodziła się mężczyzną, sama mogła zrobić wspaniałą karierę w oświacie czy polityce, a może nawet w medycynie. Doświadczył pan już wszak, panie McBurney, zapału mojej siostry do praktykowania medycyny. A niewykluczone że namówiłaby ojca na ten plan z Paryżem, tak jak skutecznie namawiała go do wszystkiego, czego tylko chciała, tyle że sam Robert, jak się okazało, wcale nie palił się jechać do Europy i chyba nie muszę mówić, że wtedy zainteresowanie Marthy uleciało. Myślę, że Robert czynił wtedy poważną próbę wyswobodzenia się spod wpływów Marthy i dlatego postanowił wyjechać na Uniwersytet Wirginii.

Martha jest dziwną kobietą, nie da się ukryć. Jest moją najbliższą rodziną, ale chwilami nie czuję z nią żadnej bliskości. Myślę czasem, że nie tylko sama jest niezdolna do zwykłej miłości, lecz także brak jej jakiegokolwiek magnetyzmu duchowego, żeby taką przyciągać. Może wzbudzać coś jakby poważanie, ale nie miłość. Wydaje się zmuszona do zarządzania i posiadania wszystkiego i wszystkich wokół, a oczywiście osoba o takich przymiotach nigdy nie będzie ani lubiana, ani kochana. Dlatego mogę panu zupełnie szczerze powiedzieć, że mój brat na pewno nigdy jej nie kochał. A pod koniec nawet mógł jej nienawidzić za to, jak go traktowała. Jakby w ogóle nie był jej bratem albo nigdy nie był z nią spokrewniony, chodzi tu o określony sposób zachowania, jeśli rozumie pan, co mam na myśli. Myślała może, że nikt tu nie zdawał sobie sprawy z tej sytuacji, ale mnie oszukać nie mogła. Widziałam, w jaki sposób go dopieszcza, troszczy się o niego, jak chodzi za nim, gdziekolwiek pójdzie, ona za nim. Nie mógł zrobić dziesięciu kroków w stronę stajni, pola czy lasu, a ona już snuła się za nim. Czasami, panie McBurney, podążała za nim nawet w nocy do jego pokoju. Drzwi były najczęściej zamknięte, ale moja siostra ma anielską cierpliwość. Potrafiła czekać w korytarzu, uśmiechać się, po cichutku pukać i wołać doń: „Robbie, proszę, tylko na chwileczkę”. I wreszcie go przekonywała. Na koniec zawsze to ona miała ostatnie słowo. Otwierał drzwi i stawał w nich, błądy i rozdygotany w blasku jej świecy, a potem odsuwał się na bok, a ona wchodziła z uśmiechem, uśmiechając się. I drzwi się zamykały, może na kilka

godzin, może do świtu. A w środku działy się nikczemne rzeczy. Kiedyś, jeśli będzie pan zainteresowany wysłuchaniem tego, panie McBurney, opowiem panu o wszystkim, co działo się podczas owych nocy.

Nazajutrz zawsze sprawiała wrażenie, jakby nie stało się nic nadzwyczajnego. Jeśli jej sposób bycia w ogóle się zmieniał, to na lepsze, wydawała się szczęśliwsza i bardziej rada z tego wszystkiego, co jeszcze poprzedniego dnia gotowa była określić jako nudny żywot w domu Farnsworthów. Robert z kolei potrafił pozostać w pokoju przez cały następny dzień, nie wychodząc z niego wcale, nawet na posiłki. Czasami czekał, aż zapadnie zmrok, wtedy udawał się po kryjomu do stajni, siodłał konia i pędził do Courthouse, a może nawet do Fredericksburga, gdzie przez większość tygodnia zalegał pijany w jakiejś gospodzie czy jeszcze gorszym miejscu.

Ojciec oczywiście nigdy się nie dowiedział, co się wyprawiało na piętrze. Skutki tego dostrzegał w oczach syna utracjusza, ale nigdy nie poznał przyczyny. Zresztą w późnym okresie życia stał się bardzo zamknięty w sobie, ten nasz ojciec. Kiedy nie mieliśmy gości, większość czasu zaczął regularnie spędzać na ganku lub w bibliotece, jako że nie mógł znaleźć wspólnego języka ze swoimi dziećmi. Potrafił nawet wiele nocy spać na kanapie w bibliotece, gdy dokuczała mu podagra, a to oczywiście ułatwiało sytuację Marcie. Ale doczekała się za to rachunku, panie McBurney. Robert odszedł i nigdy nie wrócił. Moja siostra, proszę mi wierzyć, pogrążyła się w rozpacz. Przez długie miesiące on usiłował od niej uciec, ale udało jej się go tu zatrzymać pod pozorem, że ojciec go potrzebuje. Jak ojciec umarł, już skończyły się preteksty. Odszedł ostatecznie i nigdy więcej go nie zobaczyła. Owszem, rozpaczliwie próbowała go szukać. Przejechała wiele mil w tym celu i napisała mu setki listów, i wysyłała je w miejsca, o których słyszała, że może w nich być lub przebywał wcześniej. Pisała te listy dalej nawet, gdy już skończyły się adresy, na które mogła je rozsyłać, ponieważ dużo leżało jej na sercu i chciała to przelać na papier, i wciąż nie traciła nadziei, że niebawem, może jutro, pojutrze, najpóźniej może w następnym tygodniu, że dostanie od niego wiadomość albo od kogoś, kto go widział i będzie mógł jej powiedzieć, gdzie on jest. Zabezpieczyłam część tych listów, panie McBurney, i trzymam je

u siebie w pokoju na górze. Kiedyś, jeśli będzie pan chciał, pokażę je panu. To są bardzo wymowne listy, proszę mi wierzyć. Myślę, że po ich lekturze pańska opinia o mojej siostrze gruntownie się zmieni. W niektórych listach pisze, że żałuje, jak traktowała Roberta i co do niego czuła, niekiedy też myśli, że to mogło być błędem. W jednym z listów utrzymuje, że jeśli on wróci, nigdy nie będzie musiał się jej obawiać, ponieważ ona przysięga trzymać się z dala od niego i nawet nie odzywać się do niego, jeśli tak sobie zażyczy. Proszę nie wierzyć w żadną z tych rzeczy. Gdyby Robert jutro wrócił, z jej strony wszystko znów wyglądałoby tak samo. Oczywiście ona teraz utrzymuje, że on nie żyje, ale proszę temu też nie dawać wiary. Którejś nocy pogrzebała coś w lesie i twierdziła, że to Robert, ale to nie jego pogrzebała, panie McBurney, proszę w to ani trochę nie wierzyć. To była szmaciana sterta, wzięła po prostu jakieś stare szmaty. Taki był z tego Robert, jak i z pana jest.

Widzi pan, ona uświadomiła sobie, co uczyniła, i to wywołuje w niej cierpienie, i pan też może powodować w niej cierpienie, panie McBurney, za to, co panu uczyniła. Zawsze, gdy na pana spojrzy, pański ból będzie jej bólem... Noce, kiedy nie będzie pan spał wskutek cierpienia, dla niej będą równie bezsenne. A nawet jeśli pan przez to umrze, panie McBurney, ona pana nie zapomni. Będzie zawsze pamiętała, co panu wyrządziła. I sama też dopilnuję, żeby zapamiętała ten dzień.

Panna Harriet znów umilkła, westchnęła i raz jeszcze spojrzała na stół i podłogę pod spodem, żeby się upewnić, czy mogła odstawić butelkę z winem nie na swoje miejsce. Ale butelki niezaprzeczalnie nie było, dlatego wycedziła jakieś krótkie zdanie, które nie do końca zrozumiałam poza tym, że na pewno zawierało imię panny Marthy oraz kilka takich przekleństw, których nigdy wcześniej z jej ust nie słyszałam. Potem wstała i opuściła bawialnię, nie patrząc już na Johnny'ego. Szła powoli i nierówno, potykała się o meble. Po chwili usłyszałam, jak w ten sam niepewny sposób wspina się po schodach.

Nic dziwnego, że bardzo poruszyły mnie słowa panny Harriet, ale pomyślałam, że skoro to było zupełnie nie w jej stylu, po prostu wypić o jeden kieliszek za dużo. Myślę, że jeśli ktoś zazwyczaj jest miły i uprzejmy, a w stosunkach z innymi zawsze obchodzi się łagodnie – a z pewnością panna

Harriet do takich należy – to nie do końca byłoby sprawiedliwie osądzać tę osobę po słowach lub czynach, które są wynikiem wyjątkowych okoliczności. Prawdą jest, że przyszedł taki czas, kiedy mogłam zastosować tę zasadę również do czynu Johnny’ego McBurneya, a nie zrobiłam tego. Wyjaśnienie tego, jak przypuszczam, jest po prostu takie, że akurat ten konkretny czyn Johnny’ego głęboko mnie poruszył, a romanse w rodzinie Farnsworthów zupełnie nie. Pamiętam, że moja refleksja na temat tych popołudniowych wynurzeń panny Harriet była taka, że właściwie nie jest wcale gorsza ode mnie. Ja sama w lesie na osobności często mówię okropne rzeczy o innych, a przecież to nie panna Harriet zawiniła, że tamtego popołudnia w bawialni znajdował się ktoś jeszcze.

Potem zostałam tam przez chwilę sama z Johnnym. Słyszałam, jak panna Martha i Mattie rozmawiają w ogródku warzywnym, zbierając zioła i warzywa na kolację. Słyszałam, jak Emily i Marie schodzą po schodach, na każdym stopniu obrzucając się obelgami. Zdaje się, że Emily oskarżała Marie o kradzież mydła, choć to byłoby dziwne, by Marie pożałowała akurat mydła, chyba że perfumowanego. Panna Martha wyszła na korytarz, kazała im się uciszyć i nie przeszkadzać kapralowi McBurneyowi. Aby uzyskać taki skutek, poleciła obu udać się do kuchni i pomóc Mattie w przygotowaniu posiłku.

Potem, jak pamiętam, rozmyślałam nad tym, że w większości przypadków, gdy w szkole ginie mydło, pierwszą podejrzaną jest Alice Simms. Wynika to z tego, że Alice jest szalenie dumna ze swojej mlecznej cery, i choć nie dokłada wielkich starań, żeby utrzymać resztę ciała w nienaganej czystości, to potrafi spędzić mnóstwo czasu na myciu twarzy. Ja akurat twierdzę, że brud jest w takim samym stopniu częścią natury jak słońce i deszcz, choć muszę przyznać, że w niektórych sytuacjach schludność lepiej służy, to jednak ten kaprys nieustannego mycia może stać się strasznym utrapieniem, zwłaszcza w takiej wziętej szkole jak ta. Mogę też przytoczyć tu zdanie mojej współlokatorki. Marie wydaje się, że jednym z nielicznych dobrodziejstw, jakie przyniosła ta wojna, jest powszechny niedobór mydła, co jest dla niej niezbitym dowodem na to, że w każdej, nawet najgorszej sytuacji zawsze można znaleźć jakieś dobre strony.

O wilku mowa, ponieważ właśnie wtedy do pomieszczenia weszła ona, Alice Simms. Zatrzymała się tuż za progiem i bacznie się rozejrzała, podejrzewam, że chciała się upewnić, czy Johnny nie ma innych gości. Alice, tak jak wcześniej panna Harriet, nie dostrzegła mnie, więc podeszła bliżej kanapy. Miała na sobie jedną z zestawu kilku sukienek w żywych kolorach, ponoć będących kiedyś własnością jej matki i ofiarowanych Alice, gdy moda uległa zmianie lub poprawiła się sytuacja materialna jej mamy. Akurat ta była z różowej tafty, przepasana w stanie jedwabną czarną wstążką. Niestety na Alice, która jest dość drobnej figury, choć niezaprzeczalnie ma kobiece kształty, to o wiele za duża suknia. Można by ją łatwo skrócić, ale Alice nie ma ręki do szycia, poza tym mówi, że woli dorosnąć do swoich sukienek, niż ryzykować zniszczenie ich wskutek poprawek krawieckich.

– Johnny, czy czujesz się lepiej? – powiedziała teraz, podciągając poły sukienki. – Jeśli śpisz, nie budź się z mojego powodu, potrzebujesz przecież jak najwięcej odpoczynku. Jeśli tylko będziesz dużo jadł i odpowiednio odpoczywał, nawet nie zauważymy, jak szybko wrócisz do formy. Przyszłam tylko po to, żeby ci powiedzieć, że przestałam już cię nienawidzić, Johnny, ale jeśli naprawdę śpisz, to powiem ci to innym razem. Po prostu chcę jakoś powiedzieć, że jest mi przykro z twojego powodu, że Edwina zepchnęła cię ze schodów i tak to się potoczyło. Oczywiście byłam strasznie wściekła, kiedy zareagowałeś z takim zaniepokojeniem o nią, i wybiegłeś na korytarz, żeby jej się tłumaczyć, jakby ona znaczyła dla ciebie więcej niż ja. Ale potem zaczęłam się o ciebie martwić i zastanawiać, czy aby nie jesteś poważnie ranny. I wiesz co, Johnny, z tego powodu nawet nie zmrużyłam oka tamtej nocy. A dzisiaj rano byłam chyba jeszcze bardziej przejęta, bo bałam się, że mogłeś umrzeć tu sam, a ja nawet nie miałabym już nigdy okazji ponownie z tobą porozmawiać. Bo widzisz, Johnny, naprawdę dużo myślę o tobie. Powiem wprost, jesteś dla mnie najbardziej fascynującym chłopakiem, jakiego kiedykolwiek spotkałam, i tak bardzo, tak bardzo cię lubię, a czasem nawet myślę, że cię kocham. Możesz jednak to zwinąć w rulon i schować pod poduszkę, na później, jeśli taka twoja wola, Johnny. Och, dzięki tobie, kiedy mnie obejmujesz i całujesz, kochany, przesłodki Johnny, czuję się tak wspaniale. Niegodziwy z ciebie chłopak, ale przy tym taki miły... Odkąd przyjechałeś, niecierpliwie wyczekuję

każdego dnia. Chyba sam widzisz, jak nędznie bym się czuła, gdybyś tak mi nagle umarł, Johnny, akurat gdy między nami zaczynało się tak dobrze układać.

Potem jeszcze mówiła wiele takich słów, ale powyżej zawarta jest istota rzeczy. Oczywiście nie wierzyłam w to wszystko ani trochę. To całe „zaczynało się tak dobrze układać” między Johnnym a Alice musiało istnieć głównie w jej wyobraźni, ponieważ – zacznijmy od tego – mieli bardzo mało okazji do przebywania sam na sam, a to przecież pierwszy krok do wspólnego układania się, przynajmniej tak mówią. Jeśli pominąć poprzednią noc, nigdy nie przebywali na osobności przez dłuższy czas, jestem o tym przekonana, bo w tamtym czasie nie spuszczałam Johnny’ego z oka, ponieważ obawiałam się, że ktoś taki jak Alice będzie chciał go wykorzystać. I dokładnie tak się stało.

Nie wiedziałam, co się dokładnie działo poprzedniej nocy w pokoju Alice, i wcale nie chciałam wiedzieć. Cokolwiek to było, to i tak miałam pewność, że całą odpowiedzialność ponosi Alice. Nie wchodziła teraz w szczegóły dotyczące przeszłości, zaczęła za to toczyć rozważania, jak jej i Johnny’emu może się wspólnie ułożyć w przyszłości.

– To, że straciłeś nogę, nie powinno ograniczać cię w uczuciu. Tak mi się wydaje – wyznała. – Jestem pewna, że jednonogi mężczyzna, a nawet beznogi mężczyzna może być mężczyzną, a pewnie i ojcem, jeśli tego pragnie, jak każdy inny przedstawiciel rodzaju męskiego. I pomimo braku nogi z pewnością może też sprawić tyle samo rozkoszy młodej damie. Dokładnie to sobie wszystko przemyślałam, Johnny, i jestem niemal przekonana, że brak nogi, mówię pod kątem intymności, nie będzie miał dla mnie żadnego znaczenia, jak tylko się do tego stanu przyzwyczaję. Tak, początkowo może mi to troszeczkę przeszkadzać, ale jestem pewna, że w mgnieniu oka zwalczę w sobie jakąś przesadną delikatność.

Wiesz, Johnny – kontynuowała – będę z tobą szczerą. Dzisiejszego popołudnia tam, w jadalni, najbardziej smuciła mnie myśl, jak ta utrata nogi może odmienić cię jako mężczyznę. Myślę, że to był właśnie główny powód mojego omdlenia, nie wiem, czy zauważyłeś, że tak się stało, zemdlałam. Ale no tak, oczywiście nie mogłeś tego wiedzieć, przecież byłeś wtedy nieprzytomny. W pierwszej kolejności powinnam ci pewnie też wyjaśnić,

Johnny, co ja w ogóle w tej jadalni robiłam w czasie, gdy odcinano ci nogę, wyjaśnić tak na wszelki wypadek, żeby to nie brzmiało tak, jakbym zupełnie nie miała uczuć. Mnie akurat nigdy nie przyszłoby do głowy, że można tak o tym pomyśleć, ale Marie Deveraux niedawno mi powiedziała, że dokładnie tak sobie wtedy pomyślała. Marie mówi, że to wyglądało na wyjątkowo bezwzględne z mojej strony okazać takie zainteresowanie twoją amputacją ledwie dobę po tym, jak podejmowałam cię w moim pokoju. Oczywiście, jak oboje wiemy, podejmowanie właściwie się jeszcze nie zaczęło, kiedy ta okrutna Edwina znienacka wpadła i nam przerwała. Ale i tak uderzyło mnie, że w słowach Marie może być coś na rzeczy.

Dlatego po przemyśleniu wszystkiego postanowiłam, że chyba powinnam ci wyjaśnić, jak wyglądały moje odczucia, kiedy widziałam, jak panna Martha odcina twoją nogę, poza tym, że się martwiłam, że stracisz męskość, o czym przecież już wspomniałam. Powiem ci najszczerzą prawdę, Johnny. Najważniejszy powód, dla którego weszłam do jadalni i oglądałam tę straszną scenę, był taki, że chciałam zmniejszyć podejrzenia panny Marthy o nas obojgu. Jestem pewna, że panna Martha, a zapewne i panna Harriet zastanawiały się, czy ty i ja uprawialiśmy *amour*, jak to nazywa Marie, i zaświtało mi w głowie, że moja obecność obok stołu operacyjnego będzie najlepszym możliwym sposobem, żeby zdusić takie podejrzenia. Bo oczywiście, Johnny, gdyby nasze przełożone miały nas bez przerwy obserwować, nie będziemy w stanie za wiele sami poromansować, prawda, kochanie?

Dlatego właśnie – ciągnęła opowieść panienka Alice Chodząca Życzliwość – postanowiłam stać tam i przypatrywać się tej krwawej scenie, choćby miało mi być niedobrze przez okrągły tydzień. Postanowiłam zachowywać się tak, jakbym właściwie wcale cię nie znała, Johnny. Pomyślałam sobie, że jeśli to nie zwiedzie panny Marthy i panny Harriet, to już nic nie zwiedzie. Oczywiście nie spodziewałam się, przyznaję, że to będzie aż tak przerażające. Nie sądzę, żebym potrafiła przejść przez to po raz wtóry, Johnny. Raz wystarczy, naprawdę, dziękuję. Chociaż teraz myślę, że mój plan wprowadzenia naszych kochanych nauczycielek w błąd zakończył się

powodzeniem. Założę się, że gdyby ktoś obcy miał tu i teraz wejść na teren naszej pensji i wypytywać, czy panienka Alicia Simms żywi silny afekt do pana Johnny'ego McBurneya, to nasze nauczycielki z pewnością dobitnie by zaprzeczyły. A przecież oboje wiemy, że nic nie jest dalsze od prawdy, prawda, kochanie, że wiemy? Przynajmniej ja to wiem, a z całego serca mam nadzieję, że i ty. Och, Johnny, ja i ty przeżyjemy razem cudowne miłosne chwile, jak tylko to się stanie dla ciebie możliwe. Oczywiście rozumiem, że jesteś teraz bardzo osłabiony i może ci trochę zająć, nim odzyskasz krzepę. Absolutnie nie spiesz się z tym, kochanie, pozwól, żeby twój biedny kikut porządnie się wygoił, a kiedy już poczujesz się wystarczająco silny, żeby przeżyć miłosne uniesienia, przywołaj mnie wtedy, a ja do ciebie przyjdę. Do tego czasu być może spróbuję podtrzymywać pozory przed naszymi nauczycielkami, po prostu żeby potem żyło nam się łatwiej, Johnny. Nie bądź więc zawiedziony, jeśli przez najbliższe kilka dni nie będę na ciebie zwracać uwagi albo powiem rzeczy, które w obecności innych mogą wydać się bezduszne w stosunku do ciebie. I ja, i ty dobrze wiemy, co naprawdę do ciebie czuję, prawda? I tylko to się liczy.

Następnie Alice pochyliła się nad nim i delikatnie pocałowała go w czoło.

– Johnny, muszę teraz iść na kolację. Pewnie nie słyszałeś ani słowa z tego, co powiedziałam, prawda? Ale nic nie szkodzi. Spróbuję znaleźć dogodną okazję jutro albo pojutrze, a wtedy wpadnę na chwilę i może powtórzę ci to wszystko jeszcze raz. – Nagle zachichotała. – To znaczy o ile to wszystko spamiętam.

A potem znów go pocałowała i zostawiła w spokoju, machając mu lekko dłonią na pożegnanie, co było chyba jeszcze głupsze niż jej przemowa. Podejrzewam, że z pewnym prawdopodobieństwem niektóre jej wyznania mogły zatopić się w jego głowie, ponieważ nie dało się powiedzieć, jak bardzo był nieprzytomny, ale na pewno jego oczy pozostawały zamknięte przez całą wizytę Alice, więc nie mógł widzieć, jak macha mu na do widzenia.

Postępowanie niektórych dziewcząt jest rzeczywiście dziwne, i jeśli nawet Alice Simms nie jest najlepszym tego przykładem, to Edwina Morrow spełnia już chyba wszystkie warunki. Alice opuściła pomieszczenie i dopiero zniknęła

w korytarzu, gdy do środka już weszła Edwina. Ewidentnie musiała czekać u szczytu schodów – a może obserwowała wszystko z biblioteki – aż Alice wyjdzie, a wtedy sama przybiegła do bawialni i leżącego Johnny’ego, zupełnie jakby postanowiła, że jeśli nie zrobi tego szybko, to już nigdy.

Stała tak nad nim przez chwilę, ciężko oddychała i przygryzała wargę, wlepiając w niego wzrok, który moim zdaniem trudno określić jako przyjacielski. Ale trzeba przypomnieć, że trudno kiedykolwiek coś dokładnie powiedzieć o bieżącym nastroju Edwiny, skoro jej codzienny sposób zachowania zazwyczaj do bardzo ciepłych nie należy. Tak długo stała i czekała bez choćby słowa, że już pomyślałam, że nigdy nie zacznie. Odniosłam jednak wrażenie, że jej odczucia do Johnny’ego zmieniały się podczas jej pobytu w bawialni. Wchodząc, mogła podejrzewać, że Johnny i Alice właśnie przed sekundą odbyli czułą rozmowę, ale kiedy ujrzała go i stan, w jakim się znajdował, przeszła jej złość i nawet zaczęła mu trochę współczuć.

Ostatecznie bowiem bardzo cicho szepnęła:

– Przykro mi z powodu tego, co cię spotkało. Nigdy nie chciałam, żeby doszło do czegoś takiego, chociaż nie sądzę, żebym żałowała swojego zachowania. Gdyby sytuacja się powtórzyła, pewnie zrobiłabym to znowu, no ale się nie powtórzy. Nigdy już nie będę czuła do ciebie tego, co czułam przed wczorajszą nocą. Ale teraz to już nie ma znaczenia ani dla ciebie, ani dla mnie. Teraz najważniejsza jest twoja determinacja, żeby zdrowieć, i myślę, Johnny, że ją znajdziesz. Sądzę, że masz w sobie ogromną siłę woli, żeby zrobić niemal wszystko, do czego chcesz dążyć, i kurczowo się trzymać, kiedy inni już dawno odpuściliby i umarli. Przeżyłeś i niemal wyleczyłeś się po tamtej ranie. Myślę, że jesteś w stanie to powtórzyć, jeżeli tylko będziesz tego chciał. A podejrzewam, że będziesz chciał choćby tylko po to, żeby nam pokazać, że nie dasz się pokonać grupce kobiet i dziewcząt.

Chciałabym, Johnny, żebyś wyzdrowiał – ciągnęła Edwina. – Chcę, żebyś wydobrzeł i odszedł stąd na zawsze. I przyznam, że za tym moim pragnieniem stoi egoizm. Może nie chcę cię więcej widzieć również w nadziei, że to ostatecznie pozwoli mi zapomnieć o tobie, a wtedy może sama będę mogła wyleczyć się z ciebie. Jestem przekonana, że nie żywię już do ciebie

miłosnych uczuć, chyba to rozumiesz, Johnny, ale pod twoją obecność nie mogę się uspokoić, i to się pewnie nie zmieni.

Dlatego właśnie chcę pomóc ci opuścić to miejsce. Możesz sam realizować te same plany, które miałeś w głowie dla nas obojga. Jeśli chcesz zacząć w Richmond, napiszę do mojego ojca i poproszę go, żeby uczynił wszystko, co w jego mocy, aby wysłać cię, gdziekolwiek chciałbyś się udać... albo żeby pomógł ci znaleźć gdzieś posadę, gdybyś jednak właśnie to wolał. Powiem mu, że dla mnie to będzie wyświadczenie mi bardzo osobistej przysługi. Jeśli to zrobi, obiecuję, że sama skutecznie zniknę z jego pola widzenia i nigdy więcej o nic go nie będę już prosić. Powiem mu też, że proszę go o tę przysługę dla mojego wyjątkowego przyjaciela, dla kogoś, kto był ze mną bardzo blisko... – Edwina przerwała, odwróciła się i zakryła usta dłonią. Dopiero po chwili odzyskała panowanie nad sobą i ponownie na niego spojrzała. – To wszystko, co miałam ci do powiedzenia, Johnny – zakończyła lekko roztrzęsionym głosem. – Miałam nadzieję, że może mnie usłyszysz. Jeśli nie słyszałeś, to też dobrze, tak czy inaczej napiszę do ojca i poproszę go o pomoc dla ciebie.

A potem powoli ruszyła w stronę drzwi. Chwilę wcześniej, kiedy jeszcze kończyła swoją tyradę, zauważyłam u Johnny'ego nieznaczny ruch warg. Jego usta odrobinę uniosły się w kącikach, tworząc jakby załazek uśmiechu. A potem otworzył oczy i powiedział cichym, choć zdecydowanym tonem:

– Edwino.

Niepewnie podeszła z powrotem.

– Jak się miewasz, Johnny? – zapytała.

– Doskonale... jak na okoliczności.

– Obudziłam cię?

– Jeśli nawet, to dziękuję. Jak ja bym to odżałował, że miałem cię tak blisko, a nie wiedziałem o tym.

– Słyszałeś, co mówiłam wcześniej?

– Nie, co takiego mówiłaś?

– Powiem ci kiedy indziej.

– Przepraszam cię, Edwino, za to, co stało się... poprzednio, kiedy cię widziałem. A właśnie, a kiedy to było właściwie?

– Ostatniej nocy.

– Raptem ostatniej nocy... A mnie się wydaje, jakby lata zeszły. Ale i tak przepraszam, Edwino, że cię skrzywdziłem. Nigdy nie miałem takiego zamiaru. Nie skrzywdziłbym cię nawet dla wszystkich Alicji na świecie razem wziętych...

– Johnny, kiedy spałeś, powiedziałam, że mnie też jest bardzo przykro z powodu twojej nogi. Może teraz powiem więcej. Przykro mi, Johnny, że śledziłam cię minionej nocy i że cię uderzyłam. Ale proszę, uwierz mi, Johnny, że nie chciałam, żebyś spadł ze schodów.

– Wiem o tym, skarbie, w to nie wątpię. To wypadek i tyle.

– Johnny... a jednak byłam zadowolona, kiedy upadłeś.

– No i też w porządku. Mam to, na com zasłużył, Edwino.

– Nie zasłużyłeś na tak poważne rany i że doszło do tego, do czego dzisiaj doszło. Nie jestem z tego powodu zadowolona, Johnny, a teraz jest mi przykro z powodu wszystkiego. Mojego postępku nie da się usprawiedliwić. Zapewne miałeś swój ważny powód, żeby się widzieć z Alice. Chciałeś jej pewnie życzyć dobrych snów.

– Tak właśnie mogło być.

– I zapewne byłeś wyczerpany wspinaczką po schodach. I po prostu odpoczywałeś przez chwilę na jej łóżku.

– Tak, tak właśnie...

– O Boże, Johnny, tak mi przykro, że w ogóle mogłam pomyśleć inaczej. Czy ból jest dotkliwy?

– Niestety.

– Wkrótce zelżeje.

– Część tego bólu może i tak.

– Czemu poszedłeś do jej sypialni, Johnny?

– Przed chwilą sama wspomniałaś. Chciałem życzyć jej dobrej nocy.

- Mogłeś jej to powiedzieć na dole.
- Pewnie zapomniałem.
- Dobrze, Johnny, zostawmy to w takiej wersji.
- Nie jesteś zainteresowana, co to jej rzekłem na dobranoc? Nie chcesz usłyszeć, jak to zrobiłem?
- Johnny, proszę cię...
- Pocałowałem ją, przytuliłem ją i robiłem takie różne rzeczy.
- Proszę, naprawdę...
- I tak widziałaś. Wiedziałaś, że nie tylko odpoczywam.
- Johnny, na Boga, proszę, błagam cię...
- Nie błagaj mnie, skarbenku. Błaganiem nigdy nic u mnie nie wskórasz.
- Ty świnió, ty mendo paskudna... Obyś umarł!
- Proszę cię, skarbenku, chyba nie mówisz poważnie. – Johnny zachichotał.
- Nigdy nie byłam równie poważna. – Edwina ścisnęła dłonie z taką siłą, że paznokcie musiały ranić jej wewnętrzną część.
- Drocę się z tobą, Edwino. – Johnny uśmiechał się szeroko. – Droczyłem się i sprawdzałem cię. To za pierwszym razem miałaś rację: nic nie widziałaś, bo nie było czego widzieć. A wiesz, że jakbym powiedział coś takiego Alice, to ona by się tylko z tego śmiała, wiesz o tym? A może nie mam racji? Te jej pulchne boczki przeszyłyaby wesołość, a ona jeszcze by mówiła, co to ze mnie za skandaliczny łajdus. Ale ty, Edwino, nie zaśmiałaś się. Wiedziałem, że się nie roześmiejesz, bo ty jesteś damą... Nie chcesz wiedzieć, czemu miałem spuszczone spodnie, Edwino?
- Idź do diabła, idź do diabła! – jęczała Edwina.
- Szło tylko o to, żeby się nie pogniotły wtedy, gdy odpoczywałem na jej łóżku i...
- Chciała odejść, ale on nagle złapał ją za dłoń, a kiedy próbowała mu ją wyrwać, przytrzymał mocniej.
- Bym nie poszedł do twojego pokoju, kochanie. Bym nie zapytał nawet, czy mogę, bo ty jesteś miłą dziewczyna... i kocham cię...

– Łzesz teraz, łzesz. – Edwina zapłakała cicho.

– Przekonam cię, uwierzysz mi. Jeszcze zobaczysz, że prawdę mówię. Jutro albo pojutrze, jak tylko będę mógł znów się poruszać, pokażę ci, Edwino, ile dla mnie znaczysz. I jak chcę ci się odwdzięczyć za wszystko, co dla mnie zrobiłaś. – Uścisk na dłoni zelżał, a on przymknął oczy.

– Johnny – szepnęła. – Johnny, chcę ci wierzyć, postaram się. Postaram się odtąd więcej ci ufać.

Ale on już spał. Odczekała jeszcze dłuższą chwilę, tym razem trzymając jego dłonie w swoich. A potem puściła je delikatnie i podciągnęła koc na nim, ponieważ w bawialni robiło się chłodno. W końcu przygładziła mu włosy opuszkami palców i swoją chusteczką starła pot z jego czoła i górnej wargi. A potem, przecierając swoje oczy tą zawilgoconą chusteczką, wyszła.

„No no, zdaje się, że w tym domu kryje się mnóstwo niespodzianek i kłopotów”, pomyślałam sobie. „A tobie, Johnny McBurneyu, raptem w kilka krótkich tygodni naprawdę udało się wywołać tutaj potężne zamieszanie i konsternację”.

Ale pomimo tych wielu różnych rzeczy, które usłyszałam tego popołudnia, nadal nie myślałam o nim źle. Po przetrawieniu w głowie dopiero co zasłyszanych wiadomości ze strony Alice i panny Harriet słowa Edwiny nie poruszyły mnie bardziej niż wcześniejsze. A co ważniejsze, w ogóle się nie przejęłam tym, co Johnny powiedział Edwinie. Wiem, że jego wypowiedzi były dość ordynarne, ale takie rzeczy nigdy mnie nie bulwersowały. Czego to ja wcześniej nie słyszałam. Nasłuchiwałam się już wystarczająco dużo rozmów między nadzorcami a robotnikami u nas, w domu, przy czym wiele uwag było jeszcze mniej subtelnych niż te Johnny’ego. A co do pozostałych rzeczy zupełnie nie wiedziałam, czy Johnny był z Edwiną szczery, ale nie zależało mi na tym. W większości przypadków miałam pewność, że w każdej sytuacji i rozmowie nie posunął się do kłamstwa, a tylko to się dla mnie liczyło. Niech więc inni sami uważają na siebie. Kiedy tak nad tym wszystkim rozmyślałam w zapadających ciemnościach, Mattie podeszła do drzwi.

– Nadal tu jesteś, dziecko? – zapytała.

– Tak, jestem – odparłam.

– Wszystkie inne siedzą już przy stole – utyskiwała. – Czy mam panienkę nakarmić tutaj, o to idzie? Panna Martha i panna Harriet są dla was za łagodne. Nie trzeba im tego wszystkiego tolerować, bo mam przez to więcej roboty.

– Przy którym stole dzisiaj jemy, Mattie?

– Przy kuchennym! Czy to właśnie panienkę niepokoiło?

– Czy są tam Edwina i Alice?

– Tak, są wszyscy poza panienką i panną Harriet, która znowu źle się poczuła. Z pozostałych młodych dam nie ma drugiej tak nierozsądnej co panienka. Wiedzą, że trzeba jeść posiłki w odpowiednim miejscu i czasie, nawet gdyby nagle wszystkie Jankesy postanowiły odciąć sobie nogi.

– Dobrze, za chwilę dołączę do pozostałych. – Wstałam ze swojego miejsca. – Nie jestem co prawda specjalnie głodna, ale wystarczy mi, że Johnny’emu nic nie grozi, przynajmniej na tę chwilę.

– Czyli uważa panienka, że jest ciutkę silniejszy? – Mattie podeszła do kanapy i przyjrzała się leżącemu.

– Nie wiem, czy fizycznie ma się lepiej, ale chyba widzę w nim więcej żywotności niż jeszcze do niedawna. Myślę, że Johnny mógł znaleźć powód do życia.

– Jaki to powód? – zdziwiła się Mattie.

– Myślę, że on teraz ma pewien cel. Chyba zamierza pokazać niektórym tutaj, że bardzo się pomylili, traktując go w taki sposób.

– No to niech siły mu wracają – życzyła mu Mattie. – Bo mamy tu parę takich osób, co to przydałoby się je z raz czy dwa przywołać do porządku.

Wyszła z bawialni, a ja za nią, i po chwili dołączyłam do pozostałych dziewcząt na kolacji w kuchni.

ALICIA SIMMS

Zanim powiem coś o Johnnym McBurneyu, jakiego znałam po operacji, chciałabym stwierdzić dobitnie, że moim zdaniem cała sprawa zasługiwała na potępienie. Wydaje mi się, że obcięcie nogi to niezwykle okrutna rzecz, jaką można zrobić drugiemu człowiekowi, zwłaszcza bez jego zgody, no chyba że osoba ta znajduje się u wrót śmierci i nie może mówić ani racjonalnie rozumować. Uważam również, że nie można winić ofiary takiej operacji za to, że robi się po niej złośliwa i nieprzyjemna. Taki właśnie stał się Johnny, czego nigdy nie miałam mu za złe – poza tym, że moim zdaniem był raczej niesprawiedliwy w tym, ku komu wymierzał ostrze swej podłości, ponieważ kierował je czasem bez zastanowienia ku osobom, które nie zasłużyły na to. Tak się składa, że należałam do tych osób.

W każdym razie dopiero kilka dni po operacji udało mi się odbyć z nim prywatną rozmowę. Muszę przyznać, że było to nie lada osiągnięcie w tamtym czasie, kiedy to wszyscy budzili się z myślą: „Czy Johnny McBurney jeszcze żyje? A jeśli nie umarł, to czy pogodził się ze swoim kalectwem?”. Właśnie z tego typu myślami wszystkie uczennice zbiegały rankiem po schodach i tłoczyły się pod drzwiami bawialni, do której dostępu niezmiennie strzegła panna Martha bądź panna Harriet obecne na posterunku przed pojawieniem się którejkolwiek z nas. Niemniej jednak tego właśnie ranka nie zbiegłam na dół z innymi. Przyjęłam taktykę sprytnych dziewcząt – takich jak Marie i Amelia, które zadziwiały mnie odcięciem się od całej sprawy. Czekałam więc na górze dopóty, dopóki panna Martha nie zagoniła wszystkich do jadalni na śniadanie, a następnie po cichutku przemknęłam się na dół i udałam prosto do bawialni.

Co zaskakujące, siedział podparty poduszkami na sofie. „Zaskakujące” nie jest chyba w tych okolicznościach dostatecznie mocnym słowem, ponieważ każdy w sposób zasadny spodziewałby się, że osoba, która właśnie przeszła amputację nogi, będzie pukać do bram niebios albo znajdować się w ich pobliżu przez wiele następnych dni, a nie spokojnie siedzieć, wpatrując się

uważnie w dziewczynę wchodzącą do pokoju ledwie trzy dni później.

Muszę przyznać, że gdy opuściłam tego chłopca po złożeniu mu krótkiej wizyty w dniu jego operacji, nie spodziewałam się, że kiedykolwiek jeszcze zobaczę go żywego, a jednak siedział tu, spokojniutki, skubiąc upieczonego przez Mattie sucharka, którego popijał kawą z żołądki. Zauważyłam jednak, że wciąż jest niezwykle blady i wygląda na wyczerpanego. Domyślałam się też, że doświadczał sporego bólu, choć nigdy by się do tego nie przyznał. Sądzę, że już wówczas podjął decyzję, że nie da się pokonać gromadzie kobiet. Myślę, że a wszelką cenę chciał wydobrzeć po operacji, choćby na złość, jeśli nie z innego powodu.

– Nieźle, czuję się nieźle – rzekł w odpowiedzi na moje pytanie. – Myślę, że każdemu będę polecał to, co zrobiono mnie. Kapitalna sprawa dla wzmocnienia organizmu.

– Tak dobrze sobie radzisz, że niewątpliwie za kilka dni dojdiesz do siebie – pocieszyłam go.

– Tak właśnie będzie, obiecuję ci – przytaknął. – Może nawet wcześniej. Mam tu sporo do roboty i pora się do niej zabrać.

– Co konkretnie musisz zrobić? – spytałam.

– Przeróżne rzeczy – odparł z nieprzyjemnym uśmieszkiem. Po tych słowach odstawił kubek z kawą, a następnie sięgnął i uszczypnął mnie bardzo mocno i – czego jestem niemal pewna – złośliwie w delikatną, tylną część mojego ciała. Zrobił to w tak okrutny sposób, że aż łzy napłynęły mi do oczu, lecz ten diabeł, Johnny, dalej szczyrzył zęby w uśmiechu.

– To nic, to nic w porównaniu z tym, co cię czeka, jeśli będziesz mnie ignorowała. Od tej chwili masz robić dokładnie to, co ci każę, bo w przeciwnym razie pożałujesz, że kiedykolwiek się urodziłaś – zapowiedział.

– Ale co się stało, Johnny? – spytałam go zaskoczona. – Czym sprawiłam ci przykrość?

– Nie skakałaś dość szybko, gdy pstryknąłem palcami. Ot co, złociutka, oto cały problem. Zachowywałaś się tak zuchwale i zgryźliwie wobec mnie, jakbyś miała całkiem już mnie nie słuchać, lecz oczywiście do tego nie

dopuszczę. Mam dla ciebie kilka drobnych zadań, które trzeba wykonać bardzo szybko.

– Zrobię dla ciebie, co tylko w mojej mocy, Johnny – przyrzekłam. – Możesz mi wierzyć.

– Mam nadzieję, że kiedyś uwierzę. Sądzę, że w głębi serca jesteś dobrą dziewczynką i może nawet poprawisz się nieco teraz, gdy wytknięto ci błędy. Wtedy czeka cię nagroda, lecz w przeciwnym razie zostaniesz ukarana, tak jak ci mówiłem. Jeśli będziesz dobra, dostaniesz to. – Po tych słowach klepnął mnie delikatnie w to samo miejsce co poprzednio. – A jeśli nie, dostaniesz to. – Po czym ponownie uszczypnął mnie, nawet jeszcze mocniej niż za pierwszym razem. Zawyłabym z bólu, gdyby nie przyciągnął mnie do siebie i nie przytknął dłoni do moich ust. – No, no, tylko bez łez, moja dzielna dziewczynko. Tej lekcji potrzebowałaś. Już takiej nie dostaniesz, jeśli będziesz grzeczna. Czy zatem jesteś gotowa otrzymać pierwsze polecenia?

Musiałam skinąć, ponieważ nie mogłam mówić przyduszana jego wielką dłonią. Sądzę, że powinnam była wyrwać się mu, wyjść z pokoju i nigdy więcej nie mieć do czynienia z Johnnym McBurneyem. Wydaje mi się jednak, że opanował mnie strach. Wówczas oczywiście nie mógł skoczyć i złapać mnie, lecz musiałam myśleć o przyszłości – o czasie, gdy odzyska zdrowie i siły, co z perspektywy tamtej chwili wydawało się pewne.

Muszę też przyznać, że w przeszłości lubiłam go i miałam nadzieję, że uda mi się znowu polubić go w przyszłości. Nie będę zaprzeczać, że z kilku powodów bardzo mnie pociągał, między innymi dlatego, że zachowywał się wobec mnie miło i uprzejmie. Zaczęłam nawet dopuszczać myśl, że ta dziwna podłość Johnny'ego minie i stanie się on tą samą kochaną osobą, którą był wcześniej.

– No dobrze, słonko. Oto pierwsze zadanie, które ci przydzielam. To bardzo ważna robota i musisz wykonać ją z zachowaniem daleko idącej ostrożności. Myślisz, że dasz sobie radę? – spytał.

– Tak, tak – przytaknęłam, chcąc uniknąć bólu.

– Doskonale. Oto co musisz zrobić. Musisz przynieść mi pęk kluczy panny Marthy.

– Ale ona mi ich nie da. – Naprawdę myślałam, że żartuje.

– Nie mówię, abyś ją o nie prosiła.

– Chcesz powiedzieć, że mam je ukraść?

– Och, to takie okropne słowo, że lepiej go nie używać. A do tego nieadekwatne. Gdy coś kradniesz, zwykle oznacza to, że chcesz to zatrzymać, prawda? A może nawet sprzedać. Nie chcę zatrzymać pęku kluczy. Po prostu chcę je pożyczyć na pewien czas, a potem zwrócić starej, poczciwej panie Marcie.

Jak zapewne sobie wyobrażacie, byłam zszokowana. Pęk kluczy, który miał na myśli, zwykle panna Martha nosi przypięty do opasającej talię szarfy i niezależnie od tego, czy zamierzał go jej zwrócić, czy też nie, wzięcie go bez jej wiedzy wydawało mi się bardzo poważną sprawą – taką, którą panna Martha uznałaby za duże przewinienie – za nie można nawet zostać wydalonym z pensji.

Poza tym było to niemożliwe. Tak też mu powiedziałam.

– Panna Martha ma te klucze przy sobie niemal przez cały czas – zapewniłam.

– Nie zawsze – zaprzeczył Johnny McBurney. – Wydaje mi się, że widziałem ją bez nich. W istocie mam wrażenie, że nie zawsze ma je przy sobie podczas kolacji.

Musiałam się z tym zgodzić. Panna Martha trzymała klucze pod ręką przez większość dnia, aby otwierać biblioteczki i różne szafy oraz szafki, których w tym domu pełno, lecz gdy wieczorem zasiadała przy stole – zwłaszcza jeśli przebrała się w porządną, czarną, aksamitną suknię – rzadko miała je przy sobie.

– A zatem mogłabyś dziś wieczorem, podczas kolacji, wśliznąć się do pokoju panny Marthy i szybko przynieść je tutaj, do mnie, tak że nikt się nie dowie – ciągnął Johnny. – Czy mogłabyś to dla mnie zrobić, kochaniutka? – Po tych słowach uczynił taki gest, jakby chciał mnie uszczypnąć.

– Chyba bym mogła, lecz z całą pewnością zostałabym przyłapana – przyznałam. – Jeśli klucze znikną, a ja będę nieobecna podczas kolacji choćby

przez chwilę, po tym jak panna Martha zejdzie na dół, na pewno zostanie oskarżona o ich zabranie. Zdaje się, że nie zapoznał się jeszcze pan z zasadami panującymi w tym domu, panie McBurney. Tak to już jest, że wszystkie uczennice powinny siedzieć przy stole, gdy panna Martha wchodzi do jadalni, i mają przy nim pozostać do momentu, aż ją opuści.

– Cóż, bywa, że także w innych sytuacjach chodzi bez tych kluczy, prawda?

– Tak sędzę – potwierdziłam – ale to nie zdarza się zbyt często. Tak czy owak, po co ci te klucze?

– Po nic, po nic takiego. Chcę tylko zrobić pannie Marcie psikusa.

– Nie ubawi się. Podniesie straszny alarm, jeśli kiedykolwiek zorientuje się, że pęk kluczy zniknął.

– Nie wątpię. – Wyszczrzył zęby w uśmiechu. Na tym właśnie polega dowcip. I nie martw się, ciebie nie będzie obwiniać. Założę się o kilka tuzinów całusów, że oskarży o to swoją siostrę. Będzie myślała, że to panna Harriet wzięła klucze, aby dostać się do wina na dole.

– Panna Harriet może wziąć wino bez kluczy, kiedy tylko zechce – zauważyłam. – Ale nawet jeśli panna Martha da się zwieść, to panna Harriet zawsze była dla mnie bardzo miła i nie chciałabym, żeby miała kłopoty.

– Ach, nie wyniknie z tego nic poważnego – powiedział Johnny. – Siostra nie może wyrzucić jej z domu, prawda? W istocie prawdopodobnie zrobimy tym żartem pannie Harriet przysługę, bo jeśli zostanie niesłusznie oskarżona, być może odgryzie się, stanie we własnej obronie i po raz pierwszy w życiu zbeszta starą.

Nie wydawało się to prawdopodobne, ale też nie mogłam wykluczyć takiej możliwości.

– Ale w jaki sposób zamierzasz oddać pannie Marcie klucze, gdy już przygotujesz swój żart? – spytałam go.

– Po prostu gdzieś je podrzucę, aby mogła je znaleźć. Może wrzucę je tu za to krzesło albo cisnę przez okno, a ona pomyśli, że je zgubiła i leżały tam przez cały czas. Czy nie widzisz, kochane dziewczę, jakże to wszystko proste?

Nadal nie chciałam tego robić. Powiedziałam mu, że jeśli ma zamiar zacząć

płatać podobne figle, to lepiej, żeby znalazł sobie partnera, który lubi tego typu rzeczy – kogoś takiego jak Marie Deveraux na przykład.

– Nie chcę dziecka. Chcę szybkiej i bystrej dziewczyny jak ty, która wie, co robi. Marie Deveraux mogłaby zgodzić się wziąć klucze, ale równie dobrze mogłaby postanowić ulepszyć żart i wrzucić je do studni, a wówczas co by się stało? Widzisz, słonko, myślę, że łatwiej będzie mi podporządkować sobie ciebie niż Marie.

– Wcale tak bardzo się nie boję, że mnie zranisz – oznajmiłam z odwagą większą, niż odczuwałam. – Mogę trzymać się od ciebie z daleka.

– Nie, nie możesz, złotko. Wcześniej czy później złapię cię, nawet z tą jedną biedną nogą. I jeśli nawet uda ci się uniknąć mojej dłoni, nigdy nie uciekniesz przed dźwiękiem mojego głosu, mojego głębokiego tenoru, który by nieustannie śpiewał, oskarżając cię o wszelkiego rodzaju figlarne i wymyślne czyny z moim udziałem, w twoim pokoju, tamtej nocy, gdy czarnowłosa dziwka zepchnęła mnie ze schodów.

Powtarzam teraz jego własne słowa. Z pewnością sama nie posłużyłabym się tego typu językiem. Nie zrobiłam tamtej nocy niczego złego, lecz naturalnie byłam świadoma, że nigdy nie zdołam go powstrzymać przed oszczerstwami. Oczywiście moja pozycja tutaj jest na tyle niepewna – z powodu matki, która nigdy nie zadała sobie trudu, aby wysłać pannie Marcie jakiegokolwiek pieniądze na moją edukację czy utrzymanie, czy nawet od czasu do czasu napisać, że zamierza kiedyś coś wysłać, gdy tylko będzie mogła, a także na skutek zazdrości niektórych obecnych tu dziewcząt o mnie (czy raczej o moją urodę, a zwłaszcza włosy, co czasem wzmaga pewne problemy) – że czasem sędzę, że wcale nie potrzeba żadnej prowokacji, aby panna Martha odesłała mnie stąd, bez względu na to, czy jest wojna, czy jej nie ma.

W tamtym czasie przemknęła mi przez głowę pewna niewiele znacząca myśl, którą przywołam teraz, aby pozostać uczciwa. Choć słowo, którym posłużył się Johnny w swoim opisie, było niezwykle niemiłe i okrutne, to jednak poczułam pewną ulgę, uświadamiając sobie, że wreszcie zobaczył w Edwinie Morrow tego, kim naprawdę jest.

Tak czy inaczej ostatecznie zgodziłam się spróbować zdobyć dla niego pęk

kluczy panny Marthy. W przeszłości nigdy nie miałam powodu wątpić w jego prawdomówność – tak przynajmniej to sobie tłumaczyłam – jeśli więc stanowczo twierdził, że zamierzał w ten sposób wyłącznie zażartować, dlaczego miałabym mu nie uwierzyć? Ostatecznie jednak uznałam, że Johnny stanowi dla mnie większe zagrożenie niż panna Martha czy ktokolwiek inny w tym domu, i to przeważyło.

Gdy się zgodziłam, jego stosunek do mnie diametralnie się zmienił i stał się znowu dawnym Johnnym. Był wobec mnie czuły i łagodny, więc nim go opuściłam, pozwoliłam mu pocałować się jeszcze raz, co uczynił w sposób niezwykle delikatny. Gdy wychodziłam, wrócił do śniadania, podśpiewując pod nosem beztrudnie, niczym zdrowy i sprawny mężczyzna. Oczywiście podejrzewam, że całą tę scenę wyreżyserował, zauważyłam bowiem, że był bardzo blady, a jedzenie wpychał sobie do ust, nie czerpiąc z niego żadnej przyjemności. Z pewnością nie śpiewał też tak dobrze, jak zwykł to czynić w dawnych dobrych czasach. Dlatego też, w ramach małego testu, odchodząc, przypadkowo uderzyłam go w prawą nogę – a raczej w to, co z niej pozostało – i przysięgam, że niemal przegryzł dolną wargę z bólu.

W każdym razie przez kilka dni nie miałam okazji, aby spełnić to, czego ode mnie oczekiwał. Panna Martha nosiła pęk kluczy na szarfie za każdym razem, gdy ją widziałam, a gdy ściągała go, natychmiast wręczała komuś innemu, na przykład pannie Harriet czy Mattie, a następnie pilnowała, aby pożyczający oddał jej klucze, gdy tylko nie będą już potrzebne. Tak jak mówiłam Johnny'emu, panna Martha niechętnie rozstawiała się z nimi na dłuższy czas.

Tymczasem, ku ogólnemu zaskoczeniu, stan zdrowia kaprala McBurneya naprawdę szybko się poprawił. Mniej więcej piątego dnia po operacji próbował usiąść na sofie i przetrząść zdrową nogę przez jej kraniec. W istocie Marie twierdziła, że widziała Johnny'ego z lewą stopą na podłodze, wyglądającego tak, jak gdyby chciał złapać na niej równowagę. Marie pobiegła do panny Marthy z tymi wieściami, a ta natychmiast popędziła do bawialni i zdecydowanie nalegała, aby Johnny, dla własnego dobra, nieco dłużej poleżał na lewym boku.

Oczywiście panna Martha była bardzo szczęśliwa – podobnie zresztą jak

wszyscy pozostali – jego szybkim powrotem do zdrowia, a poza tym sądzę, że odczuwała pewną dumę z powodu własnego osiągnięcia. Jak wspomniałam, nie spodziewałam się, że Johnny wydobrzeje i jestem pewna, że i ona myślała podobnie. Dlatego też, gdy zaskoczył ją niemal natychmiastowym powrotem do normalności, najwyraźniej postanowiła, że zrobi wszystko, co w jej mocy, aby ten stan utrzymać. Okazała się skutecznym chirurgiem i teraz ani myślała pozwolić, aby odebrano jej chwałę.

Mogę stwierdzić, że chłopak miał się lepiej w tym domu po tym, jak stracił nogę, niż powodziło mu się czy którejkolwiek z nas, zanim to nastąpiło. Dostawał mięso i bulion, i różnego rodzaju świeże warzywa niemal do każdego posiłku. Karmiono go boczkiem, bekonem i potrawką z suszonej wołowiny, co – mówię wam – było powodem sporego poruszenia wśród tutejszych uczennic, które nie wiedziały, że w zamkniętej spiżarni pannie Marcie została jeszcze jakaś suszona wołowina.

Marie wypowiedziała się w imieniu nas wszystkich, zauważając:

– Wkrótce jeszcze parę innych osób zechce poświęcić swoją nogę, jeśli miałyby to oznaczać tego typu poprawę w ich menu.

Pewnego dnia, mniej więcej po upływie tygodnia od operacji, Mattie wyczarowała dla niego prawdziwy rarytas – i w pewnej mierze także dla nas wszystkich, z wyjątkiem panny Amelii Dabney. Stara Mattie zawędrowała na odległą plantację tytoniu przy leśnej drodze – jak sądzę w poszukiwaniu ziół i mleczy – kiedy nagle wyśledziła coś trzepoczącego skrzydłami w rowie oddzielającym las od drogi. Podeszła bliżej, aby zbadać sprawę, i ku swej wielkiej radości odkryła, że to młody dziki indyk.

Najwyraźniej w jakiś sposób zwichnął skrzydło, dlatego Mattie bez trudu chwyciła go, po czym pierwszym lepszym kamieniem skróciła jego żywot. Następnie z triumfem przyniosła do domu, machając wokół głowy, piszcząc i pokrzykując, a wyglądała przy tym – jak to ujęła Emily – niczym stara, afrykańska amazonka wracająca z wygranej wojny.

Upiekła indyka jeszcze tego samego wieczoru. Johnny naturalnie dostał lwią jego część. Pozostałe z nas musiały zadowolić się małymi kąskami. Ja, o ile pamiętam, dostałam część szyi i żołądka, czyli mniej więcej tyle, na ile mogła

liczyć każda z uczennic. Co ciekawe, żadna z nas nie pożałowała Johnny'emu najlepszych kąsków, ponieważ w tamtym czasie wszystkie naprawdę życzyłyśmy mu jak najlepiej. Niemniej jednak wkrótce niektóre osoby zaczęły zmieniać swoje nastawienie.

Jak zapewne się domyślacie, jedna osoba odmówiła zjedzenia indyka. Była nią panna Amelia Dabney, która żywiołowo protestowała podczas patroszenia i mycia ptaka, a gdy poszedł na ruszt, pomaszerowała na górę, odmawiając przyłączenia się do nas podczas kolacji. Myślę, że pewnie i tak została by skazana na to wygnanie z powodu tych wszystkich hałaśliwych demonstracji. Ta dziwna mała dziewczynka ewidentnie wbiła sobie do głowy, że wszystko, co chodzi lub lata albo pełza w tych lasach, stanowi jej osobistą własność. Choć indyk ten wyraźnie zbłądził poza granicę drzew – co panna Harriet bardzo uprzejmie starała się jej wyjaśnić – panna Amelia kazałaby Mattie odnieść go z powrotem do matczynego gniazda albo przynieść do domu, aby Amelia mogła osobiście zaopiekować się jego uszkodzonym skrzydłem.

Tak czy inaczej, możecie być pewni, że kapral McBurney nie cierpiał z powodu niedostatku uwagi poświęcanej mu w tamtym czasie. Każda uczennica, w tym także Edwina, robiła co tylko w jej mocy, aby nieustannie okazywać mu uprzejmość, i nawet panna Martha zaczęła pod tym względem nieco współpracować, stopniowo pozwalając nam odwiedzać go tak często, jak tylko chcieliśmy.

W obecności innych odgrywał dobrze wychowanego dżentelmena, lecz gdy zostawałam z nim sama, często uciekał się do swoich sztuczek, szczypiąc mnie lub boleśnie ściskając moją dłoń, a raz, gdy niewinnie się pochyliłam, by dać mu całusa, o którego prosił, pociągnął mnie za włosy tak gwałtownie, że niemal wrzasnęłam z bólu.

– Pęk z kluczami, skarbie – wysyczał. – Przynieś mi go, tak jak obiecałaś, albo wyrwę każde jedno pasmo włosów z twojej ślicznej główki.

Oczywiście groźba ta nie martwiła mnie tak jak ta, którą wcześniej przywołałam. Mogłabym zaryzykować ból bądź utratę wspaniałej kępy moich włosów – które zdaniem wszystkich chyba stanowią jeden z moich najbardziej atrakcyjnych atrybutów – lecz myśl o tym, że mógłby wszcząć skandal

dotyczący mojej przyjaźni z nim, naprawdę mnie dręczyła. W rezultacie byłam bardzo wdzięczna, gdy któregoś popołudnia zauważyłam pannę Marthę walczącą z robakami w ogrodzie warzywnym, najwyraźniej bez swojego cennego pęku kluczy. Zeszła wtedy na dół na wezwanie Mattie. Obie pracowały w wielkim skupieniu, tropiąc jakiś nowy rodzaj chrząszcza odkryty przez służącą.

Lekcje tego dnia dobiegły już końca i wciąż pozostawała godzina do obiadu. Panna Harriet odpoczywała w swoim pokoju, przylegającym do pokoju panny Marthy, a wszystkie dziewczęta przypuszczalnie zostały zaangażowane w różne zajęcia na dole lub w ogrodzie. Zdawało się, że nadarza się doskonała okazja, aby wymknąć się na górę i sprawdzić, czy przypadkiem panna Martha nie zostawiła kluczy w swoim pokoju.

Korytarz na piętrze był pusty, a drzwi do pokoju naszych obu nauczycielek – zamknięte. Zatrzymałam się i przez chwilę nasłuchiwałam pod drzwiami panny Harriet, aż usłyszałam jej chrapanie. Doszłam do wniosku, że przykryła się cała razem z głową, ponieważ zwykle odgłosy jej snu dało się słyszeć nawet przy drzwiach frontowych.

To biedne stworzenie jest najbardziej niespokojnie śpiącą istotą, jaką spotkałam. Każdy oddech bierze tak, jakby miał być jej ostatnim, co więcej, jak gdyby śmiertelnie obawiała się każdego następnego dnia. Żal mi wszystkich, którzy nie potrafią wypoczywać w nocy, ponieważ wszystkie moje sny są przyjemne i wierzę, że wywodzę się od ludzi o takiej samej świadomości. W każdym razie moja matka zawsze uczyła mnie, że łóżko damy nie jest miejscem, do którego należy wnosić troski. Przestrzega skrupulatnie tej zasady, zawsze śpiąc jak kłoda. A przynajmniej miała taki zwyczaj, gdy ostatnio dzieliłam z nią posłanie.

Tak czy owak weszłam do pokoju panny Marthy pewna, że panna Harriet nie przysporzy mi kłopotów. Delikatnie naciskając klamkę, odkryłam, że drzwi do pokoju nie zamknęła na klucz, co stanowiło niezły dowód na to, że cenny pęk mógł znajdować się gdzieś w środku.

Drzwi skrzypnęły lekko, gdy je otworzyłam, dlatego odczekałam chwilę, aż ponownie usłyszałam chrapanie panny Harriet. Następnie weszłam na palcach

do pokoju, aby rozpocząć poszukiwania.

Muszę przyznać, że do tego momentu nie niepokoiło mnie specjalnie to zadanie. Musiałam po prostu wykonać je w dogodnym momencie, aby usatysfakcjonować McBurneya, po czym jak najszybciej zapomnieć o całej sprawie. Obiecałam sobie, że już nigdy nie wezmę udziału w czymś równie ryzykownym. W istocie sędzę, że zupełnie poważnie rozważałam całkowite zerwanie kontaktów z tym człowiekiem, gdy już będzie po wszystkim.

Wtedy jednak, stojąc pośrodku obozu wroga, nagle uświadomiłam sobie, jak ryzykowny był to zamysł. Dotarło do mnie, że gdyby panna Martha weszła i przyłapała mnie na buszowaniu po pokoju, mogłabym od razu zacząć pakować walizkę, ponieważ prawdopodobnie jeszcze przed nastaniem poranka zostałabym stąd wydalona. Dobrze wiedziałam, że panna Martha nie uwierzyłaby mi i nie słuchała ani przez chwilę moich wyjaśnień, że całe przedsięwzięcie Johnny zaplanował jako psikus. Nie ma zlituj się. Wszłam do jej pokoju bez pozwolenia i był to wystarczający powód, którego potrzebowałaby, aby przekonać samą siebie, że Alicia Simms jest zwykłą złodziejką.

Wydaje mi się, że musiałam stać tam minutę lub dwie, trzęsąc się, a potem zebrałam się w sobie, dochodząc do wniosku, że najlepiej mieć to już za sobą. Problem polegał na tym, jak szybko odkryć, gdzie panna Martha położyła klucze, ponieważ w najbardziej oczywistych miejscach – takich jak blat szafki nocnej czy toaletka – nie znalazłam ich, a z punktu, w którym stałam, widziałam, że nie było ich również na stole ani na komodzie w przyległym saloniku należącym do panny Marthy.

Cóż, pomyślałam, skoro te nieznośne klucze nie leżą na żadnym meblu, muszą znajdować się gdzieś w środku lub pod którymś z nich, zakładając, że nie zostały pozostawione albo wręczone komuś na dole. Jeśli nie uda mi się znaleźć ich w ciągu kilku minut – przekonywałam siebie – to znaczy, że w ogóle nie ma ich w tym pokoju. Wówczas zaniecham wykonania polecenia kaprała McBurneya, a on może iść się powiesić. Już podjęłam uczciwy wysiłek, aby mu pomóc, a jeśli posiada jakąkolwiek przyzwoitość, nie poczyta mi za złe, że poniosłam porażkę.

Tak oto zaczęłam przeszukiwać szuflady w komodzie i szafce nocnej. Panna Martha najwyraźniej wychodziła na dół w takim pośpiechu, ponieważ wszystkie szuflady zostawiła otwarte, co z jednej strony było dla mnie korzystne, lecz z drugiej – wielokrotnie rozpraszało moją uwagę.

Przykładowo, w górnej szufladzie szafki nocnej, wraz z mnóstwem dokumentów prawnych, które zapewne dotyczyły tutejszej i innych posiadłości Farnsworthów w Wirginii, znajdowała się bardzo ładna, zamknięta na klucz szkatułka na biżuterię. Większość dokumentów dotyczyła sprzedaży ziemi, co zdaniem mojej matki stanowi nieomylny znak, że rodzina podupada.

Z kolei w prawej środkowej szufladzie toaletki znajdował się zapas ołowianych kul do pistoletu ojca panny Marthy – choć nie sama broń – a także paczuszka starych listów przewiązanych czerwoną wstążką. Wierzchni list – i jak sądzę pozostałe – pochodził od syna Farnsworthów, Roberta, który napisał swoje imię na kopercie wraz z adresem na Uniwersytecie Wirginii. Cała korespondencja pochodziła sprzed wielu lat, a ja nie miałam, ani czasu, ani ochoty jej czytać. Poza tym wątpiałam, czy potrafiłabym zrobić taką samą, doskonałą kokardkę na wstążce, gdybym ją rozwiązała.

Tak czy inaczej najbardziej zaskakujące znalezisko odkryłam w dolnej szufladzie z lewej strony stołu. Możecie przez setki lat zachodzić w głowę i tak nigdy nie zgadniecie, co leżało w szufladzie, ukryte pod koronkowym szalem i stosem chusteczek. W istocie sądzę, że wyróżniam się dyskrecją i na tyle jestem damą, aby nie ujawniać tego sekretu nikomu spoza najbliższego grona znajomych panny Marthy i jak dotąd nie ujawniłam go więcej niż dwóm osobom w tej szkole. Jedną z nich był McBurney, któremu ledwie napomknęłam o tym mimochodem, co oczywiście nie ma teraz żadnego znaczenia. Drugą osobą była uczennica, której o tym wspomniałam, zanim (co się wkrótce okaże) zdążyłam się nad tym zastanowić.

Pozwólcie, że zdradzę ten sekret, pytając, jaka jest najbardziej atrakcyjna cecha panny Marthy. Jestem przekonana, że wszyscy zgodzą się ze mną, iż nasza dyrektorka nie należy do najpiękniejszych kobiet na świecie. Jest wysoka, ma proporcjonalną budowę i nosi się z wdziękiem, lecz ciągle blada, a poza tym ma w sobie coś niekobiecego, jeśli wiecie, co mam na myśli.

A przy tym za bardzo – jak na mój gust – przywodzi na myśl pole i stajnie, co czyni moje odkrycie jeszcze bardziej zaskakującym. Tego nawet w najśmielszych snach nie powiążałabym z panną Martha.

Była to bowiem cecha, której – moim zdaniem – panna Martha nigdy nie musiała się wstydzić. Nawet gdyby znalazła się w najbardziej cywilizowanej społeczności Waszyngtonu czy Richmond, posiadałaby przynajmniej tę jedyną świetną rzecz, a mianowicie włosy. Jak może zauważyć każdy, kto się jej dzisiaj przygląda, panna Martha Farnsworth mogła się pochwalić ślicznymi, kruczoczarnymi włosami, które nie były jej własnymi!

To właśnie odkryłam w szufladzie toaletki – drugą perukę, dokładnie taką jak ta, którą właśnie miała na sobie, będąc w ogrodzie!

Cóż, byłam najwyraźniej tak zaskoczona, że klęczałam przed tą szufladą dobrych kilka chwil, całkowicie zapominając o niebezpieczeństwach płynących z sytuacji, w której się znajdowałam. Szybko jednak opamiętałam się, gdy usłyszałam za sobą triumfalny głos:

– No proszę, przestępca został przyłapany na gorącym uczynku!

Jak zapewne się domyślicie, wpadłam w popłoch i o mało nie wyskoczyłam przez sufit, po czym powoli i lękliwie odwróciłam się, aby stwierdzić, że w drzwiach stoi i uśmiecha się do mnie panna Edwina Morrow ze skrzyżowanymi na piersi rękami. Nie mogłam całkowicie zamknąć drzwi, aby słyszeć kroki na schodach, lecz zapomniałam, że w tym domu znajdują się osoby, które potrafią poruszać się niczym kot, a Edwina właśnie do nich należała.

– Och, Edwino – westchnęłam, usiłując zachować uprzejmość – sądziłam, że jesteś na dole w bibliotece.

– Ależ pech. Tak się składa, że byłam w swoim pokoju, co jak przypuszczam, stanowi szczęśliwą okoliczność, w przeciwnym razie mogłabyś coś stąd ukraść.

– To nie tak – zaprotestowałam bliska łez. – Nie przyszedłam tu w takim celu.

– Jakiż zatem powód, wytłumacz proszę, skłonił cię do węszenia wśród własności panny Marthy?

– Nie wężę! – krzyknęłam niemalże. – Szukam tylko czegoś, co kapral McBurney chciał pożyczyć od panny Marthy.

– Czy chcesz, abym uwierzyła, że to panna Martha cię tu wysłała?

– Oczywiście, że nie! Tak naprawdę to tylko psikus, którego Johnny chce spleść pannie Marcie, i nic ponadto.

– Czyżby? Cóż, zatem Johnny musi znajdować się w niezwykle beztroskim nastroju, i to tuż po poważnej operacji. Miło słyszeć, że znowu jest tak radosny.

– Miło, zwłaszcza tobie – odparowałam nabierając nieco śmiałości. – To dla ciebie spore pocieszenie, skoro to ty byłaś powodem operacji.

– Proponuję nie zagłębiać się w tę sprawę, dobrze? – Mówiąc to, już się nie uśmiechała, a jedynie wpatrywała we mnie z tak zimnym wyrazem twarzy, że naprawdę po raz pierwszy w życiu zaczęłam się jej obawiać.

– Jakiej to sekretnej rzeczy szukasz zatem? – spytała po chwili. – Czy chodzi o coś ze szkatułki z biżuterią panny Marthy?

– Szukam pęku kluczy. – Nie przyznałabym się do tego, gdybym się Edwiny nie bała.

– Mogłam się domyślić. Johnny będzie robił sobie żarty w piwniczce z winem, a także w każdej szafie i szafce w tym domu.

– Cóż, nie spytałam go, do czego potrzebuje kluczy – odparłam. – Niemniej jednak nie wiem, jak w obecnym stanie przemierzyłby dom i otwierał szafki.

– Przypuszczam, że wkrótce będzie po nim wędrował – zapewniła Edwina. – Emily i Amelia właśnie przygotowują dla niego kule. Powiedz, co takiego fascynującego znalazłaś w tej szufladzie?

– Nic. – Usiłowałam zamknąć szufladę, jakby nigdy nic. Naprawdę nie chciałam mówić jej o peruce, ponieważ nie uważałam Edwiny za osobę, której można by powierzyć tego typu informacje.

– Wstań i odsuń się, abym mogła zobaczyć.

– To nic takiego – powtórzyłam. – To tylko czyjeś stare włosy. – Jeśli informacja o peruce miała rozejść się w szkole, chciałam, abym to ja była tą osobą, która o tym opowie, a nie Edwina Morrow. Zbyt małą uwagę zwraca

się tu na mnie, abym bez walki zrezygnowała z takiej okazji.

Pozbawiona manier panna Morrow jednak odepchnęła mnie i gwałtownie otworzyła szufladę. Rzuciła okiem na jej zawartość, po czym wstała, jak gdyby doznała rozczarowania.

– Najwyraźniej to ta wyjściowa – skomentowała. – Jest chyba nieco bardziej połyskliwa od tej drugiej.

– Czy chcesz przez to powiedzieć, że wiedziałaś o tym wcześniej, Edwino?

– Oczywiście. Nawet ślepy potrafiłby stwierdzić, że włosy panny Marthy nie są naturalne.

– I nikomu nie powiedziałaś?

– Komu miałabym to powiedzieć? Tobie na przykład?

– Nie, nie sędzę – przyznałam. Edwina nie ma tu przyjaciół, którym mogłaby powierzyć tego typu sekret. Oczywiście, jeśli o to chodzi, ja również ich nie mam.

– Czy myślisz zatem, że panna Martha jest całkiem łysa? – dopytywałam.

– Nie wiem i nie obchodzi mnie to – brzmiała szorstka odpowiedź. – Czy przypadkiem podczas swojego węszenia nie natknęłaś się na szkatułkę z biżuterią panny Marthy?

Jestem pewna, że zaprzeczyłabym, lecz ona po krótkiej chwili milczenia ciągnęła.

– Jeśli powiesz mi, gdzie jest szkatułka, mogłabym zlokalizować dla ciebie pęk kluczy.

– Gdzie on jest?

– Tutaj, ciamajdo. – Wskazała na szafę z ubraniami panny Marthy, gdzie przez uchylone drzwi wyraźnie widać było pęk kluczy wiszący na haczyku. Edwina podeszła do niego, zdjęła i rzuciła w moją stronę. – A teraz mów, gdzie szkatułka?

– W drugiej szufladzie – powiedziałam jej, czując się do tego zobligowana. – Ale jest zamknięta na klucz – dodałam.

– Sprawdzałaś, prawda? – Edwina otworzyła szufladę i wyjęła z niej

pudełko. – Cóż, być może klucz do niej znajduje się pośród tego tuzina.

Wyrwała mi pęk, a następnie usadowiwszy się na podłodze z pudełkiem na podolku, zaczęła wypróbowywać klucze jeden po drugim, co ostatecznie, za dziesiątym podejściem, poskutkowało otwarciem wieczka. Uniosła wewnętrzną tackę wraz z jej zawartością, na którą składało się kilka sztuk biżuterii – parę pierścionków wysadzanych skromnymi kamieniami, tani naszyjnik z koralii oraz kilka zaśniedziałych szpilek i broszek – a także spora liczba złotych monet.

– No i proszę – oznajmiła Edwina z satysfakcją. – Oto moje pieniądze.

– Jak to twoje?

– Dałam je jej, wszystkie, w ciągu spędzonych tu lat. To, co wpłaciłyście wy, być może znajduje się w dolnej części szkatułki. – Wskazała na raczej skromnych rozmiarów zwitek papierowych pieniędzy wetknięty w drugą przedziałkę wraz ze złotym męskim zegarkiem oraz parą złotych spinek do mankietów.

– Zdaje się, że nie ma tu dużo pieniędzy – zauważyłam. – Sądziłam, że panna Martha ma ich więcej. Chyba trzyma je gdzie indziej. Zapewne posiada mnóstwo dolarów Konfederacji pochowanych gdzieś w domu.

– Być może – zgodziła się ze mną Edwina. – Sądzę jednak, że panna Martha jest na tyle bystra, aby uświadamiać sobie, że dolary Konfederacji nie są warte tego, by je chować. Tak czy inaczej ja jestem zainteresowana wyłącznie złotymi sztukami, takimi jak te, i wezmę kilka z nich z powrotem.

– To kradzież – stwierdziłam. – To naprawdę kradzież!

– Nie traktuję tak tego – odparła. – Czuję, że zdecydowanie przepłacałam za pobyt w tym domu. Zapłaciłam panie Marcie więcej niż jakakolwiek inna uczennica i jestem pewna, że znacznie więcej, niż ty zapłaciłaś. Poza tym nie zamierzam zabrać wszystkich, a jedynie trochę. – Wyjęła chyba z dziesięć złotych dwudziestek spośród co najmniej pięćdziesięciu leżących na tacce i wzięła jedynie te najbardziej błyszczące.

– Gdybym miała na tyle silne nerwy, aby wziąć jakiegokolwiek, zapewne wzięłabym wszystkie – powiedziałam.

– Nie chcę wszystkich – odparła Edwina. – Nie zatrzymam ich długo. Ostatecznie i tak panna Martha dostanie je z powrotem. Po prostu chciałabym nieco dłużej potrzymać kilka sztuk jako swego rodzaju zabezpieczenie. Tak długo, jak długo mam pieniądze, nie można mnie stąd wyrzucić, prawda?

Cóż, nie mogłam znać odpowiedzi na to pytanie. Zasugerowałam, że gdyby panna Martha naprawdę chciała pozbyć się kogoś, pieniądze nie stanowiłyby dla niej przeszkody. Może i nie jest odporna na urok pieniędzy, jednak nie zgadzam się z tymi, które sądzą, że nie interesuje jej nic innego.

Podczas tej rozmowy wzięłam z tacki mały złoty emaliowany medalion i bawiłam się nim. Był to jeden z tych, które po otwarciu ukazują maleńki portret. W tym przypadku portret okazał się miniaturowym wizerunkiem Roberta, takiego jakiego widać na obrazie przedstawiającym troje dzieci Farnsworthów wiszącym w bibliotece. To nic istotnego, poza tym, że gdy przyglądałam się medalionowi, Edwina odłożyła tackę na miejsce, zamknęła pudełko na klucz i włożyła z powrotem do szuflady, najwyraźniej nie zdając sobie sprawy z tego, że wciąż trzymam medalion. A może zdawała sobie sprawę i chciała zobaczyć, czy ponownie skłonię ją do otwarcia szkatułki.

Czułam, że sprawa nie jest warta zachodu, dlatego ukryłam medalion w staniku, z zamiarem pokazania go Johnny’emu i odłożenia na miejsce w przyszłości. Z całą pewnością nie miałam wrażenia, że panna Martha natychmiast odczuje jego brak.

– Oto twoje klucze.. – Edwina wręczyła mi pęk. – Nie powiem nic o kluczach, jeśli zgodzisz się zrobić to samo w odniesieniu do złotych monet.

– Zgoda. W końcu żadna z nas niczego nie kradnie, prawda?

– Ja na pewno nie – potwierdziła Edwina.

– Zamierzam również milczeć na temat peruki panny Marthy – zastrzegłam.

– Możesz w tej sprawie zrobić, jak ci się podoba. – Gdy wyszłyśmy na korytarz, dodała: – Włosy, które zrobiła, przypominają nieco moje naturalne, nie sądzisz?

– Tak, coś w tym stylu.

– Kolor i faktura są niemal takie same. Moje włosy również są proste,

podobnie jak te wybrane przez pannę Marthę, zauważyłaś?

Zauważyłam i przyznałam jej rację. Cokolwiek, aby tylko usatysfakcjonować Edwinę. Co ciekawe, zasłużyłam sobie tym na jej uśmiech, tym razem przyjazny.

– Czy teraz dasz klucze Johnny’emu? – spytała.

– Może teraz, a może później – powiedziałam.

– Powiedz mi szczerze, Alicio – spytała po chwili. – Czy bardzo go lubisz?

– Nie tak bardzo jak kiedyś – przyznałam. Posłużyła się moim właściwym imieniem po raz pierwszy, a ja bardzo to doceniłam. – A ty jaki masz teraz do niego stosunek?

– Nic do niego nie czuję – odparła, a uśmiech zniknął z jej twarzy. – Częściej myślę o tobie, znacznie częściej niż o McBurneyu. Mamy ze sobą wiele wspólnego, Alicio. Byłoby dobrze, gdybyś o tym pamiętała.

Delikatnie położyła dłoń na mojej szyi i kilkakrotnie ścisnęła między palcami jeden z moich loków, jak to się robi z kawałkiem materiału. Ta dziewczyna najwyraźniej ma obsesję na punkcie włosów, choć muszę przyznać, że ludzie często podziwiają moje włosy, ponieważ mają naturalny kolor blond i są jedwabiste. Tak czy owak Edwina nic nie powiedziała, podobnie jak ja, a następnie raz jeszcze się uśmiechnęła i – pobrzękując złotymi monetami w dłoni – oddaliła się do swojego pokoju.

Cóż, nie marzę, by zostać przyjaciółką Edwiny Morrow. Jestem w tej szkole dostatecznie długo, aby wiedzieć, że znacznie lepiej trzymać się na dystans, niż angażować w przyjaźń z kimś takim jak Edwina, która najwyraźniej bardzo jej łaknie. Tego się po niej nie spodziewałam. Byłam przeświadczona, że trzyma się z dala od nas z wyboru, a nie z powodu nieśmiałości. Tak czy inaczej nie brak mi tu towarzystwa, a jeśli chodzi o coś bardziej trwałego, to jestem pewna, że zawsze znajdą się przedstawiciele płci przeciwnej, którzy obdarzą mnie uczuciem, gdy będę tego potrzebowała. Mówię teraz o czasach, gdy ta nedorzeczna wojna się skończy i będę mogła się stąd wyrwać.

Zesłam zatem na dół, do bawialni, z moim darem dla McBurneya. Gdy

weszłam do pokoju, spał, lecz poradziłam sobie z tym, łaskocząc go w podeszwę jedynej pozostałej mu stopy.

– Mamo – powiedział sennie. – Przestań, mamó. Już wstaję... za chwileczkę...

– To nie twoja matka, to ja, a to pęk kluczy. – Rzuciłam mu go na klatkę piersiową. – I nie chcę już więcej o nim słyszeć.

Otworzył niebieskie oczy i wpatrywał się we mnie przez dłuższy czas.

– Kochana z ciebie dziewczyna – odezwał się wreszcie. – Słodka, kochana dziewczynka! Aby ci to wynagrodzić, mógłbym nawet uczynić cię swoją żoną.

– Nie, dziękuję.

– Cóż w tym złego? Czy chodzi o to, że brak mi nogi?

– Chodzi o to, że brak ci pieniędzy – odparłam. – Gdy będę wychodziła za mąż, wybiorę bogatego mężczyznę.

– Już tak postanowiłaś, prawda, malutka? – Wyszczrzył zęby w uśmiechu, wciąż w dobrym humorze. – Od pewnego czasu zmieniłaś nieco swoją śpiewkę, choć nie mogę powiedzieć, abym miał ci to za złe. Zaczynasz uświadamiać sobie, że życie jest ciężkie i diabeł weźmie tego, kto ostatni w kolejce. Tak czy inaczej zamierzam stać się bogaty pewnego dnia, moja droga, a wówczas będziesz żałować, że nie byłaś dla mnie miłsza.

– Zawsze będę dla ciebie miła, Johnny, tak długo, jak długo ty będziesz miły wobec mnie.

– Moja dziewczynka. Zatem będziemy dla siebie nawzajem mili, tak?

– Dobrze, Johnny.

Tak oto spędziłam z nim trochę czasu na sofie, a żeby pokazać wam, jak bardzo jego nastrój potrafił się zmieniać z dnia na dzień, a nawet z godziny na godzinę, przyznam, że tamtego popołudnia Johnny był dla mnie miłszy i delikatniejszy niż kiedykolwiek wcześniej, a na dobrą sprawę także kiedykolwiek później.

Naprawdę nie osiągnęliśmy wiele w sensie romantycznym, rzecz jasna, ponieważ po prostu jego stan fizyczny na to nie pozwalał. Zwykle żartowaliśmy, chichotaliśmy i rozmawialiśmy o naszej przeszłości, a także

spekulowaliśmy na temat przyszłości. Johnny, na przykład, powiedział, że w ogóle nie martwi go brak nogi, ponieważ podsumował wszystkie zalety posiadania jednej, takie jak oszczędności na skarpetach i skórze na buty, nie wspominając o mniejszych problemach z odciskami i haluksami, jak również marnowaniem czasu na obcinanie paznokci u stóp. Oboje śmiałyśmy się z tego do rozpuku, a później opowiedziałam mu o złotych monetach Edwiny i innych rzeczach, które odkryłyśmy, a nawet o peruce panny Marthy, ponieważ wówczas nie widziałam powodu, dla którego powinnam cokolwiek przed nim ukrywać.

Potem pokazałam mu mały medalion, który ukryłam w staniku. Nie wydawał się specjalnie nim zainteresowany – spojrzął na niego pobieżnie, a potem chciał umieścić go z powrotem w ukryciu, lecz naturalnie nie mogłam na coś podobnego pozwolić, zwłaszcza w świetle dnia, w bawialni. W końcu wsunął medalion i pęk kluczy pod poduszki sofy i kontynuowaliśmy rozmowę, całując się od czasu do czasu, jak sądzę do momentu, gdy nastął czas kolacji i przeszkodziła nam pani Amelia Dabney, która weszła do pokoju, czyniąc niezwykle okrutną uwagę.

– Powinnaś być u siebie w pokoju i przygotowywać się do kolacji, panno Alice – oznajmiła cierpko – wraz z pozostałymi dziewczętami, które już jakiś czas temu udały się na górę. To, czy zamierzasz usiąść do stołu nieumyta, nie ma dla mnie absolutnie żadnego znaczenia. Niemniej jednak sądzę, że kaprala McBurneya mogłoby zainteresować, że Mattie jest już prawie gotowa, aby przynieść mu kolację i może być nieco zaskoczona, widząc zamiast jednej osoby dwie, leżące na tej dość wąskiej kanapie.

– Tylko trochę odpoczywałam, panienko! – krzyknęłam. – A jeśli ktoś siada do stołu z brudnymi rękami częściej niż ty, to nie wiem, któż by to miał być. Pilnuj swego nosa!

– Zawsze to robię, Alice – odparła, tym razem weselej, gdy już udało jej się mnie rozzłościć. – Jeszcze jedno obwieszczenie dla kaprala McBurneya. Wraz z Emily ukończyłyśmy jego kule. Być może nie wyglądają jak te, które dostałoby się w Richmond czy Nowym Jorku, lecz stanowią szczyt tego, co mogłyśmy zrobić z dostępnych nam materiałów.

– Jestem pewien, że są bardzo ładne – zapewnił Johnny. – A Alice naprawdę tylko tu odpoczywała. Usiadła na chwilę, aby ze mną pogawędzić, po czym zapadła w nagłą drzemkę i przewróciła się na mnie. Gdzie są kule, moja droga Amelio?

– Masz je dostać dziś wieczorem. Zorganizowałyśmy coś, co Emily określa mianem „ceremonii wręczenia kul”, która odbędzie się tuż po kolacji. Naprawdę, Johnny – ciągnęła Amelia – mam w nosie twoje biologiczne ekscesy, jednak sadzę, że twoja towarzyszka mogłaby być na tyle dobrze wychowana, aby zmienić swoją naprawdę mało wytworną pozycję, zwłaszcza po tym, gdy zostało to już skomentowane.

– Co ty sobie myślisz?! – wrzasnęłam za nią, gdy wyszła z pokoju. – Czy Amelia Dabney, nosząca robaki w kieszeniach sukienki, może stanowić jakikolwiek autorytet w kwestiach tego, co uchodzi damie, a co nie! – Byłam naprawdę zła, możecie mi wierzyć, tym bardziej że właśnie zamierzałam podnieść się z sofy, gdyby tylko to małe, wredne stworzenie dało mi szansę. Podejście Johnny’ego też nie ułatwiło mi sprawy.

– Och, dobry Boże – krzyknął, zanosząc się śmiechem. – Wy, dziewczyny, do grobu mnie wpędzicie!

– Nie widzę w tym nic śmiesznego – stwierdziłam, wstając szybko.

– Uważaj, a niech to... uderzyłaś mnie w nogę!

– Och Johnny, tak mi przykro – pokajałam się, choć nie była to prawda. – Czy zraniłam cię?

– Nie wiem. Wiem tylko, że boli jak diabli.

– Spójrzmy.

– Nie mogę spojrzeć...

– Jeszcze nie patrzyłeś na nią?

– Nie, i nie zamierzam, dopóki nie przypną mi pierwszorzędnej drewnianej.

– Nie jestem pewna, czy tak szybko to nastąpi.

– Być może już niebawem. Amelia mówi, że gdy będę poruszał się o kulach, pokaże mi, gdzie można znaleźć całkiem solidne drewno. Zacznę rzeźbić sobie nową nogę.

– Jak udaje ci się uniknąć patrzenia na swój kikut, gdy panna Martha przychodzi zmienić bandaż?

– Zamykam oczy i nie otwieram. To samo robię, gdy Mattie pomaga mi przy intymnych potrzebach, ponieważ zapewne tego będzie dotyczyło twoje następne pytanie, ty bezwstydne stworzenie. Zdaniem starszej pani nie będę już dłużej potrzebował bandażu, ponieważ mówi, że już prawie się zagoiło. Nie będę również potrzebował pomocy Mattie, dzięki Bogu, bo gdy tylko dostanę kule, będę mógł sam się o siebie zatroszczyć.

– Zdaje się, że coraz lepiej się z tym wszystkim czujesz.

– Być może. Myślę, że nieco straciłem trochę powyżej stopy. Nie będzie trudno zastąpić to kawałkiem dobrego drewna, a po miesiącu lub dwóch zacznę już skakać na niej jak na nowej. Nie wierzysz w to, Alice?

– Och, oczywiście, że wierzę – powiedziałam, choć nie wierzyłam. Jego noga została obcięta niedaleko kolana, a Emily Stevenson kilka dni wcześniej doniosła nam, że na podstawie rozmów, jakie prowadziła na ten temat z ojcem, wątpiła, czy McBurneyowi kiedykolwiek uda się dopasować drewnianą nogę z powodu nierównego cięcia.

Cóż, Johnny dowie się o tym później. Z całą pewnością nie było sensu odbierać mu teraz nadziei. Dałam mu następnie siostrzanego całusa – z powodu jego stanu – i poszłam. Muszę przyznać, że spędziliśmy wspólnie miłą godzinkę i było mi go niezmiernie żal, gdy szłam do góry po schodach. Zachowywał się wobec mnie złośliwie jedynie przez krótki czas, ale wkrótce miałam ponownie doświadczyć jego okrucieństwa, lecz tamtego popołudnia byłam gotowa zapomnieć o jego przykrych cechach. W istocie wierzę, że tamtego popołudnia prawie go kochałam.

EMILY STEVENSON

Amelia chciała mnie posłać do lasu, bym ścięła drzewo nadające się na kule dla McBurneya – czy też może pragnęła, bym pocięła na deski drzewo, które już upadło, wszak tak bardzo sprzeciwia się krzywdzeniu wszelkich żywych istot w tym lesie. Ja jednak nie miałam ani czasu, ani kwalifikacji do tego rodzaju pracy, toteż ostatecznie przekonałam moją pomocnicę, że będziemy musiały sobie poradzić przy użyciu desek i kijków, którymi dysponowałyśmy.

Panna Martha przydzieliła mi to zadanie, nakazując przy tym pośpiech, gdy zdała sobie sprawę, jak prędko McBurney wraca do zdrowia. Przypuszczam, że Amelia zapewniałaby, że to ona wpadła na pomysł sporządzenia kul, i tak może istotnie było, niemniej to mnie powierzono kierowanie tym projektem bez wątpienia dlatego, że zdaniem panny Marthy rola ta wymagała pewnej odpowiedzialności.

Wzięłam się więc do gromadzenia wszelkich kawałków drewna, jakie znalazłam, i układałam je w ogromny stos, a kiedy ten już zebrałam, zaczęłam się temu wszystkiemu przyglądać. Można powiedzieć, że postarałam się w miarę moich możliwości, aby przy tych wstępnych czynnościach zapewnić sobie pomoc części pozostałych uczennic, lecz żadna z nich nie wyraziła ochoty – poza Amelią, ona zaś, rzecz jasna, robiła to wyłącznie ze względu na swoją wielką słabość do McBurneya. W każdym razie niektóre z nich – a szczególnie Marie Deveraux – znalazły niesamowitą uciechę w przyglądaniu się moim wysiłkom i czynieniu złośliwych uwag.

– Możliwe, że nie będą to najlepsze kule w historii – brzmiała, jak pamiętam, jedna z uwag Marie Deveraux. – Możliwe, że nie będą to najświetniejsze kule na świecie, ale bez dwóch zdań będą najzabawniejsze. Przypuszczam, że sporo by się trzeba najeździć, by znaleźć inną parę kul sporządzonych ze stołowych nóg i kolumn z łóżka.

– Zmykaj stąd, mały chochliku! – krzyknęłam na nią. – Te kule nie mają się

podobać, tylko służyć! – W gniewie walnęłam się młotkiem w kciuk, a następnie rozdarłam spódnicę na wystającym gwoździu, sięgając po kawałek drewna, by cisnąć nim w moją dręczycielkę.

– Amelio! – zawołała z bezpiecznej odległości Marie. – Lepiej szykuj się do robienia kul dla Emily. Coś mi się wydaje, że nim skończy z tą stolarką, sama ich będzie potrzebować.

– Najlepiej nie zwracać na nią uwagi – poradziła Amelia, choć oczywiście i sama to wiedziałam. Jeśli Marie kiedykolwiek odkryje, że jest w stanie człowieka poirytować, to przez kolejny tydzień nie będzie jeść ani spać, skupiając się wyłącznie na tej działalności.

Jak już wspominałam, z kul nie powstało arcydzieło, miałam jednak nadzieję, że spełnią swoje zadanie. Rzeczywiście, w roli głównych wsporników wykorzystałam nogi ze starego stołu z jadalni, a do ich końców przybiłam coś, co mogło kiedyś być kolumnienkami i listwami z łóżka, a także parę tralek od schodów, które najwidoczniej pozostały po budowie rezydencji Farnsworthów. Kule mogły się wydawać nieco osobliwe, lecz zarazem wyglądały moim zdaniem na solidne. W każdym razie, jak też powiedziałam McBurneyowi, żołnierze w takich czasach nie mogą sobie pozwolić na wybrzydzenie.

Zgodził się ze mną, aczkolwiek bez entuzjazmu. Poszłam, by wziąć miarę na kule, i starałam się to zrobić, rozciągając kawałek nitki od jego pachy po podeszwę ocalałej stopy. McBurney ani trochę przy tym nie pomógł, a kiedy podniosłam koc, który przykrywał dolną część jego ciała, zacisnął powieki i odwrócił się ku oparciu kanapy, co oznaczało, że leżał teraz na swojej zdrowej nodze, tym samym wielce utrudniając mi wzięcie miary.

Wicie, bał się spoglądać na swój kikut, mimo że wciąż był grubo zabandażowany. Może też dodam, że nadal miał na sobie starą koszulę nocną, która niegdyś należała do Roberta Farnswortha, a w którą Mattie ubrała go, gdy leżał nieprzytomny, tak więc unosząc jego koc, bynajmniej nie dopuszczałam się niestosowności.

– Jeżeli dalej będziesz się tak zachowywał, to nigdy nie zyskasz możliwości dołączenia do brygady mojego ojca – oznajmiłam mu. – Żołnierz Południa

musi nauczyć się znosić przeciwności losu bez narzekań.

– A wciąż istnieje szansa, by mnie tam przyjęli? – spytał, wciąż odwrócony w stronę kanapy.

Naturalnie, nie sądziłam, by istniała, nie chciałam go jednak zniechęcać. Nawet gdyby był w stanie przewyciężyć swoje kalectwo, zaczęły mnie nachodzić poważne wątpliwości co do tego, czy ma w sobie dostateczną odwagę, by jakkolwiek przysłużyć się sprawie Południa.

– Mogę ci powiedzieć tyle, że generał Joseph Johnson został dwukrotnie ranny pod Seven Pines, lecz z czasem ponownie stanął do walki – odparłam. – Przed dwoma laty generał Jubal Early odniósł bardzo poważne obrażenia pod Williamsburgiem, a mimo to powrócił do zdrowia i znów wyruszył w bój.

Następnie wspomniałam o paru podobnych przypadkach, które zdarzyły się w szeregach brygady mojego ojca. Podczas trzech lat służby wielu jego oficerów i żołnierzy odniosło ciężkie rany, a pewien mężny człek postradał wręcz całe prawe ramię, a mimo to wszyscy powrócili do służby, kiedy tylko stało się to możliwe.

– Boże w niebiesiech, że też nie dali facetowi spokoju nawet wówczas, kiedy dla sprawy oddał ramię – brzmiał stłumiony komentarz McBurneya.

– Nie teraz – odparłam. – Teraz potrzeba nam pomocy każdego człowieka z doświadczeniem. Poza tym ten akurat mężczyzna, o którym wspominałam, to oficer, porucznik Stewart Meadows z Mobile, któremu ramię w barku oderwało pod Sharpsburgiem, a każdy oficer jest teraz na wagę złota, jeśli jest w stanie funkcjonować.

– Im więcej słyszę o brygadzie twojego tatusia, tym bardziej dojmujące mam wrażenie, że przed dołączeniem do niej rozsądnie by było dwa razy się zastanowić – zauważył McBurney.

– Ktoś, kto tak by do sprawy podchodził, i tak nie byłby tam mile widziany.

– Dobrze już, dobrze – odpowiedział, odwracając się teraz w moją stronę z uśmiechem. Pod tym względem McBurney przypominał Marie. Gdy czuł, że kogoś irytuje, przydawało mu to żywotności. – Tylko się tak z tobą droczyłem, droga Emily, no ale powiedz mi, czy w armii twego taty nie mają kim

zastępować rannych?

– Obecnie bardzo o to trudno – przyznałam. – Choćby pułk mojego ojca liczy teraz mniej niż połowę stanu sprzed Gettysburga. – Natychmiast pożałowałam, że to powiedziałam. Tego rodzaju informacji nie można powierzać osobom pokroju McBurneya. Zaraz jednak pomyślałam, że w sumie jaka to różnica? Nasi chłopcy zawsze nadrobią hartem ducha wszelkie niedostatki liczbowe. A McBurney i tak w najbliższej przyszłości nas nie opuści – bo tak też się wówczas zdawało – a kiedy już sobie pójdzie, nie będzie chciał wracać do swojej armii. Poza tym do tego czasu losy wojny najprawdopodobniej przechyłą się na naszą korzyść.

Tak więc bezmyślnie mówiłam dalej. Po części, jak sędzę, zrobiłam to, by nie myślał o własnych problemach, po części zaś, żeby mu dowieść, że potrafimy w pełni realistycznie podchodzić do trapiących nas kłopotów, uczciwie stawiać im czoło i je przewycięzać, a zatem, że wbrew nim pisane nam było wygrać.

Podczas mojego pobytu w domu w ostatnie Boże Narodzenie tata wytłumaczył mi całą sytuację. Odkąd moi bracia zginęli, a matka umarła, w domu tata może dzielić się swoimi troskami tak naprawdę tylko ze mną, a jako że byłam bardzo pilnym słuchaczem, toteż w ostatnie święta dowiedziałam się naprawdę bardzo dużo o naszej sytuacji militarnej. Tata na przykład wyjaśnił mi, jak istotne było, by nasza armia zachowała spójność i mobilność. Mimo że Jankesi mają teraz nad nami przewagę liczebną, nigdy nas nie pokonają, jak twierdził tata, o ile nie zdołają nas przygwoździć. A jeśli tylko zdołamy utrzymać się jeszcze przez chwilę, to zdaniem taty Jankesi wyczerpią swoje siły. Poza tym wiadomo, jak duże panuje na Północy niezadowolenie. Wielu mieszkańców tamtych terenów ma serdecznie dosyć wojny, do której zmusił ich ten szalony pan Lincoln. Nawet oddziały jankeskich wojsk ogarnia wstręt, i choć są one dobrze wykarmione i dobrze uzbrojone, to codziennie notuje się setki przypadków dezercji. Dlatego też, jak mówił tata, wystarczy tylko, że się utrzymamy razem, nie pozwalając im zapędzić się w kozie róg, zachowamy naszą siłę i wczekamy na odpowiedni moment. A wówczas bum! Ponownie przemaszerujemy przez Maryland

i Pensylwanię, i tym razem nie zdołają nas powstrzymać.

– Kiedy, zdaniem twojego taty, mogłoby to nastąpić? – spytał Johnny, kiedy udzieliłam mu wyjaśnień.

– Niedługo, a nawet bardzo niedługo – odparłam. – Tata na tę okoliczność przygotował dopracowany plan, który niebawem przedłoży generałowi Lee, chyba że już to uczynił.

– Przekopie tunel znad Potomaku do rzeki Hudson czy jak?

Opowiedziałam mu o planie ojca wszystko, co wiedziałam. Było to z mojej strony bardzo nierozsądne, z czego zdaję sobie teraz sprawę i nie wydaje mi się, bym w ogóle się do tego posunęła, gdyby Johnny nie wykazywał tak złośliwej i sarkastycznej postawy, aczkolwiek w tamtej chwili nie wydawało się, by przybliżenie mu tego mogło jakkolwiek zaszkodzić.

Wyjaśniłam mu, że powodzenie planu zależeć będzie od tego, czy uda się związać generała Granta działaniami na przedpolach Richmond, podczas gdy niewielka grupa uderzeniowa pod dowództwem mojego ojca, generała Stevensona, prześlizgnęłaby się za plecami jego sił, prędko przekroczyła Potomak – unikając przy tym umocnionych punktów przeciwnika – po czym popędziłaby przez Maryland do jankeskiej stolicy, którą następnie spalono by, nim nieprzyjaciel zdołałby zorganizować jakikolwiek opór. W opinii mojego taty ludność cywilna Jankesów byłaby tak zdemoralizowana podobną katastrofą, że cały kraj po prostu by powstał i zażądał natychmiastowego zakończenia tej wojny, którą zresztą sami zaczęli.

A im więcej mówiłam, tym więcej wyjawiałam. Być może kierowana chęcią przechwałek, ujawniłam mu wszystko, co zdradził mi ojciec... sugerowaną przez niego trasę przemarszu, punkty, w których bezpiecznie mogliby przekroczyć Rappahannock, a następnie Potomak, a nawet tożsamość i miejsca zamieszkania pewnych godnych zaufania ludzi na trasie przemarszu, na których, zdaniem taty, można polegać w kwestii zapewnienia informacji, a może wręcz żywności i schronienia dla jego oddziału. Ma się rozumieć, tata nawet mnie nie podał dokładnych adresów tych ludzi. Mówił raczej, że chodzi, dajmy na to, o farmera, o którym słyszał, że mieszka nieopodal brodu na rzece Rappahannock i że pod Malvern Hill dwóch synów zabili mu Jankesi... czy też

o mężczyznę z Alexandrii, którego brata Jankesi powiesili za szpiegostwo. Jak widzicie, bez konkretnych nazwisk czy opisów tych ludzi, ale na tyle dokładnie, że zdeterminowany nieprzyjaciel bez wątpienia potrafiłby ich zidentyfikować.

Muszę przyznać, że McBurney słuchał tego wszystkiego bez oznak większego entuzjazmu.

– Już to rozważano – oznajmił, kiedy skończyłam. – Założę się, że w rebelianckiej armii nie ma takiego oficera powyżej rangi majora, który w pewnym momencie nie zamarzyłby sobie o zdobyciu sławy dzięki spaleniu Waszyngtonu.

– Mój ojciec nie dąży do zdobycia osobistej chwały – odparłam zdecydowanie.

– Och, nie wątpię. Nie jego miałem na myśli, a zwykłych oficerów po stronie rebelii. Jeśli o mnie chodzi, to twój ojciec może sobie spalić cały ten interes, od Potomaku aż po rzekę Hudson. Powiedz mu tylko, żeby w miarę możliwości oszczędził z jeden statek w Zatoce Nowojorskiej, abym mógł wrócić do siebie.

– Różnica między planem taty a pozostałymi – jeśli rzeczywiście były też inne – jest taka, że jego został bardzo dokładnie opracowany. Ma te kontakty, o których wspominałam, ludzi na tyłach Unii, którzy gotowi są mu pomóc.

– Skąd się o tych ludziach dowiedział?

– Nie wiem. Zapewne donieśli mu o nich jacyś niezadowoleni jeńcy, których schwytał, chłopcy tacy jak ty, możliwe, że rozczarowani stanem rzeczy na Północy.

– Wiesz, nie zawsze można ufać takim ludziom – powiedział Johnny i ponownie odwrócił wzrok. Doszłam do wniosku, że były to najszczerze słowa, jakie wypowiedział podczas pobytu u nas, a może jedyne.

W każdym razie wówczas go zostawiłam, nie zastanawiając się więcej w tamtej chwili nad potencjalnym niebezpieczeństwem wynikającym z ujawnienia mu tych informacji. Z pobraną miarą wróciłam do stajni i pracowałam nad kulami w nadziei, że zdążę je skończyć do czasu, gdy będzie

gotowy z nich skorzystać – czy też raczej do momentu, kiedy panna Martha pozwoli mu podjąć takie ryzyko.

I nieomal udało mi się zmieścić w terminie, pomimo stale wzrastającej liczby zadrapań od piły i gwoździ, jak również niezliczonych wypadków uderzania się po palcach, przy czym za część odpowiedzialność ponosiła panna Amelia, gdyż ulegałam jej namowom i pozwalałam jej skorzystać z młotka, samej trzymając gwoźdź. Nabrałam podejrzeń – niestety niemożliwych do udowodnienia – że niektóre, a może wręcz wszystkie niecelne uderzenia zdarzyły się nieprzypadkowo. W moim mniemaniu Amelia to nazbyt zręczne stworzonko, by zrobić coś takiego niechcący.

Tak czy owak, prace nad kulami dobiegły końca i zaniiosłam je do zaopiniowania pannie Marcie. Przyznam, że kule wzbudziły w niej pewne wątpliwości, starałam się jednak uspokoić jej obawy.

– Wydaje mi się, panno Martho, że okażą się o wiele wytrzymalsze, niż można by sądzić z wyglądu – zapewniłam. – Proszę tylko spojrzeć. – I zademonstrowałam ich solidność, przeskakując na nich po pokoju, rzecz jasna, dosyć niezdarnie, były bowiem dla mnie za duże.

– No to chyba nie zgłaszam obiekcji – orzekła w końcu panna Martha – o ile tylko zyskają aprobatę pana McBurneya. Jeżeli najdzie go ochota, pewnie sam będzie w stanie je sobie ulepszyć.

Po cichu pomyślałam, że McBurney powinien być bardzo wdzięczny za tak miły upominek i dyskretnie przystąpiłam do realizacji pewnego planu, który opracowałam z myślą o przekazaniu mu ich.

Jestem świadoma, że wydarzenie to zostało ochrzczone mianem ceremonii uroczystego przekazania kul przez pewne osoby, które postanowiły je wykpić, lecz w rzeczywistości nie towarzyszyły mu żadne większe ceregiele. Krótko mówiąc, po obiedzie wezwałam wszystkie uczennice na kilkuminutowe przeszkolenie – nadmienię tu, że jedna osoba o imieniu, podobnie jak moje, zaczynającym się na literę E, wzięła w nim udział wyjątkowo niechętnie – po czym wraz z naszymi nauczycielkami i starą Mattie przeszłyśmy do bawialni i ustawiliśmy się przed kanapą kaprala McBurneya czy też stanęły tam wszystkie oprócz mnie. Bo widzicie, wysłałam je przodem, wpierw Mattie,

potem uczennice od najstarszej do najmłodszej, następnie nasze nauczycielki w kolejności stosownej do hierarchii służbowej, podczas gdy sama zaczekałam w holu, aż wszystkie będą na pozycjach, po czym weszłam z kulami i stanęłam pomiędzy grupą a kapralem McBurneyem.

Kiedy weszłam, w szeregu dało się słyszeć pewne dziecinne i niepotrzebne parsknięcia, kątem oka zaś dostrzegłam Marie Deveraux, która wraz z Mattie stała z brzegu z nieco wycofaną prawą nogą, w pełnej gotowości. Byłam pewna, że zamierzała wysunąć ją, bym się o nią potknęła, przechodząc. Lecz na przekór jej nikczemnemu planowi zatrzymałam się, nim do niej doszłam, po czym obróciłam się i stanęłam w milczeniu na moment, aż uwaga zebranych mniej więcej się na mnie skupiła – w tym miejscu na więcej nie można liczyć – i przystąpiłam do wygłaszania kilku spostrzeżeń, które na tę okoliczność przygotowałam.

Nie będę tutaj tych uwag przytaczała – połowy z nich i tak już teraz nie pamiętam – wspomnę tylko, że dotyczyły ogólnego zagadnienia patriotyzmu i poświęcenia i zawierały parę odniesień do wybitnych bohaterów wojen w przeszłości, a w szczególności do tych, którzy odnieśli obrażenia w bojach. Całą przemowę i tak zepsuły chichoty i wygłupy zgromadzonych za mną.

– Prezentuj kule – szepnęła Marie. – Kula prawa, kula lewa! – I dalej ciągnęła tego rodzaju irytujące i wstrętne komentarze. Panna Martha i panna Harriet starały się ją uciszyć, lecz oczywiście ich posykiwanie stanowiło ledwie przerywnik paskudnych docinków Marie.

– Wydaje mi się, panno Emily, że najlepiej będzie zakończyć tę przemowę – oznajmiła panna Martha, nim zdążyłam się rozkręcić, jako że utrzymanie porządku stawało się coraz trudniejsze. – Podaj panu McBurneyowi kule i niech je wypróbuje, jeśli ma ochotę.

– Ależ mam – zapewnił McBurney. Przez cały czas siedział bardzo poważny, zasluchany i wpatrzony, z kocem na kolanach. Wcześniej Mattie pomogła mu się przebrać w kolejną koszulę i spodnie, które należały niegdyś do pana Roberta Farnswortha i które Mattie bardzo dokładnie ułożyła, posuwając się wręcz do tego, że prawą nogawkę podwinęła i zabezpieczyła agrafką, aby nie zwisała luźno, kiedy będzie próbował chodzić.

– Drogie panie, młode damy oraz pozostałe, dziękuję za okazaną dobroć – rzekł, gdy położyłam kule na kocu na jego kolanach. – Może wypróbuję je nieco później.

– Jeżeli to nie kłopot, wolałabym, by zrobił to pan teraz, kiedy jesteśmy tutaj, by dopomóc – odparła panna Martha.

– Ależ pomoc mi niepotrzebna – nalegał.

– Tak czy siak, pragniemy, by wypróbował je pan teraz, panie McBurney – oznajmiła panna Harriet. – W ten sposób sprawdzimy, czy pasują czy nie.

– Poza tym – dodałam, bardzo rozczarowana jego uporem – mój plan zakładał, że przejdzie pan wzdłuż naszego szeregu. Zamierzałam dołączyć do pozostałych w rzędku, a wówczas pan przeszedłby przed nami, a potem wszystkie wyszłybyśmy za panem do jadalni, gdzie nasza droga, słodka Mattie przygotowałyby nam drobny, okolicznościowy poczęstunek.

– Każdy dostanie ino kawałek bez względu na to, ile mnie będziecie słodzić i gruchać – wtrąciła Mattie.

– Domyślam się, że ciastek nie dałoby rady przynieść tutaj – upierał się McBurney.

– Nie, proszę pana, nie dałoby rady – oświadczyła zdecydowanym tonem panna Martha. – Nie pozwolę, by moją bawialnię doszczętnie zabrudzono okruszkami i dżemem. Tak więc czy raczy pan się podnieść i wypróbować kule, czy też boi się pan tak uczynić?

– Nie, proszę pani – odparł, bardzo pobladłszy. – Nie boję się, proszę nigdy tak nie myśleć. – I podźwignął się na jednej nodze, usiłując upchnąć koc za pasem spodni.

– Nie zaczniesz chyba nosić spódniczki, co, Johnny? – Zaśmiała się Alice. – Zupełnie do ciebie nie pasuje.

– Być może w spodniach są dziury, które chciałby zakryć – skomentowała Marie.

Tak czy owak, kiedy sięgnął po kule, koc opadł na ziemię. W ogóle nie spoglądał na upiętą nogawkę spodni, wbijając wzrok przed siebie, z uperlonym czołem i dygoczącymi ustami, podczas gdy Amelia i ja

ustawiłyśmy mu kule pod pachami.

– A teraz ruszaj, kapralu. – Odsunęłam się.

– Naprzód, marsz, Johnny! – zawołała Marie. – Pokaż im, jak to robią katolicy.

Próba okazała się katastrofą. Czy to pod wpływem strachu i niepewności, czy też z winy nadmiernie wypolerowanej podłogi, czy wreszcie dlatego, że ktoś majstrował przy kulach – czego w istocie nie sugeruję, a wyłącznie wymieniam jako ewentualność, bowiem uważałam, że były one dostatecznie wytrzymałe, o ile tylko odpowiednio by się nimi posługiwał – bez względu na powód, gdy tylko uczynił dwa czy trzy niepewne kroki swoją lewą nogą, kule śmignęły w powietrze, a McBurney ciężko wylądował na podłodze.

– Johnny, nic ci nie jest? – zakrzyknęła Amelia, rzucając się ku niemu. Właściwie to wszystkie rzuciłyśmy się ku niemu, włącznie z panną Martha, która naprędce go przebadła i na szczęście nie stwierdziła żadnych obrażeń, jeśli pominąć pożyczone spodnie, które rozpruły się na tyłku, to jest w miejscu lądowania. Kikut prawej nogi był nienaruszony, co więcej, nawet owijający go bandaż nie uległ uszkodzeniu.

On jednak siedział po prostu na podłodze, wodząc wzrokiem po naszych twarzach – dość żałośnie, jak uznałam w pierwszej chwili – po czym, choć wydaje się to niewiarygodne, zaczął łkać, jak gdyby utracił ostatniego przyjaciela.

– Zrobiliście ze mnie durnia! – krzyknął. – Przyszłyście, by się ze mnie pośmiać!

– Nieprawda, serdeńko – odezwała się panna Harriet. – Nikt się z ciebie nie śmieje.

– Specjalnie tak sprawiłyście te stare, pożałowania godne kule, żeby się pode mną połamały!

– W żadnym razie – obruszyłam się, nieco tym poirytowana. – To nieprawda i niesprawiedliwość, kapralu McBurney. Po pierwsze to tylko jedna z kul się złamała, po drugie mogła się złamać w chwili, kiedy pan na nią upadł.

– Wcale na nią nie spadłem! – wykrzyknął przez łyzy. – Do stu diabłów,

puściła, kiedy się na niej oparłem!

– Panie McBurney, proszę pilnować słownictwa – napomniała go panna Martha.

– Do diabła ze słownictwem! – ryknął. – I do diabła z wami wszystkimi! – Przesunął się po podłodze z powrotem ku kanapie, po czym usiłował się podnieść, wciągając się na nią. Okazało się to dlań bardzo trudne, ponieważ siedzisko kanapy jest dość wysoko, a on znajdował się w raczej niewygodnej pozycji, tak więc rozgniewał się jeszcze bardziej i spróbował poderwać się w górę. Zaczepił gdzieś przy tym rozdartym kawałkiem spodni i rozpruł je jeszcze bardziej, na całej długości prawej strony, prując nawet pieczęłowicie zawiązany przez pannę Marthę bandaż, przez co cały opatrunek odpadł, odsłaniając posiniaczony i tylko częściowo zagojony kikut.

– O Jezu, Jezu... – zajęczał. Najwyraźniej po raz pierwszy go teraz zobaczył.

– Już, już, serdeńko – odezwała się panna Harriet, sama również chlipiąc. – Wszystko będzie dobrze. – Ponownie do niego podeszła, podobnie jak Amelia i ktoś jeszcze, bodaj Edwina i Mattie, ale nie ja, bo zbyt mnie już rozdrażnił tym całym zachowaniem, i spróbowały pomóc mu wstać, ale im na to nie pozwolił.

– Odsuńcie się! – krzyknął. – Odsuńcie się ode mnie wszystkie! Zgraja cholernych, starych wiedźm! Patrzcie, coście mi zrobiły... Rany boskie, spójrzcie no na mnie!

Sięgnął po kule i nimi w nas cisnął, zarówno pękniętymi kawałkami tej strzaskanej, jak i nieuszkodzoną. Zważywszy na to, z jaką złością nimi rzucił, na cud zakrawało, że nikogo poważnie nie ranił, nie wycelował jednak dobrze i w żadną z nas nie trafił.

– A teraz znikajcie stąd! – zakrzyknął znów. – Nie chcę was widzieć, żadnej... precz z moich oczu!

– Wszystkie, Johnny? – dopytała nieco zaszokowana Amelia.

– Toż mówię... wszystkie!

– Młode damy, idźcie w tej chwili do swoich pokojów – odezwała się

panna Martha z godnym najwyższego podziwu spokojem.

Tak też uczyniłyśmy, i to praktycznie bez wahania. Amelia i Marie, rzecz jasna, usiłowały pozostać w tyle, by przekonać się, jaką to straszliwą karę panna Martha wymierzy McBurneyowi za jego skandaliczne zachowanie, lecz panna Harriet pogoniła je na górę. Niektóre z dziewcząt wydawały się osłupiałe wobec jego wybuchu, ja zaś osobiście byłam zdumiona, że nie nastąpił wcześniej, wzięwszy pod uwagę, jak wielki z niego tchórz.

Możliwe że przez wszystkie te dni leżał na kanapie, udając, że się z nim po prostu droczymy i w rzeczywistości nie stracił nogi. Moim zdaniem usiłował zwodzić samego siebie tak długo, jak się dało – może aż do chwili, kiedy znalazł się na podłodze i wbił spojrzenie w pustkę ziejącą poniżej kolana.

W każdym razie pozwoliłam panie Harriet wyprowadzić całe towarzystwo, po czym zajęłam miejsce na końcu orszaku, przyjmując rolę ariergardy naszego oddziałku, że się tak wyrażę, nie sposób bowiem stwierdzić, co jeszcze McBurney gotów był uczynić w napadzie szału. Z tej pozycji na tyłach dosłyszałam, jak panna Martha zwraca się do naszego wciąż łkającego gościa chłodnym i autorytarnym tonem:

– Proszę pana, to nadal jest mój dom i nadal to ja tutaj rządę. Niech ani przez chwilę się panu nie wydaje, że może pan mnie wywłaszczyć z tego pokoju. Odesłałam stąd młode damy, aby oszczędzić im kontaktu z pańskim wulgarnym temperamentem, a teraz z tych samych przyczyn oddalę się sama – oznajmiła chłodno.

– Jazda, biegusiem, ty stara łysa kozo. – Wydało mi się, że słyszę, jak wykrzykuje McBurney, choć może był to inny opisowy epitet, który zestawiał z kozą, choćby „licha” czy „brzydka”, bowiem akurat przymiotnik „łysa” nie miałby w przypadku panny Marthy żadnego sensu, gdyż pod względem owłosienia nie ustępuje nikomu z domowników.

W każdym razie nastąpiła pauza, po której panna Martha kontynuowała tym samym co wcześniej tonem.

– Panie McBurney, zważywszy na pana obecny stan, nie mogę zażądać, by się pan stąd wyniósł, mogę jednak zadbać o to, by pana stąd wynieśli. Rano pójdę poinformować pierwszych żołnierzy Unii, jakich napotkam, że w moim

domu przebywa dezenter – postraszyła. W reakcji na te słowa rozległ się ryk śmiechu, śmiechu niemalże obłąkańczego, bo tak to chyba trzeba nazwać. Pośród tegoż ryku panna Martha, sztywna jakby kij połknęła, śmiertelnie pobladła, wystrzeliła z bawialni, w zaciśniętych pięściach trzymając połę sukni niczym koło sterowe okrętu liniowego. – Panno Emily, jeżeli nie masz innych zajęć – rzuciła, mijając mnie – to sugeruję, byś zastosowała się do moich wytycznych.

– Już idę, panno Martho! – zawołałam, podczas gdy ona wchodziła już na górę. – Czekam tylko, by dopilnować, by Marie także weszła.

I tak było w istocie. Marie Deveraux wyłamała się z formacji i pomknęła do jadalni, aby skosztować ciastek kukurydzianych z dżemem jeżynowym. W końcu wróciła, pogryzając rozpaćkany smakołyk, a dwa czy trzy kolejne niosąc w drugiej ręce.

– Panienko, będziesz łaskawa iść nieco szybciej? – zapytałam. – Kazałaś mi tu na siebie czekać, a przy tym rozgniewałaś pannę Marthę do granic możliwości.

Marie mrugnęła tylko do mnie i ruszyła schodami w górę z pełną buzią, przy każdym kroku rozsiewając wokół okruchy i dżem. Tak bardzo wyprowadziła mnie z równowagi swą przekorą, że poczułam, że po prostu muszę ją skarcić, toteż chwyciłam ją za spódnicę, pociągnęłam w tył i odebrałam jej półtora ciastka. Zabrałabym wszystkie, gdyby nie to, że mnie uderzyła, kopnęła, a następnie opluła po twarzy okruszkami w sposób krańcowo niegodny damy. Wówczas pozwoliłam, by uciekła na górę, ciskając pod moim adresem dzikie groźby – jak tylko ona potrafi – sama zaś pozbyłam się ciastek, zjadając je na poczekaniu.

Następnie wróciłam do bawialni, by po raz ostatni rzucić okiem na McBurneya. Wciąż siedział na podłodze oparty plecami o kanapę, nie śmiejąc się już, a na powrót łkając, tym razem tak, jakby serce miało mu pęknąć. Wymknęłam się, nim zdołał mnie zauważyć, i poszłam do siebie do pokoju.

– Co to, to nie. – Pamiętam, że mówiłam do siebie. – W brygadzie mojego ojca absolutnie nie ma miejsca dla kogoś takiego jak Johnny McBurney. Możliwe że Johnny McBurney do czegoś się nadaje, ale nie do walki za naszą

sprawę.

Tak więc uznawszy, że jak na jeden wieczór pensja Farnsworthów zaznała wystarczająco emocji, udałam się do łóżka w nadziei, że zdołam od razu zasnąć. Jednakże odejście w znajome objęcia Morfeusza przerwano mi, nim na dobre się do niego wzięłam. W niespełna dziesięć minut po tym, jak nakryłam się kocem, z okolic pokoju panny Marthy rozległ się straszliwy wrzask. Panna Martha krzyczała, panna Harriet piszczała i przez moment sądziłam, że pewnością to Jankesi przybyli silnym oddziałem i rozpoczęli oblężenie budynku. Udałam się na korytarz, by zbadać sytuację, i natknęłam się na pozostałe uczennice, które postanowiły postąpić tak samo. Zjawiała się też Marie, co przekreśliło drugi z moich domysłów, a mianowicie że właśnie przyłapano ją na wypadzie do jadalni po kolejne ciastka z dżemem. Ani przez moment nie przeszło mi przez głowę, że odpowiedzialny za ten rwetes mógł być McBurney, wszak zostawiłam go, zdawałoby się bezsilnego, zaledwie przed chwilą. Lecz w tym względzie właśnie się myliłam. Później okazało się, że za drugim tego wieczoru incydentem również stał McBurney, aczkolwiek jego udział nie wyszedł na jaw od razu. W pierwszej chwili wydawało się, że winna jest panna Harriet. Panna Martha wprost oskarżała ją o włamanie się do jej pokoju i kradzież cennych przedmiotów. Z tego, co zrozumiałam, zniknęły pieniądze, jak również brelok panny Marthy i coś jeszcze.

– Nie rozumiem, dlaczego to biedną pannę Harriet trzeba o wszystko oskarżać – odezwała się ze swojego progu Amelia, wtykając nos w wyraźnie cudze sprawy. – Może to jakiś rabuś z zewnątrz włamał się i pozabierał rzeczy.

– A może nic tak naprawdę nie zniknęło – zasugerowała Alice Simms, która zeszła z zajmowanego przez siebie strychu. – Może panna Martha po prostu źle poodkładała przedmioty, o które teraz robi tyle krzyku.

– To równie mało prawdopodobne – skomentowała Edwina z typowym dla siebie wrednym uśmieszkiem. – Panna Martha nigdy niczego nie gubi. Jest chodzącym przykładem tego, jak trzymać wszystko na swoim miejscu.

– No to pozostają tylko dwie możliwości – zauważyła Marie. – Jeżeli panna Harriet nie zabrała kluczy, aby dobrać się do wina, bo rozumiem, że to właśnie

sugeruje panna Martha, to winna musi być jedna z nas... lub nasz poczciwy kapral McBurney.

– To wstrętne mówić takie rzeczy – zaprotestowała ostro Alice.

– O jednej z nas? – dopytała Edwina.

– Bez wątpienia czymś absolutnie odrażającym jest mówić tak o Johnnym, który nie jest nawet w stanie chodzić! – wykrzyknęła Amelia.

Sprowokowało to osobne poruszenie z dwiema współlokatorkami w rolach głównych. Uczyniły one wraz z pozostałymi na korytarzu taki rejwach, że panna Martha i panna Harriet przerwały swoją kłótnię i wyszły, by poznać przyczynę nowego zamieszania.

Kiedy zaś panna Martha dowiedziała się, o co poszło, okazała wielkie oburzenie faktem, że my, młódki, podsłuchiwałyśmy, co miała do powiedzenia w nader prywatnej wymianie zdań. Niemniej na wzmiankę o McBurneyu zatrzymała się, by rozważyć ewentualność, że to on brał udział w kradzieży w jej pokoju. Najwyraźniej wcześniej o tym nie pomyślała, lecz teraz, jak sądzę, zaczęła zdawać sobie sprawę, że bynajmniej nie było niemożliwe, by mężczyzna, choćby i na jednej nodze, wdrapał się po schodach, gdy jej pokój stał niepilnowany.

To, co się następnie wydarzyło, przekonało pannę Marthę i resztę z nas, że to McBurney zawinił. Gotowe jesteście uznać, że dwa diabło głośne incydenty to więcej, niżby się można spodziewać jednego wieczoru w swego czasu dosyć renomowanej szkole dla panien, która i teraz nie zaliczała się do najgorszych tego rodzaju placówek w kraju. Wówczas ze zdumieniem przyjęlibyście informację, że tegoż wieczoru czekało nas jeszcze jedno zdarzenie, i to dalece hałaśliwsze i bardziej niepokojące aniżeli dwa poprzednie.

Rzecz zaczęła się od donośnego gruchotu na parterze, który spowodował, że trwająca na górze dyskusja w jednej chwili zamarła, jako że wszystkie uczennice i nauczycielki stanęły jak wryte. Słuchałyśmy odgłosów trzaskającego drewna i brzęku tłuczonego szkła, gdy dołączyło do nich straszliwe łomotanie i tupanie, a następnie kolejne trzaski.

– Dobry Boże, czyżby on rozbijał wszystkie meble w domu? – wyszeptała

panna Harriet.

– A przy tym najwyraźniej całą porcelanę i kryształy – dodała bardzo blada panna Martha.

– A może znowu się przewrócił – podsunęła nerwowo Amelia, wierna swojemu bohaterowi do ostatka. – Może wpadł na okno czy coś podobnego, może się nawet przy tym pokaleczył.

Czy w odpowiedzi na te słowa ktoś wyszeptał „i dobrze”? Nie pamiętam, bym słyszała, jak ktoś rzeczywiście coś takiego wypowiada, lecz chyba mogę zaświadczyć, że wnosząc po obliczach wokół mnie, było jasne, że jedna czy dwie osoby tak pomyślały. Jedną z nich mogła być Edwina Morrow, drugą – Alice Simms. Trzecią osobą, która w danej chwili nie wydawała się nazbyt przejęta stanem zdrowia McBurneya, okazała się panna Martha Farnsworth.

– To dość jasne, co on teraz robi – orzekła ta ostatnia, nasłuchując u szczytu schodów. – Właśnie otworzył drzwi do piwniczki z winem. Te drzwi skrzypią w specyficzny sposób, jak żadne inne w domu.

– Tam na dole jest Mattie – zauważyłam. – Dlaczego go nie powstrzyma?

– Sama zejdź i go powstrzymaj – odparowała sarkastycznie Marie. – Stara Mattie świetnie wie, co dla niej dobre. Ani myśli wchodzić w paradę białemu mężczyźnie, którego nosi szal. Kiedy tylko Johnny zaczął dokazywać, pewnie czmychnęła z kuchni do swojego dawnego mieszkania w czworakach.

– W każdym razie jasne jest teraz, gdzie są moje klucze, a może i pieniądze, aczkolwiek nie rozumiem, jak też mógł się tutaj dostać przez nikogo niewidziany ani niesłyszany – orzekła panna Martha.

– Może upuściła pani klucze jeszcze na parterze, a on je znalazł – podsunęła Alice.

– Nie, nie upuściłam – zaprzeczyła panna Martha. – Pamiętam, jak zawiesiłam je na haczyku w szafie, a zresztą nawet gdybym zostawiła je na dole, to nie tłumaczyłoby kwestii pieniędzy, które też zniknęły.

– Czy skradziono pani wszystkie pieniądze? – spytała Edwina.

– Nie, panienko, acz zdecydowanie znaczącą ich część.

– Może niedokładnie je pani przeliczyła – nalegała Edwina. – Proszę

policzyć raz jeszcze, uważnie, a może się okaże, że niczego nie brakuje.

– Panienko, jeśli łaska – odparła zniecierpliwiona panna Martha. – Wiem, co się zdarzyło. W moim pokoju jest bałagan, a poza kluczami i pieniędzmi zniknęło też trochę biżuterii.

– Mimo wszystko taka kradzież chyba nie wskazuje na mężczyznę – oceniła Amelia, wciąż starając się go bronić. – Jeżeli Johnny chciałby panią okraść, to dlaczego nie zabrałby całej gotówki i biżuterii, a nie tylko części?

– Bądźcie już cicho – poleciła panna Martha, ponownie nachylając ucho nad schodami. – Dostyc już się nasłuchiwałam waszych rad i komentarzy. Wracać wszystkie do pokoju i już nie wyłazić.

– Ale to nic z nim nie zrobimy? – spytałam całkiem zdumiona. – Sądzę, że powinniśmy wszystkie zejść na dół, obezwładnić go i na przykład związać.

– Tak sądzisz, panienko? – zdziwiła się panna Martha. – Może kiedy sama zostaniesz przełożoną szkoły dla młodych dam, jeszcze nadarzy się okazja, by wystawić ciała i umysły podopiecznych na szwank w podobnym przedsięwzięciu, ale w tej placówce nic takiego nie będzie miało miejsca. A teraz wydaję rozkaz, któremu należy się podporządkować pod groźbą mojego wielkiego niezadowolenia. Od tej pory żadna uczennica tej szkoły nie może porozumiewać się ani nijak wchodzić w kontakt z tym człowiekiem aż do czasu, gdy opuści ten budynek. A obiecuję wam, że nastąpi to niebawem.

– Tu, na górze, dziewczęta, jesteśmy bezpieczne – zapewniła rozdygotana panna Harriet. – Panna Martha trzyma w pokoju załadowany pistolet po ojcu.

– Panna Martha nie trzyma załadowanego pistoletu po ojcu – odcięła się jej siostra. – Pistolet znajduje się w szafce w bibliotece, a klucz do tejże szafki jest wraz z pozostałymi na breloku.

– Może Johnny o tym nie wie – wtrąciła Marie. – Więc wystarczy, byśmy zbiegły na dół, rozbiły szafkę, wzięły pistolet i go pojmały.

– Nie musiałybyśmy nawet tego robić – wtrąciła się Amelia. – Wystarczyłoby, bym sama zeszła na dół i poprosiła go o klucze, a jeżeli istotnie je ma, czego bynajmniej nie jestem pewna, ale jeżeli je ma, to założę się, że by mi je zwrócił.

– Pójdziecie wy już wszystkie do swoich pokojów, jak wam kazano? – syknęła panna Martha, teraz już zdenerwowana nie na żarty, choć sędzę, że przede wszystkim na młodsze z uczennic.

– Dalej, dalej – zwróciłam się do nich, pomagając opróżnić korytarz. – Nie ma tu nic do oglądania. Proszę słuchać przełożonych i opuścić ten teren.

Bez większych trudności zdołałam zapędzić z powrotem do pokojów Amelię i Marie, aczkolwiek ta ostatnia osobka spróbowała wymierzyć mi ostatniego kopniaka, na całe szczęście nie wyrządzając nim poważniejszych szkód. Edwina i Alice stanowiły większy problem, pierwsza bowiem w ogóle odmówiła stosowania się do moich poleceń i po prostu stała w miejscu, piorunując mnie wzrokiem, druga natomiast, gdy ją szturchnąłam, zacisnęła pięść, dając do zrozumienia, że jest gotowa stawić mi opór, uciekając się do skrajnej przemocy. Aby jednak nie dopuścić do jakichkolwiek dalszych komplikacji, zainterweniowała panna Martha, która przepchnęła nas wszystkie – łącznie ze mną, aby nie narazić się na zarzut okazywania komuś szczególnych względów – przez co Alice wróciła na strych, Edwina i ja do swoich pokojów.

Zostawiłam w drzwiach tycią szparkę, aby usłyszeć, gdyby któraś z uczennic spróbowała ponownie wymknąć się z pokoju. Przyszło mi na myśl, że powinnam podjąć jakieś środki ostrożności na wypadek, gdyby McBurney postanowił wtargnąć na piętro, kiedy będę spała. Bynajmniej się go nie obawiałam, zdałam sobie jednak sprawę, że moje znaczenie dla szkoły jako przewodzącej uczennicom wielce by zmalało, gdybym w rezultacie starcia z McBurneyem została ranna bądź okaleczona. Dlatego też postanowiłam zminimalizować ryzyko, przesuwając część umeblowania pod drzwi. Zablokowałam je w miejscu moim egzemplarzem Biblii, a następnie zastawiłam szparę komodą i dwoma krzesłami. Potem poszłam do łóżka.

Z tego, co wiem, tej nocy nie wydarzyło się już nic niepokojącego. Kiedy od mniej więcej kwadransa już leżałam, usłyszałam, jak panna Martha ponownie wychodzi z pokoju i rusza schodami w dół, wówczas też usiadłam na łóżku i spytałam: „Panno Martho, czy mogę jakoś pomóc?”, ale najwyraźniej mnie nie usłyszała. Po chwili panna Harriet wyszła od siebie, podeszła do moich

drzwi i odpowiedziała: „Dziękujemy, panno Emily, ale z panną Marthą ze wszystkim sobie poradzimy”. Następnie podążyła schodami za siostrą.

Tak więc ponownie wróciłam pod mój koc z poczuciem, że wywiązałam się z obowiązków najlepiej, jak umiałam. Zawsze staram się osiągnąć taki stan przed zaśnięciem. Zaoferowałam swoją pomoc, nie została ona przyjęta, tak więc usatysfakcjonowana poszłam spać.

HARRIET FARNSWORTH

Nieszczególnie zaalarmowały mnie pierwsze wybuchy kaprala McBurneya tamtej nocy. Rozumiałam, skąd u tego młodego człowieka wrażenie, że został źle potraktowany. Czułabym się podobnie, gdyby to moją nogę amputowano tak szybko i pozornie bez głębszego zastanowienia, jak stało się to w jego przypadku. Mimo że w dniach bezpośrednio po operacji siostra zdołała mnie przekonać, że jej decyzja była uzasadniona, nadal wierzę, że na miejscu pana McBurneya czułabym wielki gniew. No, ale to inna para kaloszy. Albo raczej inny kalosz, jeśli mogę sobie pozwolić na tak mało zabawny żart. W każdym razie później tamtej nocy znów się awanturował, przerażając uczennice i zmuszając moją siostrę, by zeszła z powrotem na dół sprawdzić, co się dzieje.

Gdy przez kilka chwil nie wracała, uznałam, że pan McBurney może być w stanie tak rozognionej ekscytacji, że moja siostra bez pomocy nie zdoła go uspokoić. Nie myślałam oczywiście o zastosowaniu żadnych metod przemocy fizycznej. Jestem ostatnią osobą w tym domu, której kiedykolwiek przyszłoby do głowy odwołać się do takich środków. Zamierzałam tylko podzielić się z nim dobrym słowem, uznając, że to jedyne remedium potrzebne, by go uspokoić.

Ale niestety na takie metody było już o wiele za późno. Kiedy zeszłam do piwnicy, zobaczyłam pana McBurneya i moją siostrę w tym kącie piwnicy, gdzie mój ojciec trzymał swój mały zapas wina. Pan McBurney siedział na podłodze, plecami oparty o otwartą szafkę z winem, i pił ze stłuczonej butelki. Wokół niego leżało już kilka pustych butelek z rozbitymi szyjkami. Siedział i patrzył nienawistnie na moją siostrę, oświetlającą piwnicę płomieniem świecy, i próbował sprawdzić, jak szybko jest w stanie wlewać w siebie tę wspaniałą maderę.

Jak już może zdarzyło mi się wspomnieć, sama potrafię docenić kropelkę dobrego wina od czasu do czasu. W związku z tym absolutnie nie wyrażałam

żadnych pretensji pod adresem pana McBurneya, że też ceni sobie tę przyjemność. Byłam jednak zgorzozona sposobem, w jaki dokonywał konsumpcji, i ilością spożywanego trunku. Nie miałam wątpliwości, że jeśli utrzyma dotychczasowe tempo, do rana zdąży wyczerpać całe nasze zapasy.

Przystanąłam w cieniu schodów, więc ani moja siostra, ani McBurney mnie nie zauważyli. Domyśliłam się, że kapral dotarł do piwniczki, opuszczając się schodek po schodku na tylnej części ciała, choć posiadał sprawną kulę i dzierżył ją przed sobą w wolnej dłoni niczym lancę, utrzymując w ten sposób moją siostrę w pewnej odległości od siebie. Był już bardzo pijany, ale w jego oczach krył się lęk. Należałoby to zapamiętać. Nawet jeśli McBurney przez jakiś czas uważał, że ma nad nami przewagę – i rzeczywiście ją posiadał – to nigdy do końca nie wyzbył się strachu przed moją siostrą.

Skończył butelkę i rzucił ją o ścianę naprzeciwko. Szkło minęło o włos policzek mojej siostry i roztrzaskało się za jej plecami, ale ona nie dała mu satysfakcji i nie odskoczyła. To on ostatecznie spuścił wzrok, otarł wargi wierzchem dłoni i sięgnął za siebie po kolejną drogocenną butelkę.

– Mógłby pan przynajmniej spróbować wyjąć korek – zauważyła moja siostra, nie tracąc opanowania.

– Nie ma na to czasu – odparł, po czym uderzył ostro butelką o drzwi szafki, odłupując szyjkę i rozlewając połowę zawartości na posadzkę.

– Za chwilę poważnie się pan tym skaleczy – ostrzegła go Martha.

– Ach, jakie to by było szczęście, co, serdeńko? Masz nadzieję, że poderżnę sobie gardło? To by rozwiązało wszystkie twoje problemy, co? No, to teraz leć do łóżka, jak przystało na dobrą paniusią, zmów pacierz, a może kiedy zejdziesz tu nad ranem, znajdziesz mnie wykrwawionego na śmierć... i będziesz mnie mogła posprzątać razem z całym bałaganem, jakiego zdążyłem wam tu narobić. To chyba właśnie bałagan pani przeszkadza bardziej niż to wino, nieprawdaż, panno Martho, złociutka? Z pani siostrą pewnie byłoby na odwrót, hę?

Nie jestem pewna, co chciał przez to powiedzieć – zakładając, że wtedy jeszcze był w ogóle w stanie formułować myśli, które niosłyby jakiś logiczny sens. Jeśli tymi słowami chciał skrytykować moją dbałość o porządek, to

uważam je za nieuzasadnione, gdyż jestem równie schludna jak moja siostra.

– Zapytam raz jeszcze. – To następne, co moja siostra rzekła do McBurneya. – Jak zdobył pan moje klucze?

– A ja ci raz jeszcze odpowiem, kochaniutka – odparł, uśmiechając się złośliwie. – Mały ptaszek mi je przyniósł. Mała biała ptaszynka wleciała przez okno do salonu z pękiem kluczy w dzióbku. Kilka razy okrążyła pokój, upuściła mi klucze na kolana i odfrunęła.

– Czy poszedł pan dziś po południu na górę do mojego pokoju?

– Może. Zszedłem dziś wieczorem na dół do piwniczki, prawda?

– Zatem skoro przyznaje się pan do zabrania z mojego pokoju kluczy, zakładam, że przyzna się pan również do kradzieży pieniędzy.

– Pieniądzy? A co, pieniędzy też brakuje?

– Proszę nie dodawać miernego aktorstwa do listy swoich życiowych porażek. Dobrze pan wie, że z mojego puzderka na biżuterię zniknęło dwieście dolarów w złotych monetach federalnych i drogocenny naszyjnik.

– Ten? – zapytał z szerokim uśmiechem, wyciągając coś zza pazuchy.

– Tak, ten – odparła Martha, już nieco mniej pewnie.

Zeszłam jeszcze schodek albo dwa, a gdy na przedmiot padło światło, rozpoznałam, co to takiego. McBurney trzymał niewielki złoty medalion, który należał do naszej matki.

– Otworzyłem go jakiś czas temu i znalazłem w środku obrazek – oznajmił. – To twój ukochany?

– To mój brat – odparła Martha. – Proszę oddać mi medalion.

– Nie tak szybko, *madam*. – Powstrzymał ją i znów uniósł kulę, gdy ruszyła w jego kierunku. – Jeśli rzeczywiście go ukradłem, to dlaczego miałbym go oddawać?

– Bo dla pana nie ma on żadnej wartości. Proponuję ugodę. Może pan zatrzymać pieniądze i wypić tyle wina, ile pan tylko chce, pod warunkiem że zwróci mi pan medalion... i zgodzi się odejść stąd nad ranem.

– Jak to się mówi: z całym dobrodziejstwem inwentarza?

– Cokolwiek pan przyniósł ze sobą, cokolwiek panu podarowałyśmy... może pan zabrać ze sobą, gdy będzie pan odchodził.

– Wszystko, co przyniosłem?

– Tak, oczywiście.

– A co z moją prawą nogą? Prawą nogę też mogę zabrać czy muszę zostawić ją tutaj?

– Nie ma sensu o tym dyskutować.

– Może dla pani nie ma sensu, *madam*. – Odwinął się i rzucił na wpół opróżnioną butelkę. Tym razem wino ochlapało moją siostrę, gdy szkło rozbiło się na ścianie.

– Dla pana również – odparła Martha z takim opanowaniem, na jakie tylko było ją stać. – To już skończona sprawa.

– Sprawa skończona, ale konsekwencje nie. Będą towarzyszyć mnie i pani do końca naszego życia.

– Niby jak miałyby mi towarzyszyć?

– Przekona się pani. Dowie się pani. Ale wracając do pierwszego warunku. Nie, nie oddam pani medalionu, a przynajmniej nie teraz. Chciałbym go na trochę zatrzymać, żeby nie zapomnieć, czym pani tak naprawdę jest.

– Co pan próbuje zasugerować?

– Uważam, że jest pani nienaturalną kobietą – rzekł McBurney, sięgając po kolejną butelkę i otwierając swoim zwykłym sposobem. – Myślę, że żywiła pani nienaturalne uczucia do swojego brata.

Wydawało mi się, że chce powiedzieć coś jeszcze, ale zmienił zdanie. Może zszokowały go jego własne pijackie słowa. Moja siostra z całą pewnością była wytrącona z równowagi. Nigdy nie widziałam jej w stanie równie bliskim omdlenia. Oczywiście wtedy ja sama już nie trzymałam się na nogach zbyt mocno.

– Ty bestio... – wycedziła wreszcie Martha bardzo cichym głosem. Świeca drżała w jej dłoni.

– Przepraszam – odparł McBurney, teraz próbując przywołać na twarz zawadiacki uśmiech. – Nie chciałem pani zdenerwować. Po prostu

zobaczyłem ten obrazek w medalionie.

– Ten medalion należał do mojej matki.

– Ale miała go pani u siebie w szufladzie razem z tymi wszystkimi listami od niego...

– Niech mi pan powie, co pan wyczytał z tych listów.

– Wie pani... wie pani – odrzekł on. – Wszystko o was dwojgu.

Pociągnął długi łyk wina, kalecząc wargę o ostry odłamek szkła, a następnie starł wino i krew rękawem. Był już wtedy bardzo pijany i jak przypuszczam nie do końca panował nad tym, co mówił. Miałam głęboką nadzieję, że Martha zda sobie z tego sprawę i nie będzie go słuchać. Chciałam się odezwać i jej to powiedzieć, ale uznałam, że może poczuć się zażenowana, jeśli odkryje, że podsłuchałam straszliwe oskarżenie McBurneya.

– Żądam, by mi pan wyznał, co pan wyczytał z tych listów – rozkazała Martha. – Te listy to absolutnie niewinne sprawozdanie z doświadczeń mojego brata na uniwersytecie. Jeśli znalazł w nich pan coś innego, domagam się, by wyznał mi pan, co to takiego.

– Ach, nieważne – odparł, teraz już szczerząc zęby w dzikim uśmiechu. – Cofam to wszystko. Tak tylko sobie żartowałem, żeby się z panią podrażnić. Proszę bardzo, niech pani sobie zabiera ten swój medalion.

Rzucił naszyjnik w jej stronę. Martha nawet nie spróbowała go złapać i pozwoliła, by upadł jej pod nogi.

– Pieniądze też bym pani oddał, gdybym je miał – dodał. – Proszę, dam pani za to coś innego. Chce pani?

Przez chwilę grzebał w ciemności obok siebie, aż w końcu podniósł ogromny wojskowy pistolet mojego ojca.

– I jeszcze to może pani sobie wziąć – dodał, wyciągając go w jej stronę, ale nie przypominam sobie teraz, czy trzymał go za lufę czy za rękojeść. Niewykluczone że zamknęłam oczy, bo tak się przeraziłam na widok broni.

– Proszę go zatrzymać – odparła moja siostra. – Może go pan jeszcze potrzebować.

Teraz wydaje mi się, że właśnie to powiedziała, ale z drugiej strony

niewykluczone, że nie słuchałam zbyt uważnie. W każdym razie bardzo wyraźnie pamiętam, co uczyniła w dalszej kolejności i słowa, które wypowiedziała. Uniosła stopę i uderzyła obcasem specjalnie w medalion, rozbijając go i trąc butem o posadzkę piwnicy.

– To też może pan zachować – rzekła, po czym wyciągnęła prawą rękę ze świecą przed siebie, a lewą zagarnęła spódnice i niespiesznie ruszyła w stronę schodów, gdzie się ukrywałam.

Wiem, że należało ujawnić swoją obecność natychmiast po zejściu do piwniczki, ale ponieważ tak nie uczyniłam, nawet przez myśl by mi nie przeszło zrobić to teraz i postawić moją siostrę w tak niezręcznej sytuacji. Albo, skoro już o tym mowa, postawić w niej McBurneya. Muszę przyznać, że nadal nie wiedziałam, co o nim myśleć, i wciąż byłam skłonna złożyć jego czyny na karb zrozumiałego gniewu zranionego, samotnego chłopca.

Ja w każdym razie prędko uciekłam z piwniczki, zanim Martha zdążyła podejść do schodów. Nie wydaje mi się, żeby powiedziała tamtej nocy coś jeszcze do kaprała McBurneya.

Jego ostatnie słowa skierowane do niej – a w każdym razie ostatnie, które słyszałam – brzmiały:

– Proszę, *madam*, niech się pani na mnie nie boczy. Doskonale o mnie tu pani dbała... przez większość czasu... i nie pragnąłem pani urazić.

Kiedy zaś ona nic nie odrzekła, jego ton znów nabrał szorstkości i kapral wykrzyknął coś, co w moim mniemaniu było niewybaczalne, nawet w jego stanie poważnego upojenia.

– Pewno, stara prukwo, idź sobie! Ale pilnuj, coby się nie potknąć, bo włosy pogubisz!

Powinnam wytłumaczyć tę uwagę, choć zawsze starałam się traktować tę sprawę bardzo dyskretnie, szczególnie w obecności naszych uczennic. Prosta prawda jest taka, że Martha utraciła wszystkie włosy wiele lat temu w wyniku gorączki i od tamtej pory musi nosić sztuczne. To była wielka tragedia w życiu mojej siostry. Chyba miała wtedy około dwudziestu lat i domyślałam się, że właśnie to najbardziej przyczyniło się do jej odizolowania od społeczeństwa. Patrząc na to z tej perspektywy, można by nawet powiedzieć, że przyczyniło

się to w głównej mierze do jej staropanieństwa i jednocześnie w konsekwencji także mojego. To jednak wymagałoby długich i szczegółowych wyjaśnień, a nie wydaje mi się, żeby była to kwestia istotna dla omawianego problemu.

W każdym razie kiedy Martha odzyskała już siły po ciężkiej gorączce, ojciec zabrał ją – w welonie i turbanie – do dyskretnego i znajdującego się nieco na uboczu miejsca w Richmond, gdzie urzędował słynny, utalentowany perukarz. Kiedy wrócili kilka tygodni później, Martha miała na głowie włosy, które można podziwiać do dziś. Sądzę, że przywiozła ze dwie peruki zapasowe, choć nigdy nie omawialiśmy tej kwestii. Nigdy w ogóle nie rozmawiałam z nią na ten temat. Roberta i mnie nawet nie było w domu tamtego lata jej choroby, gdyż wysłano nas do kuzynostwa w Roanoke, byśmy uniknęli zarażenia. Kiedy wróciliśmy do domu na Boże Narodzenie, ojciec wziął nas na bok i ostrzegł, byśmy nigdy nie poruszali tematu włosów Marthy.

Nawet teraz czasami zdarza mi się zapomnieć, że jej włosy nie są równie prawdziwe co moje. To bez wątpienia bardzo sprytnie wykonana peruka i z całą pewnością rozwiązanie o wiele praktyczniejsze niż naturalne włosy takie jak moje, które należy bez przerwy czesać i zajmować się nimi na różne sposoby, jeśli pragnie się utrzymać ich połysk. Domyślam się jednak, że peruki również wymagają trochę zachodu – należy je czyścić, naprawiać i dbać na inne sposoby – i zgaduję, że Martha wykonuje te czynności w swoim pokoju.

Cóż, nie wiedziałam, jak McBurney dowiedział się o nieszczęsnej przypadłości mojej siostry, ale miałam nadzieję, że kiedy nad ranem alkohol wywietrzeje mu z głowy, okaże się dżentelmenem i zachowa tę informację dla siebie. Postanowiłam nawet, że przy pierwszej okazji poproszę go o dyskrecję, powiedziawszy najpierw, że zauważyłam, jak przygląda się mojej siostrze, i doszłam do wniosku, że odkrył jej tajemnicę.

Mam z Marthą własne problemy, co dla wszystkich wokół jest z pewnością oczywiste, i czasami bardzo się na nią denerwuję, ale w tej sprawie akurat ma moje pełne współczucie i nigdy nie byłabym aż tak bez serca, by wykorzystać tę informację przeciwko niej, nawet w chwili największego gniewu.

Jak powiedział mi i Robertowi nasz ojciec: „Wygląd damy jest jej jedyną

bronią i nigdy nie wolno nam wyjawiać, że wiemy, iż jej ostrze się stępiło”. Oczywiście teraz wiem, że moja siostra ma też do dyspozycji inną broń, ale ojciec również nie był bez racji.

Tak czy inaczej zaczynałam już zgadzać się z Martha, że McBurney nie może zostać u nas dłużej niż to absolutnie konieczne. Jednak tamtej nocy próbowałam rozwiązać inny problem: jak przekonać moją siostrę, by pozwoliła mu zostać jeszcze kilka dni, aż jego noga zupełnie się zagoi i kapral nauczy się poruszać dość swobodnie o kulach. Miałam nadzieję, że Martha nie wyruszy natychmiast powiadomić o jego obecności wojska, jak zapowiadała. Wierzyłam, że kiedy nieco ochłonie, jej miłosierna natura weźmie górę i Martha postanowi dać panu McBurneyowi kilka dni na rekonwalescencję. Nad ranem rzeczywiście z początku wydawało mi się, że właśnie taką podjęła decyzję. Kiedy panienki i ja zeszyliśmy na dół – dodam, że żadna z podopiecznych nie ociągała się ani tego ranka, ani nigdy później po epizodzie z McBurneyem, i przynajmniej tę jedną rzecz można mu poczytać za zasługę – zastałyśmy moją siostrę w jadalni. Piła filiżankę kawy żołądziejowej, którą nasza Mattie wspaniale przyrządza, i nic w jej zachowaniu nie wskazywało, że ma za sobą niespokojną noc.

Chwilę wcześniej zajrzałam do bawialni, ale McBurneya tam nie było. W pokoju panował straszliwy rozgardiasz – wszędzie walały się przewrócone i połamane meble. Próbowałam samą siebie przekonać, że przecież niektóre przedmioty mogły ulec zniszczeniu przez przypadek, gdy McBurney potykał się i przewracał po konsumpcji tak wielkiej ilości wina. Ale przyjrząwszy się uważniej, dostrzegłam, że niektóre krzesła i stolik wyglądały, jakby zostały podniesione i ciśnięte na pewną odległość. Na tych meblach do dziś widnieją rysy i pęknięcia, wszystkie spowodowane działalnością pana McBurneya tamtej nocy.

Jak wspomniałam, zajrzałam do środka, ale nie weszłam do pokoju i pamiętając o przykazie mojej siostry, że wszystkie musimy unikać kontaktu z tym z młodym człowiekiem, nie pozwoliłam też żadnej z dziewcząt tam wchodzić. Mała Marie i Amelia oczywiście miały na to wielką ochotę, mimo że poinformowałam je, iż McBurneya nie ma nigdzie w zasięgu wzroku.

– Może skrył się za szafką w kącie albo siedzi między ścianą a klawesynem – zasugerowała panna Marie.

– Za mało tam miejsca – zaprotestowała panna Amelia. – A może schował się za zasłoną. Choć nie wydaje mi się, żeby kiedykolwiek chciał się tak przede mną chować.

– Miejsce jego pobytu nie jest zmartwieniem żadnej z was, ponieważ i tak nie wolno wam z nim rozmawiać – oznajmiłam. Następnie zaprowadziłam wszystkie panny do jadalni gdzie, jak już wspominałam, moja siostra piła poranną kawę.

– Młode damy mogą zająć się swoimi obowiązkami w ogrodzie – ogłosiła Martha. – Nie ma powodu do przerywania codziennych zajęć.

– Gdzie jest pan McBurney, siostrze? – zapytałam.

– Nie mam pojęcia – odparła, nie zmieniając wyrazu twarzy.

– Nie ma go w bawialni.

– W takim razie musi być gdzieś indziej, nieprawdaż?

– Może nadal jest w piwnicy.

– Co to znaczy „nadal”?

– Był tam wczoraj w nocy, prawda?

– Czyżby?

– Przecież słyszałyśmy, jak hałasuje, a później stwierdziłaś, że wydaje ci się, iż zszedł do piwnicy. – Znalazłam się w wyjątkowo niezręcznym położeniu, gdyż nie chciałam przyznać, że widziałam ich oboje na dole. – Czy przebywał w piwnicy, kiedy zeszłaś wczoraj na dół, Martho? – zaryzykowałam.

– Skąd wiesz, że zeszłam na dół?

– Słyszałam cię, siostrze. Czy jest coś złego w tym, że cię usłyszałam?

– Naprawdę nie widzę powodu, by kontynuować tę dyskusję – ucięła Martha i odwróciła wzrok.

Cóż, na jakiś czas postanowiłam zachować milczenie. Dziewczęta wyszły do ogrodu, jak im nakazano, a ja dołączyłam do Marthy i przez jakiś czas

siedziałyśmy przy stole w milczeniu. Później Mattie przyniosła mi filiżankę kawy żołądziejowej, a ja dalej siedziałam cicho i nie prowokowałam żadnych sprzeczek, jedynie popijając gorący napój.

Mattie również była tego poranka wyjątkowo przygaszona i oczywiście miała ku temu dobre powody. Opuściła dom, kiedy tylko pojawiły się pierwsze sygnały kłopotów z McBurneyem, i zgadłam, że spędziła noc w swojej starej izbie w budynkach służby, zamiast jak zwykle spać na polówce w kuchni. Nadal trzyma w części dla służby łóżko i korzysta z niego czasami, jeśli zdarzy jej się popaść w niełaskę u mojej siostry. Spodziewałam się więc, że będzie twierdzić, iż nie ma pojęcia o nocnych niepokojach.

– Mattie, czy może wiadomo ci, gdzie przebywa pan McBurney? – zapytałam.

Nic nie odpowiedziała, ale wyglądała na bardziej przerażoną niż wcześniej.

– Gdzie jest pan McBurney, Mattie? – powtórzyłam już surowszym tonem.

Tym razem też się nie odezwała, ale odwróciła się przez ramię i zerknęła w stronę drzwi prowadzących do kuchni. Podążyłam wzrokiem za jej spojrzeniem i ujrzałam go w progu, opartego na swoich domowej roboty kulach, z nieśmiałym uśmiechem na twarzy. Był porządnie ogolony, a długie i raczej nieporządne włosy przygładził wodą.

– Dzień dobry paniom – przywitał się. – Jak się panie miewają w ten piękny letni poranek?

– Nie najgorzej – odparłam. – A pan?

– Bardzo dobrze, dziękuję. Czy widzi pani, jak świetnie sobie teraz radzę z tymi sztachetami? – Zademontrował, kuśtykając nieco w głąb pokoju.

– Wspaniale panu idzie. – Nie byłam oczywiście gotowa zupełnie mu w tej chwili przebaczyć, ale nie widziałam powodu, by zachowywać się wobec niego nieuprzejmie.

– Wstałem dziś wcześniej – mówił lekko jak mały chłopiec – i wyszedłem do stodoły, żeby naprawić tę kulę, która się złamała, a potem nieco poprawiłem konstrukcję drugiej. Niewiele trzeba było poprawiać, wie pani. Panna Emily doskonale sobie poradziła. To bardzo miło z jej strony

i oczywiście wszystkich pań. – Kiedy to mówił, zerknął kątem oka na Marthę, ale ona go zignorowała i dalej piła swoją kawę. – Drogie panie, chciałbym przeprosić za wydarzenia wczorajszej nocy – ciągnął. – Zdaję sobie sprawę, że przeprosiny nie rozwiążą wszystkiego i na to nie liczę, ale gdyby tylko zechciały panie uznać to zajście za najniższy punkt, jakiego zdarzyło mi się w życiu sięgnąć – teraz, dzięki Bogu, mam to już za sobą – i uwierzyć, że od tej pory jestem gotów bez narzekania przyjmować każde szczęście czy nieszczęście, jakie ześle mi każdy nowy dzień, gdyby tylko zechciały panie tak na to wszystko spojrzeć, byłbym paniom za to dozgonnie wdzięczny.

Moja siostra nadal się nie odzywała ani nawet nie okazała żadnym gestem, że w ogóle zauważyła jego obecność.

Ja natomiast postanowiłam posłuchać głosu własnych uczuć, więc rzekłam stanowczo;

– Jestem gotowa przyjąć pańskie wytłumaczenie i przeprosiny.

– Och, niech Pan Bóg panią błogosławi, panno Harriet. Bardzo pani dziękuję, *madam*. – Oboje popatrzyliśmy na Marthę, ale utkwiła spojrzenie w przeciwległej ścianie. – A jeśli tylko zechciałyby panie dać mi jeszcze kilka dni, bym zdążył przyzwyczać się do tych kijków – ciągnął McBurney – już niedługo wyruszę w drogę i nie będę sprawiać paniom więcej kłopotów.

– Pańska prośba wydaje mi się dość rozsądna, choć muszę uczciwie przyznać, że przez większość pobytu sprawiał nam pan niewiele kłopotów. Zgodzisz się ze mną, Martho? – spytałam.

Teraz jednak ona postanowiła mnie też ignorować.

– To bardzo miłe, że postanowiła pani tak postąpić, *madam* – zauważył McBurney. – Wielu ludzi by tego nie zrobiło – dodał, znów zerkając na swą przeciwniczkę. – W każdym razie wiem, że narobiłem tu wiele szkód, zarówno paniom, jak i młodszym dziewczętom. Muszę przeprosić również je wszystkie. Cały ranek trzymałem się od nich z daleka, uznając, że najpierw muszę okazać skruchę i szacunek szanownym paniom, ale jeśli panie pozwolą, wyskoczę zaraz na zewnątrz i porozmawiam z dziewczętami.

– Nie ma pan na to pozwolenia – odezwała się spokojnie moja siostra, nadal patrząc na ścianę. – Poinstruowałam wszystkie młode damy, aby

w żaden sposób się z panem nie komunikowały.

Kapral zatrzymał się i przez chwilę na nią spoglądał, zanim w końcu odrzekł.

– Dobrze, *madam*. Jeśli tak właśnie ma być, to niech będzie. Może w takim razie przekaże im pani moje przeprosiny.

– Nie będę przekazywać im wiadomości od pana na żaden temat.

– Dobrze, *madam* – odparł, uśmiechając się żałośnie. – Niech będzie tak, jak pani sobie życzy.

– Co więcej, moja siostra zignorowała moje instrukcje. Życzyłam sobie, by ona również zastosowała się do nakazu. Od teraz nie będzie już miała panu nic do powiedzenia.

– Skoro tak sobie pani życzy, *madam* – odparł ponuro. – W takim razie nawet jeśli ona się do mnie odezwie, dołożę wszelkich starań, aby nie słuchać.

– Co więcej, chcę, by dziś do południa już tu pana nie było – ciągnęła Martha. – Teraz jest ósma. To daje panu cztery godziny na ćwiczenia chodzenia o kulach.

– A jeśli nie odejdę do południa?

– To sama wyjadę z domu i przywiozę ze sobą pierwszych ludzi, jakich uda mi się znaleźć: Jankesów czy konfederatów. Spodziewam się, że każdą ze stron da się przekonać, by pana zastrzelili pod takim czy innym zarzutem.

– Och, nie mam żadnych wątpliwości. Uwierzą we wszystko, co im pani powie na mój temat, jako że jest pani damą i w ogóle. Cóż, w takim razie może nie powinienem marnować aż czterech godzin na naukę chodzenia. Może należy zostawić sobie godzinę czy dwie na ucieczkę, by mieć dostateczną przewagę nad panią i pani dwukólką z konikiem. A czy teraz pozwoli mi pani zjeść śniadanie, bym mógł nabrać sił przed tak intensywnym treningiem?

– Mattie przygotowuje coś panu w kuchni – odparła Martha.

– Wolałbym zjeść tutaj. – Znów się uśmiechał, lecz nie widziałam w tym uśmiechu wesołości. – Bardzo bym chciał zostać obsłużony przy stole, w towarzystwie miłych pań.

– A ja mówię, że zje pan w kuchni albo nie będzie pan jadł w ogóle.

– Och, panno Martho – powiedział smutnym głosem, lecz nie zmieniając wyrazu twarzy. – To niezbyt gościnne traktować tak biednego chłopca w ostatni poranek jego pobytu.

– Nie mam panu nic więcej do powiedzenia, panie McBurney – oznajmiła moja siostra, znów wbijając wzrok w ścianę, i uniosła filiżankę z kawą.

W tym momencie on, wciąż sztywno uśmiechnięty, podrzucił prawą kulę w powietrze i chwycił za dolny koniec. Następnie uniósł ją wysoko i uderzył z całej siły, tłukąc porcelanową filiżankę z Limoges i rozbryzgując kawę na jej suknię i obrus.

– Proszę bardzo, *madam* – wyszeptał. – Nadal nie ma mi pani nic do powiedzenia? A może potrzebuje pani jeszcze jednego stuknięcia, żeby rozplątać język? Po zastanowieniu może jednak pójdę do kuchni i zjem z tą czarną. Chyba jednak wolę jej towarzystwo niż pani. Oczywiście pani, panno Harriet, to wszystko nie dotyczy. Pani i ja nadal jesteśmy przyjaciółmi. – Odwrócił się na kulach i pokuśtykał w stronę drzwi kuchennych. A kiedy już prawie wychodził, zatrzymał się i znów odwrócił do nas w progu. – Jeszcze jedno – oznajmił. – Nie odchodzę stąd dziś w południe. Właściwie to w ogóle nie zamierzam odchodzić, dopóki nie będę gotów. A w tej chwili nie potrafię ocenić, kiedy to nastąpi. Możliwe że niezbyt prędko. – Znów posłał nam ponury uśmiech, skłonił się lekko i wszedł do kuchni.

Mattie, która cały ten czas stała na uboczu – przerażona jego wybuchem – wyszła teraz ze swojego kąta i drżącymi rękami zaczęła wycierać stół serwetką.

– Panno Martho, co pani chce, żebym z nim zrobiła? – zapytała, choć głos jej się łamał.

– Podaj mu śniadanie i przynieś mi jeszcze jedną filiżankę kawy – odparła moja siostra.

Oddała Mattie uszko od stłuczonej filiżanki, które nadal trzymała w palcach.

– Jeszcze trochę i wszystkie będziemy mieszkać w stodole i jeść z jednej miski, jak ten chłopak dalej będzie miał przyzwolenie, by wszystko tłuc w tym domu – wymamrotała Mattie na odchodnym.

Cóż, mogłam tylko podziwiać opanowanie mojej siostry. Na śmierć przeraża mnie jakakolwiek przemoc, zwłaszcza jeśli wydarza się niespodziewanie, ale myślę, że cały sufit mógłby spaść na stół w jadalni, a moja siostra nadal nie straciłaby nad sobą kontroli – chyba że chciałaby okazać zdenerwowanie. Nigdy nie widziałam nikogo, kto tak jak moja siostra potrafiłby powściągać swoje emocje, przez co osoba nieznajoma mogłaby pomyśleć, że Martha w ogóle nie posiada żadnych uczuć, ale to oczywiście nieprawda. Muszę powiedzieć, że w tamtej konkretnej sytuacji prawdopodobnie czuła wściekłość, ale nie pozwoliła sobie tego okazać niczym więcej jak tylko nieznacznym drżeniem dłoni spoczywającej na stole i nieco ciaśniej niż zwykle ściągniętymi wargami.

– Ten chłopiec jest niezdrów – powiedziałam, kiedy wreszcie zdołałam wykrztusić jakieś słowo. – Taki temperament jest daleki od normalności.

– Uważasz, że oszalał? – zapytała Martha. – Nie zgadzam się. Jest odpowiedzialny za swoje czyny w takim samym stopniu jak każda z nas. Nie zasłoni się taką wymówką.

– Zamierzasz wyjść teraz z domu i poszukać żołnierzy, jak zapowiadałaś?

– Jeszcze nie. Obawiałabym się zostawiać was z nim bez opieki. Prawdopodobnie ma pistolet ojca i wszystkie noże, jakie trzymałyśmy w domu.

Oczywiście doskonale wiedziałam o pistolecie ojca, gdyż widziałam go poprzedniej nocy, ale nie wspomniałam o tym Marcie. Zamiast tego powiedziałam tylko:

– Nie wydaje mi się, żeby nam się naprzykrzał, jeśli zostawimy go w spokoju.

– A jak opisałybyś to, co zrobił przed chwilą? – odparła ostro Martha. – Chcesz mi powiedzieć, że atak drągiem to według ciebie przyjazne zachowanie? A nawet gdyby zostawił nas w spokoju, jeśli go zignorujemy, jak długo twoim zdaniem można stosować taką politykę? Czy możemy bezpiecznie i skutecznie prowadzić szkołę, mając tu takiego człowieka?

– Nie, nie wydaje mi się, siostró – przyznałam. – Co w takim razie zamierzasz z tym zrobić?

– Nie wiem. Muszę się nad tym zastanowić... Muszę się nad tym poważnie zastanowić.

– Może za kilka dni przyjdzie jeszcze jakiś oddział żołnierzy, jak ta grupa, która zatrzymała się tutaj kilka tygodni temu.

– To mało prawdopodobne. Według pana Pottera nie ma tu już w pobliżu naszych żołnierzy. Powiedział też, że już od ponad tygodnia nie widział żadnej kawalerii.

– Nie wspomniałaś panu Potterowi o McBurneyu, prawda, siostrze?

– Nie, i teraz tego żałuję. Gdyby ktokolwiek z zewnątrz wiedział o jego obecności w naszym domu, wszczęto by dochodzenie w tej sprawie, zwłaszcza gdyby nie dochodziły od nas żadne wieści przez kilka dni.

– Ależ Martho, może nie będzie tak źle – zaprotestowałam. – Nie jesteśmy tu jeszcze uwięzione, prawda? McBurney zapowiedział jedynie, że nie odejdzie. Nie groził, że będzie próbował nas tu przetrzymać siłą.

– Ale zaatakował mnie, kiedy zagroziłam, że poślę po pomoc, nie zauważyłaś? To chyba dostateczny dowód, że nie zamierza mi pozwolić na coś podobnego.

– Cóż, siostrze, na pewno warto spróbować. Włóż wyjściową suknię, ja zaprzęgnę Dolly do dwukółki, a potem obie przejedziemy się do końca drogi i sprawdzimy, czy będzie chciał nas powstrzymać – zasugerowałam.

– Nie – ucięła Martha. – Nie dzisiaj.

– W takim razie ja tu z nim zostanę i spróbuję przemówić mu do rozsądku, a ty jedź po pomoc. Potraktuję go przyjaźnie i rozważnie – nie boję się – i założę się, że nawet nie zauważy twojego odjazdu.

Wtedy naprawdę się go nie bałam. Mimo że jego okropne zachowanie mnie oburzyło, moją intencją – gdyby tylko udało mi się wysłać Marthę z domu – było przekonać go, aby natychmiast opuścił naszą szkołę. Spróbowałabym odesłać go z powrotem do lasu, tam skąd przyszedł, by uniknął żołnierzy, których mogłaby posłać za nim Martha. Myślałam, że kiedy pościg się skończy, pan McBurney sam znalazłby drogę powrotną do swoich oddziałów. Ale to rozwiązanie nie miało szans.

– Nie – oznajmiła Martha. – Nie będę ryzykować i nie zostawię cię tu samej z dziewczętami, a w każdym razie nie teraz.

– Naprawdę nie wydaje mi się, żeby on któraś z nas skrzywdził, Martho.

– Może i nie, ale to zbyt wielkie ryzyko. Zbyt dobrze cię znam, Harriet. Nie powstrzymałabyś go w krytycznej sytuacji. Pewnie po prostu zamknęłabyś się w pokoju, zasłaniając się bólem głowy, gdyby on zrobił się agresywny. Pan Bóg raczej wie, co mogłoby się wtedy wydarzyć.

– Proszę, Martho... Możesz mi zaufać.

– Powiedziałam „nie”! – Krzyknęła moja siostra, a po chwili dodała: – Może chciałabyś w tej chwili stąd wyjść i sama udać się po pomoc. Jeśli chcesz to zrobić, nie mam nic przeciwko. Jestem pewna, że będziesz w stanie wsiąść na dwukółkę, kilka razy uderzyć Dolly lejcami i wyjechać na drogę, zanim McBurney zdąży wystrzelić w twoją stronę. Pistolet ojca nigdy nie był dokładny, z żadnej odległości. Więc jak, Harriet, zamierzasz jechać po pomoc? Masz na to moje pozwolenie.

Martha oczywiście wiedziała, że nigdzie nie pojedę. Zdawała sobie sprawę, że jestem przeciwna – a przynajmniej wtedy byłam – pomysłowi wydania go armii, czy to jego własnej, czy naszej. Ale naturalnie Martha nie zamierzała w ten sposób interpretować mojej odmowy. Pragnęła widzieć ją jedynie jako kolejny znak słabości mojego charakteru.

– Martho, naprawdę myślę, że wszystko będzie dobrze, jeśli tylko zachowamy spokój i spróbujemy porozmawiać z nim rozsądnie.

– Jesteś głupia i z każdym dniem twoja głupota się pogłębia – poinformowała mnie moja droga siostra.

– Może masz rację, Martho – odparłam. – Wiem, że czasami o wiele łatwiej być głupim niż mądrym. Skoro nalegasz. Teraz jestem gotowa zrzec się całej odpowiedzialności w tej sprawie.

– Nigdy nie ponosiłaś żadnej odpowiedzialności, żeby mieć czego się zrzekać.

– Jest tak, jak mówisz, Martho. Może to oznaka twojej odwagi, że postanawiasz teraz czekać i nic nie robić. Może sytuacja poprawi się

z czasem, jeśli po prostu trochę posiedzisz i nad tym pomyślisz.

– Cisza, cisza! – wrzasnęła Martha i z taką siłą uderzyła zamkniętą dłonią w stół, że stłukła drugą filizankę z Limoges, którą Mattie dopiero co jej przyniosła.

– Tak, siostró – odparłam z wielką cierpliwością. – Jak zawsze, zrobię wszystko, co mi każesz.

I z ręką na sercu muszę przyznać, że miałam nadzieję, iż sytuacja rzeczywiście się poprawi, jeśli nie zrobimy nic, by ją pogorszyć. „Gdyby tylko McBurney i moja siostra nauczyli się trzymać swoje emocje na wodzy, może udałoby się nam odzyskać stan względnej harmonii”, pomyślałam. Nie traktowałam wtedy McBurneya jak złego człowieka. Uważałam, że ma temperament i jest impulsywny, ale gdyby nas wszystkich czekało potępienie za takie wady charakteru, moja siostra już dawno zostałaby skazana na ogień piekielny.

Po chwili jednak zrobiło mi się jej nieco żal, że została zmuszona sama dźwigać taki ciężar.

– Siostró, mam nadzieję, że nie pomyślałaś, iż biorę jego stronę przeciwko tobie – zapewniłam. – Nie chciałabym, abyś wysnuła taki wniosek na podstawie jego ostatniej uwagi o tym, że nadal jesteśmy przyjaciółmi.

– Nieważne, co on myśli o tobie – rzekła Martha. – Ważne, co ty myślisz o nim.

– Cóż, naturalnie nie mogłabym myśleć o nim zbyt dobrze po tym, co właśnie zrobił.

– On jest też zdolny do rzeczy o wiele gorszych – odparła nieco cieplejszym tonem. – Zobaczysz, siostró, jeszcze zobaczysz.

I miała rację. To był początek okresu, który ktoś nazwał naszymi „rządami terroru”. Nie pamiętam, kto wymyślił to określenie – może Emily lub Edwina, a może nawet sama Martha, choć jestem pewna, że żadna z nich nie była wtedy tak przerażona jak ja. Najdziwniejsze jednak że – jak zauważyła Martha – gdyby odwiedził nas wtedy w domu ktoś nieznajomy, może nawet nie dostrzegłby nic niezwykłego w zachowaniu pana McBurneya czy

którejkolwiek z nas, przynajmniej nie publicznie, a zwłaszcza podczas pierwszych kilku dni po tym, jak wypowiedział nam wojnę.

Jego pierwszym uderzeniem w tym starciu była decyzja, by na wszelkie możliwe sposoby omijać rozkaz mojej siostry i nadal utrzymywać kontakty z podopiecznymi szkoły. Szukał towarzystwa dziewcząt i próbował zająć je rozmową przy każdej nadarzającej się okazji. Wprawdzie z początku niektóre próbowały go unikać – choć niezbyt się starając – ale prędko okazało się, że w miejscu tak ciasnym i niewielkim nie jest to możliwe.

Z początku prowadziłyśmy zajęcia tak jak zwykle, a on nie próbował nam przerywać. Myślę, że większość pierwszego dnia poświęcił na naprawę i usprawnienie swoich kul, choć później tego ranka, między jedną lekcją a drugą, słyszałam, jak śmieje się i żartuje z uczennicami w ogródku. Raz z Alice, a później z Marie i Amelią. Po południu Martha zwołała dziewczęta i udzieliła im reprimendy, ale jestem pewna, że nawet ona wtedy zaczynała rozumieć, że jej słowa idą na marne. Nakazy sprzeczne z naturalnymi skłonnościami młodych dziewcząt – stworzeń przyjaznych i ciekawych – są niemożliwe do wyegzekwowania. Jeśli McBurney chciał z nimi żartować, one się śmiały, a gdy się z nimi droczył, reagowały na zaczepki i żadne prawo ustanowione przez Marthę nie mogło tego powstrzymać.

Drugim manewrem taktycznym McBurneya była decyzja powzięta jeszcze tego samego dnia, że od tej pory znów będzie jadać z nami posiłki – i wyglądało na to, że nie możemy go w żaden sposób powstrzymać. Tamtego wieczoru odczekał, aż wszystkie zasiądziemy do stołu, po czym przykuśtykał na kulach do jadalni, świeżo umyty i uczesany tak jak nad ranem, odsunął krzesło i usiadł, uśmiechając się i kiwając nam wesoło głową. Wydawało się, że chce nam powiedzieć: jeśli zamierzacie nadal spożywać posiłki wspólnie, musicie robić to ze mną, bo i tak mnie nie powstrzymacie.

Martha uświadomiła to sobie równie prędko jak cała reszta, ale naturalnie nie zamierzała się do tego przyznawać, zwłaszcza przed nim. Jednocześnie nie chciała dać mu kolejnej okazji do podważania jej autorytetu w obecności dziewcząt. Kiedy więc kapral poprosił Mattie – dość uprzejmie – by przyniosła mu nakrycie, Martha wbiła wzrok we własny talerz i nawet nie

spojrzała na Mattie czekając na jej decyzję.

– Tak, możesz go obsłużyć, Mattie – odezwałam się w końcu. Wydawało mi się, że jeśli sytuacja jest beznadziejna, lepiej zaakceptować ją, zachowując resztki godności, choć w duchu spodziewałam się, że moja siostra wybuchnie gniewem. Ale nic takiego się nie wydarzyło. Martha po prostu poświęciła całą uwagę jedzeniu i nie brała udziału w późniejszej konwersacji przy stole.

Cóż, McBurney miał tamtego wieczoru niewiele do powiedzenia. Jak już wspominałam, wtedy był jeszcze dla nas niezwykle uprzejmy – może nawet nieco za bardzo, jakby z nas szydził. W szerszym gronie utrzymywał tę maskę uprzejmości nawet później. Wtedy przy kolacji nie próbował jednak korzystać zbyt ostentacyjnie ze swojej przewagi, a uczennice nie reagowały na szczęście zbyt entuzjastycznie, gdy wygłaszał uwagi o przyjemnej pogodzie (cały dzień co chwilę padał deszcz) i przepysznym posiłku (pamiętam, że tamtego wieczoru Mattie przypaliła sucharki).

Ale później już nawet nie próbował odgrywać dżentelmena podczas osobistych i prywatnych kontaktów z nami. Ja sama mogłabym przywołać liczne dowody jego zmiany zachowania i wspomnę o tym za chwilę. Inne mieszkanki młodsze i starsze mogą przedstawić podobne świadectwo. Nie nawiązuję tu nawet do incydentu w piwnicy, który opisałam przed chwilą, kiedy on rzucał mojej siostrze w twarz te okropne pijackie oszczerstwa. Takie zachowanie mogłoby nawet zostać pущzone w niepamięć ze względu na jego ówczesny stan, ale jak czytelnik prędko się zorientuje, kaprał dopuścił się całego mnóstwa innych aktów brutalności, będąc najzupełniej trzeźwy.

Później ogłosił też raz czy dwa publicznie, że nie pozwoli żadnej z nas opuścić terenu szkoły. Nic takiego nie mówił pierwszego dnia swojego buntu, przyznaję, ale na pewno powiedział to później. Raz oznajmił to w obecności Alice i Emily, a za drugim razem, jak mi się wydaje, przy Emily i Marie. Nie przypominam sobie wszak teraz, czy groził też wtedy zadaniem komukolwiek fizycznych obrażeń. Gdyby tak jednak było, niewątpliwie zostałyby to zgłoszone podczas małego dochodzenia, które przeprowadziłyśmy tu dwa tygodnie temu i znalazłoby się w raporcie, który sporządziłam. Jestem jednak pewna, że werbalne groźby przemocy zostały w pewnym momencie

wygłoszone, choć niekoniecznie akurat w tamtej sytuacji. Dwukrotnie zdarzyło się w mojej obecności, że wykonał milczący, acz jednoznaczny gest naśladujący strzelanie, posługując się pistoletem mojego ojca. Raz zrobił to przy stole w jadalni, a drugim razem podczas lekcji języka francuskiego, którą prowadziłam. Za pierwszym razem wszedł do jadalni z pistoletem za pasem, a następnie wygłosił udawane przeprosiny, tłumacząc, że czyścił broń na ławce pod pergolą różaną i nie chciał zostawiać tam pistoletu gdyż obawiał się, że mógłby zająć rdzą od wieczornej rosy.

– Albo że któryś z pańskich wrogów go tam znajdzie – zauważyła złośliwie Marie Deveraux, lecz on tylko uśmiechnął się szeroko i nie skomentował jej uwagi.

Druga sytuacja wydarzyła się dzień lub dwa później, kiedy mijał otwarte drzwi do biblioteki, trzymając pistolet w prawej dłoni razem z kulą. Zatrzymał się i wykrzyknął:

– *Oui, oui*, moje śliczne *mademoiselles*... Uczcie się tych swoich parlewu, ale nie zapominajcie o biednym sponiewieranym Irlandczyku. – Następnie dodał jeszcze coś o czyszczeniu pistoletu, ale nie usłyszałam dokładnie, bo zamknęłam drzwi.

Może dałoby się uznać, że w obu sytuacjach kapral nosił przy sobie pistolet dla żartu i nie chciał zrobić nikomu krzywdy – może to prawda. Zawsze należałam do najzagorzalszych obrończyń McBurneya i jestem gotowa uwierzyć, że jedynie się z nami wtedy drażnił. Można powiedzieć, że pistolet nie był naładowany albo że kapral działał wtedy pod wpływem alkoholu. I znów oba te stwierdzenia mogłyby okazać się prawdziwe. Żadne wytłumaczenie nie zdoła jednak osłabić szoku i przerażenia, które wszystkie obecne odczuwały w tych sytuacjach. Żadne wyjaśnienie nie usprawiedliwi codziennej dezorganizacji naszego życia spowodowanej albo incydentami, albo obawą, że kolejny poważny wypadek może nastąpić w każdej chwili.

Tak czy inaczej McBurney nadal bardzo dużo pił, i choć początkowo odczuwałam w tej kwestii dla niego nieco zrozumienia, po pewnym czasie moja cierpliwość zaczęła się kurczyć. Początkowo myślałam, że zapas wina niedługo się wyczerpie, i choć mnie to irytowało, miałam przynajmniej

nadzieję, że wtedy problem McBurneya złagodnieje, a może i całkiem zniknie. Jeśli jego nieustępliwość wynikała z nadmiaru wina, to byłam pewna, że skończy się to po osuszeniu ostatniej butelki. Okazało się jednak, że albo w piwnicy zgromadziłyśmy więcej wina, niż mi się początkowo wydawało, albo McBurney był niedoświadczony w jego konsumpcji.

Ale teraz przejdę do moich osobistych trudności z panem McBurneyem, które sprawiły, że uszło ze mnie całe współczucie, które żywiłam dla niego wcześniej.

Problemy pojawiły się trzy albo cztery dni po jego pierwszej konfrontacji z Marthą. Przez ten czas ona nie zrobiła nic, by narzucać mu swój autorytet, jednak na osobności nadal mi powtarzała, że obawia się zostawiać nas z nim same na czas potrzebny do znalezienia pomocy poza szkołą. Ja nadal pragnęłam zminimalizować nasze zagrożenie i próbowałam zapewniać ją, że sobie z nim poradzę. Moja odwaga miała jednak zostać poddana próbie, a moje uczucia do naszego gościa już wkrótce bardzo radykalnie się zmieniły.

Po południu tamtego dnia, kiedy doszło do incydentu, przebywałam sama w mojej sypialni na pierwszym piętrze. Martha prowadziła w bibliotece lekcję historii Anglii albo może w bawialni, ponieważ to tam zazwyczaj odbywają się te zajęcia, a jako że McBurney i tak kręcił się już wtedy po całym domu, zaczęłyśmy z powrotem prowadzić lekcje tam, gdzie dawniej. Leżałam więc w łóżku, gdyż odczuwałam lekki ból głowy, kiedy usłyszałam miarowe stukanie jego kul i domyśliłam się, że wchodzi powoli po schodach. Usiadłam, natychmiast uświadomiwszy sobie, kto nadchodzi i dokąd się kieruje, gdyż tylko ja przebywałam wtedy na piętrze. Serce zamarło mi w piersi i siedziałam tak bez ruchu, czekając, aż dotrze do moich drzwi.

Kiedy zapukał po raz pierwszy, nie mogłam się zmusić, żeby otworzyć. Zapukał raz jeszcze i zapytał cicho:

– Panno Harriet, czy jest pani tam? Czy mógłbym z panią chwilę porozmawiać, *madam*?

Jego ton był tak samo łagodny jak zawsze w rozmowach ze mną. Brzmiało to jak prośba, a nie jak żądanie. Uznałam, że przecież reszta domowniczek w każdej chwili może przybyć mi na pomoc. Wstałam więc z ociąganiem

i podeszłam do drzwi. Nie zaryglowałam ich po wejściu do sypialni, więc to również zmuszało mnie do działania.

– Czego pan chce? – zapytałam tak stanowczo, jak tylko potrafiłam.

– To tylko mała prywatna sprawa, panno Harriet – wyszeptał po swojej stronie drzwi. – Czy wysłucha mnie pani? Tylko pani może mi pomóc. – Zamilkł na chwilę, po czym dodał: – Pani jest tutaj moją jedyną przyjaciółką, panno Harriet.

Oczywiście nie mogłam się z tym zgodzić – że jestem jego jedyną przyjaciółką albo skoro już o tym mowa, że w ogóle jestem jego przyjaciółką – ale jego słowa w żadnym razie nie brzmiały, jakby pochodziły od osoby skłonnej do zastosowania przemocy, więc uchyliłam lekko drzwi.

– To moja sypialnia – oznajmiłam.

– Owszem, *madam*, zdaję sobie z tego sprawę – przytaknął. – Ale ma pani tutaj też salonik, prawda?

– Salonik przylega do sypialni – wyjaśniłam. – Proszę podejść do drzwi obok.

Przeszłam do saloniku, otworzyłam drzwi i czekałam, aż pokona ten fragment korytarza. Kiedy przykuśtykał do drzwi, odsunęłam się na bok i pozwoliłam mu wejść do środka.

– Dziękuję, panno Harriet – powiedział z uśmiechem. – Wiedziałem, że mogę na panią liczyć.

– Nie byłabym tego taka pewna – odparłam. – To zależy, czego pan ode mnie oczekuje.

– Tylko nieco dobrej woli, *madam*, to wszystko, choć przypuszczam, że dałaby mi to pani nawet bez prośzenia. – Przerwał, wyraźnie czekając, aż usiądę, ale ja nie chciałam tego robić. Miałam nadzieję, że uda mi się jak najszybciej zakończyć tę rozmowę.

– Cały świat ma do dyspozycji moją dobrą wolę – oznajmiłam. – Nie czuję nienawiści ani nawet silnej niechęci do żadnej żywej istoty, nawet do tych, które są mi wrogie. Choć muszę przyznać, że nie w każdym towarzystwie mam odwagę wygłaszać takie oświadczenia.

– Och, ma pani mnóstwo odwagi, *madam* – zapewnił. – Jestem pewien, że w tym drobnym, delikatnym ciele kryje się dobre, silne serce.

– Jeśli nie ma pan nic przeciwko, wolałabym nie dyskutować z panem o moich przymiotach cielesnych ani duchowych, skoro już o tym mowa – uciełam.

– Ależ nie zamierzałem o tym z panią dyskutować. – Uśmiechnął się. – Stwierdzam fakty. Chciałem tylko powiedzieć, że ma pani w sobie dobrą, silną wolę, dzięki której potrafi pani dokonać wszystkiego, co tylko pani sobie postanowi. Niektórzy mogą dać się zwieść pani pozornej płocności, ale nie ja. Wiem, jaka jest pani naprawdę, panno Harriet, i podziwiam panią za to. Panno Harriet, niech mi pani pomoże.

– W czym miałabym panu pomóc?

– Zostać tutaj. To wszystko. Chciałbym tu zostać jeszcze jakiś czas.

– Wydaje mi się, że świetnie pan sobie z tym radzi bez niczyjej pomocy.

– Ale wiem, że to nie potrwa długo. Bez pozwolenia jej królewskiej wysokości – bez obrazy, *madam* – mój pobyt prędko dobiegnie końca. Nie przeszkadza mi przyznać to przed panią, panno Harriet. Nigdy nie zostałem w miejscu, w którym jestem niemile widziany. Proszę panią tylko, *madam*, by szepnęła pani swojej siostrze dobre słowo i pomogła jej zmienić zdanie na mój temat. Wcale nie jestem złym człowiekiem, panno Harriet.

– Absolutnie w to nie wątpię – odparłam. – Jak również w to, że i moja siostra to wie, lecz mimo to gniewa się na pana i obawiam się, że nieprędko panu wybaczy.

– Ale może gdyby pani ją o to poprosiła? Gdyby jej to pani powtarzała, może w końcu udałoby się pani ją przekonać, że naprawdę żałuję i nigdy nie chciałem uczynić krzywdy ani jej, ani żadnej z pań. Wtedy może wszystko znów byłoby jak dawniej. Z nawiązką odpłaciłbym za jedzenie pracą, jaką mógłbym tu dla pań wykonać. Mam dwie sprawne ręce i silne plecy, no i całkiem nieźle już sobie radzę na tych dwóch kijkach. Prędko wszystkiego się potrafię nauczyć, jeśli tylko się do tego przyłożę. Wystarczy mi coś raz powiedzieć albo pokazać, a potem może już pani o tym zapomnieć, cokolwiek by to było: rąbanie drewna, przycinanie żywopłotów, sadzenie kukurydzy czy

malowanie płotów – wszystkie takie rzeczy potrafię zrobić, cokolwiek. Trzeba przybić luźną deskę, naprawić zegar, wykopać studnię? Z każdym takim zadaniem sobie poradzę. Nie mówię, że chciałbym tu zostać na zawsze, może na rok, a potem moglibyśmy jeszcze raz przyjrzeć się całej sytuacji i zobaczyć, jak nam to wyszło, czy zrobiłem wszystko, czego panie ode mnie oczekiwały, czy wypłaciłem się za swój wikt i opierunek. Może mógłbym zostać tylko do końca wojny, a potem byśmy się zastanowili, co dalej, jak pani uważa, panno Harriet? Pomoże mi pani, panno Harriet? Poprosi ją pani, by pozwoliła mi tu zostać?

– Wydaje mi się, że właśnie to robi.

– Wolałbym od niej usłyszeć, że jestem tu mile widziany. Chciałbym, żeby znów była mi przyjazna i ze mną rozmawiała, i żeby pozwoliła dziewczętom ze mną rozmawiać. Czy mogłaby ją pani o to poprosić, *madam*?

– Obawiam się, że nie spełniłaby takiej prośby, bez względu na to, czy pochodziłaby ode mnie, czy kogokolwiek innego.

– Gdyby powiedziała jej pani, że tego pani chce, że chciałaby pani, abym tu został.

– Nie jestem pewna, czy dziś to nadal jest prawda – odparłam stanowczo.

– Ach, panno Harriet – rzekł, przybierając wielce wstrząśnięty wyraz twarzy. – Na pewno nie mówi pani poważnie. Liczyłem na panią. Byłem pewien, że pani jedna zawsze będzie stać po mojej stronie.

– A skąd taki pomysł?

– Chyba stąd, że jesteśmy tak podobni, pani i ja. Sama to pani kiedyś przyznała.

– Czyżby? Kiedy?

– Cóż, może to ja to powiedziałem, ale jestem przekonany, że pani się z tym zgodziła. Uznaliśmy, że jesteśmy podobni, bo cenimy sobie te same rzeczy, pamięta pani... Subtelną poezję i dobre wino, różne takie wyrefinowane rzeczy.

– A kto panu doniósł, że mam słabość do wina, panie McBurney?

– Jak to, pani sama to wyznała... nie przypomina sobie pani?

– Jeśli rzeczywiście mówiłam coś takiego, to musiałam chwilowo postradać zmysły. Dama raczej nie powiedziałaby, że ma skłonność do picia wina.

– Och, proszę się nie obruszać, panno Harriet – zaprotestował mój gość. – Wcale nie o to mi chodziło. Chciałem tylko przez to powiedzieć, że potrafi pani docenić dobre wino, że potrafi pani odróżnić dobre od kiepskiego.

– I domyślałam się, że zdobyłam tę wiedzę poprzez intensywną konsumpcję?

– Nie, nie...

– Zbyt niemrawo pan zaprzecza, panie McBurney. A co do drugiej pasji, która według pana jest nam obojgu bliska. Czy rzeczywiście jest pan tak zainteresowany poezją?

– Och, tak, już wcześniej pani o tym opowiadałem... Szekspir i tak dalej.

– Rzeczywiście, teraz sobie przypominam. Wyrecytował pan sonet sto szesnasty i wyznał mi pan, że czytał pan dzieła Szekspira wielokrotnie w dzieciństwie. A później któregoś wieczoru przy kolacji opowiedział nam pan historię Makbeta, dodam, że w sposób wielce zabawny.

– Dziękuję, panno Harriet. To jedna z moich ulubionych.

– A inna, panie McBurney?

– Jaka inna, *madam*?

– Użył pan liczby mnogiej. Jaką jeszcze sztukę Szekspira lubi pan szczególnie?

– Och, wszystkie bardzo sobie cenię. Czasami trudno wybrać, wie pani?

– Proszę wymienić jeszcze jedną, poza *Makbetem*.

– Niech pomyślę... tyle ich było...

– Może *Volpone*... Albo *Tragiczne dzieje doktora Fausta*?

– Tak, te są bardzo dobre.

– Pierwszą napisał Ben Johnson, a drugą Christopher Marlowe. Jeśli nie jest pan w stanie wymienić żadnej innej sztuki Szekspira, to może mógłby pan wyrecytować dla mnie jeszcze któryś sonet.

– Tylko ten jeden zapadł mi w pamięć.

- Więc proszę jeszcze raz go wydeklamować.
- Zaraz, jak to było?
- „Kłamią me dawniej napisane wiersze... Iżbym cię nigdy nie mógł kochać więcej”^[6].
- Właśnie tak.
- „Nie znałem przyczyn, przeczby w fale szersze nie miał się rozlać ten mój blask jarzący”.
- Proszę mówić dalej, *madam*, świetnie pani idzie.
- Dziękuję. Oczywiście to był sonet sto piętnasty, nie sto szesnasty. Obawiam się, że jest pan szarlatanem, panie McBurney. Myślę, że natrafił pan na egzemplarz dzieł Szekspira w naszej bawialni – jedna z podopiecznych poinformowała mnie, że na jakiś czas zniknęła z półki w bibliotece – i przeczytał pan *Makbeta* oraz nauczył się jednego sonetu, zatrzymał go pan w pamięci na dzień czy dwa, a teraz zdążył pan już zapomnieć.
- Ale po cóż miałbym robić coś takiego, panno Harriet?
- Może pan mi to powie, panie McBurney. Tylko pan to wie. Ja mogę jedynie zgadywać, że chciał się pan pokazać w świetle, które będzie w naszych oczach najbardziej atrakcyjne, a już zwłaszcza w moich.
- Dlaczego zwłaszcza w pani oczach, *madam*? – zapytał, nie ruszając się z miejsca. Był uśmiechnięty i ani trochę nie zawstydzony. Przyznam wręcz, że to ja teraz zaczynałam odczuwać zażenowanie.
- Cóż, może nie próbował pan wkraść się w moje łaski bardziej niż w kontaktach z pozostałymi – powiedziałam.
- Och, Boże drogi, jeśli mam być z panią szczery, panno Harriet, to właśnie na tym mi zależało. Wszystko to uczyniłem specjalnie dla pani. Przyznaję pani rację, *madam*. Przed wizytą w waszej bawialni pewnie rzekłbym, że Szekspir to jakiś nerwowy Indianin, gdyby poprosiła mnie pani o zidentyfikowanie tego dżentelmena. Sam fakt, że był Anglikiem, wystarczyłby, żeby nie czytać go przy irlandzkich kominkach, a poza tym mamy lepszych własnych poetów. Ale tak czy inaczej zrobiłem to, by pomyślała pani, że odebrałem jakieś wykształcenie. Znalazłem książkę, przeczytałem sztukę i kilka wierszy, a potem

wybrałem jeden i się go nauczyłem. Bo tak bardzo pragnąłem, by mnie pani polubiła.

– Miałabym dla pana o wiele więcej sympatii, gdyby nie próbował mnie pan oszukiwać – poinformowałam.

– Teraz zdaję sobie z tego sprawę – odparł z powagą. – I przysięgam, że już nigdy nie zrobię nic podobnego. Więcej, przeczytam teraz wszystkie te sztuki i wiersze Szekspira i wszystkie inne dobre książki, jakie są w tym domu. Proszę mi tylko dać miesiąc albo dwa i sama pani zobaczy, jakiej nabiorę ogłady. Może nawet znalazłaby pani od czasu do czasu godzinkę albo dwie, żeby mi nieco pomóc, tylko tyle, bym wiedział, które książki najpilniej czytać, wie pani. Oczywiście wszystko mogę zapamiętać, ale to prawda, że nie zawsze wszystko rozumiem. W tym najbardziej mogłaby mi pani pomóc, gdyby mi pani to wszystko wytłumaczyła. Och, będę pani najlepszym uczniem, panno Harriet. Będzie pani ze mnie niebywale dumna.

– Dlaczego tak panu zależy, bym pana lubiła i była z pana dumna? – spytałam.

– Bo żywię do pani ogromną sympatię. A właściwie to powinienem powiedzieć, że panią kocham.

Mówiąc to, wpatrywał się we mnie nieruchomym spojrzeniem, nie okazując ani cienia wahania, tak obojętnie, jakbyśmy rozmawiali o pogodzie albo o stanie roślin w ogródku. Chyba nie muszę dodawać, że moja reakcja nie była równie spokojna jak jego oświadczenie.

– Sądzę, że powinien pan teraz udać się na dół, panie McBurney. – To pierwsze słowa, jakie zdołałam wykrztusić.

– Uraziłem panią? – Chciał wiedzieć McBurney.

– Jestem wstrząśnięta pańską deklaracją – odparłam.

– Och, w takim razie nie jest tak źle – ocenił z wielką pewnością siebie. – Mogłem się spodziewać, że będzie pani nieco zszokowana moim wyznaniem, jako że tyle czasu tu jestem i nigdy dotąd o tym nie wspominałem. Nie przeszkadza mi, że jest pani trochę zdenerwowana, o ile nie czuje się pani obrażona.

– Nie czuję się obrażona, ale proszę już odejść.

– Rozumiem, że nie odwzajemnia pani moich uczuć. Choć domyślałam się, że nie chciałyby pani się do tego przyznać, nawet gdyby tak było, zwłaszcza tak od razu.

– Panie McBurney – przerwałam mu już z większym wzburzeniem – tak się składa, że jestem od pana starsza niemal o jedno pokolenie.

– Wcale pani na to nie wygląda – upierał się. – Poza tym to i tak nic nie znaczy. W sercu jest pani równie młoda co każda z mieszkających tu dziewcząt, a przy tym o wiele bardziej atrakcyjna niż którakolwiek z nich.

– Panie McBurney, po prostu nie mogę kontynuować tej rozmowy – ucięłam, teraz już bliska gniewu.

– Nie chce się pani deklarować przez to, po której stronie walczyłem w armii, czy o to chodzi, *madam*? Bo można by pomyśleć, że brata się pani z wrogiem. Może trochę się pani obawia akurat teraz wyjawić swoje prawdziwe uczucia.

– Panie McBurney, bardzo proszę! – niemal już krzyczałam.

On uśmiechnął się szeroko.

– To kolejny dobry powód, bym odczekał tutaj do końca wojny. Wtedy moglibyśmy ogłosić to otwarcie, bez obaw, co powie na to społeczeństwo, hę?

– Dlaczego tak pan przy tym obstaje, panie McBurney? – wykrzyknęłam. – Nigdy nie powiedziałam...

– Nic pani nigdy nie powiedziała, *madam*. Nigdy bym nikomu nie zdradził, że cokolwiek w ogóle pani na mój temat mówiła. To może być nasz wspólny sekret, jeśli tak pani woli.

– Proszę, panie McBurney, błagam pana...

– Niech pani usiądzie, *madam*. Niech pani spocznie sobie, o tutaj, dobrze?

Zbliżył się do mnie o kulach, a ja cofnęłam się ku niewielkiej sofie za moimi plecami.

– Musi pan iść... oboje musimy zejść na dół – powiedziałam, choć posłuchałam go i usiadłam. Pamiętam, że byłam niezwykle przerażona, ale zachowywałam się jak zahipnotyzowana. Wydaje mi się, że najmądrzej od razu

zacząć wołać o pomoc, ale dwie rzeczy mnie powstrzymały: po pierwsze strach przed nim, a po drugie myśl, że przecież nie zrobił tak naprawdę nic złego, poza tym że skomplementował mnie w niemądry, chłopięcy sposób. I wprawdzie to było zupełnie niedorzeczne, ale wszczynanie teraz alarmu byłoby jeszcze większym nonsensem, a co więcej McBurney zostałby w oczach mojej siostry zdegradowany do jeszcze niższej pozycji niż ta, którą już zajmował.

– Dobrze, tak dobrze, o wiele lepiej. – Złożył kule razem i usiadł obok mnie. – Niech się tak pani nie trzęsie, panno Harriet. Nikt pani nie skrzywdzi. Jak już wcześniej mówiłem, zależy mi tylko na pani przychylności. Jestem pewien, że jeśli od tego zaczniemy, z czasem narodzi się z tego coś lepszego.

– Panie McBurney, jest pan bardzo młodym człowiekiem, a właściwie zaledwie chłopcem – odparłam – a ja kobietą bliską wieku średniego. Co pańskim zdaniem mogłoby się z tego narodzić?

– Czy tylko to pani przeszkadza? – dopytywał. – Mój wiek?

– Nie, to nie wszystko – odparłam tak łagodnie, jak tylko potrafiłam. – Nawet gdybyśmy byli w tym samym wieku, nadal istniałyby pewne trudności. Największą z nich jest jednak fakt, że nie czuję do pana tego, co pan czuje do mnie.

– Poczujecie pani – rzekł z wielkim przekonaniem. – Proszę tylko dać mi trochę czasu. W pełni odpłacę pani za szlachetność, z jaką mnie tu pani traktowała. Och, panno Harriet, gdyby tylko pani wiedziała, jak wdzięczny byłem pani za tę wizytę pierwszego poranka mojego pobytu w tym domu, kiedy położyła mi pani dłoń na czole i mówiła pani do mnie tym delikatnym głosem. Czy pamięta pani w ogóle ten dzień, panno Harriet, i rzeczy, które mi pani powiedziała? To wtedy mi pani wspomniała, albo przynajmniej tak mi się wydawało, o wszystkim, co nas łączy. Oczywiście może tylko przyśniły mi się pani słowa, bo tak bardzo chciałem je usłyszeć i byłem jeszcze bardzo osłabiony. Pamiętam na przykład, że mówiła mi pani o chińskich figurkach i starej hiszpańskiej koronce. Czy to wtedy pani o tym wspominała, czy może innym razem? A może to tylko wytwór mojej wyobraźni? Czy ma pani te przedmioty, panno Harriet? Jeśli tak, czy mogłaby mi je pani pokazać?

– Owszem, mam je, ale wolałabym pokazać je panu przy innej okazji.

– Dobrze, madame, wystarczy mi wiedza, że nasze rozmowy mi się nie przyśniły. Możemy w takim razie zająć się innymi sprawami, a dokładnie jedną sprawą między panią a mną, co? – Wziął mnie wtedy za rękę i ścisnął; wydaje mi się, że bez brutalności, ale byłam już tak sparaliżowana strachem, że pewnie nie poczułabym bólu w dłoni, nawet gdyby McBurney zmiażdżył mi palce. – Czy pamięta pani drugą rzecz, która wydarzyła się tamtego pierwszego poranka, panno Harriet? – ciągnął. – Przypomina sobie pani moją opowieść o córce właściciela, która przyszła mnie odwiedzić, kiedy byłem małym, chorym chłopcem i opiekowała się mną, a ja ją pocałowałem? I pokazałem pani, jak to zrobiłem. Czy to pani pamięta?

Nigdy o tym nie zapomniałam, ale nie wyznałam mu tego. Nie mogłam się nawet poruszyć, kiedy objął mnie ramionami i znów zademonstrował ów akt. Uczynił to bardzo delikatnie – zapewne z dużą wprawą – i skończył, zanim zdążyłam się odsunąć.

– Panie McBurney – wykrztusiłam, kiedy już byłam w stanie dobrać głosu. – Nigdy więcej nie może pan zrobić nic podobnego.

– To samo powiedziała pani za pierwszym razem. – Błysnął zębami w uśmiechu. – Przecież nie bolało... Nie cierpiała pani, prawda? Ach, panno Harriet, taka z pani przystojna dama i nic mnie nie obchodzi, czy ma pani lat dwadzieścia pięć, czy pięćdziesiąt, ale widzę, że będzie pani potrzebne trochę praktyki. Niech mi pani powie, panno Harriet, czy zdarzyło się pani kiedykolwiek, że ktoś panią pocałował i sprawił, że się to pani podobało?

– Może kiedyś był ktoś taki – przyznałam. Powiedziałabym cokolwiek, żeby tylko się go pozbyć.

– Co to za osoba? – naciskał. – Gdzie on teraz jest?

– Nie wiem.

– Nie żyje? Zginął na wojnie?

– Już go nie ma. Nie wiem, gdzie jest. A teraz proszę... proszę mnie zostawić panie McBurney.

– Niech pani zaczeka. Muszę wyjaśnić pani coś jeszcze. Jak pani myśli, jak

to się stało, że w ogóle się tu znalazłem, panno Harriet?

– Zgubił się pan w lasach i znalazła pana Amelia Dabney – odparłam bez zainteresowania.

– Tak myśli ona i wszyscy inni. Ale tak naprawdę ja wcale się nie zgubiłem. Doskonale wiedziałem, dokąd zmierzam. Och, to prawda, że zostałem ranny podczas bitwy i zatrzymałem się na odpoczynek, kiedy nadeszła Amelia, ale nawet bez jej pomocy za chwilę znów byłbym na nogach i dalej w drodze... zgadnie pani dokąd, panno Harriet?

– Nie mam pojęcia.

– Tutaj, właśnie tutaj. Do tego miejsca zmierzałem, właśnie do tego domu – wyjaśnił triumfalnie. – I wie pani dlaczego? Jest pani w stanie odgadnąć, po co tu szedłem?

– Nie – odrzekłam słabo.

– Żeby panią zobaczyć. To był jedyny powód, dla którego kierowałem się do Farnsworth.

– Ale dlaczego? Przecież nawet mnie pan nie znał.

– Och, ale słyszałem o pani, moja miła. Wiedziałem, jak pani wygląda i jaką cudowną, przesłodką jest pani osobą, więc byłem już w pani na wpół zakochany, nim jeszcze zdążyłem panią poznać.

– Kto panu o mnie opowiedział? Kto mnie panu opisał?

– To właśnie najbardziej zdumiewające w całej sprawie. To był ktoś, kto znał panią bardzo dobrze i komu była pani równie bliska jak mnie w tej chwili. Był to bowiem nikt inny jak pani narzeczony.

– Mój narzeczony?

– Właśnie tak – upierał się. – Ten, co go miała pani poślubić. Niech pomyślę, jak on mi się przedstawił, Harry Wilson? Nie, nie tak. To był Howard Winslow, tak, jestem pewien, że tak się nazywał.

– A gdzie pan poznał tego Howarda Winslowa? – zainteresowałam się.

– Na polu bitwy, *madam* – odparł, patrząc mi prosto w oczy. – Spotkałem go za lasem, o poranku, po tym jak przekroczyliśmy rzekę Rapidan. Bitwa właśnie się rozpoczęła i szedłem naprzód przez zarośla razem z moimi

towarzyszami. Dym był tak gęsty, że człowiek nie widział nawet czubka bagnetu ani własnych nóg poniżej kolan, a jeśli oddaliłaby się pani od towarzysza obok na więcej niż odległość ramienia, pozostałaby pani zupełnie sama w swoim małym, duszącym, parzącym świetle. Pewno, że człowiek dalej mógł się pocieszać, że poza dymem jest jakaś cywilizacja, bo dalej świszczały wokół nas kartacze i szrapnele, a wszędzie było pełno huków, krzyku, wrzasku. No to szliśmy tak przez jakieś pięć minut – choć zdawało się nam raczej, że to pięć lat minęło – aż w końcu zacząłem się zastanawiać, czy ktoś poza mną z naszej kompanii jeszcze jest na nogach. Już myślałem, że może wszyscy leżą martwi pięćdziesiąt jardów za mną – a ja, biedny irlandzki chłopaczyna, idę tak sobie naprzód całkiem sam i może jeszcze ze dwadzieścia kroków, i wpadnę na generała Lee, co to akurat będzie jeść śniadanie. Postanowiłem, że powiem: „Uszanowanie panu generałowi, pozdrowienia od mateczki Irlandii, jak tam się panu powodzi na wojence w ten piękny letni poranek? Bo mi nieszczerólnie dobrze, więc jeśli pan pozwoli, to podsunę sobie krzeselko i poczęstuję się bekonem”.

Szedłem tak i gadałem do siebie, widzi pani, głównie po to, żeby zębów nie stracić, bo tak mi latały ze strachu za każdym razem, kiedy jakieś żelastwo świszczało koło ucha. A potem nagle straciłem równowagę i przez sekundę myślałem, że oberwałem, ale okazało się, że tylko potknąłem się o coś, co leżało na ziemi. Poleciałem w dym na twarz i chyba uderzyłem się w głowę o ziemię albo o pień drzewa, bo na chwilę mnie ogłuszyło, akurat na tak długo, by moi towarzysze – o ile jacyś jeszcze mi zostali – odeszli beze mnie. Ale wtedy usłyszałem za sobą okropne jęczenie, no to pełzam z powrotem i widzę, o co się potknąłem. A był to żołnierz konfederacki – oficer – wyciągnięty na płask na plecach, co jęczał i wołał o wodę. No to odpinam manierkę i podsuwam mu do ust, a w tym czasie patrzę sobie na niego. Blisko już mu było do końca wędrówki po tym łez padole, widziałem to po okropnej ranie, jaką mu szrapnel wyrwał w piersi.

Tylko kilka kropel wody mi w manierce zostało, ale wszystko mu dałem. „Dziękuję, przyjacielu”, mówi on do mnie głosem bardzo słabym. „Chciałbym jakoś odpłacić się za twoją dobroć”. „Pan się nie kłopot”, mówię mu. „Dla

mnie to żadna fatyga chwilę tu sobie spocząć z panem na ziemi, z dala od tego żelastwa, co nam śmiga nad głową”. On wtedy zamknął oczy i myślał sobie, że już po wszystkim, ale jeszcze nie umarł, bo po chwili znów się odezwał głosem tak słabiuchnym, że musiałem się bardzo blisko nachylić, żeby go usłyszeć. A on mówi tak: „Jeślibyś się kiedyś znalazł w tarapatkach i nie wiedziałbyś, gdzie szukać pomocy, powiem ci, gdzie ją znajdziesz. Idź tą stroną lasu tak, jakżeś szedł, aż dotrzesz do strumyka. Przejdź na drugą stronę i skreć w lewo, aż niebawem dotrzesz na farmę z wielkim białym domem. W tym domu spotkasz piękną panią, co ci pomoże. Nazywa się Harriet Farnsworth. A kiedy ją zobaczysz, wyświadcz mi jeszcze jedną przysługę. Pocałuj ją i powiedz, że kapitan Howard Winslow ogromnie żałuje, że nie zdołał do niej powrócić”.

McBurney przerwał tę bardzo smutną historię, znów ścisnął moją dłoń i spojrział mi żałośnie w oczy. Muszę przyznać, że na chwilę zapomniałam o całym lęku, jaki do niego czułam, i miałam ochotę roześmiać mu się prosto w twarz.

– I mówi pan, że ten dżentelmen był kapitanem? – upewniłam się.

– Owszem, *madam*, tak mi się wydawało. Jego mundur był ubrudzony krwią i błotem i czymże tam jeszcze, ale wydaje mi się, że miał pagony kapitańskie.

– Na Boga, spodziewałam się, że Howard Winslow przed śmiercią zostanie generałem albo chociaż pułkownikiem – odparłam. – Bo zgaduję, że zmarł?

– Owszem, *madam*... właśnie wtedy, kiedy przy nim byłem. Te słowa jako ostatnie wypowiedział w swoim życiu.

– Tylko pomyśleć... biedny Howard Winslow zmarł właśnie tam, w pańskich ramionach.

– Właśnie tak, *madam*.

– A czy mógłby mi go pan opisać? Oczywiście nie wątpię w pańskie słowa, ale może to był ktoś inny, kto podszywał się pod Howarda Winslowa, nieprawdaż? Może ten człowiek bez skrupułów wykorzystał tożsamość biednego Howarda do własnych podstępnych celów. Niechże mi pan krótko opisz, jak wyglądał ten nieszczęśnik, panie McBurney. Czy mógłby pan to dla mnie zrobić?

– Niech pomyślę – odparł McBurney, chyba nieco zbity z tropu. – Musi pani wziąć pod uwagę, że było tam mnóstwo dymu, a ten człowiek był brudny i cały zakrwawiony. Trudno byłoby mi opisać własnego ojca, gdybym go znalazł w podobnych okolicznościach. Ale mogę zacząć od tego, że wydał mi się raczej wysoki.

– Och, tak mi przykro – powiedziałam, z trudem powstrzymując uśmiech. – Howard Winslow, którego znałam, był drobnej postury, niewiele przewyższał mnie wzrostem.

– Ach, wszystko jasne. Pewnie tak mi się pomyślało, bo wychudły leżał na ziemi.

– Wychudły, powiada pan? Człowiek, którego znałam, był krępy i o szerokich barkach.

– Proszę nie zapominać, że kilka miesięcy wojskowych racji każdego wymizeruje – odparł gładko McBurney. – Jak się nad tym zastanowić, to on miał dość szerokie ramiona. Tylko twarz zapadłą i pociągłą.

– A jakiego koloru miał włosy?

– Ach... chyba takie brązowawe.

– A oczy?

– Niebieskie... albo szare... coś takiego.

– Jakieś blizny?

– Żadnych nie widziałem.

– Włosy proste czy kręcone?

– Kręcone... coś tak jak moje.

– Panie McBurney, jest pan największym kłamcą na świecie – oznajmiłam. – Howard Winslow, który kiedyś nas tu odwiedzał, miał brązowe oczy i czarne włosy, proste jak u Indianina.

– Niech pani nie zapomina – wtrącił prędko McBurney – że ten człowiek nosił czapkę i dostrzegłem tylko fragment jego włosów... a jak się zastanowić, to mógł mieć brązowe oczy. Tyle tam było dymu, widzi pani...

– Co więcej, Howard Winslow miał na czole wyraźną bliznę, pamiątkę po

wypadku podczas jazdy konnej. Jeśli naprawdę by go pan spotkał, ta blizna jako pierwsza rzuciłaby się panu w oczy – przerwałam.

– Proszę, panno Harriet, niech mnie pani nie nazywa kłamcą – zaprotestował McBurney. – Może to pani ma rację. Może to nie był Howard Winslow, tylko ktoś, kto się pod niego podszywał. Załóżmy, że Howard Winslow służył razem z nim w armii i już wcześniej stracił życie, a ten koleżka z jakichś sobie tylko znanych powodów postanowił przejąć jego imię i nazwisko. Tak czy inaczej, kimkolwiek by był, wiedział o pani zaręczynach z Howardem Winslowem i dlatego mnie tu przysłał.

– Tylko jedna rzecz się nie zgadza w pańskiej teorii – powiedziałam. – Podobnie jak reszta pana opowieści, ta teoria również nie opiera się na faktach. Howard Winslow, który przychodził tu od czasu do czasu w odwiedziny do mojego brata, nie był moim narzeczonym, kochankiem ani nawet przyjacielem. Był próżniakiem i hultajem bez rodziny, który ciągnął się za Robertem i dodam, że wcale nie miał na mojego brata dobrego wpływu. Pan Winslow posiadał niewielki majątek i jeszcze mniejszy talent do czegokolwiek, o ile mi wiadomo. Nawet nie potrafił dobrze jeździć konno, o czym świadczyła jego blizna, a jeśli nawet wstąpił do armii, to była pierwsza praca, jakiej się w życiu podjął. Nie był też przystojny, bystry ani ujmujący... Mówiąc krótko, Howard Winslow nie zasługiwał, by rekomendować go na jakiegokolwiek stanowisko, a już na pewno nie nadawał się do małżeństwa.

– Ale, powiedziano mi... – wyjąkał McBurney, otwierając szeroko oczy.

– Otóż to. Powiedziano panu, ale na pewno pan przyzna, że nic pan nie usłyszał od samego Howarda Winslowa, który zresztą miał o mnie równie niskie mniemanie jak ja o nim. Wierzę, że ktoś coś panu wyznał, panie McBurney, akurat co do tego nie mam wątpliwości. Powiedziała coś panu moja siostra, która jest w stanie powiedzieć na mój temat cokolwiek, albo Mattie, która jest przekonana, że zamążpójście to jedyny szczęśliwy stan w życiu kobiety i w związku z tym na pewno desperacko pragnę wyjść za mąż, a ponieważ Howard Winslow marnotrawił tu więcej czasu niż jakikolwiek inny młody mężczyzna poza moim bratem, to ubzdurała sobie, że na pewno

chciałam i zamierzałam poślubić Howarda Winslowa. Albo może usłyszał pan coś od którejś z uczennic, która na wieść, że pan Winslow często tu kiedyś przebywał, postanowiła połączyć z nim moją osobę ze złości, ignorancji, a może jednego i drugiego! – Skończyłam swoją tyradę, bo właśnie tak to wyglądało, przyznaję, i siedziałam bez ruchu na swoim miejscu, wściekle wpatrując się w niego.

– Och, uwielbiam panią taką widzieć – powiedział, znów się uśmiechając. – Policzki ma pani zaróżowione, włosy wymykają się pani z koczka, a pani drobna śnieżnobiała pierś drży jak u przestraszonej gołębiczy.

Znów mnie chwycił i przycisnął wargi do moich ust, lecz tym razem nie był już delikatny. Wyrwałam mu się i zaczęłam krzyczeć.

– Proszę, błagam panią – mówił, nadal z głupim uśmiechem. – Kocham panią, kocham panią, panno Harriet. – Lewą ręką chwycił mnie za kark, a prawą dłoń przycisnął mi do ust. Nie mogłam oddychać, a w pokoju zaczęło robić się ciemno. Pamiętam jak myślałam: „Proszę, panie McBurney, niech mnie pan nie krzywdzi”, ale nie pamiętam, czy udało mi się to wykrzyczeć, zanim zemdlalam.

Kiedy odzyskałam przytomność, już go nie było, ale za to w saloniku tłoczyły się wszystkie mieszkanki naszej szkoły. Leżałam na podłodze, Mattie luzowała mi gorset, siostra masowała mi nadgarstki, Alice trzymała mi cebulę tuż pod nosem, Emily kładła mi wilgotną szmatkę na czole. Pozostałe dziewczęta tłoczyły się nade mną, a na ich twarzach malowała się ekscytacja i zadowolenie w różnym natężeniu, w niektórych przypadkach może także żal, że tak prędko wróciłam do siebie.

Mattie powiedziała mi później, że rzeczywiście nie minęło wiele czasu, biorąc pod uwagę szok, jaki przeżyłam. Oczywiście Mattie mierzy takie rzeczy według standardów dawnego towarzystwa z Tidewater, gdzie dama nigdy nie odzyskiwała przytomności po omdleniu w czasie krótszym niż kwadrans, chyba że miała napad „galopujących omdleń”, jak mówi na to Mattie. To jest sytuacja, w której kobieta wielokrotnie odzyskuje na chwilę zmysły, po czym – najlepiej z krótkim piskiem – znów traci przytomność.

Moje uwagi mogą brzmieć dość lekko, wzięwszy pod uwagę wydarzenia

sprzed chwili, muszę więc wyjaśnić, że po ocknięciu nie czułam już przerażenia, gdyż wyglądało na to, że nie muszę się obawiać ponownego ataku lub innych tego rodzaju nieprzyjemności, więc byłam gotowa zapomnieć o całym zajściu.

Moja siostra nie zamierzała jednak traktować sytuacji równie pobłaźliwie.

– On próbował cię zabić – oznajmiła.

– Nie, nie – przekonywałam. – Mylisz się.

– Owszem, panno Harriet, próbował – potwierdziła Emily. – Też go widziałam. Trzymał obie ręce na pani gardle i próbował panią udusić. A potem uciekł, gdy tylko weszłyśmy.

– No, nie do końca uciekł – wtrąciła Amelia, jak zwykle pierwsza, by go bronić. – Po prostu się wycofał, kiedy wszystkie weszłyśmy do saloniku. A kiedy go zobaczyłam, wcale nie dusił panny Harriet. Nachylał się nad nią na podłodze, podtrzymywał jej głowę i pytał, czy nic jej nie jest.

– Wydaje mi się, że Edwina pojawiła się tu pierwsza – wtrąciła Marie Deveraux. – A w każdym razie stała tu w drzwiach i przyglądała się całemu zajściu, kiedy tu dotarłam. I jestem pewna, że pierwsza pobiegłam po schodach, gdy panna Harriet zaczęła krzyczeć, mimo że Alice chwyciła mnie od tyłu za sukienkę i praktycznie zerwała mi ją z pleców, próbując mnie przegonić. Tak czy inaczej, Edwina już tu była. Domyśliłam się, że przyszła prosto ze swojego pokoju, czy mam rację, Edwino?

– Nie uważam, żebym miała obowiązek tu stać i ci się tłumaczyć – oznajmiła Edwina i zaczęła zbierać się do wyjścia.

– Nie musisz składać żadnych wyjaśnień przed Marie, Edwino – poinformowała ją moja siostra. – Masz taki obowiązek wobec szkoły. Jeśli widziałaś, że McBurney próbuje skrzywdzić pannę Harriet, to musisz nas o tym poinformować.

– Nie robił jej krzywdy – odparła ponuro Edwina. – Nic jej się nie stało, prawda?

– Ale zamierzał ją skrzywdzić – upierała się Martha.

– Skąd mogę znać jego intencje?

– Proszę nie łapać mnie za słówka, młoda damo – ucięła ostro Martha – i powiedzieć, co zobaczyłaś.

– Widziałam, że próbuje uciszyć pannę Harriet.

– Poprzez uduszenie?

– Zakrywał jej usta dłonią, jeśli tak pani rozumie duszenie. Odniosłam wrażenie, że próbuje tylko powstrzymać ją od krzyku i nie radził sobie z tym zbyt dobrze, bo jestem pewna, że pannę Harriet słyszały nawet pułki wojska w Spotsylvanii czy gdziekolwiek teraz one przebywają.

– Przepraszam – powiedziałam, chyba dość słabo, bo pokój wciąż wirował mi przed oczami i brakowało mi tchu. – Bardzo przepraszam, że cię przestraszyłam, Edwino.

– Wstyd, Edwino, wstyd! – Wydaje mi się, że właśnie te słowa wykrzyknęło kilka dziewcząt.

– To wielka szkoda, że druga w hierarchii osoba w naszej szkole nie ma społecznego przyzwolenia, by podnieść alarm, kiedy jest atakowana przez wroga – oznajmiła Emily.

– Och, farmazoni! – krzyknęła Amelia. – Panna Harriet nie była bardziej atakowana niż ty w tej chwili.

– Ale przecież jestem. Właśnie o to chodzi – odparła Emily. – Wszystkie jesteśmy atakowane i najwyższy czas to sobie uświadomić.

– Dziewczęta, dziewczęta, chciałabym, żebyście spróbowały zapomnieć o całym incydencie. Może Amelia ma rację. Może pan McBurney nie chciał mnie wcale skrzywdzić – próbowałam tonować emocje.

– Może nie, ale nie możemy być tego pewne – stwierdziła moja siostra. – Mam nadzieję, że to będzie lekcja dla wszystkich zgromadzonych. Nikomu nie wolno przebywać z McBurneyem sam na sam ani przez chwilę. Powtarzam mój wcześniejszy zakaz. Nikomu nie wolno się w jakikolwiek sposób komunikować z McBurneyem. Gdyby moja siostra o tym pamiętała i była posłuszna tym zaleceniom, może uniknęłaby dziś niebezpieczeństwa.

– Czy jest pani rzeczywiście taka pewna, że groziło jej niebezpieczeństwo? – wykrzyknęła impertynencko Amelia.

– Zamilcz w tej chwili, moja panno – nakazała Martha – albo zostaniesz odesłana do swojego pokoju.

Do tego czasu zdołałam już podnieść się z podłogi, a Mattie pomogła mi usiąść na krześle.

– Nie wiem, jak możemy dalej mieszkać z nim pod jednym dachem i się z nim nie komunikować – zauważyłam, kiedy mogłam już się odezwać. – Może nam to wytłumaczysz, siostrze.

– Nie możemy tu z nim dalej mieszkać – odparła Martha. – Jak powiedziała Emily, właśnie o to chodzi. Powinniśmy zrobić coś z McBurneyem, i to szybko. Bardzo się boję, co jeszcze tu się wydarzy.

– Czy zamierzasz teraz posłać po pomoc? – zapytałam.

– Nie wiem. W tej sytuacji jeszcze bardziej boję się zostawiać pensję pod twoją opieką. Cóż, będę musiała szybko podjąć decyzję, co z nim zrobić.

– Jeśli naprawdę byłby przekonany, że chce się go pani pozbyć, odszedłby bez żadnych dyskusji – stwierdziła Amelia. – Jeśli pani sobie życzy, mogę z nim porozmawiać i powiedzieć, że nie jest tu już mile widziany przez pewne osoby.

– Nic podobnego nie zrobisz, moja panno – pouczyła ją Martha. – Ostrzegałam, że masz się z nim nie kontaktować, a jeśli nadal będziesz okazywać nieposłuszeństwo, możesz zostać poproszona o opuszczenie pensji razem z panem McBurneyem.

– Amelia Dabney jest ostatnią idiotką, jeśli wyobraża sobie, że McBurney będzie słuchał jej sugestii – wtrąciła Emily. – Nie przekona go ani odrobinę bardziej niż którakolwiek z nas. McBurney jest naszym zaprzysięgłym wrogiem i najwyższy czas przyjąć to do wiadomości. Zamiast szukać sposobów, by go ignorować, powinniśmy myśleć, jak się przed nim bronić, jeśli mogę sobie pozwolić na taką sugestię, panno Martho.

– Nie, nie możesz sobie pozwolić – ucięła moja siostra.

– Gdybyśmy wszystkie miały rygle albo zamki w sypialniach, mogłybyśmy czuć się bezpieczniej w nocy – podsunęła Alice, która oczywiście przebywa tu z litości, ale czasami się zapomina.

– Tak, może Alice powinna mieć zamek w drzwiach – zauważyła Marie. – Gdyby zamknęła drzwi przed Johnnym McBurneyem – z pewnością by tak zrobiła, gdyby tylko miała jak – może uniknęłybyśmy teraz tych wszystkich problemów z nim. Z tego, co pamiętam Johnny był gotów odejść stąd sam z siebie i bez żadnych perswazji w noc, kiedy wydarzył się ten nieszczęśliwy wypadek. Teraz jest dla mnie oczywiste, że to nastąpiło jedynie dlatego, że Alice nie była w stanie zaryglować drzwi w swojej sypialni.

Wtedy Alice chwyciła Marie za loki i pociągnęła mocno, a potem nikt już nie pamiętał o moim omdleniu, bo trzeba było rozdzielić wściekłą Alice i wrzeszczącą, kapiącą Marie. Martha ostatecznie rozwiązała problem, uderzając dziewczęta raz po raz w ucho, a Emily zaczęła jej w tym gorliwie pomagać, co oczywiście tylko pogorszyło sprawę, bo Amelia rzuciła się na pomoc swojej współlokatorce, atakując Emily zębami i pazurami.

Zamieszanie skończyło się dopiero wtedy, kiedy stara Mattie połączyła siły z moją siostrą, a ja podniosłam się z krzesła, choć czułam się jeszcze słabo. Zaczęłam protestować na miarę swoich możliwości, aż w końcu we trzy zdołałyśmy rozdzielić skłócone dziewczęta – wszystkie zostały natychmiast odesłane do swoich pokojów.

– Wy wstrętne stworzenia! – krzyknęła moja siostra. – Wszystkie pójdziecie do łóżek bez kolacji, a może będziecie musiały obejść się i bez śniadania!

– Ale panno Martho, ja tylko próbowałam pomóc – zaprotestowała Emily.

– Cicho, moja panno – nakazała moja siostra. – Na wiele sobie ostatnio pozwalasz. Nikt cię nie prosił o pomoc. Jestem w stanie sama przywołać pannę Alice i pannę Marie do porządku. A teraz proszę się udać do swoich pokojów, wszystkie, i zostać tam z książkami, dopóki nie pozwolę wam wyjść.

Dziewczęta opuściły salonik bez dalszych protestów, choć nigdy wcześniej nie widziałam Emily równie wścieklej i czerwonej na twarzy. Edwina Morrow, która nie brała udziału w całym zamieszaniu, stała przy drzwiach z uśmiechem na twarzy.

– Ty również możesz już wyjść, panno Edwino – poleciła moja siostra, a tamta jak zwykle dygnęła szyderczo i zabrała się do wyjścia.

– Poczekaj, Edwino – zawołałam za nią. – Czy powiesz mi prawdę?

Naprawdę myślisz, że McBurney nie chciał mnie skrzywdzić?

– Dlaczego sama go pani nie zapyta? – Usłyszałam w odpowiedzi. – Jestem pewna, że wyznałby pani prawdę, skoro zawsze była z nim pani w tak przyjaznych stosunkach.

Ta uwaga mnie rozjątrzyła i skłoniła do wygłoszenia uwagi, której później żałowałam.

– Może go zapytam i może mi odpowie, skoro dotąd zawsze tak chętnie dzielił się ze mną różnymi informacjami – odparłam. – Wyznał mi na przykład sporo na twój temat, Edwino.

Słyszając to, Edwina zbielała – a może raczej powinnam powiedzieć, że poszarzała, wzięwszy pod uwagę, jak ciemna jest zazwyczaj jej karnacja.

– Co takiego pani powiedział? – spytała ostro.

– Och, najróżniejsze rzeczy. Mieliśmy bardzo ciekawą dyskusję o twoim pochodzeniu. Wygląda na to, że masz na sumieniu to samo wykroczenie, o które mnie oskarżyłaś, czyli zbytnią poufałość w stosunkach z panem McBurneyem.

– Proszę już iść, panno Edwino – nakazała jej Martha. – Niech to będzie ostrzeżenie dla ciebie i dla panny Harriet. Koniec z przyjaźniami z panem McBurneyem.

Wciąż blada Edwina wyszła z saloniku, a Martha odwróciła się w moją stronę.

– Co to za historie? McBurney rozmawiał z tobą o Edwinie?

– Cóż, raz mu się zdarzyło – wyznałam zgodnie z prawdą. – Powiedział mi, że bardzo ją lubi. Pracowałam akurat w ogrodzie i zamieniliśmy kilka słów na jej temat. Dodał, że Edwina jest najszczęśliwszą młodą osobą w tym domu.

– Co jeszcze o niej mówił?

– To właściwie cała treść rozmowy.

– To nie brzmi jak długa dyskusja o jej pochodzeniu.

– Czy tak stwierdziłam? Musiałam się przejęzyczyć – wyjaśniłam. – I z pewnością nie chciałam zaniepokoić Edwiny.

Nie kłamałam. Nigdy nie pragnęłam sprawić tej dziewczynie żadnej przykrości. Jak już wielokrotnie powtarzałam, potrafi być bardzo trudną osobą, ale mimo to jest mi jej żal. Zawsze życzyłam temu biednemu dziecku jak najlepiej. Nagle ogarnął mnie straszliwy ból głowy, więc poprosiłam moją siostrę i Mattie, by zostawiły mnie samą. Kiedy odeszły, położyłam się do łóżka i po dość długim cierpieniu zdołałam zasnąć i obudziłam się dopiero, gdy Mattie wezwała mnie na kolację.

Pamiętam, że przyśnił mi się okropny koszmar. To znaczy pamiętam, że sen był bardzo nieprzyjemny, choć nie jestem w stanie opowiedzieć o nim zbyt wiele poza tym, że zawierał wspomnienia z mojej przeszłości, lecz zdeformowane. Chyba śniłam, że jestem żoną mojego ojca, a McBurney to nasz syn, choć z wyglądu przypominał mojego brata Roberta. Czasami miał twarz Roberta, ale nadal nosił zniszczony niebieski mundur i oczywiście miał tylko jedną nogę.

A mimo to był dzieckiem, bardzo małym dzieckiem, właściwie niemowlęciem. Siedział na podłodze w bibliotece, wpatrzony we mnie wielkimi, niebieskimi oczami, ale kiedy spróbowałam się do niego zbliżyć, by położyć go do kołyski, uśmiechnął się do mnie szeroko, jakby znał jakąś moją tajemnicę, więc obawiałam się go dotknąć, choć wściekałam się, że tak się szczerzy. „Dziecko nie powinno tak patrzeć na własną matkę”, mówiłam mu. Prosiłam, błagałam, by zamknął oczy albo przynajmniej odwrócił ode mnie twarz, ale on nie słuchał. Dalej wpatrywał się we mnie z szerokim uśmiechem. W końcu nie mogłam już tego dłużej zdzierżyć, więc chwyciłam pogrzebacz z kominka i zaczęłam mu nim wygrażać, choć nie zamierzałam go tak naprawdę uderzyć. On jednak nie przestawał się uśmiechać, więc zamachnęłam się pogrzebaczem i zaczęłam go bić. Tłukłam go bardzo długo, aż w końcu zupełnie zniknął. Może powinnam też dodać, że płakałam przez cały czas, kiedy wymierzałam ciosy...

EDWINA MORROW

Do końca tamtego dnia, kiedy McBurney rzekomo napastował pannę Harriet, więcej nieprzyjemności już się nie wydarzyło – a przynajmniej ja nie mam o niczym takim wiedzy. O ile mi wiadomo, McBurney opuścił pokój panny Harriet, zszedł do bawialni i tam już pozostał.

Wiem, że Mattie zaniósła mu tacę z kolacją, kiedy my wszystkie siedziałyśmy przy stole. Pamiętam to tak dobrze, ponieważ kilka dni wcześniej jadł razem z nami – choć oczywiście nikt go do stołu nie zapraszał – i niektóre uczennice odniosły się do jego nieobecności.

W trakcie posiłku panna Martha kazała Mattie przygotować talerz z jedzeniem dla niego, częściowo może właśnie po to, żeby nie zbliżał się do jadalni. Pamiętam też, że panna Harriet, która pomimo ciężkich przeżyć zdołała jakoś zasiąść z nami do stołu i zjeść tyle co pozostałe, sama zaproponowała, że tego wieczoru możemy oddać coś ze swoich porcji na rzecz naszego gościa.

– W nagrodę za jego zachowanie? – dociekała jej siostra, spoglądając na nią, jakby tamta była lekko postrzelona.

– Gdzieżby, no przecież, że nie – odparła panna Harriet. – Raczej aby mu pokazać, że nie żywimy wrogości, że prezentujemy postawę na wskroś chrześcijańską.

– Myślę, że chrześcijańskość postawy w takiej sytuacji zależy od tego, o jakich chrześcijanach rozmawiamy – zauważyła Emily. – Tacy katolicy na przykład to podobno w czasach hiszpańskiej inkwizycji okrutnie torturowali swoich przeciwników.

– Ja z kolei słyszałam, że protestanci z Północy, gdzieś w Nowej Anglii lub blisko, spalili na stosie staruszki, a to przez jakieś nieporozumienie dotyczące czczenia diabła – wtrąciła Marie, która zawsze czujnie odpiera wszelkie ataki na jej religię.

– A czego można się spodziewać po ludziach z Północy, nieważne czy

chrześcijan, czy nie – zawyrokowała Alice, demonstrując postawę patriotyczną, o którą nikt wcześniej nawet by jej nie podejrzewał. Obstawiam, że w ten sposób niewcześnie próbowała zaskarbić sobie przychyłność naszych decydentek, a to wobec najwyraźniej nieuchronnie nadciągającego dnia wydalenia jej ze szkoły. Zdaję sobie sprawę, że panna Martha ze mną też zamierza się policzyć za epizod z McBurneyem, aczkolwiek do tej pory jeszcze nie wymyśliła, jak to zrobić.

W każdym razie, aby on mógł teraz zjeść kolację, panna Harriet przy stole postanowiła zrezygnować z przysługującej jej przyszłej porcji solonej słoniny. Panna Martha przez chwilę oziębło przyglądała się siostrze, po czym skinęła głową i poleciła Mattie, aby ją podała.

– Skoro dzielimy teraz przyszłe racje, to ja swoją też chcę oddać – oznajmiła Marie.

– A za tydzień czy kiedy indziej, gdy inne uczennice będą jeść mięso, panienka będzie chodzić głodna, a burczenie w brzuchu może być tym dotkliwsze, że będzie panienka patrzeć, jak inne zjadają się swoją częścią – perorowała panna Harriet.

– Pocierpimy razem, panno Harriet – odparła spokojnie dziewczynka. – A kto wie, może do czasu, aż panna Martha postanowi znowu wydzielić nam trochę mięsa, wojna już się skończy. A skoro już o tym mowa, to wszystkie możemy już nie żyć, a wtedy, panno Harriet, to my na tym dobrze wyjdziemy.

– Panienko, proszę łaskawie już się uciszyć – poleciła jej panna Martha. – Z porcji uczennic nie odłożymy ani mięsa, ani innych deficytowych produktów. Skoro panna Harriet jest na tyle nierozsądna, żeby oddawać swoją porcję komuś takiemu, to jej wybór, podobno jest dorosła, a ja już mam serdecznie dość ponoszenia za nią odpowiedzialności.

Ta uwaga pod adresem siostry doprowadziła do tego, że panna Harriet wstała od stołu i poszła do swojego pokoju, co zapewne od początku było celem panny Marthy. Czasami człowiek odnosi wrażenie, że przełożona naszej szkoły potrafi sprawić przykrość ot tak, bez powodu – o czym mogę z przekonaniem zaświadczyć, gdyż często to właśnie ja padam ofiarą jej złośliwości.

W każdym razie po wyjściu panny Harriet kontynuowałyśmy kolację bez zakłóceń, a po posiłku odesłano nas do swoich pokojów. Zwykle po kolacji przynajmniej godzinę przed snem spędzamy w bawialni lub w bibliotece, ale jako że McBurney to pierwsze pomieszczenie zajął na swoją siedzibę i niekiedy kuśtykał do tego drugiego – gdzie z uczonym, jak sam zapewne mniemał, wyrazem twarzy przeglądał tytuły książek na półkach, układając usta w poszczególne słowa – najwyraźniej miałyśmy otrzymać zakaz korzystania z obu pomieszczeń i w ogóle z parteru poza sytuacjami, gdy znajdowałyśmy się pod bezpośrednim nadzorem naszych nauczycielek.

Cała ta sytuacja na dobre wytrąciła mnie z równowagi i tak też się czułam przez kolejne godziny spędzone w swoim pokoju. Usiłowałam pouczyć się historii Biblii, potem chciałam powtórzyć francuskie słówka, ale wszystko nadaremnie. Po prostu nie potrafiłam się skoncentrować.

Najbardziej uwierała mnie jawna niesprawiedliwość. Wprost nie mogłam pojąć, dlaczego to uczennice muszą cierpieć w imię wygody McBurneya. Nie potrafiłam pojąć, czemu tak przyzwoita uczennica jak ja, która powinna mieć możliwość pogłębiania wiedzy w bibliotece i dostęp do wielu tamtejszych materiałów referencyjnych, ponosi karę na rzecz osoby tego pokroju.

Dlatego chwilę to rozpamiętywałam, a potem po prostu nie wytrzymałam, wstałam z łóżka i wymknęłam się z pokoju na korytarz. Tak byłam tym wszystkim podenerwowana, że wciąż miałam na sobie strój dzienny, a tylko zdjęłam buty, których teraz przed wyjściem z pokoju nie chciało mi się z powrotem wkładać.

My, rzecz jasna, starałyśmy się jak najmniej chodzić po budynku w butach, żeby się nie zużywały, ponieważ w tych trudnych czasach naprawić je czy kupić nową parę graniczyło z cudem. Oczywiście już na początku pobytu McBurneya u nas panna Martha zakazała nam przebywać przy nim bez butów, najwyraźniej bowiem była przekonana, że widok naszych bosych – i często brudnych – palców u stóp doprowadzi go do eksplozji namiętności. W każdym razie polecenie to dziewczęta przyjęły bez większych oznak niezadowolenia, jako że większość z nich ma nadwrażliwe stopy i nieustannie narzeka a to na wystające gwoździe, a to na drzazgi, a to na kolce i w ogóle na wszystko.

Akurat mnie to nie dotyczy, cały dzień mogę chodzić bosy i jedynym przykrym skutkiem będzie brud, co jest – niestety – kwestią bagatelizowaną przez większość mieszkanki. Powinnam chyba nadmienić, że Amelia Dabney, nasz mały jaskiniowiec, najwyraźniej również czuje się lepiej bez butów na nogach, a podobnie stara Mattie, która posiada tylko sfatygowane skórzane papucie, które latają na boki, paskudnie szurają i kłapią przy chodzeniu, kiedy ona chodzi w nich w tę i we w tę, co dzięki Bogu zdarza się właściwie tylko przy słońcu.

Może jednak wrócę teraz do głównego wątku. Szybko i bezszelestnie zeszłam po schodach do biblioteki, biorąc ze sobą świecę i książki do nauki. Jeśli mogę sobie pozwolić na jeszcze jedną uwagę poboczną, to chcę tylko powiedzieć, że posiadanie świecy w owych czasach strasznie niedostatku wynikało wyłącznie z mojej przezorności i pomiarkowania. Gdy inne uczennice marnowały swoje świece na nocne fidrygałki, ja swoje oszczędzałam, czasem wręcz do tego stopnia, że uczyłam się przy wpadającym przez okno świetle księżycy.

W każdym razie teraz udałam się do biblioteki, nie myśląc o niczym innym niż sprawy naukowe. Drzwi do kolejnych sypialni były zamknięte. Uznałam, że skoro minęła już godzina dwudziesta druga, wszyscy już poszli spać. Drzwi do bawialni też były zamknięte, gdy je mijałam, i gdybym w ogóle poświęciła temu jakąś myśl, stwierdziłabym, że McBurney najwyraźniej również udał się na spoczynek, ale rzecz jasna niewiele mnie to obchodziło.

Tymczasem postawiłam świecę na półce i zaczęłam szukać tekstów biblistycznych, których w bibliotece mamy wiele – myślę wręcz, że zbyt wiele w porównaniu z liczbą książek na tematy ciekawsze i bardziej aktualne – kiedy nagle usłyszałam donośne głosy, najwyraźniej kłótnię, dobiegające z bawialni. Jeden z głosów ewidentnie należał do McBurneya, więc przez chwilę starałam się nie zwracać na niego uwagi, ponieważ zwyczajnie nie wyrażałam zainteresowania niczym, co z nim związane, ani też nikim na tyle durnym, żeby się nim interesować.

Nagle dotarło do mnie, że przecież któraś z naszych młodszych uczennic – Amelia czy Marie – może tam z nim przebywać i z tego powodu muszę się tym

zając. Chyba powinnam jeszcze wyjaśnić, że nie obawiałam się wtedy, że może skrzywdzić tę osobę, ktokolwiek tam był, a przynajmniej nie fizycznie – mówię to w razie, gdyby ktoś zechciał przyjąć pogląd lansowany później przez niektóre z mieszkanek pensji, że McBurney zdołał wynaturzyć naszą moralność. Powiem szczerze, w tamtej chwili obawiałam się przede wszystkim tego, że ta tajemnicza osoba może teraz opowiadać McBurneyowi o mnie same kłamstwa, mimo że nie obchodziło mnie, co sobie o mnie myśli, to przecież nie mogłam pozwolić, żeby ktoś taki jak McBurney później rozpowiadał takie kłamstwa. Ale mogło być też przecież odwrotnie. Bo ewidentnie przecież to McBurney mógł teraz opowiadać kłamstwa na mój temat.

Dlatego podniosłam świecę, przeszłam przez korytarz i stanęłam pod drzwiami bawialni. Daję słowo, że podsłuchiwanie przez dziurkę od klucza nie jest moim ulubionym zajęciem, ale w tym wypadku chyba było nieuniknione. Twardo postanowiłam podsłuchać tylko tyle, ile to konieczne, żeby poznać temat rozmowy po drugiej stronie drzwi. A gdyby to nie mnie dotyczyła, zamierzałam natychmiast wycofać się do biblioteki i oddać nauce.

Okazało się, że mnie akurat nie dotyczyła, a przynajmniej nie te fragmenty, które słyszałam. Właściwie to w pierwszych minutach sterczenia pod drzwiami mało co słyszałam. Tylko jakieś mamrotanie, a potem jakby chichot, później jednak zrozumiałam, że ktoś szłocha.

Nie wiedziałam, czy nie powinnam wpaść do środka. Mamroczący głos brałam za głos McBurneya – ale to nie był on, jak za chwilę się okaże – natomiast ten szlochający nie należał moim zdaniem ani do Amelii, ani do Marie. Wtedy przyszedł mi do głowy najbardziej oczywisty potencjalny gość w pokoju McBurneya. Ale osobę tę też należało błyskawicznie wykluczyć, skoro jej falujące włosy zmaterializowały się tuż przy moim ramieniu.

– Alice, wracaj zaraz do łóżka – syknęłam nieprzyjemnie. – Wynoś się stąd.

– Kto tam z nim siedzi? – spytała.

– Nie wiem i nic mnie to nie obchodzi – odparłam.

– Mnie w sumie też nie. Po prostu chciałam bym zaspokoić swoją ciekawość, czyją to sukienkę usiłuje teraz podwinąć – skwitowała.

– A tego właśnie próbował z tobą? – zapytałam.

– Nie chcę o nim mówić. Chyba wszystkie zostałyśmy potraktowane haniebnie przez tego potwora.

– Myślisz, że w środku jest Emily? – zaczęłam się zastanawiać.

– Wątpię. Nawet gdyby teraz zadowolili się już dosłownie każdą, to nie wiem, jak akurat ją miałby tam ściągnąć, chyba że na siłę, ale to byśmy usłyszały. Chociaż nie, jakoś nie wyobrażam sobie Johnny’ego okiełznującego taką klacz, nawet gdyby nie był kaleką. Emily powaliłaby go na ziemię jednym ciosem.

– W takim razie to musi być panna Martha albo panna Harriet – szepnęłam. – Jestem pewna, że to żadna z młodych dziewcząt.

– I nie jest to panna Martha – zapewniła Alice. – Kiedy przechodziłam obok pokoju panny Marthy, słyszałam jej pokasływanie.

– Czyli to panna Harriet.

– Chyba masz rację. Pewnie jedno i drugie jest pijane w sztok, co na pewno wcale im nie przeszkadza w zabawie w najlepsze.

– Jakoś nie brzmi mi to na zabawę w najlepsze – odparłam. – A jeśli nie ściszysz trochę głosu, to na pewno cię usłyszą.

– Nawet jeśli, to i tak przecież nie wybiegną nagle na korytarz, bo pewnie baliby się, że to panna Martha przyszła udzielić im reprimendy – zauważyła Alice. – W każdym razie skoro to tylko nasza biedna panna Harriet, to nie dbam o to. Bałam się, że to ty.

– Dziękuję za komplement – stwierdziłam sucho. – I przykro mi, że nie mogę go odwzajemnić. Ponieważ wcale się nie bałam, że to możesz być ty.

Nie pamiętam teraz, czy wymieniłyśmy wtedy jeszcze kilka innych równie uprzejmych uwag. Muszę też przyznać, że spadł mi kamień z serca, skoro okazało się, że to tylko panna Harriet przebywała z nim w pokoju. Abstrahując od wszystkich przywar panny Harriet, jest ona tą osobą w tym domu, co do której mogę mieć zaufanie, że nie będzie rozpowiadać o mnie żadnych kłamliwych plotek. I dlatego uważam, że wraz z Alice chciałyśmy już odkleić się od drzwi i wrócić na górę do łóżek, zwłaszcza że tego dnia postanowiłam

już zaniechać nauki.

Może powinnam jeszcze wyjaśnić, czemu wtedy uznałam, że w bawialni odbywa się co najwyżej pijacka sprzeczka. Stało za tym to samo wytłumaczenie, jakie znalazłam dla omdlenia panny Harriet wcześniej owego popołudnia. Byłam przekonana, że to nie dlatego że McBurney usiłował ją udusić, lecz dlatego że jej dotknął. Proszę mi wierzyć, wielokrotnie się przyglądałam, jak wycofuje się za każdym razem, gdy tylko on do niej podchodzi. Raz na przykład w korytarzu – jeszcze przed amputacją, kiedy wszystkie miałyśmy z nim najlepsze relacje – wszedł z ogrodu, gdy ona schodziła po schodach, i zatrzymał ją gestem, który on sam pewnie uważał za elegancki. Zwrócił się do niej „szanowna pani”, oczywiście tym swoim głupawym akcentem, skłonił nisko i chciał ją pocałować w dłoń. A ona wyrwała mu rękę jak oparzona. A potem spłoszyła i usiłowała się wytłumaczyć, mówiąc, że ją wystraszył czy coś w tym rodzaju.

Innym razem, przy stole, zrobiła dokładnie to samo. Przyszła spóźniona, a on wstał, odstawił krzesło dla niej i ujął jej ramię, żeby pomóc usiąść, a wtedy panna Harriet wyrwała się z przerażoną miną, chociaż znowu szybko doszła do siebie i rzekła: „Ach, panie McBurney, jakże chłodna jest pańska dłoń”. A wtedy akurat był cieplejszy wieczór niż zwykle, a ona sama miała na sobie swoją zwyczajową sukienkę z długimi rękawami.

Wiem, że po operacji troszczyła się o niego, i należą jej się za to wyrazy wielkiego uznania, bo też musiało przecież być dla niej zupełnie koszarne doświadczenie. Trzeba jednak pamiętać, że znajdował się wtedy w fatalnym stanie i większość z otaczających go osób myślała, że umrze przed zachodem słońca. Bezładny, nieprzytomny, nie stanowił dla niej żadnego zagrożenia, a co za tym idzie, w ogóle nie czuł, że dotyka go swoją dłonią, a gdyby umarł, nigdy by się o tym nawet nie dowiedział.

Ale można chyba powiedzieć, że kolejne wydarzenia, nawet jeśli całkowicie nie zmieniły biegu zdarzeń, to przynajmniej doprowadziły do przesilenia. W sumie wydarzyły się dwie rzeczy. Pierwszą było to, że postanowiłyśmy otworzyć drzwi od bawialni.

W tej chwili już nie pamiętam, czy zaproponowała to Alice, czy ja.

W każdym razie obie byłyśmy już na schodach, kiedy postanowiłyśmy wrócić i szybko rzucić okiem do środka. „Aby tylko się upewnić, że nic tam złego się nie dzieje”, tak chyba wtedy uzasadniałam. „Aby tylko mieć pewność, że to naprawdę panna Harriet, a nie któraś z najmłodszych dziewcząt”, tak powiedziała Alice, o ile pamiętam.

Rzeczywiście w bawialni znajdowała się panna Harriet we własnej osobie, pijana w sztok i całkiem naga. On też albo prawie. Oboje siedzieli na kanapie.

O dziwo, to McBurney płakał i cały we łzach przeklinał kogoś lub coś. Panna Harriet była chyba całkiem otumaniona winem. Oboje najwyraźniej, oceniając po pustych butelkach walających się po podłodze, spożyli znaczne ilości. W każdym razie ten ich stan – oraz ich zajęcie – spowodowało, że nie zauważyli nas, więc przymknęłyśmy drzwi i poszłyśmy na górę.

Nie skomentowałam tego ani słowem i Alice też się nie odezwała. Pamiętam tylko, że blada jak ściana zagryzała wargi. Kiedy dotarłyśmy do korytarza na piętrze, poszłam prosto do pokoju, ale ona, zamiast iść wyżej, do swojego na drugim piętrze, zatrzymała się przed drzwiami pokoju panny Marthy i zastukała. To była druga z tych rzeczy, o których wspominałam, że się wtedy wydarzyły.

Usiadłam na skraju łóżka, nawet nie tyle nasłuchując, ile po prostu słysząc, jak panna Martha otwiera drzwi i z rozdrażnieniem w głosie pyta Alice, czego ta od niej chce.

– Myślę, że powinna pani zejść na dół i zajrzeć do bawialni – oznajmiła Alice. – Zastanie tam pani coś, co może panią zainteresować.

Słyszałam tylko tyle, ponieważ nagle zauważyłam, że na przednią część sukienki skapuje mi krew, ponieważ okazało się, że – mimowolnie, może niejako naśladując Alice – też zagryzałam wargi. Wstałam po chusteczkę, a po drodze zamknęłam drzwi do swojego pokoju. Dlatego nie potrafię powiedzieć, czy Alice miała coś jeszcze do powiedzenia pannie Marcie ani czy panna Martha natychmiast zeszła na dół.

MARIE DEVERAUX

Historia, którą opowiedział mi Johnny, była naprawdę okropna i przygnębiająca. Dotyczyła mojego leżącego w pobliskim lesie i wykrwawiającego się na śmierć z powodu strasznej rany ojca.

– Czy wyświadczysz umierającemu człowiekowi przysługę, Jankesie? – powiedział rzekomo Johnny’emu. – Udaj się do Farnsworth Hall i sprawdź, jak sobie radzi moja córka. Tutaj jest mnóstwo czarnych protestantów, więc jeśli jesteś dobrym, praktykującym katolikiem, a sądzę, że tak, zatrzymasz się tam i sprawdzisz, czy możesz coś dla niej zrobić. Nie zaznam pokoju w moim grobie, dopóki nie dowiem się, czy zachowuje wiarę, Jankesie, i czy prowadzi się tak jak na młodą damę przystało.

Oczywiście od samego początku powinnam domyślić się, że było to wierutne kłamstwo, ponieważ mój ojciec nie mówiłby takimi słowami, a poza tym niezły byłby z niego numerant, gdyby mówił o zachowywaniu przeze mnie wiary, ponieważ sam wcale najlepiej jej nie zachowuje. Niemniej trochę w to wtedy uwierzyłam, ponieważ pewna drobna sprawa nieco mnie martwiła... chodziło mianowicie o zjedzenie w piątek kawałka solonej wieprzowiny, jeśli już chcecie wiedzieć... i Johnny wiedział o tym, i zbeształ mnie za to, mówiąc, że wie, iż od dłuższego czasu dość często jadam mięso w piątki.

To mogła być prawda, w zależności od tego, co uznamy za „dość często”, choć teraz sądzę, że wcale o tym nie wiedział, lecz tylko się domyślał. Tak czy inaczej wiem, że jedzenie mięsa w piątki jest niewłaściwe i w związku z tym stoczyłam już wiele poważnych bitew w moim sumieniu. Niestety, jeśli chodzi o rywalizację pomiędzy moim sumieniem a apetytem, ten ostatni niemal zawsze okazuje się silniejszy.

Panna Martha, która moim zdaniem potajemnie sprzeciwia się katolicyzmowi, choć prawdopodobnie nigdy by się do tego nie przyznała, czasem bardzo mi wszystko utrudnia, nakazując Mattie podawać mięso

w piątek, po tym jak prawie go nie jadłyśmy przez cały tydzień albo i dłużej. W istocie pewnego razu wspomniałam o tym Johnny'emu, który się ze mną zgodził, mimo że sam nigdy nie przestrzegał piątkowego postu podczas swojego tu pobytu. Oczywiście uzasadnił swoją postawę specjalnym pozwoleniem, wydanym rzekomo przez papieża udzielającego dyspensy wszystkim Irlandczykom walczącym w wojsku Unii.

Naturalnie nie uwierzyłam mu. Jestem pewna, że gdyby papież chciał kogoś w tej wojnie faworyzować, wybrałby naszych chłopców i im zapewniłby specjalne łaski, a nie Jankesom. Mamy przecież w tej części kraju tylko ze dwa rodzaje protestanckich heretyków: członków Kościoła episkopalnego, takich jak siostry Farnsworth, oraz baptystów, takich jak Mattie. Na północy mają setki różnych rodzajów odszczepieńców, nie wspominając o poganach, Żydach i Bóg wie jakich jeszcze barbarzyńcach.

Chyba powinnam wrócić do początków mojego sporu z Johnnym. Wydaje mi się, że nasze problemy zaczęły się po tym, gdy – jak to Alice i Emily ujmują – panna Martha przyłapała go w łóżku z panną Harriet. Tak naprawdę w bawialni nie ma żadnego łóżka, a jedynie stara sofa, która z całą pewnością odgrywa istotną rolę w tej historii, jeśli dobrze się nad tym zastanowić.

Niestety nie widziałam niczego, co działo się tamtej nocy. O kilku rzeczach słyszałam, lecz żadnej nie zobaczyłam, bo choć zbiegłam na dół, gdy tylko zaczęły się krzyki, panna Martha okazała się nieco zbyt szybka. A było to tak, że wybiegła z bawialni i krzyknęła:

– Każda dziewczyna, która tej nocy zejdzie po schodach, zostanie wydalona ze szkoły!

– A jeśli wybuchnie pożar? – odkrzyknęłam, lecz nie sądzę, aby mnie usłyszała, ponieważ natychmiast z powrotem weszła do bawialni i zatrzasnęła za sobą drzwi.

Cóż, prawdopodobnie i tak wykorzystałabym okazję i zbiegałbym na dół po schodach, aby choć przez chwilę popodsłuchiwać przez dziurkę od klucza, lecz szpieg w naszych szeregach, panna Emily Stevenson, chwycił mnie za ramię – szarpiąc je boleśnie, co powinnam dodać – odciągając mnie, zanim zdążyłam zejść choćby o jeden stopień.

Cała sprawa nie skończyłaby się na tym – zapewniam was – gdybym wówczas przez otwarte drzwi do pokoju panny Marthy nie zobaczyła Alice Simms. Siedziała na jej łóżku, szlochając tak, jak gdyby ktoś złamał jej serce w co najmniej dziesiętnastu miejscach. Oczywiście od razu z Emily zapomnieliśmy o tym, co nas poróżniło, i poszliśmy wypytywać Alice.

Tak oto dowiedziałyśmy się, pomiędzy chlipnięciami, co stało się na dole. Do dziś nie mam pojęcia, jakim cudem Alice obudziła się i zeszła na dół, no chyba że miała intencje podobne do zamiarów panny Harriet i doznała brutalnego wstrząsu, gdy zorientowała się, że jej nauczycielka ją ubiegła. Naturalnie niezbyt chętnie dałam wiarę wyjaśnieniom Alice, która twierdziła, że gdy usłyszała jakieś hałasy, zaniepokojona zeszła na dół, gdzie ujrzała Edwinę podsłuchującą pod drzwiami bawialni.

Moje drwiny wynikały stąd, że zwykle śpię najpłycej w całym domu, a niczego nie słyszałam dopóty, dopóki panna Martha nie zeszła na dół i nie zaczęły się krzyki. Jeszcze większy cień na wyjaśnienia Alice rzuca fakt, że jej pokój znajduje się na drugim piętrze, dlatego musiałaby być osobą o nadzwyczajnie czułym słuchu, aby usłyszeć odgłosy rozmowy dochodzące z pierwszego piętra.

Oczywiście, nawet mając poważne wątpliwości co do powodów, dla których zeszła na dół, trudno powątpiewać w szczerść jej nieszczęścia spowodowanego tym, czego stała się świadkiem. Naprawdę można było odnieść wrażenie, że dziewczyna ta strasznie zadurzyła się w Johnnym, przez co teraz cały sens jej egzystencji legł w gruzach. W istocie szlochała tak straszliwie, że niewiele brakowało, a nie udałoby mi się wyciągnąć z niej całej historii.

Tak czy owak nasze wypytywanie Alice musiało dobiec końca, ponieważ znowu z dołu dobiegł hałas, a gdy wraz z Emily wyszliśmy z pokoju, ujrzałyśmy pannę Marthę wciągającą swoją zamroczoną siostrę do góry po schodach oraz McBurneya, owiniętego kocem niczym jakiś biedny, zszargany Indianin, stojącego w drzwiach salonu na jednej nodze i krzyczącego: „A niech to szlag, nie zapraszałem jej! Jezu Bolesciwy, nie posyłałem po nią! Tysiąc razy jej mówiłem, aby mnie zostawiła, ale nie chciała, a niech to!”. A także

bardziej bluźniercze słowa.

Panna Martha nie zwracała na nikogo uwagi, tylko kontynuowała mozolną wspinaczkę, jednym ramieniem ściskając pannę Harriet w talii, druga natomiast co jakiś czas lekko pociągając za włosy, co mogłoby służyć podtrzymywaniu jej bezwładnie opadającej głowy, tak by nasza pani dyrektor mogła widzieć, dokąd idzie, lecz bardziej wprawny obserwator potrafił zorientować się, że była to forma drobnej reprimendy. Powinnam dodać, że panna Harriet miała na sobie koszulę nocną oraz szlafrok, jako że panna Martha ewidentnie poświęciła trochę czasu na jej ponowne odzianie. Panna Harriet wyraźnie nie odczuwała ani krzty żalu za swe zachowanie, a na jej ustach malował się najgłupszy, koślawy uśmiech, jaki można sobie tylko wyobrazić.

Rzecz jasna moje wrażenia z całej sceny były bardzo pobieżne, ponieważ gdy tylko panna Martha ujrzała mnie i Alice, zaczęła krzyczeć, abyśmy natychmiast wróciły do naszych pokoi, w przeciwnym razie czeka nas jakaś straszna kara lub inne nieszczęście. Naturalnie podekscytowana Emily udała, że te słowa nie odnoszą się do niej, i chciała pomóc pannie Marcie w dźwiganiu ciężaru, lecz za swoje starania dostała takie słowne manto, że aż zrobiło mi się weselej. Słuchanie, jak panna Emily jest w taki sposób przywoływana do porządku, sprawiło mi ogromną przyjemność, aż poszłam do mojego pokoju i zamknęłam drzwi jak przykazano, bez dalszych narzekań.

Moja współlokatorka oczywiście nie spała – jest nawet jeszcze bardziej niż ja wyczulona na wszelkie nietypowe zakłócenia – lecz nie zadała sobie trudu, by wstać i sprawdzić, co się dzieje.

– Zdaje się, że twój przyjaciel znowu ma kłopoty – poinformowałam ją, wchodząc do łóżka. – Obawiam się, że tym razem są one dość poważne.

– Mówiłam ci, że nie interesują mnie biologiczne sytuacje, gdy w grę wchodzi istoty ludzkie – odparła cichutko Amelia. – Bardziej martwię się własnym problemem. Mój żółw znowu jest chory.

– Myślisz, że tym razem to coś poważnego? – spytałam z nadzieją. Szczerze mówiąc, spodziewałam się, że któregoś dnia obudzę się i stwierdzę, że połowa moich palców u stóp została obgryziona przez tego szalonego gada.

– Nie zjadł kolacji, a to do niego niepodobne, gdy dobrze się czuje – wyjaśniła Amelia.

– Nie sądzę, abym i ja zjadła swoją kolację składającą się ze starych, brudnych liści, wysuszonych robaków i żuczków.

W tamtym czasie Amelia przeistoczyła się w prawdziwego przeszukiwacza śmieci, penetrującego dom, budynki gospodarcze i pola, by znaleźć zdechłe owady, aby nakarmić nimi tego idiotycznego żółwia. Naturalnie zależało jej na tym, abyś myślał, że nigdy nie zbiera żywych robali, ponieważ jest tak bardzo przeciwna zabijaniu wszelkich żywych istot, lecz ja zawsze podejrzewałam skrycie, że w te dni, gdy martwych robaków było mało, zdarzyło jej się nadebrać parę żywych, a potem wmawiać sobie, że to wypadek.

– Jeśli Johnny znalazł się tutaj w strasznych tarapatkach i obawiasz się, że może stać mu się coś złego, mogę go stąd zabrać – powiedziała.

– Dokąd byśmy go zabrali? – przeszłam na liczbę mnogą, ponieważ czułam, że odpowiedzialność spoczywa zarówno na mnie, jak i na niej. Może i znalazła go, lecz był moim współwyznawcą.

– Mogłybyśmy zabrać go do mojej kryjówki w lesie – zaproponowała Amelia. – Nikt oprócz nas o niej nie wie.

– Może nie jest to wcale taki zły pomysł – zauważyłam, ujęta świeżością pomysłu. – Mogłybyśmy nocą wykraść jedzenie z kuchni i zanieść mu.

– A także koce z naszych łóżek, gdyby potrzebne mu były tego typu udogodnienia.

– Nie sądzę, aby potrzebował ich bardziej ode mnie – wycedziłam z poirytowaniem. – Tak czy owak, nie powinnyśmy się tym martwić, dopóki nie dowiemy się, jak panna Martha zamierza się z nim obejść.

– Najprawdopodobniej spróbuje go odesłać – stwierdziła sennie Amelia.

Nie wydawało mi się to możliwe.

– Miał okazję, aby nas opuścić i nie skorzystał z niej. Nawet gdyby wyjechał teraz po cichu, nie sądzę, aby to usatysfakcjonowało pannę Marthę. Będzie chciała go surowo ukarać.

Oczywiście sposób, w jaki zamierzała to uczynić, wykraczał poza moje

zdolności pojmowania. Tym razem z całą pewnością nie zgodziłabym się bez względu na to, jakiego typu byłaby to kara, ponieważ w tamtym czasie nie żywiłam jeszcze do Johnny'ego żadnych pretensji.

W istocie następnego ranka wstałam wyjątkowo wcześnie i wraz z Amelią zeszłam na dół, aby przedyskutować z nim całą sprawę, a także spróbować wyciągnąć nieco więcej szczegółów na temat tego, co minionej nocy zaszło między nim a panną Harriet.

Było krótko przed wschodem słońca, zanim jeszcze obudzili się pozostali domownicy. Zasadniczo nie jestem takim rannym ptaszkiem jak moja współlokatorka, lecz tamtego ranka otworzyłam oczy niemal tak szybko jak ona, wyskoczyłam z łóżka, ubrałam się i dwie minuty, albo i mniej, później mogłam już podążyć za nią korytarzem. Wszystko to zrobiłyśmy, nie zamieniając ani słowa. Dokładnie wiedziałyśmy, co zamierzamy i nie było potrzeby tego omawiać.

Gdy schodziłyśmy na palcach po schodach, rzuciłam od niechcienia, aby przypomnieć jej, jak trudno mnie oszukać.

– Całe szczęście, że wstałam, bo nie sądzę, abyś chciała mnie budzić.

– Masz rację – przyznała, jak gdyby nigdy nic. – Nie musimy obie iść, żeby przestrzec Johnny'ego. Przyproceedziłam go tu i mogę bez twojej pomocy go stąd zabrać.

– Nie bądź taka samolubna – odparowałam.

– To nie samolubstwo. Rzecz w tym, że istnieje spore prawdopodobieństwo, iż wywołasz jakieś kłopoty i wszystko zepsujesz. Znacznie bezpieczniejszy jest ze mną samą.

– To niedorzeczne – zachnęłam się.

– Czyżby? Już zaczynasz hałasować. Jeśli nie przestaniesz gadać, cały dom się obudzi.

– Mówisz tyle, ile ja – uświadomiłam jej.

– Proszę, idź do łóżka – błagała. – Mogę zabrać go do lasu szybko i po cichu. Potem będziesz mogła przyjść się z nim zobaczyć.

– Wykluczone – odparłam. – Idziemy we dwie.

Tak właśnie spierając się, weszliśmy do bawialni. Ku mojemu zaskoczeniu Johnny już nie spał, był kompletnie ubrany i absolutnie trzeźwy. Siedział na sofie z kulami na kolanach, ogolony i uczesany tak schludnie, jak gdyby wybierał się do kościoła, a nie do lasu. Tylko jedna rzecz w jego wyglądzie była niecodzienna, jeśli pominąć schludny wygląd, a mianowicie jego nerwowość. Siedząc tam, wyraźnie się trząsł.

– No proszę – powiedziałam, aby go nieco rozbawić. – Nie widzę żadnych oznak słynnej już hulanki, która ponoć się tu odbyła zeszłej nocy. Przede wszystkim nie widzę żadnej z setek pustych butelek, które powinny pałętać się po podłodze, a o które panna Alice Simms miała potknąć się podczas swojej próby ucieczki.

– Były tylko trzy butelki – wyznał cicho. – Tyle właśnie panna Harriet tu przyniosła. Postawiłem je w kuchni, jeśli chcesz zobaczyć.

– Nie, wierzę panu na słowo. Wiem, że Alice strasznie przesadza. A co z panną Harriet? – spytałam.

– Nie prosiłem, aby schodziła. Usiłowałem odesłać ją z powrotem na górę. Bóg mi świadkiem, że się starałem. Przyniosła tutaj to wino i większość sama wypijała. Bóg mi świadkiem, że to zrobiła, a potem zaczęła się rozbierać. Błagałem ją, aby przestała, lecz ona nie chciała. Śmiała się tylko i płakała jak szalona, a potem zaczęła zdzierać ze mnie koszulę i spodnie... Przysięgam na Boga! Nie to, że mam coś przeciwko takim figlom, ale nie jestem aż tak głupi, żeby rozrabiać ze starą kobietą...

– Och, ja panu wierzę, Johnny – zapewniłam. – Jestem pewna, że Amelia także, lecz nie możemy mówić za pozostałych. Jeśli chodzi o pannę Marthę, to pewnie nie będzie chciała panu uwierzyć, nawet gdyby mógł pan to udowodnić... ze względu na honor rodziny, no wie pan, i tego typu rzeczy.

– Czy panna Harriet nie mogłaby powiedzieć prawdy na ten temat? – zastanawiała się Amelia.

– Wątpię. Nawet, jeśli pamięta, co tak naprawdę się stało, co jest wątpliwe, skoro tak bardzo była pijana, panna Martha nigdy nie pozwoli jej tego przyznać – oceniłam sytuację.

– Zastanawiałem się nad tym wszystkim – powiedział Johnny. – Lepiej,

abym stąd zmykał. Mam dość tego nawiedzonego miejsca.

– Och, przez większość dni nie jest tu aż tak źle. – Stałam w obronie pensji.

– Nie masz o niczym pojęcia – kontynuował Johnny. – Nie widziałaś ani nie słyszałaś jej... gdy myślała, że jestem kimś innym, a może tylko udawała, że tak myśli...

– Jeśli naprawdę chce pan odejść, to po to właśnie tu jesteśmy – wtrąciła Amelia. – Możemy zabrać pana w cudowne miejsce w lesie.

– A co ja tam będę robił? – zdziwił się Johnny.

– Ukrywał się. To świetna kryjówka – wyjaśniła Amelia.

– Jak długo?

– Całe tygodnie albo miesiące nawet. Aż zacznie się pora deszczów albo gdy minie niebezpieczeństwo – uściśliłam.

– Jakie znowu niebezpieczeństwo?

– Ze strony temperamentu panny Marthy. Myślę, że będzie pan musiał zostać tam tak długo, aż krew panny Marthy nieco ostygnie, a to może potrwać – dodałam.

– Moim zdaniem powinien pan tam pójść i zostać, i to zaraz – zdecydowała Amelia. – Poza tym nie powinien pan tu kiedykolwiek wracać. Spodoba się tam panu, Johnny. Jest tam stary pusty pień, w którym mógłby pan spać w nocy, a w ciągu dnia jest mnóstwo interesujących rzeczy do oglądania. Są rośliny, które można rozpoznawać, drzewa i ptaki, a także wiele wspaniałych przejawów aktywności przyrody. Wiewiórki i pręgowce gromadzące pożywienie, przeróżne owady ze swoimi romantycznymi rytuałami, lisy doglądające młodych... i mnóstwo rzeczy do jedzenia... orzechy i jagody, i dziki miód... mógłby pan zostać tam na zawsze, Johnny.

– Ty głupie stworzenie, co to ja jestem... jakieś zwierzę? – zawołał.

– Tak, z całą pewnością nim pan jest – oznajmiła chłodno. – Czasem tylko nie jest pan tak miły jak większość innych zwierząt. Niemniej znalazłam pana i mam obowiązek się panem opiekować. No więc chce pan iść do lasu czy nie?

– Nie, nie... a przynajmniej nie teraz, słonko.

– Zatem decyzję pozostawiam panu – odparła Amelia. – Na pańskim miejscu nie czekałabym zbyt długo.

I zdecydowanym krokiem wyszła z pokoju.

– Sądzę, że mogłeś zranić jej uczucia – zauważyłam.

– Nic mnie to nie obchodzi – odparł. – Musi być równie szalona jak niektóre z pozostałych tutaj, jeśli sądzi, że będę chciał leżeć w wilgoci i brudzie z robakami i pełzającymi kłującymi paskudztwami.

Muszę przyznać, że pewnie w innych okolicznościach bym odpuściła, ale tym razem poczułam, że powinnam wstawić się za współlokatorką.

– Amelia jest pańską przyjaciółką – uzmysłowiłam mu. – Powinien pan o tym pamiętać.

– Ty jesteś tutaj moją największą przyjaciółką, dziecko. Nie wiesz o tym? Widzisz sprawy tak jak ja. Nie jesteś uwikłana w te wszystkie głupstwa i bzdury. Oboje jesteśmy też tej samej wiary, nieprawdaż? Jesteś zatem tą, na której pomoc mogę liczyć.

– Czego pan ode mnie oczekuje? – spytałam.

– Pomóż mi się stąd wydostać. Ale nie tylko, bądź moją towarzyszką. Sam daleko nie zawędruję na jednej nodze, bez pieniędzy, ubrany w to, co zostało po jankeskim mundurze. Jeśli wasi chłopcy mnie dorwą, wyślą do Andersonville albo w jeszcze gorsze miejsce, a jeśli moi towarzysze mnie zobaczą kręcącego się tutaj, zastrzelą jeszcze przed zmrokiem za dezercję. Pójdiesz ze mną, Marie?

– Zanim postanowię, niech mi pan opowie coś więcej o tym, co panna Harriet zrobiła zeszłej nocy.

– Ależ nie mogę, nie mogę, ty mała łobuziaro!

– A co się stało, gdy panna Martha tu weszła?

– Po prostu wyciągnęła stąd swoją siostrę, to wszystko! Ty diabelskie dziecko, już za dużo powiedziałem! No więc pójdiesz ze mną, Marie? Znasz tutejsze ścieżki, a przynajmniej niektóre z nich, a ja mógłbym podawać cię za moją córkę, a może nawet za młodszą siostrę, dzięki czemu zaskarbiliśmy

sobie mnóstwo sympatii.

– Niech pan weźmie Alice lub Edwinę i przedstawia ją jako swoją żonę.

– Nie poszłyby ze mną żadna z nich po zeszłej nocy!

– Zatem jestem trzecia w kolejce?

– Nie, nie jesteś, słońce moje. Jesteś dla mnie numerem jeden, a Amelia byłaby zaraz po tobie, lecz wiem, że odmówiłaby zabrania mnie dokądkolwiek poza tym cholernym starym lasem. Chcę uciec daleko stąd, Marie. A niech to, chcę do domu!

– Cóż, dobrze pana rozumiem – przyznałam. – Każda z nas chciałaby uciec z tego ponurego miejsca. W istocie sama zamierzam pojechać do domu, gdy tylko mój ojciec po mnie przyjedzie. Dlatego właśnie nie mogę nigdzie z panem iść, Johnny.

– Ale to nie potrwa długo. Wystarczy, że dojdziemy na drugą stronę rzeki, z dala od obu armii. To nie potrwa dłużej niż dzień lub dwa, no może tydzień. Będę wtedy bezpieczny i będę mógł iść sam, a ciebie odesłać tu koleją.

– Nie sądzę, aby obecnie w tej okolicy jeździły jakiekolwiek pociągi.

– Zatem mogłabyś wrócić powozem lub w inny sposób. Znajdę jakiś szybki sposób, aby cię tu z powrotem odesłać.

– Skąd zdobędzie pan pieniądze, skoro teraz nie ma pan nic?

– Nazbieram je gdzieś. Nieszczęsny kaleka ze słodką małą dziewczynką nie będzie miał kłopotu z zebraniem pieniędzy.

– Czy chce pan przez to powiedzieć, że będziemy żebrać?

– Ależ nie. Jeśli tylko będziemy wyglądać tak, jakbyśmy ich bardzo potrzebowali, mnóstwo osób zechce dać nam je bez próśb z naszej strony.

– Dalej wygląda mi to na żebranie. – Nie dałam się przekonać. Nie miałabym nic przeciwko temu, by spróbować na dzień lub dwa, chociażby tak dla urozmaicenia, ale nie wiem, co powiedziałby mój ojciec, gdyby tutaj przyjechał i dowiedział się, że w coś takiego się zaangażowałam.

– Posłuchaj, słonko – prosił Johnny. – Muszę ci coś powiedzieć. Powinienem był powiedzieć ci to od razu, ale nie wiedziałem, jak zacząć. Robię to teraz tylko dlatego, że nie chcę odejść, pozostawiając cię zdaną na

łaskę tych dwóch starych bab.

Wtedy wysłuchałam tej dziwacznej historii o spotkaniu z moim umierającym ojcem, który wysłał go tu, aby się mną opiekował. Cóż, jak mówiłam, teraz wydaje się to niedorzeczne, lecz wówczas byłam przejęta.

Głównym powodem, dla którego uwierzyłam w to, był sposób, w jaki Johnny wszystko mi opisał. Chłopak naprawdę potrafił relacjonować zdarzenia bardzo przekonująco. Tym razem mówił bardzo cicho, ściskając moją dłoń, wykrzywiając swoją twarz w grymasie tak wielkiego smutku, że aż udało mu się wycisnąć ze dwie łzy, aby dotrzymać mi towarzystwa, gdy ujrzał, że zaczynam płakać.

Muszę mu jednak pod jednym względem oddać sprawiedliwość, ponieważ nie sądzę, aby przewidział moją reakcję na takie wieści. Domyślałam się, że nie uświadamiał sobie, jak silna więź łączy mnie z moim ojcem, ponieważ najwyraźniej jest coś takiego w moim charakterze, co sprawia, że ludzie zakładają, iż nie jestem zdolna kogokolwiek kochać. Może Johnny myślał, że tylko na chwilę przejmę się jego opowieścią, a potem szybko dojdę do siebie i wyruszę z nim. To również stanowiło element kłamstwa, gdyż miało być to coś, czego mój „umierający” ojciec ode mnie rzekomo oczekiwał.

Tak czy inaczej wpadłam w przygnębienie. Narobiłam tyle hałasu, że Johnny się przestraszył. Wtedy właśnie powiedział mi chyba jeszcze gorsze kłamstwo... pewnie usiłując mnie w ten sposób zatrzymać w pokoju, aż zdoła mnie uspokoić.

Szlochając bardzo głośno, podeszłam do drzwi, na co Johnny skoczył i tak szybko, jak tylko potrafił, pokuśtykał, aby przeszkodzić mi w wyjściu z pokoju. Najwyraźniej uważał, że lepiej będzie, jeśli nie powtórzę historii o moim ojcu innym. Wiedział, że panna Martha i panna Harriet mogłyby próbować przekonać mnie, że cała historia została zmyślona, a gdyby się im to udało, mogłabym stać się jego śmiertelnym wrogiem.

Dlatego właśnie potem skłamałam jeszcze bardziej. Powiedział, jakobym to ja odpowiadała za śmierć mojego ojca. To dlatego, że Pan pognewał się na mnie z powodu jedzenia mięsa w piątek. Wówczas sprawy przybrały jeszcze gorszy obrót. Powiedziałam, że mam zamiar poprosić pannę Marthę o pozwolenie na

powrót do domu, abym mogła zobaczyć się z matką, na co odrzekł, że matka nie chce mnie znać po tym, co zrobiłam, dlatego jedyne, co mi pozostało, to o całej sprawie zamilknąć i odejść wraz z nim. Wtedy też puścił mnie, ale wyszedł za mną na korytarz.

– Wszystko będzie dobrze, skarbie – zawołał cicho, gdy wchodziłam po schodach. – Nie martw się niczym, słonko. O wszystko się zatroszczę.

Naprawdę sędzę, że zrobiło mu się przykro niemal natychmiast po tym, jak powiedział mi te wszystkie straszliwe kłamstwa. Jestem przekonana, że gdyby wiedział, jak zareaguję, nigdy by tak nie postąpił. No i na pewno gdyby wiedział, jak wpłynie to na moje późniejsze zachowanie, w życiu by tego nie zrobił. W takim przypadku, oczywiście, wcale nie musiałby być szalony, aby wykorzystać okazję, by mnie obrazić bądź zastraszyć. W tamtym czasie bowiem bardzo tęskniłam za moją matką i podobnie jak Johnny rozpaczliwie pragnęłam pojechać do domu. Może to wydawać się nieco zaskakujące, ponieważ moja matka nigdy nie traktowała mnie z empatią, jak mój ojciec, i byłam dla niej chyba znacznie większym utrapieniem niż dla niego.

Gdy jednak myślisz, że straciłeś jednego rodzica, w naturalnym sposób kierujesz myśli ku temu drugiemu w nadziei, że okaże się teraz wobec ciebie nieco bardziej wyrozumiały i tolerancyjny. Uświadomiłam sobie, rzecz jasna, że nie ma mowy o żadnym nowym uczuciu, jeśli matka słyszała tę straszną historię na mój temat od Johnny'ego. Moja matka jest osobą religijną, która połowę życia poświęciła modlitwie, dlatego byłam pewna, że uzna moją winę za śmierć ojca za jeszcze jeden akt diabelstwa ze strony krnąbrnej córki.

Dlatego było dla mnie jasne, że jeśli miałabym kiedykolwiek znowu pojechać do domu, nie mogłaby usłyszeć o mojej grzeszności. Równie oczywiste wydawało się to, że nie mogę zaufać Johnny'emu McBurneyowi, że jej o tym nie powie, jeśli nie pójdę z nim i nie zostanę jego przewodnikiem, żebraczką, a może nawet służką. A nawet wówczas – nawet gdybym poszła z nim i robiła wszystko, o co by prosił – wciąż nie mogłabym mu zaufać, że któregoś dnia jej o tym nie powie, ponieważ cechowała go impulsywność. Rozdrażniony moją osobą mógł napisać na ten temat do mojej matki i na zawsze zrujnować mi życie. Z tego samego powodu nie zamierałam niczego

powiedzieć pannie Marcie ani pannie Harriet. Nie było żadnej gwarancji, że któraś z nich nie zdenerwuje się na mnie z jakiejś banalnej szkolnej przyczyny i nie poinformuje mojej matki o całej historii. Oczywiście teraz nie obawiam się, że ktoś się o tym dowie, odkryłam bowiem fałsz Johnny'ego.

Tak czy inaczej ostatecznie wszystko to przyniosło McBurneyowi strasznego pecha – to znaczy moje nieinformowanie o tym nauczycielek – bo gdybym natychmiast im o tym powiedziała, panna Martha, a może panna Harriet, pewnie uświadomiłaby sobie niedorzeczność całej opowieści, poszłaby do bawialni i wydobyła z niego całą prawdę. Wówczas oczywiście zmieniłoby to moje nastawienie do niego. To znaczy niewątpliwie byłabym na niego zła, że mnie tak okłamał, lecz nie bałabym się już, że zdradzi coś mojej matce.

Poszłam do swojego pokoju i położyłam się na dłuższą chwilę na łóżku. Amelia udała się do lasu albo w jakieś inne miejsce, więc pozostałam z moimi problemami sama. Mniej więcej pół godziny później usłyszałam, jak pozostałe dziewczęta budzą się i schodzą na śniadanie. Jeśli moja nieobecność została zauważona, nikt niczego w związku z tym nie zrobił. Po pewnym czasie zasnęłam i spałam kilka godzin. Po położeniu słońca rozpoznałam, że jest już południe. Stawałam się nie tylko głodna... ale także zaczynałam odczuwać pewną irytację, że nikt nie zadał sobie trudu, aby wezwać mnie na śniadanie albo na poranne lekcje – nie żebym za nimi tęskniła, oczywiście – czy nawet zajrzeć do mnie i sprawdzić, jak się miewam.

Leżałam tak sobie, pocieszając się trochę w moich udrękach i zastanawiając się, co mogłabym zrobić, żeby powstrzymać Johnny'ego przed poinformowaniem mojej matki, kiedy Emily Stevenson z hukiem otworzyła drzwi i wpadła do pokoju – bez pukania, oczywiście. Nasz uczniowski generał jest ponad takie uprzejmości.

– Dlaczego płaczesz? – spytała.

– Nie płaczę! – krzyknęłam na nią. Przypuszczam, że płakałam, lecz nigdy bym się do tego przed nią nie przyznała.

– Z całą pewnością płaczesz, a sądząc po twoim nieszczęsnym wyglądzie, robisz to od dawna. Twoje oczy są spuchnięte, nos czerwony, a policzki w paski w miejscu, gdzie łyzy zmyły brud.

To mnie rozzłościło.

– Nie twoja sprawa, jak wyglądam! Poza tym nie musisz tu przychodzić, aby powiedzieć mi, że mam iść na lekcje, ponieważ i tak nie pójdę! Nie czuję się dobrze! – Zakończyłam małym przekleństwem, które tak naprawdę nie jest takim strasznym słowem, ponieważ mój ojciec dość często go używa, jednak mimo to sądzę, że nie jest to coś, co powinno się powtarzać.

– Umyjesz buzię mydłem, panienko – zarządziła Emily. – Wyszorujemy ci język, jeśli nie całą resztę.

– Nie ma mowy. Przy dzisiejszych brakach mydła pannie Marcie nie przyszkoby do głowy, aby straszyc mnie czymś takim – ofuknęłam ją.

– Zatem poradzę jej, aby potraktowała cię czymś innym. Jeśli czujesz się chora, damy ci kilka łyżek oleju rycynowego i jutro poczujesz się lepiej.

– Tylko spróbuj – brzmiała moja odpowiedź. – Nie zapomnij, co stało się z palcem panny Harriet, gdy zeszłej zimy usiłowała wmusić we mnie olej rycynowy. Jak pamiętasz, została ugryziona, a panna Alice Simms dostała niezłego kopniaka w kolano za to, że pomagała przytrzymywać mi nogi.

Słowa te najwyraźniej dały Emily do myślenia, ponieważ stała i wpatrywała się we mnie przez chwilę.

– Ty ohydny bachorze, nie wiem, po co cię włączać w tak ważne sprawy jak ta, lecz panna Martha twierdzi, że musisz przy tym być. Za kilka minut wszystkie spotykamy się w bibliotece i oczekujemy, że tam będziesz – zapowiedziała.

– Mówiłam ci, że nie pójdę dzisiaj na żadne lekcje.

– To nie lekcja. To spotkanie w sprawie McBurneya.

– Nie chcę mieć nic wspólnego z Johnnym McBurneyem ani teraz, ani nigdy więcej – zdecydowałam.

– Taki właśnie jest cel spotkania. Żadna z nas nie chce już mieć z nim do czynienia, dlatego musimy postanowić, co z nim zrobić, ponieważ wydaje się, że zwykłe ignorowanie go nie działa dobrze.

– Niczego złego ci nie zrobił – powiedziałam nie do końca po to, aby obronić Johnny'ego, lecz by kontynuować kłótnię z Emily.

– Czyżby? Grozi tylko, że przekaze ważne informacje Jankesom, przez co przegramy całą wojnę, to wszystko. Poinformował mnie o takim zamiarze niespełna dwie godziny temu.

– A skąd niby czerpie takie wiadomości? – spytałam.

– Ma je ode mnie, skoro już musisz wiedzieć. Bardzo nieroztropnie powiedziałam mu to i owo, przekazując poufne informacje na temat naszych planów i strategii, ponieważ myślałam, że jest przyjacielem, a poza tym usiłowałam w ten sposób odwrócić jego myśli od własnych problemów. I tak teraz mi odpłaca, mówiąc, że gdy tylko stąd wyjdzie albo gdy tylko oddziały Jankesów lub konfederatów dowiedzą się o jego obecności tutaj, zamierza zdradzić nas... a zwłaszcza mnie i mojego ojca.

To wspomnienie jej ojca – który powinien zostać zdradzony, jeśli o mnie chodzi, skoro jest tak głupi, by powierzać informacje wojskowe swojej córce – sprawiło, że zaczęłam myśleć o własnym ojcu i znowu dostałam ataku płaczu.

– No już, już, maleńka – wzruszyła się Emily, najwyraźniej sądząc, że martwię się przegraną wojną. – Wszystko będzie dobrze. Nie pozwolimy, aby McBurney nas skrzywdził.

I tak oto – ponieważ jak sędzę, czekałam na jakieś ramię, na którym mogłabym się wyplakać – zapłakałam na ramieniu Emily. To pokazuje, jak bardzo byłam zdesperowana, a że tak właśnie się czułam, dałam sobie pomoc przy wstawaniu z łóżka i prowadzeniu na dół po schodach, do biblioteki, gdzie niemal wszyscy już siedzieli, czekając na rozpoczęcie słynnego spotkania.

Wydaje mi się, że pojawili się wszyscy oprócz Amelii, która – jak później się dowiedziałam – spędziła cały dzień w lesie, przygotowując kryjówkę dla Johnny’ego. Oczywiście jego samego na początku również na nim nie było, choć później przyszedł. Tak czy owak nieobecność Amelii mnie pokrzepiła, ponieważ to wyjaśniało, dlaczego nie poszła na górę, aby zapytać o mnie wcześniej. Przynajmniej mogłam teraz myśleć, że choć nikt w tym domu nie interesował się moim stanem, Amelia zainteresowałaby się, gdyby była na miejscu.

HARRIET FARNSWORTH

Nota pierwsza. Większość poniższej rozmowy i zeznań została spisana dokładnie tak, jak wydarzyło się to po południu trzeciego lipca, choć zapis ten stanowi kopię sporządzoną na podstawie moich pobieżnych notatek z tamtego dnia.

Nota druga. Panna Martha Hale Farnsworth i ja odbyliśmy długą dyskusję na temat prawidłowego nazewnictwa spotkania z dnia trzeciego lipca na potrzeby poniższego zapisu. Moje stanowisko było takie, że sytuację najlepiej opisuje „Przebieg dochodzenia”, gdyż proponowane przez moją siostrę słowo „Proces” zakłada usankcjonowany autorytet prawny, którego nie posiadałyśmy ani wtedy, ani nie mamy go teraz. Moja siostra twierdzi jednak, że obecne czasy i nasza ekstremalna izolacja nadają nam tymczasową władzę sądowniczą. Uważa też, że skoro została wtedy podjęta decyzja i wydano wyrok, to znaczy, że proces się odbył. Może ma rację, przynajmniej jeśli chodzi o podstawową definicję tego słowa. Ponieważ jednak to ja sporządzam ów zapis, uważam za swój przywilej zatytułować go tak, jak dyktuje mi sumienie. To jednak sprawa mało istotna, gdyż zarówno moja siostra, jak i ja zdajemy sobie sprawę, że sprawiedliwość nie zależy od definicji jednego słowa.

WSTĘPNE DOCHODZENIE

Mniej więcej pół godziny po dwunastej trzeciego lipca panna Martha Farnsworth ogłosiła, że jest gotowa otworzyć nasze zebranie. Czas rozpoczęcia jest jedynie przybliżony, ponieważ zegar w bibliotece dwa razy w tym roku stanął i musiał być nakręcany według słońca, gdyż nie miałyśmy w tym okresie żadnych gości, którzy mogliby podać nam dokładną godzinę.

W bibliotece były obecne następujące osoby: panna Martha Farnsworth, panna Harriet Farnsworth, panna Emily Stevenson, panna Edwina Morrow, panna Alice Simms, panna Marie Deveraux oraz Matilda Farnsworth. Jedna

osoba – panna Marie Deveraux – spóźniła się na zebranie, co odwlekło jego rozpoczęcie. Panna Amelia Dabney natomiast przebywała wtedy poza domem i nie stawiała się na spotkanie. Żadna z uczestniczek nie знаła miejsca jej pobytu.

Zasiadłyśmy wszystkie przy stole bibliotecznym: Martha zajęła miejsce u szczytu stołu w starym fotelu naszego ojca, ja usiadłam po jej lewej, Mattie na końcu, a nasze podopieczne pomiędzy nami. Przede mną leżały kartki wyjęte z jednej ze starych ksiąg rachunkowych naszego ojca i świeżo zaostrome pióro, pozostałość po indyku, którego Mattie ugotowała dla kaprala McBurneya kilka tygodni wcześniej. Stał także słoiczek atramentu z jeżyn, który Mattie przygotowała tego ranka. Emily i Alice dogryzały sobie przez chwilę, choć przyznam, że trwało to zadziwiająco krótko.

Oczywiście jednym z powodów względnie spokojnej reakcji na ogłoszenie przesunięcia lekcji była nieobecność naszych dwóch najmłodszych podopiecznych, panny Amelii i panny Marie, które w niemal każdej sytuacji gotowe są wprowadzić nieco zamieszania, a zwłaszcza przy okazji niespodziewanych wydarzeń. Ku mojemu zaskoczeniu Marie, gdy zdążyła już do nas dołączyć, zachowywała się cicho, siedziała spokojnie ze złożonymi dłońmi i nie zwracała na żadną z nas uwagi. Była też dość blada, więc postanowiłam, że jeśli jej stan nie poprawi się do wieczora, trzeba będzie jej podać olej rycynowy i ziołowe lekarstwo Mattie, na wypadek gdyby dopadło ją jakieś przeziębienie.

W pewnej odległości od stołu znajdowało się jeszcze jedno wygodne miejsce siedzące – duży fotel, który zazwyczaj stoi przed kominkiem, naprzeciwko siedzenia ojca. Był on przeznaczony dla kaprala McBurneya, jeśli zdecydowałby się wziąć udział w naszym spotkaniu. Po sugestii panny Marthy Farnsworth na krześle panny Marie położono parę poduszek, żeby mogła siedzieć przy stole na tym samym poziomie co wszyscy.

PRZEBIEG DOCHODZENIA

Panna Farnsworth: *(stuka łyżeczką o filiżankę, by rozpocząć zebranie)*
Niniejszym otwieram nasze posiedzenie. Panno Harriet, proszę o sprawdzenie

listy obecności.

Panna Harriet Farnsworth: (*sprawdza listę obecności*)

Panna Martha Farnsworth: (*wygłasza oświadczenie wstępne*) Chciałabym rozpocząć krótkim oświadczeniem wstępnym. Po pierwsze zależy mi, by wszystkie obecne zrozumiały powagę sytuacji. Za chwilę w szkole Farnsworthów odbędzie się proces sądowy. Uważamy to za konieczny krok, jako że nie możemy obecnie zwrócić się do żadnego innego sądu, który zająłby się tą sprawą. Zrobimy, co w naszej mocy, by odkryć prawdę na temat pewnych wydarzeń, a następnie na podstawie tej wiedzy podejmiemy takie działania, jakie będą dla nas wszystkich najlepsze. Jak wszystkie wiemy, przebywająca u nas osoba została oskarżona o bardzo poważne przestępstwa. Ów człowiek może być też winny innych, równie poważnych wykroczeń, o które jest podejrzewany, lecz nie zostały mu udowodnione. Naszym obowiązkiem jest sprawdzenie, czy i do jakiego stopnia jest winny zarzucanych mu czynów i co najważniejsze, ocena prawdopodobieństwa powtórzenia przez niego tych samych przestępstw lub popełnienia jeszcze gorszych.

Panna Marie Deveraux: Czy zamierza pani ukarać Johnny'ego?

Panna Martha Farnsworth: Nie jestem jedyną osobą wchodzącą w skład tego sądu, wszystkie go tworzymy. I nie zebrałyśmy się, by kogokolwiek karać. Naszym celem jest znalezienie sposobu na zapewnienie sobie bezpieczeństwa. Chciałabym też przypomnieć, że to spotkanie powinno odbyć się w takim samym duchu powagi i zaangażowania jak nasze spotkania z Bogiem w kościele lub podczas wieczornych modlitw. Poszukiwanie prawdy jest poszukiwaniem Boga.

Mattie Farnsworth: Amen.

Panna Martha Farnsworth: Proszę was wszystkie o niepodzielną i absolutną uwagę. Żadnych chichotów ani wiercenia się. Proszę siedzieć prosto na krzesłach, a głos zabierać jedynie wtedy, gdy będziecie chciały złożyć oświadczenie lub odpowiedzieć na pytanie.

Panna Marie Deveraux: A czy każdy może zadawać pytania?

Panna Martha Farnsworth: Ja będę zadawać pytania. Będę przewodniczącą

tego zebrania.

Panna Edwina Morrow: Skoro to jest sąd, to chyba powinna pani być sędzią?

Panna Martha Farnsworth: Jeśli to cyniczna uwaga, panno Edwino, to jest ona nie na miejscu. Jeśli ma tu być jakiś sędzia, to jesteśmy nim wszystkie.

Panna Alice Simms: Czy Johnny też będzie obecny?

Panna Martha Farnsworth: Zaprosimy go do wzięcia udziału, jeśli będzie sobie tego życzył. Jego obecność nie ma dla nas znaczenia, bo nie będziemy brać pod uwagę jego zeznań.

Panna Harriet Farnsworth: Dlaczego nie, siostro?

Panna Martha Farnsworth: Oczywiście dlatego, że nie możemy mu ufać.

Panna Marie Deveraux: Mogłaby go pani poprosić, żeby przysiągł na mój katolicki modlitewnik.

Panna Martha Farnsworth: Jestem przekonana, że bez względu na rodzaj złożonej przysięgi nie zawaha się dodać krzywoprzysięstwa do listy swoich przewinień. Jeśli jednak chciałby do nas dołączyć, będzie miał prawo wypowiedzi w granicach rozsądku, a my go wysłuchamy. Ten przywilej przysługuje każdemu podczas uczciwego procesu i nie zamierzamy odbierać go panu McBurneyowi. Jeśli jednak będzie obecny na zebraniu, nie wolno wam się do niego uśmiechać ani śmiać z jego żartów, jeśli zechce w ten sposób zakłócić nasze zebranie. W przeszłości zdarzało się nam ulegać jego ujmującemu usposobieniu. Nie możemy znów do tego dopuścić.

Panna Edwina Morrow: Czy ktoś weźmie na siebie rolę jego obrońcy? Wydaje mi się, że taki jest zwyczaj w sprawach sądowych.

Panna Martha Farnsworth: Jeśli panna Edwina lub ktokolwiek inny będzie chciał wypowiedzieć się w obronie oskarżonego, oczywiście ma do tego pełne prawo.

Panna Emily Stevenson: W sądzie wojskowym to sędzia zazwyczaj obejmuje funkcję prokuratora.

Panna Martha Farnsworth: Nie jesteśmy w sądzie wojskowym. Wszystkie jesteśmy sędziami, a jeśli sobie tego życzymy, również adwokatami, a w takim

razie możemy też być prokuratorami. Czy to wszystko? Czy ktoś ma jeszcze jakieś pytania natury technicznej, zanim wezwiemy pana McBurneya?

Panna Harriet Farnsworth: *(po chwili)* Wydaje mi się, że nie ma już żadnych pytań, siostró.

Panna Martha Farnsworth: Doskonale. W takim razie to zebranie odbędzie się w sposób podobny do naszych lekcji. Kiedy ktoś zostanie o coś zapytany, ma odpowiedzieć prędko, zwięźle i zgodnie z prawdą. Jeśli ktoś będzie chciał odezwać się bez pytania albo na chwilę opuścić pokój, proszę podnieść rękę. Pytania i uwagi powinny bezpośrednio wiązać się z tematem. Proszę nie zwracać się bezpośrednio do oskarżonego, a jeśli on zwróci się do którejś z was, proszę kierować odpowiedzi do mnie. Dobrze, gdzie jest oskarżony?

Mattie Farnsworth: W bawialni. A przynajmniej tam był dziś rano, jak mu przyniosłam śniadanie, a potem to żem nie słyszała, żeby się gdzie kręcił.

Panna Alice Simms: Po śniadaniu przynajmniej raz wyszedł z bawialni. Widziałam, jak wraca po schodach do piwniczki z trzema butelkami wina pod pachą.

Panna Martha Farnsworth: To będzie prawdziwe błogosławieństwo, kiedy wreszcie skończy się nam wino.

Panna Harriet Farnsworth: Możliwe, że już się skończyło, siostró. Jeśli wziął trzy butelki, to chyba już ostatnie.

Panna Martha Farnsworth: Dzięki za to Wszchemogącemu. Mattie, idź do bawialni i powiadom pana McBurneya, że może do nas dołączyć.

Panna Harriet Farnsworth: Zaczekaj, siostró. Niektóre sprawy, które będziemy tu omawiać, mogą mieć charakter intymny. Czy uważasz, że wypada, by pan McBurney w tym uczestniczył?

Panna Martha Farnsworth: Te sprawy jego również dotyczą. Zamierzamy omawiać wyłącznie te, z którymi jest bezpośrednio powiązany.

Panna Harriet Farnsworth: Ale dla niektórych młodych dam rozmowa na tak osobiste tematy w jego obecności może być niezręczna.

Panna Martha Farnsworth: Nie obchodzi mnie to. Jeśli się czegoś wstydzą, będą musiały to przecierpieć. Chcę jednak wiedzieć, czy któraś z obecnych

jest temu tak niechętna, że w ogóle nie będzie chciała wypowiadać się w jego obecności.

Panna Harriet Farnsworth: *(po chwili)* Wygląda na to, że nikt nie zamierza odmówić składania zeznań.

Panna Martha Farnsworth: A ty, siostrze?

Panna Harriet Farnsworth: Nie odmówię.

Panna Martha Farnsworth: Bardzo dobrze. W takim razie idź po niego, Mattie.

(W tym czasie odbyła się krótka wymiana zdań, którą również odnotowałam, gdyż zebranie oficjalnie trwało).

Panna Martha Farnsworth: Co robisz, panno Marie?

Panna Marie Deveraux: Próbuję złapać muchę, która mi dokucza.

Panna Martha Farnsworth: Siedź spokojnie, to nie będzie ci przeszkadzać. A ty, panno Alice, co tam rysujesz?

Panna Alice Simms: *(odkłada pióro)* Nic.

Panna Marie Deveraux: Sztylet przebijający serce.

Panna Martha Farnsworth: Panno Marie, ciebie nikt o nic nie pytał. Panno Alice, skoro masz atrament i miejsce w zeszytach, proponuję wykorzystać je na ćwiczenie tabliczki mnożenia albo słówek francuskich.

Panna Emily Stevenson: Może on w ogóle nie będzie chciał tu przyjść. Będzie trzeba go związać i zaciągnąć siłą.

Panna Martha Farnsworth: Nic takiego nie będziemy robić. Jeśli McBurney nie chce słuchać oskarżeń przeciwko sobie, ma do tego prawo.

Panna Marie Deveraux: Ja myślę, że przyjdzie. Dziś są jego urodziny. Może pomyśli, że zorganizowałyśmy dla niego jakieś przyjęcie.

(pan John McBurney wszedł do pokoju, opierając się na kulach, a za nim Mattie, miał na sobie mundur, który Mattie zacerowała i wyprasowała, był gładko ogolony i uczesany oraz prawie trzeźwy)

Kapral McBurney: Dzień dobry wszystkim paniom. Sądziłem, że może dzisiaj obiad będzie podawany tutaj zamiast w jadalni.

Panna Martha Farnsworth: Panie McBurney, zwołałyśmy to zebranie, by omówić oskarżenia wysunięte przeciwko panu. Czy chce pan zostać, żeby ich wysłuchać?

Kapral McBurney: Oczywiście, panno Martho. Jeśli ktoś zamierza o mnie rozmawiać, muszę zostać i posłuchać. Nie każdy młody chłopak dostaje taką szansę, wie pani, żeby posłuchać, jak tyle pięknych pań mówi, co o nim w duszy sądzą. Ale naturalnie jeśli ktoś powie o mnie coś niedobrego, będę musiał zgłosić własne uwagi.

Panna Martha Farnsworth: Zamierzamy mówić tu wyłącznie prawdę, panie McBurney, a jeżeli jest pan do tego zdolny, prosimy pana o to samo. Czy to jest dla pana jasne?

Kapral McBurney: Jasne jak słońce, *madam*.

Panna Martha Farnsworth: Czy mógłby pan zająć miejsce?

Kapral McBurney: (*siada*) Jeśli tego sobie pani życzy, *madam*.

Panna Martha Farnsworth: Dobrze, w takim razie zaczynamy. Johnie McBurney, zebraliśmy się tu dziś...

Kapral McBurney: By połączyć mnie i Mattie świętym węzłem małżeńskim!

Panna Martha Farnsworth: (*stuka w filiżankę*) Proszę o ciszę! Jeśli nie potrafi pan się zachować, będzie pan musiał stąd wyjść! Jeszcze raz. Johnie McBurney, zebraliśmy się tu dziś, żeby przeprowadzić dochodzenie na temat wysuniętych przeciwko panu oskarżeń o poważne przestępstwa oraz liczne pomniejsze przewinienia. (*sprawdza przewinienia wypisane na wolnej stronie Modlitewnika Powszechnego*) Pomniejsze przewinienia obejmują nieszczerłość w mowie, przekleństwa i wulgarny język w obecności kobiet i dzieci, nadmierne spożywanie alkoholu i pojawianie się w stanie upojenia przed kobietami i dziećmi.

Kapral McBurney: Za wszystkie te rzeczy z głębi serca przepraszam, miłe panie.

Panna Martha Farnsworth: Najpoważniejsze oskarżenia przeciwko panu obejmują zniszczenie i uszkodzenie własności szkoły, kradzież pieniędzy i wartościowych przedmiotów, poważną napaść na jedną z mieszkanek tego

domostwa, grożenie przemocą innym mieszkankom oraz kilka przestępstw natury seksualnej, których nie będziemy w tej chwili wymieniać.

Kapral McBurney: Och, dlaczego nie, *madam*? Wszyscy tu jesteśmy przyjaciółmi.

Panna Martha Farnsworth: Omówimy je we właściwym czasie.

Kapral McBurney: To kłamstwa, wszystko to kłamstwa. Nic nie ukradłem i nikomu nie groziłem, chyba że w żartach. Zdarzyło mi się niechcący złamać ze dwa krzesła. Zapłacę za nie, kiedy tylko dostanę pracę.

Panna Martha Farnsworth: Czy ma pan coś jeszcze do powiedzenia w sprawie tych oskarżeń?

Kapral McBurney: Nie, *madam*. Pozwolę, żeby to pani mi o nich wszystko powiedziała.

Panna Martha Farnsworth: Czy przyznaje się pan do wszystkich pomniejszych wykroczeń?

Kapral McBurney: Tak, tak.

Panna Martha Farnsworth: W takim razie, jeśli pan pozwoli, nie będziemy marnować czasu na ich omawianie i zajmiemy się poważniejszymi oskarżeniami.

Kapral McBurney: Kłamstwa, same kłamstwa. Niczego nie ukradłem.

Panna Martha Farnsworth: Dobrze, w takim razie zaczniemy od pierwszego wykroczenia z drugiej kategorii... Zniszczenie i uszkodzenie własności szkoły.

Kapral McBurney: Do tego też się przyznaję.

Panna Martha Farnsworth: Czy chciałby pan, żebym wymieniła wszystkie szkody?

Kapral McBurney: Nie, to nie będzie konieczne. Wierzę pani na słowo, panno Martho. Jeśli dopisała pani do listy kilka talerzy albo kieliszek czy dwa, to niech sobie będzie. Mogę zapłacić trochę więcej w podziękowaniu za tak szczerą i miłą gościnę.

Panna Martha Farnsworth: Dobrze, w takim razie możemy przejść do kolejnej pozycji na liście... Kradzież pieniędzy i wartościowych przedmiotów. Ta sprawa dotyczy mnie osobiście, panie McBurney. Oskarżam pana

o kradzież dwustu dolarów w złotych monetach federalnych, kompletu kluczy na metalowym pierścieniu oraz cennego złotego naszyjnika na złotym łańcuszku.

Kapral McBurney: Chyba pani oszalała!

Panna Martha Farnsworth: Czy zaprzecza pan, że miał pan cokolwiek wspólnego z pieniędzmi i wymienionymi przedmiotami?

Kapral McBurney: Dobrze pani wie, że miałem wisiorek. Oddałem go pani kilka dni temu w piwniczce. Chyba nie był aż tak cenny, skoro go pani rozwaliła obcasem.

Panna Martha Farnsworth: Czy zaprzecza pan, że posiadał pan komplet moich kluczy?

Kapral McBurney: Nie, przyznaję się do posiadania kluczy i zamierzam zachować je dla własnego bezpieczeństwa. Jako inwalida nie mogę się szybko przemieszczać i wolałbym nie zostać tu nigdzie zamknięty, wie pani, jakby wybuchł jakiś pożar albo ziemia by się zatrzęsała czy coś w tym rodzaju.

Panna Martha Farnsworth: Czy ktoś groził panu zamknięciem na klucz?

Kapral McBurney: Nie, ale nikt nie mógł mi tym zagrozić, skoro to ja mam klucze. Są u mnie bezpieczne. Oddam je pani, kiedy będę stąd odchodził.

Panna Martha Farnsworth: A tymczasem skorzysta z nich pan, by obrabować każdy pokój i każdą szafkę w tym domu.

Kapral McBurney: To niesprawiedliwe oskarżenie, *madam*. Jeszcze nigdy nie wszedłem do niczyjego pokoju bez pozwolenia, z wyjątkiem tych na parterze, które nie są zamknięte, i piwniczki na wino.

Panna Martha Farnsworth: Wszedł pan do mojego pokoju, by wziąć klucze oraz ukraść pieniądze i biżuterię.

Kapral McBurney: Wcale nie! Nie zabrałem żadnych pieniędzy, a klucze i naszyjnik dostałem.

Panna Martha Farnsworth: Od kogoś?

Kapral McBurney: Od kogoś, kto tu jest.

Panna Martha Farnsworth: Kłamie pan, panie McBurney.

Kapral McBurney: Nie kłamie, do cholery! Nigdy nie wszedłem do pani pokoju! Przyznaję, że mam klucze, ale użyłem ich tylko po to, żeby wejść do piwniczki i otworzyć szafkę, w której leżał ten stary pistolet. Rany boskie, teraz je pani oddam, jeśli to tak wiele dla pani znaczy, będzie mogła pani mnie sobie zamknąć, gdzie tylko się pani spodoba. Pokażę pani, jak szybko potrafię wyważyć drzwi, jeśli chce pani ze mną próbować takich sztuczek.

Panna Martha Farnsworth: A pieniądze też pan zwróci?

Kapral McBurney: Nie mam tych pani przeklętych pieniędzy!

Panna Martha Farnsworth: W takim razie kto je ma?

Kapral McBurney: Nie wiem!

Panna Martha Farnsworth: Dobrze, panie McBurney. Widzę, że zabrnęliśmy w ślepy zaułek w tej sprawie, więc przejdziemy teraz do kolejnego oskarżenia. Przesłuchałam dziś rano pannę Alice Simms na osobności, panie McBurney. Panna Simms przyznała się do nieobyczajnych relacji z panem...

Kapral McBurney: Czyżby?

Panna Martha Farnsworth: I twierdzi, że została do tego przez pana zmuszona.

Kapral McBurney: Kłamie!

Panna Martha Farnsworth: Panna Alice twierdzi, że zagroził jej pan krzywdą cielesną, jeśli nie wyrazi zgody.

Kapral McBurney: Kłamstwa i farmazony, dobrze o tym wiesz, Alice! Dlaczego tak powiedziałaś? Słucham, Alice, dlaczego!

Panna Alice Simms: Mam na imię Alicia i nie wolno mi z panem rozmawiać...

Kapral McBurney: Ona kłamie, panno Martho, i powiem pani coś jeszcze... To ona zabrała z pani pokoju klucze i wisiołek, i pieniądze pewnie też.

Panna Alice Simms: Nie zrobiłam tego, panno Martho, przysięgam!

Panna Martha Farnsworth: Panno Alice, proszę o ciszę. Panie McBurney, jest pan oskarżony o stosunki cielesne z tą piętnastoletnią osobą.

Kapral McBurney: Na litość boską, ona ma siedemnaście lat albo

i osiemnaście! Wystarczy na nią spojrzeć! Twierdziła, że ma osiemnaście!

Panna Martha Farnsworth: Zaprzecza pan temu oskarżeniu?

Kapral McBurney: Nie widzi pani, jak ona ukrywa swój wiek, żeby dłużej ją tu pani trzymała?

Panna Martha Farnsworth: Czy zaprzecza pan, że udał się pan do sypialni tej osoby późną nocą?

Kapral McBurney: Nie, ale...

Panna Martha Farnsworth: Czy zaprzecza pan, że zmusił ją pan, by pana wpuściła? Czy zaprzecza pan, że wymusił pan na niej zgodę?

Kapral McBurney: Do niczego jej nie zmuszałem!

Panna Alice Simms: Zrobił to, panno Martho! Zrobił wszystko, co pani powiedziała. Zmuszał mnie do złych rzeczy... i ukradł pani klucze i naszyjnik... i pieniądze też!

Kapral McBurney: Kłamstwa, same kłamstwa! Proszę bardzo, powiem pani prawdę o kluczach. Poprosiłem ją, żeby mi je przyniosła, ale nic poza tym! Nie prosiłem ją o nic innego z pani pokoju!

Panna Martha Farnsworth: Panie McBurney, czy zaprzecza pan, że utrzymywał pan relacje seksualne z tą piętnastoletnią osobą?

Kapral McBurney: Ona przecież nie ma piętnastu lat!

Panna Martha Farnsworth: Czy zaprzecza pan temu oskarżeniu?

Kapral McBurney: Nie, nie, nie zaprzeczam!

Panna Martha Farnsworth: Dobrze, w takim razie możemy przejść do następnej pozycji na liście. Jest pan również oskarżony o utrzymywanie nieobyczajnych stosunków z panną Edwiną Morrow.

Kapral McBurney: A kto mnie o to oskarżył? Edwina tak powiedziała?

Panna Edwina Morrow: *(rysuje w swoim zeszycie do ćwiczeń)* Nie przypominam sobie, żebym mówiła coś takiego.

Panna Martha Farnsworth: Panno Edwino, czy zaprzeczasz, że cokolwiek takiego zaszło między tobą a panem McBurneyem?

Panna Edwina Morrow: *(nadal rysuje)* Nie zaprzeczam, że to się

wydarzyło. Zaprzeczam, że przyznałam, że to się wydarzyło.

Kapral McBurney: *(podnosi się z krzesła i pochyla do przodu, opierając się na kulach)* Nic między nami nie zaszło. Powiedz, że było inaczej, to cię postawię do pionu, dziewczyno. Raz-dwa cię postawię, zobaczysz!

Panna Martha Farnsworth: Panno Edwino, proszę nie zwracać na niego uwagi. Proszę nie słuchać jego pogroźek. Doszły nas informacje, że McBurney wymusił na tobie to samo co na Alice.

Kapral McBurney: Tak powiedziała? Edwina tak powiedziała?

Panna Martha Farnsworth: Panna Alice tak powiedziała. Twierdzi, że usłyszała o tym od panny Edwiny.

Kapral McBurney: Niech jej Pan Bóg broni, bo zaraz ja tu coś powiem o pannie Edwinie!

Panna Edwina Morrow: To nieprawda, nieprawda! Johnny, nic nikomu nie mówiłam!

Panna Harriet Farnsworth: Siostro, odnoszę wrażenie, że opieramy się w dużej mierze na pogłoskach.

Panna Martha Farnsworth: Cisza, siostro. Nie opieramy się. Panno Edwino, proszę nie obawiać się pogroźek tego człowieka. Nie zaszkodzi ani twojej reputacji, ani żadnej z nas. Zło, które tu wyrządził, zostanie przez nas wszystkie zapomniane. I mogę obiecać, że nic podobnego już nigdy się tu nie powtórzy.

Panna Edwina Morrow: Przysięgam, że nic nie mówiłam Alice...

Panna Alice Simms: Wydawało mi się, że mówiłaś. Zaatakował cię, prawda? Tak jak mnie?

Kapral McBurney: Nie zaatakowałem! Ledwie ją dotknąłem palcem. A cokolwiek by zaszło, ona się na to zgodziła!

Panna Martha Farnsworth: Czy tylko tyle ma pan na swoją obronę? Słyszałyśmy już wcześniej, że panna Alice zgodziła się panu ulec ze strachu. Na pierwszy rzut oka widać, że ta młoda dama, Edwina Morrow, również bardzo się pana boi.

Kapral McBurney: Dama, co? Dama?

Panna Martha Farnsworth: Panno Edwino, nie słuchaj go. Już cię więcej nie skrzywdzi. Cóż, w takim razie możemy chyba przejść do następnego oskarżenia. Zachowanie pana McBurneya wobec mojej siostry.

Panna Harriet Farnsworth: Proszę, Martho...!

Kapral McBurney: Może zaraz mi pani powie, że na nią też napadłem?

Panna Martha Farnsworth: Myślę, że mam do tego pełne prawo. Widziałam to na własne oczy, panie McBurney.

Kapral McBurney: I co, to też bez jej zgody? Poszedłem na górę, wywlokłem starą torbę za kłaki z łóżka, zaciągnąłem na dół i zerwałem jej koszulę nocną z tego zasuszonego zadka?

Panna Harriet Farnsworth: Proszę, proszę... Próbuję notować. Wszyscy mówicie za szybko, próbuję notować.

Panna Martha Farnsworth: Myślę, że możemy przejść do następnej pozycji na liście... Fizyczny atak na pannę Harriet, który miał miejsce w jej sypialni wczoraj po południu. Czy chciałby pan temu zaprzeczyć, panie McBurney?

Kapral McBurney: Nie, niczemu więcej nie będę zaprzeczał. (*OCENZUROWANO!*) się, *madam!*

Panna Martha Farnsworth: Siostrze, czy chciałabyś powiedzieć coś o tej napaści?

Panna Harriet Farnsworth: On próbował mnie zabić!

Kapral McBurney: Ty też się (*OCENZUROWANO!*), panno Harriet.

Panna Martha Farnsworth: Panie McBurney, nie będę dłużej tolerować takiego zachowania w obecności młodych dam. Została nam jeszcze jedna pozycja na liście. Co pan zrobił dziś rano temu dziecku, Marie Deveraux?

Kapral McBurney: Nic jej nie zrobiłem, starucho!

Panna Martha Farnsworth: Panie McBurney, widziałam ją dziś około szóstej rano, kiedy wracała na górę z bawialni. Widziałam też, jak idzie pan aż do schodów i woła za nią. Miała na sobie koszulę nocną, była bardzo blada i zapłakana. Co jej pan zrobił?

Kapral McBurney: Ty sprośny babsztylu!

Panna Martha Farnsworth: Cały dzień spędziła w swoim pokoju. Coś takiego wydarzyło się po raz pierwszy, odkąd panna Marie mieszka w szkole. Pierwszy raz opuściła posiłek. Co pan jej zrobił, panie McBurney?

Kapral McBurney: Sama ją zapytaj, stara, łysa krowo!

Panna Martha Farnsworth: Marie, co on ci zrobił?

Panna Marie Deveraux: (*szlocha*) Nic, nic nie zrobił.

Panna Martha Farnsworth: Nie bój się go, dziecko. On już nikogo tu nie skrzywdzi.

Kapral McBurney: (*podnosi się z miejsca*) Czyżby, panno Martho? Tak się pani wydaje? Cóż, nawet bez nogi nadal z każdą z was sobie poradzę. I nie zapominajcie, że mam jeszcze pistolet. Coś wam powiem. Zamierzałem dziś stąd odejść. Zależało mi jedynie na waszej dobrej woli na pożegnanie. Ale teraz zostanę tu tak długo, aż będę gotów sobie pójść. Myślicie, że macie mi coś do zarzucenia? Oj, tylko poczekajcie, jakie wam urządzę piekło. (*w tym momencie kapral McBurney opuścił pokój*)

Panna Martha Farnsworth: Cóż, co powinniśmy z nim zrobić?

Matilda Farnsworth: Wyprosić. Pożegnać. Pogonić za próg. Trzeba mu powiedzieć: „Zabieraj się stąd, Jankesie! Zabieraj się stąd w tej chwili!”

Panna Martha Farnsworth: Już mu to mówiłyśmy, Mattie, i nic dobrego z tego nie wyszło.

Matilda Farnsworth: Ale wprost nikt mu nic nie mówił, prawda? Słowo po słowie nikt mu tak nie powiedział. Może za miła dla niego pani była z tym wypraszeniem. Może teraz skończył się czas na uprzejmości i trzeba powiedzieć prosto z mostu: „Panie Jankes, pakuj pan manatki i wynoś się stąd raz-dwa. Już, zaraz, poszedł precz!”

Panna Martha Farnsworth: Wystarczy, Mattie. Masz takie samo prawo głosu jak każda z nas, ale nie możesz upierać się przy sugestii, którą uznano za nieprzydatną.

Matilda Farnsworth: W takim razie jak nie może go pani odesłać, to niech pani idzie do bramy i nawołuje. Wszystkie chodźmy i wołajmy: „Mamy tu, w tym domu, nicponia Jankesa, co nie chce sobie pójść po dobroci. Niechże

ktoś tu przyjdzie i wyrzuci stąd tego łachudrę”.

Panna Martha Farnsworth: Mattie...

Panna Harriet Farnsworth: Pozwól, Mattie kochana, że ci to wytłumaczę. W pobliżu nie ma już naszych chłopców. Jedyńi żołnierze, którzy chodzą teraz tymi drogami, to Jankesi, a jeśli zawołamy ich po pomoc, to możemy znaleźć się w o wiele gorszej sytuacji niż teraz z kapralem McBurneyem. Zwłaszcza jeśli im powie, że źle go tu traktowałyśmy.

Panna Emily Stevenson: (z *oburzeniem*) Przecież to nieprawda! Owszem, on tak uważa pewnie dlatego, że stracił nogę, a może także z innych przyczyn, które sobie sam wymyślił. Nawet na chwilę nie pomyśli o tych wszystkich naszych chłopcach, którzy potracili nogi na polu bitwy i nikt im tak nie pomógł, jak my jemu.

Panna Harriet Farnsworth: Gdybym miała pewność, że odejdzie i nie będzie opowiadać o nas żadnych wstrętnych plotek, byłabym nawet skłonna dać mu trochę pieniędzy jako wynagrodzenie za krzywdy, jeśli uważa, że ktoś tu się nim źle zajmował.

Panna Emily Stevenson: Panno Harriet, ma pani zbyt miękkie serce. Tylko weźmie pieniądze, a potem i tak nas zdradzi. Panna Martha nawet nie wspomniała o jego najcięższym przewinieniu. Gdybym otrzymała prawo głosu, oskarżyłabym go o szpiegostwo z intencją przekazania informacji wojskowych siłom wroga.

Panna Martha Farnsworth: Proszę nie odbiegać od tematu. Co powinniśmy z nim w takim razie zrobić?

Panna Alice Simms: Mogłybyśmy zabrać go znów do lasu i tam zostawić.

Panna Edwina Morrow: A na jakiej podstawie uważasz, że do lasu pójdzie chętniej niż przed siebie prostą drogą?

Panna Alice Simms: Gdyby spał albo był nieprzytomny, mogłybyśmy położyć go na noszach, które kiedyś dla niego zrobiliśmy, i go tam zanieść.

Panna Harriet Farnsworth: Obawiam się, że nie mamy jak odebrać mu przytomności. Gdybyśmy miały w domu odpowiednie zioła czy leki, panna Martha już dawno by z nich skorzystała.

Panna Marie Deveraux: Przed operacją dostał dużo wina na zaśnięcie. Nie mogłybyśmy znów tak zrobić?

Panna Harriet Farnsworth: Niestety, wino już prawie się nam skończyło, moja droga. Przypuszczamy, że pan McBurney zabrał z piwnicy prawie wszystko.

Panna Edwina Morrow: Chyba wszystkie zapominamy, że nawet gdyby stracił przytomność za sprawą alkoholu czy innych środków, wcześniej czy później i tak by się obudził.

Panna Alice Simms: Racja. A wtedy wróciłby z lasu i znalazłybyśmy się w jeszcze gorszej sytuacji niż wcześniej.

Panna Emily Stevenson: Mogłybyśmy go porządnie związać. Wtedy nie mógłby wrócić.

Panna Edwina Morrow: Sugerujesz, że powinniśmy zostawić go w lesie, żeby umarł z głodu i pragnienia? To chyba niezbyt przyjemna śmierć.

Panna Alice Simms: Ale przecież gdyby rzeczywiście umarł, to nie byłoby w niczym gorsze od tego, co przytrafiło się setkom innych chłopców przez ostatnie trzy lata, wliczając w to bliskich krewnych wielu z nas.

Panna Emily Stevenson: To prawda, Alice, bardzo się cieszę, że to powiedziałaś.

Panna Marie Deveraux: Ja chętnie się dowiem, jakich bliskich krewnych Alice straciła w tym czasie.

Panna Alice Simms: Wymienię tuzin nazwisk, ale najpierw chciałabym usłyszeć, jak to wstrętne dziecko podaje imię choć jednego członka własnej rodziny, który poległ dla sprawy.

Panna Marie Deveraux: Myślisz, że nie dam rady, co, Alice? A może by tak mały zakład? Powiedzmy o porcję mięsa z kolacji, jeśli jakieś dostaniemy?

Panna Martha Farnsworth: (*stuka łyżeczką o filiżankę*) Dziewczeta, dziewczeta... To nie czas na osobiste kłótnie... A na taki temat nie wypada się sprzeczać w żadnych okolicznościach.

Panna Alice Simms: Gdyby jej współlokatorka nie przyprowadziła go z lasu, nie musiałybyśmy nawet zawracać sobie głowy tym spotkaniem. Już

dawno by nie żył.

Panna Marie Deveraux: Przemile słowa! Jak zwykle dajesz popis tchórzostwa, Alice, nie ma to jak atakować nieobecną, która nie może się bronić.

Panna Harriet Farnsworth: Dziewczęta, dziewczęta, proszę o spokój, natychmiast! Panno Alice, nie możemy mieć pretensji do panny Amelii za jej akt miłosierdzia. A poza tym gdyby panna Martha nie zaopiekowała się nim, gdy dwukrotnie był bliski śmierci, też z pewnością nie byłoby go już wśród żywych. To chyba też powód do zastanowienia, prawda?

Panna Martha Farnsworth: Nad czym, siostrze?

Panna Harriet Farnsworth: Nad tym, jak Pan już dwa razy przywołał go do bram wieczności, ale pozwolił nam go zawrócić. Może gdzieś w tym kryje się jakiś znak dla nas.

Panna Martha Farnsworth: Co sugerujesz, Harriet?

Panna Harriet Farnsworth: Nic, po prostu głośno myślę.

Panna Marie Deveraux: Jeśli jest pani zainteresowana, może udałoby mi się znaleźć sposób, żeby zabrać Johnny'ego do lasu, ale ktoś inny musiałby wymyślić, jak go tam zatrzymać.

Panna Harriet Farnsworth: Jak chciałabyś go tam zaprowadzić, moja droga?

Panna Marie Deveraux: Cóż, Amelia ma tam swoją sekretną kryjówkę. Nie powiem, jak dokładnie tam dojść, ale to bardzo głęboko w lesie. Już proponowała Johnny'emu, że go tam zabierze, ale on odmawiał. Myślę jednak, że mógłby na to przystać, gdyby miał ku temu dobry powód.

Panna Martha Farnsworth: A czy ty masz dla niego taki powód?

Panna Marie Deveraux: Owszem, panno Martho. Może by tam poszedł, gdyby się nas bardzo bał.

Panna Harriet Farnsworth: Ale on wcale się nas nie boi. Jest dokładnie na odwrót. To my boimy się jego.

Panna Marie Deveraux: Ale mogłybyśmy odwrócić całą sytuację. Wystarczyłoby go przekonać, że chcemy zrobić mu coś bardzo złego.

Panna Emily Stevenson: A co dokładnie masz na myśli?

Panna Marie Deveraux: Cóż, może któraś z nas powiedziała by mu w tajemnicy, że cała reszta postanowiła go zabić.

Panna Harriet Farnsworth: Panno Marie, proszę nie mówić takich rzeczy!

Panna Martha Farnsworth: Siostrze, w naszej obecnej sytuacji nie możemy ignorować niczyjej opinii ani skreślać żadnego planu. My jesteśmy dorosłe, a nie radzimy sobie z McBurneyem. Może któraś z młodych dam wymyśli lepszy sposób. Proszę mówić, panno Marie.

Panna Marie Deveraux: No, to właściwie wszystko, co miałam do powiedzenia. Chciałam mu powiedzieć, że odbyło się głosowanie i postanowiono, że czeka go egzekucja.

Panna Emily Stevenson: Ja jestem za! To wspaniały pomysł!

Panna Edwina Morrow: A jak przeprowadzimy tę egzekucję? Gdyby zapytał?

Panna Emily Stevenson: Śmierć przez rozstrzelanie.

Panna Edwina Morrow: To idiotyczne. Niby kto by go rozstrzelał?

Panna Alice Simms: Powieszenie. Mogłybyśmy mu powiedzieć, że zostanie powieszony. Tak jak na obrazku, który Edwina rysuje w swoim zeszycie.

Panna Edwina Morrow: (*zamazuje rysunek*) To tylko takie bazgroły. Nie mają nic wspólnego z McBurneyem.

Panna Marie Deveraux: Tak czy inaczej, to niezły pomysł. Johnny mógłby się nieźle przestraszyć.

Panna Harriet Farnsworth: Myślisz, że on by w to uwierzył?

Panna Emily Stevenson: Dlaczego nie? To bardzo powszechne zjawisko w czasie wojny. On dobrze wie, że tak się karze szpiegów i zdrajców.

Panna Edwina Morrow: A gdzie wykonamy ten wyrok?

Panna Harriet Farnsworth: Może na którymś drzewie na podwórzu? Jabłoń przy stodole by się nadała.

Panna Martha Farnsworth: Zaczynasz się wczuwać, siostrze?

Panna Harriet Farnsworth: Przecież to tylko po to, by to przestraszyć... przegonić...

Panna Alice Simms: A kogo wyznaczymy, by przekazał mu tę wiadomość?

Panna Marie Deveraux: Ja mogłabym to zrobić. Może prędzej mi uwierzy niż niektórym z was, bo jesteśmy tego samego wyznania.

Panna Harriet Farnsworth: Panna Marie nie miała z nim żadnych problemów, w przeciwieństwie do większości tu obecnych.

Panna Alice Simms: Może lepiej, żeby Mattie to zrobiła. Też nie sprawił jej żadnych trudności, no i ona nie będzie tak wyolbrzymiać sprawy jak Marie.

Panna Edwina Morrow: Gdyby ktoś tu potrafił wyolbrzymić informację o powieszeniu, to właśnie Marie.

Panna Marie Deveraux: A czemu nie? Im barwniejsza historia, tym lepiej, mówię wam. Poza tym Mattie pewnie wszystko by się pomieszało, prawda, kochana Mattie?

Matilda Farnsworth: Pewnie tak, panno Marie. Najpewniej tak by się to skończyło.

Panna Edwina Morrow: A może Amelia? Johnny ma do niej zaufanie.

Panna Marie Deveraux: Ona by odmówiła. Jestem tego absolutnie pewna.

Panna Martha Farnsworth: Cóż, panno Marie, wygląda na to, że to właśnie tobie przypadnie to zadanie. Jak zamierzasz przekazać mu tę informację?

Panna Marie Deveraux: Za kilka minut pójde go poszukać i powiem, że musi koniecznie jak najszybciej opuścić ze mną dom. Dodam, że musimy znaleźć Amelię, żeby zaprowadziła nas do swojej kryjówki w lesie. Powiem, że wydano na niego wyrok, a teraz wszystkie przygotowujecie się do jego wykonania.

Panna Alice Simms: Mogłabyś jeszcze powiedzieć, że przygotowujemy teraz sznur dla niego.

Panna Edwina Morrow: Jaki sznur?

Panna Emily Stevenson: Mamy te fragmenty upręży, które wykorzystaliśmy do budowy noszy. Ale potrzeba więcej.

Panna Alice Simms: Prześcieradła. Mogłybyśmy podrzeć prześcieradła i inne kawałki materiału, a potem spleść je razem w sznur.

Panna Harriet Farnsworth: Och, obawiam się, że nie mamy dość prześcieradeł. Same wiecie, ile zużyliśmy na jego bandażę.

Panna Edwina Morrow: Ale przecież wcale nie potrzebujemy prześcieradeł. On ma tylko myśleć, że szykujemy na niego sznur, prawda?

Panna Harriet Farnsworth: Oczywiście, oczywiście... Tylko o to nam chodzi.

Panna Marie Deveraux: Słuchajcie. Może wyszłoby bardziej przekonująco, gdybyśmy naprawdę zaczęły coś szykować. Może nawet tak byśmy to urządziły, żeby Johnny zobaczył, jak rwiemy prześcieradła. To by go naprawdę przerażyło. No i wtedy nie musiałabym go okłamywać.

Panna Alice Simms: To bardzo ważne. Nie należy zmuszać Marie do mówienia nieprawdy.

Panna Marie Deveraux: *(która do tego czasu zdążyła się ożywić i znów nabrała nieco koloru)* Zwłaszcza że w tym domu mieszkają tak szczerze osoby jak Alice.

Panna Martha Farnsworth: To nam wystarczy. Panno Marie, proszę iść teraz do McBurneya.

Panna Marie Deveraux: Mam mu powiedzieć, że został skazany na śmierć?

Panna Martha Farnsworth: Tak. *(w tym momencie panna Marie Deveraux opuściła pokój)*

Panna Harriet Farnsworth: Siostró, sądzisz, że on w to uwierzy?

Panna Martha Farnsworth: Mam nadzieję.

Panna Harriet Farnsworth: A co teraz powinniśmy zrobić?

Panna Martha Farnsworth: Pomyśleć o tym. Powinniśmy tu posiedzieć i się nad tym zastanowić.

Panna Edwina Morrow: Zanim zamkniemy posiedzenie, mam jeszcze jedno pytanie do panny Harriet. Chciałabym dowiedzieć się więcej o tym, co tak naprawdę wydarzyło się wczoraj w nocy. Na przykład dlaczego zeszła na dół?

Panna Martha Farnsworth: Nie musisz się tłumaczyć, siostró. Sądzimy tu McBurneya, nie ciebie.

Panna Harriet Farnsworth: Och, Martho, muszę na to odpowiedzieć. Zasługujecie na to, by wiedzieć wszystko, co wiem, choć to niestety nie będzie zbyt wiele.

Panna Edwina Morrow: Proszę nam powiedzieć tyle, ile jest pani w stanie.

Panna Harriet Farnsworth: No więc to było jak sen. Właściwie to zaczęło się od snu.

Panna Emily Stevenson: To znaczy, że chodziła pani we śnie?

Panna Harriet Farnsworth: Tak... tak, może właśnie tak było. Śnił mi się ktoś bardzo mi bliski... i z jakiegoś powodu byłam przekonana, że tą osobą jest pan McBurney. Wołał mnie... wołał... a kiedy się obudziłam... jeśli w ogóle się obudziłam... nawet nie jestem pewna, czy byłam w pełni świadoma... ale kiedy się przebudziłam, siedziałam obok niego na sofie w bawialni i piłam z nim wino. Tamto lato... wciąż myślałam, że tamto lato wróciło. Ale on nie patrzył na mnie, odwracał wzrok. A ja... och, ja tak bardzo chciałam, żeby na mnie spojrział i powiedział, że jestem piękna...

To wszystko, co jestem w stanie zawrzeć w raporcie z „Przebiegu dochodzenia”. W tamtej chwili ogarnęło mnie wielkie wzburzenie i czułam, że nadchodzi jeden z ataków migreny. Niewykluczone też, że zaczęłam zbyt głośno szlochać, co przeszkadzało mojej siostrze. Martha i Mattie pomogły mi wstać i zaprowadziły mnie do mojego pokoju, a następnie wróciły do biblioteki i z tego, co wiem, niedługo później moja siostra zamknęła posiedzenie.

AMELIA DABNEY

Naprawdę nic nie wiedziałam o spotkaniu, chociaż chyba i tak bym w nim nie uczestniczyła. Spędziłam za to w lesie poranek i część popołudnia. Znam tam pewien cichy zakątek, do którego dość często zaglądam, chyba już o tym wcześniej wspominałam. Nieważne. No ale tego dnia moja współlokatorka z pokoju omówiła ze mną możliwość, żeby kapral McBurney się tam udał.

Oczyściłam to miejsce ze wszystkich starych gałęzi, usunęłam także kilka rzeczy, które mogłyby go drażnić. Na przykład w którymś pniu drzewa błonkówki zaczynały lepić gniazdo z błota, więc bardzo ostrożnie usunęłam je i znalazłam dla niego inne miejsce nieco dalej. Przesiedliłam też kilka pajaków, żuków i pończoszniaka. Potem zmiotłam opadłe liście na stertę i położyłam je na posłaniu z gałęzi, żeby Johnny mógł na tym spać.

Nie spieszyłam się za bardzo, więc skończyłam dopiero po południu. A w drodze powrotnej zatrzymałam się, żeby zebrać trochę grzybów, ponieważ wiedziałam, że Johnny'emu będą smakowały. Kiedy weszłam do budynku, usłyszałam głosy z biblioteki, zajrzałam tam i zobaczyłam, że wszyscy siedzą wokół stołu i usiłują się przekrzykiwać. Postanowiłam w ogóle się w to nie mieszać. A potem przeszłam przez korytarz i zajrzałam do bawialni. Johnny siedział na kanapie, pociągał wino z butelki i głupkowato się uśmiechał, chociaż miałam wrażenie, że również nerwowo.

– Przygotowałam panu bardzo przyjemne miejsce, gdyby kiedyś chciał pan tam pójść – powiedziałam mu.

– A gdzie może być przyjemniej jak nie tu? – odparł, wymachując butelką. – Dobre wino, piękne kobiety, za chwilę będzie i radosny śpiew, jak tylko przypomni mi się jakaś pikantniejsza piosnka. To może ta? – zanucił. – Zrzuć z siebie tę halkę, Mary Anne, moja droga. Noc ciemna, trawa grzeje, to przecie nie ma obaw. – Nagle urwał. – Chyba nie uchodzi mi śpiewać przy tobie takich piosenek, co, słońce? Jesteś w tym domu najsympatyczniejsza i nie

zasługujesz na takie śpiewki.

– O czym tak wszyscy rozmawiają w bibliotece? – zapytałam.

– O mnie! Wałkują, jak się na mnie zemścić.

– I jak pan myśli, co zrobią?

– A co one mogą zrobić? Dwie kobiety, pięć dziewcząt i czarnuszka. Cztery dziewczęta, ciebie nie liczę.

– To nie powinien pan też liczyć Marie. Trzyma pańską stronę.

– A tego to nie wiem – stwierdził. – Nie jestem taki pewien co do Marie. W tym domu szczerze ufam tylko tobie.

– To miło z pańskiej strony. Cieszę się, że mi pan ufa, bo ja panu też ufam.

– Czemu tak jest? – zastanowił się. – Czemu ty i ja mamy pewność co do siebie? Jeśli chodzi o mnie, to pewno dlatego, że pomogłaś mi na samym początku i nie chciałaś ode mnie nic szczególnego w taki sposób, w jaki chciały inne.

– Jeśli o mnie chodzi, to dlatego, że wiem, że w głębi serca jest pan dobrą osobą. Jestem pewna, że nigdy by pan nie skrzywdził nikogo... ani żadnego zwierzęcia... celowo.

– To ci dopiero. – Uniósł ponownie butelkę. – Czyli jesteśmy przyjaciółmi już na zawsze, co? – Wziął głęboki łyk wina, po czym zaśpiewał: – Wznoszę twe zdrowie, kochana Amelio. Złodziejem będąc, skradłbym cię serio. Wciąż tyś zbyt młoda, by dziabnąć winka. To piję twą dolę, jak i swego drinka. – Jak powiedział, tak zrobił.

– Czy jest pan pewien, że nie chce teraz pójść ze mną do lasu? – zapytałam.

– Tak – przyznał. – Gdybym poszedł, wyszłoby na to, że się boję. A nawet gdybym się bał, to nie dam im satysfakcji, żeby się o tym dowiedziały.

– Ale tak czy owak niech pan pójdzie ze mną na górę – zaprosiłam go. – Nie chcę pana zostawiać samego tu, na dole.

– Czy możesz lepiej mnie chronić tam, na piętrze?

– Mogę mieć na pana oko. No i nie będzie pan wchodził reszcie w paradę. Kiedy pana nie ma przy nich, nie mogą powiedzieć, że powoduje pan jakies

problemy.

– Dobra, pójdę z tobą na górę. Nie to, że trzeba mi twojej ochrony, ale przyda mi się ktoś do towarzystwa. Tu na dole głupieję, ile można gadać do czterech ścian?

Wsparł się na kulach i podniósł z kanapy, podał mi butelkę wina, żebym wzięła ze sobą, a potem pokuśtykał za mną na korytarz i po schodach na górę. Poruszał się bardzo sprawnie. Zauważyłam, że o kulach potrafi już przemieszczać się naprawdę szybko i cicho. Nie kazałam mu unikać hałasu, ponieważ nie zależało mi szczególnie na tym, czy panna Martha i pozostałe osoby będą wiedzieć, że jest na górze. Ale on sam chyba postanowił, że lepiej będzie, jak się nie dowiedzą.

Kiedy znaleźliśmy się w moim pokoju, Johnny usiadł na łóżku Marie. Zauważyłam, że znajdowało się w takim nieładzie, że Marie chyba spędziła na nim cały dzień. Postawiłam wino na stoliku przy nim, a obok chustę wypełnioną grzybami, które trzeba było jeszcze oczyścić.

– Muszę coś zrobić. Może się pan tu zdrzemnąć, kiedy będę zajęta – zaproponowałam.

– Nie jestem zmęczony. A co takiego musisz zrobić?

– Zaopiekować się moim chorym żółwikiem. – Sięgnęłam pod swoje łóżko i wydobyłam puzderko, w którym mieszkał żółw. Przyniosłam mu z lasu kilka przesuszonych owadów i teraz nakarmiłam go nimi.

– Czy te paskudztwa zbierasz prosto w dłonie? – zapytał Johnny, robiąc przy tym lekki grymas na twarzy.

– A niby jak mogłabym je wziąć?

– Oj, nie rób się taka naburmuszona. Zwyczajnie nie wydaje mi się to właściwe dla małej dziewczynki. No i ten żółw coś mi nie wygląda na chorego.

– Szybko dochodzi do zdrowia. Teraz ma się o wiele lepiej niż wcześniej.

– Polubiłaś go, co? – zapytał Johnny, pociągając wino z butelki.

– To moja najukochańsza rzecz. Kocham wszystkie zwierzęta, ale tego żółwia kocham najbardziej.

– Rozumiem. Mam nadzieję, że wróci do pełni zdrowia – odparł.

– Dziękuję, Johnny. Wiem, że mówi pan to szczerze. I coś jeszcze panu powiem. Gdybym musiała stąd odejść i powierzyć tego żółwia czyjejś opiece, dałabym go właśnie panu. Wiem, że zająłby się pan nim równie troskliwie jak ja.

– No pewno, że tak. Bo to równy z niego żółw. – Johnny łyknął znów wina, potem sięgnął po jeden z grzybów i zaczął go skubać ustami.

– Ostrożnie, jest tu kilka trujących – ostrzegłam go.

– Wiem, które są trujące. Toto porasta nam całą Irlandię. A musisz wiedzieć, że to jedna z moich ulubionych potraw. Właściwie czemu nie zbierzesz więcej, żeby Mattie mogła ugotować na kolację?

– Większości nas grzyby niezbyt smakują. Wiele dziewcząt odmawia jedzenia czegokolwiek, co rośnie dziko w lesie. Teraz bierze pan kolejny? Johnny, naprawdę, niech pan uważa.

– Powiedziałem ci przecież, że je rozróżniam. A tu nie widzę żadnego trującego. No i też po co miałabyś przynosić trujące grzyby?

– Mogę je dołączyć do swoich zbiorów, poza tym rosły przy innych, dobrych i nie mogłam znieść myśli, że zostawię je tam w samotności.

Johnny się zaśmiał.

– Dobry Boże, jesteś dziwną osobą, ale i tak cię kocham. Jesteś ulubienicą mojego serca, Amelio. Może rzeczywiście utnę sobie krótką drzemkę. Zbudź mnie, proszę, gdyby którą z tych wiedźm tu przywiało.

– Dobrze, obudzę pana – obiecałam.

Wyciągnął się na łóżku i milczał chwilę, gapiąc się na kikut nogi.

– Jak sądzisz, Amelio, co one chcą mi zrobić? – zapytał po chwili.

– Nie wiem, ale jeśli to coś złego, to im nie pozwolę.

– Dziękuję, Amelio – mruknął, a zaraz potem zasnął.

Do teraz nie jestem pewna, czy wtedy bał się szczerze, czy tylko udawał, żebym mogła myśleć, że mu naprawdę pomagam.

Zwierzylałam się z tych wątpliwości Marie, kiedy chwilę potem weszła do

pokoju. Zajmowałam się żółwiem, więc na początku nie zwracałam na nią większej uwagi.

– Widzę, że słynny John McBurney śpi – zauważyła i usiadła obok mnie na podłodze.

– Bystrość twoich obserwacji czasem powala na kolana.

– Nie zadzieraj ze mną. Przyszłam tu z pewną sprawą. Mam coś przekazać Johnny’emu.

– Co?

– Panna Martha i reszta zamierzają go powiesić.

– Czyżby?

– Będę z tobą szczerą. Nie wiem, jakby to miało być możliwe, chociaż na pewno one by tego chciały. W każdym razie mam przekonać Johnny’ego, że wszystko pod tym kątem przygotowują i zrobią to dziś wieczorem. Ma to na tyle go wystraszyć, żeby uciekł przed nami do lasu i nigdy nie wrócił.

– A czy to im wystarczy? Czy tylko tyle chcą, żeby opuścił szkołę i nie wracał?

– Twierdzą, że tylko tyle – odparła Marie. – Chociaż myślę, że większość boi się, że gdzie indziej może nam wyrządzić więcej szkody, niż będąc tu. Chodzi o mówienie o różnych sprawach. W sumie to sama też się trochę tego boję.

– On rzeczywiście może powiedzieć coś, co by cię zraniło?

– Cóż, każdy z nas ma swoje drobne tajemnice – powiedziała Marie. – Może później powiem ci o mojej. A teraz mów, co o tym sądzisz? Myślisz, że warto spróbować przestraszyć Johnny’ego?

– Myślę, że nie, ale jeśli po to zostałam tu przysłana, to równie dobrze możesz spróbować. Jeśli to zadziała, będzie i po naszej myśli, i po myśli panny Marthy – podsumowałam.

Ostatecznie więc Marie obudziła McBurneya i powiedziała mu, że jeszcze tego wieczoru zamierzają go powiesić na jabłoni, na sznurze wykonanym na przykład z prześcieradeł. Johnny najpierw się roześmiał, a przynajmniej udawał, że się śmieje, ale im bardziej Marie przedstawiała sugestywny opis

szczegółów tego pomysłu, tym ewidentniej tracił rezon, a jego głos zaczął wyraźnie drżeć.

Marie opowiadała, że zamierzają poczekać, aż tego wieczoru pójdzie spać. Wtedy one zakradną się do bawialni, mocno go zwiążą uprzężą i wywloką na zewnątrz w blasku księżyca. Potem założą mu pętlę na szyję, przerzucą sznur przez konar jabłoni, a drugi koniec przywiążą do Dolly i będą ją chłostać, aż szarpnie do przodu.

Myślę, że w sumie to opowiadanie mogło poskutkować, chociaż na pewno nie liczyłabym na pewny efekt. Niezależnie jednak od tego, czy można dać wiarę, że kilka dziewcząt i kobiet może wcielić w życie takie zamiary, to już samo to, że na tyle kogoś nienawidzą, aby coś takiego w ogóle rozważyć między sobą, powinno wystarczyć, żeby praktycznie u każdego wzbudzić silny niepokój.

I Johnny rzeczywiście zaczął okazywać coraz większe zdenerwowanie. Mamrotał przekleństwa i drżała mu ręka, kiedy popijał wino, a jeszcze bardziej drżała warga, a wino rozlewało się po całej pościeli.

Myślę jednak, że przedstawienie mu tego scenariusza było błędem, ponieważ ostatecznie nie przyniosło oczekiwanego skutku, a przynajmniej nie spełniło celu, który mi zakomunikowano. Skończyło się tak, że Johnny nie mógł się zdecydować, czy jest bardziej wystraszony, czy wściekły, a skutkiem jednoczesnego wpływu na niego tych dwóch emocji było to, że doszczętnie stracił panowanie nad sobą.

– A niech je szlag, niech szlag trafi je wszystkie – wciąż powtarzał. – Do czorta z ich popapranymi duszami, z całym tym cholernym tałatajstwem. Wykończyć mnie na fest, tak? Mało im tego całego upodlenia, co to mi tu wyrządziły.

– Spokojnie, Johnny, wszystko będzie dobrze – pocieszałam go. – Wraz z Marie zabierzemy pana do mojej kryjówki i tam będzie pan bezpieczny.

– Najpierw je załatwię. Załatwię je wszystkie. Rozpirzę każdy kawałek szkła i każdy mebel w tym domu. A potem zajmę się każdą z tych przeklętych plotkarek, klamka zapadła. Czy to się podoba, czy nie, poznają Johnny'ego McBurneya ździebko z innej strony. A potem spalę doszczętnie całe to wasze

przekłete miejsce po ostatnią deskę.

– Zaczyna się pan robić nieznośny – stwierdziła Marie. – Jeżeli nie zamierza pan tego zmienić, dojdzie do tego, że nabiorę wstrętu do pana. Bo wie pan, kiedy wygaduje pan o spaleniu całego domu, to zapomina o tym, że Amelia i ja przecież też tu mieszkamy.

Nic nie odpowiedział, strasznie dygotał i próbowałam wymyślić, jak mogę mu pomóc.

– Johnny, czy może pan przez chwilę potrzymać mojego żółwia? Muszę mu wyczyścić jego domek. – I położyłam żółwika w jego dłoni.

Miałam nadzieję, że kontakt z tym bardzo sympatycznym żółwikiem zajmie jego myśli czymś innym na kilka chwil, a w tym czasie może się trochę uspokoi. Naprawdę. Ale niestety wywołało to skutek odwrotny do zamierzonego.

– Zabierz ode mnie to świństwo! – wrzasnął. A potem cisnął moim żółwiem o ścianę.

MATILDA FARNSWORTH

Jakby mnie kto zapytał, dlaczego ugotowałam i podałam złe grzyby, tobym powiedziała, że takie dostałam i miałam powiedziane, coby je ugotować, no to ugotowałam. Jakoś specjalnie się im nie przyglądałam i nie popróbowałam srebrnym nożem, jak to się zwykle robi. Po prostu wrzuciłam do rondla i ugotowałam, tak jak mi panna Martha kazała.

A jakby kto pytał, czy ona wiedziała, że niektóre z tych grzybów są niedobre, to powiem: nie, nie wiedziała. Nie wiedziała, ale miała taką nadzieję, i cała reszta też miała taką nadzieję – poza tym jednym, co je zjadł. A jakby kto pytał, co mi po głowie wtedy chodziło, tobym musiała przyznać, że miałam gdzieś we środku taką nadzieję, że one będą niedobre. I dlatego nie wrzucałam do rondla srebrnego noża, coby sprawdzić, czy się poczerwieni od trucizny. No bo jakbym miała pewność, że są niedobre, tobym coś musiała z tym zrobić, ale dopóki nie miałam pewności, to mogłam sobie powtarzać, że wszystko jest dobrze i nic złego się nie wydarzy, a Jankeś będzie mógł sobie stąd pójść w świat cały i zdrow.

Kiedyś to inaczej bym zrobiła. Jak nic bym się im postawiła i tak bym powiedziała: „Słuchajcie mnie wszystkie. Z nim to nie jest tu aż taki kłopot. Wy mówicie, że się boicie tych rzeczy, co on tu wyprawia i co jeszcze może nawyprawiać, jak sobie stąd pójdzie. No to obchodźcie się tu z nim dobrze, to może nic nie nawyprawia. Nie kłóćcie się z nim cały czas i nie podjudzajcie, jak to teraz bez przerwy robicie. Wstrzymajcie się trochę”.

A potem bym rzekła: „A jak po dobroci nie pomoże, to go gdzieś tu zamknijcie na klucz. Wiem, że on ukradł klucze, ale przecież możecie mu je zabrać. Możecie mu napleść słodkich słówek, coby sam wam je oddał, albo mu je zabrać cichaczem po nocy, jak będzie spał. A może nawet klucze wam nie będą potrzebne. Można go zamknąć w piwniczce na wino, ona przecież jest na rygiel. Rygla on nie przesunie, drzwi nie wyłamie, ten mizerny mały Jankeś. A potem zabrać mu kule i już, można go trzymać, ile dusza zapagnie. Raz czy

dwa na dzień tylko mu zanieść wodę i posiłek. Miło go traktować, ale trzymać w zamknięciu. Dosyć nas tu jest, coby z nim sobie poradzić. Toż to głupota, że wszystkie się tak trzęsiemy przed takim małym chudym kulasem z jedną nogą”.

No i mogłam im to wszystko powiedzieć, ale nie powiedziałam. I to nie dlatego, coby się bała odezwać. Nawet jakby miały mnie stąd odesłać i sprzedać gdzieś na farmę w dole rzeki, to nic by mnie to nie obeszło. Nie powstrzymałby mnie strach przed panną Martha czy panną Harriet. Jedno, co mnie by mogło zatrzymać, to ta właśnie rzecz, która mnie zatrzymała – za mało miłości bliźniego w sercu.

I powiem teraz, skąd to się wzięło, jak we mnie wyrosła taka złość do tego chłopaka. To przez to, że się chciałam na nim zemścić za tę wstrętną rzecz, co mi powiedział. Przez to żem się odwróciła od niego. Przez to go nie broniłam na tym zebraniu panny Marthy. I przez to żem nie sprawdziła, czy te grzyby były aby na pewno dobre.

Oto co się wydarzyło. Na kilka dni przed swoim ostatnim dniem tutaj on przyszedł do kuchni późnym południem, kiedy akurat łuskałam groszek na obiad. Panna Martha zbierała coś w ogrodzie. Panna Harriet poszła się zdrzemnąć, a młode panienki zajmowały się nauką albo przynajmniej tak miały przykazane.

No a on przykicał do mnie do kuchni na tych swoich kulach i mówi do mnie tak:

– Mattie, chciałbym ci zadać pytanie. Czy mógłbym?

– A pewno, że by pan mógł. – Kiwam głową. – Proszę bardzo, panie Janke, proszę, niechże pan pyta, o co pan tylko chce. Cała rzecz w tym, że nie obiecuję dać panu odpowiedzi, nawet jakbym ją znała.

– Dobrze, niech ci będzie – mówi on ze śmiechem. – W takim razie chyba muszę zaryzykować. Ale może nawet nie będziesz musiała nic mówić. Może poznam odpowiedź, jak tylko popatrzę na twoją twarz.

– Tak pan sobie myśli?

– Owszem, Mattie, właśnie tak sobie myślę.

– No, to proszę. Niechże pan zadaje to swoje pytanie.

– A przyrzekniesz, że powiesz prawdę? Jeśli w ogóle odpowiesz?

– Nic tu nie będę przyrzekiwać.

On wtedy na chwilę zamilkł i się zaczął namyślać.

– No dobrze, Mattie – mówi w końcu. – Niech ci będzie. Wiem, że dobra z ciebie chrześcijanka i na pewno nigdy byś kłamstwa nie powiedziała.

– Mam nadzieję.

– A ja to wiem na pewno, Mattie. A teraz moje pytanie. Jesteś na nie gotowa?

– Niechże pan pyta.

– Czy to ty jesteś matką Edwiny Morrow?

– Co, człowieku? Co ty pleciesz?

– Czy Edwina to twoja córka?

– Idźże mi z oczu w tej chwili, ty biały łachudro!

– Słuchaj, Mattie, nie złość się. Tak tylko pytam, z ciekawości.

– Nie! Mam nadzieję, żeś pan zadowolony!

– No i widzisz, Mattie, teraz tak się wzburzyłaś, że nie potrafię ocenić, czy kłamiesz czy nie.

– Wynocha mi stąd, biały padalcu, bo wołam pannę Marthę!

– Mattie, dajże mi chociaż wytłumaczyć, co sobie myślałem. Widzisz, Edwina raz mi powiedziała, że najbardziej na świecie chciałaby być kimś innym. Więc przyszło mi do głowy, że może ta Edwina jest twoja, a panna Martha ją tu trzyma i edukuje z przyjaźni do ciebie. Jeśli się mylę, to mi powiedz.

– Jużem powiedziała!

– Czekaj, czekaj. Jeszcze coś sobie pomyślałem. Że może to między siostrami Farnsworth a Edwiną jest jakiś związek, wiesz? Może ojcem Edwiny był ktoś im bliski... może nawet bardzo bliski... jak na przykład ich brat Robert, co? Albo ich własny ojciec?

– Oj, człowieku, aż się prosisz o tasak!

– Chwileczkę, Mattie, chwileczkę – mówi on i już się cofa. – Pytam tylko

dlatego, że jestem bardzo zainteresowany Edwiną, dlatego chciałem o tym porozmawiać.

– No to idźże pan do niej i sam spytaj, kim jest jej matka i ojciec!

– Mattie, ona by to źle zrozumiała. Obraziłaby się.

– No a jakim cudem ci nie przyszło do łba, że ja też się mogę obrazić, co? No powiedz, biały zgniłku!

– Słuchaj, Mattie, toż to żadna ujma dla czarnuchów, że szlachta czasem ma ochotę sobie ich trochę popróbować, nie tak się tu na to zapatrujecie?

– To ty mnie słuchaj, biała zarazo. Ja to wcale się tak na to nie zapatruję! Ja żem miała chłopca, ale mu się zmarło, a poza nim żem nigdy nikogo nie miała. A skoro mowa o paninie Edwinie, to nie wiem, kim są jej tatko i matula, ale miejscowi to na pewno nie.

– Ale chyba żeś się połapała, że jedno z nich było czarnuchem, co?

– Oj, lepiej, cobyś pan stąd uciekał, i to w podskokach! Ostatni raz mówię, wynocha!

– No widzisz, Mattie, teraz już mogę ci czytać z twarzy. Wszystko mi mówisz, czego się chciałem dowiedzieć. Dobrze, Mattie, już sobie idę. Odłóż tasak, staruszeko, i wracaj do tego swojego groszku.

A potem odkicał na kulach, zanosząc się śmiechem. To były ostatnie słowa, jakie żem do niego wypowiedziała, i chyba też ostatnie, jakie on do mnie powiedział, z wyjątkiem tej jednej małej rzeczy, jaką mi rzekł wieczorem przy kolacji na cześć jego urodzin. Oj, mocno mną te jego uwagi wstrząsnęły. Pojęcia nie mam, jak on mógł w ogóle takie coś sobie pomyśleć. Najpierw to się nawet zastanawiałam, czy on czasem nie żartował, że może któraś z panienek mu podsunęła taki pomysł. Ale potem uznałam, że to niemożliwe, bo żadna z młodych panienek nie jest aż taka wstrętna, coby takie coś wymyślić.

Tak czy inaczej, trzeba było odczekać, aż ze mnie nerwy opadną, aż złe myśli sobie ode mnie pójdą, zanim co komu powiem. Bo jakbym dzień albo dwa odczekała, to pewnie bym nic w ogóle nikomu nie rzekła. Ale taka byłam wściekła na to wszystko, co on mi nagadał, że ani chwili nie mogłam czekać.

Wszystko pannie Marcie opowiedziałam od razu, jak przyszła z ogrodu, a potem to samo pannie Edwinie też.

Tyle że pannie Edwinie nie zdradziłam tyle co pannie Marcie. Pannie Marcie wszystko żem powiedziała, co mi ten Jankes nagadał, słowo w słowo. A ona w ogóle nic na to nie odrzekła. Tylko stała i słuchała, głową kiwała i wargę przygryzała, jak to ma we zwyczaju, kiedy jest jakąś myślą mocno zajęta. A potem rzuciła na stół zieleninę z ogrodu i szast-prast, wyszła bez jednego słowa.

Pannie Edwinie tylko tyle powiedziałam:

– Ten Jankes o panienkę rozpytywał. Chce wiedzieć, kim są panienki matula i tatko i czy ja ich znam.

– A po cóż jemu to wiedzieć? – pyta mnie panna Edwina.

– Nie powiedział. Ja na panienki miejscu, panno Edwino, tobym się od niego jak najdalej trzymała.

– Ty myślisz, że ja chciałabym mieć z nim do czynienia? – Prawie mnie skrzyczała. A potem też się zabrała i odeszła.

Nie cobym liczyła na podziękowania. Panna Edwina nigdy mnie tak nie lubiła jak inne młode panienki, co tu mieszkały. Tak się zachowywała jak te panienki z Północy, co je tu czasami miałyśmy przed wojną. Te małe, białe panienki niechętnie się z czarnymi spoufalają, bo się z nimi nie chowały i nie dorastały.

Tak czy inaczej, więcej żem z Jankesem nie gadała ani nawet żem o nim z nikim słowa nie zamieniła, aż do tej kolacji z okazji jego urodzin, kiedy panna Martha nas zwołała na naradę w bibliotece. Specjalnie mi powiedziała, cobym przyszła na to spotkanie. „Mattie, w tej kwestii twój głos jest tak samo ważny jak każdej z nas”, tak mi powiedziała.

No, nie wyglądało mi, cobym się jakoś wielce liczyła, bo one nigdy nie chciały słuchać nic, co mówię. Ja na przykład powiedziałam, że Jankesa powinny stąd wywieźć, ale one wcale nie myślały, że to coś pomoże. A potem panna Martha zaczęła opowiadać o tych wszystkich złych rzeczach, co on je tu u nas narobił.

No i owszem, z tym to ja się nie mogłam sprzeczać. Starczyło popatrzeć na naszą biedną pannę Harriet, jaka jest blada i jak się cała trzęsie, jak siedzi i próbuje pisać, a po białej buzi ciekną jej łzy, aż w końcu się poddała, oparła główkę na ramionach i się całkiem rozsłochała.

– To żadna hańba, żadna hańba, moja droga – próbowała jej przetłumaczyć panna Martha. – To nie była twoja wina.

– Nie wierzysz w to, Martho – mówi panna Harriet.

– Owszem, moja droga, wierzę. Nie jesteś za to odpowiedzialna. Już od dawna nie odpowiadasz za swoje czyny.

– Martho, nie mów takich rzeczy przy dzieciach! – woła panna Harriet.

– Marie nie ma tu z nami, Amelii również, a pozostałe są dość dorosłe, by zrozumieć – mówi panna Martha. – A teraz nie próbuj już dalej pisać, moja droga. Zapisałaś wszystkie najważniejsze rzeczy. Nic więcej nam nie jest potrzebne.

– Martho, chciałabym ci opowiedzieć o ostatniej nocy.

– Dość nam już opowiedziałaś, moja droga. Nie trzeba nic więcej dodawać. Nigdy więcej nie będziemy poruszać tego tematu, ani my, ani McBurney.

Panna Harriet i tak znów zaczęła szlochać, aż po chwili panna Martha jej mówi, że jeśli się nie uspokoi, to będzie musiała iść sobie na górę. A wtedy wraca po schodach panna Marie i wchodzi do biblioteki. Miała ze sobą grzyby w chusteczce i rzuciła je na stół biblioteczny.

– Dla kogo je przyniosłaś? – pyta jej panna Martha.

– Na urodzinową kolację Johnny’ego – mówi panna Marie. – Pamięta pani, panno Martho, mówiłam pani, że dzisiaj Johnny ma urodziny?

– A skąd je masz? – pyta panna Martha i trąca grzyby z lekka.

– Od Amelii. Dopiero co je zebrała w lesie.

– Takie grzyby są niebezpieczne – rzekła panna Harriet, ocierając oczy. – Te trujące wyglądają bardzo podobnie do jadalnych z tego gatunku.

– Jestem pewna, że Amelia doskonale zdaje sobie z tego sprawę – mówi panna Marie. – Ona wie wszystko, co tylko można wiedzieć w tej materii. Ale nie rozmawiałyśmy o tym zbyt wiele, bo ona jest teraz zdenerwowana czymś

innym.

– Co ją zdenerwowało? – pyta panna Martha.

– McBurney – mówi panna Marie. – Wydaje mi się, że moja współlokatorka przeszła na pani stronę. Widziałam, jak przed chwilą na niego patrzyła, i mogę powiedzieć, że nabrała do Johnny’ego McBurneya większej nienawiści niż ktokolwiek inny w tym domu.

– Więc dlaczego chciałyby, cobyśmy wyprawiły mu przyjęcie urodzinowe? – pyta panna Alice. – I dlaczego poszła nzbierać dla niego grzybów?

– Idź ją zapytać – mówi panna Marie. – Chociaż wydaje mi się, że kiedy je zbierała, nadal lubiła Johnny’ego.

– Ale teraz już go nie lubi? – pyta panna Emily.

– Właśnie tak – mówi panna Marie.

– Ale mimo to chce wyprawić dla niego przyjęcie i podać mu te grzyby? – mówi panna Harriet.

– Owszem – mówi panna Marie.

– Cóż, ona wie, jak bardzo on lubi grzyby – mówi panna Edwina. – Może po prostu nie chciałyby, coby poszły na zmarnowanie.

– Może i tak – mówi panna Marie.

Panna Martha jeszcze z minutę trącała grzyby palcem.

– Cóż, moje młode damy, jak sądzicie? – mówi po chwili. – Powinnyśmy wyprawić przyjęcie urodzinowe dla pana McBurneya?

– Oczywiście – mówi panna Marie.

– Dlaczego nie – mówi panna Alice.

– Ja jestem za – mówi panna Emily.

– To może być interesujące – mówi panna Edwina.

– Już długo nie miałyśmy tu przyjęcia – mówi panna Harriet. – Okropnie długo.

– Ale myślicie, że na nie przyjdzie? – pyta panna Alice.

– Tak, przyjdzie – mówi panna Marie. – Zaproszę go. Wiem, że przyjdzie.

A czy może być też ciasto?

– Owszem, myślę, że tak – mówi panna Martha. – Zdążysz, Mattie?

– Poradzę sobie. – Kiwam głową. – Jeśli tylko da mi pani zużyć mąkę.

– I sucharki? Będą też sucharki? – pyta panna Alice.

– Dlaczegoż by nie – mówi panna Harriet. – Powinny być, skoro to przyjęcie urodzinowe.

– A mięso? – mówi panna Emily. – Czy to możliwe, co by było też mięso?

– Tak, myślę, że możemy podać szynkę z piwnicy – mówi panna Martha.

To była ta szynka, którą panna Martha na wiosnę podstępem wyciągnęła od pana Pottera, wtedy co poszła do niego do sklepu i go przyłapała, jak próbował trzy czy cztery schować. On wtedy jedną jej podarował, co by trzymała język za zębami i nie mówiła nikomu o pozostałych.

Ta wiadomość bardzo młode panienki podekscytowała.

– Szynka, szynka, pyszna szynka! – zaczęły wykrzykiwać.

– Teraz Johnny na pewno przyjdzie na przyjęcie – mówi panna Marie. – Nieważne jaki byłby zły na niektóre z nas, teraz z pewnością przyjdzie.

– No, to wspaniale – mówi panna Martha. – Mattie, usiądziemy do kolacji około siódmej. Zabieraj się do pracy i pamiętaj, co by ugotować też grzyby.

– Mam sprawdzić, czy wszystkie one są dobre? – pytam. Naprawdę, na Boga żywego wtedy żem zapytała.

– Nie musisz sobie zawracać tym głowy, Mattie – mówi panna Martha. – Na moje oko są zupełnie w porządku.

– Na moje też – mówi panna Emily.

– I na moje – dodaje panna Alice.

Panna Edwina przyglądała im się przez chwilę i przygryzała palce. Aż w końcu mówi:

– Tak, wydają się zupełnie w porządku.

– Ja nie odróżniam jednego grzyba od drugiego – mówi panna Marie – więc muszę uwierzyć wam wszystkim na słowo.

Panna Harriet patrzyła na nie bardzo długo, aż wreszcie też pokiwała

głową. Nic w ogóle nie rzekła, tylko skinęła i znów wybuchła szlochem, mimo że panna Martha jej zabroniła. Więc panna Martha i ja zabrałyśmy pannę Harriet na górę do jej pokoju, a panna Martha kazała jej tam zostać i nie wychodzić aż do kolacji.

A ja potem zeszałam na dół, wzięłam grzyby i poszałam do kuchni, i się zabrałam do gotowania urodzinowej kolacji. Najpierw ugotowałam trochę zieleniny i groszku, upiekłam placek z batatów, a potem wzięłam tę wędzoną szynkę i upiekłam ślicznie z kawałkami jabłka i z cukrem po wierzchu. Na szynkę i ciasto zużyłam ostatnią resztkę cukru, ale żem sobie pomyślała: jak pannie Marcie to nie przeszkadza, to mnie ani trochę to nie przeszkadza.

Pewno, że to nie było takie ciasto, jakie bym kilka lat temu zrobiła, ale teraz musiałam sobie radzić z tym, co było pod ręką. Wzięłam trochę cukru i tę odrobinę mleka, co mi została, potem to ubiłam pięknie na masło, a potem zmieszałam z resztą mąki i wyszała z tego całkiem przyzwoita masa. A potem upiekłam je najostrożniej na wolnym ogniu i polukrowałam po wierzchu, a jak skończyłam, to się okazało, że wyszało mi ciasto zupełnie niczego sobie.

Obiad był gotowy na siódmą, tak jak panna Martha sobie życzyła. Stół już czekał zastawiony i obie lampy były zapalone, kiedy panna Martha i panna Harriet, i młode panienki weszyły. I muszę powiedzieć, że wszystkie tak pięknie wyglądały, że aż na chwilę całkiem zapomniałam, co tu się będzie działo. Wszystkie były ubrane w swoje najlepsze wyjściowe sukienki i takie były czystuikie i porządne, rączki i buzie miały umyte, a włosy uczesane i tak ładnie upięte, żem prawie zapomniała, gdzie jestem.

Panna Marie miała na sobie krótką, białą, jedwabną sukieneczkę i falbaniaste pantalony, a loki związane niebieską wstążką. Panna Alice była w tej ładnej aksamitnej czerwonej sukni, co należy do panny Edwiny i którą widać panna Edwina jej wypożyczyła. Była okropnie długa na pannę Alice, ale u góry całkiem dobrze się opinała. Panna Alice nawet przypięła sobie chusteczkę na przodzie, coby nie wyglądać zbyt nieprzyzwoicie. Panna Harriet przyszała w jasnozielonej sukni z mory jedwabnej, którą ostatnio miała na sobie, o ile mnie pamięć nie myli, chyba w zesze Boże Narodzenie, zanim jej tatko był zmarł, a pan Robert jeszcze był w domu.

Panna Martha włożyła piękną suknię z czarnej tafty, a do ozdoby jeszcze medalion, ten, co go znalazłam w piwnicy potłuczony i pogięty. Jak go wtedy znalazłam, to szkielek na obrazku z panem Robertem było potłuczone i nie było już we środku kosmyka jego włosów, ale panna Martha, jak widać, sporo czasu spędziła, wyginając złoto z powrotem jak trzeba, i nie wyglądało to zbyt źle. Oczywiście tego skrawka włosów w piwnicy nie znalazła. Ja to nawet kilka nocy wcześniej słyszałam ją, jak przetrząsa piwnicę i go szuka.

Panna Edwina też się ładnie ubrała: w błękitną, aksamitną suknię balową, a na szyję włożyła obróżkę z pereł, ponoć prezent od jej tatka. Wyglądała tak słodko i ślicznie, że ledwie człowiek mógł poznać, że to panna Edwina. Można byłoby ją zabrać prosto na najelegantsze przyjęcie w hotelu Spottswood w Richmond i nawet by się człowiek dwa razy nie zastanawiał. Panna Edwina nawet się szalem owinęła, by nikt nie mógł jej skarcić, że ma odkryte ramiona.

Panna Emily też ślicznie wyglądała w brązowym muślinie i panna Amelia w różowej jedwabnej sukieneczce, która jak mi się zdaje chyba należała do panny Marie. Panna Amelia niewiele ładnych rzeczy ze sobą przywiozła, a to, co miała, to albo poszarpała po krzakach, albo rozdała innym dziewczętom. A jeszcze ze trzy czy cztery sukienki podarła na bandaże dla Jankesa, zanim panna Harriet ją przyłapała i kazała przestać.

Muszę powiedzieć, że wiele czasu minęło, odkąd je wszystkie takie śliczne widziałam, i tak sobie myślę, że może dlatego tym razem takie ładne były, bo pewnie wszystkie sobie pomagały wyszykować się na przyjęcie. Na pewno wszystkie zebrały się razem i wymyślały, co każda z nich może zrobić, coby jak najładniej wyglądać. Każda dorzucała swoje trzy grosze, a potem pomagały sobie się stroić i czesać.

A kiedy siadły do stołu, to tylko Jankesa jeszcze brakowało.

– Przyjdzie? – zapytała panna Martha.

– O, tak – mówi panna Marie. – Tylko chce się porządnie wyszykować. Kiedy przechodziłam koło bawialni, polerował sobie guziki od munduru.

Przez jakiś czas on chodził w starych ubraniach po panu Robercie, które mu panna Martha podarowała, bo jego mundur był podarty i brudny. Ale ze dwa

dni wcześniej żem go wyczyściła i trochę podreperowała. Kiedy w końcu przyszedł do jadalni, to go miał na sobie.

Z początku wcale nie było z nim łatwo, oj nie. Był ogolony i przyczesany, i nawet czysty, ale podejrzliwie się zachowywał, trochę się ociągał i stał w progu.

– Proszę wejść i usiąść z nami, panie McBurney – mówi mu panna Martha.

– Co to za szarady? – mówi on do niej.

– Postanowiłyśmy, że wyprawimy dla pana małe przyjęcie – mówi panna Harriet. – Proszę wchodzić, panie McBurney.

– Jakoś dotąd nie miały panny w zwyczaju urządzać dla mnie przyjęć – mówi on do niej.

– Ale dziś są pańskie urodziny, Johnny – mówi panna Marie. – To zupełnie co innego.

– Wszystkie postanowiłyśmy, że przez ten jeden wieczór nie będziemy się z tobą kłócić, Johnny – mówi panna Alice.

– To taki rozejm, Johnny – dodaje panna Emily. – Możesz tak na to spojrzeć.

– No dobrze, niech będzie – mówi on z uśmiechem. – I dziękuję wam wszystkim, miłe panie.

Wszedł i usiadł na miejscu, które mu zostawiła panna Martha u szczytu stołu.

A potem ja przyniosłam szynkę i wszystkie panienki zaczęły pokrzykiwać, i pisać na ten widok. Oj, wiele czasu już minęło, od kiedy te dziewczuszki ostatni raz widziały taką szynkę, a panna Martha tylko siedziała i się uśmiechała, i pozwoliła, coby przez chwilę robiły tyle hałasu, ile tylko dusza zapragnie. Oczywiście nie trwało to długo, bo zaraz zajęły się jedzeniem i już były cicho. I Janes też od razu się wziął za jedzenie z taką samą ochotą jak cała reszta.

– A gdzie są grzyby? – pyta mnie wtedy panna Martha.

Nie przyniosła żem grzybów z resztą kolacji. Nie wiem dlaczego, ale żem postanowiła odczekać. Może sądziłam, że zmienią zdanie, a może po prostu żem chciała, aby ona mi wprost kazała je przynieść. No to kazała, a ja żem

przyniosła.

– Panna Amelia sama dziś te grzyby zbierała – mówi panna Martha. – Czy ktoś ma ochotę? Panie McBurney?

– Chętnie, *madam*, ogromnie je lubię – mówi. – A może panienki też się skuszą?

– Ja dziękuję – mówi panna Marie.

– Ja również – dodaje Alice.

– Ja ich nigdy nie jadam. – Panna Emily kręci głową.

– A ja grzybów w ogóle nie trawię – wtrąca panna Harriet.

– A panna Edwina? – pyta Jankes.

Panna Edwina potrząsnęła głową i panna Martha tak samo. Jankes już miał zgarniać wszystkie grzyby na własny talerz, kiedy odezwała się panna Amelia.

– A mnie pan nie zapytał – mówi.

– Cóż, sądziłem, że ty też za nimi nie przepadasz, Amelio. Chyba kiedyś wspominałaś, że czasem jadasz je na surowo, ale gotowanych w ogóle nie lubisz.

– Chyba mogę zmienić zdanie, prawda? – odpowiada mu panna Amelia.

– Amelio, jeśli masz ochotę na impertynencje, to za chwilę zostaniesz odesłana od stołu – mówi panna Martha.

– Nie wydaje mi się, coby było w tym coś niestosownego – mówi panna Edwina. – Chyba nawet sama zmienię zdanie i też trochę zjem.

A podczas tej rozmowy Jankes już zdążył zabrać się za grzyby. A teraz się śmieje i mówi:

– Na złość tylko tak mówią. Wcale nie mają na te grzyby ochoty, ani jedna, ani druga. Chcą mi tylko dokuczyć. Amelia dlatego, że niechcący skrzywdziłem jej żółwia, a Edwina jest zła o inną rzecz. Znajdę Amelii nowego, lepszego żółwia, a Edwinie też wszystko wynagrodzę. No już, panienki, proszę bardzo. Częstujcie się grzybkami, bo zaraz sam wszystkie zjem.

– Po namyśle chyba jednak nie mam ochoty – mówi panna Amelia.

– Ani ja – dodaje panna Edwina.

– Jak sobie chcecie, panienki – mówi Jankes, po czym zrobił tak jak powiedział. Zjadł wszystkie sam, do ostatka.

Wtedy wszyscy nieco zwolnili z jedzeniem, oczywiście prócz Jankesa. A kiedy już rozprawił się z grzybami, zabrał się znów za szynkę i za zieleninę, za placek z batatów i całą resztę. Nie minęło wiele czasu, jak paniom znów wrócił apetyt i zaczęły jeść, aż na stole prawie nic nie zostało. Trochę później panna Martha kazała mi przynieść ciasto.

No to przyniosłam. Zapaliłam łojową świeczkę z kuchennej lampy i wetknęłam w samiuśki środek ciasta, a potem przyniosłam to wszystko na półmisku. Na ten widok znów zaczęły się ochy i achy, piski i okrzyki, i już po chwili wyglądało, jakby wszyscy całkiem zapomnieli o tych grzybach.

Jankes zdmuchnął świeczkę i pokroił swoje ciasto, a potem wstał i wygłosił krótką przemowę.

– Dziś kończę dwadzieścia jeden lat – zaczął. – I czuję się nie tylko jak mężczyzna, ale jak całkiem nowy mężczyzna. To dzięki waszemu przebaczeniu, miłe panie. Chcę, byście wiedziały, że to najmilsze przyjęcie urodzinowe, jakie kiedykolwiek miałem. A jakby się nad tym zastanowić, to też pierwsze i jedyne.

Potem trochę posiąkał nosem, otarł oczy i usiadł. Potem niektóre panny też musiały otrzeć oczy, jak zauważyłam. Właściwie to prawie każdy, nawet ja sama.

– Cóż, panie McBurney, czy pokroi pan teraz swoje ciasto? – mówi panna Martha.

Więc on podzielił i wszyscy powiedzieli, że to było najlepsze ciasto, jakie w życiu jedli. Jankes też tak mówił. Pewno, że dużo czasu minęło, odkąd ktokolwiek w tym domu w ogóle jadł jakieś ciasto, więc cokolwiek by dostali, to i tak by się ucieszyli. Ale z drugiej strony sama troszeńkę próbowałam i muszę powiedzieć, że rzeczywiście było całkiem dobre. A potem przyniosłam kawę żółdziową i wszyscy zaczęli popijać, i rozmawiać o starych czasach na pensji. Nie wiem, kto zaczął, może i Jankes, ale już po chwili wszyscy się tak zaśmiewali, jakby nigdy w tym domu się nic złego nie

zadziało.

I rozmawiali, jak to było, kiedy Jankes tu do nas trafił, jaki był chory, a one się nim wszystkie zaopiekowały. A potem o tych dobrych czasach, jak już zaczęło mu iść ku lepszemu, o tych historiach, co to je im opowiadał, i o figlach, co je sobie nawzajem płatali. Aż wreszcie zaczęli mówić o tym, jak drugi raz się pochorował, kiedy trzeba mu było odciąć nogę, i jak one wszystkie się strasznie namęczyły, coby go znowu do zdrowia przywrócić.

– Wiem, wiem – rzekł im Jankes. – Wiem dobrze, jaką troską mnie wszystkie otoczyłyście, i chcę, byście wiedziały, jak bardzo to sobie cenię teraz, kiedy już odzyskałem zmysły i widzę znów wszystko we właściwym świetle.

Ale oczywiście dwie młode panienki niewiele się odzywały, a jedna to nawet mało co do ust wzięła przez cały wieczór. To była panna Edwina, która prawie całą kolację przesiedziała nad pełnym talerzem, czasem wzięwszy kęs tego czy owego, ale poza tym to tak wyglądała, jakby gdzieś była daleko w innym świecie.

A druga to panna Amelia. Ona z Jankesem ani słowa nie zamieniła, ale kolację zjadła. Ja to nawet nie zauważyłam, by ona mu choć jedno spojrzenie posłała. Oczy i myśli trzymała przy talerzu i jadła bardzo powoli, aż cały talerz wyczyściła, akurat gdy panna Martha powiedziała, że panienki powinny się już szykować do snu.

– Czy nie będziemy dziś odmawiać modlitwy dziękczynnej? – pyta panna Marie. – Wydaje mi się, że zapomnieliśmy ją zmówić przed posiłkiem, więc wypadałoby zrobić to teraz.

– A kto ją poprowadzi? – pyta panna Martha.

– Może Johnny, skoro dziś są jego urodziny? – mówi panna Alice.

– Ano dobrze – mówi Jankes. – Niech będzie.

No to złożył ręce i schylił głowę i mówi:

– Dzięki Ci, Panie, za to pyszne jedzenie, któreśmy zjedli, i pobłogosław te szlachetne panny za to, że nakarmiły obcego przybysza. Pobłogosław je za dobroć, jaką mu okazały, i za to, że mu przebaczyły, choć wcale na to nie

zasługiwał. Amen.

– Amen – mówią wszyscy, chyląc głowy.

– A czy mógłby pan zmówić jeszcze jedną modlitwę, Johnny? – pyta panna Marie. – Coby nasze przyjęcie miało w sobie katolickiego ducha, może pan odmówić akt żalu?

On posłusznie odmówił modlitwę, tak jak ona chciała. Kilka razy go musiała poprawiać, zanim powiedział wszystko, jak należy, ale w końcu była zadowolona. Ja sobie myślałam, że może panna Martha jej zaraz każe przerwać te głupstwa, ale nie kazała. Pozwoliła panie Marie pomagać Jankesowi z modlitwą tak długo, aż wreszcie skończył.

– A teraz może pośpiewalibyśmy sobie jakieś piosenki – mówi panna Alice. – Chodźmy do bawialni i śpiewajmy, ile dusza zapragnie, tak jak wtedy, kiedy Johnny do nas przybył.

– Może nie dziś – mówi panna Martha.

– Nawet jednej piosenki, by uczcić urodziny Johnny’ego? – prosi panna Marie.

– Pozwólmy, by to pan McBurney zdecydował – postanawia panna Harriet. – Jeśli ma takie życzenie, jestem pewna, że panna Martha się zgodzi. To przecież jego urodziny.

– Miłe panie – zaczyna Jankes. – Muszę wyznać, że tak się najadłem różnych wspaniałości, a zwłaszcza tego cudownego ciasta – będę ci za nie wdzięczny po grób, Matildo – i tyle z wami rozmawiałem i tak się uśmiełem, że wątpię, bym zdołał choć jedną nutę wyśpiewać, nawet gdyby od tego zależało moje życie. Jestem pewien, że wszystkie jesteście tak samo zmęczone, więc jeśli panna Martha pozwoli, proponuję odłożyć wieczór piosenek na jutro.

– Proszę bardzo – mówi panna Martha. – Jeśli pan McBurney jutro nadal będzie miał na to ochotę, będziemy śpiewać i się bawić. Myślę, że wszystkie spędziłyśmy dziś bardzo miły wieczór z panem McBurneyem.

– Tak – mówi panna Harriet. – Czy to nie szkoda, że nie mogło zawsze być tak miło?

– W przyszłości już tylko tak będzie, *madam*, daję pani moje słowo – mówi Jankes. – Nie planuję długo jeszcze korzystać z waszej gościnności, ale dopóki tu jestem, zrobię co w mojej mocy, by wynagrodzić wam wszystko, co się wydarzyło w przeszłości. Nie będę teraz próbował każdej z pań składać osobistych przeprosin, ale proszę uwierzyć mi na słowo, że bardzo żałuję wszystkich złych rzeczy, jakie tu uczyniłem.

A potem wszyscy wyszli z jadalni i poszli na górę do własnych pokojów, z wyjątkiem Jankesa. On poszedł do bawialni, całkiem niezgorzej sobie radząc o kulach, i zamknął drzwi.

Ja się zabrałam za sprzątanie naczyń ze stołu, kiedy nagle coś dostrzegłam przy talerzu Jankesa. To był pęk kluczy panny Marthy. No to zgadłam, że musiał je tu zostawić. No to żem je wzięła na górę i jej oddała.

Kiedy weszłam, ona siedziała przed lustrem i się patrzyła w swoje odbicie.

– Jankes coś dla pani zostawił – mówię.

Ona wzięła klucze i się na nie popatrzyła, a potem je rzuciła na łóżko.

– Teraz to już nieważne – rzekła. – A w każdym razie klucze mają tu najmniejsze znaczenie.

– I pani, i ja dobrze wiemy, że pistolet nie działa, bo sprężynka mu pękła przy cynglu – mówię. – No i nie sądzę, coby Jankes miał przy sobie jaki pieniądz.

– To nieważne – mówi do mnie, ale na mnie nie patrzy. – Idź do łóżka, Mattie. – No to żem wyszła i zamknęła za sobą drzwi, i już zaczynam schodzić w dół po schodach, kiedy ona za mną woła: – Dziękuję ci, Mattie, za bardzo dobry obiad.

To był jedyny raz, kiedy ona mi za co podziękowała.

Trochę czasu mi zeszło, zanim wszystko w kuchni posprzątałam. Może trwało to dłużej, niż ona się spodziewała, bo z godzinę później usłyszałam, jak schodzi cichcem po schodach, a potem zatrzymuje się na chwilę w korytarzu. A potem słyszałam, że zamyka drzwi do bawialni na klucz. Później wyszła przez korytarz do ogrodu, minęło kilka minut i wróciła.

Ja się domyślałam, co ona tam robi, ale aż do następnego ranka nie miałam

pewności. Ale dobrze zgadłam, że poszła do ogrodu od strony bawialni i tam też zakluczyła drzwi. Bo widzicie, stary pan kazał kiedyś pozakładać specjalne zamki na drzwi z dworu, coby matula panny Marthy i panny Harriet nie mogła uciekać, kiedy kilka lat przed śmiercią zaczęła słabnąć na umyśle. No i większość drzwi ogrodowych zamyka się na rygiel od środka, ale tamte od bawialni można kluczem zakluczyć albo od środka, albo od dworu. A przynajmniej tak było, zanim Jankes je wziął i rozwalił.

Rankiem go znalazłam. No, nie byłam pierwsza, bo kiedy wyszłam na dwór, to panna Amelia przy nim już była. Leżał w ogrodzie, wyciągnięty na trawie przy pergoli, jakby mu się zasnęło, a panna Amelia siedziała koło niego.

– Przeziębi się panienka, jak będzie panienka tak siedzieć – mówię panie Amelii.

A ona na to:

– Nic mi nie będzie. Mattie, pomożesz mi zanieść go z powrotem do lasu?

– Dziecko, tylko we dwie?

– No, może Marie mogłaby nam pomóc, ale wolałabym, coby reszta go nie dotykała.

– Panno Amelio, on będzie za ciężki dla nas trzech.

– Och, poradzimy sobie, jeśli będziemy iść powoli i odpoczywać. Widzisz, Mattie, ja myślę, że on chciałby tam wrócić. Wydaje mi się, że chciał tam pójść, kiedy tu wyszedł wczoraj w nocy.

– Może i tak – mówię. – Chyba nic złego się nie stanie, jeśli go weźmiemy na powrót do lasu, ale to bardzo daleko, a ja jestem za stara, coby go taszczyć z dwiema małymi panienkami. Lepiej, coby reszta nam pomogła.

– Chyba masz rację – zgodziła się w końcu. – Teraz już i tak nie mogą go skrzywdzić.

– Wszystkieśmy go skrzywdziły, panno Amelio – mówię. – Żadna z nas się od tego nie wywinie.

Cóż, ona mi nie uwierzyła, wiadomo, i żadna z pozostałych też by mi nie uwierzyła, jakbym im co powiedziała, no to nie traciłam czasu na gadanie. W sumie to nikt zbyt wiele tego ranka nie gadał. Wszystkie panny zeszły na dół

i wyszły na ogród, i stanęły wokół niego na trawniku. Nie szlochały ani nic z tych rzeczy, tylko tak stały wielce poważne i się na niego patrzyły. Aż wreszcie panna Harriet mówi:

– Nie wygląda, jakby bardzo cierpiał.

– Masz rację, nie wygląda – mówi panna Martha.

– To mogło być serce, prawda? – pyta panna Alice. – Przecież nigdy nie był zbyt silny.

– Owszem – zgadza się panna Emily. – Od początku był mizerny. Może te wczorajsze przeżycia go przerosły.

– Jestem pewna, że osłabiony organizm dał o sobie znać – mówi panna Edwina. – Nawet jeśli to nie było główną przyczyną zgonu.

– Ale nie wiemy, co było główną przyczyną, moja droga – mówi panna Harriet – i obawiam się, że nigdy się nie dowiemy.

– Był człowiekiem wiary, więc dobrze byłoby odprawić dla niego mszę pogrzebową z chórem i całą oprawą – mówi panna Marie.

– Skoro już o tym mowa, to bardziej skłaniałabym się ku ceremonii wojskowej – dodaje panna Emily. – Przecież był żołnierzem, mimo że walczył po stronie wroga.

– Nie ma takiej możliwości – mówi panna Martha. – Z całym szacunkiem dla pana McBurneya, będzie musiał zadowolić się prostą modlitwą, którą nad nim tu zmówimy.

– Czy nie powinniśmy zabrać go na trochę do domu? – pyta panna Alice.

– Nie widzę powodu, dla którego miałybyśmy to robić – mówi panna Martha.

– Znam miejsce w lesie, w które chciałabym go zabrać – mówi panna Amelia. – W lesie go znalazłam i chcę go tam wziąć z powrotem.

– Jakby mnie kto pytał – wtrącam – to powiedziałabym, że najlepiej z nim co zrobić, zanim słońce wzejdzie jeszcze wyżej.

– Dobrze, Mattie, przynieś z sofy jego koce – mówi panna Martha.

– Czekaaj, Mattie. – Zatrzymuje mnie panna Edwina. – Użyjemy moich. –

I pobiegła je przynieść.

A potem pozostałe panienki postanowiły, że też chcą mu oddać swoje koce, więc wszystkie poleciały po nie do domu, a panna Harriet i ja ruszyliśmy po igły i mocną nić do dywanów.

Kiedyśmy wróciły, wyglądało na to, że każdy koc i każdy pled z całego domu leży na trawie. Panna Martha wcale nie narzekała. Ja żem się spodziewała, że będzie zła, ale nie była.

Najpierw żeśmy go trochę wyczyściły. Panna Edwina wyjęła chusteczkę i otarła mu twarz i czoło z ziemi. Panna Harriet przyczesła mu włosy, panna Alice zapięła mu mundur, a potem wszystkie dziewczęta razem obrały z niego trawę i liście.

– Ma jakieś papiery w kieszeni – mówi panna Marie.

– Zostawmy je tam – mówi panna Harriet.

Ale panna Alice musiała pójść i je wyjąć. To były tylko dwa listy i oderwany kawałek starego magazynu.

– Ten list został wysłany do szeregowego Johna p. McBurneya, kompania C, dwudziesty czwarty pułk piechoty nowojorskiej, Armia Potomaku, Stany Zjednoczone Ameryki – mówi panna Alice. – Czy mam przeczytać na głos?

– Nie – mówi panna Edwina.

– Może jest w nim adres jakichś krewnych – mówi panna Harriet.

– Więc czytaj, skoro musisz – mówi panna Martha.

No to panna Alice odczytała:

– „Drogi synu, Johnie... Mam nadzieję, że list ten zastanie cię w dobrym zdrowiu. Tutaj wszystko po staremu. Ziemiaki w tym roku bardzo mizerne. Nie wiem, jak sobie poradzę, synu, chyba że mógłbyś mi coś przesłać. Czy dobrą posadę udało ci się zdobyć w armii amerykańskiej? Czy żołd dobry ci płacą? Mam nadzieję, żeś bezpieczny i że niezbyt ci tam ciężko. Spodziewałam się, że może znajdziesz stałą posadę w Nowym Jorku. Zawsze nieśmiały był z ciebie chłopiec, John. Musisz się nauczyć mówić sam za siebie. Tylko tak sobie w życiu jakoś poradzisz. Twojej siostrze Bridget kaszel się tej zimy pogorszył. Może na wiosnę się jej poprawi. Czy byłeś na mszy

świętej w dzień Bożego Narodzenia? A spowiadałeś się ostatnio? Będę już kończyć, John. Wiem, że dobry z ciebie chłopiec i nadejdzie taki dzień, że wrócisz do swej matki bogaty i zasłużony. Twoja matka, Mary Anne McBurney”.

– Czy jest tam adres nadawcy? – pyta panna Harriet.

– Nie, to wszystko – mówi panna Alice. – Jest tu jeszcze drugi list, też nie ma żadnego adresu i został napisany chyba tym samym jeżynowym atramentem, który mamy w domu. Czy mam odczytać?

– Równie dobrze możesz odczytać i drugi – mówi panna Marie.

Panna Martha jej nie wstrzymywała, więc panna Alice odczytała:

– „Droga Mamo... Kilka dni temu przyjechałem do tego domu i dobrze mnie tu traktują. Mieszka tu kilka miłych młodych panien i dwie panie, które też są bardzo miłe. Kiedy tu przybyłem, byłem mocno raniony w nogę, ale teraz mi się poprawia. Mamo, te panny są wspaniałe. Czuję się tu całkiem jak w domu. Najmłodsza panienka mówi, cobym tak napisał. Mówi, cobym ci powiedział, że ona ma w sobie prawdziwą wiarę i że będzie się mną opiekować tak, by żadna z pozostałych, co naszej wiary w siebie nie mają, krzywdy mi nie zrobiła. Ha, ha. Cóż, wszystkie te panie są bardzo miłe, Mamo, bez względu na wyznanie”.

– Czy to wszystko? – pyta panna Martha.

– Tak, to już wszystko – mówi panna Alice. – Jest tu jeszcze stary „Harper’s Weekly”, ale chyba nie ma żadnej wartości. Nie wiem, po co on to zachował.

– A ja chyba wiem – mówi panna Marie i zabiera jej magazyn. – Spójrz tutaj, na ostatnią stronę. Widzisz to ogłoszenie, zakreślone tym samym jeżynowym atramentem? Tu piszą: „Prawdziwe lalki francuskie, importowane z Paryża. Uradują każdą młodą panienkę”. I widzisz, co jest zapisane pod spodem? „Osiemnasty lipca, urodziny Marie”.

– Ty to napisałaś czy on? – pyta panna Alice.

– A cóż to za różnica? – odpowiada jej panna Marie. – Zachował to, prawda? Obiecał, że kupi mi tę lalkę, kiedy wróci do Nowego Jorku.

– W takich czasach nie potrzebujesz lalek, dziecko – mówi panna Martha. –

A teraz odłóżcie te papiery z powrotem tam, gdzie je znalazłyście.

– Siostró, czy chciałabyś sprawdzić, co ma w pozostałych kieszeniach? – pyta panna Harriet.

– Nie – mówi panna Martha.

– Może ma przy sobie schowane te pieniądze, które ci zniknęły.

– Jeśli tak, to niech tam zostaną – mówi panna Martha.

No więc panna Alice włożyła mu papiery na powrót do kieszeni i jeszcze raz mu nieco poprawiła mundur. A potem zawinęliśmy go w koc.

Przez minutę albo dwie było zamieszanie, czyich koców należy użyć, ale na koniec panna Martha postanowiła, że wybierzemy dwa najmniej zniszczone. A potem wyciągnęłam igłę i nić dywanową, a panna Harriet wyciągnęła swoją i żeśmy go tak zaszyły w te koce.

Zanim żeśmy zaciągnęły ostatnie szwy, panna Harriet zdjęła swój szal z hiszpańskiej koronki i zakryła mu nim twarz. A potem zawinęłam koce z góry i z dołu i ciasno zaszyłam. A na sam koniec wtoczyliśmy cały pakunek na te stare tragi, cośmy je dla niego zrobili wtedy, jak panna Martha odcięła mu nogę.

– A teraz zrobimy tak, jak zaproponowała panna Amelia – mówi panna Martha. – Zaniesiemy pana McBurneya z powrotem do lasu.

Więc panna Harriet i panna Emily złapały za kije od przodu, a panna Martha i ja od tyłu, panna Amelia nas prowadziła, a pozostałe trzy panienki szły za nami i niosły narzędzia do kopania, i tak żeśmy poszły wszystkie do lasu.

Ale powiem, że łatwo to wcale nie było tam dojść. Panna Amelia chyba nas przez najgłębsze moczydła i najgęstsze ciernie, i zarośla prowadziła, przez najwyższe skały i kłody, po najstromiejszych wzgórzach i w dół po najbliższych skarpach w całym stanie Wirginia. Panna Alice i panna Emily czasem się zamieniały na przodzie z innymi dziewczętami, ale panna Martha i ja żeśmy niosły całą drogę.

Najgorsze było na sam koniec, jak żeśmy musiały się przedrzeć przez taką gęstwinię, co wyglądała jak ściana cierni i zarośli, ciągnąc i przepychając te tragi po ziemi. A potem żeśmy wyszły na małą polankę, złapałyśmy oddech

i zaczęłyśmy kopać.

Ziemia była miękka i każda z nas pomagała w kopaniu, więc nie trwało to zbyt długo. A gdy już dziura była dość głęboka, by i pannę Marthę, i pannę Amelię zadowolić, to żeśmy Jankesa do środka włożyły. Potem wysunęłyśmy kije z tragów i tragi też do środka włożyłyśmy, bo panna Martha powiedziała, że już nam więcej nie będą po nic potrzebne. A na koniec, zanim żeśmy zaczęły dziurę na powrót zasypywać, panna Martha zmówiła modlitwę.

Wiele z tego nie słyszałam, bo wtedy trochę odeszłam na bok sobie popłakać. Nie wiem, czy tylko ja tak zrobiłam, ale nie mogłam się powstrzymać. Nie tylko dlatego, że to wszystko było takie niepotrzebne, ale też dlatego, że jak żeśmy tego chłopaka grzebały, to pomyślałam sobie o moim Benie, co musiał iść z domu i umrzeć w obcym miejscu.

Ale ja nikogo nie winiłam za to, co się stało, i chyba nawet teraz nikogo nie winię, poza sobą. Biorę na siebie winę za udział, jaki w tym miałam, ale kłopot w tym, że sama nie wiem, jak wielki to udział. Ja miałam powód, dla którego to wtedy zrobiłam, i wcale nie wiem, czy bym inny jakiś zdołała znaleźć, gdyby chłopak miał tu i teraz znów wrócić między żywych i cała rzecz by się od początku zdarzyła.

Tak czy inaczej, w tym, co z modlitwy usłyszałam, było też słowo „przebaczenie”, ale czy to znaczyło, że panna Martha żałuje tego, co się stało i co sama zrobiła, czy też może po prostu prosiła Pana Boga o litość nad nami wszystkimi biednymi grzesznikami, jak to się robi w modlitwach, tego nie wiem. Potem panna Marie zmówiła krótki pacierz, tłumacząc, że to bardziej odpowiednie dla zmarłych katolików, a potem panna Harriet i inne panienki wrzuciły do środka po garści ziemi, a potem otarłam oczy i wróciła, coby pomóc go zakopać.

A, jeszcze jedno. Zanim żeśmy zaczęły zgarniać ziemię, panna Amelia się nachyliła i położyła na kocach stare puzderko na biżuterię.

– A cóż ty tam wkładasz, dziecko? – pyta panna Martha. – Co jest w tym puzderku?

– To jej zółw – mówi panna Marie. – Nic na świecie nie było jej sercu bliższe niż ten zółw i Johnny, więc chciała ich razem pogrzebać.

– Dobrze – mówi panna Marta. – Mattie, zasypuj dalej.

No to go zakopałyśmy do końca, a potem panna Amelia pokazała paniąkom, gdzie można znaleźć gałęzie sosnowe, i położyłyśmy je po wierzchu na świeżą ziemię, a na to trochę dzikich kwiatów, co je panna Harriet z panną Edwiną zebrały.

A potem wróciłyśmy do domu. Była może dziesiąta, tak mi się zdaje, i zaczął się ciepły dzień.

W drodze powrotnej panna Marie spytała pannę Marthę, czy będzie dziś dawać paniąkom lekcje, a panna Martha spytała, dlaczego by miała nie dawać.

– Wy jesteście w szkole Farnsworthów, aby się uczyć – mówi – a panna Harriet i ja jesteśmy tu po to, by wam przekazywać wiedzę. To nasz obowiązek i nie możemy go zaniedbywać.

PRZYPISY

[1] Jefferson Davis (1808–1889) – pierwszy i jedyny prezydent Skonfederowanych Stanów Ameryki (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczy).

[2] *Sonet 116* w przekładzie Jana Kasrowicza.

[3] *Oda do greckiej urny* w przekładzie Zenona Przesmyckiego.

[4] *Makbet* w przekładzie Leona Ulricha.

[5] *Nigdy nie staraj się wyrazić miłości* w przekładzie Zygmunta Kubiaka.

[6] Tu i dalej *Sonet 115* Williama Szekspira w przekładzie Jana Kasrowicza.